

ZDZISŁAW DEBICKI
PISARZE POLSCY

II



NAKŁADEM BIBLIOTEK WYBO-
ROWYCH W WARSZAWIE UL-SIEN-
KIEWICZA 12 i KSIĘG-SW-WOJCIE
CHA W POZNANIU PL-WOLNOŚCI

WARSZAWA-POZNAŃ

191
ZDZISŁAW DĘBICKI

PISARZE POLSCY

TOM II

OD ZIMOROWICÓW DO PASKA

WARSZAWA ————— POZNAŃ
NAKŁAD BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBORO-
WYCH I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA



18813

884/091

Spis rzeczy.

	Str.
Zimorowice — Szymon i Bartłomiej	1
Krótki wybór pism Szymona i Bartłomieja Zimorowiców	55
Samuël ze Skrzypny Twardowski	65
Krótki wybór pism Samuela ze Skrzypny Twardowskiego	97
Wacław Potocki	131
Krótki wybór pism Wacława Potockiego	169
Wespazjan Kochowski	201
Krótki wybór pism Wespazjana Kochowskiego	257
Opalińscy — Krzysztof i Łukasz	275
Krótki wybór pism Krzysztofa i Łukasza Opalińskich	305
Morsztynowie — Jan Andrzej, Hieronim (Jarosz), Zbigniew i Stanisław	333
Krótki wybór pism Morsztynów	369
Stanisław Herakljusz Lubomirski — Jan Chryzostom Pasek	401
Krótki wybór pism Lubomirskiego i Paska	457

ZIMOROWICE

SZYMON (1608—1629) i BARTŁOMIEJ (1597—1677).

Przestrogi i nawoływania do naprawy Rzeczypospolitej, będące tak wybitną cechą literatury Złotego wieku, nie odniosły skutku. Prorocze wzięje złotoustego kaznodziel sejmowego, polskiego Jeremiasza, ks. Piotra Skargi, już od połowy XVII-go wieku przybierać zaczęły kształty realne. Stawały się jeśli nie rzeczywistością narodu, to rzeczywistością państwa, staczającego się ku przepaści. Po świetnych zwycięstwach Batorego, po niemniej świetnym pochodzie Stanisława Żółkiewskiego na Moskwę, przyszły klęski, zdrady, sromoty, których wykładnikiem najwymowniejszym są Pilawce, świadczące, jak głęboko posunął się już był rozkład i do jakiego upadku przywiódł rycerską szlachtę rozbrat z sumieniem i obowiazkiem żołnierskim.

Polska, szarpana przez nieprzyjaciół, objęta płomieniem wojen kozackich i szwedzkich przez cały niemal czas nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza, nie zdawała sobie dostatecznie sprawy z grozy położenia, nie reformowała się w duchu czasu, ale szła ślepo ku nieuniknionej katastrofie, której nie zażegnała już ofiarą służba Stefana Czarnieckiego, ani nie powstrzymał na końcu stulecia błysk hetmańskiej, a później królewskiej szabli Sobieskiego. Tak popularna w epoce saskiej zasada »stania nierządem« kielkowała już wówczas w ciemnych, podgolonych łbach tłumu szlacheckiego, podniesionego przez kanclerza Zamoyskiego do roli czynnika, rozstrzygającego o losach narodu i państwa.

Po świetnej umysłowości XVI-go wieku nastawał zmierzch. Nowe pokolenie, które otrzymało od poprzedników swoich płonąca pełnym blaskiem pochodnię literatury, nie umiało płomienia jej podsycać i utrzymać. Zaczął on chwiać się, kopcić i śwędzić.

Czas jakiś literatura żyła jeszcze rozpędem, przeniesionym z wieku poprzedniego, ale już pod koniec panowania Zygmunta III-go smak wśród ludzi pisać zaczęła upadać, poezja ustępowała miejsca rymowanej prozie, w której panoszyło się pochlebstwo, mające na widoku cele osobiste. Pisarze ówczesni schlebiali królowi, możnowładcom, dostojnikom kościelnym i świeckim, zawsze z widokiem korzystnego dla siebie zrealizowania tych pochlebstw. Długie, napuszone dedykacje towarzyszyły najluchszym nawet utworom i zalecały moźnym tego śwłata pokorne służby »skromnych autorów«. Coraz bujniej krzewił się i rozrastał t. zw. pa'negiryzm (od wyrazu greckiego panaegyris, co znaczy zgromadzenie, na którym wygłaszano mowy pochwalne). Nie w tem jednak tkwiło zło. Panegiryk bowiem, jak każdy inny rodzaj literacki, może być utworem sztuki, jeśli wychodzi z pod ręki prawdziwego poety. Niestety, brak było poetów. Mnożyło się zato i panoszyło wierszoklectwo. Od połowy wieku XVII-go rymowanie stało się rzeczą powszednią, niemal pospolitą dla każdego szlachcica. Pisano wiersze przy każdej sposobności, z lada jakiej okazji. Dziesiątki i setki tysięcy utworów, najnieudolniejszych nawet, krążyły w odpisach po całej Polsce. Ta lichota, dzięki swej mnogości, pokrywała zupełnie lub odsuwała w cień to, co było lepsze, szczytniejsze, co pomimo ogólnego upadku, nosiło jednak na sobie znamiona poezji. I stało się, że przez długi czas tę właśnie najgorszą, najpospolitszą twórczość wieku XVII-go uznawano za najbardziej charakterystyczny jego dorobek, że według tego dorobku sądzono całą literaturę tego wieku, chrzcząc ją mianem panegiryczno-makaronicznej, chociaż, jak to obliczył profesor W. Bruchnański, panegiryki wynoszą tylko 30% produkcji literackiej

okresu barokowego, nadto zaś makarony polskie w owych latach prawie że nie istniały, a panegiryki makaroniczne nie istniały nigdy.

Potęplona w czambuł, głównie na tle ogólnego upadku i rozstroju ówczesnego życia polskiego, literatura wieku XVII-go doczekała się jednak częściowej rehabilitacji, głównie dzięki badaniom i poszukiwaniom prof. Brücknera, który z rękopisów wydobył wiele zapomnianych utworów, świadczących o istnieniu w tej dobie wcale niepospolitych talentów pisarskich.

Nie był więc ten wiek dla literatury tak niepomyślnym, za jaki go uważano. Miał tylko swoje odrębne oblicze, swój smak zwyrodniały i styl, które późniejszym pokoleniom podobać się nie mogły, które raziły i razić będą zawsze swoją przesadą barokową.

Barok, od wyrazu włoskiego barocco, co znaczy krzywe, wykręcone, a więc nieforemne, dziwne, śmieszne, już w drugiej połowie XVI-go wieku zjawił się jako styl w architekturze. Do Polski przyszedł z opóźnieniem, jak wogóle z opóźnieniem przychodziły do niej wszystkie idee i prądy zachodnio-europejskie.

Z architektury styl ten przeszedł do życia i piętno swoje położył na całej ówczesnej kulturze. Barokiem było już pod koniec wieku XVII-go piśmiennictwo włoskie, za niem szybko podążało ku zwyrodnieniu — francuskie. A że w wieku XVII-ym właśnie wpływy włoskie i francuskie bardzo się w Polsce wzmogły, nie dziw przeto, że poeci i pisarze polscy tego wieku stali się rychło wyznawcami i naśladowcami nowej mody.

Chęć naśladowania obcych zawsze była naszą cechą narodową. Naśladowali przecie i Rej i Górnicki i tylu innych najprzedniejszych złotego wieku pisarzów. Nie można się więc dziwić, że słabsze indywidualności twórcze, które wydał wiek XVII, szły już tym torem bez zastrzeżeń.

Stosunki Polski z zagranicą były wówczas częste i bliskie. Nowsze badania (prof. Krzyżanowskiego i Windakiewicza) ustaliły, że nie tylko w w. XVI. ale i w w. XVII-ym zna-

czna liczba młodzieży polskiej studjowała na uniwersytetach włoskich, w Padwie i w Bolonii. Stąd wpływy włoskie. Stąd zaznajomienie się z poetą sztandarowym baroku włoskiego, Janem Baptistą Marinim (1569—1615), autorem słynnego poematu bohaterskiego p. t. *Adone*, który z powodu przejawów zmysłowych dostał się na *index* książek zakazanych. Że wpływ Mariniego i jego szkoły poetyckiej (Preti, Achillini, Bruni, Casoni) przedostał się szybko do Polski, o tem świadczy niedawno stwierdzony przez prof. Brücknera fakt, że niektóre wiersze Marini'ego zostały przełożone na język polski już w r. 1622-ym przez J. M. Piotra Kostkę z Sztemberku. Tłumaczenie to jest jednym z najwcześniejszych przekładów Mariniego w Europie, a chociaż nie było drukowane, to jednak krążyć musiało w odpisach, jak wogóle krążyło wówczas wiele rzeczy, ruch bowiem wydawniczy w Polsce XVII-go wieku osłabł i książek drukowano znacznie mniej, niż w wieku XVI-ym.

Na Mariniem tedy poeci ówczesni wzorowali swój styl przesadny, pełen owej charakterystycznej kwiecistości i niezawsze fortunnych porównań i przenośni, które dzisiaj pobudzają nas do śmiechu, zwłaszcza w intytlacjach.

Oto próba tytułów książek z tej epoki: *Purpura z bawienia kaznodziejskim stylem u fryzowana; Kamień prawdy z procy świętej; Ogród ale nie plewiony, bróg, ale co snop to innego zboża, kram rozlicznego gatunku; Książę księżyców, nowy maj na sarmackiem niebie w nowym dla książęcego domu gościu jaśniejący w szczupłym genetliaku spieszonym rymem przywitany; Kancelarja księżycyca pryncypalnego żalu bezprzestannemi łzami wszystkich stanów Rzpltej pisząca wiekopomną kondolencją niezmiernych książęcych purpur żałobom; Wojsko afektów zarekrutowanych; Podpłomyk matki fary na poły z popiołem łzami jej rozczyniony i t. p.*

Nie tylko jednak tytuły były tak dziwaczne. Dziwaczną również była treść wielu utworów, których autorowie rozmyślnie unikali prostoty i bezpośredniości, najzwyczajsze sprawy omawiali górną i tonęli w nadmiernej elokwencji, zaciemniając sens, najczęściej zresztą jałowy.

Był to okres nie panowania, ale panoszenia się pustej formy w poezji. Okres pod wieloma względami zbliżony do modernizmu, który również brak miąższu pokrywał frazesami.

Łatwość, z jaką się w Polsce marynizm przyjął, wytłumaczyć można wejściem do życia umysłowego narodu, które dotychczas rozkwitało tylko na wyżynach, dość licznej falangi ludzi nowych, należących do niższych warstw szlacheckich. Ludzie ci nie mieli żadnych zgoda tradycyj literackich, nie mieli kultury estetycznej, a liżnawszy nieco oświaty po lichych szkołach jezuitckich i pijarskich, nie mogli osiąść dobrego smaku. Niewybredne ich podniebienia zadowalały się też niewybredną strawą — byle szumnie, byle pompatycznie, byle bogato. Takie zaś właśnie pozorne bogactwo niosła z sobą literatura barokowa, przeładowana pustem, ale ozdobnem słowem.

Nie była to jednak właściwość samej tylko Polski. Tak było wszędzie. Ten sam duch wiał także i z Francji, gdzie królował już wówczas t. zw. *le style précieux*, wysmażony głównie w tygłu zebrani poetyckich, odbywanych w pałacu markizy Rambouillet. Przyniosła go z sobą do Polski — acz z opóźnieniem — księżniczka Marja Ludwika Gonzaga, kolejno małżonka dwóch królów, Władysława IV-go i Jana Kazimierza. Dwór jej wywarł wpływ niemały na szerzenie się cywilizacji i kultury francuskiej w Polsce tak dalece, że królowa Marysieńka zastała już grunt na zamku w Warszawie zupełnie dla siebie przygotowany.

Nie należy jednak mniemać, że te wpływy obce zażyły zupełnie pierwlastek rodzimy, swojski w piśmiennictwie XVII-go wieku. Szły one jak plana po wierz-

chu. Pod spodem zaś płynął nurt poezji szlacheckiej, rubaszniej, niefrasobliwej jak życie warstwy, która ją wydała, dufnej w siebie i rozkochanej w sobie — poezji nawskroś nacjonalistycznej. Skupiły się w niej wszystkie cechy t. zw. późnej sarmatyizmu, przeciwstawiającego się wszelkim nowym prądom, konserwatywnego z założenia i urastającego do miary potężnego hamulca życia w epoce saskiej.

Zanim jednak te ujemne strony sarmatyzmu wystąpiły na jaw i stały się klęską, sarmatyzm oddał literaturze XVII. wieku przysługę, którą cenić należy.

Ta niestylowa poezja XVII-go wieku — mówi profesor Brückner — dlatego, że bliska życiu, wyraziła je niezrównanie pełniej, dokładniej, wszechstronniej, niż poprzednia, humanistyczna, omijająca szczegóły dosadne, pokrywająca pokostem starożytniczym treść nieraz ogólną, kosmopolityczną. »Poezja XVII-go wieku przedstawia ten wiek o wiele wyraźniej, wydaje głębiej ducha jego, jest bardziej narodowa, niż poezja XVI-go wieku«. Inna rzecz, że naród i duch jego znajdowały się już w fazie upadku, że nietolerancja, fanatyzm, skłonność do przesądów i zabobonów, przy niskim poziomie oświaty stanowiły cechy wspólne całemu ogółowi szlacheckiemu.

Akademja Jagiellońska po świetnych swoich początkach już w drugiej połowie XVI-go wieku zaczynała obumierać, w wieku zaś XVII-ym zeszła do rzędu szkoły bez znaczenia dla warstw świeckich. Mogli się w niej byli jeszcze uczyć i przygotowywać kandydaci do stanu duchownego, o nauce jednak w sensie właściwym już mowy nie było. Wystarczy powołać się na fakt, że o odkryciach, dokonanych w dziedzinie nauk przyrodniczych przez Galileusza, Keplera, Newtona i in., w Krakowie nic nie wiadziało (prof. Pilat), że kłedy na zachodzie szerzyły się już systematy filozoficzne Kartezjusza i Spinozy, w Krakowie panowała jeszcze niepodzielnie filozofia scholastyczna, oparta na Arystotelesie.

Jednocześnie w połowie wieku XVII-go upadła z powodu braku funduszków Akademja Zamojska, a założona z końcem XVII-go wieku przez jezuitów przy współudziale Skargi Akademja wileńska nigdy właściwie nie wyrosła ponad poziom szkoły średniej. To samo dotyczy i założonej w r. 1661 przez jezuitów Akademji we Lwowie. Kto więc nie miał środków na to, aby kształcić się we Włoszech lub we Francji a chociażby w sąsiednich Niemczech, ten w kraju nauki wyższej zdobyć nie mógł.

Szlachta zresztą coraz mniej tej nauki pragnęła. Obchodziła się bez niej doskonale, smakując coraz więcej w dostatkiem, wygodnem życiu wiejskiem, w domu, gdzie nie brakło jada i napoju, aż doszła powoli do ideałów saskich, utrwalonych w przysłowiu: »Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa«.

W takich warunkach ogólnych zdawałoby się, iż na literaturę niema wcale miejsca, a jednak miejsce to było. Świadczy o tem cały poczet pisarzy, z których wprawdzie żaden nie zasłużył na miano wielkiego, którzy jednak uratowali honor swojego wieku.

Wdzięczność za to należy się przedewszystkiem dwu braciom Zimorowicom, Szymonowi i Bartłomiejowi, którzy stoją jeszcze obaj na pograniczu wiekiem złotym, tak dalece, że wielu historyków literatury Szymona zwłaszcza zalicza bez zastrzeżeń do tego okresu.

Nie możemy jednak uznać tego za słuszne, choćby z tego względu, że twórczość poetycka Szymona nie da się ściśle odłączyć od twórczości Bartłomieja.

Zimorowice przyszl na świat we Lwowie, w rodzinie mieszczańskiej Ozimków. Właściwie też powinni się byli zwać Ozimkowicami. Zmienili jednak nazwisko rodowe na ładniej według nich brzmiące: prawdopodobnie Zimordzice, skąd później Zimorowice. Ojciec ich Stanisław, był z zawodu majstrem murarskim, chętnie, jak stwierdził na podstawie swoich pracownych poszukiwań archiwalnych dr. Kornell Heck, »powoływanym do współudziału przy budowie domów prywatnych

i publicznych«. Nazwiska panieńskiego ich matki, Katarzyny, nie znamy.

Oboje Ozimkowie wyznawali religję rzymsko-katolicką, wszelkie przeto »baśnie o ich pochodzeniu ormiańskiem polegają tylko na mylnem pojmowaniu końcówki »wic«, która służyła jedynie do bliższego oznaczenia imienia ojcowskiego i nie była wcale wyłączną własnością Ormian polskich« (dr. Heck).

Pierworodnym synem tego stadła był Bartłomiej, urodzony dn. 20 sierpnia 1597-go roku. Po nim dopiero następowały siostry, Agnieszka i Teresa, poślubione później piekarzom lwowskim, Wrzeszczowiczowi i Gawłowskiemu, wreszcie czwartem z kolei dzieckiem był Szymon, urodzony w r. 1608-ym. Rodzeństwo nie było więc zbyt liczne, a że w domu panował względny dostatek, przeto »Ozimkowie postanowili dzieci swe kształcić i zapewnić im lepszą niż sobie przyszłość«.

Bartłomiej i Szymon uczyli się zatem w szkołach lwowskich, prawdopodobnie w szkole katedralnej, na której poprzestali, niema bowiem dowodów na to, aby który z nich pobierał dalsze nauki w konwikcie oo. jezuitów albo w Akademji Krakowskiej, a chociaż Szymon przez czas jakiś bawił w Krakowie i tam przedwcześnie stracony chorobą piersiową, w młodzieńczym jeszcze wieku umarł (21-go czerwca 1629 r.), to jednak uczniem Akademji Krakowskiej, jak to ustaliły najnowsze badania, nie był, natomiast zajmował tam skromny urząd podpiskacza czyli podpisarza w urzędzie ławniczym, idąc torem starszego brata, który zaznajamiał się z prawem miejskiem i ustawami krajowemi w drodze praktycznej, w kancelarji wpływowego wówczas we Lwowie pisarza, Alberta Zimnickiego. Oba bracia sposobili się więc do zawodu palestrantów sądowych, co podówczas pociągało ku sobie zarówno młodzież szlachecką, nabierającą biegłości w prawie przy trybunałach, jak i młodzież miejską, przepełniającą kancelarje pisarzy czyli notariuszów sądów miejskich w charakterze t. zw. podpisków. Dla ludzi zdolnych i obrotnych była to droga nie tylko do

dobrobytu, ale i do wysokich często godności w mieście, co też Bartłomiej istotnie czasem osiągnął. Co do Szymona, to śmierć przedwczesna dążeń jego przekreśliła, pozostawiając nam po nim, jako jedyną krótkiego życia pamiątkę, zbiór wierszy p. t. »Roksolanek to jest ruskie panny, na wesele B. Z. z K. D. przez Simeona Zimorowica R. P. 1629 dnia 18 lutego we Lwowie wprowadzone«.

Utwory te, pisane w różnych czasach i mające charakter przeważnie erotyczny, sztucznie tylko przez wspólny tytuł w jedną całość związane, chory podówczas i dogasający w Krakowie Szymon miał ofiarować bratu Bartłomiejowi na wesele jego z Katarzyną Duchnicówną (z K. D.). Bartłomiej przechowywał je przez lat 25, jako pamiątkę rodzinną, poczem dopiero w r. 1654-ym »światu je świeżo pokazał« wydając w Krakowie.

Wszystko to podał w wątpliwość prof. Heck, wyrażając przypuszczenie, że nie Szymon, ale sam Bartłomiej był autorem »Roksolanek«. Stąd powstał nierozstrzygnięty dotychczas spór i kwestja, czy historia literatury ma mieć do czynienia z jednym czy z dwoma Zimorowiczami? Dowodów dostatecznych ani na jedną ani na drugą stronę niema, można przeto zupełnie dowolnie zajmować jedno lub drugie stanowisko, równie dobrze bowiem mógł Bartłomiej otrzymać od Szymona rękopis »Roksolanek«, jako dar ślubny, co było we zwyczaju, jak i własne swoje utwory wstydliwie pod imieniem brata ukryć, zwłaszcza, iż były to utwory erotyczne, mniej licujące z jego stanowiskiem społecznym i wiekiem, liczył bowiem w chwili wydania »Roksolanek« 57-y rok życia.

Jedynym argumentem, rozstrzygającym tę niepewność, mogłaby być wybitna różnica indywidualności poetyckich obu braci, odmienny charakter ich poezji, »mała ale własna szklanka« każdego z nich. Niestety — i tu krytyka jest bezsilna, są bowiem między braćmi różnice, ale nie brak i podobieństw, potwierdzających domysł prof. Hecka.

Wyluskując różnice, jako w danym wypadku ważniejsze i ciekawsze, zatrzymać się przedewszystkiem musimy na dwóch cechach, dla utworów, zawartych w »Roksolankach« charakterystycznych. Cechy te stanowią: rzadka dotychczas w poezji polskiej zmysłowość, ujawniana dość śmiało, i również rzadki, nie licujący z ówczesną ochotą do życia, pesymizm.

Te właśnie cechy przemawiają za autorstwem Szymona, z jednej bowiem strony zmysłowość jest pospolitą cechą młodzieży, dotkniętej gruźlicą, (Szymon prawdopodobnie chory był na suchoty); z drugiej — pesymizm rodzi się łatwo w duszach, które mają świadomość bliskiego odlotu. Człowiek silny, zdrow, pełen powodzenia i zabierający się do stanu małżeńskiego, jak to czynił wówczas Bartłomiej, nie miał powodu do rozpacz, do znieszczenia, do rozpamiętywań w duchu i stylu Eklezjasty Salomonowego.

Wątpliwą też jest rzeczą, czy z pod pióra Bartłomeja mógł wyjść taki utwór, jak zamykająca trzeci chór panieński pieśń Halcydis:

»Mądrość jest nad mądrościami
Widzieć śmiertelną za nami
Pogonią, która wyroki
Mieci na świat bez odwołki.

Jako z pędem na dół wali
Wiatr skalę, którą obali;
Tak się nasze przerywają
Lata, kiedy koniec mają.

Jako z cięciwy wypada
Strzała, a wichur nią włada:
Tak nas, tak nasze nadzleje
Śmierć współ z prochem rozwieje.

A kto się rozbraci z światem,
Wszystkie jego sprawy zatem
W niepamięci ponurzone
Ludziom nie będą wspomniane.

Właśnie jako kiedy morze
Okręt wielkim gwałtem porze,
Skoro ujedzie, by znaku
Nie znać jego najmniej ślaku.

Marność jest nad marnościami
Świat ten z swoimi pompami:
A przede ludzi tak wiele
Każe nań hardzie i śmiecie.

Natomiast taka właśnie pieśń na znaną melodię *vanitas vanitatum* z łatwością mogła być rzuconą na papier przez młodzieńca, usychającego z wolna, więdnącego »cichuchno, jako letnie siano, które straciła ze pnia ostrosta porano« (Ukochanym oblubieńcom B. Z. z K. D.), przeczuwającego bliski zgon i wiedzącego do brze, iż wszystkie wysiłki zatrzymania uciekającego życia są daremne:

»Albowiem w pół zaczętej drogi
Wściekła Lachezis kosą podcina mu nogi
I pierwszej w niepamiętnym chce go kąpać zdroju,
Niżby wiekopomnego skosztował napoju.«

A leżącego tak w bezwładzie młodzieńca, który za ledwie dwudziestą pierwszą wiosnę przeżywał, mogły przecież nawiedzać tęskne pragnienia. Jeżeli był poetą, jeżeli miał wyobraźnię żywą, a do tego podnieconą jeszcze gorączką, mógł w usta Symnozyna wkładać własne swoje słowa, z własnych zrodzone uczuć i bezpośrednio z głębin duszy i serca wołać:

»Thelegendo! Tyś boginią ulubłą,
Która się w morzu burzliwym urodziła
I samaś morze, skądże na moje zniweczenie
Bierzesz płomienie?

Z oczu twych jasne płomienie wypadają,
Te spróchniałe kości we mnie podpa-
[lają:

Te mnie pieką okrutnie mojemż żądzami,
Jako świecami.

Wierzę, kiedy ciało moje próżne duszy
Robak podziemny swym zębem w proch
pokruszy:

Skoro na mnie ognistym pojrzysz twojem okiem,
Ożywię skokiem.

Mógł wprawdzie i Bartłomiej, jako poeta wcielać się w duszę brata i jego uczucia wypowiadać, ale czemu wytłumaczyć taką mistyfikację, jak dedykowanie »Roksolanek« ukochanym oblubieńcom B. Z. z K. D. Dla kogo i dla czego to było potrzebne? Tego nikt nie wytłumaczy w sposób dostatecznie przekonujący i dlatego dowody, wysunięte przez prof. Hecka, a czerpane głównie z tekstu Sielanek, chwieją się i pozostawiają kwestję w dalszym ciągu otwartą.

Prawda leżeć tu może pośrodku. Szymon mógł pisać wiersze, idąc za przykładem starszego brata, który dość wcześnie zaczął się piórem zabawiać, mógł włączyć także napisane rozmaitemi czasy utwory zebrac w jedną całość, spisać je wspólnym tytułem i, umieszczając na czele odnoszący się do ślubu wiersz p. t. *Dziwosłab*, przesłać rękopis oblubieńcom. Następnie po latach 25-ciu kiedy Bartłomiej, dobiegłszy poważnego wieku męskiego i zdobywszy poważne w rodzinnym mieście stanowisko, oddawał ów rękopis do drukarni »Wdowy i dziedziców Franciszka Cezarego, J. K. M. typografa«, mógł dołączyć do niego swoje własne juvenilia, wydobyte ze skrytki z pamiątkami, a wdzając, że niebardzo te utwory odpowiadają powadze burmistrza królewskiego, którym był od r. 1648-go i wdowca, bo właśnie na krótko przedtem w r. 1653-im odumarała go była po 24-letnim pożyciu Katarzyna Duchnicówna — wydał je pod nazwiskiem brata.

W ten sposób »Roksolanki« byłyby wspólnym utworem obu Zimorowiców, co zaś tam do którego z nich należy, to już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Nie usiłując tajemnicy tej rozwikływać, przyjrzyjmy się bliżej poematów.

Na początku, jak już wiemy, występuje *Dziwosłab*, który przedstawia się, jako przyrodni brat *kupl-dyna* (streszczenie prof. R. Pilata), rozwodzi się szeroko nad miłością i stanem małżeńskim, podając przykłady rozmaitych par zakochanych z mitologii, i nareszcie składa nowej parze oblubieńców życzenie szczęścia, powodzenia, oglądania wnucząt i nawet żywota niebieskiego. Potem zwraca się do chóru panien i młodzieńców, których przywodzi z sobą i każe im śpiewać pieśni, w ten sposób, że kolejno śpiewa jedna panna za drugą (jest ich 18); potem następuje chór młodzieńców (jest ich 31), a nareszcie drugi chór panieński (20). Imlona dziewic i młodzieńców, które służą zarazem za napisy pieśni, są w znacznej części klasyczne lub obce: *Pneumella*, *Pomozja*, *Lanerula*, *Muglinda*, *Heliodor*, *Hilarjon*, *Hippolit*, *Narcissus* i t. d. obok tego jednak także i swojskie: *Daniło*, *Ostafi*, *Tymon*. Prócz *Dziwosłaba* mamy tu razem 69 drobniejszych wierszy. Treść ich jest w znacznej części erotyczna; kreślą rozmaite przygody miłosne, zawierają wyznania uczuć sercowych, zalety, zapewnienia wierności, narzekania na brak wzajemności, skargi na zdradę i t. d., ale są także takie, które nie mają nic wspólnego z miłością (wiersz o zadowoleniu ze swego losu, wiersz do słońca i t. d.). Pod względem formy przeważają tu sielanki, nie brak jednak ód i elegji. »Znaczenie i wartość »Roksolanek« — mówi prof. Pilat — polega, podobnie jak *Sielanek* Szymonowicza, nie tyle na treści, na pomysłach, ile na wykonaniu artystycznym i formie.«

Treść — przynajmniej w znacznej części — nie jest oryginalna, ale przejęta z innych autorów, niekiedy parafrazowana, w najlepszym razie zasilona obcemi pomysłami. Z wzorów korzystał poeta rozmaicie, już to przekładając je wiernie (np. *Owidjusza*), już to przejmując myśli, obrazy i porównania; często rozwijał szerzej myśli wzorów klasycznych i dodawał własne pomysły. Niekiedy te reminiscencje z wzorów klasycznych są zaledwie dostrzegalne. Nie trzeba więc brać tej zawistości względem obcych autorów za naśladownictwo niewolnicze, aczkolwiek niepodobna nie mówić o tem.

Za to — »wykonanie t. j. schwycenie treści i nadanie jej odpowiedniego kształtu zewnętrznego, układ i forma tych wierszy, mają rzeczywiście wiele zalet niezaprzeczonych«. »Te drobne wiersze i wierszyki — pomimo treści w znacznej części zapożyczonej — kończy znakomity historyk poezji tego okresu — odznaczają się niezwykłą pięknnością kształtów poetyckich, misterną kompozycją, wykwintną budową wiersza i ślicznym językiem, pełnym słodyczy, miękkości, delikatnego wypieszczenia« — dodajmy jeszcze, jako argument na rzecz autorstwa Szymona, że język ten przewyższa temi właśnie zaletami język Sielanek Bartłomieja, że istotnie należy on jeszcze jakby do złotego wieku i nie ma nic wspólnego z przesadą barokową, natomiast wiele posiada cech pokrewieństwa z mistrzostwem poetyckiem Kochanowskiego i Szymonowica.

Na tej podstawie »Roksolanki« zaliczyć należy do najwybitniejszych utworów poetyckich doby, w której powstały.

Zobaczmy teraz, jak wygląda znacznie obfitsza, na lata długiego żywota rozciągnięta twórczość poetycka Bartłomieja Zimorowica, autora »Sielanek nowych ruskich«, idącego »Symonidowym nieodstępnym śladem«.

Zaczął Bartłomiej pisać wcześnie. Ot, poprostu, jak to bywa, spotkał na swojej drodze jakąś urodliwą dziewczynę, jakąś piękną mieszczkę lwowską i gorącym zapłonął ku niej afektem. Ten afekt stał się pierwszym źródłem jego poezji. Został, jak sam przyznaje, »rymodziejem zgoła po warkoczu«.

»Słyszac przy godownicznych stołach trefne noty« (spowiada się w sielance II Trużenicy przez usta Miłosza)

»Pojąłem kilka wierszów dość prostej roboty;
Te ustawicznie w głowie jęły mi się marzyć,
Żem się też im podobnych pokusił kojarzyć;
A gdym je w osobności długo w nocy klecił,
Kupido mi niewielki małą główką świecił

I tą podpalił chcący czyli nieobacznie
Żagiew, która już tłała w sercu mem nieznacznie:
Żagiew gorących chęci pełną z przyrodzenia,
Z lada iskry podniety bliską i płomienia;
Dopiero (jako gdy kto do skrytej ciemnicy
Przyniesie niespodzianie zapaloną świecę)
W głowie mi zajaśniało, żądze zapalone
Rozświeciły się; oczy, zrzuciwszy zasłonę,
U jednego dziewczęcia lichego na czele
Wyczytały do wierszów służące fortele:
Wargi jej Hypokrenem nieprzebranej wody,
Parnasem zdały się być rozkwitłe jagody
I tak, gdy jej pilnuję, swych nie strzegę oczu,
Zostałem rymodziejem zgoła po warkoczu.
Choć na mnie nie kładziono wawrzynowych bobków,
Powiązałem niemało wierszów, jako snopków,
Zwłaszcza kledym co w lesie świeżego wymyślił,
Natychmiastem po bukach i osikach kreślił,
Które potym, niżeli oczu ludzkich doszły,
Chropawą skórą kryski wycięte zarosły,
A wołowcy, mniemając, że to stare Muzy
Abo pasterz wyrzezał mądry z Syrakuzy,*)
Jako wyborne pisma z radością czytali,
Potym je między wami, śpiewając, rozslali.

Zakochany poeta, jak świadczy jego biogram, lubił życie wesole. Dogadzało to jego usposobieniu. Obdarzony dowcipem i humorem, był ulubieńcem swoich towarzyszy i niejednokrotnie zabawiał ich zapewne przy stole a d h o c ułożonym wierszem.

»Wszystkie te pieśni, tak miłosne, jak i przy »godownicznych stołach« utworzone — mówi dr. Heck — podobają się nadzwyczaj współczesnym, skoro poeta, choćby nawet ze znaczną przesadą, może włożyć w usta jednej z osób, występujących w jego sielankach, takie słowa:

» « Nie masz tego słowa,
Nie masz biesiady ani ślubnego obiadu,
Kędyby nie śpiewano pieśni twego składu.

*) Teokryt

Odzywają się w starych i nieletnich ustach,
A nawet pastuszęta po gęstych zapustach,
Pasiecznicy po borach, owczarze w koszarach
Najczęściej na dutkach grają i fujarach!...

Zupełnie to możliwe, że drobne piosnki Bartłomieja cleszyły się takim powodzeniem, sądząc bowiem z usposobienia poety, musiało w nich być dużo pierwiastków erotycznych i tej swobody, z jaką młodzież zwykle o sprawach miłości mówi. Ale do nas te pieśni nie doszły. Natomiast przechowały się z tych czasów trzy większe utwory poety o zgoła innym nastroju. Powstały one z materiału, którego dostarczyły mieszkańcom Lwowa pamiętne lata 1619—1623.

»Najpierw — opowiada dr. Heck, któremu zawdzięczamy wyczerpujący życiorys Bartłomieja — w roku 1619-tym ciągnęli przez Lwów sławni Lisowczycy, których król polski Zygmunt III-i wysłał był na pomoc cesarzowi Ferdynandowi II-lemu podczas wojny trzydziestoletniej (1618—1648).

Założycielem tego oddziału był Józef Lisowski, szlachcic z Pomorza, walczący po stronie obu Dymitrów w czasie równie pamiętnej wyprawy moskiewskiej, kiedy to nadzieja łupu wabiła z Polski chmary awanturniczego żołnierza, plądrującego i niszczącego przestronne carstwo północne. Lisowski zebrał podówczas około 10,000 jeźdźców i na czele ich przebiegał wzdłuż i wszerz Moskwę, niszcząc i rabując głównie dla własnej korzyści. Wspólność celów zebranych tu razem niespokojnych żywiołów, tudzież wspólność trudów i niebezpieczeństw razem przebytych, sprawiła, że oddział nie rozwiązał się po śmierci Lisowskiego, lecz przyjąwszy od swego założyciela nazwę Lisowczyków lub Kozaków Lisowskich, obrał sobie innych dowódców i szerzył dalej dzieło zniszczenia, rzekomo w imię i w obronie wojsk polskich. Ci to Lisowczycy szli z całym swoim taborem przez Lwów w r. 1619-tym i dali możność naszemu poecie, aby się im przypatrzył i dokładniej poznał ich zwyczaje i obyczaje. Wynikiem tej naocznej obserwacji, a nadto i rezultatem tego, co się

ustawicznie słyszało o niepożytem męstwie i niebywalej drapieżności Lisowczyków, był poemat Zimorowica p. t. »Żywot Kozaków Lisowskich a także i powieści ich szczęśliwe wydany roku pańskiego 1620«.

Zimorowic — czytamy dalej u dr. Hecka — nie doznał od Lisowczyków żadnej ciężkiej krzywdy, aby na nich miał złość swoją wylewać, a równocześnie przypatrzył się im z nadto dobrze i żył jeszcze pod zbyt świeżym wrażeniem wiadomości o ich drapieżnym, by miał wynosić pod niebiosa ich brawurę i być ślepym na przywary. On tych junaków, doniedawna jeszcze niezwykłą aureolą otoczonych, musiał raczej pojąć ze strony komicznej i śmiesznej, z powagą obrońców wiary i ojczyzny nie licującej, do której Lisowczycy niemało mogli mu dostarczyć barw, tak swoim kosterstwem i hulaszczem życiem, jak niedbałością o wygląd zewnętrzny i skłonnością do kradzieży i przesadnych pochwał. To też Żywot Kozaków Lisowskich mógł zostać tylko tem, czem jest rzeczywiście, t. j. poematem częściowo satyrycznym, a częściowo humorystycznym.

Zaraz na wstępie, na odwrotnej stronie karty tytułowej spotykamy drzeworyt, który nibyto herb Kozaków Lisowskich ma przedstawiać, a równocześnie bliżej określa stanowisko zajęte przez Zimorowica w poemacie. Na drzeworycie tym widzimy Lisowczyka, siedzącego na beczce i obejmującego prawą ręką naczynie w kształcie garncowej blaszanki z otwartą pokrywą, a lewą przychylającego do ust kufel widocznie jakimś ognistym płynem napełniony. Po prawej jego stronie stoi bożek wojny, Mars, podobny do towarzysza pancernego, z tarczą w prawej ręce, ze strzelbą w lewej i z szablą przypasaną do boku, po lewej zaś stronie bogini miłości, Afrodyta z Cypru, okryta suknią zlekka narzuconą, trzymająca w lewej ręce strzałę, a w prawej serce, ogniem palające.

Poniżej w przygrywce wstępnej czytamy następujące wiersze:



»Oto, zacni junacy, pobratyma macie,
Na baryle siadł sobie, jako w majestacie.
Mars, stoł, jako Giermek, dodaje mu rady,
Żeby się miał do wojny częstej i do zwady;
Arcyksężna zaś z Cypru rozkoszy mu chwali
I ogniem przeraźliwym serce jego pali.
On na to czyli nie dba, czyli być upitym
Woli, niżli wszetecznym abo więc zabitym,
Spytajcież go samego. Ja o tem nie mówię;
On wam, skoro ten kufel spełni, wnet odpowie.

Tego ironiczno-humorystycznego tonu, w jaki od-
razu na wstępie uderzył, nie zmienia poeta i w dalszych
czterech pieśniach. Zaczawszy poemat dowcipnie, nibyto
na wzór Eneidy:

»Mężów walecznych śpiewam, których Mawors krwawy
Z diamentu ukował dla swojej zabawy,
Wlawszy na nie potyczki i gęste zwycięstwa,
Dziedzicami poczynił je swojego męstwa« —

walczy dalej humorem i ironją nieomal aż do końca,
kreśląc równocześnie ważniejsze Lisowczyków przywary
drastycznymi i pełnymi komizmu barwami.

Krótki ten poemat, nie przenoszący 182 wierszy, pi-
sany musiał być doraźnie, od ręki, w pośpiechu, jakiego
wymaga chwila, stąd, jak słusznie stwierdza prof. Heck,
»układ i środki, których poeta używa są nader proste«.
Nie brak tu jednak zwrotów dosadnych i dowcipnych,
charakteryzujących poetę i epokę.

Swobodę myśli, jaką Bartłomiej Zimorowicz okazał
przy pisanu Żywota Kozaków Lisowskich —
opowiada dalej jego biograf — przerwał szcęk oręża
i odgłos walki, jaka w r. 1620-tym i 1621-ym rozegrała
się pod Cecorą i Chocimem.

Owocem tych przeżyć był drugi młodzieńczy utwór
Bartłomieja p. t. »Pamiętka wojny tureckiej,
w r. 1621 od polskiego narodu podniesionej
i szczęśliwie za łaską i dobrodziejstwem
miłego Boga dokonanej, odnowiona i do
druku podana w Krakowie 1623 r.«.

Autor naśladuje tu wyraźnie »Proporzec« Kochanow-
skiego. W szumniejszych tylko i przesadniejszych od
poety czarnoleskiego wyrazach kreśli wypadki chronolo-
gicznie, dzień za dnem, przyczem, jak przypuszcza dr.
Heck, korzysta widocznie z jakiejś pisanej relacji lub na-
der szczegółowego opowiadania świadków naocznych,
skoro umie oznaczyć, kiedy i którego dnia poległ boha-
terską śmiercią każdy z rotmistrzów lub znakomitszych
towarzyszy. Taki kronikarski sposób przedstawienia nie
nada się do poematu epicznego. Wśród powodzi na-
gromadzonych szczegółów zasługuje na korzystne wyróż-
nienie jeden tylko ustęp, opiewający wycieczkę Tatarów
z pod obozu chocimskiego na Podole i Ruś Czerwoną.
Historja nas poucza, że Tatarzy uprowadzili wtedy w ja-
syr wiele brańców i branek. Świadomość tego porusza
żółć gniewu w poecie, potęguje natchnienie i wydobywa
dość ostrą skargę, której wyrazem są następujące
wiersze:

»To żalosna nad wszystko: Kańtymir z Podola
Na kamienieckie wraca kosz tatarski pola.
Niestetyż! Kto tu może suchem pojrzyć okiem,
Patrzając, jako gościńcem pohaniec szerokim
Pędzi ruskie czerechy, a w który kąt wpada,
Zajmuje niepochybnie wychowale stada.
Pędzi przestronym szlakiem czabany rogaty,
Pędzi owce wypasłe i capy brodate.
Tymczasem się osady zapalone kurzą
I sioła i miasteczka małe przed tą burzą,
Ani świątynie pańskie w całości zostają,
Bo i dwory ziemiańskie i chłopskie gorają
Zagrody. Ej, cny Lachu! jako takie szkody
Cierpisz? Zbójca nikczemny pustoszy twe grody,
Twą majątność dziedziczną, ojczyznę twą pali!
Ojciec i matka twoja od pogańskiej stali
Ach! umiera! Dziatczek twoich krwią niewinną
Napawa swe oręż; ozdobę dziecinną
Cór twoich ukochanych wespolek z twą żoną
Na zelżywość i hańbę pędzi nieskończoną.

Co rzeczesz? jeżeli cię gniew słuszny nie ruszy,
Gdy twe serce jedyne, gdy twojej część duszy,
Gdy twoją krew i orszak domowej czeladzi
Ples plugawy do wlecznej niewoli prowadził.
Teraz, o teraz, powstań! a za takie szkody
Jakiej możesz, żelazem dziś dochodzi nagrody.

W tym samym roku, co »Pamiętkę wojny tureckiej« wydał Bartłomiej trzeci z kolei swój utwór p. t. »Testament luterski żartownie napisany« (Kraków 1623). Pobudką do napisania »Testamentu«, oprócz ówczesnych wojen i swarów z protestantami, była uroczystość, którą w r. 1622-łm urządzili oo. jezuiti z okazji ogłoszenia dwu nowych świętych: Ignacego i Ksawerego. »Przez ośm dni podówczas, od 19-go do 26-go czerwca, odprawiano uroczyste procesje wśród odgłosu trąb, okrzyków młodzieży szkolnej, wystrzałów z 80-ciu armat i moździerzy, puszczano niezliczoną ilość ogni sztucznych, urządzano przedstawienia sceniczne, zapasy i gonitwy i palono wreszcie manekiny rozmaitych kacerzy, przyczem odpoczywały wszystkie pracownice i były zamknięte wszystkie sklepy«. Na tak wielką skalę urządzona uroczystość — mówi Heck — musiała wrazić się głęboko w duszę Zimorowica i podniecić jego żarliwość religijną. Wymierzył więc piórem atak na protestantów, namiętny i gwałtowny, o którym dobrego przekonania nabrać nie możemy. Zwroty humorystyczne, upstrzone zelżywymi wyrazami, mają tu działać na czytelnika mocą sprzeczności z zasadami wiary katolickiej i zwyczajami każdego prawego chrześcijanina, atoli wrażenia właściwego nie wywierają, bo grzeszą nieprawdopodobieństwem i zbyt wielką przesadą.

Na wyróżnienie zasługuje jedynie wizerunek djabłów, jak ich sobie młody Zimorowic wyobrażał. Djabyły te są wesole i śmieszne: czarnej barwy, z ogonem, o dwu lub więcej rogach, lubią wino, wznoszą przy uczcie toasty na cześć »djabłowic«, wchodzą z ludźmi w przymierza, pojedynkują się z nimi i mogą zatonać lub zamarz-

nać, jak każdy śmiertelnik. Takie same djabyły do dzisiaj żyją w fantazji ludu polskiego.

Utwory te, acz nie może być mowy o ich wartości artystycznej, uczyniły jednak nazwisko Zimorowica popularnem. Znał go cały Lwów piśmienny, a wziętość jego u współobywateli rosła szybko. Przyszły wreszcie lata żniwa tej popularności, lata zaszczytów i wysokich godności miejskich. W r. 1640-ym Bartłomiej zostaje po śmierci Alberta Zimnickiego pisarzem urzędu radzieckiego. W sześć lat potem wybrany na ławnika czyli członka sądu ławniczego, jest już prawdziwym dygnitarzem, a w r. 1648-ym otrzymuje godność rajcy czyli konsula i burmistrza lwowskiego.

»Odtąd — mówi dr. Heck — ten syn murarza i dawniejszy przedmieszczanin należy do nielicznej garstki patryjuszów miasta i, jako jeden z jego najwyższych dostojników, wpływa niepomalu na bieg spraw stolicy Czerwonej Rusi.

W tym czasie i pióro jego nabiera powagi. Przedewszystkiem zaczyna pisać po łacinie, jakby dla zaakcentowania, że oto wszedł do najświatlejszej warstwy narodu, dla której łacina ciągle jeszcze była językiem wyższym nad polszczyznę, językiem prawdziwej nauki i prawdziwej poezji.

Utwory te nie posiadają jednak większego dla nas znaczenia, chyba historyczny dla Lwowa panegiryk p. t. Vox leonis (głos lwa), napisany ku czci Władysława IV-go.

Z polskich dzieł poety należą do tego okresu Hymny na wszystkie, obchodzone przez Kościół, święta Bożarodzicy. Jest ich 12 + 6 pieśni kościelnych, śpiewanych bardzo często przy uroczystościach.

Są to — przypuszcza dr. Heck — prawdopodobnie przekłady z nieznanych nam bliżej oryginałów łacińskich, przekłady jednak »zaprawione na Psalmach Kochanowskiego i uszlachetnione krynicą wysokiego natchnienia i szczerzej, głębiej wiary. Tłumacz umiał się zawsze utrzymać na należytej wysokości i, unikając modnych, ale z duchem poezji niezgodnych wyrazów, wolał raczej

swój język zaprawić na dawniejszych, pierwszorzędných wzorach literatury polskiej. Nie od kogo innego też, ale od Kochanowskiego przejął porównanie i formę zwrotek i zawładnął niemi tak znakomicie, że i dzisiaj jeszcze czytamy z przyjemnością taką pleśń, jak »Na dzień Wniebowzięcia Panny Marji«.

Posłuchajmy tylko:

»Kto mi da plóra przeważnej orlicy,
Żebym się wzbiwszy do Boskiej stolicy
Mógł zajrzeć okiem: dzisiaj świętych Święta
Do nieba wzięta.

Widziałbym, jako w niepojętym gminie
Zabiegł drogę wielkiej heroinie
Jako Królową niebieską anieli!
Wdzięcznie przyjęli.

Albowiem duchów czystych młódź wesoła
Wszystkie swe hufy zebrawszy dokoła,
Przygotowała triumfy wszelakie
Na wejście takie.

Stanęły gwiazdy w szyku nieprzejrzanym,
Zorza się ogniem otoczyła ranym
Do tego księżyc, zapomniawszy blegu
Przybył szeregu.

.

Patrząc na usta jej wstydem okryte,
Górne żywioły stanęły, jak wryte,
Nawet obrotne nieba się zdumiały,
Gdy ją ujrzały.

Któraż to dusza ukochana Bogu
Wlecznych pałaców dostępuje progu?
Przed której twarzą śliczną gwiazdy z jasną
Jutrzenką gasną?

Która słoneczne zapaly z jasnością
Nocnej pochodni ęmi swoją światłością?
Której nad wszystkie Bóg daje stworzenie
Wyższe siedzenie?

Któraż to z ziemskich pustyń obłądliwych
Przychodząc, pełną rozkoszy prawdziwych,
Wspiera się na swym synu ulubionym,
Bogu wcielonym?

Tać to panienka, która dla głębokich
Cnót godna tronu w Empirze wysokich,
Którą z dwunastu gwiazd przednich złożona
Zdobi korona.

O matko nasza, Maryo, o pani!
Przez ciebie chwały dostali wybrani,
Przez ciebie łaski, że grzeszni doznamy,
Nadzieję mamy.

Jako burmistrz królewski, objął Bartłomiej rządy miasta w r. 1648-ym. »Wszystko — opowiada dr. Heck — zdawało mu się teraz uśmiechać, wszystko po myśli układać. Już jako ławnik rzucił się do handlu miedzią i innymi artykułami; majątek też jego rósł ustawicznie. Niestety, chwile zadowolenia i radości nie trwały długo.

»Z końcem kwietnia 1648 r. doszła do Lwowa wiadomość o buncie Chmielnickiego w połączeniu z Tatarami i o klęsce pod Żółtymi Wodami. W cztery tygodnie później rozeszła się wieść o śmierci króla Władysława IV-go, a prawie równocześnie i wiadomość o bitwie pod Korsunem i wzięciu do niewoli obu hetmanów koronnych: Mikołaja Potockiego i Marcina Kalnowskiego. Horyzont zasępił się bardzo. Bunt Chmielnickiego przybierał coraz większe rozmiary. Narazie jednak nikt jeszcze klęski nie przewidywał. Kozacy przecież tyle razy już powstawali, a zawsze ich zwyciężano. Włec i teraz, kiedy zakiępało w województwach ruskich, a szlachta gromadnie i strojno na wschód ruszyła, uspokoili się powoli umysły we Lwowie. Mieszczanie poczęli nawet marzyć o zyskach i gromadzili zboże dla zbierającej się na wschodzie armji«.

Dozór nad spichlerzami miejskimi i zakupnem zboża powierzono właśnie Zimorowcowi. Równocześnie jednak nadeszła wiadomość o przyspieszeniu sejmu elekcyjnego

z powodu wypadków, zaszytych na Ukrainie. Lwów, podobnie jak Kraków i Wilno, posiadał przywilej wysyłania na elekcję dwu posłów czyli t. zw. internuncjusów, którzy wraz z szlachtą głosy na nowego króla oddawali. Rajcy lwowscy wysłali do Warszawy Zimorowica i Marcina Nikanora Anczewskiego. Dn. 17-go listopada Bartłomiej oddał swój głos na Jana Kazimierza.

»Tymczasem we Lwowie rzeczy przybrały odmienny i niespodziewany obrót. Zamiast zwycięzców nadbiegli sromotnie 27-go września w dzikim popłochu uczestnicy nieszczęsnej wyprawy pilawieckiej, między nimi i sam książę Jeremi Wiśniowiecki. Zamiast radości trwoga i przestrasz zapanowały zkoł w spokojnem mieście.

Lwów przeszedł ciężkie koleje czasu wojen kozackich. Trzeba to sobie uprzytomnić, aby zrozumieć powstałe w tych czasach, a posiadające dzisiaj dla nas wartość dokumentu, dwie pieśni Zimorowica p. t. Burda ruska i Kozaczyzna. Poeta daje w nich realny obraz spustoszenia, dokonanego przez »hałastrę zadnieprską« — jakże bliski tego, na co patrzyły oczy pokolenia współczesnego w Galicji wschodniej:

»Żaden kąt od pogańskiej i chłopskiej nawały
We wszystkiej Rusi zdrowy nie został i cały.
Skryte tajniki, lochy, pleczary tajemne
I głębokie zmacano wnętrzości podziemne:
Już to przez zabobony, gusła rozmaite,
To przez próby i pytki nader wyśmienite,
Zbadano utajone po jamach chudoby,
Nawet zmarłych odkryto nieboszczyków groby,
Trupów, ropą ociekłych, przebutwiałych drugich
Odarto wespół z skórą zgniłą z koszul długich.
Nie inaczej, jak stado paskudnych świń z głodu,
Kiedy płot rozrzucawszy, wpadnie do ogrodu,
Pyrcia, biega, wierci się, pyskiem ryje wszędy,
Aż wywróci nogami wzgórze wszystkie grzedy.
Tak hałustry zadnieprskiej skożaczane tłumy
Kraj ruski obróciły w perzyny i runy

.

Do takiej im roboty i nleżnośnych zbrodni
Duchowni pomagali, wspomnienia niegodni,
Prawie, aby nas żywcem i całkiem pożarli,
Samego piekła na nas paszczękę rozwarli.

albo w innem miejscu:

»Skoro to ustąpiło łotrowskie mrowisko,
Pokazało się oczom smutne widowisko:
Przedmiejskie spustoszone pożarem osady,
Splondrowane folwarki, okopcałe sady.
Gdzie przedtem budynkami ozdobne ulice
Stały, kędy ogrody były i winnice,
Wszędzie pustki okropne, straszne obaliny,
Wszędzie ruiny okryły i gęste perzyny.
Nie było miejsca, gdzieby pobitego chłopca
Nie leżało kupami, jak na łożu snopca:
Tu widać ciał niedawno pobitych mogiły,
Tu z trumien wyrzuconych trupów stós przegniły;
Z tych przeprawy na błotach, pomosty przez drogi
Porobił odjeżdżając nieprzyjaciół srogi.
Żaden z mieszkańców nie był przedmiejskich, któryby
Wysledził w lochu skrytym żywo bez pochyby.
Ci tylko, którzy wcześniej do miasta zabiegli,
Na ten czas z placzem swoje majątności grzebli,
Ale i tym psi długo nie dali się bawić,
Którzy się zewsząd zbiegli ścierwy one trawić,
Bowiem zasmakowawszy martwe ciała sobie
Na żywe napadali ludzie w onej dobie«....

Niczego tu nie brak z Goy'owskiej grozy wojny,
jednakowej po wszystkie czasy i niczem nieróżnej od
tego, co przeżyły przedmieścia Lwowa podczas walk
z hajdamakami w r. 1918 i 1919-tym.

Głębokie wstrząśnienia, jakim na widok tego, co
działo się wówczas we Lwowie i jego okolicach, uległ
poeta, były dopiero początkiem jego utrapień i do-
świadczeń.

Były to czasy sienkiewiczowskiego »Potopu«. Szwedzi,
Moskwa i Kozacy pustoszyli Polskę, a Lwów znalazł

się rychło po raz drugi w niebezpieczeństwie. Wówczas Zimorowic uszedł na Węgry, skąd powrócił dopiero w r. 1655-tym, po ustąpieniu Chmielnickiego.

Był już wówczas po raz drugi wdowcem. W roku 1653-cim, podczas grasującej we Lwowie zarazy odumarała go Katarzyna Duchnicówna.

Zgon jej oplakał poeta szczerze w sielance p. t. »Fi-loreta«:

»O czasy, o uciechy, o godziny lotne!
Prędkościę mię odbiegły, jako sny niezwrotne,
Prędkościę upłynęły, nie prędzej szalona
Rzeka cwałem ucieka do morskiego łona.
Nie inaczej na wiosnę lękliwa ptaszyna
Gdy gniazdo swym wnuczętom wyściełać poczyną,
Jeżeli na nie puhacz uderzy z wysoka,
W zawód od swej roboty pierzcha, wmguleni u oka;
Takeś mi uleciała, ptaszyno lubieżna,
Skoro natarła na cię Lachesis drapieżna,
Zostawiwszy po sobie ból serdeczny z płaczem,
Uczyniłaś mię w domu swym własnym tułaczem,
Bo nie mogę w nim należeć tak tajemnej gruby,
W którejby mnie nie znalazł frasunek nieluby,
Owszem, z każdego kąta każdego tajnika
Nowa boleść, świeży żal serce mi przenika;
Gdzie pojrzę, wszędy pustki okropne i, zda się,
Że nie w domu mym mieszkam, lecz w celnym
[tarasie.

Pomimo tego nieklamanego żalu Bartłomiej ożenił się wkrótce po raz drugi w r. 1654-tym z Zofją Zacharjaszówną, którą stracił w 11 miesięcy po ślubie. W dwa lata później pozyskał rękę Rozalii Złotorowiczowej, która zmarła w r. 1661-ym. Potem jeszcze ożenił się z Krallówną i, znowu owdowiawszy, na schyłku życia zawarł jeszcze po raz piąty ślub małżeński z wdową Katarzyną Krupińską.

Małżeństwo z Złotorowiczową wpłatało Zimorowica w procesy i niemiłe zajścia rodzinne, co mu zatruło spokój ostatnich lat. Umarł dnia 14 października 1677-go roku.

Do utworów, wydanych w tym długim, prawie trzydziestoletnim okresie, który obok utrapień przyniósł mu także wysokie zaszczyty miejskie, należą przedewszystkiem »Sielanki nowe ruskie różnym stanom dla zabawy teraz świeżo wydane przez Simeona Zimorowica Leop. Roku pańskiego 1663«.

A więc nie pod własnem, ale pod imieniem zmarłego brata, co przez długi czas bałamuciło historyków literatury, zanim August Bielowski dowiódł, że »Sielanki« nie mogły wyjść z pod pióra Szymona, skoro w 15-tej i 16-tej mowa jest o oblężeniu Lwowa w r. 1648 t. j. o czasach i wypadkach, które nastąpiły w 19 lat po śmierci Szymona.

»Sielanki« są zbiorem utworów, powstałych w rozmaitych czasach. Jedne z nich, jak dowiódł dr. Heck, sięgają jeszcze lat młodzieńczych i pisane były przed poślubieniem Katarzyny Duchnicówny, inne natomiast powstały podczas piastowania kolejno godności pisarza, ławnika i rajcy, gdy poeta uspokoił się już po stracie dzieci z pierwszego małżeństwa i mieszkał w ulubionej swojej »winnicy« albo i jeszcze później.

»Tak odmiennym warunkom i okolicznościom powstania — mówi dr. Heck — odpowiada i nadzwyczajna różnorodność treści, za przykładem i wzorem sławnego rzymskiego poety, Wergiljusa Marona, który w swoich Bukolikach czyli Eklogach, obok idylli, naśladowanych z Teokryta, najznakomitszego z sielankopisarzy greckich, pomieścił także wspomnienia z własnego życia i pieśni poważne, do sielanek w niczem niepodobne. Również i w »Sielankach« Zimorowica, obok pieśni przełożonej wprost z rzymskiego wieszczą Owidjusza (Zazuli syn, siel. XII-ta), obok naśladowań z Wergilego i Szymonowica, jak Swaci (IV), »Mołojcy« (VI) lub »Śpiewacy« (VIII), znajdują się i wspomnienia z własnej młodości i własnego życia, ubrane tylko w szatę idylliczną, jak Kobażnicy (I), Miłosz (II), Zalotnik (X), Winiarze (XIII) i Zjawienie (XIV), znajdują się dalej i pie-

śni treści religijnej (Przenosiny IX), lub o zakroju elegji na śmierć brata Szymona i dwu żon, Katarzyny i Zofji, Płaczennice, III, Roczyzna, V, Narzekalnica, VII, Żałoba, XI i Filoreta, XVII, nie mówiąc już nic o wierszach tak tragiczno-opisowych, jak Kozaczyzna (XV), i Burda ruska (XVI). Tytuł więc »Sielanki« nie określa należycie treści całego zbioru i nie nadaje się nawet wcale do niektórych pieśni,łączonych tu razem w jedną całość.

»Jeden jest tylko łącznik spajający, chociaż dość luźnie, wszystkie t. zw. Sielanki Zimorowca — to silna barwa lokalna, z stosunków Lwowa i okolicy wzięta, i niemal we wszystkich ujawniająca się pieśniach. Choć pomysł i forma, przejęte nieraz z Szymonowca, Wergilego lub najbardziej przez poetę umiłowanego Owidjusza, choć w doborze słów lub obrazów widoczne niejednokrotnie naśladownictwo Trenów Kochanowskiego, to przecież, gdy się bliżej przypatrzymy, znajdziemy tu i barwę odmienną, zastosowaną do współczesnych stosunków lokalnych, i odkryjemy mnóstwo aluzji lub wprost szczegółów, opowiedzianych na temat wypadków, podówczas we Lwowie dobrze znanych.

Nie zapominajmy, że to mówi także lwowianin i że nikt inny nie miał równego prawa do wypowiedzenia następującej słusznej uwagi:

»Sielanki Zimorowca — mówi dr. Heck — zrozumiećmy dokładniej dopiero wtedy, gdy z uchYLENIEM zasłony, pokrywającej dotychczas jeszcze w znacznej mierze wiekową przeszłość tego grodu, wyjaśnią się lepiej ówczesne stosunki i wystąpią przejrzystej osobistości, nlemałego znaczenia niegdyś w mieście zażywające. Zapomnieli o tem dotychczasowi krytycy i w swojej nieświadomości oceniali Sielanki zbyt abstrakcyjnie, bez uwzględnienia tła, na którym powstały i urosły.

Nie można jednak powiedzieć, aby historia literatury nie doceniła Zimorowca. Ma on na jej kartach miejsce własne i nieostatnie, a zasługę jego najtrafniej ujął i określił znów lwowianin, dr. Roman Pilat.

»Zimorowic — mówi Pilat — robi w sielankopisarstwie polskiem krok naprzód i nadaje sielance więcej charakteru swojskiego, rodzimego. Z mglistego świata klasycznego przerzuca cię w jawną rzeczywistość, opisuje wypadki współczesne, stosunki osobiste z życia swego lub miejscowe. Obok pasterzy i pasterek mitologicznych, przykrojonych według wzorów klasycznych, wprowadza typy realne, wzięte z otaczającego go świata, jak Miłosz, Leszko, Samniło, Dorosz, Ostafi, Wojdyło; z wyobrażeniami mitologicznymi miesza nie tylko współczesne chrześcijańskie, ale nawet tu i owdzie potracą o zwyczaje i wyobrażenia ludowe, pozostałe z czasów pogańskich. W sielance p. t. Żałoba (XI), w której nie brak zresztą nimf, bogów i innych przyborów mitologicznych, drużyna dziewic ruskich, oplakując zgon młodego śpiewaka, ozdabia trumnę jego »clerwą«, hla-cyntami, szalwią, bławatami, »głośne« czyni za umarłe modły, »rzucając w ogień jałowce i jodły«, i śpiewa pieśń na cześć jego (echo zwyczajów ludowych ruskich). W Roczyźnie (V) pasterze obchodzą rocznicę śmierci Symicha (pod tem imieniem poeta oplakuje przedwczesny zgon brata, Szymona), sypią mu mogiłę, na której sadzą jałowiec i zawieszają wieńce »barwinkowe«. Dziwna ta mieszanka świata klasycznego z pojęciami współczesnymi chrześcijańskimi a nawet ludowymi nie wychodzi bez wątplenia na korzyść kompozycji, ale jest bardzo charakterystyczna, jako dowód coraz wyraźniejszego działania czynników swojskich, rodzimych, które nabierają siły i rozsadzają prawie skorupę klasycyzmu. Szkoła i rutyna prowadziły poetów jeszcze torem naśladownictwa wzorów klasycznych, ale rzeczywistość, stosunki otaczające, przemagały i poeci jakby zapomnieli o mitologii, bożkach klasycznych, uderzali w ton swojski. Również pod względem języka znajdujemy w Sielankach Zimorowca ślady wpływu tych samych czynników. Styl jego, pomimo że jest w znacznej części wyrobiony na szkołach klasycznych lub dziełach poetów XVI wieku, naśladowujących wzory klasyczne, zawiera wiele prowincjo-

nalizmów ruskich, zwrotów ludowych, często rubasznych, trywjalnych, ale świeżych, barwnych i charakterystycznych. Nie w oryginalności treści lub formy, ani w zaletach kompozycji lub wiersza, leży zatem znaczenie »Sielanek« Zimorowica, ale właśnie przedewszystkiem w charakterach bardziej swojskim, który pozostawał w ścisłym związku z prądami literatury współczesnej.

Po wydaniu *Sielanek*, w ostatnim okresie życia Bartłomieja Zimorowic zajmował się już tylko historią rodzinnego miasta. Poświęcił temu niemało czasu. Przez lat czterdzieści na swoich stanowiskach urzędowych pisarza, ławnika, rajcy i burmistrza badał przeróżne akty, pamiętniki i zapiski prywatne. Owocem tych badań jest kronika Lwowa, pisana po łacinie p. t. *Leopolis triplex*. Opowiada nam ona dzieje Lwowa od czasów najdawniejszych aż do roku 1633-go i jest — mówi dr. Heck — »pomnikiem historycznym bardzo ważnym i nader chlubnie świadczącym o zasługach literackich Zimorowica, już choćby z tego jedynie powodu, że ani jedno z właściwych miast polskich, nie wyłączając Krakowa, Wilna i Warszawy, nie może się poszczycić kroniką podobną, z XVII-go wieku jeszcze pochodzącą. Pozostała ona jednak niewykończoną i opowiadanie przerywa się na pierwszym roku panowania Władysława IV-go, bo choroba i śmierć nie dozwolliły kronikarzowi dalszego prowadzenia raz rozpoczętego dzieła. Łacina pisarza jest napuszysta i pełna zagadek, nieraz, doprawdy, trudnych do odcyfrowania. Jeżeli jednak pominiemy ustępy do bajecznych czasów się odnoszące, a przerobione z opowiadań Długosza i Kromera, to z poza niesmacznej nieraz formy odsłonił się całe mnóstwo szczegółów pierwszorzędnych, o których dzisiaj nie mielibyśmy już tak dokładnych wiadomości. Zimorowic bowiem czerpał jeszcze z nierównie bogatszego archiwum miejskiego, tudzież z broszur i pism dzisiaj częściowo zaginionych, jako też z żywej tradycji ówczesnego mieszczaństwa. On

też pierwszy ocenił bystro rozwój historyczny Lwowa. *Leopolis triplex* — Lwów troisty nie jest wcale tytułem dziwacznym, ale nagłówkiem ważnym, przenikającym tajemnicę historycznej przeszłości tego miasta. Było ono rzeczywiście grodem trojakiego rodzaju, najpierw ruskim w XIII. i częściowo XIV. wieku, potem niemieckim, za czasów pierwszej swej świetności i przeważnego wpływu licznie tu osiadłych kupieckich rodów niemieckich, urzędujących nawet w języku niemieckim, wreszcie od połowy XVI-go wieku grodem polskim, w którym rozmaite narodowości przetworzyły się w jedno polskie mieszczaństwo o zachodniej kulturze, choć z przymieszką barw lokalnych i zbytku wschodniego. W kronice swej jest też Zimorowic mieszczańinem, do swego miasta, jego urządzeń i instytucyj niewątpliwie szczerze i gorąco przywiązany; niemniej jednak czuje się Polakiem całą duszą i na wypadki w Rzeczypospolitej, a zwłaszcza na Rusi Czerwonej zwraca baczną uwagę. Że zaś prawdy z rozmysłu nigdy nie fałszuje, tylko co najwyżej niektóre fakty ze względów osobistego bezpieczeństwa w łagodniejszym świetle przedstawia, przeto *Kronika* jego pozostanie na zawsze pierwszorzędnym źródłem do dziejów miejscowych i punktem wyjścia dla wszystkich, którzy w naukowy sposób zajmują się badaniem przeszłości Lwowa. Dzieło Zimorowica przez czas bardzo długi istniało tylko, jako rękopis, mimo że w r. 1835-ym ukazało się w przekładzie polskim (liczym i pełnym błędów — informuje dr. Heck). Oryginał został wydany dopiero w trzechsetną rocznicę urodzin poety, w r. 1897-ym sump-tem reprezentacji m. Lwowa.

Niezależnie od dziejów Lwowa w całokształcie Zimorowic zamierzał też opracować osobno dzieje kościołów lwowskich tudzież podać dokładniejsze wiadomości o pożarach, murach i kamienicach we Lwowie. Z całego szeregu tych dziełek, prawdopodobnie nigdy niewykończonych, dochowały się do naszych czasów niktę tylko

fragmenty. Nadto w r. 1671-ym wyszło dziełko p. t. *Viri illustres civitatis Leopoliensis* (Znakomci mężowie miasta Lwowa) t. j. spis sławniejszych mieszczan lwowskich, pełen ważnych, choć suchych szczegółów biograficznych, a w rok później ukazał się w druku *Domus virtutis et honoris* (Dom cnoty i godności), dziełko niewielkie, odnoszące się do dziejów klasztoru oo. bernardynów, umiłowanego szczególnie przez Bartłomieja.

Pamiętnik wreszcie oblężenia tureckiego z r. 1672-go (Leopolis a Turcis, Tartaris, Cosacis, Moldavis obsessa), wydany dopiero w 16 lat po zgonie poety, a bardzo ważny i zajmujący, bo pisany przez współczesnego naocznego świadka, kończy szereg pomniejszych pism historycznych Zimorowica.

Obejmując jednym rzutem oka całą twórczość tego niepospolitego mieszczanina lwowskiego, którym słuszenie po wszystkie czasy chlubić się może to miasto kresowe, zapisane tak dobrze w dziejach kultury polskiej, i patrząc na tę twórczość pod kątem epoki, która nosiła w sobie już zaród zwyrodnienia i upadku smaku literackiego w Polsce, nie możemy odmówić Zimorowicowi rzetelnej zasługi.

Stoi on na granicy dwóch epok, a przechylając się już wyraźnie ku barokowi, zwłaszcza w swojej napuszonej prozie łacińskiej, tkwi jeszcze korzeniami w złotym wieku i stamtąd czerpie ożywcze soki dla swojej poezji, zapatrzony w niedościgły wzór śpiewaka czarnoleskiego i zasluchany w pełną wdzięku, melodyjną, nawskroś śleńską pieśń Szymonowica. Im zawdzięcza i co oparło się w jego utworach pozostało najcenniejsze i co oparło się niszczącemu działaniu czasu — poezję, której sam miał w sobie niewiele, ale którą umiał kochać, cenić i odczuwać.

Krótki wybór pism Szymona i Bartłomieja Zimorowiców.

Sielanki nowe ruskie.

Obmowa.

Soblem śpiewałem, nie komu, swe, nie cudze rzeczy;
Aby kto tego słuchał, nie mając na pleczy:
Przeto ktokolwiek jesteś, nie będziesz mnie winił,
Żem sobie raczej dosyć, nie tobie uczynił.
Inaczej świat malarze, inaczej miernicy
Konterfetować zwykli na małej tablicy;
Miernik wszystek krąg ziemski linjami krył,
Niewiele oczom, więcej pokazuje myśli.
Malarz kraj do widoku obrawszy wesoły,
Lub wirydarz piękniemi usadzony zioly,
Uczynił z niego lanszaft z uciśnieniem wejrzeniem:
Tak ja swe kąty chciałem odrysować piórem;
Idąc Symonidowym nieodstępny śladem,
Bywszy jego i ziomkiem, i bliskim sąśladem.
Lecz nie doszedłem; bo go Bellerophon skory
Porwał z sobą na sam wierzch Libetryjskiej góry.
Mnie nikt czołgającego od ziemi nie dźwignie,
Nie dziw tedy, że konny pleszego wyścignie.
Jakieżkolwiek nastąpi o tem zdanie twoje,
Chociaż to małe brydnie, przecie własne moje.

Sielanka I.

Kobeźnicy¹⁾

Demian, Panas.

Prawie pod samą pełnią Maja, w końcu roli
Śledziłem rano wedle narożnej topoli,

Pisarze polscy II. — Krótki wybór pism Szymona i Bartłomieja Zimorowiców.

Brząkając na bandorze: aliści ptaszyna
Słowik po naszymu, zwadę ze mną wszczyną.
Ja hołubca przebieram palcami powoli,
A słowik toż powtórzył na wierzchu topoli.
I tak trefnie muzyce mojej się przeciwil,
Żem się zrazu uśmiechnął, a potem się dziwił,
Mówiąc: patrz ptaka, chociaż ledwie może kwilić,
Przecie nadprzyrodzoną władzą śmie się silić.
Właśnie jakby niekontent z gorgów swych wrodzonych,
Ludzkiej ręce zazdrościł, i pieśni uczonych
Chciał nawykać: wlec że ja którego promieniem
Bóg rozumnym oświecił, zapadnę z mem pieniem,
Że kto inszy okrągłej i gładziej rym dzieje,
Że sto wierszów w godzinę na papier wyleje;
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące
Auzońskiej, ledwie z kwiatków co soku wysączyć?
Trzecie lubo Apollo niezawsze mi prawy,
Nie przestanę zaczętej z Sielankami sprawy;
Chociaż mi nie sprzyja, atoli przez dzięki
Musi do plóra mego przyłożyć swej ręki,
I powiedzieć jakowe Demian z Panasem,
Kobeźnicy, rozgwały czynili pod lasem:

Demian.

Tuż pod górą w ogrodzie, idąc na południe,
Na calcu nieruszonym wykopałem studnię:
Wielem prace i kosztu z czeladzią mą ważył,
Abym z domownikami chłodnej wody zażył;
Lecz że z nieprzebranego ustawnie źródlika
Ponik wyskakujący sowito wytryska,
Co żywo z okolicznych wsi do niej się garnie,
Idą stadami trzody, i całe owczarnie;
Aż mi też już obrzydła, radbym ją zawalił,
Gdybym się pospolitej potrzeby nie żalił.
Tak cnotliwy on Daphnis kiedy ten sad mnożył,
Który ja teraz trzymam, niewiele go pożył;

¹⁾ Grający na bandorze, zwanej kobzą.

On szczepił w leśnych pieńkach zrazu niepozorne,
Ja z nich zbieram pasówki i przalki wyborne:
I wldzę, że trzeba żyć dobremu człowieku
Nie tylko sobie, ale i przyszłemu wieku.

Panas.

Kiedy się przestawimy wyżej, któż nas wspomni?
Będą o nas wiedzeli mieszkańcy potomni?
Jeśli tylko na lipach, i twardych jesionach
Będą patrzeć po naszych rzezanych imionach,
Prędko drewniana pamięć z drzewem się obali,
Abo skórą młodzianą porośnie; izali
Madorus z Angeliką przemianków społecznych
Nie wyrzynali w dębach i jaworach wlecznych?
A przecie i dąbniki w rynki rozsadzone
Ogień łakomy pożarł, i napisy one,
Że też już w zapomnienie idą, jako znikła
Tej włosny w oczach naszych Weryna niezwykła:
Nie masz jej, nie masz między pospolitem mirem,
Pokwapła w podziemne krańny z Zephirem:
Dobrze są pomienienia na to i Cerkiewne,

Demian.

Lecz w obrzędach duchownych: świece za niepewne
Oprócz kiedy kto w rymach imię swe wyrze,
Póki ich stawać będzie, póty w nich pożyje;
Zwłaszcza gdy jeszcze pieśni wesołe rad kuje,
Długo taki w pamięci pasterskiej wiekuje.
Wala się skały, krajów czas odmienia wiele,
Posiadają i zamki w Tatarskim popiele:
A Mopsus Kozalicy, Dameta Menalce,
Ozywają się w naszej po dziś dzień piszczałce.
Zda mi się, że Amintas kochanej Testyll
Dumy tysiącoletnie na mej kobzie kwili;
Przetoż ktokolwiek pieśni umie wiazać składnie,
Abo padwany Ruskie wykłintować ładnie;
Niech się najmniej nie boi cichej niepamięci,
Bo taki imię swoje wleczności poświęci.

Panas.

Jeżeli kto, tedy my najwięcej owczarze
Powinniśmy wydymać zawsze na fujarze,
Po górach, i bezludnych puszczech, między lasy,
Trawiąc wolne od zgiełków kłopotliwych czasy.
Same ptaszęta, które poranek witają,
Nowy początek naszej melodyi dają.
Same wiatry i strugi, które głośne depcą
Kamyki, ciche tony do uszu nam szepcą.
Z nami echo w dolinach niskich siedząc gada,
A do słów naszych koniec rymownych przykładą,
Że nigdy nie złożemy parę wierszów sami;
My tylko pierwszy, echo tworzy drugi z nami.
Co przedtym był Sylwanus i Faunus, leśnicy,
My teraz Satyrowie, my Panowie dzicy;
Nam samym przynależą surmy ich krzykliwe,
Szyposze wielogłosne, i rogi myśliwe.

Demian.

Nie tylko to, lecz prostym wylągszy się Frycem,
I u następnych wieków mam być prostym Hrycem.
A nie raczej imię me, i zabawki kmięcie
Przyjemnemi pieśniami rozgłosić po świecie?
Niech mi teraz przodkują jedni urodzeniem,
Drudzy godnością, inisi bogatem imieniem.
Mego imienia Kloto nie podetnie kosą,
Bo je w niebo krzykliwi łabędzie uniosą.
Jako wielu, którzy się liczyli panłety,
Poległo w ciemnej nocy pospołu z bydłety;
Demianowi umrzeć nie dadzą Sielanki,
Nie dopuszczą zamierzchnąć i mnie Roxolanki.

Panas.

Potem to, ale teraz opodal od domu
Żyjąc, nie mamy żalów opowiadać komu.
Wszedłszy z trzodą do gaju, abo bukowiny,
Nie ujrzyś tylko brzozy, a nleme chołny,
Nie masz komu powierzyć tajemnic zakrytych,

Ant pokazać razów za żywe zabitych.
Ja za prawdę kiedy mę napadnie tęsknica,
Abo płomień zagrzewa dotkliwego lica,
Nigdzie nie szukam w takich opalach ochłody,
Tylko jak owo mówią z Helikońskiej wody.
Tam kiedy zapalczywe zamysły utopię,
Nie może jej podżęgać zlej Wenery chłopię,
Bo się zaraz ukoł serce i wyburzy,
Gdy chęć bystre w wierszach łagodnych ponurzy;
I dosyć ma, gdy tego którego miłuje,
W pamiętnych rymach czasom przyszłym odrysuje:
Zgoła taka zabawa sprosne ognie tłumy,
O czem dobrze powiedzieć i Marella umi.

Demian.

Ba słyszałem niedawno, bodaj nie w Niedziele,
Żeś ty o tej Marelli klecił wierszów wiele...
Jakoś dobry, jeśliś co chędogłego złożył,
Powiedz mi, abym też coś swojego przyłożył.

Panas.

Ale bo o tej swachnie, co się nabajało,
Wypadło mi z pamięci, ledwie to zostało:
Kędy? proszę, Marellu, co poranek chodzisz,
Na kradzież, ach niebogo! nie zwyczajną godzisz,
Często na głowie twojej widzę kwiaty pańskie,
Narcyzy, hyacynthy, lilie albańskie.
Mamli prawdę powiedzieć, słowem przyjacielskim,
Nie dostałaś faworów tych w zielniku sielskim,
Kędy tylko wasilek kocha się i młęta
Z przykrym lubczykiem, którym brzydzą się panięta.
A w wirydarzach swoich każą tullpany
Z koronami Carskiemi sadzić na przemiany;
Przeto mę już zaniechaj z takimi fawory,
Bo i mniebyś z pańskiemu poswatała dwory.

Demian.

To ostatki jak baczę; przedniej też roboty
Wystaw sztukę.

Panas.

Kłedyć tak smakują zaloty
Marelline, pokazać więcej z tym warunkiem,
Że się też musisz i ty odkryć z swym gatunkiem.
Marello niewidzianej piękności, do kraju
Przeniesiona zimnego bez pochyby z raju,
Kiedybyś ty w ogrodzie Nikazego stała,
Nigdybyś się młodzieży rozpustnej nie bała:
Samby pan w chłodzie twoim mile odpoczywał,
Samby kwiateczki szczypał, i owoce zrywał,
Na czele wyrzezałby twojem swe nazwisko,
Miałabyś i Marelki młode siebie blisko.
Teraz że na wygnaniu stoisz za parkanem,
Kto się nie leni, może twoim zostać panem.
Leda kto nierozwite kwiaty twe obija,
A płód niedonoszony trąca kto przemija.
Każdy pielgrzym, że tam był, na chropawej skorze
Imię swe na imionach dawnych nożem orze.
A ty jak płonka leśna bez fruktów, bez pana,
Bez latorośli stoisz szpetnie pokreślana.
Jeśli nie chcesz zaginać do końca przy drodze
Pospolitej, co prędzej daj się w ciasną grodzę.

Demian.

Panasu, wyciąłeś ją tak ze pnia do ładu,
Przyjmij też w ucho trochę mojego pośladu.
Póki Wiedeńska Róża, oko nie rozwite,
Jeszcze w paku zielonym pokazuje skryte,
Kto chce woni skosztować nierozkwitłej róży,
A gwałtu, rozdzierając pąkowie, przyłoży,
Raną sobie i krótką uczyni wygodę;
Lecz niepowetowaną kwiateczkowi szkodę.

Panas.

Nie mogę wiedzieć, cobyś zakrył tą pokrywką;

Demian.

Słuchajże drugiej fraszki z łatwiejszą rozrywką:
Jako w grudniu obłoki zimnej rosy pełne,

Na ziemię wyrzucają kędzierzawą welnę,
Ledwie Phebus Marcowym rzuci na nie okiem,
Natychmiast uciekają do morza potokiem;
Niemasz takiego statku, niemasz i powagi,
Którejby nie zmiękczył swym ogniem bożek nagi.

Panas.

Wszystko coś w przypowieściach, a nic nie wyraźnie.

Demian.

Kiedys tych nie zrozumiał, słuchajże tej błaznie.
Marello oczu twoich, udatne źrenice
Są jako nieprzebrane źrójów dwie krynice,
Z których żywe rozkoszy, lubieżne pieśzcoty,
I bystrym wynikają strumieniem zaloty.
Ktokolwiek tylko w nich wzrok przyjazny ochynie,
Żaden sucho nie zbrodził, ani ich przepłynie,
Musiałby wycłosanym być z derenu chłopem,
Któryby przed powszechnym uszedł ich potopem.
Oto ja, żem w ich nurtach rad pławił swe oko,
Zabrałem w nie chęciami moimi głęboko;
Że jeśli mi nie podasz ręki przy kapłanie,
Utonę: jak Phaeton niegdy w Erydanie,
Który nie pierwaj na dno rzeki się obalił,
Aż pół śwłata pochodnią dzienną wniwecz spalił.

Panas.

Terazem cię pośledził tropem twegoż znaku,
Żeć Marella przypadła okrutnie do smaku.
Nie dbam chociaż mię brzydkim pokropił błazeństwem,
Kiedys się sam otworzył z tak jawnem szaleństwem.

Takie rozmowy oni owczarze stroili,
Dzień też już zmordowany ku wieczornej chwili
Sklaniał głowę, i krył się po lekku za gory;
A oni wstali zganiać owce do obory.

Sielanka IV.

Swacł.

Lassota, Stokłos, Daniłko.

Lassota.

A wieszże co Stokłosie? Że za krótką chwilę
Wrócą się do nas znowu miłe krotochwile,
Gdy po letnich robotach, i codziennych pracach
Wytchnąwszy, użyjemy na smacznych kołacach.
Kiedy wszyscy doroczne odprawiwszy żniwa,
Pójdziemy po praznikach, do dobrego piwa.

Stokłos.

Pójdziemy, lecz nie jutro, dopiero albowiem
Żyto kwitnąć poczyrna.

Lassota.

O dalszych to mówłem

Czasiech, mówmyż o bliższych: po drugiej niedzieli
Będziemy u nadobnej Parasi weseli.
Powiedziem ją do ślubu: przyjdzie nam obchodzić
Swadźbę, do stołu służyć, i w tańcu rej wodzić:
Pieśni składać.

Stokłos.

To prawda, za wczasu na chwile

Zdobądźmy się na rymy, zwłaszcza przy Daniłie
Kobeźniku Podolskim, który dobrze wiersze
Rozumie: Ty zaczynaj, twoje miejsce pierwsze.

Lassota.

Pięknie kwitnie Czeremcha, pięknie kwitną Trześnie,
Dla tego ich co żywo szarpa w pierwszej wieśnie.
Kwiat zwiędnie smakowity, nie dojdzie jagody,
Każdy pragnie kwiateczki rwać z młodej urody.
Co się wszystkim podoba, rzadko wcale bywa,
Smaku ten nie skosztuje, kto pierwszy kwiat zrywa.

Stokłos.

Już drugi Marzec miła, jako w sadzie moim
Szczeppek pomarańczowy pociesza mnie swoim

Podrostem, jam go szczepił; a po mojej głowie
Pożytek zbierać będą potomni wnukowie.
Kto czeka, doczeka się, a kto się zaś sili
Przed czasem, częstokroć go nadzieja omyli.

Lassota.

Na łące rozłożystej, u krynicznej wody,
Pasła się łani stara, i jelonek młody;
Obaczył to myśliwlec, łanię wždy opuścił,
Ale się za jelonkiem prędkim biegiem puścił,
Lecz mu go chyłka młodość uniosła w las rąco;
Tak się trafia tym, którzy miłują gorąco.

Stokłos.

Trzecia ta zima idzie, kiedy moje sady
Zniszczyły, częścią mrozy tęgie, częścią grady,
Wymarzły rajskie jabłka, japoruty, jestonki,
Rane morelle, tylko leśnice i płonki
Zostały: takci i świat opak wszystko robi,
Godnych ludzi omija, a niegodnych zdobi.

Lassota.

Piękny ogródek, jeszcze piękniejszą urodził
Lilią, ani jej wiatr, ani deszcz zaszkodził,
Bujno rosła, jasnością śniegi zawstydzała,
Cóż potem? Rozyna ją swawolna urwała
Do wleńca, mało się wieńcem co naciężyła
Uwładł, i tego piękność piękności zbawiła.

Stokłos.

Indian perły zbiera przy morzu głębokiem,
Arabczyk się bogaci balsamowym sokiem,
Tagus plasek złocisty na brzegi wybija,
Assyryjczyk jedwabną przędzę z lasów zwija.
Łakomsza rzecz uroda, i te rzeczy tracą
Ludzie dla niej, a czasem i zdrowiem ją płacą.

Lassota.

Syn Wenery różane uszczypując kwiatki,
Zakłół cierniem paluszek, i szedłszy do matki,

Rzekł: ach, ach matko moja, przy twym ślicznym kwiecie,
Ciernie mię uraniło; ona zaś: me dziecie,
Wiesz, że przy róży ostre ciernie tuż się rodzi,
Dla róży zaś rozkosznej i ranić się godzi.

Stokłos.

Nadobna Melpomene w mirtowej krzewinie
Grała na lutni, przed nią nimphy i boginie
Tańczyły; byłoby się tam przypatrzeć czemu,
Gdyby nie zabraniano oku śmiertelnemu
Widzieć; tylko udają, próżne jest staranie
O tem, czego jako żyw człowiek nie dostanie.

Lassota.

Gdy mrok wieczorny padał, jam owce z ugory
I koźleta latosie zganiał do obory.
Z trafunku w dół pojrzawszy, ujrzałem w dolinie
Kwiateczki zrywające trzy wespół boginie;
Z niemi też Amarantę. Amaranto moja!
Jeżeli upodobałeś, jeżeli wola twoja,
Pójdź do mnie, jać pokażę, kędy Konwallja
Kędy rumiana kwitnie i biała Lillja;
Abo nie chodź, bo jeżeli tak palisz zdaleka,
Jakoż zbliśka nie będziesz podżegać człowieka.

Stokłos.

Zajrzę wam o Najady, że każdy kwiat polny
Zrywać na wieńce zawsze macie przystęp wolny.
Tylko ty mój Narcyssie, kwiateczku kochany,
Żadną ręką śmiertelną nie będziesz urwany!
Ty stolsz w czystym polu nad strumieniem bliskim,
Któryć nogi polewa swym potokiem śliskim;
Poranek czystą rosą kropi twoje wargi,
Słowik nie zapomniawszy starodawnej skargi,
Kwiląc pieśni całą noc, ptastwo drobne głuszy,
Którą twe melodją uwesela uszy.

Danilko.

Dosyć na młodość waszę: będą wam młodzieńcy
Powinni za te pieśni, także nowożeńcy,

Jeszcze ja jedną przydam, choćem starszy laty,
Przecie się nie powstydzę wyskoczyć przed swaty.
Jak tylko Amaranta poszła z tej dziedziny,
Płaczą po niej i góry, i niskie doliny;
Płaczą z pastuszkami rzewliwe Sielanki:
Tyrimon zawiesiwszy na dębie multanki,
Z płaczem rzekł: Bóg was żegna! mieszkańcy leśni,
Jednej bez Amaranty nie zagram wam pieśni.
Wtóż Najady przezornym wychowane Niestrze,
Wzdychają po niej, jako po rodzonej siostrze;
Dla niej i ogródeczek, który ręką własną
Sadziła, odmienił się; już w nim róże gasną,
Już gwoździki blednieją, już lilje śliczne
Potruchlawszy, lży po niej toczą z siebie młeczne:
Rozmaryn upieszczony, Król wonnego zieleń,
Gałązeczki opuścił lubego wesela.
Zgoła najmniejszy kwiatek po niej tęskniąc mdleje,
Już też od Akwilonu wiatr ostrzejszy wieje.
Przyjdź do nas Amaranto, znowu włosna wstanie,
Znowu słowiczek przez noc śpiewać nie przestanie.
Wrócą się z tobą do nas ulubione czasy,
Pola w kwiatki, w młody list odziewają się lasy.

Lassota.

Danilku, nie owcam! twój padwanek pachnie,
Podoba się i owej mniemam pannie Kachnie,
Co stąpa jako pawa, a natrzmiewszy rogi,
Ogon za sobą włości. Nasz taniec ubogi:
Przedtym pęsy wyprawiał z Podolską Połanką,
Teraz skoczy Wekiery z Pasią nowożonką.

Sielanka V.

Roczyzna.

Hilas, Olechno, Dorylas.

Już to ośmnasty odwrót na swym zodyaku,
Koła słoneczne w stecznym uczyniły raku;
Jako ozdoba mego i chluba rodzaju,
Symich¹⁾ do szczęśliwego stąd postąpił kraju.

¹⁾ Symich bez wątpienia przedstawia tu zmarłego w r. 1629
Szymona (= Symich) Zimorowica, brata autora, — piewce Roxolanek.

Symich nadobny pasterz, urodziwej trzody,
Którego nad potokiem Kastalijskiej wody,
Kwiatki zbierającego sroga Persephona
Od piersi oderwała Muzom prawie z łona:
Choćże on do przybytków wiekuistych wzięty,
Z duchami przeczystemi śpiewa święty, święty!
Ja przecie, ilekroć się dzień lecie przesili,
(O której od nas wyżej przestawił się chwili)
Odnowiwszy lamentey dawne, i tęsknice,
Odprawuję płaczącą za niego rocznicę.
Insi równo z żałobą skończyli swe żale,
Niektórym smutną pamięć czas wyraził, ale
Żaden wiek, który skały i marmury kruszy,
Oczu molch z łez rzewnych po nim nie osuszy.
Alic i ty cnotliwa drużyno społecznie,
Dnia dzisiejszego ze mną zapłaczesz serdecznie,
Wspomniawszy, jako gładkim rymem, jako mile
Wysłał w krótkich pieśniach wszystkie krotofile.
A chociażże Hyacynt kwiat Słowiańskiej ziemi
Trumnę jego okrywa gałązkami swemi,
Przecie i tu każdy z nas wzięwszy darnia bryłę,
Na imię jego, wielką usypmy mogiłę,
Na której wierzchu, miasto rytego grobowcu,
Zawsze świeżego rzędem nasadzę jałowcu:
Środkiem, wieńców zawieszę barwinkowych parę,
I którą mi darował odchodząc cytharę:
A wy miasto napisów, nad ozłębłym grobem
Śpiewajcie ze mną jakim kto umie sposobem.

Olechno.

Jako obchodu tego stałeś się powodem
Także bądź i śpiewania: ty zaczynaj przodem.

Hilas.

Niemasz cię, nie masz Symichu mój złoty,
Ma uciecho, me rozkoszy, moje pieszczoty.
Niemasz cię, nie masz żywego z nami,
Próżno cię po wszystkim świecie z płaczem szukamy.

Uwładleś nagle jako kwiat różany,
I zniknąłeś jak poświata Jutrzenki rany.
Niemasz cię, nie masz! przed ludzkim okiem,
Jako słońce, zakryłeś się ciemnym obłokiem
Zagasła światłość twojej przyjemności,
Zaszyły nocą ostateczną twoje wdzięczności.
Ustały w ustach twoich żywe zdroje,
Ujął sen nieprzebudzony źrenice twoje.
Trzykroć żaloszny, oplakany grobie,
Tyś nadzieje i pociechy me zamknął w sobie:
Ty serca mego wzięłeś połowicę,
Zostawiwszy miasto nlego płacz i tęsknicę.
Tu miećcie kwiatki pachnące, młodzieńcy,
Tu, panienki, nieście rószczki z wonnemi wieńcy.
Okryjcie ten grób zewsząd ziołami,
By nie więdły, ja je będę polewał łzami.
A ty krwi moja wielce ulubiona,
Z serca mego do trunienki tej wytoczona,
Dobra noc miewaj, póki ja z tobą
Żywy z żywym nie ujrzę się własną osobą.

Olechno.

Komu kwiateczki me kryłniece?
Komu zapachy gotujecie?
Kto waszym zechce być strażnikiem?
Kto waszym będzie ogrodnikiem?
Ponieważ przyjaciel mój serdeczny
Odchodził ode mnie w on kraj wleczny.
Ehej róże śliczne, o róże!
A któż mi was zrywać pomoże?
O lilie, młode lilie!
Któż mi z was wianek uwije?
Kiedy największe moje kochanie,
Ze mną się ostatecznie rozstanie.
Ach fiołeczki me rumiane!
Dla kogo będziecie zerwane?
Oj wianeczku, luby wianeczku!
Komuż cię daruję w taneczku?

Gdy się ode mnie spieszno wybiera,
I gdy mój najmiłszy umiera.

Rozmarynie, hej rozmarynie!
Już przyjemny zapach twój zginie;
Nie tylko rozmaryn sam zgoła,
Wszystkie wonne zniszczają zioła.
Oto kwiatek żywy, z niemalem
Uwładł świata wszystkiego żalem.

Dorylas.

Z żalem nieukojonym serce mi wspomina,
Jako mię Symich, pociecha jedyna
Żegnał. Gdy się rozstanę z tym światem mierzonym,
Jeżeli mi będziesz przyjacielem wiernym,
Przynajmniej w rękę martwą dasz mi wonne ziele,
Abo poprawisz wieńca na mem czele;
Lubo na oczy rzucisz ziemi pierwszą bryłę,
Lubo nad grobem usypiesz mogiłę.
Ani mię zapamiętasz, owszem każdej włosny
Różami grób mój potrząsiesz żaloszny.
Na co ja: mój Symichu, me serce jedyne,
Niechże ja pierwej nieszczęsny zaginę,
Niechaj ja twoje mary śmiertelne zalegę,
Niżli się z tobą tak prędko rozprzęgę.
Ale że już ostatnie poszły zyzem losy,
A z wiatrem poszły życziwe me głosy:
Jużeś w młodości skończył, dojrzałe twe życie¹⁾
Już ciało twoje szlachetne ostygło.
Już, hej niestety! one oświecone oczy,
Smrodliwa ropa bez przestanku toczy.
Już czoło okazałe, i udatną szyję
Plugawy robak bez przestanku ryje.
Niedługo proch zbutwiały, i próżne nadzieje
Wicher po ziemi przestronnej rozwleje;
Że wszystek człowiek z wzrostem całym (żał się Boże)
W maluchnej garści zamknięty być może.

¹⁾ = życie.

Hilas.

Między Mirtami, przy Idejskim dole,
Wdzięczny sen spało nadobne pachole
Bezpiecznem okiem, aż z pustej jaskini
Wynidzie kniemu podziemna bogini,
Śmierć niezblągana, bez ciała, bez oczy,
Z kosą do niego jadowitą skoczy,
I krzyknie: tyś to nieszczęsny Kupidzie
Dany za glermka i syna Cyprydzie?
Żebyś się mojej potędze sprzeciwił,
Żebyś znikomych ludzi plód ożywił?
Co teraz myślisz bezecna hołoto?
Pójdiesz gdzieś nie był, poznasz co jest Kłoto?
Strachem tak nagłym dziecina przejęta,
Krzyknie: o matko moja, matko święta,
Folguj mi, wszak ja pod twą żartką kosę
Naród człowieczy bez przestanku płoszę.
Co większa, od tej chwili, na twą stronę,
Lud skazitelny bez liku pożonę.
To mówiąc: napnie łuk, i strzałą żywą
Zajmie po kościach śmierć nielutościwą,
Ażcl odmlana prędką: bowiem ona
Jędza, miłosną chęcią zapalona,
Kosę i sajdak śmiertelny odrzuci,
A do szyje się Kupidowej rzuci.
Potem mu kołczan, martwem natkniony
Strzałami, między zawlesi ramiony.
W tym mój Kupido złociste rozwinie
Skrzydła z barków swych, i gdy się wywinie
Z ręku, piórami tak długo wiatr rzeże,
Aż na Paphyjskie przypadł lotem wieże.
Tam obaczywszy matkę Erycynę
Z płaczem jej powie takową nowinę.
Ona go, ciesząc: dziecko ukochane,
Czemu pobladły twe usta różane?
Czemu się boisz? Nie wiesz że krwle Boskie
Nie dotykają śmiertelne przegroźki?

On też w nadzieję niewątlęgo wleku,
 Najmniej folgując blednemu człowieku,
 Młodość i starość, panny i chłopięta
 Równie zagania w niepozbyte pęta,
 Napada nizkie i ubogie stany,
 Bierze w niewolą chudziny i pany;
 Ludzie mądrości znacznej, wielkiej rady
 Pod przykre jarzmo zewsząd pędzi stady.
 Wszędy go pełno. Raz przechodząc błonie,
 Szeroko w pięknym leżące Aonie,
 Ujrzy Symicha, młodego Symicha;
 A on, gdzie skała Parnaska wypycha
 Wody szemrzące, na głośniei Cytarze,
 Pleśni wygrawa, a przed nim po parze
 Tańczą boginie, Muzy i Charyty:
 Aż Terpsychore z konwaliej wity
 Wieniec, lubemu dawszy Cytaryście,
 Jęła okrywać skronie jego w liście
 Bluszczu krętego; w tym Amor po cichu,
 Skradłszy się, szepnie: ucleszny Symichu!
 Nie lepiłby to tym czasem w Cytherze,
 Przy białym lata trawić fraucymerze?
 I sercowładnej posłużyć bogini,
 Niżeli tęsknić w tej głuchej pustyni?
 Słyszac to, Symich poczał pałac wstydem,
 Poczał uchodzić przed zradnym Kupidem,
 Żałośnie krzyczac: o niepokalane
 Córki mądrości! Jeżli wam oddane
 Czystości mojej przyjemne są śluby,
 Jeżeli mój rym był wam kiedy luby;
 Brońcie mię teraz! Widząc to, zuchwał
 Marsowie porwał kołczan pełno—strzały;
 On kołczan, który dała mu w zakładzie
 Wiedma piekielna: ten namniei o zdradzie
 Wiedząc, gdy z niego śmiertonośne pręty
 Położy na łuk haniebnie napięty,
 Niestetyż! ledwie ciędlwy pociągnie,
 Za pierwszym razem Symicha dosłagnie

Strzałą, którą mu na złe poruczyła
 Lachesis wściekła, gdy go polubiła.
 Zatym Symicha wszystkie żywe siły,
 Wszystkie uclechy żywe opuściły.
 Tu koniec wzięły Sauromackie ody,
 Tu Symphonie, tu głośnie epody
 Ustały, kiedy przedniego muzyka
 Zaraza bolem niezleczonym tyka.
 Niemasz już, niemasz Orfeusza, który,
 Sledząc pośrodku Rhodopejskiej góry,
 Zwabiał stronami wdzięcznemi wszelaki
 Zwierz, ryby wodne i powietrzne ptaki.
 Lecz jako łabędź, którego śmierć bierze,
 Usiadłszy nisko przy cichym jezlerze,
 Smakuje sobie koniec tego świata,
 I wiecznych czasów nie przeżyte lata,
 Wzbudziwszy w sobie nowe melodye,
 Nowe koncenty, nowe harmonie,
 Krzyczy z radością wiekuiste hymny
 Tak długo, aż go duch opuści zimny.

Olechno.

Kto kiedy większą żalu miał przyczynę,
 Jako kiedy me kochanie jedyne,
 Śmierć nie okrotna¹⁾, złupiwszy z żywota,
 Wegnała w trudne Proserpiny wrota.
 Niewinna duszo, ciebie cnoty twoje
 Przyprowadziły na wieczne pokoje,
 Gdzie będziesz wiecznych zażywać rozkoszy,
 Których przypadek żaden nie wypłoszy.
 Ja zaś po tobie, o Aonśki sługo,
 O wychowawcze! będę tęsknić długo;
 Będę z słostrami płaczliwej Kameny
 Nad ciałem twoim kwilić rzewne treny.
 Tak więc orlica wzięwszy w piersi strzałę,
 Chociaż z tym razem na wysoką skałę,

¹⁾ Niewstrzymana.

Chociaż uleci na dzikie bałchany,
 Nie może pozbyć raz zadanej rany.
 Nie mniejszym i ja, przez twą śmierć, sposobem
 Zraniony, nad tym dziś narzekam grobem.
 Gdzie was na ten czas pióra zanosili
 O Kupidowie! gdy Symich mój miły
 Żegnał ostatnie Helikońskie zdroje,
 I dwójwierzchnego Parnassu podwoje.
 Wierzę ani Cypr, ani Paph szeroki
 Był wam przyczyną takowej odwołki:
 Bowiem go i Cypr żałował miłośny,
 I Paph dla niego toczył łzy żałobny.
 Nad to i Paphy dziecie gładkiej twarzy,
 Ogniem swym więcej nikogo nie sparzy,
 Gdyż nad Symichem płacząc ustawicznie
 Zalał w pochodni światło świetnościłeczne.
 Ani z Cyteru złotorucha Pani
 Strzałami swemi serc ludzkich urani;
 Abowiem wszystkie na stós ułożyła,
 I ciało twe nań Symichu włożyła.
 Tu latorośle nieście balsamowe,
 Nadobne Nimphy, tu gałązki nowe
 Mirtowe mieście, tu różane wianki,
 Tu kładźcie pięknie złożone równianki.
 A ty Aoniskiej matki synu mały
 Tu wszystkie porzuć serdeczne zapaly.
 Podnieć twym ogniem grobowiec żałobny,
 Na którym Symich spoczywa ozdobny;
 A ja postawię słup nie ladażaki
 Nad nim, przy którym napis będzie taki:
 Tu leży Symich, Symich on nadobny,
 Abo Kupido, abo mu podobny.

Dorylas.

O ktoby mię dziś przybrał w pióra lotne,
 I dał mi skrzydła do barków obrotne!
 Żeby przed żalem, który mię nie lekko
 Trapi, poleciał od ludzi daleko.

Wolałbym mieszkać w bezludnej pustyni,
 Abo się zamknąć gdzie w ciemnej jaskini,
 Niżeli martwe często przyjaciół
 Widzieć, i z niemi umierać napoły.
 Ilekroć bowiem człek miłych utracą,
 Tyle razów żal życia mu ukraca;
 I w jednym grobie składa to oboje,
 Ciało nleżywe i pociechy swoje.
 I, ty Symichu, ledwieś się urodził,
 W wielkie nadzieje pokrewnych zawodził;
 Dodawały im wysokiej otuchy,
 Dowcipu twego niemal Bożkie duchy.
 A teraz, jako gdy kto przed pogodnym
 Słońcem schroni się pod jaworem chłodnym,
 Jeżeli się drzewo z trafunku obali,
 Oraz i siebie i jego przywali:
 Tak niespodzianym za twoim upadem
 Oczekiwania padły jednym śladem;
 I drzewo, i cień, i pociechy potem
 Następujące zmieszały się z błotem.
 A przetoż źródła, i przezorne zdroje
 Dodajcie mi łez, abym szkody moje
 Godnie opłakał, chociażże nagrody
 Nie wezmę równej za te moje szkody.
 Jako z własnego brzegu roztozona
 Woda od ziemi łakomej połkniona,
 Już się nie wraca do pierwszego stoku;
 Tak z powszechnego i ciebie wyroku
 Gdyśmy Symichu złożyli do lochu
 Prochem się stawszy, utonąłeś w prochu.
 Gdzie teraz ono czoło twe łagodne,
 Trzykroć wdzięczniejsze nad niebo pogodne?
 Kędy ust gładkich nieprzebrane morze?
 Gdzie oczy miłsze nad poranne zorze?
 Kędy dowcipu dziwnego przybytek?
 Śmierć zdruzgotała w drobne kąski wszytek.
 Ehej niestetyż! twoje lube oczy
 I także pyskiem brzydkim czerw roztoczy?

Czoło wesole, i udatną szyje
 Robak zgnilemi zębami poryje,
 A potem z ciałem i moje nadzieje
 Wicher po drogach rozstannych rozwieje,
 Że i ty znikniesz, i twoja pamiątka
 Pospołu z tobą zaginie do szczątka;
 O prędkość sobie za powinowactwo
 Najmilsze przybrał plugawe robactwo.
 Owad podziemny, węże i gadzina,
 To twój krewni teraz i rodzina.
 Twój to bracia teraz i rodacy,
 Smród, zgniłość, mszyca, czerwle i pędracy.
 Ze mną płaczące rzeki narzekajcie,
 Ze mną i wlatry, wzdychając, stękajcie,
 Cokolwiek wonnych kwiatków w sadach roście,
 Zerwawszy, byстрым pędem tu przynoście.
 Jak wiele listów strumieni okrywa,
 Niechaj pospołu z wodą tu przypływa.
 Niech wody łzami, kwiateczki ozdoba,
 Listki niech będą grobowi żałobą,
 Grobowi, w którym twardym snem zmorzony,
 Nocuje Symich mój nieprzeplacony;
 Już nie on Symich, jak w ciele żywym
 Był czerstwym, grzecznym, chybkiem, urodziwym;
 Ale żalu mój! w żalosnej postawie
 Bardzo odmienny; on, i nie on prawie:
 A zgoła nie on, tylko jego ziemna
 Lepianka oczom ludzkim nieprzyjemna,
 Z której gospodarz ustąpił, a ona
 Stoi pustkami sobie zostawiona,
 Stol jak szalas chróściany odarty,
 Który wlniarze stawiają dla warty;
 Zaledwie z onej straż ustąpi kucze,
 Już ją łađa kto odziera, i tłucze.
 A przetoż góry i niskie doliny,
 Pomóście wdzięcznej płakać mi dzieciny
 Którą swem mlekiem Jowiszowe córę

W cieniach Parnaskiej wychowały góry,
 Którą, kołysząc, aby spała chutni,
 Gdy przyśpiewują cichuchno przy lutni,
 Wszystkie muzyki, i pieśni w nie wlały,
 Jakle piastunki kolwiek one grały.
 Teraz już dziewczek Bozkich ukochany
 On wychowaniec, z prochem pomieszany,
 Zamknął żelaznem usta swe milczeniem;
 Już go nie słyhać, już się słodkim pieniem
 Do pozostałych przyjaćli nie ozwie,
 Póki nas trąba do sądu nie pozwie.
 Ona to trąba, która kiedy krzyknie
 Na trwogę, wszystko stworzenie przeniknie,
 Wszystkie otworzy groby zmarłych ludzi,
 Wszystkich nas ze snu długiego obudzi,
 I stawi na sąd ostatni w tem ciele,
 Które już było zginęło w popiele.
 Tam śmierć od żalu okrutnie zawyje,
 I własną ręką sama się zabije.
 Tam niezblagane dni naszych szafarki
 Rzuca o ziemię niepłatne zegarki.
 Słońce od strachu nagłego zemdleje;
 Księżyc twarz krwawą posoką zaleje.
 Gwiazdy z przestachu chorobą szkaradną
 Z nieba rzucone, na ziemię upadną.
 Ziemia się z gruntu poruszy, a skały,
 Będą się zbijać jako morskie wały.
 Wszystkie misterstwa rąk ludzkich i czyny,
 Potop ognioły obróci w perzyny.
 Miasta i zamki pyszne wniwecz zburzy,
 Pompy światowe popielcem przykurzy.
 Nasze ozdoby i galanterye
 Grubym zużelem na wieki pokryje.
 Wszystek świat wezdrzgnie oraz w onej dobie,
 Sam się w żałobę ubierze po sobie.
 Sam się zaleje łzami, gdy w popiele
 Obaczy swoje niegdy przyjaciele.

A my co rzeczem, grzesznicy złośliwi,
 Kiedy się lękać będą sprawiedliwi!
 Odbieżą nas tam te dziecinne brydnie,
 Wierzę, każdy z nas z bojaźni ostygnie,
 Jako słup wryty, z miejsca się nie ruszy,
 Obawiając się piekielnej katuszy.
 Żaden tam rzecznik nie trunie¹⁾ za nami,
 Tylko uczynki nasze staną z nami,
 Te sprawę od nas ostatnią odprawia,
 Te nas potępią same, albo zbawia.
 Tobie już błogo, o duszo wybrana,
 Żeś do wesela weszła swego Pana,
 Tamże nas czeka, aż te nasze żale
 Skończywszy, w Bozkłej ujrzymy się chwale.

Roxolanki

to jest
 RUSKIE PANNY.

Pierwszy chór panieński.
 Pierwsza Pneumella.
 Teraz głośna Muzyko, z wdzięcznym Arlonem
 Zakrzyknij one pleśni, jednostajnym tonem!
 Których skały twardeouche
 Słuchały, i lasy głuche.
 Oto pary do tańca najcelniejsze idą,
 Już nie miękki Adonis, z udatną Cyprydą:
 Ani z Tezeuszem ładna
 Wyskakuje Aryadna.
 Ani Dardańczyk, który za pomocą młodzi
 Trojańskiej, porwał gładką Lacerkę do łodzi:
 I wpadłszy na okręt nagle
 Podał wlatrom białe żagle.
 Zrazu po Oceanie żeglując szalonym,
 Pełen strachu, tańcem się zabawiał gonionym:
 Aż gdy pod ojczystą Idą
 Doszedł lądu z Tyndarydą,

¹⁾ Nie odezwie się.

Dopiero odpocząwszy z podjętych niewczasów,
 Przechadzkami się bawił, środkiem ciemnych lasów:
 Częstokroć kryniczną wodą,
 Mył ciało z kochanką młodą.
 Jeżeli przyjacielskiej chciał zażyć biesiady,
 Poszedł w plesy z Heleną, a dzikie Dryady
 Jedne przed niemi skakały,
 Drugie na multankach grały.
 Ale tu Oblubieńcy, krom wszelkiej bojaźni,
 Przymierze z sobą ślubnej zawarłszy przyjaźni,
 Dzień dzisiejszy krotocwill,
 I weselu poświęcili.
 Przetoż starsza drużyna usta sokiem chłodzi
 Bacchowym, a przed stołem grono pięknej młodzi,
 Z białą czeladzią na poły,
 Zaczyna taniec wesoły.
 Każdy z nich, czołobitne oddawszy ukłony,
 Jako głos melodyl zabrzmi upieszczony,
 Raz kroczy wolnym szeregiem,
 Drugi raz pośpiesza biegiem.
 Lecz tam wszystka uciecha, tam wszystkie są gody
 Kędy z Kniehinią nową, rej wiedzie Pan młody:
 Niechajże wszystka muzyka,
 Dla nich wesoło wykrzyka.

Czwarta Lycidina.

Moje miłe rówleńnice,
 Powiem wam swą tajemnicę.
 Żalсна, nie mała, szkoda mię potkała;
 Nie we złocie, ni w dostatku.
 Ale w najprzedniejszym statku:
 Pół roka minęło, serce mi zginęło.
 Nie był nikt czasu tej zguby,
 Tylko mój jedyny luby:
 Przecie z tej przyczyny, nie daję mu winy,
 Bo nie brał on serca mego,
 Gdyż samo zbiegło do niego:
 Aż w swej dobrej woli, zostało w niewoli.

Jeszcze mu dziękuję za tę
Uczynność, że moją stratę
W tak znacznej potrzebie, przytulił do siebie.
Inszej mu nie dam nagrody
Tylko połowicę szkody:
Na czym małoli ma, niechaj wszystko trzyma.
Nie zechcieli przestać na tym,
Wiem, co ja uczynię za tym:
Bym nie zbyła duszę, za sercem pójść muszę.
Żadna Panna, ani Pani,
Wierzę, tego nie naganę:
Ile białej głowie, miłe mi jest zdrowie,
Choćbym nie rada, ja tuszę,
Przecie tak uczynić muszę:
Bez serca, wszak wiecie, trudno żyć na świecie.

Jedenasta Poscilla.

Pszczołko niemiłosierna, czemuś uraniła
Mój paluszek? dla czegoś żądło w weń wpuściła?
— Dla tegom cię ujadła,
Żeś z ula miód wykradła:
Któregom miała pożywać w późnej jesieni.
— Patrzaj jako odrazu skóra się rozpadła,
A od bólu srogięgo twarz moja pobladła:
— Pewnie zdrowa byś była,
Gdybyś nie poruszyła
Cudzego, i nie sięgała do skrytej dzieni.
— Któż to wiedział, żeś na ten czas w dzieni siedziała,
Kiedym ja, nieszczęśliwa miód z niej wybierała:
— Tak świat rozkoszy słodził,
Tuż przy nich gorzkość płodził:
Między trochę miodu, żółci przydając wiele.
— Nie dbam, żeś mię boleścił, pszczołko, nabawiła,
Ponieważ dla tegoś miód z żądłem utraciła:
— Wszystkoś mi odebrała,
Com najlepszego miała;
Masz miód, masz żądło, jesteś pszczołką w ludzkim ciecie.

Czternasta Ciprina.

Roxolanki ukochane! Przez usta wasze różane,
Czemu wasze słodkie strony Nie brzmią wdzlęcznej
[Thelegdony.
Godna jest przedniego pienia, Zacność wiecznego
[płomienia,
By jej serdeczne zapaly Z Jutrzenką równo gorzały.
Nie tak zorza z jasnej kosy, Rozpościera świetne włosy:
Nie tak wargi swe szarłatne, Wystawla światu udatne:
Jako młoda Thelegdona, Pięknym ogniem rozpalona,
Od zatajonych płomieni, Oblicze wstydem rumieni.
Lampy rozsiane po niebie! Jeśli ku waszej potrzebie
Światłości więcej mieć chcecie, Zaraz od niej zdobędziecie:
I wy łaskawe Boginie! Które w północnej krainie
Od przykrych mrozów zlebniecie, Prędko się u niej
[zgrzejecie.

Ani walne wody, ani Morskich przepaści otchłani:
Nawet lata nieprzeżyte, I marmury twardo ryte:
Choć żadnej skazy nie znają, Pamiątki jej nie przetrwają.
Przetoż śpiewacy ucieszni, Zaczynajcie nowe pieśni:
I Roxolanki pieszczone Ogłaszajcie Thelegdone.

Siedmnasta Marantula.

Za twoje kochania ku mnie ukwapliwe,
Za twoje szczerości nader pieszczotliwe:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Godzienieś Japońskich pereł, abo złota,
Ale władząc pewnie, żem ja jest sierota:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Dar to pospolity, lecz nieladażaki,
Droższy nad klejnoty, i pyszne kanaki:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Bowiem że w nim róża jeszcze nie pomięta,
Nie gardziłyby nim przedniejsze panięta:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Lecz ja, pominawszy wszystkie ich zawody,
Toblem go samemu chowała krom szkody;
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Sama ja te kwiaty w ogrodzie mym lubym
Urywając, cierniem zraniłam się grubym:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Jam je z twarzy mojej dodawszy rumieńcu,
Usadziła kołem jednostajnym w wieńcu:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Ażebym do ciebie więcej nie teskniła,
I sercem swe między te róże przywili:
Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Ode mnie ten wianeczek różany.
Wtóry chor młodzieński.
Drugi Amaranth.
Niech się insze w bogate stroją złotogłowy,
Niech skarby na się biorą, niech fryzują głowy:
Niech dyamentami palce swe okują,
Niech szyje zamorskiemi perłami osnują.
Fraszka szumne ubiory, fraszka i bławaty;
Bowiem nie tak na złoto, ani pyszne szaty,
Nie tak się zapalają prędko na pieniądze,
Jako na przyrodzoną gładkość, ludzkie żądze.
Nie pomogą niewdzięcznej twarzy drogie sztuki,
Nie ozdobią jej włosów przyprawnych peruki;
Grunt uroda; komu tej jednej nie dostaje,
Nie dadzą jej bogactwa, ani obyczaje.
Przeto miłszaś ty u mnie nadobna dziewczeczko,
Gdy się z prosta ubierzesz w cieniuchne giezleczo.
Niżeli niepozorna Panna, chociaż szatna,
Miłszaś ty mnie w koszuli, Dziewczyno udatna:
Jeżeli i ta cięży, zrzuć ją z siebie.
I bez niej ma poclecho przyjmę ja ciebie.

Siódmy Aureli.

Ukochana Lancelloto! Ciebie nie proszę o złoto,
Nie chcę u ciebie kamieni Bogatych, ani pierścieni:
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.
Wszakżeś jeszcze ziele siała, Kiedyś mi go oblecała,
Pierwej niżliś go uwiła, Mnieś go darować ślubiła:
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.
Wiem, że się tym nie zubożysz Datkiem, lecz jeżeli się
[drożysz
I chcesz sprzedać, ja kupuję Zaraz się z tobą targuję:
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.
Choć ci ziele darmo dano, Choć za wieńcem dają wiano,
Chociaż na tej kupi stracę, Przecięć go chętnie zapłacę.
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy,
Jeżeli zasie mi darunkiem Nie chcesz go zbyć ni
[szacunkiem:
Bierzże ode mnie w zamiany Za wianeczek zawój tkany.
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.
Nie daszli go w letniej suszy, Sam się od ciepła
[pokruszy
A tak od ciężkiego słońca, Póki nie zwiędnie do końca.
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek rozmarynowy.
Jeżelić go słońce nie spali, Abó wiatr z czoła nie zwall,
Pewnie w ostatniej jesieni, Sam się przestarczawszy
[zmieni.
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy
Przez to nie naruszyś cnoty, Ani popadniesz sromoty,
Gdy nachodziwszy się w wieńcu, Podarujesz go
[młodzieńcu.
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy:
I owszem nabędziesz chwały, Że za podarunek mały,
I za trochę dosyć ziela, Kupisz sobie przyjaciela:
Daj mi najmiłsza z głowy Wianek Rozmarynowy.
Ósmy Thophil.
Przez sen, jawieli, na pięknej łące,
Widziałem strojne Panny grające:
Dwór snąć pięknej Dyany, trzy jelenie białe,
Świetny wóz złotem włoży, ktemu charty śmiałe:

Tyrska szata, smycz na niej, warkocz rozpuszczony,
Trąba, sajdak, pewny znak, że córka Latony.

Wszystkie gładkie, lecz jedna prawie
Jako kwiat róży przy polnej trawie,

Insze przeszła urodą, czoło jej Tyarę

Z Lilji białej niosło własną twarzy miarę:

Jej gwoźdź wszystkie grają, śpiewają i tańczą,

Ona z Boginią łowów, grała Pomarańczą:

Sercu rzecz miła, oczom wejście,

Jedno iż z góry w dół idą cienie.

Dyana ją odwozi matce wozem złotym,

Za nią me oczy idą, poszło serce potym:

Nie wiem kto! lecz po mowie znam, i po ubierze,

Cną Sarmatkę, a we mnie ogień górę bierze:

O można Cypry! jeżeli posługi

Nieważne były, przez ten czas długi:

Daj znać człeka miłego, imię, i ród pomień,

We mnieś ogień wzniecił, wznieć także w niej płomień:

Za co z wonnych ziół ołtarz, i gołębi parę

Piórem równych śniegów, dam ci na ofiarę.

Tylko bądź proszę życzliwa, a ty

Serca ludzkiego, strzelcze skrzydlaty

Wyciągnij niepochybne jedwabiem twe rogi,

Wypuść ku niej władomy belt serdeczny drogi:

Aby me powolności, torem twojej strzały,

Do jej serca lubego, lepszy przystęp miały.

Dwunasty Anzelm.

Trzykroć szczęśliwy wiek kwitnącej młodzi,

Która pod strażą czułą jeszcze chodzi:

Wiek z każdej strony Błogosławiony.

Tych samych miła Bożeczek skrzydlaty,

Na ciele nagle nie mający szaty:

Strzelec okrutny, Zbójca wlerutny.

Choćże się jako między nie wsrubuje,

Złoty od boku sajdak odpasuje,

Pochodnią z dłonie, Kładzie na stronie;

Z niemi w wieczornym przechadza się chłodzie,

Z niemi się pław w przezroczystej wodzie:

Z niemi on śpiewa, I tańce miewa.

Spraw dobry Phebie! żeby moje przede

Leniwo wiły niezblagane jędze:

Abym w młodości, Zniknął starości.

Czternasty Simeon.

Już słońce co dzień wleczorem niżej zapada,

A jesień co raz przystępuje blada:

Na które ukwapliwe i nagie jej przyjscie,

Władnieje trawa, mdleje szmaragdowe liście.

Za nią w też tropy dybią czasy nlewesołe,

Niszczą Wirydarze, lasy stoją gołe,

Zła chwila prace letnie w ogrodach pustoszy,

Lud rozkoszny z folwarków ku domowi płoszy.

Po chwili ostre wichry, gdy się z zimnem zwadzą,

Ostatek ozdób wdzięcznych przeszłej Wiosny zgladzą:

Splondrują Winogrody zarodne do czysta,

Chłodnikom zielonego nie zostawia lista.

Dlategoż ty zawczasu, Faforyno młoda,

Zaniechaj dawcę uciech Majowych, ogroda.

Nawiedz znowu pokoje, i młasto dwójgrodne,

Twojej bytności i twych miłych zabaw godne.

Tu ja nie przy szemrzającym, jak przedtym, strumieniu,

Ani pod lipą, abo w jaworowym cieniu,

Ale raczej w alkierzu, przy ciepłym kominie,

Będę pleśń powtarzał o gładkiej Halinie.

A chociażbym też trafił Bohatyrów sławnych

Składnym rymem północnym krajom czynić jawnych:

Lecz takowa zabawa tych wieków nie płaci,

Kto się jej podejmuje, czas i pracę traci.

A przetoż ja na moim gęgnogłosym flecie

Wolę ogłaszać czy pieszczony po świcie:

Bo gdy we mnie które z nich uderzy ochotnie:

Swym wzrokiem nagroził mi robotę stokrotnie.

Teraz póki ostatki lubieżnego lata,

Póki kresy nie miną uciężnego świata,

Pospieszmy ku tobie: u ciebie schylone

Gąłzle, jabłka słońcem padają zwarzone.

U ciebie nie pozbywa winnica brzemienia,
Ani zielnik pierwszej swej grzeczności odmienia:
A chociaż nas tam Grudzień zaskoczy zazdrosny,
Z tobą w pół zimy, lubej zażyjemy Wiosny.

Siedmnasty Andronik.

Gdzie oświecone Jutrzenką trzy góry,
W ostrych pazurach trzyma żółtoskóry
Lew, kędy tenże nigdy nie uśpiony

Pilnuje brony.

Oto nad płorun, przeraźliwsze strzały,
Z twych oczu na mnie młecze Bózek mały:
Których ani się może człowiek schronić,

Ani zasłonić.

Pieszczone dziecko, skąd wždy na mą mękę,
Tak mierne oko, tak żartką masz rękę.
W której to kuźni, miękkie twoje strzały,

Hartu dostały.

Tyś winna, tyś mu oczu pożyczyła,
Twego to wzroku, nie jego rąk siła:
Twego to serca nieużyte skały,

Ostrzą mu strzały.

O gdyby pomsty chciała tak Bogini,
Co z hardych myśli sprawiedliwość czyni:
Bym przez cię, jako jestem uraniony,

Był uzdrowiony.

Ośmnasty Bineda.

Jest niedostępna jaskinia, gdzie ludzi

Śpiewak czubaty nigdy nie przebudził:

Gdzie nie dochodzą promienie słoneczne,

Tylko szarawa noc, ómy śleje wieczne.

Z lochu cichego potok wyskakuje

Niepomnej wody, która sny cukruje

Szumem miluchnym, Noc czarnoskrzydłata

Wszędzie po gmachu tęsknociemnym lata:

Na łożu gnuśnem sen drzymie leniwy,

Wokoło nłego mak rośnie senliwy,

Na którym ptaków czarnych nieme roje

Budują gniazda i mieszkania swoje.

Tu Zaryadres z piękną się obeznał

Odatą, której krom snu nigdy nie znał.

Tu ją zakusił rokoszy nie trwałej;

Bo gdy nadobne Boginie miły,ły,

Jedna piękniejsza, czyli tak się zdało,

Otoli serce za nią pobieżało:

Zniknęła; gdym się za sercem pokwaplił,

Mnie żal smutnemi skrzydłami oblał.

Dwudziesty siódmy Philoret.

Oczy przyjemne, ale niespokojne,

Hanlebną z sercem mem stoczywszy wojnę,

Plac otrzymały: nie dziw, gdyż oboje

Na jedno serce nacierały moje.

Do tego zdradą, pod płaszczem przymierza,

Gdy się tajemnie oczom serce zwierza:

Ostrą żartkością wzrok zahartowany,

Niespodziewane zadał sercu rany.

Stąd tryumfując, patrząją wesolo

Oczy, koroną otoczywszy czoło,

A kajdanami serce skrępowane,

Idzie na srogą niewolą skazane.

Takowych to dzieł oczy dokazują,

Gdy się z sromoty wrodzonej wyzują:

Tak nie inaczej, wolność serce traci,

Które się z okiem nieprzystojnym zbraci.

Trzeci chor panieński.

Szósta Tamilla.

Dobra noc, trzykroć ukochany,

Dobra noc, Właneczku różany.

Z kwiatków woniących nadobnie uwłty,

I sromieźliwą Lilią podwłty.

Dla ciebie, nie folgując spaniu,

Powstawszy rano po świtanu,

Gdym po Różańcu rozkwitłym chodziła,

Błeluchnem nóżki rosą umoczyła:

Dla ciebie kwiateczki nadobne

Zrywając, paluszki me drobne

Niemłóśierne ciernie poraniło,
Tak, że się dobrze krwie mojej napilo.
A przeciem tak cierpliwą była,
A żem cię do końca uwila.
Uwłwszy, twoją pozorną koroną
Przyozdobiłam kosę uplecioną.
Cóż potym? gdy słońce gorące
W południe, Róże w nim pachnące
Wnłwecz spaliło, że wszystkie powiędły,
A koralowe goździki pobledły:
Dobra noc tedy ukochany,
Dobra noc właneczku Różany.
Żegnam się z tobą, żegnam ostatecznie,
Dobra noc miewaj, dobra noc miej wlecznie!
Dwudziesta Halcidis.
Mądrość jest nad mądrościami,
Widzieć śmiertelną za nami
Pogonią, która wyrokł
Mieć na świat bez odwłoki.
Jako z pędem na dół wali
Wiatr skałę, którą obali:
Tak się nasze przerywają
Lata, kiedy koniec mają.
Jako z cięciwy wypada
Strzała, a wicher nła włada:
Tak nas, tak nasze nadzieje,
Śmierć współ z prochem rozwleje:
A kto się rozbraci z światem,
Wszystkie jego sprawy zatem
W niepamięci ponurzone,
Ludziom nie będą wspomnłone.
Właśnie jako kiedy morze,
Okręt wielkim gwałtem porze:
Skoro ujedzie, by znaku,
Nie znać jego najmniej ślaku.
Marność jest nad marnościami
Świat ten z swojemł pompami:
A przecie ludzi tak wiele,
Każe nań hardzie i śmiele.

Samuel ze Skrzypny Twardowski (1600—1660).

Jedną z charakterystycznych cech poezji wieku XVII-go stanowi wyraźny zwrot do epiki.

Nie był wprawdzie ten rodzaj twórczości obcy i wiekowi XVI-mu, bo próbował go nawet Jan Kochanowski w opiewaniu Grunwaldu i Warny, ale — jak słusznie zauważa prof. Brückner — »czasy widocznie nie sprzyjały epopei: walki toczono wówczas wewnętrzne o sumienia, o wyznanie, gdy w wieku XVII-ym ciągle wojny na krwawy »taniec« Rzeczypospolitej się złożyły. I porwał wicher wypadków poezję szlachecką i wznosił ją na wyżyny epiki, gdzie dotąd polska stopa nie stanęła«.

Nie dokonało się to jednak odrazu. Umysłowość i smak szlachty musiały przejść przez odpowiedzialną szkołę. Była to szkoła podwójna. I literacka i życiowa.

W pierwszym kierunku zasadniczego nabiera znaczenia wydany w r. 1618-ym, a później kilkakrotnie przedrukowywany, przekład poematu Torquata Tassa p. t. »Goffred albo Jeruzalem wyzwolona«. Przekład ten wyszedł z pod pióra Piotra Kochanowskiego, syna Mikołaja (autora Rotu), ur. w r. 1566-ym, ucznia królewleckiego, później często bawiącego we Włoszech i stąd doskonale posiadającego język włoski. Zachwycony utworem Tassa, przełożył go Piotr Kochanowski na język polski, »aby się pokazało — jak sam mówi — że język nasz nie jest nad inne uboższy i aby się szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go dalsza podała droga«.

»Goffred« nie tyle dla swolch niezaprzeczonych piękności poetyckich i formy dotychczas w Polsce nieznanej, bo wprowadzającej do poezji »rym ośmioraki, jakim na-

rody polerowańsze swoje heroica piszą — ile dla treści ducha rycerskiego niezmiernie przypadł do upodobań szlachty.

Trzeba uwzględnić, że było to w przededniu Cecory i Chocłma, że ta sama walka krzyża z półksężcem, która toczyła się w poemacie Tassa, toczyła się także w Polsce, będącej »tarczą i przedmurzem chrześcijaństwa«, że więc rycerstwo polskie znajdowało tam odbicie niejako własnych swoich uczuć. I dla tego samego już nie mogło brakować »Jerozolimie wyzwolonej« czytelników. Byłby ich niewątpliwie także zdobył sobie i »Orland Szalony«, z ogromnym nakładem pracy przez tegoż Piotra Kochanowskiego przełożony, ale ten w druku się nie ukazał i znany był tylko nielicznym współczesnym z odpisów.

Jeżeli więc idzie o wpływ na ogół, to miał go tylko poemat Tassa.

Odpowiadał on znakomicie rycerskiemu rozmachowi i szerokiemu gestowi pokolenia, któremu przypadło w udziale krwawe zmaganie się z nieprzyjacielem, zalewającym Rzeczpospolitą, niby potop. Walki ze Szwedami, walki z kozaczyzną, z Tatarami i Turkami — to wszystko w ciągu wieku XVII-go samo już złożyło się na epos. Życie więc było drugim czynnikiem stopniowego przeradzania się smaku, bo szlachcic, skoro po dniach walki i trudów obozowych odpasywał miecz i zażywał szczęścia i błogostanu pokoju, chętnie słuchał bohater-skiej powieści o tych, którzy krwią swoją służbę ojczyźnie odśleżyli, bo miał przeświadczenie, i słuszne, że ta powieść i o nim mówi, gdyż i on bywał uczestnikiem opiewanych wielkich wydarzeń.

I w tem tkwi tajemnica, dlaczego ponad wszystkich poetów ówczesnych najumiłowańszym i najpopularniejszym był Samuel ze Skrzypny Twardowski, do wyżyn »polskiego Wergila i Tassa« przez szlacheckich czytelników swoich podniesiony.

Gdzie i kiedy urodził się ten pierwszy epik polski, nie wiemy. Imienia jego ojca ani nazwiska pańien-skiego matki nie znamy. Na podstawie pewnych szczegółów z jego życia wolno jednak domyślać się, że przyszedł

na świat około r. 1600-go w okolicy Skrzypny lub Twardowa w Wielkopolsce.

Pochodził ze szlachty niezamożnej. Nauki pobierał prawdopodobnie w kolegium jezuickim w Kaliszu. Wykształcenia wyższego nie odebrał. W Akademii Krakowskiej nie był. Natomiast od bardzo młodego wieku »polerował się« zwyczajem ówczesnym na dworze ks. Krzysztofa Zbaraskiego, z którym, w charakterze sekretarza, jeździł w poselstwie do Turcji w r. 1622—23-im. Podróż ta niewątpliwie dała mu dużo. Zobaczył barwny Wschód, poznał i zbliżył się w drodze z ludźmi wyższej kultury, zadzierzgnął z nimi trwałe stosunki i zasmakował w życiu umysłowym.

Niektórzy biografowie jego przypuszczają, iż towarzyszył następnie królewiczowi Władysławowi (IV) w podróży po Europie w r. 1624—5-ym. Przypuszczenie to jednak nie znajduje żadnego uzasadnienia.

Najprawdopodobniej był dworzaninem Zbaraskiego aż do jego śmierci, poczem — jak pisze Siarczyński — «w r. 1627-ym przeniósł się w służbę ks. Wiśniowieckich, którym sypie bez miary pochwały, jakby za to był płatny».

Jak się zdaje — wnioskuje prof. Ad. Bełcikowski w swem studjum o Twardowskim — wieszał się także i przy Łubieńskich, coby pokazywały panegiryki, na cześć tej rodziny pisane. W jednym z nich Twardowski mieni się przynajmniej g o d o w n i k i e m, jeśli nie dworzaninem St. Łubieńskiego, biskupa płockiego.

Później, dosłużywszy się widać jakiej takiej fortuny, zamieszkał na wsi i zajmował się rolą. Na końcu bowiem swej rymowanej historii p. t. Władysław IV, wydanej w r. 1650-ym mówi: »Partus jest nie rzekę, któreby temu należało dziełu, ale to t c u r a r u m w gospodarstwie szczupłym i kłopotów wiecznych. A to cóżkolwiek jest, w dorowczą tylko, canis more bibentis Nilum, gwałtem wypuściłem na świat«.

Niepokoje wojenne, jakich Polska tak często doznawała za Jana Kazimierza, przerywały i Twardowskiemu spokój i obcowanie z muzami. Nie do wczasów było mu czarnoleskich »pod lipą« na wzór Kochanowskiego. Od-

głosy walk dobiegały i do jego Zarubniec na Podolu, aż wreszcie pewnej nocy niebo zapłonęło dokoła krwawymi łunami pożarów. To Chmielnicki zajął Zbaraż. Wówczas poeta, który chociaż rycerskie pieśni śpiewał, sam jednak rycerzem nie był i, jak się zdaje, w żadnej wyprawie czynnego udziału z bronią w rękę nie brał, opuszcza Zarubińce i, niby lary i penaty, zabiera z sobą swoje rękopisy. Sam opisuje to wydarzenie z żałosliwym sercem w *Wojnie domowej*:

... »Tużem też nie czekał
I ja dłużej i równo z drugimi uciekał.
Przyznam się nie leniwiej; fanty prócz domowe
Milsze z sobą, a zbiory wiotche papierowe
W małym pudle uniosłszy. Lubo (co za dziwy?)
Uciekał i Pindarus: w tym jednak szczęśliwy,
Że gdy Teby gorzały, Filip mu ochronił
Jego tam Muzeolu. Mego nie obronił
Żaden dźwięk Apollinów, ani głos łabędzi
Niebieskiej Melpomeny! O słodkiej pamięci
Dziedzino, o nad Hible kochańsza pasieko,
Tożci od swej ozdoby bardzo dziś daleko«.

Wielkopolański, opuściwszy Podole, powrócił do Wielkopolski, gdzie w r. 1650-ym osiadł ostatecznie i został zarządcą Zalesia, dóbr Sienluty. Tam umarł około r. 1660-go.

Trzymanie się przez całe życie klamki pańskiej — stwierdza prof. Belcikowski — wywarło stanowczy wpływ na utwory Twardowskiego w większej ich części. Z początku pisał panegiryki Zbaraskiemu, Wiśniewieckim, Leszczyńskim i innym panom polskim, następnie, kiedy doszedł już do pewnej sławy, ośmielił się podnieść głos na chwałę swych monarchów, a nawet, kiedy okoliczności kazały, nie wahał się witać Karola Gustawa jako zbawcę Polski. Wprawdzie powrócił później na stronę Jana Kazimierza i prawdopodobnie brał udział (w r. 1656-ym) wraz z szlachtą wielkopolską w powstaniu przeciwko Szwedom, to jednak poprzedniem swem postępowaniem doprowadził wielkiej zasad chwiejności i charakteru kompromisowego.

Pierwszym jego utworem znaczniejszym była: *Przeważna legacja* J.O. Krzysztofa Zbaraskiego ... od najj. Zygmunta III-go, króla polskiego i szwedzkiego, do najpotężniejszego sułtana cesarza tureckiego, Mustafy, w r. 1621-ym... wydana w Krakowie w roku 1633-im i powtórnie tamże w r. 1639-ym. Twardowski, jako członek tego poselstwa, prowadził diariusz, w którym zapisywał wszystkie sprawy ważniejsze, i na tej podstawie pracę swoją później ułożył. Sam informuje nas o tem w przedmowie: »które (legacji) — pisze — memorabilia, będąc tej drogi comes, notowałem był prywatny diariusz, a potem per otium wierszem ojczystym illustrowałem«.

»Przeważna legacja« jest wielkim panegirkiem na cześć ks. Zbaraskiego, chociaż nadaje jej niejaką przedmiotową wartość i większy interes opisanie tych wrażeń, jakich poeta doznał w czasie podróży i pobytu w kraju, różnym tak dalece od Polski naturą, religją i zwyczajami:

Utwór zaczyna się od wywodu rodziny Zbaraskich i wyliczenia czynów pośła i jego przodków. Następnie opowiada Twardowski powód tej legacji, t. j. wojnę turecką z r. 1620 i 21-go i dwa jej najważniejsze epizody, bitwę pod Cecorą i oblężenie obozu pod Chocimem. Zbaraski został wysłany od Rzeczypospolitej dla zatwierdzenia warunków pokoju, spisanych jeszcze pod Chocimem. Aliści ówczesny wezyr, Dziurdzi, zdecydowany wróg Polski, warunki te lekce sobie ważył i wbrew nim pragnął wojnę wznowić. Twardowski podnosi tedy zasługi Zbaraskiego, jako pośła, i uwydatnia trudy, jakie poniósł, aby rzecz do skutku doprowadzić i zwalczyć »Serajowe intrygi«. Pomoc okazali posłowi polskiemu: matka sułtana i przeciwnik wezyra, Daud, który wkrótce życiem za to zapłacił. Sprawę rozwiązało dopiero zrzućcie Dziurdzkiego z urzędu, poczem nowy wezyr pokój już bez trudności podpisał.

Taką jest treść »Legacji«. Opisy krajobrazu wschodniego i niektórych ważniejszych budynków w Konstantynopolu urozmaicają tę relację dyplomatyczną i wnoszą do niej pierwiastek poezji. Niektóre z tych opisów są nawet

ładne i świadczą, że Twardowski podróżował z oczyma otwartemi na piękno przyrody, że był obdarzony wrażliwością artystyczną i wyobraźnią, która umiała rzeczy widziane odtwarzać.

Dla Polaków, którzy mieli wówczas częste stosunki z Turcją, były to sprawy ciekawe. Niejeden mniej uczony szlachcic dowładywał się dopiero od poety, jak wyglądał ten kraj, z którym ojczyzna jego pozostawała w ciągłej walce. Niejeden czerpał też z »Legacyi«, jak my dzisiaj czerpiemy z encyklopedji, wiadomości o religji tureckiej, o zabobonach i obyczajach narodowych, o handlu zamorskim. Posłuchajmy tylko, jak opowiada Twardowski:

»Płyniem w pięknych peremach po Poncie wesoło,
Najady i Delfini igrają nas wkoło,
Harce z sobą staczając, zwłaszcza z Hellesowi,
Gdy płyną ku bystremu w zwodę Bosforowi.
Jeśli ludziom natura w czem dogodzić chciała,
Wszystko to jako sznur jeden tu zebrała,
Którą część morza starzy zwali Chryzocera,
A leje między wielkim Stambułem a Perą.
Wdzięczne dwa czyni porty. Co pod Bezestanem
Tureckie kleremsały, gdzie z złotem odlanem
Stawa Maur; gdzie ryżu i innej żywności
Miastu Egipt dodawa w wielkiej obfitości.
Tyrus konchy i szkarłat, perfumy Nubla,
Balsamy Antyliban drogie tu rozbija,
Damaszek składa jedwab, Angura czamlety,
Perły Aden, złotogłów Arach i telety.

Muszkatety Kandya, świeże Korf cytryny,
Stallimene naczynia z wulkanowej gliny,
Czoldary Karmania i haftyrskie bryże,
Dyarbeka bułaty i piękne pałże.
I nic słońce nie rodzi i nic ludzkie dziło
Nie dokaże takiego, na czymby schodziło
Do uciechy i oczu i sytości żądze.
Jedno tu skok i Rodus: z sobą mieć pieniądze.
Drugi port pod Galatą, gdzie zaraz na czele
Chrześcijańskich okrętów widzieć bardzo wiele,

Świetnemi po wysokich masztach proporcami
I szumnemi daleko wiewając żaglami.
Złożywszy na Galatę, co ich niosą kraje,
Wenet zwłaszcza granaty, Flander lekkie szale,
Anglik srebro i cynę, Norweńczyk sobole,
Spiże biorą i inne towary w Stambole.

Niżej widzieć arsenał na ćwierć mili długi,
Pod dachy spiżowemi, jakim kosztem drugi
Mienią być w Alkairze; tu galery stoją,
Gdzie fale, ani plusków morskich się nie boją... i t. d.

Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych opisów współczesnych portu Konstantynopolskiego i przewalającego się w nim bogactwa. Dokładność informacji łączy się tu z barwą, uchwytą tylko dla oka poety. Z innych ustępów »Legacyi« zasługuje jeszcze na uwagę ciekawy, acz nieco przydługi epizod, dotyczący sławnej Roxolany, co:

»Podłego z Rohatyna popa była córą,
Oddana niewolnicą do Szaraju, którą
Z urody jej Soliman tak podobał sobie,
Że nad wszystkie sultany przeniósł ją w ozdobie.
W którym szczęściu i takich widząc się terminach,
To jedno przedsięwzięła, żeby przy jej synach,
Których dwóch: Bajazyta i Selima miała,
Państwo się ottomańskie i władza została.

...
Oto i tu Soliman, którego szeroki
Świat się lękał po Eufrat i Altańskie boki,
Jednej Rusce ubogiej da się za nos wodzić,
Że żądom jej i chytrej woli chce dogodzić...

Kończy się »Legacya« wzmianką panegiryczną o ostatnim jeszcze czynie Zbaraskiego, t. j. o jego udziale w wyprawie szwedzkiej i śmierci chwalebnej, jaką tam znalazł.

Z panegirycznego biorąc stanowiska, ustęp ten należy do najbardziej »stylowych« w poemacie Twardowskiego. Szczególnie sam opis śmierci Zbaraskiego zasługuje na uwagę:

»Tedy swe niedostatki oplakawszy łzami,
I świetem omywszy je Sakramentami,

Śmierci, gdy już nadzieje nie było o zdrowiu,
Jako wielki bohater, czekał pogotowiu.

Jako więc na Atlancie Fenix złotopióry,
Na stosie drew cedrowych czeka słońca z góry,
Które, gdy lew rozbada w swej zapalczywości,
To zostawa, wypali w nim skazitelność.

Gdy medyk się zaduma: Po mojej-li cerze
Czegoś i (praw!) postrzegłszy trwożysz się, Kroklerze?
Mniećby ten strach należał a nie tobie raczej,
Kiedy umrzeć, to umrzeć, gdy próżno inaczej.

Płaczą słudzy około: Cóż płaczecie i wy?
Przeto-li, że umieram? A tom jeszcze żywy,
Niewlastom te pieszczoty raczej zachowajcie,
A wy się módlcie za mnie i Boga błagajcie.

Wtem, gdy się zapomina i śmiertelnie sill,
Prosi medyk, żeby mu z oczu ustąpili.
— Nie każ im (pry) odchodzić, nie każ drzwi zawierać,
Że się dzisiaj ode mnie nauczą umierać.

A ku nim się skłoniwszy, młde się rozstawa
I rękę z nich każdemu na fant wieczny dawa:
O! jeźlim komu niepraw i w czym nie dogodził,
Proszę, odpuść — człowiekiem snadzłem się urodził.

Pojrzy potem na obraz świętej Magdaleny:
Tej-li była, Boże mój! grzesznica ta ceny
I u ciebie zasługi, że za zbrodni siła
Jednym sobie olejem zbawienie kupiła, —

Bądź i mnie także łaskaw, ani mej młodości
Grzechów, proszę, pamiętaj, co za krwie i złości
Znajdzie się niedostatków w słabem ciele mojem,
Utop w nieogarnionem miłosierdziu swoim.

To co raz powtarzając, w niezmiernej tęsknicy
Westchnie znowu głęboko ku Bogarodzicy:
I ty, święta, przybądź mi w ciężkiej potrzebie,
Wszak wiesz, że za patronę i panią miał ciebie!
Z tem ducha oddał Bogu. Tu sam już nie zdołam,
Apollina i bogiń z Helikonu zwołam,
Że ostygłe opłaczą ciało jego łzami
I wonne miobłóżą skronie kupressami.

Padłeś już, zacny panie, na słoniowe brony,
Z szkodą nieopłakaną wszytkiej tej Korony,
Która widzi dopiero, zważywszy się z sobą,
Jako wiele ubyło twoją jej osobą.

Widzi pan, widzi dobre i poselskie koło,
W któreś ty nad inne pierwsze trzymał czoło
I długo pomnieć będzie żarliwość twą onę,
Za co tu sławę wieczną, w niebie masz koronę.

Żyć już Bogu, a jeśli moje co Kamoreny
Będą umieć i jakiej dojdą potem ceny,
Póki Arktur pożenie złote gwiazdy swoje,
Z ust ludzkich nie wynijdzie sławne imię twoje...

»Legacya« — z naciskiem zaznacza prof. Bełcikowski — jest utworem młodocianej muzy Twardowskiego i może dlatego posiada siłę w wyrażeniu i treściwości, które ją wyżej stawiają nad inne jego historyczne poematy. Niema w niej nagromadzenia niepotrzebnych porównań i wymuszonych podlotów natchnienia, jakimi gdzie indziej często grzeszył. Opowiadanie odznacza się prostotą i wdziękiem nawet w tych miejscach, gdzie poeta w wyższym nastroju się odzywa, a gdzie później trudno mu przychodziło uniknąć tak swoistej dla poezji barokowej napuszystości. Nawet surowy krytyk pisarzy polskich, Niemiec, Braun (w wieku XVIII-ym), wyraził się o tym utworze z pewną pochwałą.

Powodzenie »Legacyi« u współczesnych musiało być duże, skoro skrócił ją i wydał w przekładzie łacińskim prozą Samuel Kuszewicz w Gdańsku, w r. 1645-ym.

Od wydania »Legacyi« przez czas dłuższy nie mamy wybitniejszego śladu działalności poetyckiej Twardowskiego. Do okresu tego zdają się jednak należeć wiersze okolicznościowe, przeważnie panegiryki, dla różnych pisane osób, wysokie zajmujących stanowiska, pełne przesadnych pochwał i pochlebstw. Zebrane w jedną całość, wyszły one z druku dopiero po śmierci autora w r. 1681-ym w Kaliszu (dwie edycje), staraniem oo. jezuitów p. t. »Miscellanea selecta, w różnych panegirycz-

ných okazjach do druku sparsim podane, teraz, jako godne pamięci, w jeden opus zebrane».

W »Miscellaneach« jest wiele rzeczy — zdaniem Bełcikowskiego — z talentem napisanych; całe nawet wiersze wolne są nieraz od przesady i erudycji mitologicznej, która dla nas, współczesnych, czyni tak uciążliwym czytanie poezji ówczesnej. Nadto osobne zbiory Twardowskiego odznaczają się językiem wyrobionym, zwięzłym, przypominającym nieraz plastyczną precyzję Horacego. Ale większą część »Miscellaneów« ma, niestety, wady cechujące zawsze panegiryczną, więc różne niedorzeczne aluzje, przesadę uczucia i nadętość w słowach.

Twardowski, chcąc np. napisać wiersz młodzieńkiemu ks. Wiśniewieckiemu, tak go zaczyna:

»Skądem niebieskiej pełen dziś otuchy,
Co mię za wieszczę porywają duchy!
Że, wzbity pióry ku górze nie swemi,
Zdam się, zdam sobie chodzić nie po ziemi?»

Wystawmy sobie — dodaje Bełcikowski — że bohater, którego poeta ma oplewać, jest dzieckiem nie wyszłem może jeszcze z kołyski, a zrozumiemy całą śmieszność podobnego natchnienia.

Takie jednak były już czasy, taka ich maniera poetycka. Twardowski nie mógł się z tych nałogów wyzwolić, bo nie był genjuszem, torującym nowe drogi. Szedł ścieżkami, które ucierała epoka, a epoka ta w smaku swoim skłaniała się ku przesadzie i nieprawdopodobieństwu, często grzeszącym przeciw zdrowemu sensowi. W jednym z najdłuższych panegiryków, umieszczonych w »Miscellaneach« p. t. »Pałac Leszczyńskich«, a napisanym z powodu objęcia generalji wielkopolskiej przez Bogusława Leszczyńskiego, mamy doskonały przykład podobnego rodzaju utworów, a szczególnie ich kompozycji, pozbawionej poczucia estetycznego i miary estetycznej.

Rzecz zaczyna się od opisu wspaniałego pałacu bogini Sławy, znajdującego się niby w Poznaniu(!). W tym pałacu umieszczone są wizerunki wszystkich przodków Leszczyńskiego, których dzieje i czyny poeta oplewa. Następnie Sława przyjmuje w swojej rezydencji żyjących

Leszczyńskich, przyczem znów czytamy pochwalne ich życiorysy. Lecz nagle, przez metamorfozę, urojony zamek Sławy przemienia się w pałac Leszczyńskiego, a uczta niebios, podczas której sam Apollo przygrywał, staje się huczną biesiadą u stołu jenerała, gdzie zamiast ambrozji i nektarem, karmią miłych gości udźcami wołowemi i poją przednim trunkiem:

»Bo oto wnet niewiedzieć gdzie się co podzieje:
I pałac on i oraz stoły tak bogate
Giną nagle a insze nastawiają za te.
Ustępują smaragdy drogie i marmury,
A proste z swych filarów podnoszą się mury.
Owo, tylko co oczy ze mgły tej przetrzemy,
W zamku się i sądowej izbie obaczemy,
Gdzie co nieśmiertelnego, wszystko uleciało,
A samo, oprócz imie pani tej zostało.
Taż jednak uroczystość, ci i goście siedzą
Oprócz, że już inaczej i plją i jedzą.
Majestat i przedziwne aparaty one
W bankiet hojny i ludzkie cery przemienione:
Za duchowne potrawy kurzą się gorące
I woły i jelenie, złotem i grożące
Z pasztet włoskich rogami, i jakleń owa
Pachnie tylko perfumy kuchni Lukullowa.
Za niebieskie nektary i skąpe farfury
Flasza wina i ciężko naplenione kury
Wągrowieckich likworów, skąd glanc bije złoty,
A wszystko z gospodarskiej śmieje się ochoty,
Którą nie już Apollo, ni owe sonety,
Ale dęta muzyka pobudzi i flety
I sztorty i puzony i w jeden takt z niemi
Tańce, skoki, balety, gony przyjemniemi.
Aż gdy wtem pod dobrą myśl i gorętsze cery,
Ktoś tam, pełną za zdrowie, dobrej maniery,
Chyli do dna, a zaraz hasło drudzy bierzą,
Że w ten trop i skłnienie na Vivat uderzą
Z dziań po miejskich cekauzach i dużych moździerzach,
Tu zaś szcęk od tłuczonych nożami talerzy

Rozleże się po izbie — tedyż, tedy i my
Trzeźwe dotąd napuszmy tą ochotą rymy,
Że na wiele odezwą głosów się i chórów:
Niech żyje nam Bogusław, przeżyje Nestorów
I wszystkie starożytność! Codzieli mu ozdoby
Nowe rosta! A gdzieś tam za górę Abnoby
Imię jego przepadłszy i Atlant daleki,
Po nim syn niech wywodzi generał na wieki!

Ogarnia nas tu typowo barokowy nastrój. Nigdzie indziej, chyba dopiero w »Pamiętnikach« Paska i w jego oracjach występuje barok polski równie plastycznie i równie w całej pełni.

W »Miscellaneach« także znajduje się ów niefortunny wiersz, w którym Twardowski Karolowi Gustawowi trwale nad Polską przepowiada panowanie. Wiersz ten nosi tytuł: Omen królowi szwedzkiemu, wymuszona przy zgubionej natenczas ojczyźnie poesis. Ten dodatek nie znajdował się zapewne, jak przypuszcza Bełcikowski, na pierwotnym, luźnym wydaniu wiersza. Nie wiadomo czyje on jest ręką, czy samego poety, czy też tych, co go chcieli w oczach narodu uniewinnić. Wiersz ten musiał bowiem wielkie w swoim czasie zrobić wrażenie. Zwrócił na niego uwagę Braun i powiada, że »ludzka niedoleżność autora w nim się pokazała, który w owym zamieszaniu ojczyzny, przez tylu nieprzyjaciół rozdartej, nie mógł dojrzeć nigdzie przyświecającego słońca pokoju. Lecz nie wątpię, że żałował potem swej nierozważnej przepowiedni«.

Nie można jednak myśleć — dodaje od siebie Bełcikowski — aby Twardowski napisał ten wiersz tylko dla zysku i przez pochlebstwo. Wprawdzie byłoby to dosyć do prawdy podobnem, skoro poeta przez całe życie pisał panegiryki i zawsze kogoś uwielbiał, ale tym razem byłoby to za wiele! Z samego tego wiersza, jak z innych jego pism, należy raczej sądzić, że go napisał ze szczerzego przekonania i w najlepszej wierze. Twardowski był monarchistą i chociaż swoją drogą schlebiał często wysokiej szlachcie, to jednak podzielał zdanie wielu ówczesnych ludzi, którzy rzeczy głębiej brali, że

gminowładztwo szlacheckie i t. zw. złota wolność, będąca jakby delikatnym synonimem wyrazu trochę ostrzejszego: »nierząd«, muszą Rzplłą przeprowadzić do zguby:

»Znak pierwszy (a powiem to śmieie)
Zguby naszej — konstytucji wiele —«

mówi w wierszu: »Na sejm zerwany w Warszawie 1639«, na którym toczyła się sprawa o tytuły książęce. Dlatego całą duszą był on za zmianami, które Władysław IV-ty chciał na korzyść królewskości przeprowadzić. Klęski, jakich Polska doznała za Jana Kazimierza, a szczególnie wojna ze Szwedami, którzy całym krajem zawładnęli i króla z państwa wypędzili, była w oczach Twardowskiego tym kresem nieszczęścia, do którego Bóg chciał Rzplłą za jej grzechy doprowadzić. Stan rzeczy musiał się przeto odmienić — i Twardowski ujrzał w Karolu Gustawie zbawcę i odnowiciela ojczyzny, który miał rozkiełzaną swawolę ująć w karby i rząd silniejszy zaprowadzić.

Tak czy inaczej była to pomyłka, której historia literatury poecie nigdy nie wybaczy.

Wróćmy jednak do pozostałych »Miscellaneów«. Znajdują się wśród nich jeszcze cztery treny na śmierć jedynej córki Twardowskiego, Marianny. Jest to, co nietrudno ustalić, naśladowanie trenów Kochanowskiego. Poeta, jak wielu jego poprzedników i następców, był pod tak silnem wrażeniem nieśmiertelnego piękna poezji Kochanowskiego, że uległ wpływowi jego całkowicie i nie umiał nawet innemi słowy bólu swojego serca ojcowskiego wypowiedzieć, skoro los dotknął go nieszczęściem. I on, jak Kochanowski, »ledwie się ucieszył z wdzięcznej swojej córy« i on wolałby: »bodaż była nie weszła« i on cierpi podwójnie, patrząc na cierpienie żony, i on czuje, że obojgu im, jako rodzicom bolejącym, nic już nie pozostało:

»...jedno z różanymi
mieć się prędko za tobą stopeczkami twymi«.

Reszta utworów, zawartych w »Miscellaneach«, to już tylko panegiryki.

Do tej kategorii, tak pospolitej w tych czasach, należy także utwór większy, wydany osobno w Lesznie, w r. 1646-ym, ale, jak się z przedmowy dowiadujemy, napisany już przed 10-iu laty. Jest to w genealogicznym porządku przedstawiona pochwała czynów Wiśniowieckich, szczególnie zaś koniuszego koronnego, ks. Janusza. Z wydaniem tego utworu autor czekał, aż synowie księcia podrosną, aby im mógł podać ojca za przykład.

Do właściwości tego rodzaju płodów — zaznacza Bełcikowski — należy ustęp, gdzie Wiśniowiecki rozmyśla, kogoby pojął za żonę... wtem zjawia się przed nim Merkur i wpływa na jego postanowienie, oświadcza, że księżniczka Konstancja na żonę mu przeznaczona.

Z tym to Januszem ks. Wiśniowieckim, którego był dworzaninem, zdaje się, że był Twardowski na sejmie w Warszawie w r. 1635-ym i widział tam wystawioną na teatrze, urządzonym przez Władysława IV-go w nowo zbudowanym zamku warszawskim, operę włoską p. t. »Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe«. Autorem libretta — informuje Br. Chlebowski — był prawdopodobnie Jeremjasz Pascati, muzykę zaś zastosował zapewne jeden z licznych włoskich artystów, których ścigał na swój dwór lubujący się w tej sztuce Władysław IV-ty. Dla dogodności widzów, nie rozumiejących po włosku, wydrukowano krótkie streszczenie polskie tej sztuki, nazwanej na karcie tytułowej: »Apolog albo baśń Owidyuszowa, która była reprezentowana muzyką, na kształt komedyi, przed obecnością Króla i Mości, Królewiców i Ich Mości i Ich Mości panów senatorów koronnych w Warszawie, po Sejmie roku Pańskiego 1635«.

»Daphnis« wywarła na Twardowskiego wpływ duży. Czy znał język włoski, czy tylko opierał się na streszczeniu polskim libretta — tego nie wiemy. Dość, że napisał na tem tle i pod tym samym tytułem uroczą sielankę miłosną — i napisał ją oryginalnie, wbrew długo trzymającemu się przypuszczeniu, iż był tylko jej tłumaczem lub naśladowcą.

Trzy wydania tego utworu, dokonane kolejno w ciągu lat 60-ciu (Lublin 1638 (unikat), Kraków 1661 i Kraków

1702) świadczą wymownie, iż współcześni umieli ocenić piękność tej sielanki dramatycznej, o której później, niestety, zapomniano.

Przywrócił ją literaturze i w należytem świetle ukazał dopiero prof. Bronisław Chlebowski (Pisma, tom III).

Treść *Daphnidy* jest następująca: Apollo, zabijwszy smoka Pytona, chlubił się z tego czynu i wynosił nad Amora, którego strzały w zniewieściale tylko serca uderzają. Obrażona tem Venus pobudza do zemsty swego syna. Za jego sprawą Apollo, spotkawszy w lesie Daphnidę, gorącą ku niej zapalał miłością, ale Daphnis przyjmuje ją obojętnie a nawet ze wstrętem. Żale i prośby Apollina tchną gorącą nieraz namiętnością i zniewalają współczucie czytelnika obrazowym i pełnym siły językiem. Ale kompozycji dramatycznej — czyni słuszną uwagę Bełcikowski — brak tu zupełnie: są to liryczne sceny wynurzeń serca, gdzie główną rzecz przeplatają epizody, do niej ściśle nie należące, t. j. rozmowy pasterzy i pasterek o tajemnicach i kłopotach serdecznych, posiadające wszystkie zalety sielanki wergiljuszowskiej.

Trzeba także nadmienić, że poemat ten pisany jest w stancach, najczęściej nierozrywanych przez dialog, co dla prawdziwego dramatu byłoby niepodobieństwem i nazbyt sztuczną formą.

Nigdzie język Twardowskiego nie jest tak wdzięczny, tak daleki od zwykłej nam przesady, jak w *Daphnidzie*.

Oto jak Apollo, znajdując po długiem szukaniu śpiącą Daphnidę, przemawia do niej:

»Owoż i moja kochanka szukana
Na miękkim darniu sama się złożyła,
Żeby niewczasem przykrym zmordowana
Ciężkim podobno członkom co ulżyła;
Jako gdy Febe rannym dżdżem zmaczana
Na swym Jacyncie oczu przymrużyła,
Nad rubin krwawy i światło miesięczne
Ku śmiechu usta skłoniły się wdzięczne.

Południa skronie ogniem jej pałają,
A pot perłowy spada na jagody,

Ptaszka drobne jej przyśplewywają,
Łagodnie szemrząc pochlebiają wody
I Fawonicył ze stron powiewają,
Słodki sen nosząc i uczesne chłody.
Lewą się wsparła, w prawej trzyma rękę
Konia na wodzy, a sajdak u lęku.

Cóż czynisz, serce, że się nie wydzierasz
I zbiega swego nie polmasz śmieie,
Tać to jest Daphnis, dla której umierasz
I trawisz nocy niespanych tak wiele?
Czemuś w opale, czemu nie nacierasz,
Oto masz w rękę swych nieprzyjaciele,
Masz obłów wdzięczny, który gdy uronisz,
Rączym go potem pegazem nie zgonisz.

Cóż gdy lituję i żal mi, żal srodze,
W pół tak uczesnej przebudzić ją chwile...

Z przytoczonego powyżej urywka widać jasno, że Daphnis jest utworem dla historii literatury bardzo ważnym, poemat ten otwiera bowiem poniekąd nową epokę poezji miłosnej w Polsce, nowy jej rodzaj, w którym czyste uczucie góruje nad zmysłami.

— Skądże — zapytuje Chlebowski — wzięły się w Polsce z połowy XVII-go wieku grunt i atmosfera, na którym i wśród której mógł wyrosć taki kwiat uroczy, jak Daphnis Twardowskiego?

— Rozpatrzenie się w literaturze tego wieku — odpowiada — ukazuje nam w ówczesnym społeczeństwie stopniowe uszlachetnianie zmysłowego popędu przez budzącą się wrażliwość na piękno wogóle, a na wdzięki kobiece w szczególności. Coraz wyraźniej występuje tu wymaganie harmonji między zewnętrznymi a wewnętrznymi przymiotami kobiety, dążenie do oparcia sympatji na podstawach trwalszych, niż chwilowe pobudzenie. Uczucie miłości zyskuje coraz większą moralną i etyczną wartość i poeta może nie tylko już wprost z serca dobywać i na rodzinny ton nastrojać pieśń miłosną, ale też znajduje słuchaczy, zdolnych odczuć jego pieśni. Na wytworze-

nie tego stanu złożyły się dwa rodzaje przyczyn: naprzód wiekowe przeszło oddziaływanie czysto fizjologicznej natury bodźców, podniecających wrażliwość i potęgujących czułość systemu nerwowego, jak: wygodnie i zbytownie urządzone mieszkania, wytworne ubiory, wyszukane pokarmy i napoje i t. p., a obok tego: stopniowe przyswajanie pojęć i coraz subtelniejsze odczuwanie uczuć, które wytworzyły i utrwaliły w literaturze i sztuce społeczeństwa starożytne i współczesne: włoskie i francuskie. Asymilację tę ułatwiała częste podróże, przedsiębrane w wieku XVI-ym dla studjów naukowych, w XVII-ym zaś przeważnie dla oglądy obyczajów i rozrywki. Podczas gdy początkowo jeździli do Włoch przeważnie synowie mieszczan i średniej szlachty dla słuchania teologii, prawa lub medycyny na uniwersytetach Padwy lub Bolonji, to następnie i możni panowie i panowie udają się w podróż po całej zwykle Europie dla nabrania po dworach monarchicznych i magnackich elegancji, znajomości spraw i stosunków politycznych, obeznania się ze sztuką wojenną i dyplomacją. Każdy z nich prowadził z sobą orszak młodzieży szlacheckiej, która za przykładem pana studjuje z zamiłowaniem wesołe życie Florencji, Rzymu, Neapolu, Paryża, Wiednia, uczestniczy w zabawach, obchodach okazalnych i przywozi z sobą do kraju, zamiast klasycznej erudycji podróżników wieku XVI-go, układność manier, wrażliwość na piękno niewieście, zamiłowanie do elegancji w ubiorze, w urządzeniu mieszkań, zabawach, a niekiedy, jak widzimy z dziennika Stanisława Oświecimy, rozumienie arcydzieł sztuki włoskiej i odczuwanie uroku pięknej przyrody.

Twardowski bezpośrednio, jak wiemy, takiej szkoły nie przeszedł. We Włoszech nie był. Ale pośrednio, obcując na dworach Zbaraskiego i Wiśniewieckich z ludźmi wyższego poloru, karmił się owocami kultury zachodniej i oglądy obyczajów, dobrego smaku i szlachetniejszych upodobań nabrał we wczesnej już młodości. Reszty dokonało czytanie dzieł poetów starożytnych i współczesnych, zwłaszcza »Jerozolimy Wyzwolonej« w mistrzowskim przekładzie Piotra Kochanowskiego.

»Tasso i własne serce — rozumuje Chlebowski — wspaniała przyroda lasów wołyńskich, powabny fraucymer dworu Wiśnłowieckich, swobodne życie myśliwca i rzeczywiste uczucia, jakie poeta w tym czasie żywił do swej narzeczonej — oto czynniki, które złożyły się na spotęgowanie talentu poetyckiego autora »Legacyl« do tego stopnia, na który wzniósł się w odmalowaniu miłości Apollina dla Daphnis. Nieraz zapewne Twardowski, błędząc po tajemniczych jarach nadhoryńskich (siedziła ks. Wiśnłowieckich, Wiśnłowiec, leżał w uroczej, lesistej okolicy Wołynia, nad Horynlem, o 24 mile od Krzemieńca), z wyobraźnią, podbudzoną obrazami »Jeruzolimy«, pragnął znaleźć się w tym zaczarowanym lesie, którego drzewa ukrywały w sobie urocze nimfy, marzył o spotkaniu jakiej Kloryndy lub Erminji, wystawiał sobie, że jest Rynaldem, spoczywającym pod cieniem mirtów w ogrodach Armidy. W takim nastroju ducha najpospolitsza wiejska dziewczyna, zbierająca jagody, mogła zdala przybrać postać nadziemskiego zjawiska, zwłaszcza, gdy zestraszona spotkaniem obcego, pierzchła »jako sarneczka strzeliła w las pierzchliwa, od utraconej różgi przestraszona«. I nic dziwnego, że, po zniknięciu spłoszonej Daphnis, poeta-Apollo woła ze szczerym zapalem:

»Dotąd przyjsć jeszcze nie mogę do siebie,
Jakom tak wdzięczne utracił widzenie,
Ledwie tak wniwdzie jutrzienka na niebie,
Że pochmurzony Oryon ją zżenie.
Pójdę jej szukać, by mi w Kaledony
Przepadła same i hercyńskie gaje,
Skalistą Atos i ostre Edony,
Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje.
Pójdę nie swemi wichrami niesłony,
Póki mi ducha, póki głosu staję;
A ty, świadoma mego niepokoja,
Nie opuszczaj mnie, cytro wdzięczna moja!»

»Czyż nie tak samo — zauważa Chlebowski — w świetniejszej tylko formie, a z domieszką obcej Twardowskiemu melancholji, wypowiada swe uczucia i marzenia Słowacki, gdy boleje nad utratą swojego »złotego

snu« i chce za nim gonić na »śnlegu korony« ponad »sosnowe bory«, gdzie Jungfrau »słońce złote ma nad sobą«, marząc, iż wraz z lecącemi po niebie łabędziami wznieśnie się »poza ciemnych skał krawędzie«. Jak Słowacki szuka pociechy w rozpamiętywaniu, a raczej wysnuwaniu ze swej wyobraźni postaci idealnej kochanki: »czy kiedy cicho uśnie pod jaworem, czy kiedy goni, czy kiedy się chowa w księżycu blasku, biała«? — tak Apollo-Twardowski goni myślą za znikłą Daphnis:

»Gdzie jest? gdzie Daphnis? Czyli ty granice
Przepadłszy Delfu, po górach się kryjesz,
Czyli, znalazłszy swoje równiennice,
Myśliwa, znowu gromiony zwierz bijesz?
Lub gdzie wesole pryskają cieplice
Tesalskiej Tempy z nimfami się myjesz?
Jakobym patrzył, stanąwszy gdzie blisko,
Na wdzięczną twoją kąpiel i igrzysko.

Ozwij się, ozwij, o twardsza kamienia!
Głos-li mój sięga i słyszysz gdzie o tym?
A z tej przepaści i głuchego cienia
Rzuć wdzięcznem okiem, błysnij włosem złotym.

Na wszystkie wkoło oglądam się strony,
Nikt nie dopowie, nikogo nie ruszy
Duch mój z ostatnich piersi wytoczony,
Tylko li echo a wiatry życzliwe
Rozniosą moje skargi żalobliwe«.

Nieraz więc, gdy w takim nastroju ducha błąka się po lesie, spostrzega swoje »nadziemskie widzenie«, uroczą nimfę, spoczywającą pod cieniem dębu. Zachwyt i trwoga, towarzyszące zawsze pierwszym chwilom budzącej się miłości, powstrzymują mu krok. Staje, jakby oczarowany, i upaja się widokiem swego ideału.

Tak. Poszukiwaniem ideału jest cały poemat Twardowskiego. »Jest to — określa pięknie w porywie uwielbienia dla tej apologji czystego uczucia prof. Chlebowski — prawdziwa symfonia miłości, malująca i wy-

sławiająca ją to w pełnem życia allegro, to w żartobliwem z początku, a w końcu dramatycznym scherzo, to znów w uroczem andante, w którym, jak w beethovenowskiej symfonji pasterskiej, muzyka serc łączy się z głosami przyrody; wreszcie w namiętnym finale brzmi poważnemi akordami triumfu ducha nad zmysłami.

Twardowski jest rzeczywiście pierwszym w Polsce poetą miłości w jej nowoczesnem szerokiem pojęciu, pierwszym, dla którego — jak trafnie mówi Chlebowski — »królestwo przyrody i królestwo miłości to jedno prawie, bo posłuchajmy tylko:

... »wieczny dzień się śmieje,
Wieczne różańce kwitną i ogrody,
Miłość, gdzie stąpi, rozkoszy swe leje
W drzewa, kamienie, kryształowe wody.
Wieczna pogoda, wieczny zefir wieje,
Dorodne mirty lube czynią chłody.

albo:

... »w wesołej na włosnę porębie
I drzewa same miłością pałają;
Znać ją w modrzewiu, znać ją w twardym dębie,
W ciemnym, gdzie liście gzęgżółki kukają,
Pieszczone mile karmią się gołębie,
Grzywacze skrzydły wartkiemi turkają
I po rozwitem wleszając się drzewie,
Zbierają srebrne plany swe cietrzewie.

.....
A pod gładkiemi pieszczą się jodłami
Satyry leśne z swemi Dryadami.

Stosunek poety do życia — wbrew epoce do której należy — jest jeszcze nawskroś renesansowy, a horacjuszowskie carpe diem dzwoni w jego pieśni zupełnie wyraźnie:

»Czyż nie wldzicie, jako rączy płynie
Na nieścignionej znikomy Czas łodzi?
Tak młodość, która rano się rozwinie,
Z wleczornem słońcem na wieki zachodzi.

Przeto niż zajdzie, niż południe minie,
Świata ja radzę zażywajcie, młodzi.
Nie jest jedno dziś, a co ma być potem,
Stugłowy Argus niechaj myśli o tem.

Że wygłoszona tu filozofja życia — dodaje Chlebowski — stanowiła istotne przekonanie poety, o tem świadczy powtórzenie tej samej rady w zakończającej utwór pieśni Hesperusa:

»Kto przy konwi zorze rad dosiada,
Nie dba i niebo choć się nań obali,
Szczęśliwy tylko, że nic nie odkłada
Do jutra, ani pyta się o dalej.

Pogląd taki nie był zresztą jego indywidualnym poglądem. Tak musiał czuć i myśleć szlachcic XVII-go wieku, żołnierz, niepewny swojego jutra i odrywany tak często podczas wojen kozackich i szwedzkich od ust kochanych pobudką rycerską: »na koń!

Dla takiego szlachcica, typu rozamorowanego pana Michała Wołodyjowskiego, »Daphnis w drzewo bobkowe przemieniła się« — był to utwór naprawdę umiłowany, za niego bowiem mówił, tęsknił i gonił wymarzony na kulbace, wśród trudów obozowych, niedościgły ideał jakiejś Anusi Borzobohatej czy Basł. To tłumaczy może najlepiej, dlaczego Daphnis znalazła tylu czytelników i dlaczego w ciągu całego XVII-go wieku była jedną z najpoczytniejszych ksiązek polskich.

Byłoby z nią może współzawodniczyło drugie dzieło Twardowskiego, »Nadobna Paskwallina«, ale ten z hiszpańskiego przerobiony utwór najprawdopodobniej za życia autora drukiem nie był ogłoszony.

Wprawdzie prof. Brückner przypuszcza, że istniało wydanie »Paskwalliny« z połowy XVII-go wieku, ale bibliografja wydania takiego nie zna i jako pierwodruk notuje dopiero edycję krakowską z r. 1701-go.

Osnowę »Nadobnej Paskwalliny«, jak tego niedawno dopiero dowiedli prof. Pilat, Porębowicz i Bernacki, zaczerpnął Twardowski z »Diany« Montemayora, romansu hiszpańskiego, wydanego w r. 1614-ym, który poeta polski

poznał prawdopodobnie w przeróbce łacińskiej, sam bowiem po hiszpańsku nie umiał.

Niewątpliwie — mówi Chlebowski w swoim studjum o »Paskwalinie« (Pisma, tom III-ci) — zapożyczoną została tylko osnowa, a może i niektóre religijno-moralne dowodzenia, zresztą wszystko jest własnością polskiego poety, który wiele obrazów i sytuacji bierze z »Daphnis«, a przez usta bohaterki wygłasza z zapalem własne przekonania.

Widownią romansu jest Lizbona za panowania Filipa II-go. Znając z długiego pobytu Konstantynopol, opisany tak żywo i malowniczo w »Legacyi«, mógł Twardowski z pomocą oryginału i własnych wspomnień dać trafny i barwny obraz Lizbony i jej rozkosznego klimatu.

W tem to mieście Venus, wygnana przez Turków z Cypru, zakłada sobie pałac. Obudza to niezadowolenie Paskwaliny, dotąd najpiękniejszej tam kobiety, obsypywanej hołdami i pochwałami młodzieży, która ją z samą Wenerą równała.

Paskwalina (streszcza Bełcikowski) uwierzyła temu chętnie i uniosła się dumą, za co Venus postanowiła ją ukarać i namówiła Kupidyna, ażeby wzbudził w sercu Paskwaliny nieodwzajemnioną miłość do Oliwera. Tak się też stało. Paskwalina zaprosiła Oliwera listownie na schadzkę, ale Oliwer, który właśnie kochał się w innej, pomimo pokus namiętności, dał jej odpowiedź odmowną. Paskwalina dręczy się tedy miłością i wstydem i lęka się obmowy, tem bardziej czyhającej na nią, że dotąd była dla wszystkich dumną i niepokuszoną. Za radą swej przyjaciółki, Stelli, udaje się do świątyni Minerwy, której ksiendienstuje jej poważną naukę, że swe nieszczęście winna przypisać gniewowi obrażonej Wenery i własnej próżności, po radę zaś i pomoc odsyła ją do świątyni Junony, dając jej na drogę talizman z przestrożą, aby o nim dobrze pamiętała. Paskwalina puszcza się w drogę w pielgrzymim stroju, przebywa przez dzikie knieje i pustynie, gdzie nieraz doznaje gościnności ubogich rybaków i pasterzy, ale gdzie także jednej chwili nie jest pewną życia przed dzielnymi zwierzętami. Pewnego dnia u stóp laurowego drzewa Apollo kładzie trupem lwa, który już miał się rzucić na

nią. Paskwalina nie wie zrazu, kim jest jej wybawiciel, lecz Apollo zaprasza ją do swego domu, opowiada jej o swych czynach i o miłości do Daphnidy, którą wówczas gniew Wenery tak nieszczęśliwie zakończył.

Domek Apollina, wyglądający z zewnątrz na chatę pasterską, ukrywa jednak wewnątrz olśniewający przepych. Sien przybrana łupami myśliwskimi, między któremi wisi smok Piton, »z półmłowym (tak!) ogonem«. Z sieni wchodziło się do pokoju »od drogich kamieni dziwnie kosztownego.« Łóżko z jednej strony stało złotogłowe, z pod cienkiej zasłony drogim szyciem błyskając. W nogach szafa wielka z błękitnego asplisu... w głowach tracki łuk

»...Przy drugiej stał ścianie

Stolik srebrny, na którym w prześliczne promienie

Wieniec wity bobkowy i kwoll zabawie

Lutnia czasem i kilka w kosztownej oprawie

Ksiąg niebieskich. Służba drzwi strzegła hebanowa.

Gdzie z nalewką miednica stała smaragdowa

Z lichtarzami takiemiż«...

Czyż opis ten — zapytuje Chlebowski — nie przypomina nam owych chatek pasterskich w Arkadii i Powązkach, urządzanych w sto lat później, ale jakby na podstawie tego wzoru?

Apollo występuje tu, jako niepocieszony kochanek, strzegący wiernie grobu swej Daphnis i szukający pociechy w łowach i przynoszeniu ulgi cierplącem. Posiada on w tym celu w puszkach zioła lekarskie z Afryki i Ameryki. Gdy nie oddaje się łowom, to gra na lutni, czyta i дума ciągle o utraconej kochance. Smutnego samotnika nawiedza niekiedy Diana, gdy się na łowach za daleko zapędził.

Przenocowawszy w domu gościnnego Apollina, Paskwalina w dalszej drodze nawiedza Dianę, którą zastaje w kąpielu wśród grona nimf. Diana opowiada jej o Akteonie, o porwanu Prozerpiny i Adonisie w celu przekonania jej, ile nieszczęść i utrapień sprowadza na ludzi namiętność.

Lizbona tymczasem (streszcza Chlebowski) trzęsie się od plotek o tajemniczym zniknięciu Paskwaliny; Venus

uszcęśliwiona oddaje się zabawom i uciechom wszelakim. »Jej pokoje, ganki i altany brzmią wdzięczną muzyką... ognie goreją po kosztownych kościołach, przy ofiar paleniu... weselem i rozkoszą dwór jej kwitnie«. Ona sama, »dojeść się nie mogąc smaku w swym Wulkanie«, wypuszcza Kupidyna do Marsa, by »go na jedną choć sprowadzić godzinę«. Poselstwo to nie odnosi skutku, Mars bowiem »zabawiony był gdzieś w Ameryce«. Wracający Kupido przelatuje przez Atlantyk i na złotej łące, której środkiem »śliczna Cydarys płynie«, odpoczywa. Dla ochłody porzuca swój łuk na trawie i »skoczy w nurt kryształowy«. Po tej kąpeli ogarnęło go znużenie. Sen »zapalił mu różańcem jagody, tocząc pot perłowy, oczy słodko błyskały... z piersi duch głęboki ognie żywe wywierał«.

»Zmorzone dziecko się rozespало, jakoby zarżnięte« — powiada poeta, nadając wkońcu synowi Wenery charakter czysto polskiego chłopca, chrapiącego na śianie po kąpielu.

Wtem zjawia się Paskwalina, która w wędrówce do świątyni Junony także musiała przebyć »góre trudną i skalistą«.

Zdała uderza jej oczy jakiś niezwykle blask na łące, »podobny w miednicy słońcu odrażonemu albo błyskawicy wypierchnionej z obłoku«. Skrada się ostrożnie, zaciękawiona tem zjawiskiem, i dostrzeżga... łuk i kołczan Kupidyna. I tu nadeszła stanowcza chwila pomsty nad Wenerą.

Mszcząc własne i wszystkich cierpiących od miłości krzywdy, łamie z zapalem Paskwalina zabójczy łuk i strzały na drobne kawałki. Po tym triumfie, uległszy powabowi kryształowych nurtów rzeki, używa w niej kąpeli i znużona zasypia na łące.

Ten spoczynek daje pocie pochop do skreślenia plastycznego obrazu jej urody.

Piękność Paskwaliny nie rozbraja przecieź gniewu przebudzonego Kupidyna, który, spostrzegłszy swą stratę, pośpieszył na skargę do matki. Wenus na wleść o przygodzie syna wpada w gniew i rozpacz. Daje Kupidynowi swój pas, by nim skrepował śpiącą Paskwalinę i zo-

stawił ją tak na pastwę zwierzętom. Na szczęście, gdy zrozpaczona gotuje się na śmierć niechybną, zjawia się Satyr i oblecuje wyswobodzić nieszczęśliwą ofiarę. Wyzwolonej z wężów ukazuje pawia, jako oznakę obecności Junony w niedalekiej stąd świątyni.

Zbliża się nareszcie pokutnica do upragnionego przybytku. Ksieni Beliza przechadzała się właśnie między wspierającemi ją dwiema nimfami. Paskwalina, zbliżywszy się z pokorą, opowiada o celu swego przybycia i dokonanej w drodze zemście nad Wenerą, poczem podaje się obrzędowi obcięcia warkocza, spełniając tem ślub uczyniony.

Żegnając się ze swemi włosami, wspomina z żalem, jak trawiła wszystkie czasy swoje na »monstrach próżnych i coraz inaksem trefieniu«. Wreszcie, zawiesiwszy warkocz na ołtarzu bogini, »chleba udzielonego z niebieskiego stołu i nektaru kosztuje«.

Ugruntowawszy się w cnotach i umocniwszy w postanowieniu innego życia, wraca Paskwalina do Lizbony. Przedtem błakała się po puszczech i lasach, teraz »oświecona pokuty prawdziwej światłem, przy łasce bogów niewątpliwiej błędzić więcej nie będzie«. Paw Junony wiedzie ją prostą i krótką drogą. Wenus, posłyszawszy o powrocie swej rywalki, wyprawia Kupidyna, w celu sprawdzenia tej wiadomości. Wzbiwszy się pod obłoki, Kupido spostrzeżga swą poskromicielkę, jak z okna własnego pałacu w Lizbonie »się monstuje i przed wszystkim zgarbionem miastem prezentuje z jego ową armatą, przez się zawojowaną«. Zrozpaczony tym widokiem, lekając się gniewu matki, odbiera sobie życie przez... powieszenie się na krzaku mirtowym. Wenus, zgnębiona i upokorzona, w nocy, pocichu, ze wszystkim swym dworem i pałacem znika.

Odrodzona moralnie Paskwalina, »gdzie owe pokoje, sale i tanecznicze, stek światowych ludzi, na klasztor reformuje i kosztowny wzbudzi przy nim kościół«. Sama zaś, zgromadziwszy »grono Westy, bogini dziewic, spół się im ksienią poświęciła«.

Ta głęboka moralna tendencja »Paskwaliny« miała też głębokie swoje źródła.

Nie bez powodu — mówi Chlebowski — zwraca się poeta w zakończeniu utworu do kobiet, panien mianowicie, jako plastunek przyszłego pokolenia, zagrzewając je do pracy i cnoty.

»Znając dobrze z własnego doświadczenia zmysłowość i lekkomyślność ówczesnych niewiast, wiedząc jak wielki wpływ wywierały na rozpowszechnienie zbytku, życie nad stan i zniewieścianość wśród mężczyzn, pojmował, iż moralne odrodzenie społeczeństwa musi się opierać na moralnem podniesieniu kobiety. Praca i religja były jedynymi środkami, jakie mógł im zalecić poeta. Wskazując Paskwalinę, zachęca, by za jej przykładem: »panienki nie w tej powierzchniej, ale i w ozdobie inszej się kochały, miłkie fatygując pracą członki i nigdy zgola nie próżnując«.

Geneza miłostek znana jest wybornie autorowi »Daphnis«; trafnie też ostrzega młode panny, by nadewszystko »oczami szafować niechały, gdyż tam welgnie najpierwej. Kupidynek mały, toż i w serce się zakrada«. Jeśli która podlegnie temu przypadkowi i pozwoli namiętności rozgościć się w dziewiczym łonie, wtedy niech »wskok« się uda do praktyk pobożnych i »ostrości«, a nie upadnie i tak samo, jak Paskwalina, zwycięży Kupidyna »bez broni«.

Tendencja ta staje się zrozumiałą na tle czasów przełomowych, jakie przeżywało społeczeństwo polskie.

»Podniesienie się przez niebezpieczeństwa i klęski wojenne uczucia religijnego — motywuje dalej Chlebowski — oraz utrudnienie zamążpójścia przez ubytek tylu dziesiątków, może setek tysięcy mężczyzn, poległych w samej sile wieku w ciągu dwunastoletnich wojen — wszystko to wywołało gromadne garnięcie się kobiet do życia klasztornego na całym obszarze Rzeczypospolitej, w drugiej połowie XVII-go wieku. Wzmagająca się dewocja znajduje swój wyraz w licznych bractwach, pobożnych fundacjach i tym duchu nietolerancji, jaki po raz pierwszy występuje wówczas w dość jaskrawych objawach.«

»Paskwalina« stanowi więc niejako pierwsze hasło, zapowiedź tego ruchu, i dlatego przedstawia ciekawą

dokument do dziejów umysłowego i moralnego życia wieku XVII-go.

»Drugim, powszechnie przez poetów zalecanym środkiem odrodzenia był powrót do pierwotnej prostoty obyczajów i wymarzonej cnotliwości praojców. Taki właśnie wzór cnot i prostoty daje »Nadobna Paskwalina« w obrazie starego rybaka. Nadto w zakończeniu romansu woła poeta z westchnieniem: »I kiedyż ukarane takową lat złością, pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością wiek nam wróć?«

»Naiwna niezdarność formy i pomysłów, w jakich poeta za przewodnictwem Montemayora stara się uwydatnić pojęcia, które sam dopiero co sobie przyswoił, i uczucia, które zaledwo w nim kiełkować zaczynały — niesmaczna przez nienaturalne, krotocwilne niekiedy zespolenie pogańskiego Olimpu z katolickimi obrządkami i pojęciami, posiada, mimo to, »Nadobna Paskwalina« swoją właściwą piękność, polegającą głównie na odbiciu warunków wyjątkowych chwili, w jakiej się pojawia«.

Oto na widowni, »wśród której odgrywa się pogodna sielanka za czasów Władysława IV-go, wobec bogów i nagich nimf, których płorun gniewu niebios nie spłoszył jeszcze ze sceny, przesuwa się postać pokutnicy z różańcem w rękę i pieśń hulaszczą przerywa grobowe dies irae. Przejęci trwogą biesiadnicy posypują głowy popiołem i przywdziewają strój pustelników. W pierwszej chwili wydaje się to maskaradą. Z pod szarych płaszców wyglądają obnażone ramiona bachantek i roznamietnione winem i zabawą oblicza ich towarzyszy. Z hymnem pokutnym mieszają się jeszcze zwrotki pieśni miłosnej. Uderzające jednak coraz częściej pioruny, krwawa luna pożarów, zasłane trupami obszary, świadczą, iż bachanalje skończyły się bezpowrotnie, a nastał czas pokuty. Zestawiona z »Daphnis« i umieszczona na tle dziejowem »Paskwalina« nabiera właściwego interesu, jako charakterystyczny objaw życia duchowego w czasie wielkiego przesilenia dziejowego«.

Dwa ostatnie dzieła Twardowskiego są już tylko rymowanymi historjami, które w czasie swojego

powstania uchodżyły za poematy epiczne. W istocie były przewlekłemi »relacjami« typu bardzo w poezji ówczesnej rozpowszechnionego. Utwory te nie mają nic wspólnego ze sztuką prócz formy rymowanej, którą przenoszono ponad prozę w przekonaniu, że to, co zostało wierszem napisane, ma większą moc trwania w czasie. Przekonanie to nie było pozbawione pewnej słuszności, w istocie bowiem poezja jest najtrwalszą postacią słowa, ale tylko wówczas, jeżeli jest prawdziwą poezją. Niestety, większość rymopisów XVII-go wieku nic do czynienia z muzami nie miała. Opuściły one także i Twardowskiego w chwili, kiedy przystąpił do pisania »Władysława IV-go, króla polskiego i litewskiego«.

Jest to utwór nawskroś panegiryczny. Autor rozpoczyna go wprowadzając na sposób epicki wezwaniem, przypominającym Eneidę Wergiljusza:

»Króla powiem wielkiego w wojnie i pokoju,
Pióra do sarmackiego pociągnąwszy stroju
I Minerwy ojczystej...«

ale rychło opuszcza go rozmach i staje się pospolitym pochlebcą. Pochlebstwo to — przyznać jednak trzeba — płynęło z prawdziwego kultu poety dla króla.

Twardowski uwielbiał go — mówi słusznie prof. Bełcikowski — nie tylko z dworactwa, ale z przekonania politycznego, widząc w nim króla, który i sławą wojenną naród ozdobił i przez politykę swoją mógł krajowi wewnętrzny ład zapewnić.

Stawia on osobistość Władysława zawsze na pierwszym planie i przypisuje mu zasługi i w takich nawet wydarzeniach, w których, jak wiemy z historii, król ten mało znaczącą grał rolę, jak mianowicie w sprawie moskiewskiej za życia Zygmunta III-go i w wojnie chocimskiej.

»Relacya« Twardowskiego zaczyna się a b o v o, od urodzenia i wychowania królewicza. Do jego historii wiąże poeta wszystko, co się za jego życia zdarzyło w dziejach lub jakkolwiek miało z nim związek. Opisuje więc wojnę moskiewską za samozwańców, podwójną wojnę turecką, t. j. cecorską i chocimską, mimo że już raz

wspominał o tem w »Legacyi«. Dalej podróż, jaką królewicz po skończeniu tej wojny odbywał po Niemczech, Belgji i Włoszech. Jest to, podobnie, jak »Legacya«, diarjusz podróży, bez poezji w opisach, którą Twardowskiego nie natchnęły ani Alpy, ani piękna natura i przeszłość Włoch. Diarjusz ten jest atoli tak wierny w szczegółach, że naprowadziło to biografów poety na domniemanie, niczem innem, zresztą, nie poparte, że Twardowski towarzyszył w tej podróży królewiczowi w charakterze dworzanina. O wiele więcej prawdopodobne jest natomiast przypuszczenie, iż poeta nie pisał rzeczy swojej samodzielnie, ale czyjś relację, najpewniej łacińską, mając przed sobą, na wiersz ją polski przekładał.

W dalszym ciągu mamy opis ostatnich wojen szwedzkich za Zygmunta III-go, śmierć tego króla, elekcję Władysława, wjazd jego na koronację do Krakowa i słynne poselstwo Ossolińskiego do Rzymu z oznajmieniem o wstąpieniu na tron nowego monarchy.

Zakończenie stanowi opis zwycięstw, odniesionych przez Władysława IV-go w pierwszych latach jego panowania. Zamyka rzecz całą obietnica opisu walecznych czynów króla, ale do tego już nie przyszło.

Jak więc z treści widać, utwór ten jest tylko prostą biografją panegiryczną, niczem więcej.

Czasem — oddaje poecie sprawiedliwość Bełcikowski — odezwie się tu Muza Twardowskiego i na wyższy nastrój, jeśli mu przyjdzie np. opisywać bitwy albo gdy się jego patriotyczne uczucie rozbudzi. Ale i wtenczas — dodaje — lubo podobne ustępy czynią zaszczyt sercu autora, wyszukane przenośnie i fantazja, upstrzona erudycją, mało nam wynagradzają prozaiczność reszty jego rymów.

Pomimo to jednak utwór spotkał się z przychylnem przyjęciem ze strony czytelników. Świadczy o tem dwukrotnie, w krótkich odstępach czasu jego wydanie, w Lesznie w r. 1649-ym i tamże w r. 1650-ym.

Nieco wyżej od »Władysława IV-go« stoi ostatnie dzieło Twardowskiego: »Wojna domowa z Kozaki i Tary, Moskwą, potem Szwedami i Węgry przez lat dwa-

naście za panowania Najjaśniejszego Jana Kazimierza, króla polskiego tocząca się» (Kalisz, 1681). Autor ma tu na myśli już nie osobę króla, ale cały naród — może dlatego, iż królem tym nie był już umiłowany przez niego Władysław, ale Jan Kazimierz, którego panowanie tak było nieszczęśliwe.

W pięciu księgach, które według swego zwyczaju punkta m i zowie, opowiada poeta dzieje Polski w niefortunnym dla niej okresie, od r. 1648-go do pokoju oliwskiego.

I tu początek nastrojony jest na modłę epicką:

»Wojnę powiem, okrutną...«

w miarę jednak posuwania się dalej, poeta lot swój zniża, a chociaż nie wpada w panegiryzm, bo nie ma komu schlebiać, to jednak od prawdziwej poezji stoi daleko.

A jeżeli skłania ku nam swoją uwagę, to przede wszystkim dlatego, iż brzmi tu od czasu do czasu nuta szczerzego uczucia, że skroś prozaiczny naogół wiersz przegląda ku nam oblicze obywatela, zatroskanego o przyszły los ojczyzny.

W »Wojnie domowej — mówi Belcikowski — Twardowski szlachetniej nam się przedstawia, bo zapomniał śpiewać panegiryków, a przejął się nieszczęściami kraju.

»Często tutaj rozmaite okoliczności wywołują ustępy liryczne, w których poeta narzeka na te ogromne klęski, jakie się wtenczas na Polskę zwały, lub też karci swych złomków i ich nierządowi, zbytkom i prywatnie winę nieszczęścia przypisuje. Nad wszystkim zaś góruje myśl religijna, że to złe jest zasłużoną karą od Boga i że jedyna nadzieja jest w Jego miłosierdziu. Ten duch prawdziwie wyższy, który dawniejszym pokoleniom, mimo wszystkie ich błędy i przywary, nadaje pewien urok w naszych oczach, ożywiał Rzpltą przez długie wieki i często dawał się widzieć w naszej literaturze«.

Wyrazicielem tego ducha jest i Twardowski w »Wojnie domowej«.

Pisał on ją widocznie współcześnie z wypadkami, do głębi przejęty ich doniosłością i wpływem na dalsze losy narodu i państwa. A że nie był już wówczas człowiekiem młodym, że na życie patrzył już krytycznie, a nawet sceptycznie, więc nie dziw, że z »Wojny domowej« wieje ku nam pewien pesymizm i niewiara w doczekanie zmiany na lepsze.

...»Zaczem poglądając

Na rzeczy też z daleka i widząc dalekam (tak!)

Nadzieję stąd pokoju, bodaj go doczekam

Laty i affekcyą przyciśniony swoją«...

śpiewa poeta. Ale przecież tych »czasów lepszych« doczekał i pod koniec utworu, pokrzepiony widocznie otuchą, jakby sił nowych nabiał i opowiadanie swoje do pokoju oliwskiego doprowadził.

»Wojna domowa«, wydana w całości już po jego śmierci, zacieśniła niewątpliwie te węzły, które istniały pomiędzy pierwszym epikiem polskim a szlachtą, chętniej podówczas, niż dzisiaj, czytającą poezję.

Twardowski był dla niej najpopularniejszym poetą, bo w formie, która odpowiadała smakowi czasu, wypowiadał budzące się coraz powszechniej uczucie patriotyczne, bo wybierał tematy bliskie i znane każdemu, bo w dziejach ojczystych szukał natchnienia. Dlatego nazwano go »polskim Tassem i Wergiljuszem«. Dlatego z zachwytem śpiewał o nim Wespazjan Kochowski:

»On ci to nasz słowiański Wirgili dowcipny,

Mars polski, Samuel cny Twardowski ze Skrzypny,

Którego heroiczna Muza jest tej cery

Że przeszła Enniusza i chlubne Homery«.

Niestety, nie przeszła, ale ta przesada Kochowskiego na długo wyrobiła Twardowskiemu opinię koryfeusza poezji XVII-go wieku. Dopiero badania ostatnie, które ujawniły całą bogatą twórczość Wacława Potockiego i odkryły szereg zupełnie nieznanych utworów poetów tego wieku (»Wirydarz poetycki« J. Trembeckiego, wydany przez prof. Brücknera), usunęły Twardowskiego na plan drugi, nie odbierając mu jednak tytułu do zasług, która była niewątpliwa i duża.

Patrząc też dzisiaj bezstronnie i z oddalenia wieków na działalność poetycką autora »Legacyi«, »Daphnis« i »Nadobnej Paskwaliny«, niepodobna odmówić mu prawa do miana poety.

Był on poetą, a jeśli tak łatwo popadał w panegiryzm, to wina w tem nie jego, ale epoki i jej zawsze przemożnego wpływu na piszących. Z pod tego wpływu wyłamują się tylko ci, którzy sami tworzą nowe zasady w sztuce i sami drogą sobie torują. Takiej siły talent Twardowskiego nie posiadał. Szedł on drogami, które utarli inni, ale szedł krokiem pewnym.

Krótki wybór pism
Samuela ze Skrzypny Twardowskiego.

Szczęśliwa moskiewska wyprawa najjaśniejszego
Władysława IV-go króla polskiego i szwedzkiego
w roku 1634.

Wiersz pierwszy.

Co z pod zimnego niesiesz Bootu,
Ty, coś bystrszego nad orła lotu,
A głową w niebo bijesz wysokie,
Morze bez łodzi mierzysz głębokie!
Już brzmia śpiewaczki, brzmia hipokreńskie,
Stargane pasy twarde smoleńskie,
Jakłemi dwiema duży ramiony,
Pod niebem Atlas ledwie ściągnięty.
Sehn polżywy z carskim okółem,
Polskiemu bije monarsze czołem,
Rzucił chorągwie, oddał i działa,
Któremi ziemia płoruny drżała.
Tak co ku Austrom hardzie się kasał,
I ogniem zewsząd Smoleńsk opasał,

Z ostatnich na dół stopni zrzucony,
 Sam obleżony, sam wymorzony.
 Gdzie siedm obozów, gdzie fortów tyle?
 Ingenierów bucznych fortyle,
 Podkopy ziemne, skryte petardy,
 Battery duże i belloardy?

W co przez lat tyle aparat zbrojny,
 Gdzie na rum głośny niewinnej wojny
 Sprzysiągł się Tryon, narody polskie
 W głębokie przenieść pole zawolskie.

Dobyl ostatnich sił Akwilonu,
 Ruszył mieszkańców krzywego Donu,
 I co gdzie ranne nie wschodzą zorze,
 Wlecznie lyżują po Hiperborze.

Przybrał do głowy, przybrał do rady,
 Co i sektarskie mogły Hyady,
 I tych co w niskich Hollandach żyją,
 I co francuską Ararim plją.

Brząknął i na wschód złotem łakomym,
 Żeby przepadłszy szlakiem kryjomym
 Dobrudzkie hordy z swolm Abazem,
 Złote to grono rozerwać razem.

A Szwed na ognie patrząc i łuny,
 Swojej kieruje sferę fortuny,
 Z popiołów naszych forty buduje,
 Gdzie nie sam w oczy, to ze stron szczuje.

O jaka liga, jak fala sroga,
 Na cię ojczyzno powstała droga!
 Czemeś ich oczy tak zakrwawiła?
 Czy te Harpie na słę wzburzyła?

Jeszcze gdy płaczesz w żałobie przeszłej,
 Gdy słońce twoje chmury obeszy,
 W którym zaćmieniu, w którym odmęcie
 Wszystkimeś wszystka była na wstręcie.

Bellona lozem ręce puściła,
 Głucha w kościołach Nemezys wyla,
 Nagie granice, naga obrona,
 A na zawodzie rętszym Korona.

Wiersz drugi.

Wzdy dzień się kiedy ukazał wesoły,
 Gdy opłakawszy królewskie popioły,
 Które nieba przeźrzały,
 Za monarchę i pana nam dały.
 Wnet Apollinem napuszona Klio
 Wesołe w górze zakrzyczała Io,
 Wraz się odezwą jej działa,
 Że z ich huku Europa zadrziała.

Usłyszą tęten i rum niebowały,
 Narody wszystkie po Eubojskie skały,
 Usłyszą, i z rzeczy nowej,
 Zadumani powieszają głowy.
 Zaryczał Euxyn z jeziory dzikiemi,
 Nadęty falą i wiatry nie swemi,
 Burzliwe cofnął wżad flagi,
 Wiosła świadom i jego przewagi.

Ułękł się, ulękł, i jako niepomny
 Opuścił ręce Moskał wiarołomny,
 Wspomniawszy sobie na tęgi
 Nieziszczony swojej ślub przysięgi.

Darmo wytacza zamierzone razy,
 Pioruny bije bez żadnej obrazy,
 Wiadome swojej niecnoty
 Głowy, własne porażają grotty.

O jako ciężko westchnął przerażony,
 Co zbrodził świeżo najgłębsze Teutony,
 Gdzież mu rozerwać się razem,
 Helikońskim przepadłby Pegazem.

Tak pozostały w nadziei niepewnej,
Blask go poraził ozdoby pokrewnej,
 Jakie ma Syryusz oczy,
 Kiedy w słońce krwawy wzrok swój toczy,
Poculi Gete, poculi i o tym,
Co ciemnej blisko mieszkają Meotym,
 I nad cymerskim Bosforem,
 Gdzie zapada wiecznym dzień wieczorem.
I już nie grożą, już nie krwią pałają,
Ale cięciwy indziej nakładają,
 Na imie jego ogromne,
 Dzidy kruszą i groty niezłomne.
Ale i Austry, i kraje Eurowe,
Gdzie wieczne w morzu słupy Alcydowe,
 Z ostatnich kątów przyniosły
 Strojne wozy, i bogate posły.
Daleko buczny Brytan się uklonił,
I co hercyński cień im świat zasłonił,
 Padł do nóg hołdownik stary
 Podejrzanej wetując swej wiary.
A swoim w domu poclechy, i nowe
Z nim nastawają lata Saturnowe,
 Jemu teatra budują,
 Jemu bobkiem obeliszki snują.
Zgoda pod wieńcy świeżo oliwnemi,
Świat obłapiła rękoma wdzięcznemi,
 Ziemia gdzie pusta, gdzie włości,
 Pirrha żywe powskrzeszała kości.
Kto, kto przyjaciół, z nami w cień bluszczowy,
Zacznem wielkiemu monarsze Rzym nowy
 Na wiele głosów i chorów:
 Żyj na wieki, przeżyj i Nestorów!

Wiersz trzeci.

Kiedyż wdzięczny u weselu
 Słodkie hamowawszy wodze,
Czas, czas o nieprzyjacielu
 I myślić północnej drodze;
 Pola się rozwiły,
 Rzeki się rozbiły.
Slewierskie dymem się kurzą
 Miasta i obfite kraje,
Jaki z Nowerstową burzą
 Popiół z Wezuwiusza wstaje?
 Niebo się rumieni,
 Ziemia krwią się pieni.
Od Dniepru gońce załośni
 Jedni drugich uprzedzają.
Bojare, bojare sprośni,
 Żony, dzieci, w pień ścinają:
 Połock ubieżany,
 Smoleńsk obegnany.
Nie mieszkaj, a na koń mściwy
 Wielki wsiadaj bohaterze,
Sam ich sam wzrok twój gniewliwy
 W złamanym potępi mirze;
 Jako słoma spłoną,
 Gdy na to wspomioną.
Czyli raz przodkom twym nowy,
 Nierówne wygrywać boje,
Twarde im ucinać głowy,
 I o słoneczne podwoje,
 Gdzie próg nietykany,
 Zapierać tyrany.
Deptała karki uparte
 Ich niewytrzymana siła,
Mury i bramy otwarte
 Nogą suchą przestąpiła,

Twardo ouzdany
Car sam brzmiał kajdany.
Doznali i ręki twojej,
Gdyś bujał nie swemi pióry,
Jeszcze nie w ozdobie swojej,
I byleś jako z nas który;
Jedno niebo czując,
Jeden chleb smakując.
Doznali razem i cnoty
Dziwnej i w nieprzyjacielu,
Zkąd nisko złożywszy groty,
Przy swych czołobitniach wielu,
Imieniowi twemu
Przysięgli wielkiemu.
Teraz o jako się wstydzą,
I patrzą ponurem okiem,
Gdy twoje ozdoby widzą,
I na tronie tak wysokim;
A ty tem ochoczej,
Następuj im w oczy.
Tedy pod ogromnym grzmotem,
Dźwięki Etna wyda swoje,
Wulkan zarodzi się potem,
Szyszaki kując i zbroje,
Echo wiatry goni:
Do koni! do koni!

Wiersz czwarty.

Już pan w drodze, już koronne wojska się ślągają,
Chorągwie rozwijają.
Bębny grzmia, uderzą w trąby, w taniec Mars z Bellona,
Lekkim sagem ściągniona.
Czeka Radziwiłł w opale z pułki litewskiem,
W słewierskiej już ziemi.

Wyglądają obłąnicy, jako w wlecznej cieni
Aloide zamknieni.
Jako ku słońcu wzdychają i włosennej trawie,
W błotach przykrych żorawie.
Tedy pobudzone sercem i ochotą nową,
Członki wszystkie za głową.
Zkąd podnosi się Karpatus, gdzie Warta się łączy,
Gdzie i Bug i Dniestr rączy,
Zewsząd wybór. Orsza obóz pierwszy założyła,
Orsza tak szczęśliwa była,
Gdzie z ust kanclerza wielkiego wylały się one
Źródła błogosławione.
Jedziesz sarmacki Alcydo, mścić się nad zmiennymi
Krzywoprzysięzcy swymi.
Którzy nad wagę przymierza i Sakrament srogł,
Przepadli twoje progi.
Czem nieprzyjacioły swoje słusznie urażony
Śiecz, pał, na wszystkie strony.
Za co dziś porozem trzęsą, karki harde zniżą
I nóg twych proch uliżą.
Niech ci błogosławią nieba, i niezamierzchnione
Gwiazdy świecą rodzone.
Moc zasłoni Najwyższego, i strzeże z wysoka
Zrzenice twojej oka.
Rzekł, a chuć we wszystkich nowa zaraz się rozżarzy,
Mars im sam pójrzy z twarzy.
Jako rozpuszczony kruszec, i w miedzi cierpliwej
Wre ukrop bełkotliwy.
Tak pałają, tak Trytonom Dnieprowym głębokim
Ponurym grożą wzrokiem.
Pierwsza z poręczonym swoim chorągiew Stogniewem,
Gęstym zaćmi się drzewem.
Jaki strój, jakie i niosą pana swego koło,
Argiraspidę czoło.
Tuż i pola koronnego grozi hetman klawą
Starą ogromny sławą.

Kalinowski toczy drzewem pod chorągwią strojną,
I usarz duży z wojną.
Zaraz lekczejsze gwardye, gdzie Marsowa cera
Dawa uznać Butlera.
Pisze się Dzierżek ze swym, a z tyłu i w czoło
Reimenty około.
Różny pod orły pańskimi, i w królewskim pierzu
Widzę cię Kazimierzu.
Jaki Palant gdy do Marsa pierwsza w nim krew wzwliera,
Na Rutuły naciera.
Radziwiłłów tuż i Wolszam, i belgićkim szykiem
Arczyszewski z Spiśnikiem.
Tak pomkną się ku Bajowu. A już pod ostrogi
Wszczyna bój Litwa srog.
Kiedy w rozruchu wojennym (co była wątpliwa)
Smoleńsk się nie ozywa.
Wprzód, wprzód moskiewski Annibal, Moczarski w posłiku
Rot kamienieckich kilku
Uderza w nieprzyjaciela. Jaki szelest niesie
Lew po nemejskim lesie,
Nie strzyma, pierzchnie w ostrogi. Wtem o czem wątplono
Z Smoleńska uderzono.
Chorągiew synów bojarskich pod nogi rzucona,
Łowczyckiego stracona.
Gdy ochotą uniółszy się od swych, zamięszany,
Gawroński pojmany.
Mrok przypadł, przyjaciół bojom z pochmurnego wozu,
A nasi od obozu.
Który stał już na Głuszycy panem brzegom dwiema
Smoleńsku przed oczema.
Tu przyjmie Radziwiłł pana, tu w jego osobie
Złączą się wojska obie.
Ale która państwa gubi i rozrywa rada,
Zawzięła się Hyada,
Gdy sporo najwyższą klawę między wielkich siła.
Bohatyrów wrzuciła.

Czemu zabiegając w oczy, razem pan i panem,
I najwyższym hetmanem.

Pobudka cnoty

w jaśnie oświeconym książęciu Jerzym Dymitrze, jaśnie
oświeconego książęcia jego Mci. Janusza na Zbarażu
Wiśniowieckiego, koniuszego koronnego, krzemienieckiego
etc. starosty, wielkiej nadzieje dziecinie, roku pańskiego 1635.

I.

Zkądem niebieskiej pełen dziś otuchy,
Co mię za wieszczce porywają duchy,
Że wzbity pióry ku górze nie swemi,
Zdam się, zdam sobie chodzić nie po ziemi.
Poznać cię z twarzy nadziejo jedyna
Krwie Wiśniowieckiej; ledwie choć poczyrna
Lucyna tulić, i krzepić tve nogi,
Ledwie rozwijać włos na głowie drogi,
Niewinnym skronie opuściwszy puchem,
A już stałością i wysokim duchem,
Wielkie w ojczyźnie i z boju i rady,
W tak małym ciebie pokazujesz dziady.
Niektóre lubią dzieci rozigrane
Klawy i konie złotem malowane:
Ty śmiesz już żywych bezpiecznie osiadać,
Śmiesz ważnem drzewem i palcem władać.
Nie broń trzcinią, nie woskowe strzały,
Lekkiego serca i niemężnej chwały,
Ale i pochew przy boku, i razem
Strojny twój sajdak ostrem brzmi żelazem.
Rączell pędzą ku kresu zawody,
Lub gonią drzewy pod wieczorne chłody,

Działa grzmia w kwatry, płoruny Mars słeje,
Komu kochańsze nad cię te turnieje?

Przed czasem umysł wysoki i w małym,
I znać w zielonym, co ma być w dojrzłym;
Wiśniewieckiego pióra ptak i lotu,
Koło podłego nie wiesz się płotu,

Bo jeśli przejrzysz (czego jeszcze sobie
Snać nie uważysz) w swojej się ozdoble;
Żeś z książąt książę, lat tysiąca blisko,
Czyli się nosić i ty będziesz nisko?

Przejrzysz się w dziadach nie mniej starożytnych,
Jako w pokoju, jako w polu bitnych.
Dawniejsze mimo lata i komputa,
Od walecznego dotąd Korybuta.

Oni bindami głowy przewiązane
Niosą i szable, świeżo krwią spluskane.
Ledwieś pohańcze Euxynowej słonej
Zakusł wody, i przepadł w te strony —

Nie tak sprzysięgłym Annibal rzymskiemu,
Jako imieniu oni pogańskiemu,
Nieprzyjaciół głównymi bywali,
Że się w pieluchach nimi odzywali.

Nie dziw waleczne potomki zakrwawił,
I jako orzeł orleża swe wprowadził,
Korybut sercem i kochanym łowem,
Sam, pierwszy mężnie ległszy pod Azowem.

Zostawa śmierci i pomsta dziadowej
Spadła na wnuki, spadła na ich głowy:
A ci po sobie nieprzerwaną zgrają
Dział ten potomstwa z rąk do rąk podają.

O! jako często Boh i Dniestr zuchwały,
Sprosną krwią pienił błochrockie skały,

Jako plugawą pocliły się rosą,
Tehińskie trawy nletykane kosą!

Gdzieby Bizalte, gdzie głuche mówiły,
Niezmierne okiem włoskie mogły,
Siła starzanych głów, siła i kości,
Kto z nich łakomy wydziałby wnętrzości.

Snaćby świat inszy ochynał swe konie
Z potopu Pirrhy po Dewkallionie,
I morze z łona wydawszy swe wody,
Niezmierzonemi osładło narody.

Nie Don, nie Dunaj, był im nieprzebyty,
Grzmiała szumnemi Rodope kopyty,
Grzmiała, i polskie bobrowały konie
Po Propontydzie i złotym Strymonie.

Świat sam zastępom i mocy tureckiej
Oprzeć się nie mógł. Jeden Wiśniewiecki
Dawał niedawno i Tatarom cary,
I śmiał wołoskie zrzucić hospodary.

Ledwie tak we lwiej ogromnie skudlanej
Szypląc mógł grzywie plesek rozigrany,
Ledwie tak jedno lernejskiemu smoku,
Szlachetne orle było ku obroku.

A jednak tyran siłą swą pijany,
Na garść ich ludzi nieraz wyuzdany,
Doznawał z klęską i krwawem zwycięstwem,
Że im nie równał i sercem i męstwem.

Komu po dziś dzień przy trackim Bosforze,
Hak twój nieznany sarmacki Hektorze?
Kto idąc tędy nie ściśnie ramiony,
Żeś tam umierał trzy dni zawieszony!

Ciężkości twojej samej litowały
Morza, i głuche hellespontskie skały.

Toli kupressem katafalk natkniony,
I słup pamięci wiecznej wystawiony.

Żałował i sam poganin urody,
Zkąd cięższe złota ślubował nagrody,
Żebyś przynajmniej uniesiony jakim
Jego chciał wyznać Machometa znakiem.

Ty jako łabęć nieutulonemi,
Chwaliłeś usta Zbawiciela swemi,
Że w pół słodkości dusze spracowanej,
Kiedyż od lekkich chłopiąt ustrzelany.

Co amfiteatr Adryanów szumny,
Co Scypionów obudwu kolumny,
Szcześniejszym hak twój daleko pogrzebem
Pod ottomańskim ozdobił cię niebem.

A ty stolice świętej Romulowej
Dostojny ojczy, dopuść mu w bobkowej
Dopuść koronie, między prześwieceniem
W Olimpie siedzieć męczenniki twemi.

Zaraz w Dymitrów braterski trop drogi,
Z Konstantym równo Alexander drogi,
Jako rodzoną gdy się krwią spluskają
Lwi erymantscy ślepo wypadają.

Nim cymcerekie cienie ich nie straszą,
Nie wody czarne pragnienia ugaszą,
Ale poboje i sprosnej posoki
Wśród wytarzane konie ich po boki.

A wielki Andrzej, wojewoda w radzie
Krajów wołyńskich na stos silny kładzie
Ciężkie ich łupy, kołem gdzie sieczone,
Głów bisurmańskich pale tkwią natknięte.

Nigdy żyźniejszy drogiem Nilus błotem,
Ani bogatszy swoim Tagus złotem,

Jako co rzadko mieszkane gdzie bely,
Braclawskie dzicze za niego kwitnęły.

Później już widzieć w Wołoszech Michała:
O która kiedy śmiałość porównała!
Które i serce podobne i siły,
O taki drugi szaniec się ważyły?

On dzielcznej żony krwią uwiedzion miłą
Najeżdża Jassy z Hieremim Mogiłą,
I zniósłszy Tomszę, snąć nad obietnicę
Nieba, ojczystą wraca mu stolicę.

Co tyran wschodny, co na to szalony?
Czem nie popadły wściekle go Gorgony,
Że jeden, przeciw takiej jego sile,
Koronny szlachcic ważył się o tyle.

I doznałby był z hańbą swoją wieczną,
Kto się nań z ręką porwał tak bezpieczną,
Gdzie w porcelanie przez swych zarażony,
Ozdoby pierwej nie zagasił onej.

Pod elekcyą szczęśliwą
na Królestwo Polskie, najjaśniejszego
Władysława IV,

królewica polskiego i szwedzkiego, roku Pańskiego 1631.
Temuż Najjaśniejszemu Panu, Panu swemu Miłościwemu.

Wiersz pierwszy.

Lat złość, i przeszłe koronne żaloby,
Które się nowo w Tobie rozświeciły,
Do twojej ciągnę, o Panie, ozdoby;
Co Muze mają, co Apollo siły,

O! jeśli godne królewskiej osoby,
 Że tak wysoki próg twój przestąpiły:
 Aza porzucić dasz się im na stronie
 W nogach gdzie blisko, przy złotym twym tronie.

Jam satis terris nivis atque dirae
 Grandinis misit Pater, et rubente.
 Dexterâ, sacras jaculatus arces,
 Terruit urbem, etc.

Horat. l. Carm. Od. 2.

Jużeś wystrzelał płoruny o Boże,
 (Jeśli się przebrać nleżmierność twa może)
 Jużeś gniewu swego czasę
 Do dna wylał na ojczyznę naszą.
 Przestań się gniewać, a z Olimpu twego
 Spuść oczy ku nam złotopromiennego:
 Oczy wdzięczniejsze nad słońce,
 Które ziemię przenikają końce.
 Zdało się, zdało po przeszłe te lata,
 Że albo koniec i ruina świata,
 Albo wiek Pyrrhy, i ona
 Powódź spaść miała Deukalliona.
 Gdy po Hadryach pływały głębokich
 Nledoszle Tygrem karki gór wysokich,
 Atlas po Eou brodził,
 A Proteusz bydło z pól uwodził.
 Wdzleć szumnemi Wisłę było mętną
 Miecąc się flagi; zkąd ona pamiętną
 Powodzią brzegi nabrzmiła,
 Miasta i wsi pożerała całe.
 Niebo twarz smutną upłakawszy łzami,
 Gdy panna w wieńcu, było pod żaglami,
 Świat gnił, a podziemne rymy,
 Codzień większe wywierały dymy.
 Ztąd w cieniu długim bez słońca i rosy
 Kwiat zarażony i nierdzale kłosa,

Na wszystkie koronne kraje
 Głód przyniosły i nieurodaje.
 Mars wtem się pali, Prusy odpadają,
 Z główniami żywe furye czekają,
 Ojczyzna (ach!) nieszczęśliwa,
 Sił ostatnich z pod serca dobywa.
 Kto jej był sroższym, i na kogo barży
 W swem utrapieniu ciężkiem się uskarży!
 W dyamencie to pokryła,
 Bieda jedna jej nie dokuczyła.
 Oto z Awernu blade, wyschłe jędze,
 Roztrzęsą na świat się lichoty i nędze.
 Wierzyli wiek przyszły będzie?
 Chlebem rżesa i leśne żołędzie.
 Tak na nie swoich zemdlony gmin nogach,
 Padał lada gdzie po stęgnach, po drogach.
 Chodzili by jakie mary,
 Zarzuceni forkom na oflary.
 Jakie Merkury poczwary i cienie,
 Przez las podziemny cyprysowy żenie,
 Albo co za cera owych,
 W górach gwarków skalistych Hemowych.
 Jako wpół potem śniegi ustąpiły,
 A chwast i cierpkie żagwle się rozwiły.
 Opar on jedli surowy,
 Że trucizną i chleb był im nowy.
 Taką zarazę upatrzawszy w gminie
 Atropo chyża z sierpem się zawinie:
 Dopiero w bystre jej tropy
 Lecz okiem nlezmierzone snopy.
 Chorągwie z murów wywleszają ciemne,
 Bramy się wszystkie otworzą podziemne,
 Jako Demogergonowe
 Tak ku wdzięcznym Ellsom słońlowe.
 Clną się dusze nawalonym tłumem,
 Charon nie łodzią, ale wozi prumem.

A Minos względając srogo,
 Nie wle hardy wprzód sądzić ma kogo.
 Po wiatrach trwogi z dział ogromnych wyją,
 Łupem, ach! ludzkim, zwierz i krucy tyją;
 Tenże nieprzyjacielowi
 Grób, co bratu, żenie i synowi.
 A po powietrzu błyska anioł mieczem,
 O gdzie się chronim! o gdzie się ucieczem!
 Kto w zapalczywości twojej,
 Kto się żywy, Boże nasz, zostoi?
 Szczęśliwy, który w budzie gdzie kryjomy
 Żywot utął, albo tak świadomy
 Zatopów morskich i flagi,
 Że gdzie zniknąć mógł tej plagi.
 I tak ojczyzna uciśniona z gruntu,
 Nie wie z którego spadnie choryzontu,
 I sen przyjdzie pożądany,
 Kto łzy otrze? kto zleczy jej rany.

Ode Horatiana.

Beatus ille, qui procul negotiis,
 Ut prisca gens mortalium
 Paterna rura bobus exercet suis etc.
 Lib. Epod. Ode 2.

O! jako błogosławiony,
 Ten, który pracowitym ojczyste zagony
 (Jako starzy) orze pługiem,
 Ani żadnym uciśnion na dobrach swych długiem;
 Swym go nie ustraszy tonem
 Trąba, ani Eolus przykrym Aquilonem
 Na morzu, kopy nie goni
 Językiem, i spółków się z mocniejszymi chroni.
 Już on to sadił winnice,
 I wspiera niedołężne tyczami macice,

To sierpem wkoło chwast krzywym
 Obrzyna, latoroślom dając plac szczęśliwym.
 Już pogląda, gdy wieczorem
 Z gromadnym bydło wraca się taborem.
 Już dobrej nadzieje pełen
 Syci miód, już i owce z miękkich strzyże welen,
 Albo gdy głowę osuje
 Ciężki jabłki Autumnu s, o jako smakuje
 Gruszek sobie i jagody,
 Latorośle i prace własne swej nagrody!
 Które on przy sporym dzbanie,
 Ofiarując, o jasny strażniku Sylwanie.
 Miło mu gdzie się zieleni
 Wdzięczna trawa, w jodłowej przesypiać się cieni.
 Gdzie ze źródeł wody huczą
 Lekkim szumem, a w brzegach Nereidy mruczą.
 Gdzie i dzięby kwilą w lesie,
 Która oczom muzyka pożądny sen niesie.
 Cóż? gdy na świat spuści śniegi,
 I cierpliwym Jupiter ściśnie lodem brzegi,
 Już on ze psy po krzewinie
 Cieka, i na parkany duże goni świnie.
 Już sieci na soszkach w doły,
 W stegnach miece zakrytą zdradę na kwiczoły.
 Już chyże szczuje zające,
 I żorawie z za morza goście przychodzące.
 Ktoli, gdy się tak spracuje,
 Niezbyty w sobie miłości ogień poczuje?
 Cnotliwa gdy jeszcze komu
 Małżonka rząd opatrzy i dziateczki w domu.
 Jako Sabina, i ona
 Pracowitych Sabinów nie pieszczona żona.
 U niej masz po pracy dziennej
 Izbę ciepłą, zastaniesz i rząd nieodmienny;
 Bydło zawsze zliczy ona,
 Samaż i jałowicom wysmyka wymłona,

I flaszę przyniósłszy wina,
Strudzonego ogrzeje męża u komina.
I nie tej zaprawę ceny
Ostrygi, ni lukryńskie, ni włoskie barweny,
Które Pontus rozgniewany
Swem i w ten kraj przez morze przybija bałwany;
Nie jest tak i bażant kruchy,
Jako młode prosiątko do własnej swej juchy.
Joński jarząbek ani,
Jako kapłan domowy; kto i proszę zgani.
Wołową sztukę do chrzanu,
I z prostego sałatę kopru i łopianu?
I koźlę ma sobie za nic,
I jagnię zarzeczane rolnych Bogu granic.
Pod tak ucieszną blesiadę
Co widzieć za uciecha jałowic gromadę,
One wracając się z pasze,
Kurzą pył, a przed niemi buhaj sobie hasze.
Widzieć i czabanów cugi,
One jęczą pod jarzmem wywróciwszy pługi.
I pszczoł pracowite roje,
Koło domu igrzyska odprawując swoje.
To gdy rzekł lichwiarz Alfiusz,
Podobał sobie wiejskie obyczaje, i już
Mieszkać między myśli chłopcy,
Z lichwiarzkiej swej nie żyjąc więcej potem kopy.

Ode Horatiana.

Non ebur, naque aureum
Meo renidet in doma lacunar etc.
Lib. 2. Ode. 18.

Nie od kości słoniowej
Domek mój ani świeci złotogłowy,

Nie strop hymetski szumny,
Gdzieś afrykańskie dźwigają kolumny.
Anim ją po Attale
Królewski dziedzic opanował sale.
Ni mnie z Indów ostatnich
Sieroty przedą kądzieli szarłatnich.
Alem ja zaś szczęśliwy
W cnotę i dowcip. Czemem sprzyjaźliwy,
I kochankiem bogatym,
Będąc ubogim. A dosyć mam na tem.
I ni ocz nie podnoszę
Do nieba rękę, ani więcej proszę
Przyjacela możnego,
Kontent z folwarku błogosławionego.
Płynię dzień za dnem, płynię,
I drugi jutro, co jeden dziś minię.
Ty każesz sieć marmury,
O swej nie pomnąć ubóstwie natury,
Ani ostatnim grobie,
Na dumy pyszne i pałace sobie.
Wypierasz z brzegów morze,
Nie kontent w jego terminach i porze.
Cóż? i słabszym sąsiadom
Rozrzucasz kopce, i choć ich źle wiadom,
Za sieroce granice
Rozpościerasz się. Zkąd własne dziedzice
Jako ach! wypędzono!
Wędruje matka wzięwszy ich na łono.
Aleć takiego pana,
Erebowego czeka dwór tyrana,
Gotowy wiecznie jemu
Gdzie się masz nędzny?... Ziemla ubogiemu
Toś, która i królowi.
Ani się złotem dał Prometeowi
Przekupić Charon srogi,
Ani Tantalus był u niego drogi

O naród wszystek jego.
Ten w ciężkiej pracy mdleje, ubogiego
Gdy słyszy, że go wzywa,
Wzywany i niewzywany przybywa.

Na Sejm rozerwany w Warszawie
15 Listopada 1639.

Co w domu serca prorockie wieszczily,
Które i w drodze wieści o tem były,
Że na tem stanąć nie miało
Strojnym sejmie, już się i tak stało.
Wylały próżno nabrane te wody,
A dla burzliwych szumów i niezgody,
Cośmy pod niebo aż latali,
Sucho barzo na piasku zostali.
Komu mam przyznać? Gorącymli fatom?
Czyli nieszczęsnym względom i prywatom,
Przez co dziś rozrywają sejmy,
Przez co wkrótce rozerwiem się i my.
I któraż była tak potężna siła,
Któraby sobą się nie obalała?
Rzym swoje tryumfy zgubiły,
I Ateny, gdy namędrsze były.
Boję się, boję, prorok, ach! zły sobie,
Żeby w tym wieku i dojrzalej dobie,
Ojczyzna dla tych subtelności,
Do ostatniej nie przyszła trudności.
Bo w czemże wlećej złotem dni trawimy,
Tylko, że w morzach swoich się silimy.
Nie strużmy już dla Boga więcej
Tej wolności, bo zginiemy pręcej.
Im te ostrożniej Charybdy mijamy,
Tem się potężniej o nie rozbijamy;
Znak pierwszy, (a powiem to śmieje)
Zguby naszej, konstytucyi wiele.

Jeśli o równość idzie i tytuły,
Czemuż dawniejsze w tem się nie poczuły
Wielki i naszy przodkowie?
Ach! my mędrszy dopiero synowie.
Tylkoli, tylko bieczeniem w oczach komu
Cudze te światła i ozdoby domu?
Bez ksiąząt co na to tak biją,
Niechaj świetą razem rwą unią.
Bo tamci sercem związali się z nami,
Będąc wolnemi sobie narodami,
Żeby te, które z sobą wniesli
Czapki złote, na głowach swych nieśli.
Niechżeby drudzy po lidze tej świętej,
Nie nosili się nowemi książętami;
Cierpieć tych, cierpieć, którzy starzy,
Póki niebo świecić im tak zdarzy.
Bo gdyby oni, a w polu kamienie
Co raz rość mieli, nie tylkoby w cenie
Szlacheckim domom ubliżyli,
Ale św atby sobą zawalili
Tedyż dla jednej upierzonej dumy,
Wstały w ojczyźnie tak nawalne szumy.
Tedy dla jednego filaru,
Wszystkiemu się obalić ciężaru.
Hej! rugujmy się, a kto z nas przyczyną,
Niech pieczętuje, a wszyscy nie giną.
Tylkoć dla jednego Synona
Legła twoja nieszczęśliwa ona.

Pałac Leszczyńskich

od sławy nieśmiertelnej pod wjazd jaśnie wielmożnego
jego mości pana Jana Bogusława hrable na Lesznie
Leszczyńskiego, wielkopolską generalją, przez Samuela

z Skrzypny Twardowskiego wystawiony w Poznaniu roku
1643, 6 Lipca.

Śpiewam senat, i wielkie w Polsce jenerały,
A nie nowe domowi Leszczyńskiemu chwały,
Ku jednego ozdobom dzisiaj Bogusława
Poruszone z pod ziemie. Godnali zabawa
Będzie to pióra mego? Muzo, ty osądzisz,
Która tyle wdzięczności z duchami zarządzisz
W piersiach moich, że one wyważywszy z mroku
Na tym, który buduje, pokaże widoku,
Miasto jest w Wielkopolsce ku słońca zachodu.
A tamtego stolica i głowa narodu,
Starożytne i piękne, od nieznanych owych
Jeszcze snąć założone potomków lechowych.
Ztądże, lubo z początków małych rość poczęło,
W tę, którą dziś widzimy, możność się zawzięło.
Leży sobie nad Wartą, której źródła czyste
Polewają daleko błonia przeźroczyste,
Gdzie pod późne Hesperę widzieć więc parami
Młódź ochoczą, przechodząc z swemi się damami.
A w oczu im Najady z rączemi Trytony,
Stroją gwoli ucieszne igrzyska i gony,
To srebrnemi po wierzchu piersiami błyskając,
To smukłemi dłońmi w oczy się przyskając.
Owo dziwna wesołość i żyźność tej wody.
Z drugiej strony przyległe sady i ogrody
Różnych pełne rozkoszy, a nie tak ćwiczeniu,
Ani cyrkłom zielniczym, jako przyrodzeniu
I miejscowi powinne, gdzie pod umbrą śładać,
I ranne kolacje zwyczaj bywa jadać
W upaleniach słonecznych, kogo szwędzą mury,
Lub odmiana powietrza cieszy i natury.
Mimo inszych grzeczności i pochwał swych wiele,
Które zdobią to młasto, ma obywatela
Polerowne i ludzkie, jako z gładkiej mowy,
Tak postępków szlachetnych. Ma swój dank gotowy,

Do którego poloru powód ma nie mniejszy
Z wyniosłości powiatu i szlachty tamtejszej,
Która tu odprawuje festy wszystkie swoje,
Na wymyślne prezenty sadząc się i stroje.
Najwięcej pod święty Jan. Tu weselne akty,
Tu pogrzeby i różne traktuje kontrakty.
A cóż gdy się przypatrzy okregowi w murze,
I jego dymensyi puszczonej po sznurze,
Ma z czego się ukochać, tak i mury kołem,
I rynek swym kwadratem toczy się wesołym,
Tak bramy patrzą na się, tak równe ulice,
Aż i złote nad zuchwał widzieć kamienice.
Tu sława z wysokiego Olimpu zstąpiwszy,
A swoje tam zawody na czas opuściwszy
Zwyczajne kawalerom i argińskiej młodzi,
Gdy co roku piątego taki fest dochodzi,
Na szumnych biegać wozach, a kto z nich ubleży,
I zatem do korony i palmy należy,
Na krzesle szczerolotem siedząc, uznawała,
Tu śród rynku kosztowny pałac zbudowała.
Oczy dotąd śmiertelne ludzkie nie widziały,
Wszytkie się tam dowcipy na ten kunszt składały.
Oprócz temu patrzeć nań, i wnić się tam godzi
Kto przyjaciel, ani go ta jego obchodzi
Wielmożność i ozdoba. Żwawe nie skrwawiły
Lerwy oczu, ale mu dla ojczyzny milej
Tanio co jest drogiego i nie ciężko bywa,
Gdziekolwiek go do siebie bogini ta wzywa,
Przez ognie, przez i miecze, i tysiąc trudności,
Żeby tylko (ach!) rzadkiej dojść nieśmiertelności.
Jest z marmuru czarnego w kwadrat zbudowany,
Alabastrem tak ślicznie biało przeplatany,
Że w tej swojej różności (ile kto żrzenicą
Dojrzy tego bystrzejszą) zda się szachownicą.
Zaraz w jego arel, z marmurów mlenionych
Podawa się fontana na czterech złożonych

Lwach stojąca, oddana z koryntyjskiej miedzi!
A śród słup aspisowy, gdzie dwie parze siedzi
Syren alabastrowych, nad czaszą fontany
Wieszając się, a w ręku porfirowe dzbany
Wyniesionych trzymają: z kąd gębami lwie
Woda pryska daleko po przyległej ziemi.
Ale płaczą i same oczy wiecznym zdrojem,
I czoła kryształowym pocą się im znojem.
Wzgórze ganki około, wszystkie marmurowe,
Które wewnątrz popstrzyły macice perłowe
Przeplatane koralem: gdzie po tynkowanych
Drogo ścianach, historyi wiele odkowanych
W miedzi, i starożytnym widzieć mozaiku:
O tych zwłaszcza, heroach, którzy kiedy w szyku
Krwawej służąc Bellony, czego dokazali,
Czemby sobie łaskawą panią tę zjednali,
A wyzuwszy człowieka, po śmierci wskrzeszone
Z prochu gdzieś ich popioły były poświęcone.
Widzieć naprzód płynącą łódź stooką owę,
Wyrobioną na sławę niegdy Jazonową
Z Terebintów tespijskich; a ta złote ono
Za tatarską Phasydą skazuje mu runo:
I Fryxa, i przy wielkiej zarazem nadziei
Królestwa bogatego, małżeństwo Medeii.
Tamże się z Minotaurem Tezeus pasuje,
Tam z węzami Herkules w kolebce morduje,
I od Korysteusza, żeby świat od wszelkich
Zbawił dziwów, zaciąga prac dwanaście wielkich.
Co sprawiwszy, przy gębie antlantyckiej szumnej,
Dalej nieprzeskoczony zabiera kolumny.
Toż później Hipomenes Atalantę goni,
A z bystrszych Enomaus przeszyziony koni
Łamię szyje: ów zatem ubiega koronę,
I z cyranki wygrywa kiedykolwiek żonę.
Toż piękna Semiramis mury dziwne kłii
Asfaltyckim karukiem; toż z Artemizyi

Powstawa mauzoleum; to Rodus się chwali
Swym kolosem, Dyannę Arcestratus pali.
Faro gore na morzu, piramidy wstają,
W labiryncie Dedali z synem się błakają,
Aż na zniewieścialego w tem Sardanapala
Nowa Medów i Partów uderzyła fala.
Aż i stąd wnet narodów to niezmierne brzemie
Przenosi się do Persów. Tu smocze zaś plemie
Robi siła w Grecyi z zębów Echiona,
Tu grzechy Edypowe, tu i krwawa ona
Między bracią niezgoda. Jakoż z drugiej strony
Buczne kwitną Ateny z swemi Helikony,
I Tajgety oliwa. Tamże Termopile,
I Maraton, i innych wisi w Delfie tyle
Ich korzyści. Toż i ci gdy się przeucyli,
Tylko co Aleksander z kąta się wychyli,
Aż przypadnie Azja od końca do końca,
Nie chcąc cierpieć drugiego oprócz siebie słońca.
Wtem Alba, wtem i rzymscy nastają Quirini,
Gdzie o! jako przybyło wiele tej bogini
I ozdób i kolorów! Tam Regulusowie,
Kurioni, Fabie, święci Kamillowie,
Wybijają Francuzy. Tam i wielcy oni
Pasują się z Afryką oba Scypioni.
Nakoniec wszystkich tych burd *ansa* i przyczyna,
Z fundamentów się samych wali Kartagina:
Że na dwóch się szkopułach domowych rozbiła,
I własnem swem brzemieniem kiedyś uraziła
Królowa ta narodów: ledwie przedtem w jakiej
Swojej była mężności, są po dziś dzień znaki.
Te kunszty i obrazy widzieć nieskończone,
Którymi tam jaśniejają drogie ściany one,
Że niemasz i prospektu, i mlejsca żadnego,
Bez czego, ku zabawie oczu, osobnego.
A takimiż kolory świecą się i wieże,
Których cztery, a każda rogu swego strzeże,

I kwadratu pałacu. Zkąd otworzonemi
Od kryształu górnego w srebro sadzonemi
Widzieć wszystko oknami. Toż gdzie już do góry
Wschód wznosi się zielony, i wiedzie na wtóry
Piętr pałacu, miedziane drzwi się otwierają,
Których dwie smaragdowe kolumny wspierają,
A na srebrnych podstawkach Nimfy złotolite,
Głowy żubrze trzymają w dyamencie ryte.
Jedne z tych na samych drzwi czele szafirowem
Różgą złotą skazując z napisem takowym:
»To jest dom, to i z wieku dziedziczna Wieniawa,
»Leszczyńskiego na Lesznie hrabi Bogusława.«

.....

Jakób Wojewódzki,
pod Smoleńskiem zabity 10 Stycznia.

I.

Cnotę i wiarę oświadczywszy swoje,
W Smoleńska długo twardem oblężeniu,
Gdy metu blisko i laurei stoję,
Sławie i memu powinnej imieniu, —
Już o te mury, już nic się nie boję,
Już zesze siły zbieram ku wytchnieniu.
Oto śmiertelnie jędza wymierzywszy,
Tedy pożyła, kiedym najszcześliwszy.

II.

Nie tej nagrody przeważne zasługi
Czekały (jako rozumie gmin gruby);
Już po niewczasach i obronie długiej,
Już zasieść było przy Czererze lubej,

I nie umierać jako żołnierz drugi,
Ale oddawszy Bogu swemu śluby,
Dość mając sławy, dość nieśmiertelności,
W zimnej na łożu dokonać starości.

III.

Trudno! wrodzona nie zniosła ochota,
Żebym się tu miał niemężnie szanować.
Nie zniosła wiara i doznana cnota,
Żebym jej nie miał krwią zapleczętować,
Widząc, ono pan rumuje sam wrota,
Ostrogi burząc, karze następować;
W nim utopiwszy ostatnie swe oczy,
O! jako trzykroć umarłem ochoczy.

IV.

Zamkum obronił, i różnej fortuny
Wytrzymał szturmy. Raz słowa gładkiemi
Uwodził tyran, razem grzmiął pioruny,
Że dźwięk w ostatniej odzywał się ziemi.
Nie tykaj, jędzo, nie tykaj się truny,
Nic tu z potwarzą, nic z Satyry twemi.
Stłuczone mury, belloardy zbite,
Wiara nietkniona, serce nieużyte,

V.

Ale cóżkolwiek odniosłem i użył,
Wszystko, o panie, oddawam to tobie.
Ty sam mi przyznaj, że dobrzem ci służył,
Zem przy twem umarł zdrowiu i ozdobie.
A jeśli śmierci w czemem się zadłużył,
Dopuszcz w ojczystym odpoczywać grobie!
Niech tak żelazno i twardo nie drzymię,
Że przyszłe wieki poznają me imię.

Przeważnej legacyi jaśnie oświeconego księcia
Krzysztofa Zbaraskiego
koniuszego koronnego, etc. etc.
do cesarza tureckiego Mustafy.

Punkt I.

Gdzieby Muze sarmackie doszły takiej ceny
Żeby mogły ukoić gładkimi Kameny
Serca zapamiętałe mieszkańców podziemnych,
Próżną skargą kołacąc do ich gmachów ciemnych:
Tuby, o panny święte! i pole podobne,
I czas byłby do płaczu, zgodziwszy żałobne
Koncenty z rymy memi, żebym i ja z wami,
Pana tak szlachetnego mógł opłakać łzami.
Jednak wielkie podobno, idejskie źrzedlnice,
Na tego opłakanie, którego granice
Sławy i dzieł wysokich Tryony przechodzą,
A cnót żywych tłumacze, aż w Eou brodzą.
Lubo ja nie na ten ton pociągnę stron moich,
Jako biedna Hekuba płacze synów swoich,
Abo osierociła przy dyktejskiej Idzie,
Galatea wyrzeka po swym Adonidzie.
Ludzkie łzy, o letejski brzeg się rozbijają,
A rano źródłem płynąc w wieczór osychają,
Łzami śmierć się nie waży, ale cnotą z wierzchu,
Której wieczór nie skończy, ani uzna zmierzchu.
Zbaraska śmierć w pieszczonej nie chodzi żałobie,
W Marsowym raczej cyrku podobała sobie,
Gdzie swemu Krzysztofowi pogrzeb naznaczyła,
Których świętych koroną bogów otoczyła
Tam Belona z muzyką zasiadła ogromną,
Tam skruszył i Herkules kopią niezłomną,
I przy boku ognistym pacholeta małe,
Na szczupłych dęły surmach dumy wiecznie trwałe.

Tam córy tytanowe paliły ofiary,
Letejską onę tłukąc w niełube Kithary,
Jako piękny Adonis przed Jowiszem śpiewa,
A duszom nieśmiertelnym nektaru nalewa.
Jako tyran piekielny królewską dziewczynę,
Z łona matki uciesznej uniósł Prozerpinę,
A ta wstydu stradawszy i ust koralowych,
Kopci się nieszczęśliwa w łunach Awernowych.
Jako gruby Tycyon, i bracia rodzeni,
Tęgiemi Aloide pioruny strąceni,
Gdy ziemię pokinawszy i świat ten ubogi,
Chcieli niebo osiadać pozrzucawszy bogi.
A jako zaś heroes w królewskich koronach,
Zasiedli empireum na złoconych tronach,
Którzy tu swej ojczyźnie dobrze zasłużeni,
Tenże trybut oddali nieużytej ksieni.
Jeszcze zwiódł i Apollo z helikońskiej góry,
Do tej ceremonii Pieryi swych chóry,
Które ciemny katafalk otoczywszy kołem,
Rzewnie płaczą nad swego kochanka popiołem.
Gdzie Minerwa swoją tarczę zawiesiła złotą,
Na której przodków onych nie zrównanych cnotą,
Wielowładnych Zbaraskich spisała komputa,
Dom już on tak starego kończąc Korybuta,
Który czując pod ziemią, że tak znacznie ginie,
Ostradawszy nadzieję, w ostatnim już synie,
Wraca nazad ojczyźnie klejnot powierzony,
Wraca książęce, wraca królewskie korony.
Oddawa panu togi, oddawa i klawy,
Oto prosi, żeby mu nie uwlekl tej sławy
Żaden wiek, ani moment, jakiej Fabiowie,
Jakiej byli i w dziejach rzymskich Kamillowie.
Prosi żeby ponure nieżycliwych oko,
Które trony przenika pod ziemią głęboko,
Dało pokój umarłym, których za żywota,
Sama wiekom potomnym zaleciła cnota.

Scenie tej żalobliwej rymyli co moje
Przyczynią energii gdybym dzieła twoje,
Na jasnym zacny panie stawił Hipokrenie,
Przez grube cymeryjskie przeniosłszy ich cienie.
Poważę się nad siłę, jakom zuamienitych
Odwag twoich wiadomy, i trudów sowitych,
Którychem częścią widzem, częścią świadkiem bywał,
A któżby tego raczej z płaczem nie używał.
Ty sam, któryś tak nagle z oczu ludzkich zginął,
I na wody daleko niepomne upłynął,
Przypomniź co za falą bywałeś trapiiony,
Ziemia dla ojczyzny, morzem dla niesiony.
I acz na ten ocean cnót twych światobliwych,
W miłąckiej się puszcza łodzi; ty jednak szczęśliwych
Dodasz wiatrów z Peloro, a już rymom moim,
Brzmieć cichuczko dopuścisz przed pokojem twoim.
W cieniach które obeszły północne Tryony,
I lasach nieprzebytych, kędy zamrożony
Zaćmił się hercyńskiemi Polus pustyniami.
Obległszy lodowemi brzegi ich morzami.
Między wielą narodów Sauromatów sławnych,
I pułki rozbiegłemi Roxolanów dawnych,
Zalegli i Litawi czoło Akwilona,
Swe od rzymskich wywodząc wygnańców imiona.
Naród ten starożytne zalecając boje,
Gdy pierwiej Dniepr zbrodziwszy, tam gdzie Tana
Toczy źródła w Meotym, i gdzie aż bogaty [swoje
Nowogród pławi Iną, panował przed laty.
Z zachodu się ocierał o lackie narody,
Gdzie Narew, i aż gdzie Dniestr pędził rączę wody,
Zniósłszy Gety waleczne i bitne Jaćwieże,
Po ciemny aż Trapezunt swoje miał rubieże.
Cóż gdy wiek nienawisny dziedzicom potomnym,
Ludzi onych pogrążył w cieniu gdzieś niepomnym,
Że ich dotąd i z imion młodszy nie uznali,
Którzy sławą swych czasów nieba dosięgali.

Ledwie że w tych mgłach widzieć, ano zeszły laty,
Pokinawszy Narymunt klejnot on bogaty
Kłitaura lityńskiego, z wyniesioną bronią,
Pierwszy wielkim księżętom zostawił Pogonią.
Widzieć że i Witenes następuje po nim,
Gotyckim władny łukiem i podobnym koniem;
Z Kolumnów swe wywodził imię starodawnych,
Mimo onych Rożyców i Orsynów sławnych.
W też waleczny Gedymin strzemiona wstępuje,
On Troki, on i zamki wileńskie buduje,
Za wrózką i powodem grubego augura,
Ogromnego nadzwyczaj ustrzeliwszy tura.
Po nim Olgerd braterską zrzuciwszy dzielnicę,
Z wojski aż pod moskiewską podjeżdża stolicę,
Gdzie na pamięć potomną i na imię swoje,
Dużą kruszy kopłą o carskie pokoje.
Tu już za lat postępkem będąc dotąd ciemną,
Litwa jaśnieć poczęła sławą swą przyjemną,
Że ją Auster dopiero zaznał południowy,
I na sławne imię jej swej uniżył głowy.
Z tądże potem waleczni poszli Witoldowie,
Z tąd oni nieśmiertelni niegdy Jagiełłowie,
Których po wiek dzisiejszy światobliwe plemię,
Rządzi prawy wolnemi piękną polską ziemię.
Z którymi w jednej płynie Korybut nasz łodzi,
Od tych ród swój i herby książęce wywodził,
Miesiąc złoty, którego krzyż niebieski broni,
Gwoli żartkiej wldoku przybrawszy Pogoni.
Ale dla Witoldowej chciwości szalonej,
Z udzielnych księstw siewierskich niesłusznie złupiony,
Przenosi się na Wołyń, gdzie póki był żywy,
Trzymał szczęściu uległszy dział niesprawiedliwy.
Gdzie Zbaraż i Wiszniowiec tamtych pól wiadomy,
Wielkim dwiema założył familiom domy,
Od Tatar potem zabity poległ na Azowie,
A ojczyste osiedli dziedzictwa synowie.

Starszy Zygmunt na czeskie królestwo się sadi,
Gdzie ozdobne z ochotszych chorągwie prowadzi,
Z kąd wielą sławny zwycęstw powróciwszy w domu
Tonie w Świętej z krwawego uchodząc pogromu,
Młodszy Fedor znowu się przeciw panu bierze,
Późno chcąc w utraconym osładać Siewierze;
Ale zrażon, w ojczyźnie osiadł, gdzie i spłodził
Daniła, który potem znacznie się rozrodził.

.

WACŁAW POTOCKI

(1625 — 1696).

W roku 1850-tym Stanisław Przyłęcki wydał we Lwowie ze starego rękopisu poemat bohaterski p. t. »Wojna chocimska«.

Nie znalazłszy w rękopisie nazwiska autora, wydawca przypisał to dzieło Andrzejowi Lipskiemu, podwojewodzie sandomierskiemu i podczaszemu chełmskiemu.

Przez pewien czas mniemano, że przez Przyłęckiego odkryty został nowy, nieznany do tej pory z żadnego utworu poeta XVII-go wieku.

Mniemanie to zbił po dwóch dopiero latach na łamach »Dziennika literackiego (nr. 45 i 46 z listopada 1852 r.) Karol Szajnocha, dowiódłszy, że »Wojna chocimska« wyszła z pod pióra Wacława Potockiego, podczaszego krakowskiego, autora wielu dzieł poetycznych, bądź wydanych drukiem, bądź przechowanych w rękopisach.

Twórczość Potockiego stanęła od tej chwili w nowym świetle. Zaczęto ją badać i oceniać pod kątem tego nieposzedniego talentu, jaki bił z kart »Wojny chocimskiej«.

Ustalona sława Samuela ze Skrzypny Twardowskiego i innych »płsorymów« tego samego czasokresu zaczęła mierzchnąć. Przyćmiewał ich wszystkich Wacław Potocki. Jemu też oddała historia literatury berło poezji XVII-go wieku, uznając bogatą i wielostronną jego

twórczość za najlepsze źródło do poznania charakteru i nastroju epoki, którą przedstawiał.

Był Wacław Potocki, jak wszyscy niemal poeci tego czasu, szlachcicem-ziemianinem.

Pochodził ze średnio zamożnej rodziny, pleczętującej się herbem Śreniawa, a więc nie mającej nic wspólnego z wielkim domem Potockich-Piławitów.

Przyszedł na świat w r. 1625-tym w Woli Łużeńskiej, w pow. bieckim ziemi krakowskiej, z ojca Adama, wyznania arjańskiego, i Zofji z Przypkowskich.

Gdzie pobierał nauki, napewno niewiadomo. Prawdopodobnie, jak przypuszcza prof. Korbut, w szkole arjańskiej, może w Raciborsku pod Krakowem. Uczniem Akademji Krakowskiej nie był, wyższego więc wykształcenia nie otrzymał. Po ukończeniu nauk osiadł na wsi, w Łużnej, i zajął się gospodarstwem. W r. 1648-ym ożenił się z Katarzyną Morsztynówną, arjanką. Miał z nią troje dzieci: dwóch synów i jedną córkę. Z tych dwójga dzieci najstarszy syn, Stefan, objął zawód wojskowy. Ten, wracając z wojny tureckiej, zmarł w 23-lej włości życia. W ślad za nim odeszło od ojca i dwoje pozostałych dzieci: córka Zofja, poślubiona Janowi Lipskiemu, staroście czchowskiemu i sandeckiemu, i syn Jerzy, podczaszy krakowski. Nadto śmierć wydarła mu żonę i braci. Poeta pozostał sam:

»Miałem żonę, miał bracią, syny wychowane,
Nie przestała śmierć rany zadawać na ranę,
Ażem sam jeden został, otoczony żalem...

Osamotniony, pocieszał się pisanem wierszy. Dożył sędziwego wieku.

»W ostatnich latach panowania króla Jana III-go — opowiada Szajnocha (»Szkice historyczne«, tom I, str. 247) — w porze coraz widocznieszego upadku kraju, żył na Podgórzu, w okolicy Biecha, we wsi Łużna, przeszło

śledemdziesięcioletni staruszek, jedna z najcharakterystyczniejszych postaci swojego czasu. Śledzi czcił w nim prawego, cnotami i nauką zasłużonego obywatela; natura stworzyła go poetą, obdarzonym do najpóźniejszych lat rzadką władzą wyobraźni, a zwłaszcza wymowy poetycznej; długie życie otoczyło go nakoniec zupełną samotnością. Odumarły go z kolei dzieci, żona, znajomi. Osiercony starzec pozostał sam jeden z swoім smutkiem domowym, z widokiem coraz posępniejszego stanu narodu i spraw publicznych, z darem głośniego wynurzenia swoich z tej obojej przyczyny żalów i skarg. Stąd, zajęty ustawicznie pracami poetycznymi, uniesiony właściwym staremu wiekowi duchem zrzędności, wylewał na papier obfite strumienie swego rodzinnego i patriotycznego lamentu.

Umarł prawdopodobnie w r. 1696-tym.

Ten to »starzec samotny« był największym poetą XVII-go wieku.

Życie jego, odkąd mógł czuć i pojmować — mówi prof. Bełcikowski — przypadło na czasy Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III-go, to znaczy na czasy pełne nieszczęść i przemian politycznych, ścierania się sprzecznych żywiołów i uderzających nieraz boleśnie serce i wyobraźnię wydarzeń. Ale ciemny ten obraz ma jedną stronę jaśniejszą, która uwalnia tę epokę od zarzutu zupełnego upadku moralnego i politycznego.

Niebezpieczeństwo, grożące ze strony Turcji, utrzymuje w narodzie iskrę szlachetnego poczucia o swem stanowisku w Europie, zapasy z islamizmem rozbudzają w nim ducha bohaterstwa i rycerskiej dzielności. Nigdy więcej, jak w tym właśnie czasie, nie była Rzplita przejęta przeświadczeniem, że jest przedmurzem chrześcijaństwa, że jej obowiązkiem walczyć w obronie krzyża i ewangelji. Głęboka wiara i religijność, wrodzona od początku narodowi, pod wpływem tej myśli potężnieje na polu czynów i nabiera majestatycznej wielkości.

Taki widok roztaczał się przed oczyma Wacława Potockiego.

Jako syn swego wieku musiał on jednakowoż patrzeć nań nie z bezwzględnego stanowiska, jakie w stosunku do przeszłości mogą zająć późniejsze czasy, ale z punktu widzenia pewnego stronnictwa lub stanu. Dlatego też wzrok naszego poety nie sięga poza horyzont szlachecki, i głos jego, ilekroć sądził swe czasy i wypadki, jest prawie zawsze wyrazem uczuć i myśli jego stanu. Ale ponieważ głosem tym odzywa się człowiek, stojący zdala od politycznych zatargów, niewmieszany w osobiste interesy i obcy namietnościom, przeto jest to zarazem głos szlachetności i rozumu. Ze wszystkich jednak idei, poruszających tą epoką, jedna szczególniej przyłgnęła do jego serca: w Potockim najwyraźniej uwydatnił się i w nim znalazł najgodniejszego głosiciela ów duch rycersko-religijny, zrodzony przez walki z półksiężycem.

Autor »Wojny chocimskiej«, jak zgodnie stwierdzają ostatnie badania, zaczął pisać znacznie wcześniej, niż to dawniej przypuszczano.

Na lata 1648 — 1655 przypadają jego utwory młodzieńcze, niewielkiej zresztą dla historii literatury wartości. Należą tu: »Pojedynek rycerza chrześcijańskiego«, »Rozkosz światowa«, »Rozkosz duchowna«, »Tydzień stworzenia świata«, »Judyta«, »Katalog monarchów i królów polskich«, »Rokosz gliniański« i nieco później powstałe (1655 — 1660) »Pieśni pokutne«.

Wszystkie te utwory poznaliśmy dopiero niedawno dzięki wydanemu w r. 1911-tym przez prof. Brücknera nieocenionemu »Wirydarzowi poetyckiemu« J. T. Trembeckiego. Daleko im do tej wysokości, na której stoi »Wojna chocimska«, świadczą one jednak, że poeta od zarania swojej twórczości miał przedziwną łatwość wiersza.

To pozwoliło mu ważyć się na przedsięwzięcie śmiałe i olbrzymie. Przedsięwzięciem tem był przekład na język polski słynnego romansu Jana Barclay'a, Szkota, p. t. »Argenis«.

Imię Barclay'a, znane podówczas na całym świecie, nie było także obce i w Polsce. W innym bowiem swolm romansie p. t. *Satyricon* umieścił Barclay także pogląd na charakter i obyczaje narodów europejskich i tam w rozdziale VIII-ym zdanie swoje o Polsce wypowiedział. Zdanie to nie było dla Polski korzystne i dlatego Łukasz Opaliński, młodszy brat znanego satyryka, Krzysztofa, wystąpił z obroną Polski przeciw niesłusznym zarzutom w piśmie p. t. »Polonia defensa contra Joannem Barclay'um 1648«.

Tem ciekawszą mogła być dla Polaków »Argenida«.

Treść tego ogromnego romansu, najobszerniejszego w naszej literaturze, jest następująca:

Poliarch (streszcza prof. Belcikowski), nieznany młodzieniec z cudzych krajów, kocha Argenidę, córkę Meleandra, króla sycylijskiego, i doznaje od niej wzajemności, lecz wskutek intryg i oskarżeń Lykogenesa, możnego pana sycylijskiego, musi opuścić Sycylię i udać się na tułactwo. Lykogenes marzy także o pozyskaniu ręki Argenidy i o władnięciu krajem. Podnosi wreszcie jawny bunt przeciw królowi. Archombrot, syn królowej maurytańskiej, który się poznał i zaprzyjaźnił z Poliarchem w czasie jego tułactwa, jako też Radyrobanes, król sardyński, pomagają w tej wojnie Meleandrowi; Lykogenes zostaje zwyciężony i zabity przez Archombrota. Radyrobanes kusi się teraz o rękę Argenidy, a widząc jej niechęć, zamierza podstępem ją porwać. Lecz gdy zamiar jego się wydał, zmuszony jest opuścić Sycylię, a król Meleander przeznacza Argenidzie za męża Archombrota. Tymczasem okazuje się, że tajemniczy Poliarch jest królem Galji. Bawi on w tej porze w Maurytanji, gdzie królo-

wej wielkie oddał usługi, odebrawszy skarby, zabrane jej przez korsarzy, i pokonawszy Radyrobanesa, który szuka pomsty na matce za powodzenie Archombrota. Królowa wzywa syna do Maurytanji, gdzie spotykają się obaj rywale i przyjaciele, Poliarch i Archombrot, a następnie wyprawia ich obu do Sycylii z listami do Meleandra; z listów tych pokazuje się, że Archombrot jest synem Meleandra z pierwszej jego małżonki, a siostry królowej maurytańskiej. Poliarch przeto otrzymuje rękę Argenidy i królestwo.

Napozór wydać się może trudnem do wytłumaczenia zainteresowanie poety i ówczesnego społeczeństwa polskiego tą bajką. W istocie rzecz jest zrozumiała. Urok, jaki miał ten romans w całej Europie cywilizowanej, a więc i w Polsce, polegał na tem, że »Argenida« była wielką alegorją, pod którą Barclay wystawił ówczesne stosunki i osobistości europejskie, a głównie francuskie. Z tego też zapewne powodu przypisał swój utwór Ludwikowi XIII-mu. Główna bohaterka romanu, Argenida, zdaniem krytyków francuskich, ma wyobrażać gasnący ze śmiercią Henryka III-go ród Walezjuszów (i dla Polski nieobojętny) albo też regencję, o którą wówczas kilka stronnictw walczyło. Prześladowany zaś od losu, a wkońcu szczęśliwy kochanek Argenidy — to król Nawarry, późniejszy Henryk IV-ty.

Stosownie do tego autor zamieścił tu wiele ustępów, poświęconych rozmaitym kwestjom politycznym.

Potocki — zaznacza Bełcikowski — tłumacząc podobne miejsca, przenosił się duchem do Polski, i chociaż trzymał się wogóle danej myśli, to jednak nadawał jej barwę swojską i przekształcał odpowiednio do krajowych stosunków tak dalece, że używał wyrażań, które tylko polskim mogą odpowiadać instytucjom, podczas gdy w oryginale łacińskim wypowiedziane są one z niejakiem naśladowaniem kolorytu starożytności. Stąd dziwnie wy-

glądają podobne ustępy przy całości, owianej duchem klasycyzmu, a w ustach tych Archombrotów i Meleandrow uderzająco brzmią wyrazy: sejmik, szlachta, elekcja i t. p. Ale taki był przyjęty u nas sposób tłumaczenia. Wszystko, co się publicznych spraw dotyczyło, musiało być zupełnie spolszczone, pociągnięte swoim kolorytem, bo i pisarz i czytelnik przejęci byli nawskroś życiem politycznem i w niem największy interes znajdowali.

W ten sposób miał Potocki sposobność wypowiedzenia w »Argenidzie« swego zdania o stanie i rządzie Rzplitej. Jak wszyscy prawie nasi pisarze, ludzie dalej i jaśniej widzący niż ogół, ganił on te instytucje, które, wychodząc z nazbyt idealnego pojęcia o szlachetności i poświęceniu pojedynczych jednostek, wyrodziły się w ciągu wieków i stały przyczyną rozprężenia. Pragnął on ograniczyć gminowładztwo szlacheckie, nie dać się rozwinąć oligarchji, podnoszącej wówczas głowę, a wzmoćnić i rozszerzyć władzę królewską i w tym celu, zaniechawszy elekcji, zaprowadzić tron dziedziczny. Oto jeden z tych ustępów (część I, rozdz. 15-ty), gdzie goście przy stole króla Meleandra toczą rozprawę o tem jaka jest najlepsza forma rządu:

»Wiem ja, wiem te narody i co się w nich dzieje:
Ślicznie kwitną, niestety! bo już są na schyłku,
Prawda, kwitnęły przedtem, teraz już posłłku,
Albo, że prościej rzekę, żądały zadatku
Na swoją elekcję, do tego upadku
Tamto przyszło królestwo a nie znajdziesz iny
Oprócz tej elekcji cudownej przyczyny.
Wiem, póki dawnych państwo ojcowiców plemię
Choć obrane rządziło, syn wstępował w strzemię
Rodzicielskie: i przyznam, że ptak białopióry
Całego prawie świata przenosił Arkturny.

Zbytki wprzód, ambicja do tego obrzydła
 Wyperzywać oboje poczęła mu skrzydła.
 Nakoniec, co to kładziesz między ich ozdoby,
 Śmierć im pewną gotuje i otwiera groby.
 Bo tam, jako się skoro król z światem pożegna,
 Otwierają swej woli wrota Interregna,
 Gdzie kto duższy, ten lepszy: nuż kaptury owe,
 I dotąd stoją one kaptury bezgłowe,
 Aż przyjdzie elekcyja, kędy hurmem bieżą
 Konkurenci i w sztuki koronę porzeżą.
 Jednych obietnicami, drugich gotowizną
 Korumpują, a trzeci ledwie kość obliżną,
 Ledwie ją na bankiecie winem splócze mocnem,
 Aż swym głosem każdemu winien być pomocnym,
 Aż się każdy o kreskę byle z obcym zgodzi,
 Bowiem mu się swojego i wspomnieć nie godzi!...

Pominąwszy te »pociągania swojskim kolorytem«, naogół w tłumaczeniu swoim trzyma się Potocki wiernie oryginału, odstępując od niego tylko o tyle, o ile wymagał tego wiersz, zawsze od zwłzkiej prozy łacińskiej Barclay'a rozciąglejszy i wielomówniejszy. Przybyć więc musiały naturalnie ozdoby i porównania poetyczne, które ubarwiły opowiadanie, dając jednocześnie pocie i możność malowniczego wypowiedzenia się w języku ojczystym.

Język ten pod piórem Potockiego osiąga wielką gładkość. Stwierdza to pierwszy lepszy przykład. Oto Argenis, dowiedziawszy się o mniemanej śmierci Poliarcha tak się odzywa do swojej ochmistrzyni, Selenissy (cz. rozdz. 7-my):

»Tedy mi umrzeć bronisz i zagoić razem
 Rany, co samem może zleczyć się żelazem?
 Nicujesz słowa swoje, chcąc mię wędzić żywo.
 Mocneż to, Selenisso, miłości ogniwo!

Tem serce zachelznane, a prawdziwem rzekła,
 Nie na ostre żelazo, lecz pójdzcie do piekła.
 Płotun żyć, cukler umrzeć, gdzie ten los dosięże
 I z miłym przyjacielem na świecie rozprzeże...
 To rzekłszy, ścięła zęby i sama się razem
 I rękę opuściła ku ziemi z żelazem!...

Albo:

»Kiedy po długim deszczu i sprzykrzonej słońce
 Rozpostrze na niebieskim słońce kołowrocie
 Grzywy swoje promienne — trawy, kwiaty, listy
 W rozmaitych farb barwy i kolor złocisty
 Maluje; tak Argenis kropłom łez perłowym
 Siła ozdoby dała śmiechem choć jałowym.
 Śmiech był, lecz w uściach tylko — bo serce i oczy
 Od śmiechu i od wszego pocieszenia boczy.«

»Argenida«, trzymana przez tłumacza w ukryciu i znana tylko przyjaciołom, odwiedzającym go w Łużnej wyszła z druku dopiero w r. 1697-ym w Warszawie, nakładem oo. pijarów, którzy zaznaczyli w przedmowie, iż utwór ten przeszło 18 lat przeleżał w rękopisie i teraz dopiero »dla sławy narodu« zostaje wydany... »My — piszą wydawcy — nie chcąc tłumić tak zacnego wierszopisa i chwalebne zewsząd, bo prawdziwie heroicum carmen zagubić, wiekopomnej sławie i imieniu polskiemu ofiarujemy«.

Drugim utworem Potockiego o nieco zbliżonym do »Argenidy« charakterze jest »Syloret albo prawdziwy obraz nieosłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami męstwa i uszczęśliwionej w poddaniu się wyrokowi Boskim ufności«, napisany, jak widać, z dedykacją p. t. »Poświęcenie mojej wielce i jedynie kochanej synowej, Jejmości pani Aleksandrze ze Stopina Potockiej, podczaszynie krakowskiej, przy posłanym Sylorecie« — po śmierci syna Jerzego. Równie dobrze jednak przypuszczać można,

że tylko dedykacja powstała wówczas, sam zaś utwór należy do wcześniejszych. I to jest prawdopodobniejsze.

»Syloret« jest romansem, pełnym najrozmaitszych przygód, jakich doznają trzy po sobie następujące pokolenia. Bohater romansu w podeszłym już wieku żeni się z młodą Arsina. Ta kocha się w swoim pasierbie Daulecie (streszczenie prof. Bełcikowskiego) i kiedy mąż za sprawami kraju oddala się z Rodus, wyjawia Dauletowi swoją miłość. Daulet postępuje z macochą w podobny sposób, jak Hipolit z Fedrą. Zemstą zapalona Arsina zamierza go otruć, lecz kiedy Daulet dla spokojności domowej nagle opuszcza ojczyznę, syn własny Arsiny, Xifil, truje się przygotowaną trucizną. Arsina zabija się wówczas z rozpaczy i wstydu. Na to powraca do domu Syloret, a poznawszy całą rzecz, udaje się w świat na odzyskanie Dauleta. Tymczasem Xifil, ponieważ lekarz nie trucizny, lecz opium matce jego udzielił, przebudza się ze snu. Długo nie wie on, gdzie się brat i ojciec podzlewają. Doszedłszy więc do lat dwudziestu, puszcza się w podróż, aby ich wynaleźć. W czasie swej wędrówki otrzymuje w nagrodę za męstwo rękę królowny Teolindy i jej królestwo.

Wkrótce jednak nieprzyjaciele zmuszają go do ucieczki z państwa. Ścigany, na prośby Teolindy, która obawia się dostać w ręce wrogów, zabija ją i rzuca w rzekę. Ale rana królowej była słabą; wyratowana z wody, powraca na tron i rządzi w imieniu swego małoletniego syna, Eumenesa. Tymczasem Xifil, po rozłączeniu się z żoną, dostaje się do króla egipskiego Psamenita i do wysokiej dochodzi godności. Podobnego losu doznał i Daulet, który po długim tułactwie i wędrówkach, w czasie których poznał w Taurydzie i uwolnił stamtąd siostrę Faselinę, przybywa do Persji. Tam u Astjagesa, Cyrusa i Kambyzesa w wielkich zostaje łaskach. Z Kambyzesem udaje się do Egiptu, gdzie spotyka się niespodziewanie

z bratem Xifilem. Po śmierci Kambyzesa jeden zostaje królem armeńskim, a drugi egipskim i obaj idą następnie w świat szukać ojca, którego rzeczywiście odnajdują w Chaonji. Czynią później wyprawę na Pergam, lecz przed starciem się wojsk Xifil poznaje, że jego żona, Teolinda, którą miał za zabłą, panuje w tem mieście. Tak, pełni radości, wszyscy się na koniec znajdują. Odtąd większą część romansu zajmuje historia Eumenesa, syna Xifila i Teolindy. Kocha on Merope, którą ujrzał raz w Efezie, rodzice zaś pragną go ożenić z Astymoną. Szczęśliwym jednak wypadkiem dowiaduje się, że obie są tą samą osobą. Astymona przybywa już do Pergamu, lecz w drodze napada ją Atys, król Lichji. Aby ująć jego niewoli, nieszczęśliwa dziewczyna rzuca się do morza. Wtedy rodzice nakłaniają Eumenesa do ożenienia się z Ancestrą, królową Palmiry, gdzie znów znajduje rywali w Atysie i Teukrze. Rzecz jednak załatwia się z ogólnem zadowoleniem, bo Eumenes znalazł na dworze palmirskim swoją Astymonę, którą był Delfin z morza wyratował. Z nią się więc żeni. Atys tymczasem dostaje Ancestrę, a Teuker inną dziewczynę za małżonkę.

W ten sposób wszystko dobrze się kończy.

Jakie są źródła tej bogatej w przypadki historii romantycznej tyłu serc, dotychczas dobrze nie wiemy. Autor mówi nam tylko ogólnikowo o tem, że obraz jego »z starodawnej historii, z różnych greckich i łacińskich pisarzy wyjęty i odmalowany« został, a przez »W. Potockiego w rymie polskim żywszemi kolorami wzmocniony«. Nic ponad to. Dopiero prof. Edwardowi Porębowiczowi zawdzięczamy stwierdzenie, że pierwszy epizod »Syloreta« (historja pasierba Dauleta, kuszonych od macochy Arsiny) wzięty jest z *Metamorfoz* Apulejusza, z tą jedynie zmianą, że bezimiennie greckie figury noszą u Potockiego imiona.

Oczywiście, podobnie jest i z innymi epizodami. Mniej nas to jednak obchodzić powinno, skąd brał poeta bajkę, więcej natomiast jak ją »wzmacniał w rymie polskim żywymi kolorami«, tu bowiem ujawnia się indywidualność i talent poety.

Forma »Syloreta«, podobnie jak forma »Argenidy«, świadczy o niepospolitej łatwości, z jaką Potocki władał trudną stancą ośmiowierszową. Nie brak tu ustępów, pisanych z prawdziwym polotem poetyckim i pełnych napięcia dramatycznego.

Oto np. jak Teolinda w czasie pogoni nieprzyjacielskiej błaga Xifila o śmierć z jego ręki, aby się nie dostać do niewoli:

»Kędy Araxes twarde brzegi łomie,
Stanąwszy rzecze: drogi przyjacielu,
Gdy nam tak grzeszy fortuna wldomie,
Nie masz, prócz śmierci, na jej złość fortelu,
Wolę tu umrzeć, niżli żyć we sromie;
Kto życiem gardzi, nie trzeba słów wlelu,
Pieści się z ciałem przez to umysł miękki —
Mam umierać, niech z twej umieram ręki.

Ta woda grobem, te mi gwiazdy śwlece
Będą, miłości przeciw tobie świadki:
Tak ciała w ziemi gnić jako i na rzece.
Nie mogłeś ze mnie mieć synowy matki,
Puśćmy do końca zlej fortune lece:
Tu zabiwszy, zrzuć żony swej ostatki,
Dobytą miecza i utop w jej sercu,
Któryś niedawno przysłał na kobiercu...

Krew moja, która na mieczu zostanie,
Skoro, zabiwszy, w rzece mnie utopisz,
Uczynić w sercu niezapominanie.
Nie samę tylko swoją broń nią skropisz:

Drukuj na sercu moje nią kochanie,
I ze łzami ją pomieszawszy, to pisz:
Może być piękna (inna) i mieć siła złota,
W miłości nigdy nie będzie jako ta.

A Xifil:

»To rzekłszy, tnę ją. Lecz raz drżącej ręki
Ledwie że zwierchnęły kęś uszkodził skóry;
Siła mu miłość, siła zawój miękki
Ujął pochopu, choć miecz spadał z góry.
I pchnąwszy z konia zemdlała przez łęki,
Sunie, jako ptak, uniesiony pióry,
Że choć po płasku, nie znać konia w biegu,
Araxowego trzymając się brzegu.
Ledwie mu przyszło miecz do pochew schować,
Nie obejrzy się, choćby szło o gardło,
Nie zwykło bowiem serce tak żałować,
Co szczęście oczom bolesnym wydarło.
Zapomniał konia cugłami kierować,
Zda mu się, że go w miejscu coś przywarło,
I że na miejscu stoi jako wryty,
Choćby koń płasku nie tyka kopyty.

Z przytoczonych urywków widać, jak potoczysty i jak dojrzały jest wiersz Potockiego. Niestety, wobec znacznych rozmiarów utworu (17.000 wierszy) nuży on mimo swoich niewątpliwych zalet i czytelnikowi dzisiejszemu zabawy zgotować nie może.

Nie zgotował jej atoli także i współczesnym, los bowiem chciał, żeby »Syloret« prawie stulecie czekał na światło dzienne, gdyż, napisany około r. 1690-go, wyszedł z druku dopiero w r. 1764-ym w chwili, kiedy w Polsce rozpoczynała się już nowa era, to zn. kiedy po rozkładzie czasów saskich wstawał różowy świt »wieku oświecenia«. Nie spełnił więc poemat Potockiego swej roli, pozostał tylko dokumentem, świadczącym od strony autora o upodoba-

niach literackich, jakie miało w XVII-tym wieku społeczeństwo polskie, głodne romantycznej bajki.

Romanse tego rodzaju cieszyły się wówczas poczytnością w całym świecie zachodnim. Wprowadzały one przez literaturę do życia nowe, nieznane przedtem pojęcia.

Pomiędzy temi pojęciami naczelną rolę zajmowała miłość. Dzieje serca ludzkiego i jego namiętności zaczynały interesować coraz żywiej. Kobieta stawała swobodna na piedestale, który miał dla niej dźwignąć wiek XVIII-ty, wiek niezaprzeczonego jej królestwa.

Prądy te przenikały także i do Polski.

»Na kartach poezji z wieków zygmunto-wskich — mówi prof. Bełcikowski — napelnionych szczękiem oręża, gwarem sejmów i sejmików, nabożnym głosem psalmów, kobieta podrzędne tylko zajmowała stanowisko. Teraz, ze zmianą wyobrażeń społecznych i idąc za przykładem włoskich i francuskich pisarzy, zaczęli także i nasi poświęcać więcej uwagi kobiecie i wysławiać ją w swych utworach. Miłość i kobieta zrobiły w XVII-tym wieku wyłom w naszej literaturze i szybko zajęły w niej miejsce, jakie już posiadały w literaturach zagranicznych. Poeci nasi zaczynają kreślić wdzięki kobiece, odkrywając w nich nowe piękno dla swojej wyobraźni — i to w duchu swego czasu — zaczynają także wnikać w głębię serca i badać tajemnice niewieściego charakteru, robiąc często spostrzeżenia właściwe tym, którzy przez dłuższy czas żyli w świecie miłości, zachwyty i rozczarowania«.

To wszystko nie było obce i Potockiemu. Naturę kobiety znał on dobrze i wszechstronnie, o czem świadczy złośliwa, ale trafna charakterystyka poci nadobnej, włożona w usta Dauletowi, który waha się z wyborem małżonki, gdyż wie, że:

»Bogata zwykle męża lekceważy;
Uboga będzie na rodzinę kradła;
Nadobnej zawsze trzeba chować straż;
Szpetna, jakby też kto liźnął kowadła,
Ledaczego się młodej zabaży¹⁾,
A stare wadzą podejrzeniem stadła,
Przykre z nią życie, niemiła swoboda,
Prawie codzienna klótnia, rzadka zgoda.

Wysokiej siła wychodzi na bramy;
Mała do złości skłonna i do plotek;
Dworka, nic tylko stroje, figle, kramy;
Domowa trusia, jako morski kotek,
Choć się na strojach francuskich nie znamy,
Nakładzie na się pstrocin i błyskotek,
Jeśli się kiedy dowie o blesledzie,
Choć nieproszona, wpół baranczu²⁾ jedzie«.

Do »romansów« Potockiego należy jeszcze »Historja o Wirginiej pannie« albo, jak w innych rękopisach brzmi tytuł: »Smutna przygoda i śmierć żalosna nadobnej Wirginiej, dziewicy rzymskiej« lub prościej »Smutna przygoda Wirginiej, dziewicy rzymskiej«.

Utwór ten prawdopodobnie napisany został między r. 1673-1m a 1680-tym i znów jak »Syloret« 100 lat w rękopisie przeleżał, drukowany był bowiem dopiero w r. 1777-ym w »Zabawach przyjemnych i pożytecznych«.

Treść do tego poematu — wyjaśnia prof. Pilat — wziął Potocki ze znanego opowiadania Lłwjusza, którego trzyma się wiernie w ogólnym toku powieści, rozszerza jednak przedmiot mnóstwem uwag i dodatków, mających na celu moralizowanie. Że poecie nie chodziło o opowiadanie, ale głównie o moralizowanie, to widać najlepiej z obszernego wstępu, gdzie w sposób chaotyczny

¹⁾ zabaży = zażąda, zachce, zamarzy.

²⁾ baranczy = barani.

i rozwekły autor usiłuje dowieść i ustalić, że przyczyną nieszczęść na świecie jest kobieta, która »psikus i złość« wyrządza. Dowodzenie to, bardzo zresztą powierzchowne, popierają liczne przykłady, zaczerpnięte z dziejów.

Moralizatorstwo jednak nie tylko jest cechą wstępu. Przesyca ono również i cały poemat, w którego strofach autor w mniej lub więcej dosadny sposób plętnuje plotkarstwo kobiet, ich dewocję i inne przywary.

Pozatem pełno tu tych samych co w »Argenldzie« i »Sylorced« pomieszanych pojęć: »świat pogański łączy się w jedno ze światem chrześcijańskim i szlachecko-polskim. Są np. w poemacie wzmianki o klasztorach i kaznodziejach w Rzymie, ale ci Rzymianie są nieodrodnymi szlachcicami polskimi z wieku XVII-go. Wodzowie są hetmanami, a nawet czasem wojewodami. Wojsko pod wpływem opowiadań Wirginjusza porzuca »hetmańskie buławy«, senat zbiera się w »kościelce«, a patrycjusze prawią w mowach swoich o różnicy między »karmazynami« a »mieszczanami«. O Icylim, narzeczonym Wirginji, gdy miał być bity przez liktorów, mówi Potocki, że był »blisko kobierca«, niby wyrostek szlachecki. Appjusza wsadzają do »turmy«, a co najoryginalniejsza, że lud rzymski, oburzony samowolą Appjusza, woła: »Tedy już w mieście gorzej byłem żyli, niż na Krępaku albo na Bieszczadzie«.

Ostatnim tego rodzaju utworem Potockiego jest »Historja równej odwagi ale różnej fortuny dwu pięknych Tressy i Gazele w Holandji panien«, dotychczas niewydana, a znana jedynie z rękopisu, znajdującego się w Petersburgu. Rękopis ten pochodzi z biblioteki Załuskich. Czytał go i częściowo zużytkował w pracy swej p. t.: »Puśliczna rękopiśmienna po W. Potockim« profesor Brückner.

Gdyby Potocki tylko był te romanse pisał, to, pomimo ich zalet, nie byłby poetą godnym pamięci potom-

nych. Zbyt to już dla nas trywjalne i zbyt pełne barokowej przesady w obrazowaniu.

Ale to jest zaledwie nikła część ogromnej twórczości tego osobliwego poety, który, mało znany współczesnym, zaćmiewa dziś wszystkich niemal pisarzy swego wieku.

Ten swój triumf zagrobowy, to swoje na niezwykłą miarę zwycięstwo zawdzięcza Potocki »Wojnie chocimskiej«.

Właściwy tytuł tego eposu rycerskiego brzmi:

»Transakcja wojny chocimskiej, gdzie Osman, cesarz turecki, wszystkie państwa swoich z Afryki, z Azji i z Europy na Polaki zgromadziwszy sily, za łaską Najwyższego Pana roztropnością czułych i opatrnych wodzów a dzielnością rycerstwa polskiego spadł z imprezy swojej i straciwszy sto tysięcy ludzi, część w polu, część do naszych szturmując, część własnych broniąc obozów: starego z Koroną polską potwierdziwszy przymierza, inglorius wrócił do Konstantynopola. Roku zbawiennego 1621 stanawszy pod Chocimem dnia trzeciego Septembra, odszedł dnia dziesiątego Octobra. Z różnych jako manuskryptów i dyaryuszów tak z relacyi ludzi starych, którzy tam byli praesentes zebrane, ale osobliwie z tradycyi JW. JM. Pana Jakóba Sobieskiego, od stanu rycerskiego w tej ekspedycji komisarza, a potem kanclerza krakowskiego z łacińskiego na polskie dostatecznie dla nieśmiertelnej narodu polskiego sławy wierszem przetłómaczone. Roku Pańskiego 1670. Dnia Decembra ostatniego«.

Jak sam poeta przyznaje, »Wojna chocimska« oparta jest głównie na pamiętniku Jakóba Sobieskiego, który był wyznaczonym przez Sejm komisarzem wojny chocimskiej. Pamiętnik p. t. »Commentariorum Chotienensis belli libri tres« uzupełniły inne jeszcze źródła, a więc, jak sam poeta zaznacza: manuskrypty, diariusze i relacje ludzi starych, uczestników tej wojny.

Wiedząc to od samego autora, nietrudno już wyobrazić sobie proces powstawania poematu.

W zacisznym dworze wiejskim, w czasie długich zimowych miesięcy, osamotniony i bolejący nad zgonem dzieci ojciec szukał ucieczki w poezji. Z komentarzami Sobieskiego w rękę przetwarzał na wiersz lapidarną prozę łacińską oryginału. Nagle zadzwieczyły za oknami janczary, zaskrzyptały płozy sań na śniegu i okutany w tołuby zjawiał się sąsiad. Rozpoczęła się gawęda przy kominku, na którym płonęły smolne szczapy sosnowe. Rozkoszne ciepło rozgrzewało gospodarza i jego gości, a węgrzyn, toczony z beczki, stojącej w kącie na lewarach, rozwłazywał języki. Poeta w toku rozmowy napomknął o swojej pracy. Może przeczytał jeden lub drugi ustęp swojej transkrypcji. Rzecz poszła o wojnie chocimskiej. Okazało się, iż gość był jej uczestnikiem. Zagrały w nim dawne wspomnienia. Przypomniła się młodość. A że każdy szlachcic był przednim narratorem i opowiadać lubił, przeto, gdy go chętnie słuchano, prawił szeroko i długo, stając się mimowiednym współtwórcą poematu, z jego to bowiem opowiadań powstawały potem te żywe, jakby na bezpośrednich przeżyciach oparte sceny obozowe i obrazy bitew, prawdą tryskające. Tak wzbogacała się pleśń za pleśnią, tak przybywało szczegółów, a »Wojna« oddalała się od swego prozaicznego pierwowzoru i nabierała cech już nie »przeróbki«, ale pod twórczem poczętego tchnieniem poematu.

Przypatrzmy się poematowi temu bliżej.

Już sam temat — mówi prof. Pilat — był znakomicie obrany i świadczy o zmyśle poetyckim Potockiego i wyższości jego pod tym względem nad poprzednikiem, Twardowskim.

Wyprawa chocimska z roku 1621-go była jednym z tych wypadków dziejowych, około których obracała się

przyszłość narodu polskiego. Nie chodziło tu o zdobycie lub odebranie jakiegoś terytorjum, o zmianę drobną w stosunkach międzynarodowych Polski i Turcji, ale o to, czy Rzeczpospolita pozostanie niepodległą i chrześcijańską, czy też przejdzie pod jarzmo tureckie. Osman bowiem wpadł do Polski z olbrzymią siłą 300.000 wojska z zamiarem jej zniszczenia; przeciw najeźdźnikom wysłała Rzeczpospolita 65.000 Polaków i Zaporozców, pod dowództwem Chodkiewicza. Pomimo tego, męstwo rycerstwa polskiego ocaliło Rzeczpospolitą od jarzma, a zarazem uchroniło Europę od najazdu tureckiego.

Przedmiot tak obszernej doniosłości, tak ściśle związany z życiem i losami narodu, będący nawet faktem światowego znaczenia, nadawał się rzeczywiście do epicznego poematu wielkich rozmiarów, a chociaż nie odnosił się do odległej przeszłości, to jednak, jako oddzielony przestrzenią półwieku i różnemi zmianami w stosunkach politycznych i społecznych Rzeczypospolitej mógł być wzięty za temat do artystycznej kompozycji.

Tak też Potocki uczynił. Zmysł poetycki poprowadził go dobrze.

Wybór był trafny. I gdyby poeta umiał wylamać się z pod władzy wyobrażeń współczesnych o celu i zadaniu epiki historycznej, kto wie, czy nie byłby stworzył arcydzieła. Ale, niestety, pozostał on w niewoli swojej epiki.

I on więc nie zna różnicy między historją a poezją. Historia zabija w »Wojnie chocimskiej« każdy śmielszy polot wyobraźni. Trzymanie się rzeczywistości, to znaczy w danym przypadku źródła, jakim był pamiętnik Sobieskiego, uniemożliwia pocie kompozycję artystyczną na własną rękę, nakłada na nie-

go kajdany, które ściągają go ciągle ku ziemi, ilekroć podniesie się wyżej.

Stąd — tłumaczy prof. Pilat — w poemacie Potockiego, podobnie jak w »Wojnie Domowej« Twardowskiego, nie ma żadnej całości, nie ma fabuły, jest to jakby wyrwany epizod historii, podany in crudo, bez powiązania szczegółów w całość, bez zaokrąglenia, bez końca, bez tych wszystkich warunków, jakich wymaga dzieło sztuki. Autor, podobnie jak Twardowski, sam czuje, że gubi się w szczegółach, idąc za rzeczywistością, to też co chwila nawołuje siebie do utrzymania związku myśli (»wróćmy się do rzeczy«, »gdzież mnie to pióro rozpędzone zniosło«, »ale ja się do rzeczy wracam przedsięwziętej« i t. d.), ale mimo to błąka się coraz dalej w tej gmatwaninie wypadków, jakby w jakim labiryncie, nie umleając się z niego wydobyć.

A jednak wartość »Wojny chocimskiej« jest niewątpliwa i duża. Polega ona na dwóch rzeczach: naprzód na wysokim nastroju poetyckim, który przenika cały poemat i stawia go przed wszystkie utwory współczesne, będące przeważnie tylko rymowaną prozą, po wtóre — na niezwyklej i niespotykanej w tej mierze u innych poetów tego okresu zdolności plastycznego przedstawienia rzeczy.

Na wysoki nastrój poetycki u Potockiego — mówi Pilat — złożyły się dwa pierwiastki: gorący patryjotyzm i głęboka religijność. Oba te pierwiastki, ściśle z sobą związane, były wynikiem współczesnych stosunków. Ustawiczne wojny z Kozakami, Tatarami, Turkami, Moskwą i Szwedami obudziły ducha rycerskiego w narodzie polskim, poczucie obowiązków względem ojczyzny, a rozmaite klęski i nieszczęścia, które wśród tych wojen spadały na naród, doprowadziły do przekonania, że walki te w znacznej części prowadzone były dla obrony chrześcijaństwa, co znów spotęgowało żarliwość religijną i pod-

nosiło ją do wysokiego stopnia. U Potockiego oba te pierwiastki występują w jak najszlachetniejszej formie.

Chciałby on w narodzie wskrzesić bohaterstwo dawnych, piastowskich czasów, odrodzić współczesne pokolenie, ulegające zepsuciu, usunąć zakorzenioną zniewieściałość, bezczynność, małoduszność, zbytki, zamięłowanie do cudzoziemszczyzny i wrócić do dawnej prostoty i czystości obyczajów:

»Niech Muzy moje pieją, oby takie pieśni
Potomków ich ruszyły ze snu, z drzymu, z pieśni«...

Tak mógł wołać tylko poeta-obywatel, któremu głęboko na sercu leżało odrodzenie własnego narodu i który chciał go nie tylko »uszcześliwić«, ale i »cały świat nim zadziwić«.

Stawiając szlachcie za wzór rycerstwo, walczące pod Chocimem, Potocki powiada, że »każda pierś rycerska« była tam dla wroga »fortecą«, do której trzeba było »dziać burzących«.

»Takie przedtem rodziła Sarmacja syny«:
»Rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesławem z trumny,
Co żelazne po końcach ojczyzny kolumny
Stawiali, kiedy na wschód padł Rusin pre m u d r y,
Na zachód pyszny Niemiec krwią zaszargał pludry«.

Potocki jest również żarliwym katolikiem, choć niedawno dopiero nawróconym. Był, jak wiemy, arjaninem. Dopiero pod grozą edyktu z r. 1658-go przeciw arjanom przyjął katolicyzm. Raz jednak zdecydowawszy się na ten krok, pozostał już wiernym synem Kościoła.

Podobnie jak współczesna mu powszechność, wierzył głęboko, że wszystkie nieszczęścia i klęski, spadające na państwo i naród, są karą za grzechy. Nie wątpił jednak o miłosierdziu boskiem.

Ufał, że Opatrzność czuwa nad narodem i że Bóg sprawiedliwy nagrodzi go za trudy i cierpienia.

Pod wpływem tych poglądów politycznych i religijnych — słusznie zauważa prof. Pilat — co chwila przemienia się Potocki z historyka, opisującego suche zdarzenia, w poetę-proroka, wieszczą, wskazującego narodowi drogę na przyszłość, dającego mu rady i przestrogi — i właśnie co do tego wysokiego nastroju wybija się nie tylko ponad współczesnych panegrystów, ale nawet nad najznacniejszych poetów. Jeden tylko Kochanowski w Psalmodji stoi na podobnym stanowisku.

Niektóre z tych ustępów, w których, jako wieszcz, odzywa się w imieniu narodu do Boga i błaga o pomoc lub składa mu dzięki, są bardzo piękne.

Pomijamy tu przytoczoną w naszych »Wypisach« prześliczną apostrofę do Boga na wstępie poematu, powołujemy się natomiast na podobną apostrofę końcową, która brzmi:

»Tobie, tobie, Monarcho szerokiego świata,
Aczci się żadna potkać nie może odpłata
Za twoje dobrodziejstwa, któremi (przez szpary
Na nasze patrząc grzechy) krom końca, (krom miary
Swoje raczysz stworzenie; mostem przed bogatym
Posławszy ciała nasze Twoim majestatem,
Niesłemy hołd powinny i wieczne trybuty,
Pełne usta twej chwały i serce pokuty,
Tobie w piersiach, podniósłszy tryumfalne palmy,
Święty pean przez hymny głosimy i psalmy;
Twoja to Wiktoryja, Twój fest, Twoje dziwy,
Że Turczyn, który samym strachem końskiej grzywy
Wielkie kruszył fortece i narody gładził,
Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził

O szczyptę Twoich ludzi, których wzgardził przodem
I zamierzać nad nimi śmiał zwycięstwo głodem;

Twojej to, Twojej dzieło wszechmogącej ręki,
Za co wszyscy pokorne oddajemy dzięki.

Daj w ojczystej swobodzie, w rządzie, w dobrej sile
Wyżyć tej śmiertelności zamierzone chwile!

Co do zdolności plastycznego przedstawienia rzeczy, na której przedewszystkiem polega epika, to, według prof. Pilata, żaden z poetów tego okresu z Potockim równać się nie może.

W »Wojnie chocimskiej« jest mnóstwo wprost znakomitych opisów bitew, potyczek lub walk na dwójkę, obrazów przygotowań wojennych, obrazów życia szlacheckiego, skreślonych nie tylko z wielką siłą i prawdą, ale z dziwną wyrazistością, nawet drobiazgowością w szczegółach.

W obrazowaniu używa zwykle Potocki porównań, branych z otaczającego świata swojskiego (porównania do psów, chartów, jastrzębi).

Jeżeli to wszystko dodaje poematowi uroku w tym stopniu, iż nawet dzisiejszy wybredny czytelnik niejedną jego strofę odczytać może z prawdziwą rozkoszą, to z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że urok ów często pryska z powodu nadużywanej przez poetę, a właściwej XVII-mu wiekowi, przesadnej retoryczności i napuszystości, która przechodzi niekiedy w typowy panegryzm (ciągłe porównania z Achillesem, Hektorem, Epaminondasem, Scypjonem, Aleksandrem Wielkim i t. d.). Nadto psują wrażenie częste, a nagle przeskoki z uroczystego, poważnego nastroju do satyry, anegdoty albo

i niesmacznego żartu, zbyt duża dosadność i trywialność barw w opisach, język przepełniony wyrazami obcymi, mało wykwintny, nieraz prostaczy i gruby, wreszcie rymy niekunsztowne, zaniedbane.

»Mieszanie ta rozmaitych cech, rysów i stylów w poemacie robi dziwne wrażenie — konkluduje prof. Pilat. — Jest to poemat, który w wielu ustępach ma charakter rycersko-religijnej epopei, gdzie indziej jest wierszowaną historią, to znów gawędą, satyrą, płaską anegdotą, nareszcie rozprawą moralno-dydaktyczną; obok żywiołu epicznego zawiera wiele liryzmu i, ściśle biorąc, nie odpowiada on żadnej formie poetyckiej.

Że jednak Potocki miał zamiar pisać poemat epiiczny na wzór dawniejszych epopei, dowodzi to, że na początku wspomina Homera, Wergilijusza, a nawet Ronsarda. Wpływu literatury klasycznej na »Wojnę chocimską« znać jednak bardzo mało. Aparat mitologiczny, odgrywający główną rolę w epopejach starożytnych, zastąpił Potocki Bogiem chrześcijańskim; imiona Bellony, Marsa i inne tym podobne są zwykle użyte w charakterze przenośni. Tylko w porównaniach do bohaterów starożytnych: Achillesa, Hektora, Agamemnona i t. d. widać reminiscencje klasycyzmu. Zato na niektórych opisach, obrazach i porównaniach widoczny jest wpływ »Jerozolimy Wyzwolonej« Tassa, którą Potocki bez wątpienia musiał czytać w przekładzie Plotra Kochanowskiego.

Dla uzupełnienia charakterystyki poematu i poety prof. Pilat dodaje, że w »Wojnie chocimskiej« występuje Potocki jako przeciwnik królów obcego pochodzenia i możnych panów, a główne zasługi przypisuje rycerstwu chocimskiemu, mianowicie małopolskiemu (t. j. swoim współziemianom).

Zygmuntovi III-mu, »leniwemu jako żółw« — powiada — »psie gony (polowanie) miłsze były niż sława dobra, niż całość korony«; Władysław IV-ty w czasie

wyprawy chocimskiej »w aptecę« (chory), nie w obozie Jan Kazimierz to »ptak obcy rodem«, na którego dworzej wodzą »metresy, karli, skrzypkowie, pochlebce«. Zato nowoobranego Wiśniowieckiego uważa za przyszłego zbawcę Ojczyzny. »Bóg — pisze — rozegnałszy niemieckie żółwy, francuskie papugi, szwedzkie sępy, gwiazdy swoje (herb Wiśniowieckich) na własnem umieścił niebie«. Panowie i senatorowie żyją w zbytku i w »splendorze«, jeżdżą po »grabstwo« do Wiednia, »golą wąsy«, z bohaterów poszli w »gachy«, którym na widok wojny »łydki dygocą, zęby skaczą w gębie«. Charakterystyczną jest rzeczą, że Potocki wielką uczoność i wiedzę uważa za niepotrzebną!

»Szlachcic byle się sprzedać po łacinie nie dał,
Byle umiał Tacyta zażyć z Cyceronem,
A Seneki do tego: dosyć jest uczonym«.

Niedość na tem. Poeta z całym przekonaniem, że słuszność jest po jego stronie, wysmiewa zapatrywanie »mędrełków«, że ziemia obraca się około słońca, nie słońce około ziemi (»ziemią, jako pieczenią, obróć na rożnie«).

Wszystko to obniża wartość poematu i zbliża go, jak trafnie określa prof. Chlebowski, »do pomników poezji ludowej i utworów Reja«. A jednak, pomimo to, »Wojna chocimska« zgodnym głosem wszystkich historyków i krytyków literatury postawiona została na wyżynach poezji polskiej XVII-go wieku.

Czemuż to zawdzięcza?

Oto — mówi prof. Chlebowski — choć idee i uczucia poety nie znajdują odpowiedniej dla siebie formy i przywdzieją niezdarnie skrajane i pozszywane szaty, nie tracą mimo to swej podniosłości i piękności, i choć tłumy przekładać zawsze będą zgrabny i lśnący strój i rozkoszować się jego wdziękami, choćby pod nim znajdował się

bezduszny tylko manekin, to dla głębszych umysłów duchowe piękno stanowić będzie zawsze źródło najwyższej rozkoszy, a żebraczy płaszcz nie zasłoni przed nimi majestatu wielkiej idei. Na tem zasadza się cała piękność »Wojny chocimskiej«. Gorące uczucie i myśli podniosłej nadają samej formie nawet miejscami to uroczystą powagę, to wdzięk ujmujący, to znowu rycerski animusz lub satyryczną werwę. Idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnej prostoty obyczajów piastowskiej epoki, choć błędna, przedstawia przecie bliskie pokrewieństwo z ideą odrodzenia społeczeństwa przez powrót do stanu natury, odgrywającą tak ważną rolę w życiu umysłowym i w literaturze XVIII-go stulecia. Ideał rycerza-obywatela, broniącego krwią własną Ojczyzny i cywilizacji europejskiej przed najazdem dziczy wschodniej, świadczy o podniosłym pojmowaniu narodu, jako całości żywej, mającej swe posłannictwo cywilizacyjne i obowiązanej do jego spełnienia pod groźbą utraty swego znaczenia i bytu. Wreszcie idea Opatrzności, czuwającej nad losem narodów i jednostek, służącej za nieprzeparty puklerz tym, co idą wskazaniami przez nią drogami, a karcącej bez miłosierdzia pysznych zbrodniarzy, gwałcicieli prawdy i sprawiedliwości, stanowi u Potockiego kamień węgielny tego poglądu na świat i życie, jego prostej, lecz podniosłej historjozofji. Cały poemat jest tylko bogatą i różnobarwną ilustracją powyższych idei, przypominającą stosunkiem nieudolnej lub sztywnej formy do wspaniałej treści obrazy religijne natchnionych mistrzów sztuki średniowiecznej.

To podniosłe stanowisko pozwoliło Potockiemu dożyć zarówno nędzę moralną, kryjącą się pod przepychem życia ówczesnych panów, pod butą i hałaśliwym patryjzmem średniej szlachty, jak i cierpienia milczącego,

choć odzieranego do koszuli niekiedy wieśniaka, umożliwiło pogodzenie żarliwej pobożności z niezależnym a niekorzystnym sądem o współczesnym duchowieństwie i patryjotycznych uczuć z uwielbieniem dla męstwa nieprzyjaciół — Kozaków, od których świeżo tak wiele ucierpiała Rzplita«.

Jest to najtrafniejsze w naszej krytyce literackiej ujęcie Potockiego, jako poety, i określenie jego dzieła twórczego. Podobnie, chociaż innemi słowami, mówią prof. Pilat i Bełcikowski.

Pogląd ten uznać też należy za ustalony i obowiązujący. Nic ponadto wlicząc o »Wojnie chocimskiej« powiedzieć nie można.

Obok tego utworu stoją dwa jeszcze obszerniejsze »poematy opisowe« Potockiego, związane blisko z religijnymi i z panegrycznymi nastrojami epoki.

Jeden z nich to »Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Syna Bożego, nad światem, czartem, śmiercią i piekłem« i t. d. lub też, jak druga część tytułu powiada: »Krzyż albo żałosna historia krwawej męki i niewinnej śmierci Chrystusa Pana«.

»Nowy zaciąg« napisany został w r. 1679-tym, ukończony, jak na tytule wyrażono, dn. 1 sierpnia 1680-go r., a wydany w Warszawie w r. 1698-ym. Prof. Bełcikowski rozróżnia w tym pseudo-epicznym utworze dwie strony. Pierwsza liryczno-dydaktyczna zapełniona jest przybierającemi nieraz ton polemiczny rozprawami o dogmatach wiary, pobożnemi apostrofami do chrześcijańskiego czytelnika i nieprzyjacielskimi napadami na Judasza i Żydów, męczących Chrystusa. Wyobrażała poety małą tu odgrywa rolę. Plastycznej wypukłości, jaką zwykle posiada epopeja, nie widać w »Nowym zaciągu«. Wszystko tu blade, nieruchome i niedołężne. Jeżeli zaś czasami poeta stwarza jakiś obraz lub sytuację, to wy-

pada to jak najniebezpieczniej i figury, wyprowadzane przez niego, stają, jak »niezgrabnie strugane jasełka, niekształtne i chwilejące się na wszystkie strony«.

Po bliższem zaznajomieniu się z tym poematem, każdy przyzna — mówi Bełcikowski — że »farby, używane przez Potockiego do jego obrazów, niepodobne są do tych, jakie Rafael kładł na swoje płótna religijne«. Najwznioślejszy przedmiot, jaki można znaleźć w historii chrześcijaństwa, został tu w najlepszej wierze znieważony przez ciemnotę wleku, tak dalece, że dzisiaj spoglądamy na to z ubolewaniem.

Także i co do formy zewnętrznej, pod względem rymotwórczym, »Nowy zaciąg« stoi najniżej ze wszystkich prac Potockiego. Opuściła go widocznie wrodzona mu siła wierszowania, a jego »mowa włączana różni się w tej pracy może jedynie rymami od zwyczajnej, pospolitej i trywjalnej nieraz prozy«.

»Nowy zaciąg«, niestety, nie był jedynym plodem natchnienia religijnego poety. Wiele pieśni nabożnych, hymnów, całe nawet poematy ascetyczne obejmują niewydane dotychczas zbiory rękopisów Potockiego. Wszystko to świadczy, że nie był to rodzaj, właściwy talentowi autora »Wojny chocimskiej«.

Drugi utwór, na który należy zwrócić uwagę, chcąc poznać dobrze Potockiego i jego stosunek do epoki, to »Poczet herbów szlachty korony polskiej i t. d.«, wydany po raz pierwszy i ostatni w Krakowie, w r. 1696-tym, jeszcze za życia autora. Dzieło to jest herbarzem szlachty polskiej, napisanym w wierszach, a wzorem do niego był Potockiemu Orbis Polonus Szymona Okolskiego, który wiadomości heraldyczne ozdobił panegirycznymi pochwałami rodzin szlacheckich i rozmaitemi aluzjami w duchu teologiczno-scholastycznym. Potocki jednak, oprócz wywodu herbów, nie powtarzał treści Okolskiego

i tylko na jego podobieństwo urozmaicił przedmiot do pewnego stopnia poetycznymi dodatkami. Wydawca »Pocztu«, drukarz krakowski Schedel, dedykował tę książkę synom Jana III-go, autor zaś sam umieścił na jej czele dedykację, donioślejszą mającą znaczenie dla określenia celu i charakteru tego utworu. Poświęcił on mianowicie swój herbarz rycerstwu polskiemu, w zaszczytnych zwracając się do niego słowach: »Dzieł wiekopomnych, niezwykłego serca, nieprzełomionej siły, niezrównanej odwagi miłośnikom Ojczyzny, żwawym Włary św. obrońcom, pod znakiem Krzyża Chrystusowego zostającym w wojsku J. K. M. Pana Miłościwego żołnierzom, mnie wielce miłościwym Panom«.

Wskazawszy następnie na przykłady przodków, którzy nabyli kiedyś te zaszczytne znamiona, posiadane dzisiaj przez ich synów, co

»Walcząc i pogany błąd ich szablami rznięte
Na ciała charaktery, żeby w sukcesorach
Świeciły, na grobowych kładli je marmorach«,

tak odzywa się do »klejnotników«:

»To stopnie do honorów, do czci, do fortuny
Przez grady strzał tatarskich, przez gęste płoruny
Drżąc się dział otomańskiej, przez ich szabel ostrze
Cnota i wleczna sława plac sobie rozpostrze«.

Z tego już widać, zauważa prof. Bełcikowski, że Potocki pojmował szlachectwo tylko jako »zakon rycerski«, jakim pierwsiastkowo było ono istotnie, a za warunek jego dostąpienia, do piastowania go po przodkach, uważał jedynie rzemiosło rycerskie, a szczególnie obronę wiary św. przeciw pogaństwu. W jego oczach szla-

chectwo było rodzajem służby bożej, a herby widocznymi symbolami i wspomnieniem zasług położonych.

Autor rozpoczyna swój »Poczet« od herbów krajowych i panujących w Polsce królów elekcyjnych, a następnie przechodzi do herbów szlacheckich. Najprzód zawsze przywodzi początek herbów (często bałamutny), potem daje wiersz pochwalny o tym herbie, gdzie czyni różne aluzje do historii storożytnej i Piśma św., wreszcie kończy wierszem przygodnym, pochwalnym lub satyrycznym, ilustrującym dany herb.

Te krótkie panegryki lub satyry, nadające herbarzowi Potockiego właściwy powab w oczach ówczesnych i dzisiejszych czytelników, były, jak przypominają prof. Bełcikowski, pierwiastkowo okolicznościowymi wierszami i dopiero później zostały wcielone do pocztu. Potocki nie obwija tu niczego w bawełnę, pisząc o osobach znanych i żyjących, wprowadzając bez wymienienia ich po nazwisku, złośliwe częstokroć epigramaty albo rubaszne dyktetyki. Niejeden zapewne czuł się tem do żywego dotknięty, gdy inni znajdowali właśnie z tego powodu upodobanie w herbarzu, który był zwierciadłem charakterów i zbiorom anegdot o sąsiadach. Mimo swojej szczerości nie odważył się jednak Potocki na drukowanie wszystkich wierszy tego rodzaju, jakie napisał, i część ich najdrażliwszą, a jednocześnie dla charakterystyki ówczesnej szlachty polskiej najcenniejszą, spoczywa dotąd w rękopisie, znajdującym się w bibliotece petersburskiej, a pochodzącym ze zbiorów Żałuskiego. Tytuł tego rękopisu: »Odjemek herbów szlacheckich«.

W »Poczie« poeta wypowiada także niejednokrotnie swoje uczucia polityczne.

Najważniejszym z nich jest niewątpliwie jego zdanie o elekcji, uroczyście bowiem zaklina szlachtę, aby utrzymała dziedzictwo tronu przy potomstwie Sobieskiego:

»Żeby, póki przez Polskę Wisła w morze płynie,
Inszego herbu Orzeł nie brał po Janinie«,

gdyż

»Jako Chrystus z kościołem i jako mąż z żoną,
Tak z królem Pospolita-rzecz ma być złączoną«.

Wszystko znowu, co mówi o Wazach i o domu rakuskim, nacechowane jest widoczną niechęcią i wstrętem do wszelkiej obczyzny. W wyobrażeniach swoich poeta jest konserwatystą i stoi silnie przy zwyczaju staroświeckim, hołdując *moribus antiquis*. Takim jest także w częstych przycinkach, wymierzonych na szlacheckich neofitów, szczególnie na tych, co za pieniądze podszywali się pod klejnot szlachecki. Oto jak mówi np. o herbie Ręka:

»Dziś nie z strzałą, nie z szablą, co pogaństwo nęka,
Z szydłem by albo z łokciem należała ręka
Drugiemu, co w szlachecki katalog się wdziera:
Oknem leżą komu drzwi złoto nie otwiera«.

Zato w szlachcicu prawym uznaje brata i jest gorącym zwolennikiem bezwzględnej równości szlachty między sobą:

»Szlachtaśmy wszyscy w Polsce, bracia równi sobie,
Niechaj nie presumuje nikt w wyższej ozdobie,
Do Niemiec z tem Xiążętą, Graffowie i Grabie!«

Herbarz Potockiego, w tym duchu napisany — dodaje prof. Bełcikowski — musiał być między szlachtą popularną książką, która tem nadewszystko trafiała w jej myśl, że nie traktowała przedmiotu, jako suchy materiał historyczny, jako zbiór wiadomości genealogicznych, ale tchnęła weni ciepło życia, ubarwiła uczuciem, a nawet namiętnością i wystawiła go z taką miłością, z jaką szlachta na swoje herby patrzyła. Nie tylko bowiem

były one dla niej chlubą, a nieraz pobudką próżności, ale ceniła je ona jako symbole pewnych cnót domowych, jako zadatki szczególnej łaski bożej, która ją od ogółu odróżniała. Dlatego to szlachta nazywała swoje herby »klejnotami«. Potocki podzielał w zupełności ten pogląd. I dla niego herb był jakąś rzeczą mistyczną, której podobieństwo albo pierwowzór spostrzegał nieraz w słowach Pisma św.; i on był czołem przed starożytnością rodu, dającą niejako rękojmię dzielności i cnoty; i on przenosił z dumą szlachectwo polskie nad wszystkie zagraniczne tytuły hrabiów i książąt, a nawet nad elektorów niemieckich:

»Nie ośm osób, ośmdziesiąt, lecz tysiący braci
Polska ma elektorów — wszyscy kandydaci...

Żądał jednak, aby za te szczególne łaski odwdzięczano się zasługami. Mówił więc niejako do szlachty: »Te klejnoty wasze krwią nabyte — jeśli pragniecie być ich godnymi, bądźcie, jak wasi ojcowie rycerzami, walczyć za wiarę Chrystusową i wytrwajcie w bożym zakonie, nie ustępując z drogi cnoty, bo w przeciwnym razie nic wam odwieczne herby nie pomogą i lepszym będzie szlachcicem, kto świeżo, przez własne zasługi, ten zaszczyt sobie pozyska:

»Przyznaję, że siła ma starożytność w rodzie,
Kędy cnota z szlachectwem chodzi na powodzie;
Lecz kto na same herby swoich przodków każe,
Nic ani ręką ani głową nie dokaże —
Nie od Noego, niech herb kładzie od Adama,
Lepszy nowy, komu go cnota nada sama.
Powleczłabym, gdyby mi to nie chciało szkodzić:
Często zostać szlachcicem piękniej
[niż urodzić.

Na tej podstawie »Poczet herbów« wliczyć można do rzędu tych utworów poety, w których objawił się duch rycerski, napędlający powietrze owej epoki i serce Potockiego. Jest to niby pobudka i alarm do walki, której zwycięzców w »Wojnie chocimskiej« opiewał i do której powrócił jeszcze w »Pełnej«, ujrzawszy w Sobieskim urzeczywistnienie swoich nadziei.

»Pełna Najjaśniejszemu Janowi III-mu i Najjaśniejszej Marji, Królestwu polskiemu... od najniższego poddanego i sługi życzliwą prezentowana ręką« wydrukowana została w r. 1678-ym.

Jest to utwór, który wyraża hołd i uwielbienie poety dla pogromcy Turków, zmywającego hańbę, jaka na Polskę spadła przez utratę Kamieńca.

Wypowiedzenie prawdziwego uwielbienia, jakie Potocki czuł dla króla Jana, i ciepło serca, przechodzące częstokroć w pewną poufałość, stanowi najgłówniejszą zaletę »Pełnej«. Nie można jednak twierdzić, aby wolną była ona od powszechnych wad panegiryków. Tak np. autor przynosi królowi na wiano (»Pełna« przesłana została królowi z powodu jego i królowej imienin) Potok, swoje gniazdo ojcyste, i Śreniawę, herb swej rodziny, albo imion królestwa (Jan i Marja) używa do rozmaitych porównań z osobistościami ewangelji, przychodząc wreszcie aż do takiej konkluzji:

»Jan Chrzciciel, Jan apostoł, Jan król trzeci w rządzie
A żaden bez Maryji na świecie nie będzie.

Pomimo tego widocznego schlebiania królowi, w »Pełnej« znajdują się jednak ustępy prawdziwie wzniosłe i piękne.

Oto np. urywek z zakończenia poematu, gdzie autor, po wynurzeniu życzeń pomyślności ziemskiej, życzy parze królewskiej »korony w niebie«:

»Żywszy potem ile człek myślą zapamięta,
I w tem chętniej fortuny doznacie faworu,
Bo próżno, kto się rodzi, nikt nie ujdzie moru.
Bóg umierał, królowie, i swe zaległ groby!
Jedna was noc, bez żalu, bez łez, bez choroby
Na tron posadzi, kędy i świat i śmierć zrzędną
Hardą zdepczecie nogą; kędy wam nie zwiędną
Nie ze złota, nie z pereł, dopieroż nie z ziola,
Zdobiąc dostojne skronie i królewskie czoła,
Godziny, dni i lata, wieki nieprzeżyte,
Z wyboru gwiazd, cnót waszych korony uwite«.

Pomijamy tu z konieczności mniejszego znaczenia utwory Potockiego, jak »Merkurjusz Nowy« (»Merkurjusz Nowy wygranej Sobieskiego podtenczas hetmana«), poemat znany w dwu redakcjach — krótszej i obszerniejszej (krótszą wydał Wójcicki w r. 1843-im, obszerniejszą Erzepki z rękopisu zdefektowanego w r. 1889-ym), oraz »Perjody« czyli treny na śmierć syna Stefana, nadto cały szereg rękopisów, dotychczas drukiem nieogłoszonych.

Przechodźmy natomiast do największego w puściźnie po Potockim skarbu, do jego »Ogrodu fraszek«, którego wydanie (2 tomy, Lwów 1907. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej) zawdzięczamy prof. Brücknerowi.

Jest to świeża, a cenna zdobycz dla historii literatury, na podstawie bowiem »Ogrodu fraszek« możemy dopiero wyrobić sobie dokładne pojęcie o Wacławie Potockim i jego epoce.

Poeta staje tu przed nami w nowem, nieznanem dotychczas świetle.

Pełny tytuł »Ogrodu«, tak charakterystyczny dla baroku polskiego, brzmi:

Ogrod ale nieplewiony;
Brog, ale co krok to inszego zboża;
Kram rozlicznego gatunku:
na cóż chwalić?

W Ogrodzie chwastu, gdzie pokrzywa sparać;
W Brogu plugastwa, gdzie matonog zawrócić głowę;
W Kramie szpilek, którymi zakłuć,
Zwierciadeł, w których się przeźreć możesz między
towarem napoły.

Rzeczy, powieści, przygody, podobień-
stwa, przykłady,
które, jeśli nie były, być mogły w obojej płci,
w różnych stanach i wieku żywota ludzkiego.

Tudzież

ethica do cnoty, moralia do obyczajów, sacra do nauki,
seria do przestrogi wiodące poważnych i uważnych.
Festiva, ludicra, satyrica, salsa, aluzye z imion,
przezwisek, urzędów i kompleksyj różnych,
krom zgorszenia cnotliwego człeka,
bo czystemu wszystkie rzeczy są czyste,
próżnujących zabawiające ludzi;

Są i żarty

z podufałymi bez sarkazmów przyjaciół,
choćci

I w różej i w liliej i w wounym krokosie,
Gdzie pszczele o miód, łączno o truczną osie,
Acz tamta i z pokrzywy i z kolącej szczotki,
Kędy ta żądło ostrzy, wysysa miód słodki«.

Z tytułu tego widać, czem jest w istocie »Ogród fraszek«.

Prof. Brückner zalicza go bez wahania do »skarbów dawnej literatury, a autora do najbardziej typowych przedstawicieli Polski rodzimej, bardziej narodowego od Kochanowskiego samego i Krasickiego«.

»Czem są Pamiętniki Paska w prozie — mów — tem Ogród stanie się w poezji — tylko że je znacznie przewyższa, tak jak Potocki sam, idealna, typowa postać staropolska, przechodzi Paska przymiotami umysłu i serca, wiedzłą i sumieniem, językiem i stylem. W Ogródku, pomimo nieskończonych wymysłów, nie wymyślał, tem więcej zato u Paska, pomimo faktów samych autentycznych. W jednym tylko oba dzieła się zgadzają: niewyczerpane to kopalnie staropolskiego życia, chociaż i tu Ogród bardziej wszechstronnie głęboki, krytyczny. Jeżeli z Paska nowsza literatura raz korzystała, to otwiera się dla niej w obszernym utworze Potockiego nierównie bogatsze pole i powieściopisarzom naszym, co za przewodem Sienkiewicza i Krechowieckiego znowu do wieku XVII-go się zwrócili, może my jak najusłniej polecać te karty wymowne, barwne, plastyczne, proste a szczerze, prawdziwe a podufale.

Jest w tem niewątpliwie trochę przesady, ale niestety brak i dużej słuszności, trafny bowiem jest pogląd prof. Brücknera na to, że »nie tylko szersza publiczność, ale nawet literaci z zawodu i historycy literatury nie zdają sobie sprawy należytej z tego, na czem właściwie stoi nasza dawna literatura? na jakim to polu najtrwalsze zasługi i wawrzyny zdobyła? jakimi też utworami najbardziej dziś jeszcze zająć i wzruszyć potrafi?»

Otóż — zdaniem Brücknera — »naszej dawnej literatury najpiękniejsze i najbardziej swojskie, rodzime karty — to FRASZKI. Nie w dramat ani w epopeję, narodziła się, czy religijną czy romansową, nie w lirykę erotyczną (w niej za innymi tylko zbieramy podkowy), nie w alegorję Dantejską wcielił się duch dawnej Polski najpełniej, najistotniej, lecz we fraszki Kochanowskiego i Potockiego, Naborowskiego i Kochowskiego. Staropolski statek i powaga obok dobrodusznego żartu

niech nigdzie pełniejszego, trafniejszego nie znalazły wyrazu. W innych dziełach poeci polscy naśladowali Horacjusza i Lukanów, Buchananów i Barclay'ów, we fraszkach byli sobą, nawet gdy tłumaczyli Martialisa lub Juvena. Ta część ich puścizny literackiej najbardziej nam bliska, poufała i miła; kto z dawnych poetów fraszek nie znał, zawsze nam obcym pozostanie, nie wzruszy nas ani nie przyciągnie. To nasz prawdziwy rodzaj sarmacki i żadna literatura europejska nie wskaże nam nic podobnego: piszą tam wiersze okolicznościowe, żarty przygodne i dydaktyczne, ale tylko u nas wyrosły te fraszki w najbujniejszy krzew, wyciągający z ziemi wszelkie jej soki polskie. Otóż w tej literaturze staropolskiej, tak bogatej już we fraszki, Ogród naczelnie zajmuje miejsce.

Naczelne istotnie, choćby dla samego swego bogactwa, jest tu bowiem ni mniej ni więcej tylko 1800 fraszek, przeważnie krótkich, nieraz zaś liczących do 300 wierszy, »roztańczających szerokie, bogate, dokładne obrazy«.

Pisał je Potocki przez cały niemal ciąg półwiekowej swojej pracy literackiej.

»Plondrował dawniejszych — mówi Brückner — swoich i obcych; tworzył z wrażeń życiowych, z anegdotów i obyczajów współczesnych, z rozpamiętywania rzeczy nabożnych i świeckich, z uwag politycznych i historycznych; wypływał powoli w coraz obszerniejsze zbioru plony długiego żywota myśli nieustannie pracującej, doświadczeń i skończających się nigdy, lektury obfitej, rozmowy towarzyskiej«.

Powstał z tego jedyny w swoim rodzaju zbiór rzeczy o rozmaitej treści i rozmaitej wartości.

»Nęca nas tu najbardziej — przyznaje Brückner — materje domowe, obrazy starszlacheckiego życia, w do-

mu i gościnie, w polu i karczmie, w lesie i miasteczku, w pogodę i słotę, zimą i latem, między panami i chudopachołkami, z żydkami i chłopami, żołnierzami i żebrakami, kwestarzem i doktorem, fraucymerem i forysiem, opryszkami i drabami. Bierzemy udział w kuligu, jesteśmy na chrzcinach, imieninach, na ślubie i stypie, u skąpców i rozrzutnych, przy biesiadzie i bójce i kogo Pasek bawi, kto się kocha w rozpamiętywaniu życia dawnego, bujnego, zamaszystego, kart tych nie rzuci.

I gdyby jakimś przypadkiem całe to życie starszackie, z przesadami i cnotami, z patriarchalnością i rozpustą, z anarchją i rządem (domowym), z poddaństwem i wszechwładzą szlachecką zupełnie zaginęło — to odtworzylibyśmy je z »Ogrodu« z największą wiernością. Niczego tu nie zabraknie: od kolebki do grobu towarzyszymy szlachcie przez wszelkie przejścia, w szkole i poza nią, w obozie i u dworu, w sądzie i urzędzie, przy kominku własnym i na łasce obcej, w post i święta, w kościele i miasteczku, w zdrowiu i chorobie. Jest to księga obyczajowa, skarbnica czy tam lamus starszacki, gdzie zrzucono wszystko, co niegdyś bawiło, trapiło, żywiło, zabijało.

Ze stanowiska dzisiejszego czytelnika wiele tu rzeczy nikłych, błahych. Humor rubaszny, często trywjalny. Poezji mało, prawie wcale. A jednak prof. Bückner ma słuszość: oderwać się od tego trudno.

Jakaż jest tego przyczyna?

Oto, zdaje się, będziemy najbliżsi prawdy, doszukując się jej w tem, co pomimo przedziałów wieków jest w nas i żyje pod warstwami kultury nowoczesnej. Kultura ta stoi w Polsce dotychczas na zrębie szlacheckim. Innego fundamentu nie miała i nieprędko mieć go może. Psyche szlachecka jest w nas do dzisiaj i nie tylko w potomkach dawnej szlachty polskiej, ale i w ludźle wię-

skim, który od dworu szlacheckiego przejmował i uczył się wszystkiego.

Świetnym, niezrównanym wyobrazicielem tej właśnie duszy szlacheckiej w XVII-tym wieku był Wacław Potocki, ziemianin z krwi i kości, rasowy przedstawiciel tej warstwy, która budowała i rujnowała Polskę.

Obcując z nim, wysnuwamy tysiączne nici, które nas wiążą dzisiaj jeszcze z przeszłością. Te nici snują się przez wszystkie jego dzieła, ale najwięcej ich w »Ogrodzie fraszek«, bo stoł on najbliżej zwykłego, codziennego życia naszych przodków, bo naprawdę, jak to określa poeta w tytule: jest tam dużo »zwierciadeł, w których się przeźreć możesz«.

Przegląda się w nich przedewszystkiem sam Potocki. Widzimy tam dokładnie jego oblicze. Widzimy siwą głowę tego żelaznego starca, którego nieszczęścia życia nie obaliły, który po wszystkich ciosach, jakich doznał, umiał zdobyć się na pogodę ducha, na niefrasobliwy uśmiech, na słoneczny niemal żart, co, razem wzięte, stanowi niepospolitą siłę moralną.

Dzięki tej sile autor »Ogrodu« mógł pracować, jak mało który z współczesnych mu i potomnych pisarzy.

Puścizna jego jest ogromna, do wyliczonych bowiem powyżej utworów przybywają jeszcze »Moralia, albo rzeczy do obyczajów, nauki i przestrogi w każdym stanie żywota ludzkiego«. Jest to zbiór przypowieści wierszem, na wzór »Adagiów« Erazma z Rotterdamu, obejmujący z górą 40 tysięcy 13-zgłosk. wierszy! Wydawnictwo »Moraliiów« z rękopisu, znajdującego się w bibliotece petersburskiej, podjął prof. T. Grabowski i J. Łoś.

Do charakterystyki Potockiego »Moralii« nie dozucają już nowych szczegółów. Świadczą jednak o głębszym podkładzie duchowym i myślowym autora i o szerokich jego zainteresowaniach umysłowych, raz jeszcze

obalając legendę o powszechnej ciemnocie i uwstecznięciu wieku XVII-go.

Nie mógł się ten wlek równać ze swolm poprzednikiem, to prawda, ale nie był nocą, którejby żadne nie rozjarzyło światło.

Świateł tych jaśniało kilka, a najprzedniejszem wśród nich był Wacław Potocki.

Krótki wybór pism WACŁAWA POTOCKIEGO.

Wojna chocimska.

Część I.

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,
Na durnego Turczyna propozyt szkarady
Pisać pocznę w pamiętne Polakom przykłady,
Który z niemi zuchwale miś zrzuciwszy stary,
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bułgary;
Boże! którego nieba, ziemię, morza chwałą,
Co tak mdłem plórem jako władniesz groźną stałą,
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węglem,
Gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgiem;
Ciebie proszę, abyś to, co ku twojej wdzięce
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył; boć to jest dzieło twej prawice:
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli,
Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawłśli.
Spadł Antyoch z imprezy, spadł i Herod z krzesła;
Tamten żywo zgnął, tego gadzina roznieśla.
Spadł durny Sennacheryb, gdy we trzechset szabel
Tysięcy musiał pierzchać: spadł Nimrod z swej Babel.
Spadł człowieczej natury Nabuchodonozor,
I ten co Boga bluźnił, trawę łapał, ozor.
Spadły mury wysokie, które samem spycha
Echem trąby Jozue, wielkiego Jerycha.

Spadł wysoki Madyan, kiedy garścią ludzi
Gedeon go oświecił i ze snu obudził,
A on młodek wczorajszy — cud niewysłowlony!
Monarchom z głów dostojnych zdejmował korony.
Padł Holofern Judycie, Sisara Jahell,
Bohater mdłej niewieście i szabla kądzieli.
Grzechy nasze, o Panie! za którymi w tropy
Na pierwszy świat chodzili ognie i potopy,
Dziś, nie w wodzie, dla tęczy, nie w ogniu z Gomorą
Ale się w własnej swojej krwi czyszczą i piorą.
Krwłą się myją, krwłą poci ten świat jako w łaźni:
Wszędy pełno niezgody, pełno nieprzyjaźni,
Nawet miłość prywatna między ludźmi zgasła,
Wszystko z łakomstwem zazdrość nieszczęsna popasła.
Jeżelić kto co radził, patrz na obie oczy:
Bo teraz każdy wodę na swe koło toczy,
Usty świadcząc ofiary, wywodzi cię w pole
A niechętnem sercem żga i od siebie kole,
Byle cię jako zażąć albo cię mógł zażyć;
Póty termin przyjaźni, którą wyposażyć
Jeszcze trzeba; tym kształtem zmyje cię bez ługu;
Bo jeśli mu się słowa i upomnisz długu,
Za psa twoja uczynność, krew, przyjaźń, warunek!
A drugi, rychlej niż dług, weźmie basarunek.
Wyrzekł się świat szczerości, rzadko między braty
Znajdziesz ją rodzonemi, nikt nic bez prywaty
Nie robi i gdzie mu się praca nie nagrodzi,
Niech tonie, niech psy drażni, niech o kiju chodzi,
Bliźniemu nie usłuży, nie poradzi szczerze,
Cóżby go miał wykupić z pogańskiej oblerze?

Byłość — to powładają — i prawdę podobno,
Póki moje a twoje, nie strzygło tak drobno
Ziemle, póki łakomstwo i przekłete żądze
Nie dały miejsca prętu, łańcu, lokciu, siądze,
Młara sama potrzeba: gdy natury wedle
Ani w odzieniu człowiek, w piclu ani w jedle
Inszego na tym świecie szukał sobie bytu,
Okrom przyrodzonego dla ciała dosytu,

Ziemia też dobrowolnie bez ludzkiej cienięgi,
Bez plugu, nie kąkole, chwasty i ostręgi,
Czyste zboża rodziła: co śnieć, co kostrzewa
Nie znał człek, więc rok cały nieszczepione drzewa,
Miody, soki, oliwy i rozkoszne figi
Dawały; owo żyli bez wszelkiej fadygi.
Takie wlemy Lacyum z poetyckich liter
Kiedy zegnał na ziemię Saturna Jupiter:
Toż nie dwaj, nie trzej, co dziś przykład bardzo rzadki,
Lecz wszytek rodzaj ludzki, jakby z jednej matki
Wyszedł, tak go miłości jednoczyły pęta,
Ze wojny na się nigdy, tylko na zwierzęta
Drapieżne, nie podnosił; każdy człek był bratem,
Każdy bliźnim, z niedźwiedziem nieprzyjaźni kudłatem,
Z wilkiem, lwem i tygrysem i co się na szkodę
Bestyj łągnie; z temi człek wieczną miał niezgodę,
Którym do dzikiej dała natura postury
Okropny ryk, kły, rogi, racł i pazury,
Ptacy nosy i szpony przy pierza lekkości,
Skrzele ma niema ryba i zęby i ości,
Żądła gad jadowity, bazyliszek w oku
Śmiertelną ma zarazę, w nozdrzach jest u smoku,
Wąż kasa, a jeż kole, brzydki pajak truje,
Tnie osą, mrówka, komar i biedna pchła uje;
Nagi człowiek bez bronł, bez biegu, bez mocy,
A wzdry teraz ani lwł, ani się tak smocy
Wasił na się jako on na swe własne plemię:
Bestye, ognie, wody, wiatry, nawet ziemie
Stosuje, tu dowcipy, tu rozumy liczy,
Gdy ludzi z świata gładzi, gdy bliźnich kaleczy!

Część III.

Rozum mistrzem wszech rzeczy, czas mistrzem rozumu:
On mostu, on nas łodzi, on nauczył prömu.
Czasem człowiek lwy króci i niedźwiedzie uczy,
Czasem słonie w wojenne beloardy juczcy.

Czas odmieniwszy w pysku przyrodzenie ptasze,
 Dał srokom i papugom czwarzyć słowa nasze.
 Czas wiatry chelzną, które zawarte w chomencie,
 Stawia człeka na drugim świata horyzoncie,
 Gdy odąwszy płóciennie na galerze buje,
 Wszystkie ziemie i wyspy i morza osnuje.
 Lata skrzydły Dedalus, lata po ojcosku
 Ikarus, póki słońca warował od wosku.
 Działa łać, prochy robić, grzmieć i ognie błyskać,
 Piorun zdaleka w miejscu umyślone ciskać,
 Granatów i misternych rac, które do góry
 Wzbiwszy się, tworzą z ognia rozliczne figury,
 Czas nauczył murować, czas murów ruiny,
 Przez potężne petardy i podziemne miny,
 Cyngla ruszy, aż wszystko co obaczą oczy,
 Tak zwierza jako ptaka zmyślny strzelec troczy.
 Czasem człek doszedł nieba i policzył gwiazdy,
 Wle, która w miejscu wryta, która ma pojazdy.
 Czas człeku czasy mierzyć i choć ślepi oczy,
 Wiedzieć, którądy, wiedzieć jako długo toczy
 Słońce koło nad światem, pokazał i może
 Pisać przed stem lat, wiele razy swe poroże
 Księżyć, świecę którą noc, słońce, którą krasie
 Białą dzień i w którą noc, w który dzień przygasi.
 Czas obrotne zegary, kędy przez sprężyny
 Pomiar, przez dzwonki ogłos swój mają godziny,
 Albo cieniem cienkiego pręcika wyznacza,
 Albo w kryształach płaskiem mieluchnym przetacza.
 Czas włedzieć, kędy ziemia który kruszec kryje,
 Czas znać ludzkie persony, dawne historyje,
 Skoro je w miedzi ręka ćwiczona wydruży,
 Skoro je malarz pędzlem na płótnie wysmży,
 Da w tysiąc lat oglądać, co już wszystko z czasem
 W proch poszło za nikczemnej gadziny opasem.
 Druk, papler i litery, któremi wykreślił
 Co mówi, co ma w sercu i co człowiek myśli,
 I mogą się rozmawiać nie ruszywszy usty,
 Mogą widzieć zdaleka ludzie inkausty.

Wszystkiemu czas przyczyną. O Boże dobroci,
 Tedyż człowiek żywiły i naturę króci,
 A przez te wszystkie wieki na grzech i złe żydło
 Znaleść mu się dotychczas nie dało wędzidło!
 Zna zwierzę, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady,
 Wle, skąd grom, piorun, skąd deszcz, skąd spadają grady
 Krótce mówiąc, na ziemi zna się i na niebie,
 Wszędzie mądry, doma głupi, że sam nie zna siebie.
 Wiatry chelzną, o cuda! na cielesne żądze
 Dotąd mu się nie dały wynaleźć wrzeclądze.

Część IV.

Zabielały się góry i Dnieстровe brzegi,
 Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
 Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
 Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.
 Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,
 Ale tak małą garstkę wzgardziwszy gaurów,
 Kędy kto siedł, tam stanął; na mocy się czują,
 Jeśli nas nie wystraszą, to pewnie zaplują.
 Niema ich tu co bawić, nie chcą się rozgościć,
 Wisła im głowę psuje, jako ją pomościć?
 Gdzie sam cesarz pagórek opanował wyżni,
 Władomie się odyma, żrejomo się pyszni,
 Że monarchy Azji, Afryki, Europy,
 Trzech części świata pana depcą po nim stopy.
 Bledny Dniestr, acz przeciwko orłowi motylem,
 Śmie gardzić Eufratem, śmie się równać z Nilem,
 I ledwo w swem lichota trzyma się pobrzu,
 Ale mu właśnie służy: nie kol miły Jezu!
 Skoro Osman obaczył nasze szanice z góry,
 Jako lew krwie pragnący wyciąga pazury,
 Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
 Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem,
 Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
 Wsieść obozy; hetmany zwoławszy i basze,

Każę wojska szykować, choć już i niesprawą
Dla pola cieńszego, iść na nas obławą.
Kto mu wspomni nie w polskim wieczrze obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.
Tedy o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze.
Nie zdało się to starszym, ale z tak porywczym
Trudno co radzić panem, bo ich nigdy ni w czym
Nie słucha, ze swą dumą idąc i uporem,
Zawsze drwi, zawsze się mści, swych drew, z nich nad
I teraz, acz to wszyscy dobrze widzą, żeby [którem
Ledwo tak uszło w łowy iść nie do potrzeby;
Ale kędy mus rządził trudno być ostrożnym,
Nie zrozumiałwszy miejsca? W odzieniu podróżnym?
Nie miewszy słońca? wiatru? nie miewszy fortelu?
Nie znając serca, ani sił w nieprzyjacielu?
Bić się z nim, jakby o reszt ślepą kością rzucić?
Choćby tam wszyscy spali, mogą się ocucić;
Nie bać się, ale ani lekceważyć trzeba,
Kto ma serce, broń, rękę, i zażywa chleba.
Nie mów, gdy idziesz na plac, że będę bli, ale
Będziem się bić; i Mars ma obojętne szale.
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk, lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Strasznie się bisurmańskich z góry garną roje,
A białe jako gęsi migocą zawoje.

Janczaraga we środku ustrzmiwszy w puch pawl,
Ogniste swoje pułki na czele postawi,
Sam dosiadłszy białego Arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowie, pod żórawlą wiechą,
Buńczuk na nim z miesiącem, ottomańską cechą.
Dwanaście tylko było tysięcy janczarów,
Prócz piechot Gaborego i dwóch gospodarów,
Na dwadzieściać pieniądze pełna z skarbu dano,
Ale to, co miało być, na ośm, ukraszano.
Wszędy pełno nierządu, gdzie nie masz dozoru!
Każdy kradnie kto może, kędy tka do woru,

Ale i u nas, pojźryj, kto-li temi czasy,
Pańskiej bez interesu podejmie się kasy?
Każdy tam pragnie służyć, gdzie i okrom myta,
Choć co ukradnie, nikt się o to go nie spyta.
Nie rejestru do sumnienia, ale jak z ołowiu,
Do rejestru sumnienie mając pogotowiu.
Na cóż i, mówić więcej? nie w Polsce, darmo to,
Na cały świat rozgrzesza wszystkich ludzi złoto!
W prawo i w lewo janczar, na widoku stały,
Nieznane oczom naszym dotąd specyały,
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców,
Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniosszy swe dzidy,
Patrzą, rychło się do nich sunie glaur gidy,
Albo im każą skoczyć, gdzie z niezmiernej chuci
Śmiały spahij na naszych dziury wyrzuci.
Wszyscy siedzą od złota, od rzędów, od pukli,
I nie jako na wojnę daleką wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy,
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy:
Ogromne skrzydła sępie, forgi, kity, czuby,
Trzęsą się im nade łby, a ono nie tu-by
Te prezentować cienie i nikłe ozdoby,
Kędy wróble takimi z prosa straszą boby!
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarł i złupili.
Konie przecie znużone tak dalekim chodem,
Nie one rzeźwość miały, co im dzie rodem,
Bo nie pomoże złoto, kogo niewczas zejmie,
Nie może, chociażby się rad krzepił uprzejmie.
Świecły się od złota chorągwie gorące,
Po których haftowane tureckie miesiące,
Pod złocistą skoflą strojnych ludzi grona
Okryją, a żelazna szydzi z nich Bellona.
Starych zaś znak przy drzewcu wystrzępione nitki,
Pod jakłemi widujem i tu niedobitki.

Ale odjawszy ludzi europejskich z czoła,
Ostatek czerni, szarańcza, motłoch, skomon, smoła.
A co to tak wysoce każą na Arabów,
Zbliżać dobrzy; i nagi lud to jest i słaby,
Handlom tylko przywykły i rzemiosłu raczej,
Nie wojnie; choć ci się on w rzeczy usajdaczy,
Z łuku pewnie nie strzeli, woła, krzyczy, szwatrze,
Ale ucieka zaraz, jak tylko nań natrze.

Jeden nazbyt otyły, drugi wiekiem nużny,
Jaki u nas od kilku lat żebrze jałmużny;
Bo zapalczywy Osman do tej z nami zwady
Wszystkę pieć męzką, nawet stare wygnał dzlady,
Dla pacierzy podobno, gdyż okrom modlitwy
Nie zażył ich do wojny pewnie i do bitwy.

W tymże obłoku stali Murzyni cudowni,
Jako się błyszczy iskra w opalanej głowni,
Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej nad
Paszczeki, bleśsze niż śnieg wyglądały kielce. [szmelce,
Tu się w szerokobiałej na wierzchu koszuli,
Po polach Mamalucy przestronych rozsuli,
Jakoby przy łabędziach postawił kto kruki,
A gęste się nad niemi wieszają buńczuki.
Tamże wszystkie narody, które jako sznuru
Długiego się z obu stron trzymają Tauru,
Gdzie prac Herkulesowych wiekopomne mety,
I Kalpe i Abila rosły wznoszą grzbiety,
Kędy Karmel, na którym, gdy trzy lata rosy
Nie było, zmięknął łzami Eliaszeblosy;
Kędy Ossa wysoka, z kąd Tyfeus srogi
Z wojskiem rosłych obrzymów wygnał z nieba bogi.
Lidowie i Pamfili, Kambadzi, Cyreni,
Elami, Kappadoci, Ponci i Armeni,
Natołcy i Angurzy, Mingli, Kurdzi, Serzy,
Kędy siarką wszeteczna Sodomą się perzy,
Kędy klej wyrzucają smrodliwe asfalty;
Kadurcy z Lotofagi, Arkadzi z Bisalty,
Hirkan, Massagedi, Egipci, Macedoni,
Psylli, Baktrzy, Imawi, Pargledrzy, Geloni,

Tu łysi Arymfe i Mezopotami,
Fryksi, Cyrci, Sabei, Kaspli, Albani,
Gdzie Ganges, gdzie Eufrat, gdzie Tanais z Nilem,
Gdzie się lerneńska miesza hydra z krokodylem,
Gdzie Lemno Wulkanowe, gdzie starego rajy
Małe znaki, początki ludzkiego rodzaju.
Tu Babilon i Memfis, Trypol z Alkaiem
Wschodni świat, rumem dzisiaj zasypany szczerem.
Toż poblizszy Cyrkasy, Rumi i Sylistry,
Bosnak, Bulgar, Trakowie, którym Dunaj bystry
Wiecznie szumi za uchem; toż Krym i Nahaje
Jak z woru ordy sypą, gdy emir wydaje
Hardy cesarz do Polski, wzajemnym pohopem,
Budziaki i Bilohrod lecą z Perekopem.
Toż Wołosza z Multany, co przedtem sąsiedzi,
Dziś nam nieprzyjaciele; tam się wszystka zcedzi
Zgraja ona niezmierna, niezliczona gęstwa,
Z której Polska ma świadka, póki świata, męstwa
Cóż pisać o armacie? gdy samemi działami
Obóz swój osnowali, za szanice, za wały,
Z takim grzmotem, że ledwie podobny do wiary,
Sam to przyznał Chodkiewicz wódz i żołnierz stary,
Który jak się marsowym począł bawić cechem,
Nigdy tak wielkich, nigdy z tak ogromnem echem,
Sztuk ognistych nie widział, które ziemię z gruntów
Trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów.
Toż prochy i granaty i rozliczne twory
Na krew ludzką osobne ciągnęły tabory.
Niestrzymane petardy, windy i moździerzce,
Pęta nawet i dyby, kajdany, oblerze,
Już wygraną w szalonej uprządku imprezie
Hardy tyran, na karki nietykane wiezie,
Dra się trąby i surmy i w tyle i w przedzie;
Ale po lepszych w Wilnie tańczą niedźwiedzie.
Takie wilcy w gromniczny czas mrozem przejęty,
Takie wydają świnię zawarte koncerty,
Łagodną symfonią tak ślusarz pilnikiem,
Tak osieł swoim cieszy ludzkie ucho rykiem;

Przytem dzyngi, pilszczałki, flet, kobza i z drumlą.
Daleko piękniej gęsi gędzą i psi skumlą,
Jakby drapał po sercu, tak tam była groźna,
Gdy się czwarzyć poczęła kapela przewoźna.

— — — — —
Sam stał Osman na górze pod zielonym znakiem,
Opasany po świetnym kaftanie sajdakiem,
Zkąd mógł wojska obaczyć, jako trzeba, obie,
Mając grono zwyczajnych pochlebców przy sobie.
Ztamąd ludzi szykuje niecierpliwymi zwłoki,
Posyła na przemiany, żeby jednooki
Huseim, sylistryjski basza, po Skinderze,
Przy którym był wszytek rząd, następował szczerze,
Nim się słońce nachylił na glauerskie baby,
Jak z woru wysypawszy Turki i Arabi,
Razem bando na dwór swój wyda w onym czesie,
Kto pierwszej wiktoryj nowinę przyniesie,
Sto tysięcy we złocie da, i konia z rządem,
I znacznym go obieca opatrzyć urzędem.

Taka straszna zawziętość, takie aparaty
Nie przyniosły Polakom żadnej serca straty,
Którzy Bogu oddawszy swej nadzieje skutki,
Skoro hetmańskie kotły ogłaszają pobudki,
Pod przestronne swych wodzów schodzą się namioty,
Gdzie kapłani jarzące zapalwszy knoty,
Przed żalosną figurą śmierci jego smutnej,
Ofiarę mu, a oraz akt skruchy pokutny,
Upokorzonym duchem oddają, a przytem
Żebrzą, żeby raczył być swym ludziom zaszczytem.
Gdy pogan jako lwi i okrutni smocy
Na nich w całego świata następują mocy,
Aby im ich odpuścił miłościwie winy,
Choć przynajmniej odłożył pomstę na czas inny;
A tu, kędy względ jego nieśmiertelnej chwały
Gniewu sprawiedliwego przytrzymał zapali.
Każdy potem z osobna, skoro serce skruszy,
Kładzie w kapłańskie swoje niedostatki uszy;

Toż czynią i hetmani, a świętym obrokiem
Wsparszy dusze, wszyscy dnia czekają z wldokiem.
Już się niebo bieleło, już Febus życzliwy
Wywleśzał na horyzont purpurowe grzywy,
W pierwszej się kalwakacie wali Zefir gładki,
Zpadając z firmamentu bladych gwiazd ostatki
I jeśli się jeszcze co szarej nocy pląta,
Wolnusięńskim ją szumem i lekkim tchem prząta;
Potem szeroka rosa z zebranego łona,
Na niską sypie ziemię mokrych pereł grona.
Dopieroż zostawiwszy złote łoża zorzy,
Ruszy się słońce z miejsca i wrota otworzy.
Płomienistym dzianetem, które na świat niski
Pędzi, ognistymi ich ustrzmiwszy igrzyski.
Już się ptastwo ozwało, już zupełnem kołem
Tytan idzie do góry, jeszcze się kościołem
Chodkiewicz bawił, kiedy szpieg na szpiegu jedzie,
Że się Osman u niego kładzie na obiedzie.
A ten skoro nabożne modlitwy odprawi,
Wstawszy z kolan na nogi: »rad mu będę, prawi,
Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,
Będzie bigos gorący z ołowiu i prochu.
Jeżeli też chce zażyć pieczeni podrożnej.
Gotowi zaręczacze czekają i z rożny.«
Toż na się zbroję bierze i świetne pałze
Rzekłbyś, że mu się nazad wróciły trzy krzyże.
Ani lat siedmiudziesiąt twarde blachy gniotły,
Wraz każe w swe uderzyć wsiadanego kotły,
Larmo zatem po wszystkich obozach się szerzy,
Jedni do zbroi, drudzy się biorą do pancerzy,
Wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu,
Rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańcu,
Że już na skroń korony wdział tryumfalne.
Grzmiały bębny w regimientach, a kotły tubalne
Gdzie żelazny na rzeźwych jeźdźcach koniach siedzi,
To basem, to dyszkantem rozprawują w miedzi
Bez wlatru i powietrze pomagało echu.
Kiedy trąby wesołe, surmy bez oddechu

Zadumani szyposze, co im stałe pary,
Nuca treny marsowe, w gwardiach fujary.
O chwalebna ochoto! o kochana młodzi!
Serce rośnie patrzącym, gdy naksztalt powodzi
Blizkie pola osuli, a mężnemi czoły
Wyrażają zmieszany gniew z radością wpoły.
Zakwitnęła barwistemi tamten świat proporcy,
Że wynurzeni z Dniestru Trytoni i Forcy.
Na dziłwy; bo kiedy je Fawonius wlije,
Igrają po powietrzu róże i lilije,
Nad którymi przybliłe do kopli złotej
Równem gronem gorzały wyostrzone groty,
Odymały się orły po chorągwiach tkane,
A konie pod pańskimi nogami lgrane
Wyprawują korbety, sforcują się w salty,
Dzielniejsze na swych grzbietach czując niżli z Malty
Kawalery; przyskają, rżą i postać w mlescu
Nie mogą, czyniąc serce i ochotę w jeźdźcu.

— — — — —
A już hała tatarskie, jaki wrzące garce
Belkot czynią, zagłusza; już poczyną harce,
Już się błysnę po płaskiem bystry bułat błoniu,
Kto się czuje na lęku i obrotnym koniu,
A co pierwsza w żołnierzu — na odważnem sercu,
Chociaż z placu drugiego prowadzą w kobiercu,
Komu hetman pozwoli, onem chce igrzyskiem
Sławy nabyć w ostatku i śmierć liczy zyskiem.
Już strzały, już gorącą krew piły i kule,
Gdy Morsztyn Aleksander przez rok w Jedykule
Odpocząwszy, jako był na Ceczorze wzięty,
Żeby mu też odbrząkał w Raciborskie pęty,
Wziąwszy harcem na arkan, za kark murzę z Krymu,
Odda Chodkiewiczowi; ten nim do Chocimu
Na więzienie odesłał, hetmanów w tem sprawi,
Że się najpierwszym Osman kawałkiem udawł,
Tak się w nieokróconym sam zaklął uporze,
Jeżeli go nie w polskim ukusi taborze,

I nie pierwej po tym się uspokoi poście,
Aż tam koniem po trupów naszych wjedzie moście.
Aleć mężni Polacy dobrze sobie wróżą,
Że trupa na pogany głowami położą;
Nastrzelali Tatarów, języków nawiedli,
A już czwarta z południa, wszyscy się najedli,
Sam tylko Osman naczczu; bo jako się rzekło
Wprzód niż jeść wszystkich nas miał zbić i weгнаć
[w plekło.

Więc do swoich hetmanów surowe śle grozy:
Niech się harcem nie bawia, niech biorą obozy
Giaurskie, czy mnie głodem chcą umorzyć? czy to
Im się igrać chce? mnie jeść, bodaj ich zabiło.
I w złą wyrzekł godzinę; nastąpili zatem
Na kozackie tabory poganie mandatem,
Bardzo im to markotno i w oczy ich kole,
Że im równe Kozacy zastąpili pole,
A co rzecz żałośniejsza — na ich własnym gruncle,
Przywłóklszy rokitowe talażki w chomonicie.

Sprawą szli upierzeni janczarowie wprzody
I Kozakom bez wszelkiej dadzą ognia szkody;
Albowiem ci skoro swe wózki kryte lipą
Z blizkiego brzegu rumem w półkoszkach nasypą,
Ukażą na janczary figę, i nim znowu
Nabiją, dadzą im w brzuch gęstego ołowu
Z działek szrótem nabitych, z nośnych samopalów,
Wraz na nich jako osy wysypą się z wałów.
Posiłkują swych Turcy, Chodkiewicz swych wzdziłera,
Choć się każdy do onej potrzeby naplera.
Ufa mężnym Kozakom, z Sajdacznym się znośi,
Gotów mu dać posiłek, jeżeli on prosi.
Dopiero się sam z swemi sunie eleary,
Szyku nie rozrywając, i razem w janczary,
Razem w jezdę uderzy, razem każe z boku,
Z ich zasadzek plechocie w pole pomknąć kroku.
Tak, kiedy się gra w tamtej bogaci zabawce,
Przybywa i z tej strony i z owej nastawce;

Choć Turków po tysiącu, naszych tylko po stu,
Lecz jeden bil dziesięciu; obaczywszy z hróstu,
Plechoty, choć jeszcze z dział nie strzelano na nie,
Retyrować się nazad poczęli poganie.
Nakoniec wzląwszy chłostę niepoślednią, zbiegli
Do swoich, co i pola i góry zalegli.
Jużby była i z tem! dziś doszła potrzeba,
Ale się słońce w morze pokwapiło z nieba.
Jak się ten hałas począł, bisurmańscy smocy
Nieporównanym grzmotem aż do samej nocy,
Zagłuszały nasz obóz z bardzo małą stratą;
My Turków sercem, oni przeszli nas armatą.
Sześć koni szeregowych z pod hetmańskiej roty,
Z inszych różnych drugie sześć w one padło grzmoty,
Jeden pacholek, drugi Zawisza tej bitwy
I Bohdan i Carowic, Tatarowie z Litwy
Żywotem przypłacili; padł i Rusinowski,
Od działa uderzony, pułkownik Lisowski;
Jędrzejowski i Kluski, Ryszkowski z Klebkiem
Rotmistrze, i Rakowski rozstał się z tym wiekiem.
Prawda, że i to szkoda; lecz z nieprzyjacielem,
Którego trupem pola szeroko zabielem,
Złożona tym snadniej nam żal na sercu koł,
Że znowu powetujem prędko szkody swojej.
Doznawszy dziś i serca i sił w tym narodzie:
Bo zawsze bezpieczniejsza łódź na miłkiej wodzie.
Układało pogaństwo w drabiny trup goły.
Jako rolnik przed deszczem, kiedy do stodoły
Wozi z wierzchem pod pawąz wysuszone snopki,
Którzy nam przed godziną pisali nagrobki,
Prowadził leda holik, leda ciura podły.
W rzędach konie okryte bogatemi słodły,
Skrzydła, kity, lamparty i tygrysy świeże,
Kaftany złotoryte, strasznych lwów łupieżę,
Łuki, szable, zawoje, pieniądze i szaty,
Dywdyki i czapragi haftowane w kwiaty,
Buńczuki i chorągwie i rynsztunek iny
Prostych żołnierzy i źle strzeżone starjyuz s.

Pelen tego był obóz; ale drożej trzyma
Osman tam zabitego baszę Huseima.
Lepiej go było nie kłać; ten-to po Skinderze
Umarłym, na Sylistrze prefekturę bierze;
Ten dziś władał wojskami, chociaż jednym okiem
Patrzył, już mu obledwie wiecznym zasłży mrokiem.
Brat azyatyckiego basze żywcem wzięty,
Ale prędko śmiertelnym bólem od ran zdjęty.
I inszych co mężniejszych, znaczniejszych wiele,
Którzy dotąd o polskiej nie slychawszy sile,
Kiedy chcą przed inszemi dokazować męztwa,
Bardzo wielka od naszych ręką padła gęstwa;
Nie Węgrzyn tu, nie Niemiec, nie Arabin nagi,
Inakszej na Polaków potrzeba uwagi.
Nie Budzyn tu, nie Agler, nieme mury, ale
Co piersi, to forteca, co w twardej kuta skale,
Do każdej dział burzących trzeba wam i miny.
Takle przedtem rodziła Sarmacya syny!

Część V.

Wtem Osman niecierpliwy każe palić działa;
Zacił słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmiła,
Rozlegają się góry i przyległe lasy,
Niewytrzymanym trzaskiem, straszni hałasy.
Tak twierdzą, jam tam nie był, że z onego grzmotu
Kilka ptaków na ziemię spadło zbywszy lotu;
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie
Obaczyć mokry piasek i kamyki na dnie.
Jęczą skarpy głębokie, zapadłe doliny,
A okopiałe skały równają kominy.
Grom słuch odjął, a oddech slarczyste otręby,
Wzrok dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.
Twierdził to i Chodkiewicz, że jak począł z młodu
Wojnę służyć, takiego huku, dymu, smrodu
Nie uznał, jakim nas dziś głuży, ślepi, dusi,
Kiedy się żwawy Osman o Kozaków kusi.

Tylko też było szkody z onej srogiej burze;
Bowiem ci w swoich szańcach siedząc, jako w murze,
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwał,
Jednego tylko z swoich junaków stradał,
A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku
Grzmi Osman, każe się swym zmykać pomalutku;
Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,
Dorzuć go, a te działa wszystkie z aparatem
Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,
A tak podciąć giaurom twaroustym łydki.
Już umilknęły działa, już nie ryczą smocy,
Kiedy tyran zjadł wszystkie wyrze mocy,
Żeby obóz kozacki ze czterech stron prawie
Obegnawszy, w tak strasznej wziąć go mógł kurzawie.
Dopieroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,
Tusząc, że się Kozacy tak gęstym piorunam
Oprzeć nie mogąc, albo zginęli do nogi,
Albo swoich taborów opuścili progi;
Choć, jako się wspomniało, nie bez bożej łaski,
Jeden tylko Wasili zabił w one trzaski.
Nie rozsypką, jak pierwiej, kolano z kolanem.
Inaczej się chcą pisać dzisiaj przed Osmanem,
Który z najwyższych szczytów onej góry długiej,
Będzie sam swych rycerzów karbował zasługi,
Zielona go chorągiew, choć zdaleka znaczy,
Zkąd każdego w tem polu swem okiem obaczy.
Długo leżą Kozacy jako więc zwykli łowiec
Na lisa i wilk, kiedy widzi stado owiec,
Nie pierwiej ten wypada, tamten zmyka z smyczy,
Aż się zbliżą, aż będą pewni swej zdobyczy;
Tak Kozacy swego się trzymając fortelu,
Nie pierwiej się objawia, dokąd im na celu
Nie stanie nieprzyjaciel; toż mu ogień w oczy
I z dział i ręcznej strzelby sypą, a z uboczy
Zawadzi w nich Chodkiewicz i o gołe brzuchy
Skruszywszy drzewa, sroższej doda zawieruchy,
Gdy dobywszy pałaszów, jako lew z przemoru
Pierwszego bisurmanom przygasza humoru.

Zapomni się pogaństwo i strasznie się zdziwi,
Że Kozacy strzelają i że jeszcze żywi,
Że ich wszystkich burzące nie pogłotły działa;
Smutnie przeto zawywszy swoje ha! ha! ha!
Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,
Naprzód im czoła strachem podchodzą bładem.
Potem kiedy Chodkiewicz księżdzie na ich roje,
Ze łby im ostrą szablą zdejmując zawoje,
Zwątplingszy o posiłkach zwyczajnego toru
Dzierżąc się, uciekali do swego taboru.
Nie pomoże Mahomet i carska powaga,
Gdy śmierć chwyta za gardło, gdy się serce strwaga,
Żadne względy nie idą, jeden strach ma oczy,
Jak znowu krwią pogaństwo pole uposoczy:
Bo naszy i Kozacy, co im stały siły,
Sieką, kołą, strzelają bojaźliwe tyły.
Targa włosy na głowie, gryzie sobie palce
Zjadł Osman, żurzy się na swoje ospalce,
Już nie wlerzy, żeby był Mahomet na niebie,
I swych, i nieprzyjaciół i znowu knie siebie;
Potem się zapomniawszy kiwa tylko głową,
Kiedy Turcy osobą gardząc cesarzową,
O jego się tak blisko ocierając strzeżenie,
Uciekają, na koniec pięścią tłukąc w ciemię
Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzeszyć,
Przyjdzie i nieprzyjaciół niestetyż rozśmieszyć,
A uchyliwszy onej prześwieatnej grandece
Uciec z pola, seklowi wyrzuciwszy lejce,
Zwykle swoje ozdoby, forgi, pierza kinać,
Wszystkich by chciał uprzedzić, wszystkich by chciał
Ale póki w polu stał, jeszcze się wstydał, [minać.
Jeszcze się jakkolwiek Turcy oplerali;
Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,
Wszystkich w drogę rozgrzeszył i licencyował.
I armaty odbiegli, część tylko zawczasu
Umknęli jej puszkarze, nim do dutepasu
Przyszło; więc że każde z nich przykute łańcuchem
Do drzewa, ani radzić mogło się obuchem,

Koła w trzaski i w drobne porąbawszy sztuki,
Działa w Dniestr rzucą z skały ze ściętymi buki.

Ale nie tu szczęśliwa wiktorya stanie;
Bo skoro z pola w obóz uciekli poganie,
Nie dając i odetchu, ale stopy w stopy
Kładąc, weszli i nasi za nimi w okopy.
Tam gdzie w pięknej równinie i przez małe pole,
Tak bardzo Zaporoziec Turków w oczy kole;
Tam póki pogan sleką i namloty krwawia,
Póki łupem nieszczęsnym naszy się nie bawia,
Póty ci uciekają i by chcieli byli
Szczęścia zażyć zwyciężce, włęcejby sprawili
Przez ten jeden dzień, niżli przez czterdzieści całe;
Mogliśmy, mogli skrócić dziś Turki zuchwałe,
Już namloty rzucają, już konie od kół
Biorą, już pędzą stada mułów i bawolów,
Już się wszyscy sowitą obławą zdobywczą,
Już w pogańskich obozach imię Jezus krzyczą;
Już do wielkich wezyrów, do agów, do baszy
Wleść przysła, że już wzięli ich tabory naszy;
Pełno tumultu, pełno na wsze strony trwogi,
Ci się juczą na drogę, ci się grzebią w stogi;
A naszy nie przestawszy skrzyń i wozów łupić,
Dali czas, ach dali czas, pogaństwu się skupić!
Które, gdy ich zastanie na paszy i lepie,
Zajmuje ich rozsypką jak bydło na rzeple.
Kto legł, leży; lecz kto się żywcem dostał w ręce,
W srogim bólu umierał i w okrutnej męce.
A ostatek skoro się łupami obcląży,
Pójdzie w nogi i na swe stanowiska dąży.
I tak ci Zaporowce, z naszych ciurów zgrają,
Kiedy włęcej zdobyczy niż sławy patrzą,
Skroplwszy bisurmańskie swą krwią stanowisko,
Przegrali, uczynili z siebie śmiechowiśko.

Poświęcenie.

Mojej wielce i jedynie kochanej synowej, jejmości pani
Aleksandrze ze Stogina Potockiej, podczaszynie krakow-
skiej, przy posłanym Sylorecie.

W dożywotniej przyjaźni zwłazek resztę domu,
Która mi zostawała od śmierci pogromu
Kochanego (nie dziw! bo jedyny był) syna,
Dałem ci smutny ociec, zacna podczaszyna!
Żeby serce, które żał cogodzinny płał
Gorzej od Prometego orła, tem załatał.
Ani się zawiódł, kiedy bez wszelkiej przygany
Twoje cnoty przypadły plastrem do mej rany.
Wrócił mi się na świat w proch rozsuta w grobie,
Łez dożywotnich źródło, córka moja w tobie.
Wrócił starszy syn, który niemniej duszę nęka
Na wojnie utracony, gdyś powiła wnęka.
Już-em oczy z przeszłych łez na przyszłe pociechy
Ocierał, aż mi znowu śmierć przebiła miechy.
Zepchnię z deski rozbita, nie dosyć jej na tem,
Że mu nieda choć szczupłym dojść do brzegu batem,
Ostatnim dom i serce tryumfem zwycięża,
Mnie syna w młodym wieku, tobie wzięwszy męża.
Nie masz w tak srogim żalu prócz płaczu ochłody,
Nie masz nadziei żadnej wetowania szkody.
Poszło wszystko, co było od natury, z dymem,
Nie masz nad mnie sleroty, uważywszy, czym-em
Był? a czym-em teraz jest? sądów bożych błaczem
Straszliwie porażony, niczem przebóg! niczem;
Zginęło, co mi tylko zginąć mogło w ciele,
Ach! gdybyż można z Jobem usiadłszy w popiele
Łzami zjatrzone żalu serdecznego strupy
Krajem ostrej na ulgę oskrobać skorupy!
To, co mam od fortuny, z żywota przydatkiem
Dałbym wszystko za dzieć, sumienie mi świadkiem,
Wszystko, co ludziom — złotem, u mnie już ołowiem.
W chlebie smaku nie czuję, nie cieszę się zdrowiem,

Ani mi szkoda przykra; to na serce sroże,
 Że jest jeszcze, w czym zadać fortuna ją może.
 Jednego tylko Joba widział świat podniebny,
 Inszy się nie weselił po szkodzie pogrzebnej;
 Drugiego Tobiasza, że bozkich zakazów
 Przestrzegał, da mu syna z opłakanych razów;
 Prócz tych dwóch, nie masz w dawnym, nie masz w wie-

[ku naszym,

Co-by się z Jobem równał, albo z Tobiaszem.
 Komu raz śmierć choć krótki przetrnie życia motek,
 Już ci nie zwiąże, acz ci siła o tem plotek
 Poganie z bogi swemi popisując, marzą,
 Albo jako papugi albo kawy gwarzą.
 Z nich i ja wzięwszy pochop — jeśli mnie kto spyta
 Na co? tonący, rzekę, i wiszu się chwyta —
 W ojcu, który dwu synów, trzecią stracił dziewczkę,
 Tyleż mławszy sam, niosę-ć rzeczy ziemskich
 [śplewkę.

Ogrod fraszek.

*Ogrod, ale nieplewiony; brog, ale co krok
 to inszego zboża; kram rozlicznego gatunku i t. d.*

Czemu żydzi szalbierzami.

Że żydzi szalbierują, nie trzeba dowodu,
 Bo im to od Jakuba jeszcze idzie z rodu,
 Który jako Ezawa, brata odrwił w jusze,
 Potym ojca Izaka w koźlęcej opusze,
 Jako, gdy go teść pstrymi oddzielił jagnięty,
 Pstre strugał i przed owce kładł do żłobów pręty,
 Gdy się gziły z barany i także jagniątko
 Rodziły, czego w świętych pismach jest pamiątka.
 Jako ukradłszy srebrne ojcu Rachel bogi,
 Kłedy ich szukał wszędy, skryła je pod nogi,
 Jako drwiły żydowskie z Faraona baby,
 Jako za mamkę matkę wziął Mojżesz; chybaby

Nie czytywał, kto nie wie, jako bracią zbłądził,
 Jako się ich nastraszył Józef i nadrażnił.
 Lecz największej z Egiptu wyście dowod zdrady,
 Gdy pożyczwszy między klejnotow samsiady,
 Na wieczne nieoddanie, za Czerwone Morze,
 Pewnieby trzeba po nie pławy mieć kaczorze.
 Nie dźluj się dźlś, widząc szalbierując żyda,
 Wszystkie cnoty minawszy, w tym przodków nie
 [wyda.

Galantomo.

Boga zapomnij, nie słuchaj sumienia,
 Będziesz dobrego u dworskich imienia.

O siecka sprawa.

Będąc król Zygmunt z królową w kościele,
 Postrzeże z góry Pretfica, że śmieie
 Z panną żartuje; więc gdy było po mszy,
 Rzecz do niego. Nikt nad cię wiadomszy,
 Idź daj tę kartkę marszałkowi Tryźnie;
 Gdzie pisze: proszę zaraz w gotowiźnie,
 Niech dojdzie sto plag korbaczem na ławce,
 Dla mojej łaski téj kartki oddawce.
 Niech się nie sprawia, niechaj się nie kręci,
 I na to zwykle przycisnie pieczęci.
 Przeczul onego zdrajca oblecadła,
 Zwłaszcza kłedy ples wie, że ruszył sadła.
 Radby wakansu w skok ustąpił komu,
 Albo z Warszawy umknąć pokryjomu.
 Potka się z Szwedem a królewskim ziomkiem
 I pokojowym, tuż przed samym zamkiem:
 »Braciszku — rzecz — nlm się wrócę z Pragi,
 Zkąd wyprawuję listy wielkiej wagi,
 Racz się, tej proszę, podjąć robocizny,
 A odnieść kartkę do marszałka Tryzny«.
 Poznawszy Walter sygnet z pańską ręką,
 Z wielką się podjął legacyej wdzięką.
 Czyta marszałek; raz w papier, nań drugi
 Patrząc: »przez co-żeś do takiej posługi

Przyszedł, kochanku, za one sekrety,
Z królem grasz passa a ze mną pikiety.
Prosi go siedzieć, potem miasto wódki
Daje mu kartkę czytać bez ogródki.
Miasto piernika i jakiej słodyczy,
Ławkę, kobierzec, korzeń niosą byczy.
O wielki chodź Szwedowi wstyd z bólem,
Prosi, żeby się mógł obaczyć z królem.
Prosi o małej godziny kawalek;
Że dać nie może, sprawia się marszałek.
Tamten, że Pretfic dał kartkę oto tę;
Ten, że mu wszelką odcięto sprawotę,
Po długiej tedy dyspućie z stron obu,
Nie mogąc należeć inszego sposobu,
Dano Niemcowi pikietę bez oka,
Aż wystąpiła przez pludry patoka,
Że nieboraczek do gospody ledwie
Zaszedł w godzinę potem czyll we dwie.
Pyta król Tryzny, jeśli go z kredytu
Uwolnił wedle posłanego kwitu.
I owszem — rzecze — aż napełnił worki.
Niech mają pokój panięskie rozporki,
Trzeba było dać przykład wiekopomny.
Na to marszałek: »Zawsze-ć się zdał skromny,
Zawsze się Walter fraucymeru wstydził,
Cóż mu się stało, że teraz pobrédził?«
O Pretficu król mówi nie Walterze.
»Ba, jużci słyszę, lecz myłka w tej mierze,
Bo Pretfic zgrzeszył, Waltera aż do sta
Plag dziś potkała za twym kwitem chłosta.«
Zaśl pojrzy nań król, a cóż drwicie, panie,
Wzdy wam miał Pretfic oddać to pisanie.
Pretfic — bo tam stał i w rzeczy nic nie wie —
Rzecze mu z śmiechem uwalanym w gniewie,
Oddałżeś kartkę z naszym charakterem,
Komuć kazano? »Z panem się Walterem
Potkawszy — rzecze — moim lubym bratem,
Nim z Pragi wróce, miał ją oddać zatem.

Wszak doszła ręku mości dobrodzieju.
A król: Nie chciałeś błaznie przywileju.
Ten się kłaniając: »Pleczyć twarda — rzecze —
Że się do niej wosk przez pergamin wlecze.«
Poszło to w żarty, a Walter swą chłostą
Został upitskim nazajutrz starostą.

Kazanie wielkopiątkowe.

Pił pleban w wielki czwartek z wikarym do świtu,
Więc gdy wedle starego na ambonie kwitu
Iść przyszło, rzecze pleban: »mój księże wikary
Żal mi Pana Jezusa bez końca, bez miary,
Że słowa rzec nie mogę; proszę, miły panie,
Chciejcież za mnie powiedzieć tak smutne kazanie.«
Ten też gdy głowę strudzi gorzałczanym dymem,
I mnie-ć go żal i mnie-ć był pewnie nie ojczymem.
Tak nic nie powiedziałwszy obadwa przed żalem,
Poszli spać do komory miasto Jeruzalem.

Bankiet włoski.

I sam będąc w Krakowie i przez swoje sługi,
Prosił mnie Włoch na bankiet z sobą raz i drugi,
Żebym od jego syna jachał w dziewosłęby,
Głupi, kto swej na cudzy chleb żałuje gęby,
Pomyślawszy, stawię się. Gdy przyszło do stołu,
Po konfektach wyglądam kapłona z rosołu,
Obrus z śniegiem, z zwierciadłem talerz o met chodźl,
Płkne wszystko; ja spluwam, apetyt się rodzi,
Aż z rzodkwią młode masło przetykane chwastem,
Pierwszym przed mnie gospodarz kładzie antypastem.
Aż niosą zuppenwasser, polewkę z pietruszki,
Przyprawny móźdek z główką i cielőce kruszki,
Ślicznem kwieciem upstrzone. Z sobotniego postu
Nie wachać, ale mi się dziś jeść chce poprostu.
Kładzie przed mną dobyte z onej główki członki,
A ja wyglądam z czosnkiem wołowej wędzonki,

Ledwie drzwi skrzypną, albo sztuki mięsa z grochem;
 Że główki nie rad jadam, przysięgam przed Włochem.
 Aż na upstrzonej misie w rozmaite wzory
 Dwanaście wróblów niosą nam z kalaflory.
 I na ząb mi nie padnie, choć-em ich zjadł kilka,
 Trudno się mięsa najeść, gdzie kość jako szpilka.
 Nastąpią malowane galarety za tem,
 Myślę, co dalej czynić mam z tym odrwiświatem.
 Czy ja krowa na głąby, czy koza na kwiatki?...
 Gniewam się i co tylko mu nie wspomnę matki.
 A wtem dadzą pieczone ostrygi i żaby;
 Rozumiejac prawdziwie, że wleprzowe schaby,
 Albo jakie misterne opleczone ptastwo,
 Ślęgnę z nożem do misy, aż ono plugastwo!...
 Wytrząsa Włoch z skorupy, kosteczki osysa,
 Aż druga znówu po tej następuje mlsa:
 Para w niezasuszonych gołąbłatek pałkach,
 Tam są rznięte kogutom grzebyki przy jajkach,
 Toż kochane blamaże; na samo przezwisko
 Miasto jedzenia już mi do ubliwania blisko.
 Wety potem z dawnego nastąpią zwyczajn,
 Naprzód rozmaitego sałaty rodzaju,
 Szpinaki z selerami, szparagi z karczochem,
 Białe grzanki jakimiś posypane prochem,
 Parmezanu jak papier i orzechów garstka.
 Wziąwszy potem kielszek mniejszy od naparstka,
 Z rozlicznemi figlami, jako kryształ czysty,
 Bon proface, senlore! de la chryma Christi
 Pije do mnie, ja sobie po polsku tłumaczę:
 Że za stołem od głodu ledwie nie zapłacę;
 Więc co przytknie do gęby, to patrzy, to słucha,
 Więcej nie połknie tylko jako jedna mucha.
 Za każdym razem mlaśnie i oka przymróży;
 A mnie też bardziej ckliwo, im smakuje dłużej.
 Zaczem, ledwie mi oddał, wszystko oraz całkiem
 Tym kieliszkiem mizernym połknąłem michałkiem.
 Obaczywszy to ów Włoch, pojrzy na mnie krzywo,
 Że tymże haustem wino, którym piję piwo.

Więc że drugiego czekać trzeba było długo,
 Dziękuję za ów obiad, oblecuję mu go
 Odwdzięczyć; prowadzi mnie na ostatnie schody,
 Zbieram nogi co prędzej do swojej gospody.
 Już czeladź po obiedzie. Złodzieje, czemuście
 Zjedli? Jeszcze została słonina w kapuście,
 Jest i bigos cielecy. A ja krzyknę głosem:
 Dawaj po włoskiej uczcie kapustę z bigosem.
 Walę łyżką oboje, toż wysławszy boki,
 Wypiwszy garniec wina, przysięgnę, że póki
 Włosi w Krakowie, a ja póki żywy będę,
 Do włoskiego bankietu naczczu nie usłędę.
 Nazajutrz każę chłopcu, żeby miał nóż myty:
 »Pójdę znówu do Włocha, pójdiesz ze mną i ty.«
 Dopieroż ten niecnota pocznie kłać i łać:
 A kiegoż tam nieszczęścia nożem — rzecz — krajać,
 I po gębie tam mało prócz jednego nosa,
 Gdzie jeść nic, tylko wachać delicata cosa.

Doma najlepiej.

Trzy rzeczy gospodarza wyganiają z domu.
 Pierwsza, kto ma złą żonę. Druga, jeśli komu
 Za kołnierz z dachu kapie. Niedostatek trzeci.
 Zamkniesz drzwi, któż przed głodem oknem nie
 [wyleci?
 A jabym zaś złą żonę wolał wygnąć z gmachu,
 Wolałbym dziurę gontem załatać na dachu,
 Niżeli się sam włóczyć, i co się tknie głodu:
 Niemasz doma, niktędy nie będzie dochodu.
 Wolno wierzyć, wolno nie: jakie takie śmieci,
 Najlepsze kiedy swoje, powiedam waszecl.

Co ma święto przed powszednim.

Chlubiła się niedziela i insze święte dni,
 Że żaden z nimi zrownąć nie może powszedni,

Bo tam zawsze robota pot wytacza z czoła,
W niedzielę prosto ludzie do karczmy z kościoła.
Aż któryś z tych: Tańcować nie byłoby o czym,
Gdyby się nie zdobyło dnem grosza roboczym,
Nie znać by było święta, nie znać i niedzielę,
Gdyby nie było potu przez tydzień na czele.

Żle zrozumiałwszy, nie nauczysz dobrze.

Szlachcic jeden powiedział gościom przy obiedzie:
Kto umie po łacinie, że wszędy przejedzie.
Słyszac to prostak jakiś, więc gdy go ksiądz pyta,
Stojącego nad rzeką: jeżeli przebyta
Jeśli ją w bród przejedzie, powie na pytanie:
Umiecie po łacinie, śmiecie jedźcie na nią.
Rozumiejąc że żarty, ledwie koniem ruszy,
Wpadnie w wodę nieborak ksiądz, po same uszy,
Bowiem rzeka po deszczu wylewała z brzegu.
Ledwie się ostatniego skaraskał noclegu,
Wskok na skargę do pana, choć się wody opił:
Że go zły człowiek o włos w rzece nie utopił.
Toż skoro ów przed panem stanie, tak nań fuknie:
Widzisz jako zepsował ten ksiądz sobie suknie.
Gdyby utonął, jakiej podlegałbyś winie,
Zły człeku? Wždy, odpowie, umiał po łacinie,
A waszećś powiedział, nie pamiętam przy kim,
Że świat może łacińskim przejechać językiem.

Tace swarliwej żenie.

Ustawne włodac z żoną szlachcic jeden swary,
Kupił jej na jarmarku szklanych tac trzy pary.
Tyleż kupił na drugim, jechawszy do miasta,
Tyleż na trzecim. Łaje swarliwa niewiasta,
Że rzeczy niepotrzebne kupuje tak drogo.
W czym gdy się księdza radzi: milcz, rzecze,
[niebogo;

Milcz, po naszymu, znaczy po łacinie: tace,
Przećć je to kupuje, nie żałując płace.
Nie swarz się z nim ustawnie, jako baba krupna,
Inaczej przestanieć on po chwili tac kupna.
Ale wspomniesz i stanieć niebogo za tace,
Kupili korbacz, którym grzbiet ci wykołace.

Mleczek z Śmietanką.

Dwu, Mleczek i Śmietanka, z szlachty się pospołu
Zjechało na wesele, więc skoro do stołu,
Że się tu pospolicie ludzie zwykli wadzić,
Pyta gospodarz, kogo z nich wyżej posadzić.
Śmietana nie chce gwałtem inszego frymarku:
Niech tak u stołu, jako siedzimy i w garku,
Niechaj pan Mleczek, proszę, na wzgardę natury
I zwyczaj, nad śmietaną nie przywłaszcza gory.
Wnet ja tę, rzecze Mleczek, uspokoję sporę,
Kogoż wyżej sadzają, matkę czyli córkę?
Mleko rodzi śmietanę, więc tym uczcić matkę;
Niech maślonekę posiada, nie mnie i serwatkę.
Wszystko to moje córki; jako która godna,
Niech siedzi; wždy najwyżej przecie, pierworodna
Słyszac Maślićki z Sernem, śladźmyż my na rogu,
Bo masło bez śmietany, ser nie bez twarogu.
Gdyby tu Serwatkowski z Maślankowskim jedli,
Pewnie by nas u stołu tego nie posiedli.

Na skąpego.

Pewnego we Francyej ten był zwyczaj miasta,
Obsyłać się, jeśli kto wieprza zabił z ciasta,
To pieczeniłą, to głową, kiską, schabem, chrzeptem.
Puść na kata złodzieja i z jego conceptem.
Skąpiec jeden tłustego zabił wieprza w domu,
A nie chcąc, choć był wszystkim winien ślać ni-
[komu

Radzi się z tym sąsiada, z którym przyjaźń bliska,
Jakoby mógł i szkody ująć i obmowiska.
Więc po długiem na to się zgodzili radzeniu:
Że chwilę w noc wieprz on wisał na podsieniu;
Potym go schowasz; niechże czeladź z tobą twierdzi,
Że go zaraz z wieczora ukradziono z żerdzi.
Żebyś bezpiecniej kłamał i wierzonoc snadniej,
Nie karz go strzedz nikomu i sam go ukradni.
Lecz nie chciał dobry sąsiad, aby taka wada
Skępstwa, kłamstwa, złodziejstwa padła na są-
[siada.
Ledwie głupi gospodarz śledzie do wleczere,
Sam przyszedzszy bezpiecznie wieprza z kółka ble-
[rze,
Więc nazajutrz, skoro się oba zejda z sobą,
Niesłychaną się skarży gospodarz żałobą.
Że mu wieprza owego ledwie za prog krokiem
Przestąpił, wczora samym ukradziono mrokiem.
A sąsiad: tak powiedzieć potrzeba koniecznie.
I kiedy ten, że zginał, przysięga statecznie,
Że złodziej, aż go tam kat na haku zawadzi,
Ukradł: tak trzeba twierdzić rozkazać czeladzi.
Powie mu: Szukalić, lecz nie mogli, ow rzeczce,
Poszlakować. Czyś kraść z młodszych lat czło-
[wiecze?
Tak zmyślasz umięjtnie. A gospodarz znowu:
Nie kłamam, nie zmyślam, wierz cnotliwemu słowu,
Ze ledwie siadł do późnej wleczery na stolku,
Każe wyjść, aż wieprza nie masz już na kółku.
Ten zaś: ani po śmiechu, ani znać po czole,
Że zmyśla i mnię ledwie nie wywiedzie w pole,
Com go tej uczył sztuki. O pojętność bystra!
Jako widzę, przeszedłeś od razu magistra.
Im się ów bardziej sili, kłnie, przysięga, krzywi,
Śmieje ten, a jego się dowcipowi dziwi.
I po długiej dispucie niecnota weń weprze,
Że schował wedle rady, ukradzszy sam wieprze,

Toż kłedy miał odchodzić, klepiący go w ramię:
Jedz zdrow sąsiadku, rzeczce, a pomni też na mnę.
Ten barkami ruszywszy, wchodząc do gospody:
Bodaj że go zabito! jeszcze kpi do szkody.

Icon narodow.

Kłedy w jerozolimskiej ciemnicy Pan siedział,
Każdemu jego własny przymiot opowiedział,
Kto go kolwiek nawiedził. Więc Polacy wprzody,
Przyszedzszy cicho z swojej w północy gospody,
Odbijemy Cię Panie, wszystkich środków ruszmy;
Każeszli, wysieczemy ciemnicę z ratuszem.
Podziękował im, a wraz za onę ochotę
Dał męstwo, serce, dzielność, bohatyrską cnotę.
Niemcy w tropy za nami: choćby i najdrożej
Odkupim Cię, wszytką się na to Rzesza złoży,
Chociażby we dwójnasob, niż Cię Judasz sprzedał.
Także podziękowawszy, Pan im odpowiedział,
Że mu trzeba i siedzieć i umrzeć w tej kunie,
A jako tego wdzięczon, rozkaże fortunie
Gdziekolwiek pojdą morzem lub po ziemi niskiej,
Żeby nosły sowite ich towary zyski.
Przyszli też Ruś i Węgrzy: Panie bez hałasu,
Bez kosztu wykradniemy z tego Cię tarasu.
Idźcie ludzie nieczyści i posługi takiej
Nie płacę wam inaczej, na pale, na haki.

Fortel w kupieniu konia.

Brat krakowskiego żołnierz kanonika,
Widząc u niego rażnego konika,
To prośbą, to nań za pieniądze godzi.
Książd go nie chce zbyć, lekko mówiąc, chodź;
Żadnego nie ma do siebie narowu,
Nigdy nie wierzgnie, posłuszny i słowu,

Nie tylko prętu; szłapi co się tycze,
Na nim pacierze mawiam kanonicze.
Ow przecie prosi, że to koń do blegu,
Do wojny rączy albo do szeregu.
Niechaj ksiądz w izbie swe pacierze trzepie,
A chceł w polu, tedy na pareple
Obaczysz księżę, na ostatek mowi,
Żeć albo zdechnie, albo się znarowi.
W kilka dni potym, gdy lekarstwa bierze,
W izbie kanonik odmawiał pacierze.
Żołnierz, na koniu wyjechawszy w pole
Ostrogami go w oba boki kole;
Co raz się żegna, pacierze poczyną,
A konia pod brzuch kańczugiem podcina.
Nie bywszy w takim ćwiczeniu jak żywo,
Wierzga, łbem rzuca. bo mu srodze ckiwo
Ledwie ow rękę do żegnania kinie,
Ledwie przemowi, ten dobrze nie zglinie,
W ziemię by przepadł. Tak kiedy go wprawi,
Zsiadszy na jego stanlu go postawi.
W kilka dni potym opatrzywszy zdrowie,
O żadnym kapłan nie myśląc narowie,
Wsiada na konia już za Kazimierzem;
Chce się zwyczajnie zabawić pacierzem.
Pocznie się żegnać, puścił cugle z ręką,
Koń wierzgnie, a ksiądz jak nie był na lęku.
I tak z twardego ciała depositu
Nie przyszło mu tam kończyć introitu.
Toż wróciwszy się pleszo do gospody,
Niechaj pśl z tego marchy mają gody.
Prawdęś, mój bracie, powiedział mi, drogi,
Już go sobie weźm, lecz nie bez przestrogi.
Jeżli się szkapa przeżegnania stracha,
Nie wiele na nim pałaszem namacha.

Jeden błazen tysiąc błaznów urobi.
Widząc frant, że się ludzle dziwiał leda czemu,
Rozkazał na jarmarku obwołać woźnemu,
Że takiego na swojej stajni konia chowa,
Co ma w tym miejscu ogon, gdzie miała być
[głowa].
Kto chce widzieć, gdzie nowo wystawiona buda,
Przyszedszy o dziewiątej szostak na to uda.
Nazajutrz gdy się zbiegli rożni ludzle z obu
Stron młasta, kuglarz konia za ogon do żłobu
Uwiązawszy, szostaki wybiera jak myto,
Každy idzie plunawszy, bogdaj cię zabito!
Lecz że nikt sam niechciał być miany za prostaka
Żeby drugich nie przestrzegł, odzali szostaka.

Ktore zwierze nie zębami a kasa.
Lew, pies, dzik, lis, koń, wąż, zębem kasa srodze.
Jeden tylko językiem człek człowieka głodze.
Kasa wołu, jelenia zębami i z dzikiem;
Nad bliźnim jadowitym pastwi się językiem.
Wždy węzową trucizną wysysają żaby.
Ktoby też rzekł, że członek, tak miękki, tak
[słaby],
Co gorsza nie przytkniony i barzo zdaleka,
Miał śmiertelną trucizną ukąsić człowieka.
Językiem siebie w raju, gdy jabłka kosztuje,
Dziś złorzeczając językiem, człek człowieka psuje,
Tak i jedząc i mówiąc zły ozor człowieczy
I siebie i bliźniego na wieki kaleczy.

Na okulary.

Wieprza kupował doktor a że już był stary,
Nie dojrzał, przeto na nos włożył okulary,
Przez które, acz rzecz była i mała i chuda,
Bardzo drogo zapłacił, skoro mu się uda.

Dowiedziałwszy się żona tak łając przyskoczy:
A gdzieżeście podzieli, miły panie, oczy?
Prosię tak drogo płacić? Miła, rzecz, pani,
Nie przypatrzwszy się wprzód głupi tak gani.
Toż gdy jej okulary zawiesi na nosie,
Mówże teraz że drogi, że nie wleprz, że prosię.
Usiadł doktor do stołu, nie myśląc o zdradzie,
A żona przy talerzu okulary kładzie.
Więc że mały kawałek włożyła w jarzynę,
Mając dobry appetit pyta o przyczynę.
Ona mu co rychlej dobywszy z puzderka,
Kładzie na nos: patrz jedno, a małaż to szperka?

WESPAZJAN KOCHOWSKI

(1633 — 1700).

Żołnierz i ziemianin. Takie było powołanie szlachty polskiej, takie było też oblicze duchowe poetów, którzy z tej szlachty pochodzili. Świetnym jej przedstawicielem był Wacław z Potoka Potocki, nieodrodnym jej synem był także Wespazjan z Kochowa Kochowski.

Ród Kochowskich, herbu Nieczuja, nie zapisał się w historii ani wysokimi godnościami, ani zaszczytami lub sławą rycerską. Był zwykłym rodem ziemiańskim, który siedział na ziemi w województwach sandomierskiem i krakowskiem i gospodarował w Mękach, Kowalewiczach, Piotrkowicach, Wilkocinie, Zalesiu, Gorzyczanach, Goleniowach i Moskorzewie.

W jednej z tych majątności, we wsi Gaj, niedaleko klasztoru Święto-Krzyskiego na Łysej Górze, mieszkał w początkach XVII-go wieku Jan z Kochowa Kochowski, marszałek sądów kapturowych województwa sandomierskiego, cieszący się między współzemiańcami wielką popularnością. Był to obywatel zacny, odznaczający się głęboką nauką i znajomością prawa. Małżonką jego była Zofia z Janowskich.

Pan marszałek miał liczną rodzinę: pięciu synów i dwie córki. Najstarszym z pomiędzy synów był Hie-

ronim Wespazjan, urodzony w r. 1633-cim, któremu przypadło w udziale przekazać rodowe nazwisko Kochowskich dalekiej potomności.

W ojcystym Gaju przepędził przyszły poeta lata dziecięce i chłopięce.

Musiło mu tam być dobrze, skoro już w wieku dojrzałym będąc, z przyjemnością do wspomnień z dzieciństwa powraca i z prawdziwym uczuciem o swojej wsi rodzinnej opowiada.

»Tu ojciec z dzłady, krewnych gromady

I mali wnukowie

Dzieciństwa doszli; tu w zgodzie rośli

Przy swej starszej głowie.

Tu na pagórku, w drewnianym dworku

Pierwsze krotofile,

Ptastwo swawolne, powietrze wolne

Gwałcąc, cieszy mile.

Choć mała niwa, lecz plenne żniwa

Bujna Ceres daje,

Wszystkiego zgoła, choć w pocie czoła

Pracując, dostaje.

Błogosławieństwo, nasze starszeństwo

Tu od Boga miało,

Zawsze im chleba, jako potrzeba,

Dosyć wystarczało.

Z tego widać, że w ojcowskim »drewnianym« dworku zbytków nie było, ale panował dostatek.

Kierowany przez znającego wartość nauk ojca — mówi biograf poety, Adam Rzążewski — wczesnie młody Wespazjan oddany został do szkoły, myli się jednak, przypuszczając, że tą szkołą była szkoła jezuicka w Sandomierzu. Nowsze badania ustaliły, że Wespazjan uczył się w szkole Nowodworskiego w Krakowie (w latach 1646—48). Do Akademii nie uczęszczał. Nie były to zresztą czasy, sprzyjające nauce. Młodzież, jak zwykle w takich chwila-

lach, garnęła się raczej do życia obozowego, odkładając książkę na później.

Uniesiony tym prądem, powszechnym wówczas, spędził poeta dziesięć najlepszych lat swego życia w służbie ojczyzny (1651—1660), walcząc przeciwko kozakom (brał udział w bitwie pod Beresteczkiem), Szwedom i Węgram.

W okresie tym ranny był dwiema kulami w bitwie ze Szwedami pod Gnieszmem.

Ranę tę, jak sam opowiada, otrzymał wskutek niewiary. Rzecz się tak miała: na dzień przed bitwą, w katedrze gnieźnieńskiej »ciekła krew żywa z krzyża Chrystusa Pana, co wszyscy widzieli«. Widział i on wraz z innymi, ale, nie wierząc oczom, dotknął pozostałej na ołtarzu krwi kropli. Za to, jak niegdyś Osa za dotknięcie arki, nie został wprawdzie ukarany, jak tamten, śmiercią, ale dwukrotny otrzymał postrzał.

Szczegół ten przyczynił się niewątpliwie do późniejszego religijnego nastroju poety, który ślubował:

»Włóczę tę rękę, jako z bólu wzmoże,

Twej ofiaruję chwale, o mój Boże;

Wierna potem Twoje cuda

Ogłosi piórem pośród wszego ludu« —

i ślubu tego dotrzymał.

Koniec jego żołnierki przypada na pokój oliwski. Do wojny moskiewskiej już się nie mieszał, i skończony trudami obozowymi, pod strzechę ojcystą powrócił. »Tu — mówi Rzążewski — używał wczasu, Muzami się zabawiając. Wspomnienia z odbytej wyprawy wojennej, dawniejsze lub współczesne nieszczęścia i powodzenia publiczne znalazły odgłos w jego pieśniach i imię jego zaczęło się stawać głośnem w kraju, jakkolwiek poezje jego, jeszcze niedrukowane, w odpisach tylko po rękę sąsładow, przyjaćlił i krewnych krążyły«.

Życie jego ówczesne pełne było spokoju i pogody. Ożeniony z Marjanną Misiowską (może Miszowską), zażywał szczęścia domowego i dziękował Bogu za wszystko, co z Jego darów otrzymał:

»Panie, i za to dziękować Ci trzeba,
Żeś gębie mojej dał dostatek chleba;
Dosyć, mój Panie, i za to dziękuję,
Więcej nie pragnę; tem się kontentuję.

Cóż mi po więcej? na czymże mi schodził,
Gdy mi ojczysty szmat bujno zarodził,
Pożywi czeladź, wtaż wystarczy i mnie,
Dobry przyjaciel pożywi się przy mnie.

Niechaj Paktolus złotym nurtem sieje,
Złotem niech błyszczą meksykańskie knieje;
Ci, co to mają, przecie są ubodzy:
To pan, co chciwość utrzyma na wodzy.

Niwo ma, niwo! Skilbo ziemię plennej,
Ty, co raz wieniec żytni, także pszenney,
Spokojnie na mej gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, królowie.

Ta mię odzlewa według mojej miary,
Z niej zbieram co rok bogate towary,
Chociaż me szkuty nie ucisną Wisły,
Kontent lelowskiej¹⁾ czekam floty przyszelej.

Mam przyjaciela, co od Boga dany²⁾,
Jest i na stajni sekiel³⁾ farbowany,
Broń doświadczona a do tego żeby
Był grosz, dosyć mam, jeden od potrzeby.

¹⁾ Lelów — najbliższe miasteczko Goleniów, gdzie mieszkał poeta

²⁾ Jan Gawiński, poeta, sielankopisarz, najlepszy przyjaciel Kochowskiego.

³⁾ Sekie! — koń rasy siedmiogrodzkiej.

To tedy że mam, Twoje, Panie, dzieło,
Moje dobrze wdzięcznym być, a Tobie miło;
Przeto, dziękując za skarb Ci takowy,
Ze mnąć oddają dzięki Goleniowy.

Że było to szczęście ziemiańskie pełne, zbliżone do tego, jakiem cieszył się i w jakim tak upodobał sobie Jan Kochanowski, o tem świadczy wymownie jeden z późniejszych utworów poety, mianowicie wiersz do Pakosława Lanckorońskiego, podstolego krakowskiego:

»Niechaj kto chce stawia bliski
Przy królewskim tam tronie,
Ja zaś w swojej chatce niskiej
Bezpieczniej wesprę skronie.
Niech kto depce mozalkiem
Wyłożone podłogi,
Ja nie chcę być niewolnikiem,
W złotą wolność ubogi.

Próżen kłótni i hałasu,
Smaczno chleb jem choć z solą,
W swym kątku pewien wczasu,
Groźby mnie nie niewolą« i t. d.

Myliłby się jednak ten, kto chciałby z tego wyciągnąć wniosek o egoistycznym sybarytyzmie poety i odsunąć się jego od wszelkich spraw publicznych.

Tak nie było. Poeta, znów podobnie jak Kochanowski, miał oczy i serce otwarte na wszystko, co działo się w Rzeczypospolitej.

Dał tego dowód, skoro do zaciśza jego dotarły odgłosy sprawy Lubomirskiego.

Krzywdą — opowiada Rzązewski — niesłusznie podług zdania większej części szlachty wyrządzona wielkiemu senatorowi, powaga i pozorna legalność obżalowanego, tudzież stałość, z jaką dumny magnat podejmował rzuconą przez dwór rękawicę, stając jako obrońca wolności Rzeczypospolitej, silnie podziały na

Kochowskiego i zrobili go jednym z najgorliwszych zwolenników marszałka. Od sejmiku proszowickiego w roku 1664-ym, na którym odczytano pozew królewski, obwiniający Lubomirskiego o zdradę stanu, a na którym Kochowski, jako ziemianin krakowski, był obecny, wszystkie jego sympatie są po stronie Lubomirskiego. Poeta wahał się jednak długo, czy szablę swoją, tę samą szablę, która wypierała niedawno Szweda-najeźdźcę, przyłączyć do walki bratobójczej, i dopiero zwycięski przez województwo krakowskie pochód Lubomirskiego po wygranej pod Częstochową, skłonił go do wzięcia czynnego udziału po stronie marszałka. Kochowski uczestniczył w smutnej pamięci bitwie pod Mątunami w r. 1666-ym, a później jeszcze w obronie Lubomirskiego wydrukował w r. 1668-ym poemat p. t. »Kamień świadectwa wielkiego w Koronie polskiej senatora niewinności«. W tym roku także Jan Kazimierz, znękany nieszczęśliwym panowaniem, złożył koronę. Zaczął się bezład bezkrólewia, w którym animusz szlachty, pamiętny sprawy francuskiej, przeciw której walczył pod chorągwiami Lubomirskiego, myślał szczerze o elekcji Piasta. Kochowski brał udział gorący we wszystkich w tym celu podjętych staraniach i z nietajoną radością opowiada o elekcji Michała Wiśniowieckiego, na której był obecny w r. 1669-ym. Obranego króla powitał panegirykem: »Munus civile«, a przez to stał się więcej znajomym dla dworu. Zwrócił na niego uwagę Andrzej Olszowski, biskup chełmiński i podkanclerzy koronny, i wciągnął go do współpracy. Sekretarzem królewskim, jak dowiódł tego prof. Czubek, Kochowski mianowanym jednak nie został. Dopiero w r. 1671-ym otrzymał za pośrednictwem Olszowskiego podżupnikostwo wielickie.

Urząd ten polegał na prowadzeniu rachunków i kontroli solnej, ale, że współcześnie zwykle król kilku urzędników takich mianował, przeto podżupkowie zmieniali

się. Okoliczności te, tudzież bliskość Wieliczki od Goleniów sprawiły, że Kochowski obowiązek ten na siebie przyjął. Niedługo jednak go pełnił.

Powróciwszy do życia domowego, oddał się poezji. Zebrał wszystkie swoje, napisane dotychczas liryki i fraszki, a nadawszy zbiorowi temu tytuł charakterystyczny: »Niepróżnujące próżnowanie«, zamierzał drukiem to ogłosić.

Zamiar ten napotkał jednak niespodziewane przeszkody.

Podług przyjętego zwyczaju — opowiada Rzązewski — należało dać rękopis do przejrzenia cenzurze duchownej. Otrzymał go ks. Kucharski, kanonik krakowski, i ze swej strony przesłał *Niepróżnujące próżnowanie* ks. Szymonowi Makowskiemu, rektorowi Akademji Krakowskiej. Ks. Makowski rękopis przejrzał, wiele zeń wykreślił, wiele odmienił, a wreszcie drukować pozwolił. Władza diecezjalna zapozwała potem Akademię Krakowską o to, iż dzieło, w którym jest wiele rzeczy lekkich (zarzut ten odnosił się do fraszek), drukować pozwoliła, i chciała ją z tego powodu pozbawić władzy udzielania cenzury. Sprawa poszła aż do Rzymu, skąd ją do nuncjusza w Warszawie odesłano. Praw Akademji Krakowskiej bronił rektor, obstając przy dawnych jej przywilejach, i proces wygrał. Dopomogła mu do tego i obrona samego Kochowskiego, w której poeta między innemi pisał: »Ile do księżki, w tej nie wiem, coby tak śmiertelnego było, żeby aż ogniem oczyścić się miała. Z dawnych czasów nie tylko tej wolności poetyckiej nie ganiono, ale i owszem chwaloną była; zwłaszcza w narodzie polskim te *jovialitates* żartów i w posiedzeniach przyjacielskich bawiące rymy miejsce miały. Pisał Jędrzej Krzycki, arcybiskup gnieźnieński, epigrammata. Jan Kochanowski, Rej, Jagodyński, Wojciech Inez, Jezuita, i teraz mężowie w senacie koronnym siedzą, którzy

się takiej w młodym wieku nie wstydzą zabawy. Nie wiem jednak, czy kto z pomienionych na tak *severam* *crisim* przychodzić miał, jaka mnie teraz spotyka. I owszem, Maro nasz polski, Jan Kochanowski, poemata swoje wielkiemu senatorowi, Piotrowi Myszkowskiemu, biskupowi krakowskiemu, surowemu przystojnych obyczajów cenzorowi, przypisał.

Instrukcja, jaką w tej mierze dało województwo krakowskie posłom swym na sejm r. 1676-go, zawiera między innymi: »Więc za przypozwaniem Akademji Krakowskiej o książkę *Liricorum* do JX. Nuncjusza JP. Wespazjan Kochowski, autor jej, musi znaczną honoru swego ponosić skazę; tedy to zalecamy JPP. posłom naszym, aby serjo z JX. Nuncjuszem znieść się raczyli, jakoby takie *praejudiciosa* stanowi szlacheckiemu w sądach JXM. nie stawały i honor szlachcica tego, dobrze krajowi zasłużonego, aby w całości utrzymany był.

Po takim objawieniu się życzeń szlachty krakowskiej, prymas królestwa, łącznie z nuncjuszem uwolnili ks. Makowskiego od odpowiedzialności.

Cała ta sprawa książce Kochowskiego — jak zwykle bywa w takich przypadkach — oddała tylko przysługę. Pierwsze wydanie *Niepróżnującego próżnowania* rychło wyczerpało się w handlu księgarskim, a imię poety nabrało rozgłosu w całym kraju. Za panowania Jana III-go poeta zażywał już sławy niemałej. »Otoczony przyjaciółmi i familją — mówi Rzęzewski — obdarzony przez króla tytułem podkomorzego (*cubicularius*), odbierając zewsząd częste życliwości dowody, zdawało się, że już tylko piśmiennictwu i roli się odda, zwłaszcza, kiedy i wiek już późny do użycia wczasu zachęcał. Ale jeszcze raz w nim krew zagrała, jeszcze raz szablę do boku przypasał i żwawo dosiadł podjezdka, żeby spróbować z bisurmanem tańca. Poszedł pod Wiedeń, rozumiejąc, iż »przyszła chwila, w której każdy ry-

cerz chrześcijański śpieszyć powinien z pomocą zagrożonej stolicy cesarskiej. Niesłusznie utrzymują niektórzy biografowie Kochowskiego, że nie był on pod Wiedniem. Był, tylko w samej bitwie udziału nie brał, albo brał go w bardzo nieznacznym stopniu, »za przybyciem bowiem pod Wiedeń, czy to wskutek przyśpieszonych marszów, czy z innych może przyczyn ciężko zachorował i, po rozpedzeniu oblegających Wiedeń wojsk tureckich, w mieście tem szukał przytułku, dopóki mu choroba powstać nie pozwoliła. Musiała to być jednak choroba niezbyt niebezpieczna i ciężka, bo poeta nasz już uczestniczył w bitwie pod Parkanami. Wyliczając poległych tam, opowiada szczegółowo, jak który był ranny, a malując okropność bitwy, dodaje: »Bez przesady mówiąc, wody rzeki z krwią ludzką zmieszane, czerwonymi się wydawały.

Po skończonej wyprawie powrócił Kochowski wraz z królem do Krakowa i tu był świadkiem uroczystości i triumfów, jakimi stolica zwycięzcę witała.

Wyprawa wiedeńska dodała poecie nową podnieętą twórczą. W następnym zaraz 1684-ym roku wydał pieśń na wzór Tassowych, opisującą triumf nad Turkami, p. t. »Dzieło Boskie, czyli pieśń Wiednia wybawionego.

Ten utwór, w połączeniu z jego zasługą dawniejszą, skłonił Jana III-go do nadania Kochowskiemu godności »uprzywilejowanego dziejopisa« (*historiographus privilegiatus*). Godność ta pozwalała mu na korzystanie z archiwów koronnych oraz przynosiła pensji rocznej złotych 1000, sumę na owe czasy wysoką.

Tak wówczas ułatwiano pracę ludziom pióra. Poeta mógł istotnie resztę swojego życia poświęcić dziejopisarstwu i wykończyć drugi i trzeci *Klimakter* swojej historii (pierwszy wydał w r. 1683-ctm, przed samą wyprawą wiedeńską).

Jednocześnie szlachta krakowska, pragnąc uczcić swojego współzemiańcinę, wybrała go na urząd wojskiego ziemi krakowskiej, a król wybór ten zatwierdził.

Tymczasem zbliżał się kres życia. Przeczuwając bliski koniec, poeta oddał się praktykom religijnym i dobrym uczynom.

W r. 1694-ym, w grodzie krakowskim — podaje Rzązewski — zapisał z majątku swojego sposobem wyderkauffowym złp. 1500 na utrzymanie w Goleniowach szpitala dla pięciu chorych starców, z poddanych swoich, lub gdyby tych zabrakło, z okolicznych. Przez dwa lata sam doglądał budowy domu, a w r. 1696-ym wprowadził instytucję w wykonanie. W legacie nie zapomniał o najdrobniejszych potrzebach biednych: »takim sposobem na każdą ćwierć roku na każdego ubożego pójdzie ćwierć żyta jedna, ćwierć jęczmienia i grochu miara i to zboże według taksy na targu rachowane być ma. Do tego obuwie albo buty na każdego na rok i płótna po dziesięć łokci zgrzebnego każdemu także. Płaszcz szary co trzy lata z tegoż czynszu sprawić i kolędy na Nowe lato po groszy piętnaście, na omastę na rok każdemu złotych dwa«.

»Ta pamięć o ubogich włościanach — dodaje Rzązewski — pozwala nam poznać jeszcze z jednej strony obywatelski charakter poety i wlerzyć, że wzywanie do ulżenia ciężkiemu ich losowi, w pismach jego spotykane, nie było czczą tylko deklamacją, ale słowa swoje umiał Kochowski czynem popierać«.

Jakby w nagrodę za to poeta zaznał jeszcze przed śmiercią niemałej pociechy. Oto Kamieniec Podolski, którego stratę w poezjach swoich tak boleśnie opłakiwał, dn. 26 stycznia 1699-go roku na mocy traktatu karłowickiego wrócił do Polski. Radość z tego powodu i dziękczynne hosanna zanotował poeta stygnącą już ręką w Klimaktrze IV-ym swojej historii, a w półtora roku niespełna, dn. 6 czerwca 1700 r. umarł w Krakowie.

Przejdźmy teraz do oceny jego twórczości. Jeżeli pozostawimy na stronie po łacinie pisane dzieła historyczne,

puścizna poetycka Kochowskiego sprowadza się do utworów następujących:

- 1) »Kamień świadectwa Wielkiego w Koronie Polskiej Senatora niewinności«. 1668 (bez miejsca wydania);
- 2) »Różaniec Najświętszej Panny Maryjej.« W Krakowie 1668. (2-gie wydanie 1695);
- 3) »Niepróżnujące próżnowanie albo Liricorum polskich ksiąg V, tudzież Epigrammata i wiersze wesole«. W Krakowie 1674;
- 4) »Ogród panieński pod sznur Pisma Św., doktorów kościelnych, kaznodziejów prawowiernych wymierzony a kwiatami tytułów Matki Boskiej wysadzony, przez jednego najbliższego (najlichszego) tej Matki i Panny niewolnika.« W Krakowie 1681
- 5) »Chrystus cierpiący, według tekstu Ewangelii Świętej wierszem polskim wystawiony«. W Krakowie 1681;
- 6) »Dzieło Boskie albo Pieśni Wiednia wybawionego i inszych transakcji wojny tureckiej, w r. 1683 szczęśliwie rozpoczętej«. W Krakowie 1684;
- 7) »Trybut należyty wdzięczności, wszystkiego dobrego dawcy, Panu i Bogu, albo Psalmodya Polska, za dobrodziejstwa Boskie dziękująca. Przez jedną najbliższą kreaturę R. P. 1693 napisana a do druku podana R. P. 1695«. Częstochowa 1695.

Tu dodać należy, że »Lament utraconej Ojczyzny«, uważany przez wydawcę A. E. Koźmiana (1842), a za nim przez Rzązewskiego, Czubka i Turowskiego za utwór Kochowskiego, jest, jak to ustaliły najnowsze badania, utworem W. St. Chrościńskiego. Również »Projekt na mody francuskie polskie« jest utworem tegoż Chrościńskiego (G. Korbut.)

Podaliśmy powyższy wykaz bibliograficzny dlatego, aby w ocenie poetycznych utworów Kochowskiego nie

krępować się już chronologicznym ich porządkiem, ale podzielić je na pewne grupy.

Idąc śladami Adama Rzażewskiego, zaczniemy od poezyj lirycznych. Charakteryzuje ich treść najlepiej sam poeta, gdy mówi:

»Piałem Marsa, bił na larmo
Z Ordą, z Moskwą, z Szwedy,
Nie puściłem pełnej darmo,
Szedłem w gallaredy;¹⁾
Nie mierzyła mnie w trefieniu
Udatna dziewoja,
Choćby była i w zamknieniu,
Ruszyłem podwoja.
Przymawiałem, wychwalałem,
Lub przyskapszy w chwale,
Śmiertelne treny pisałem
I nagrobne żale.
Na wesele szedłem chutnie
I małżeńskie gody,
Na sejm także nie bez lutnie,
Wzywałem do zgody.
Ruszyłali mnie też skrucha,
Psalmem nucił sobie,
I, w której jest ma otucha,
Matko Boska, Tobie
Śpiewałem, na znak mych chęci,
Lub (lubo), wyznaje, lichu,
Przypomniałem i was, święci,
Ale także cicho.
Przywodziłem na pogany,
Acz rytmy nie roty;
Zadawać im piórem rany
Miałem dość ochoty.

1) Galarda lub galareda = skoczny taniec włoski.

Pod Chocimem, które legły,
Cnych żołnierzów głowy,
Stawiłem grób, choć nie z cegły,
Ale papierowy.
Co mnie jeno samo prawle
Cieszy, Muzo, z tobą,
Żem począł o Władysławie
Królewską żalobą.¹⁾
Kończę teraz już szczęśliwiej
Tronem przemożnego,
Którego niech długo żywi
Bóg, Jana Trzeciego....«

Wiersz ten — zdaniem Rzażewskiego — może służyć za najdokładniejszy spis liryk Kochowskiego, bo w streszczeniu tem »ani jeden motyw, poruszający strunami jego lutni, nie jest pominięty«. Nie wszystkie atoli motywy są równej doniosłości i nie wszystkie wywoływały jednakowe poetyczne natchnienie. Głównymi i najsilniejszymi są: duch religijny i obywatelskie poczucie miłości dla kraju, a i te w pojęciu Kochowskiego identyfikują się prawie zupełnie i zlewają w jedno. Dzieje się zaś to niezrozumiałą może już dla nas dzisiaj logiką XVII-go wieku, twierdzącą, że obrona chrześcijaństwa i obrona kraju — to jedno, że jeżeli pierwsze uzyska potęgę, i drugi ma gwarancję pewnego bytu.

Będąc człowiekiem głębokiej wiary, podobnie jak Samuel Twardowski i Wacław Potocki, uważał wszystkie spadające wówczas na Polskę nieszczęścia, za karę boską. Z głębokiem wypowiedział to przekonaniem:

»A wiecież temu co przyczynę daje?
Odmieniliśmy dawne obyczaje

¹⁾ Pierwszy wiersz liryczny Kochowskiego jest żalem nad śmiercią Władysława IV-go.

I z wiarą świętą starożytną
Szczyrość, prawdę, odwagę, w męstwie siłę bitną.
A jako, kłedy na zgnilej przyciesi
Wielkich budynków cieżar kto zawiesi,
Niedługo stoi — tak korony

Walą się, gdzie fundament wiary poruszony.

Obywatelskie jego poczucie cierpiało nad tem, co
widział i przeżywał. A widział wiele, nic bowiem nie
było dla niego obojętne.

»Uniesiony miłością pospolitego dobra — mówi
Rzązewski — obserwuje on każdy fakt, jaki się w życiu
publicznem objawia i, stosownie do natury jego, albo się
nim cieszy, wnosząc pean w niebiosy, albo słowami skargi,
żalu i nagany nawołuje na drogę właściwą. Każda
bitwa, każda wygrana lub klęska narodu — sejm, elekcja,
śmierć królewska, nie przechodzą niepostrzeżenie przez
niego, ale każde z nich daje mu powód do zwrócenia
uwagi narodu na to, co uwagi godne. Atoli znowu
sposób zapatrywania się Kochowskiego na sprawy pu-
bliczne nacechowany jest wszystkimi wadami, jakimi
się odznaczał wiek, w którym żył poeta, i stan, do któ-
rego należał. Z identyfikacji u niego uczucia miłości ku
Bogu z miłością dla kraju powstało chorobliwe pojęcie
o przodownictwie jednego narodu, pojęcie na tak obszerny
zakres rozszerzone dopiero w poezji naszej XIX-go wieku.
W lirykach Kochowskiego jest ono ledwie w zawiązku,
ale w całej jasności wychodzi już w »Psalmodji«. Ze
zbytnej także gorliwości religijnej, z owego zelantyzmu
jezuickiego wynika druga Kochowskiego wada — brak
zupełny tolerancji religijnej. Do wad, wy-
nikających z zasklepienia się w stanie szlacheckim, do
którego poeta należał, zaliczyć trzeba uczucia takie jak
nienawiść do kozaków, nie jako do nieprzyjaciół kraju,
ale jako do chłopów, rzucających się na panów:

»Raz bywa znośniejszy
Z ręki potężniejszej,

Lecz ten nierównie nad człkiem się sroży,
Gdy chłop do karku panu miecz przyłoży.«
Nie brak jednak było Kochowskiemu i zalet.

»Jednym z głównych przywilejów, jakimi się stan
szlachecki w dawnej Rzeczypospolitej cieszył — objaśnia
Rzązewski — była złota wolność, której apologii
pełna jest literatura XVII-go wieku. Kochowski cenił
także ten klejnot swojego stanu, bo wszak zań pod Mąt-
wami orężnie stawał, ale rozsądnem okiem widział za-
razem całe niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć z nie-
właściwego jego użycia:

»Miłać mi wolność (mówi), bom się też w niej rodził,
Nią się zdobę i szczycę,
Jednak jej zażyć życzę,
Żebym nią własnej ojczyźnie nie szkodził.

Niema szacunku równego głos wolny,

Kocham się też w swobodzie
Publicznej nie ku szkodzie,
Zbytnej wolności nie chcę i swawolny.
Twej miłośniku, Sarmato, ojczyzny
Z tym się obchodź klejnotem
Tak teraz, jak i potem,

Byś nie uczynił z lekarstwa trucizny.

Dlatego, oburzony zerwaniem sejmu przez pojedyn-
czego posła, rzuca poeta strasznem przekleństwem na
nadużywających dobra publicznego:

»Bodaj źle zginął, bodaj zabił marnie,
Kto dla prywaty swej sejmy rozrywa,
Niech głowa jego przepada bezkarnie,
Niech wymazany z ksiąg żywota bywa.
Żywli też, niech go nieszczęście ogarnie,
A sztuki chleba niechaj mu ubywa,
Niż matka, zginie niechaj zły syn pierwu,
Zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu.

Chcąc jeszcze włożyć słowom swym nadać znaczenia, używa Kochowski czasem szyderstwa, ale widać, że to sprawia poecie przykrość.

Punktem wyjścia dla satyry Kochowskiego — mówi Rzążewski — jak wogóle dla wszystkich satyryków, jest idealne pojęcie o świecie lepszym, świecie, który, niestety, znikł już z przeszłości, a stąd wynika, że formą, w jakiej się satyra jego objawiać lubi, jest kontrast — zestawianie dwu stron przeciwnych, gdzie jedna i druga dla tem lepszego dopięcia celu oblewa się jasnym światłem słowa, nie wstydząc się nawet przesady. Oto jak np. zestawia Kochowski obraz dawniejszego i z jego czasów żołnierza:

... »Bo oni doświadczeni męże
Potrzebne brali na wojnę oręża:
Paź hartowny, z straszną szyszak kątą,
Mocne karwasze,¹⁾ zbroję nieprzebitą.
Szabla u boku, koncerz mu pod nogą
I ta mu zbrojna husarską ostrogą,
Tygrys na grzbiecie przykrywa go srogą,
Pod samym hasze wałach wlatronogi.
Na nim nie droga ode złota gaza,
Lecz od rzemienia tylko a żelaza.
Na panu serdak z prostej tkany wełny,
Suchar a woda bankiet mu zupełny.
W ciągnięciu się nań nie poskarży chłopek,
Na podwodę mu nie wzięto świerzopek,
W stacyi sierot nędznych nie ciemieży,
Na sumnieniu mu ludzki płacz nie cięży.
Za wami za się skwlerk ubogich bieży,
Pełniście zdzierstwa, pełniście grabieży,
W taborach krowy są i jałowice
Pono bez kaszy mlecznej dla tesknice.

¹⁾ Karwasz (węg.) = naramiennik żelazny.

Bo pociście wy do obozu przyśli,
Snać dla bankietów, biesiad, dobrej myśli.
Poranek gnuśny a wieczór pijany,
Także to kozak będzie zwojowany?

Szańców nie syją, nie ćwiczą plechoty,
W pole na monstrę nie wynijdą rotę.
To kunszt harcować pod wieczór wesół
I Chmielnickiego wojować za stół.
Ospale straże, rzadko kłedy rady,
Lecz i te raptem, bo długie biesiady.
Wszystek czas wezmą gorące pasztety
I genuńskie od Kanarów wety.

Potym w okropne jak naleją czary,
Mocnych cekubów — pstryknę na Tatary,
Lub tej od włna śmiałości nawyknę,
I że kozaków kańczukami wytnię.
Jeśli też w pole wsieść na koń przychodź,
Aż junakowi głowa młynem chodzi;
Niżli do zbroje, lepszy on do czaszy,
Przypląć bez mistrza nie umie karwaszy,
Munштukiem nie śmie konia zewrzeć tęgim,
Nie umie darsko²⁾ podpiąć go popręgim,
W szeregu, w którym nie bywał jak żywo,
Jeno się błąka, szyszak wdziawszy krzywo«...

Satyra także gromi Kochowski stroje i bielidła białogłowskie, nieporównany zbytek bankietów polskich, marnotrawstwo młodzieży polskiej, a w przeciwstawieniu do tego lubi stawiać złote umiarkowanie i skromny dostatek. Satyra poety jednak w tym kierunku jest łagodniejsza. Sprawy, dotyczące wojska, boją go najwięcej, upadkowi wojskowości przypisuje klęski i dlatego wtedy jest w nastroju poważny.

²⁾ darsko = dziarsko.

Natomiast gdy dotyka innych przywar narodu, mniej w nim zgrozy i oburzenia, więcej wesołości i swobody.

Taki jest charakter liryki publicznej Kochowskiego. Liryka jego prywatna, płynąca z uczuć osobistych, z jego stosunków rodzinnych, domowych i przyjacielskich niewiele różni się zasadniczym nastrojem od poprzedniej. Jest również nawskróś religijna i niemal po zakonnemu pobożna. »W chorobie swojej lub domowników swoich — mówi Rzążewski — w uciskach, niepowodzeniach i strapieniach codziennych poeta udaje się do Boga raz z prośbą i modlitwą pełną wiary, to znów z dziękczynieniem psalmisty. Uważa nawet swój talent poetycki za »zrządzenie i bezpośredni dar nieba«. W dedykacji II-iej księgi Liryk Matce Najświętszej tak się odzywa:

»Bo któż był większym nade mnie nieukiem?

Pisma me jednak ozwały się drukiem,

I dziś stoją

Łaską twoją,

Chcąc i więcej

Wynieść pręcej

Na widok publiczny.

Tyś dała słowa, o Matko! lichocie,

Przez cię i pióro w piśmiennej robocie,

Więc twe dary

Krom ofiary,

Sercem chutnie

Ton mej lutnie

Wielki ustawiczny...«

Ten religijny nastrój i zakonna prawdziwie pobożność pozwoliły poecie mistrzowsko przełożyć siedm psalmów pokutnych, które pięknnością i namaszczeniem równać się mogą z przekładami Jana Kochanowskiego.

Dalej idąc w tym kierunku, wyrzeka Kochowski na znikomość światła i zrozpaczony woła:

»Zgubiony mój świat, żywot oplakany,

Którym dotąd wiódł człek zdesperowany,

Łzy one, z Dawidem płacząc, własne piję,

Że, im na świecie tym mizernym żyję

Dłużej, tym większa zdejmuję mnie trwoga,

I że obrażam bez poprawy Boga...«

»Ale — dodaje Rzążewski — okoliczności zewnętrzne, a głównie praktyczny zakres działania, jaki otaczał wtedy szlachcica polskiego, nie dozwoliły Kochowskiemu wpaść w fałszywy ascetyzm i rozmodlonemu ulecieć na seraficznych skrzydłach od obowiązków czysto ludzkiej natury. Przedstawiając jedną stronę utworów swoich religijny charakter w narodzie, jaki w nim wyrobiły wypadki, drugą odpowiadał uczuciom, jakie w nim budziła wspólna ludzom krewkość. Jednem z takich uczuć, zasługujących na uwzględnienie, jest zaznaczona w lirykach Kochowskiego miłość kobiety.«

Poeta wyznaje, że:

»Niemasz w Kanarach tak wiele słodczy,

Ani tak wiele Hymet pszczoł naliczy,

W Syblejskich ulach nie masz tej słodkości

I tego smaku, jako jest w miłości.«

I zaraz wyjaśnia praktyczne jej znaczenie:

»Jak pod Olympu świat jest firmamentem,

Tak ludziom miłość piętym elementem,

Ta w pracach folgą, ta żywot ten słodzi,

Ona świat trzyma, ona ludzi rodzi.«

Drugą, świeckiej także natury nutą w prywatnej Kochowskiego liryce jest towarzyskość, gościnność i wrodzone naszemu narodowi swoboda i humor przy pełnym puharze.

»Dziwić się zaiste nierzadko należy — zauważa Rzążewski — jak dobrane towarzystwo, muzyka i kuflik wywo-

ływać umiały wesołość, wrodzoną słowiańskiemu narodowi. I Kochowski, z natury poważny, kontemplacyjny, nawołujący do porządku, zupełnie się zmienia pod wpływem tych czynników, a lekkość, swoboda, dowcip wesoły i żywy lecą na zawołanie i ten, który powstawał na wady narodowe, przodując zabawie, sam niejako usprawiedliwia je w takich chwilach i zaleca.

Ze strun lutni Kochowskiego zrywa się wówczas pieśń anakreontyczna, zręczna i udatna, tchnąca renesansem poczuciem pełni życia jak u Kochanowskiego.

Oprócz tego spotykamy u Kochowskiego w lirykach pochwałę stanu ziemiańskiego, szlacheckiej skromnej mierności i życia wlejskiego.

Z jego usposobienia ziemiańskiego wynika także zamiłowanie do fraszki, tego ulubionego w szlacheckiej naszej literaturze rodzaju.

W dziedzinie tej nie jest Kochowski twórcą oryginalnym, ale, jak większość jego poprzedników i następców, naśladowcą i przerabiaczem mniej lub więcej zgrabnym obcych epigramacistów. Sam się do tego przyznaje w wierszu p. t. »Czytelnik autorowi«:

»Pracowity mój autorze,
Przedajesz mi kota w worze,
Różnych pszczoł w jeden ul roje
Zegnawszy, zwiesz wiersze swoje.
A ja widzę tu Oweny¹⁾
Jest i skromnej Inez²⁾ weny,
Marcyllis rzymski stary,
Słodkomowny Sannazary.³⁾

¹⁾ Jan Owen (Ovenus) poeta angielski końca XVI-go i początków XVII-go wieku, jeden ze znakomitszych epigramacistów. Zmarł 1622 r.

²⁾ Wojciech Inez, jezuita, ur. 1620 r. w Małopolsce, autor epigramatów łacińsko-polskich, wydanych w Gdańsku w r. 1657-tym.

³⁾ Sannazaro Jacopo ur. w Neapolu 1438-go r., zm. 1501. Autor sielanek, sonetów i epigramatów.

Gdy uważam wszystko czule,
Znam tu Plauty i Tybulle,
Innych, co się jeno liczy,
Z nich tu widzę twe zdobyczy.
Włęc, autorze, karz cię ową
Wroną Horacyuszową;
Jak swe wezmą ptacy pióra
To twa będzie goła skóra.

Wbrew temu skóra Kochowskiego nie pozostała »gołą«, dosyć w niej bowiem tkwiło »piór własnych«.

Kochowski — stwierdza Rzążewski — zachował we fraszkach swoich, pomimo wzorów, na których się opierał, dużo oryginalności. Fraszki jego nie są upstrzone makaronizmem, nie manierowane podług zgóry przyjętych zasad, ale tak naturalne, jak naturalną była wesołość i humor. Naturalność zaś ta Kochowskiego, chociaż skrepowana zbyt wielkiem podobieństwem do obcych poetów, robi go już oryginalnym i narodowym, trafiał bowiem fraszkami swojemi w smak współczesny, w gusta i upodobanie narodu. Sporo tu także, oprócz dowcipu, zdrowych poglądów na sprawy publiczne świadczących, że zacny obywatel górował w Kochowskim nawet wówczas, gdy gwałtownie brał pióro do ręki.

Nie były to jednak chwile częste. W Istocie, jak już mówiliśmy, w Kochowskim górował duch obywatelski, zajmowały go sprawy ojczyzny, której uleczenia szczerze pragnął. Z dobrą wolą też i w przekonaniu, iż spełnia swój obowiązek, brał udział w rokoszu Lubomirskiego. Świadczy o tem fakt, że po skończeniu wojny domowej, po zawartej w Łęgowicach umowie, nie dał jeszcze za wygraną, ale »Kamień świadectwa« napisał.

Utwór ten — mówi Rzążewski — napisany był z intencją przedstawienia się, jako poemat opisowy, ale tej zalety nie posiada wcale. Silna namiętność nie pozwala autorowi ani na chwilę wziąć rozbrat z pełną uniesienia

liryką i dlatego wartość poetyczna tego utworu jest wyższa aniżeli innych poezji Kochowskiego, a jest to wynikiem zapалу, a stąd prawdziwego nierzad natchnienia. I dalej:

»Dziwna rzecz, jak Kochowski, kładąc w usta Kallimacha i wogóle przeciwnych Polsce nagany jej rządu, obyczajów i ustawy, rozumie dokładnie ich strony ujemne, ich niedokładności i wady oraz skutki zgubne, jakie z nich wynikać mogą. W miejscach takich jest malowniczym, prawdziwie natchnionym poetą, ale zarazem jakże uprzedzonym się okazuje, nie przyjmując tych słów, pełnych prawdy, wymowy i natchnienia za przekonania, za wyznanie polityczne swoje. Któż dziś nie uzna całej prawdy w słowach, włożonych przez Kochowskiego w usta Richellieu'mu (Ryszeliemu):

»Ale ta wolność, szkapą wykielznany,

Bieży na przepaść i zguby swej szuka«...

a jednak za tę »wolność« stanął Kochowski do boju mieczem i piórem, za wolność, którą sam pseudo jej obrońca, Lubomirski, »proszkiem na womity« nazywał.

Cóż go do tego skłoniło?

»Gdybyśmy — wyjaśnia Rzązewski — nie mieli żadnych historycznych danych na poparcie zapatrywania się naszego na sprawę Lubomirskiego, to już sam poemat Kochowskiego byłby wyraźną dla nas wskazówką, jasno bowiem z niego widać, że opozycja przeciw zarysowującemu się wówczas wyraźnie wpływowi Francji jest głównym całego faktu motywem.

Istotnie ujawnia to w pełni taki np. ustęp z »Kamienia«

»Pleje ten kogut (Francja) przed północiem
[czuły,

I cudze śmieci wartuje i grzeble,

Pobudził Włochy, Hiszpany, Sykuły,

Europie wszystkiej myśląc o pogrzebie;

Słyszą go pięknej Adryi insuły,
Już też, Polsko ma, kusi i ciebie:
Mało na jednym francuskich państw tronie,
Gorący, chłodnym myśl o Tryjonie.

.....
Jako klócił królestwa Europy
Pomnieć możemy, wszak to świeże dzieje:
Francuskim złotem zaciągł i tropy
Werbuje Gustaw i stroi turnieje;
Przez nich i Turczyn dobre wstawił stopy
W państw chrześcijańskich granice i knieje.

Kochowski obeznany dokładnie z dziejami współczesnymi, widzi i rozumie emulację ówczesną pomiędzy Francją a Austrią:

»Bo kiedy Bóg chciał rakuską lilią
Przywieść do takiej wyniosłej fortuny,
Gdy im Hiszpany i Luzytanią
I portugalskie w ręce dał zagony,
Kastelle, Belgii, Węgry, Boemią,
Nadto cesarski gdy tron posiedziony,
Boli to Franków i gryzą się wiecznie,
Nie chcąc przed sobą mieć Niemców koniecznie.«

Francja zaś — dodaje Rzązewski — przez swe z Turcją układy, przez sprzyjanie i pomoc, udzielaną protestantom w 30-letniej wojnie, nie mogła mieć dobrej noty u pisarza tak katolickich przekonań, jakim był Kochowski. On marzył zawsze o jednej owczarni pod jednym pastercem, koniecznie wleć ganić i potępiać musiał wszystko, co od urzeczywistnienia tej przyszłości odwodziło, nienawidzić tych, którzy przeszkody tej idei stawiali — i to wszystko w sprawie Lubomirskiego jest dla niego rzeczą ważniejszą aniżeli zagrożenie złotej wolności. Z tych przyczyn w poemacie swoim każe Kochowski Richellieu'mu i Mazarini'emu w głębiach czarnego Kocytu wyszukiwać doradców i sprzy-

mierzeńców i wszystkie czynności polityki francuskiej przedstawia jako uknute na radzie piekielnej.

»Kamień świadectwa« (bez miejsca druku) wydany był bezmiennie, ale tajemniczość ta była więcej dla formy, bowiem współcześni wiedzieli dobrze, kto jest jego autorem.

Zgoła inne myśli i uczucia towarzyszyły poecie przy pisanu »Pieśni Wiednia wybawionego«.

Fakt wielkiego znaczenia historycznego natchnął mu ten utwór.

»Jako onę Memnonową statwę wschodzącego słońca promienie vocalem czyniły, tak i mnie — mówi autor w słowie »Do czytelnika« — na wszystkich świat sławna Jego Królewskiej Mości, Pana naszego wiktoria wiedeńska, porzucony Enthusiasmum poetarum wskrzeszwszy, fecit verba conari; aby numeris patriis chwalebne zwycięstwa sława między narodem naszym rozchodziła się«.

Był to pierwszy w literaturze naszej poemat, opiewający wyprawę wiedeńską, a fakt, historycznie wielki mógł istotnie porwać poetę. Nie starczyło mu jednak tchu na epos prawdziwy.

»Pieśń Wiednia wybawionego« — stwierdza prof. Pilat — ma wszystkie niedostatki, wspólne współczesnym poematom epicznym Twardowskiego, Potockiego i samego Kochowskiego, mianowicie pomieszanie poezji z historją, opisywanie faktów rzeczywistych, bez jakiegokolwiek uzupełnienia ich fikcją poetycką i brak kompozycji poetyckiej. Na ogólnem tle historycznem nie ma żadnej fabuły, żadnych bardziej wyrazistych osobistości, któreby odgrywały rolę bohaterów. Poemat robi podobne wrażenie jak obraz, na którymby na pierwszym i drugim planie nie było żadnych figur lub przedmiotów prócz samego podmalowania. Jeżeli zaś mimo to nie jest tak nudnym i rozwlekłym jak poematy Twardowskiego pochodzi to stąd, że Kochowski, z powodu trudności tech-

nicznych wiersza (ośmiowerszowej stancy), jako też z pośpiechu opuścił wiele szczegółów historycznych.

W obrobieniu treści trzymał się Kochowski zarówno wzorów epopei klasycznej, jak i Tassa (»Jerozolima wyzwolona«). Wpływ Tassa widać tu nie tylko w użyciu oktawy, ale w obrazowaniu i w inwokacjach do Matki Boskiej.

Do głównych zalet poematu należy podniosły nastrój patriotyczno-religijny. Kochowski uważa zwycięstwo nad Turkami nie tylko za »walne«, wielkopomne dzieło Polaków, którzy sami dźwigają upadłe chrześcijaństwo i są »fatalnym biczem na grzbiet pogaństwa«, ale zarazem za dobrodziejstwo Boga, deptającego stopami swemi »głowy pysznych«, aby pokazać, że ludzka siła jest »plewą« przeciw Jego Wszechmocności.

Mniej surowym w ocenie »Pieśni Wiednia wyswobodzonego« jest Rzążewski, ale i on uważa, że jedyną epicznej natury zaletą tego poematu są dające się dość często spotkać porównania, prostotą swoją i wybieraniem najbliższych oczu ludzkich przedmiotów przypominające Homera. Np. o wojsku polskiem:

»Jako więc owe młodorodne pszczoły
W lipcowe ciepła, gdy, za matką swoją
Z ulów wybiegłszy, czynią szum wesóły,
Albo krzewistych po drzewach się roją —
Tak tu rycerstwo przez góry, przez doły,
Za królem bieżą, ciężką kryte zbroją,
I konie nawet nad rozum zwierzęcy
Za przodkującym siłą się co pręcą«.

Albo o Turkach:

»A jako owo pod jesień więc bywa,
Kiedy wilk z chróstu, w różne patrząc strony
Spadnie pod stado i owcę porывa,
By nią nasycił żołądek zgłodzony;

Ale, postrzegłszy, zgraja psów pierzchliwa
Odbija mu plon, w zębach już ściśniony,
A on się kręcąc naodwrot z impetem
Zrze się, kradzieży że przypłaca grzbletem.

Patrytyczno-religijny ton, który w tym poemacie Kochowskiego rozbrzmiewa, stoi w bliskiej łączności zarówno z jego osobistym nastrojem, jak i z powszechnym uczuciem ówczesnego społeczeństwa polskiego, które pod wpływem wychowania jezuickiego oddalało się coraz bardziej od istoty religji, a coraz silniej przywiązywało się do form zewnętrznych.

To właśnie przywiązanie, jednak niepozbawione czystego i pięknego uczucia, znalazło swój pełny wyraz w trzech utworach Kochowskiego: w »Ogrodzie panieńskim«, »Różańcu« i »Chrystusie cierpiącym«.

Zaczniemy od »Ogrodu«.

»Szlacheckie ogrody — tłumaczy Rzązewski — czyli, jak je zwano podówczas działy (z włoskiego giardino), odznaczały się symetrią i regularnością. Ulice, ocienione poważnymi starych lip szpalerami albo obsadzone strzyżonym bukszpanem i ligustrem, dzieliły się na wiele równych sobie kwater, na których już gospodarskie ogrodowizny, już lekarskie zioła i kwiaty rosły, już to rozsiadały się na nich podle pokrzywy i chwasty. Z takiego ogrodu wziął Kochowski wzór dla swojego poematu. Pomysł rzeczywiście dość oryginalny i oryginalnie też odbywa się cała jego ekspozycja. Naprzód poeta — jeżeli poetą tu jeszcze Kochowskiego nazwać można — waha się, czy do ogrodu tego wkroczyć:

»Luboć wiem dostatecznie z pism świętych dowodu,
Że sam Wszechmocny zamknął drzwi tego ogrodu,
I, żeby wdzięczny działy w ochronie był miany,
On łask nadprzyrodzonych ogrodził parkany.
Atoli ja w nadzieje dobroci tej Matki,
Ośmielę się tam wchodzić, jak mówią, w ukradki,
Jej liczący tytuły«...

Jakiż jest ten ogród? Oto dzieli się on na 16 kwater (rozdziałów), w każdej kwaterze jest umieszczonych 100 rozmaitych tytułów Matki Boskiej, które poeta specyfikuje sumiennie i pilnie, niby botanik roślinny. We wszystkich kwaterach tytułów jest 1600, a są one zebrane z Pisma Św., Ojców Kościoła, słynnych kaznodziel, teologów i ascetów. Tytuły te, przydomki, apozycje, dodawane przez autorów do imienia Marii w jednym ciągu, w hymnie lub modlitwie, miały jako porównania, jako przenośnie, nieraz i wysoką poetyczną wartość, tymczasem tu, postawione samotnie, dziwne i bez sensu się wydają. Tytuł taki wraz z cytata, wskazującą skąd jest wzięty, wydrukowany u góry, a pod nim umieszczony dwuwiersz polski samego Kochowskiego roboty ma tłumaczyć, co tytuł ten znaczy. Np.

Mons sanctus
(Św. Bernard)

»Nie przystępuj, kacerzu, do tej góry świętej,
Ogнём gore, coć język upali przeklęty«.

Kończąc każdą kwaterę, orzeka poeta, że niepodobniestwem jest wyliczyć wszystkie Matki Boskiej chwały:

»Pszczołki, Hyble dziedziczkł, wy wiedzieć możecie
Mnóstwo kwiecia, z którego słodyczy bierzecie.
Z trudnością jednak jego policzyć rodzaje,
Różność ziół, farby kwiatków i listeczków zgraje.
Lecz chwały Matki Boskiej większa trudność zgoła
Zliczyć, niż wszystkie kwiatki, i listki, i zioła« —
a jednak liczy dalej gorliwie.

W całym tym utworze podziwiać jedynie można ogromną znajomość ksiąg świętych i pilność w wyszukiwaniu pojedynczych wyrażeń.

Wyżej nieco pod względem stosunku do poezji stoi »Różanlec«.

Autor dzieli go na trzy części: wesołą, bolesną i chwalebnią. Każda z tych części zawiera pięć tajemnic, więc wesoła: 1) Zwiastowanie N.M.P. 2) Nawiedzenie św. Elżbiety, 3) Narodzenie Chrystusa, 4) Ofiarowanie Chrystusa i 5) Znalezienie Chrystusa w kościele; bolesna: 1) Modlitwę w Ogrójcu, 2) Biczowanie, 3) Koronowanie cierniem, 4) Niesienie krzyża na Kalwarię i 5) Przybicie na krzyżu; chwalebna: 1) Zmartwychwstanie, 2) Wniebowstąpienie, 3) Zesłanie Ducha Św. 4) Wniebowzięcie N.M.P. i 5) Koronowanie N.M.P.

Jest to podział, jaki się do dnia dzisiejszego utrzymuje we wszystkich różańcach i u Kochowskiego, tak samo jak dzisiaj, po każdej strofie idzie Zdrowaś Maryja, a po skończonej tajemnicy — Ojcze Nasz.

O religijnej wzniosłości »Różańca« niema mowy. »Ale — słusznie zauważa Rzążewski — niemasz tu także prostoty i jasności, jakie mogłyby utwór ten uczynić piękną pobożną i utrzymać go w ustach tak rozpowszechnionych w Polsce bractw różańcowych. Rym często kaleki i wynurzająca się od czasu do czasu erudycja autora nie pozwoliły zrobić z »Różańca« i tego użytku. Po części jego, również jak i wykonanie mogło służyć tylko do osobistych poety celów, jak się on sam w Votum, umieszczonem na końcu, wyraża:

»Przyjmij ten młaki koncept, liche elogija,
Tobie ofiarowane, o słodka Maryja!
W nagrodę pracy zebrzę Matki łaski pełnej
Przy śmierci iskrę skruchy uprosz mi rzetelnej«.

Przy »Różańcu« wydrukowane są hymny św. Bonawentury i św. Bernarda, pozdrawiające z kolei wszystkie członki Chrystusowego ciała, a szczegółowością swoją odpowiadające pobożności XVII-go wieku.

Trzeci utwór religijny Kochowskiego nie jest już pobożną modlitwą osobistą, ale poematem.

Autor, jak wielu innych poetów XVII-go wieku, usiłował w poetyczną ująć szatę opowiadanie męki Chrystusa.

»Trudne to — mówi Rzążewski — i dla największego artysty niebezpieczne zadanie występować do współzawodnictwa z prostemi, a tak wymownemi głosami ewangelji. Największych mistrzów nie wystarczało tu pióro«.

Poemat Kochowskiego obejmuje opis męki Chrystusa Pana, poczynając od modlitwy w Ogrójcu aż do śmierci na krzyżu. Dzieli się na punktów czyli rozdziałów 15, a każdy punkt ma mniej więcej 250 pięciozłoskowych wierszy, do czego dodawszy wstęp i zakończenie, wypadnie około 5000 wierszy.

»Autor cały odgrywający się w tym poemacie dramat uważa, jakby się on w Polsce odbywał. Sądy Annasza, Kalfasza, Piłata i Heroda, ich procedurę, wyroki, nazywa terminami sądownictwa polskiego, a cała, otaczająca Chrystusa zgraja żydostwa widocznie jakby rysowana była pod wrażeniem obrazów, zbieranych przez szlachcica-poetę na jeleńskich i kleparskich jarmarkach« — mówi Rzążewski.

»Sam Chrystus — dodaje — nie różni się niczem od niewinnie napadniętego przez podłą hałastrę szlachcica, pokora tylko i ustawiczne milczenie nie pozwalają mu wykazać całego zapasu animuszu i hartu serpentyny spróbować na łbach żydowskich. Co chwila autor utyskuje nad okropnością męki Chrystusowej i, dla wywołania tem większego kontrastu, porównywa ją do wygod ziemskich rozkoszników. Opowiadając np. jak Chrystus po posłuchaniu u Kalfasza wrzucony był do cuchnącej piwnicy, zwraca się do ludzi:

»O delikacie!
Za cię to, za cię
W tych Jezus szrankach;

A ciebie nęci
Plernat łabęd
W złotych firankach.

Dla twojej dumy
Takie perfumy
Znosić oblera;
Twój przy zybetach¹⁾
W miękkich się betach
Ścierw rozpościera.

Trywjalność przechodzi w końcu w grubą nieprzy-
zwoitość. Można wprawdzie spotkać tu i wyrażenia do-
syć poetyczne, ale wszystko to już zgoła nieszczęśliwie
użyte. Np. porównując ciągle odsyłanie Chrystusa
od jednego do drugiego sędziego, Kochowski wyraża się:

»Jak piłka leci,
Kiedy ją dzieci
Tam-sam rzucają,
Tak oni sobie
Po nocnej dobie
Pana podają.

Do nieumiejętności odwzorowania czasu i miejsco-
wych warunków przyłącza się jeszcze drugi nonsens —
erudycja, zaczerpnięta z historii i mitologii starożytnej.
Poeta porównywa więc męki Chrystusa do cierpień Mu-
cjusza Scevoli, w zapale zaś, na ratunek jego z rąk ży-
dowskich, wzywa rot Aleksandra Macedońskiego i zapy-
tuje:

»Czy stary w Lemnie
Wulkan daremnie
Teraz pauzuje,

¹⁾ Zybet — wonność, podobnie jak piżmo, pochodzenia
zwierzęcego, od zwierzątka zwanego zybet lub zybaczek.

A wraz z Cyklopy
Sweml Steropy
Gromów nie kuje?«

Męki same odmalowane są bardzo wyraziście, bar-
dzo jaskrawo nawet, ale ubrane w tak trywjalną szatę,
tak dotykalnie szkaradne, że niesmak i estetyczną odrazę
wzbudzają. »A przecież — kończy Rzążewski — Kochow-
ski, hołdując pojęciom wieku i idąc za religijną potrzebą
swojego ducha, tworzył Chrystusa cierpiącego. Smutny
to zaiste dowód upadku smaku estetycznego i zasad reli-
gijnych tych czasów.

A jednak ani wiek ten, ani Kochowski, jako jego
przedstawiciel, nie zasługują na potępienie i jeden bo-
wlem i drugi znajdują obronę w najmniej przez długie
lata znanym a pod względem swojej wartości religijno-
patriotycznej i estetycznej niewątpliwie najwyżej w do-
robku naszego poety stojącym utworze p. t. »Trybut na-
leżyty wdzięczności wszystkiego dobrego Dawcy, Panu
i Bogu albo Psalmodyja Polska za dobrodziejstwa Boskie
dziękująca« (Częstochowa 1695).

Los chciał, że ten właśnie utwór Kochowskiego długo
stał na uboczu.

»Niepodobna sobie wytłumaczyć — woła nie bez
głębokiego zdziwienia Lucjan Słemieński (»Dzieła«, tom
III-ci) — jak ludzie, przewracający tysiące tomów biblio-
tek, nie napadli na Psalmodyję, która przecież nie mo-
gła mieć tego warunku rzadkości, co pisma akatolików,
niszczone przez władzę duchowną? Najpewniej, że gdy
im w rękę wpadła szpetnie drukowana księżczyzna, bez
nazwiska autora, mieszcząca psalmy jakiegoś znanego
przekładu, pominieli ją i wrzucili do stosu panegryków
i ksiąg nabożnych. Inaczej nie można sobie wytłuma-
czyć, dlaczego jeden z najgłębszych utworów

literatury XVII-go wieku leżał tak długo w zapomnieniu.

Istotnie, trudno zrozumieć, dlaczego książka, wydana w roku 1695-tym, musiała czekać na przedruk aż do roku 1859-go, t. j. do chwili, kiedy ją Kazimierz Józef Turowski wydał ponownie w swojej »Bibliotece polskiej«.

Od tego dopiero czasu Wespazjan Kochowski stanął w historii literatury w oświeceniu właściwym.

»Psalmody« napisał już pod koniec życia.

Zamknięty w ustroniu swojej cichej wioski — opowiada Rządowski — znękany ciężką chorobą, na którą sztuka lekarska podówczas środka nie miała, na lat kilka przed śmiercią wskrzesił on na pamiątkę dawnego psalmisty i wysłał do Boga hymn, zanotowany w imieniu swym i swego narodu. Jest to śpiew łabędzi poety, ostatnie pożegnanie tego, co kiedykolwiek czcił, kochał i wielbił.

»Psalmody« składa się z 36-ciu psalmów, opartych na początkowych myślach psalmów Dawidowych. Idea jak najściślejszej łączności poety z narodem dochodzi tu do swojego zenitu.

Kochowski umiał kochać i za to, co kochał, modlił się gorąco. W »Psalmody« złożył wszystkie swoje przekonania, wszystkie pragnienia i nadzieje, które odnosiły się do szczęścia narodu, stąd modlitwa jego jest modlitwą całego narodu.

Najważniejszą i najbardziej zastanawiającą rzeczą w tym utworze jest jego ideowe pokrewieństwo z wielką poezją romantyczną, zwłaszcza z mesjanizmem. Wystarczy powiedzieć, że główną, zasadniczą myślą »Psalmody«, osią, około której cała twórczość poety się obraca (Rządowski), jest przekonanie, że naród jego jest pominięty i zapomniany przez Opatrzność wybrany:

»Jam jest zwierchnością nad dziedzictwem moim (mówi Bóg), a jako serc ludzkich prostotę, tak i pól sarmackich równiny zdawna ukochałem.

»W oplece mojej jest wolność i ja sam tylko przez przewidzenie wiem, komu ją mam w za-władowanie poruczyć.

»Zrozumieście, królowie, że od Boga ten klejnot, a uczcie się, którzy siola swobodne stawiacie«...

Naród polski, według poety, to nowożytny Izrael:

»Jako silny wiatr płaski rozwlewa albo jak wosk od ognia topnieje, tak niechaj się wniwecz obróć przeciwnicy Izraela prawowiernego«.

Narodowi należy jednak wskazać jego posłannictwo, należy go wyprowadzić na prostą drogę przeznaczeń i dlatego poeta pisze swoją »Psalmody« w poczuciu, że

»Jest Bóg i w poetach,
Jest ogień z nieba dany ich duszy«...

Pierwszy w poezji polskiej, a kto wie czy nie pierwszy w poezji europejskiej stanął autor »Trybutu należytego« na tem stanowisku i z tego już tytułu należeć mu się będzie zawsze pilna uwaga.

Ale idźmy dalej i zobaczmy, jak daleko wyprzedza Kochowski swoją współczesność i jak zbliża się do czasów późniejszych, do wielkiej ewangelji sprawiedliwości, głoszonej przez Mickiewicza, a ujętej za skrzydła w filozoficznych konstrukcjach Augusta Cieszkowskiego.

Oto posłannictwem narodu polskiego — według Kochowskiego — nie są zabory i zdobycze, ale ciąży na nim wielka misja, dana mu przez Boga, rozszerzenia chrześcijaństwa i wyparcia z Europy głównego jej

wroga — wówczas Turczyna, później u Mickiewicza — Rosji.

Niewysłowną też radością napelnia poetę zwycięstwo pod Wiedniem, w którym widział triumf swojej idei. Poświęca temu wielkiemu faktowi dziejowemu kilka niepowszedniej piękności psalmów, a na tem, co się już stało, opiera swoją nadzieję i wiarę w przyszłość.

»Byłem w kolebce — mówi — dzieckiem, teraz starością pochylony chodzę; nie widziałem nigdy, aby sprawiedliwego Bóg opuścił, albo złośnik dobrze skończyć miał«.

Nic dziwnego, że, zetknąwszy się bliżej z »Psalmodją«, Siemleński zadał sobie przedewszystkiem pytanie, czy znali ją Brodziński i Mickiewicz?

»Nie mogę wiedzieć — odpowiada. — Tyle jednak jestem pewien, że i jeden i drugi byłiby ją ogłosili, lub skłonili kogo do ogłoszenia jej. Co do mnie — niemałe miałem zdziwienie, kiedy postrzegłem, iż w »Psalmodji« ta sama myśl rozwinięta była w pełni, którą, zdawało się, że najpierwej Brodziński, a po nim podniósł Mickiewicz. Dało mi to bardzo do myślenia. Zacząłem też porównywać rozprawkę o Narodowości i Poselstwo Brodzińskiego, niemniej Księgi pielgrzymstwa Mickiewicza z »Psalmodją«; szukałem, czy się nie spotkam z jakim obrazem, wyrażeniem, które, będąc w Kochowskim, pokazywałoby, że on dał pomysł i na ton biblijny nastroił późniejszych wieszczów, przedzielonych od niego wlecej niż setką lat. Z wielką pociechą nicem takiego nie znalazłem, co też mnie utwierdziło w przekonaniu, że Księgi Pisma Św. były źródłem żywego natchnienia dla jednego i dla drugich.

»Lecz i druga stanęła przed oczyma moimi prawda: że cierpienia i upadki, jakimi byliśmy dotknięci, przed-

stawiały się zupełnie w ten sposób jak kary, spuszczone na lud izraelski za odstępstwa i winy przeciw Jehowie. W nas samych tkwi siła i wola powrotu do łaski po dniach próby i pokuty«.

Potwierdziła to w całej rozciągłości wielka przemiana dziejowa, dokonana w czasach pokolenia współczesnego, oglądającego cud Zmartwychwstania Ojczyzny.

»Psalmodja« Kochowskiego obok niepospolitych zalet jakie posiada, ma jednak także pewne usterki i wady. Zwraca na nie uwagę Rządowski, zaliczając do najważniejszych: brak wykończenia artystycznego, symetrii i porządku. Poeta bez żadnego, zgóry określonego planu umieszcza obok siebie psalmy najróżnorodniejszej treści. »Przy wspaniałych hymnach historycznych są tam skargi na jego własne, prywatne cierpienia i dolegliwości, na chorobę jego i żony, nawet na nieporozumienia sąsiedzkie. W uniesieniu nieraz mu się wyrwie jakieś nie odpowiadające uroczystemu nastrojowi słowo zbyt pospolite, które jak zgrzyt żelaza po szkle miesza namaszczonej modlitwą, to znowu wprowadzenie czasem zbyt nowego pojęcia psuje urok poważnym archaizmem nacechowanego stylu. W treści niemiłe czasem rażą zbyt szlacheckie przekonania. Pomimo to wszystko »Psalmodja« pozostanie zawsze jednym z cenniejszych pomników nowej poezji«.

Rehabilituje ona nie tylko Wespazjana Kochowskiego, jako poetę, ale rehabilituje także całą, tak niedocenioną do niedawna poezję wieku XVII-go, ujawniając, jak głęboka tkwiła w niej idea narodowa i ile, obok plewy panegirycznej, było tam dobrego i szlachetnego ziarna nasiew. To bowiem, co wydobył Kochowski w »Psalmodji« z duszy własnej, nie mogło być wyłącznie tylko jego własnością. Podobne poczucie posłannictwa dziejowego

narodu polskiego, podobna wiara w zwycięstwo idei Chrystusowej, w prawdę i sprawiedliwość stanowiły dobroć wewnętrzną wszystkich wyższych i lepszych dusz współczesnych Kochowskiemu Polaków.

Inna rzecz, że nie te dusze prowadziły naród koleją dalszych jego losów.

Krótki wybór pism
WESPAZJANA Z KOCHOWA
KOCHOWSKIEGO.

Epigramata polskie, po naszymu
Fraszki.

Do niezgodnego z sąsiadą.
Sąsiadzie, między ptaki strzyżyk bywa,
Na kumethaus co orla wyzywa.
Jest między ryby sarpedo, co skrzele
Wielkie najeży na nieprzyjaciele.
I ty gdy swoje tak ciśniesz sąsiady,
Usłuchaj mojej a życzliwej rady:
Zawodzi często swojej siły buta,
Mucha ukąsi lwa, choć rezoluta.

Opisanie miłości.
Czyj to chłopiec? Wenery. Czem z sąjakiem chodził?
Bo z niego mniej ostrożnym często ludziom szkodził.
Czemu nago? Bo pieśczocho nie rad chodził w sukni.
Czemu dzieckiem? Bo młodzi idą za nim chutni.
Czem skrzydlato? Bo lotnym niestatek go czyni.
Czem bez czoła? Bo nie dba, choć kto o co wni
Czem ślepo? Oczu go rozkoszy zbawiły.
Czemu chudo? Zbytne go czucia wysuszyły.

Któż go bożkiem uczynił? Ludzie, ta przyczyna,
By szpetną miłość kryło bóstwo Kupłdyna.
Głupi i nierozumni ludzie, cóż czyniemy,
Wielki występpek, większym grzechem pokryć chcemy.

Na gańcę.

Wszystko ganisz, nic w żadnym nie pochwalisz domu,
Nikt ci się nie podoba, i ty też nikomu.

Zabójstwo.

Jeden człek zabić może tysiąc ręką srogą,
A urodzić jednego ledwie dwoje mogą.

Rozsądek Parysów.

Gdy Parys był obrany za sędziego trzema
Boginiom, któreby z nich przodkowała dwiema,
Nie ważyły bogactwa Junony nic, ani
Mądra Pallas; gładka je zwyciężyła pani.
Ta gdyby teraz przed sąd sprawa przychodziła,
Obieby te pieniężna Juno zwyciężyła.

Tak ma być.

Czemu łuskę z ryb skrobą? Mniemam temu pono,
Że gdyby pierze miały, toby je skubiono.

Na obraz M. Scewoli.

Pali rękę Scewola dla ojczyzny. A my
I w zimną wodę onej włożyć się wzdrygamy.
Nie cierpieć nic, czynić nic, własne polskie dziło,
Bodajże się o takim Polaku nie śniło.

Na toż.

To wizerunek prawego męstwa jest w Scewoli,
Iżę chybił Porseny, rękę spalić woll.
A my co? wraz w ogień rękę drugi, żeby
Tem kalectwem wojennej schronił się potrzeby.

Wielkie podobieństwo.

Zkąd kur chudszy niż kapłon? Bo kur co wygrzebie,
Tem swe karmi kokoszki, kapłon zaś sam siebie.
Tak mnich w bogomyślności w swym klasztornym cieniu
Zawarty, pewniejszy jest w swej dusze zbawieniu.
Żonaty koło siebie chodząc, dzieci, żony,
Mniej ma duszę na plecach, jako rozstrojony.

Dobry dzień do jednej.

Luboś już wstała, luboś jeszcze z mchowej
Pościółki lubej nie podniosła głowy,
Ja dawno nie śpię, mając to na myśli:
Maryjaneczce Bóg dobry dzień przysłał.

Niezwrotne rzeczy.

Już tym rzeczom nazad się trudno wrócić znowu:
Miłości i czasowi, panieństwu i słowu.

Żołnierz i doktor.

Pobitych nieprzyjaciół żołnierz z chluby liczy,
Doktor co ich pogubił, śledząc społem milczy.
Gospodarz rozśmiałwszy się, tem obu zagał:
Jeden się z fałszu chwali, drugi z prawdą tał.

Sekret.

Płgunki nie rozgryźnij, żony nie drażń bracie,
Z obojga niepochybna gorzkość pójdzie na cię.

Rezolucya siłę może.

Zjechał się Mazur z Niemcem w ciasnej bardzo drodze,
Wara z drogi, ofuknie Niemca Mazur srodze,
Ustępujże pludraku, bo poznasz potkanie,
I co wczora drugiemu, wnet się tobie stanie.
Spyta Niemiec zstąpiwszy, bo o sobie zwątpił,
Co takiego? Byś nie tchórz, jabym ci był zstąpił.

Juże teraz pan Hanus, niechaj będzie kwita;
Gotowy fryd, gdy trafi serdyt na serdyta.

D a r e m n a.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ślanę miotać
Próżna; tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

D e f e k t y.

Szpetne są te defekty, niechwalne przymioty,
Jak starość przez mądrości, tak młodość bez
[cnoty.

Roztropność bez uczynku, pycha bez intraty,
Intrata bez czci, państwo bez sług i bez szaty.
Szlachectwo bez rycerstwa, królestwo bez rządu,
Miasto bez praw, a prawo bez skutku i sądu.
Panna bez wstydu, żywot beze czci i zgody,
Przydam jedną, i to błąd, gdy bez winy gody.

O wolności polskiej.

Wieleć my mamy swobód w tej naszej koronie,
Cóż, gdy się nie staramy i mniej dbamy o nie.
Przeważają prywatnych pożytków chciwości,
Bardziej dbamy o włości, a niż o wolności;
Słobody niż swobody, głowę nam mozola,
Niż złotą wolność, bardziej samo złoto wola.

C z e m u t a k ?

Ktokolwiek te fraszki czytasz,
Autora się pono pytasz,
Czemu tę mam w wierszach wadę,
Że młędzy brant zużel kładę?
Więc kiedy to wiedzieć chcecie,
Jak owo bywa w pasztecie:
Wróbel, cietrzew, wilk, słonina,
Różna z różnych kniej zwierzyna.

Stoi Turek na Forgoczy,
Tamże i mierzyn roboczy,
Patrzaj w rzece, uznasz, iż
Gdzie lososle, są i ślize.
Jak swe hetman młęsza szyki,
Tak ja fraszki z heroiki,
Komu się to nie w smak stawł,
Ten na swolch niech poprawi.

Pieśni Wiednia wybawionego
szczęściem i męstwem niewzyciężonego monarchy
Jana III,
króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego etc.
Roku Pańskiego 1683.

Mężnego króla wiekopomne dziła,
Ojczystym rymem wspomni Klio chętna,
Które lub sława świata ogłosiła,
Jednak potomność niech będzie pamiętna,
Jako posoki bisurmańskiej siła
Z jego przywodu leje szabla skrzętna,
Kiedy przeszedłszy Odry i Dunaje,
Piorunem wojny poganom się staje.

Klio, nie ty, co w dwójwierzchym Parnasie
Pierwsza przodkujesz w dam dziewiętnym
[gronie,
A doświadczonych głów przy mądrej prasie
Otaczasz wleńcem wawrzynowym skronie,
Ale ty Pauno, któraś Boga w czasie
Zrodziwszy, siedzisz w gwiaździstej koronie,
Ty mi bądź Klią, ty mi w tym usiłku,
Dodaj słów Pauno, dodaj i posiłku.

Idźle tu o cześć, idźle i o wiarę
Syna twojego, nam drogie klejnoty,
Które, kiedyby Turczyn przebrał młarę
W swej nadętości, nie uszły sromoty;
Zniósłby w świątnicach bezkrewną ofiarę,
I katolickich obrzędów prostoty.
A na to miejsce tyran rozdrażniony
Wprowadziłby nam brzydkie zabobony.

Och nie dopuścisz, aby kiedy twoje
Dziedzictwo burzył naród ten wszeteczny;
Uprosił ducha zgody, a na boje
Serce odważne i umysł stateczny.
A uśmierzywszy wewnętrzne niepokoje,
Chrześcijańskiemu między pany wleczny
Skojarzysz zwłazek. Niechaj co się kłóca
Z sobą, te siły na Turki obróca.

Niechaj kometów ognie niełaskawe,
Nam szczęścia, Turkom zguby wrózką będą;
Sprzecznych planetów złączenie jaskrawe,
W trygonie Marsa przeciwno nim siędą,
Bicie piorunów, monstra, deszcze krwawe
Nad pogańską się niechaj siłą zrzędą,
Żeby nie rzekli: Gdzie ten Bóg? co z ręki
Naszej nam Gaurów ma wydrzeć przez dźwięki.

.....
Całe trzy lata gromadził zdaleka
Seraskier wojska i Szpahów gwardyje,
Kędy Damaszek, Ormuz, Dyarbeka,
Erzerum, Trypol i Karamanlje
Alep, Liwazum, w wojennego czleka,
Obfitujące zdawna prowincyje,
Anatolia, Romel, i z Kalrem,
Z wielkim do Węgler bierą się wezyrem.

Ile w Azyl znajduje się młodź,
Lubo na zajmach, lub dzierżą Tymarry,
Za emiramł co żywo wychodzi,
Przez skarbowe żółd wzięwszy Jewtedary;
Nakoniec szczodry datek ulagodził
Dotychczas wojny niechające janczary;
Wtąż i Sołaki ze swolm Kihają
W gęstych z Stambólu zastępach ruszają.

Liczy się szabel dwakroć sto tysięcy,
Okrom posiłków multańskich z Wołochy,
Pasza Sylistrów wyciąga czem prędzej,
I siedmigródzkich katanów motłochy;
W armacie dział jest nad czterysta więcej,
Granaty, bomby, kule, lonty, prochy,
Z czem wezyr tuszy, że pierwszym zamachem,
Samym Europę zawojuje strachem.

Gdy tak Ottoman w zapalczywej chuci
Zgubą chrześcian potrząsa i bryka,
Wtem też Leopold cesarz się ocuci,
Którego ta wprzód furja dotyka,
I wszedłszy w radę, do środków się rzuci,
Odeprzeć złemu, które się przymyka,
Jakoby orzeł swój imperyalny
Stos niebezpieczny wytrzymał i walny.

A wprzód ku Bogu obrócił gorący
Afekt, w nim wszystkie złożywszy nadzieje:
I takł to już Panie Wszechmogący,
Ostatnie Turczyn tronem rzymskim chwieje?
I lud prawego Boga wyznający
Od pogańskiego miecza krew wyleje?
I one Tobie kościoły święcone
Przez pogan brzydkich będą spustoszone?

Prawda, że godne tego nieprawości
Nasze karania, co widzimy na jawie,
Ale ty Ojciec wszelakiej litości
Obydź się z nami prosimy łaskawie,
Apellujemy do sprawiedliwości,
Ty osądź, które cierpimy bezprawie,
I wydaj dekret od wieków władomy!
Niech swe traci, kto na cudze łakomy.

.....
Naprzód na salwę odezwą się działa,
Grzotem i dymem powietrze miewając,
Którym jakoby echo podrzyżalała,
Odgłosem swoim ich dźwięk powtarzając;
A potem jazda lekka się spuszczała,
Na rękę Turków harcem wywabiając.
Tu kto kawaler, dając dowód cnoty,
Do tej się bierze na czoło roboty.

Już i piechota następuje mężnie,
Jako na taniec idąc w ogień żywy,
I z janczarami strzela się potężnie,
Których tu wezyr zmyka niecierpliw;
Lecz że szyk średni na winnicach więźnie,
Aż ku południu czyni bój wątpliwy;
Bo które trudnią nas winnic przymurki,
Te zasłaniały strzelające Turki.

Jak przy wesołej trafiła się biesiedzie,
Że wprzód przed wielkim mały taniec grają,
Tak tu ochotne pułki stojąc w przedzie,
Noga za nogą na dół się zmykają,
A choć z pierwszego razu im się wledzie,
Jednak zwyczajstwa bacznie docierają,
Dokąd aż król i w prawo i w lewo
Roześle skrzydła na obie randewo.

A kiedy słońce średnie przez tropiki
Niebieskie bieżąc, gorąca przysporzy,
Nasze tem śpieszniej następują szyki,
I popierają pogan nie najgorzej;
Wszędzie huk straszny, loskot i okrzyki,
A krew się leje co dalej to sporzej;
Bo choć z furją Turcy lecą srogą,
Impetu naszych wytrzymać nie mogą.

Husarz kopije jeno co swe złoży,
Niejeden na szpil zostaje wetchniony,
Co ich nie tylko zamiesza, lecz strwoży,
Sztých nieuchronny i nieodłożony,
Bo kogo trafi, tyrańsko się sroży,
Biorący czasem i po dwie persony;
A drudzy pierzchną tak skwapliwym tropem,
Jak muchy przykrym sobie przed ukropem.

Jednak tak oni ustępują kroku,
I że zmięszani w lot do sprawy przydą;
Potem naodwrot, z którego chcą boku,
Na lotnych koniach nieprzyjaciół zydą,
Dopieroż szablom dodają obroku
Ze krwie chrześcian, albo bystrą dzidą
Straszni jak znowu, co dopiero bici,
Odnawiają bój, męże znamienici.

Jakoż i wtenczas przyznać im że męże,
Gdyż i w poganach godna chwały cnota;
Od nich Potocki i Modrzewski leże
Pamięci godni; Totomir żywota
Także pozbawion; szabla ich rozpręże
Z światem; książęcia de Kroja co rota
Wymknę się która przed hufcami wprzody,
Bez znacznej w swoich nie powraca szkody.

Taż i po dolach z janczarami wrzawa,
Którzy z plechotą strzelają się srodze,
Ich zawalona trupami przeprawa
Najbardziej na tej co ku Wiednłu drodze.
Zaczem u naszych pośpieszniejsza sprawa,
Którzy już koniom wypuszczają wodze;
Wprzód prawem skrzydłem jako orda pierzchnie,
W pogonią pójda niżli się przymierzchnie.

Wtąż lewe skrzydło, wtąż w średnim szyk
[rzędzie,

Dra się ostepem na żwawe pogany,
Na nich lub Niemiec lub Polak usłędzie,
Nic nie pomaga, odwrót powtarzany;
Gdzie wldząc, że wnet po rozprawie będzie,
Oraz i Wiedeń eliberowany,
Mruczac uchodzą; lżejsza stracić bowiem
Wszystko, by jedno z samem umknąć zdrowiem.

Na co patrzący wezyr niebu łaje,
Mechmeta bluźni i zębami zgrzyta —
A wldząc, że w swych ucieczka powstaje,
Wraz i samego strach za boki chwyta,
A jak zabitym pozbędzie Kihaje,
Dopieroż się wódz sam o drogę pyta.
Dwóch tylko synów przy ojcowskim boku,
Pilni, spiesznego naśladową kroku.

Wielki kanclerzu! Przednia głowo rady,
Co monarchią ottomańską rządysz,
I który światła trzech części osady
Skinieniem palca twym rozumem sądzisz, —
Któż wldział kiedy twoje wsteczne ślady,
Jak teraz z Rakus uciekając błędzisz?
Cóż to za fata, co za niefortuna,
Przez którą ginie ottomańska luna?

Onóż go macie! co mu był świat ciasny,
Jako ucieka, biorąc na pazury.
Dopieroż tyran chrześcijanom straszny,
Ziemle rozrzucał, twarde kruszył mury,
Powietrze mleszał, dymem ćmił dzień jasny,
Teraz przed wstydem kryje wzrok ponury,
W jednej z pod Wiednla zbiegając opończy,
Swoją imprezę sromotnie zakończy.

.....

Chrystus cierpiący,

według tekstu Ewangelii świętej, przy zabawie postnej,
wierszem polskim wystawiony.

Ozwij się lutni,
Niech jak najsmutniej

Głos strony dają;

Niech po tem pleniu,
Serca stworzeniu

Twarde się krają.

Rzuć teraz owe
Plenia światowe,

Puść krotofilie,

Jakleś w tym czasie,
Przy allaspasie

Splewała mile.

Jakle nad bratem,
Gdy przepadł z światem,

Królewskie córy,

Łzy bursztynowe,
(Wleści nie nowe)

Z swej pocą skóry, —

Tak kiedy ginie
Pan, niechaj płynie

Jako z obłoka,

Z wilglej żrenice,
Miasto dżdżownice,
Łza z twego oka.
Co ducha w zwierzu,
W łuskach i pierzu,
I co się rucha
Na ziemi, w nlebie,
W morzu, w Erebie,
Stron tych nlech słuha,
A więc prawdali,
Co nam podali
Talmudzistowie?
Na arfie owej
Snać Dawidowej,
Że zefirowie
Grali tubalnie
Lekko i walnie
Bijący w strony,
Czynili dźwięki
Lubo od ręki
Żadnej nie tchnłonej.

Punkt VI.

Poranek.

A gdy było rano, weszli w radę wszyscy arcykapłani przeciwko Panu Jezusowi, aby go zamordowali.

Mathaei 26 v. 3. et 4.

Lętwo wtem zorza
 Poranna z morza
 Jaśniejąc wstaje,
 Gdy onych katów,
 Rzymskich żołdatów
 Kupią się zgraie;
 Bo nie tu koniec:
 Przybiega goniec
 Znowu błskni,

Zaczem sowity
 Gmin pospolity
 Nadzwyczaj raniej
 Wstali kapłani
 Bo główne dzieło
 Niewinność było
 Pódź Chryste i Ty,
 Termin zawity,
 Byś na Golgocie
 W wielkiej sromocie
 Błęzy na dziwy
 Kto nowin chciwy,
 A u ratusza
 Koło Chrystusa
 Puste są progi
 Ich synagogi,
 Drudzy na rynek
 Taki uczynek
 Biskup też zatem
 Oraz z senatem,
 Sprawy popłera:
 Niechaj umiera
 Sam instyguje,
 Sam praktykuje,
 I krzywdą czyni,
 Skazuje, wini,
 Hurmem się kupi.
 Wzajemnie radzić,
 Jawnie zagładzić.
 Pódź krokiem chyżym,
 Zbawił świat krzyżem.
 Gawleńdź sowita,
 Każdy się pyta,
 Kabat oblegli;
 Widzieć poblegli;
 Z swego urzędu
 Rozsiewacz błędu.
 Z jakim nlestatkiem
 Sędzłą i świadkiem:

Bo jak i wczora,
Prokuratora Namniej nie widać,
Co dla obrony
Miał sprawy onej Sędzia go przydać.

.....

Różaniec
Najświętszej Panny Maryi,
według zwyczaju kaznodziejskiego rytmem polskim
wyrażony.

Pierwszej części wesołej
Pierwsza tajemnica
Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi.

Witaj Matko ze wszech święta,
Którą Trójca niepojęta
Z woli swojej stanowi;
Aby przez Cię nie stworzone
Słowo, było narodzone
Na zbawienie człękowi.

Ojciec nasz.

Jexus, Marya, Józef.

Ciesz się ziemio, i wysokie
Raduj niebo, i głębokie
Morze niech tryumfuje,
Bo rodzeniem Stwórcy dziwnem,
I zwyczajowi przeciwnem,
Nam zbawienie gotuje.

Zdrowaś Marya.

Ciesz się Panno pozdrowiona,
I owocem napełniona,
Który wszystek świat zbawi.
W Cię się wcieli Słowo wleczne,

Masz poselstwo dostateczne,
Któreć Archanioł zjawi.
Zdrowaś Marya.

Jak lilla z miedzy głogu,
Tak wybrana tyś jest Bogu
Miłą oblubienicą.
Prawem dziwnem, mocą wielką,
Przechodzącą mądrość wszelką,
I skrytą tajemnicą.

Zdrowaś Marya.

O jak szczęsne i chwalebne,
Bogu miłe, nam potrzebne,
Świętej Panny poczęcie,
Adam łaskę nam utracą,
Przez Maryą Bóg nam wraca
Żywota przez śmierć wzięcie.

Zdrowaś Marya.

Jak dostojna i czci godna,
Bo grzechowa pierworodna
Zmaza w niej nie postać.
Ta zamknięte grzesznym wrota,
Nam otwiera do żywota, —
Ta smoka podeptała.

Zdrowaś Marya.

Córka szczęsna Jachimowa,
Laska żywa Aronowa,
Ustaw boskich stróż czuły.
Fórtka rajska, studnia żywa,
I skarbnica cnót prawdziwa,
Zwierciadło bez makuly.

Zdrowaś Marya.

.....

Trybut należyty wdzięczności
wszystkiego dobrego dawcy Panu i Bogu,
albo

Psalmodya Polska

za dobrodziejstwa boskie dziękująca. Przez jedną najlichszą kreaturę Roku Pańskiego 1693 napisana.

Psalm V.

Attendite popule meus legem meam. Ps. 77.

Dobrodziejstwa boskie nad koroną polską wylicza.

Słuchaj pilnie ludu mój, i nakłoń ze wszystkiego serca uszu, na wyrozumienie powieści tej.

Przywiodę na pamięć dawne dni dzieciństwa twego, a opowiem ci pierwszą szczupłość, w którejś był, z żywota matki twojej wyszedłszy.

Coć musieli ojcowie twoi oznajmić, i dawni latopisowie w dziejach narodu twego zostawili, toć i ja przypomnę, abys miał co do wiadomości podawać późnym wnuczętom.

Początek gniazda twego Polaku, na Faryjskich polach w Dalmacyi; a od dawnych niegdy Słowaków masz uczestnictwo języka i społeczność krwi rodowitej.

Oniż to Sławonowie w historyach sławni przodkami twemi, którzy od Imanu góry aż po septemtrion rozpostarli proporce, całą Europę swoją liczyli osadą.

A bystry Dunaj na pałach przepłynawszy, mocno się z rzymskimi pułkami ucierali, złotej broniąc wolności.

Z nich Bóg wyprowadził Lecha i Czecha, i osadził niemi te knieje, które przedtem osiadali ludzie z jaszczurczemi oczyma.

Starszy od Elbu otrzymał przestronne dzierżawy; Lech po Odrę oddzielony wziął sarmackie pola, od których trwa imię polskie dobrze sąsiadom znajome.

I podniósł sławę narodu swego, rozprzestrzeniając mieczem państwo, i wyplerając niezgodne Teutony.

I stali się oba mnogiego ludu książęty, i głowami, które miały być w potomkach koronowane.

Ale że ich prawda ewangelii nie doszła, dlatego u potomności w niepamięci zagrzebieni zostają.

Jednak kocha Pan i w niewiernych cnotę, i nagradza w potomstwie dobre uczynki, które znajomość wiary poprzedziły.

Wskrzesał z nasienia ich Mieczysława, któremu z urodzenia ślepemu, przyjęta wiara doskonały wzrok przywróciła.

Gdzie uwagi godne wszechmocności dzieło, że w nawróceniu Polski pierwszym niewiasta apostołem.

Z przyjęciem wiary zaraz i przybysz honorów, gdy Bolesław I koroną królewską uczczony, z przedniejszymi monarchami świata w jednym szeregu chodzi.

A tu już bliżej się gorliwie za głowicę miecza Polak, przy czytaniu ewangelii, aby świadczył, że umierać dla wiary gotów, którą nad zdrowie kocha.

Już miasto trąby i krzykliwej surmy śpiewają nasi Bogarodzica, za larmo do boju, a krzyżem chorągwie znacząc, z tym znakiem gromią szczęśliwie nieprzyjaciół.

Ulega im jedynowładca ruski, a Kijów przestrzeń swego w objazd śledm mil rachując, poszedł na łup Śmiałemu.

Dałby to był Bóg, aby tylko na nieprzyjaciół śmiały był, ale gdy się i na pasterza zdziczała owca rzuca, słusznie koronę traci.

Bo nie pokładał w Bogu nadziei, ale w broni i męstwie, zapomniawszy, że którymi się państwa wszczynają sposobami, takle i mocniej.

Prawą wiarą powstała Polska; a uszanowanie kościoła uczyniło jej znaczną między narody reputacją.

I tak pozbyliśmy pasterza na ziemi, ale dostaliśmy patrona w niebie; a bez korony nie tak pyszni Polacy, snadniej przez pokorę Boga ublagali.

Bo nam to w Krzywoustym nagroził, pięćdziesiąt i kilku potrzeb zwycięzcy, nad którego nie miała Polska pana bitniejszego. On utarł rogów wiarołomnej Roxolani, i dobrze się dał w znak na Psem polu knechtom niemieckim.

Wysłał ślegna znakami zwycięstw, gdzie się tylko obrócił, i odnowił ślady pradziada poniekąd zapomniane.

I ciągnęła się nieprzerwanem pasmem z łądzwi jego potomność, od kołodzieja Piasta do Kazimierza Wielkiego przez długie wieki królująca.

Ale i ten był nie we wszem prawy Bogu, kiedy napomnienie lekceważąc kościelne, napominającego kazał do rzeki wrzucić kapłana.

A tak który zapomniał dobrodziejstw boskich w szczęściu obfitując, zapomniał go też Bóg w potomstwie, które się marnie obróciło.

I przyszlśmy pod panowanie obcych, jako skoro się Plastowego koła obrót odprawił.

Wziął koronę i z wiarą Jagiełło; woleliśmy poddać się w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi.

Godna wiecznej pamięci Jadwigo, pani nasza, która jako Dąbrówka Polsce, także i ty apostołowała Litwie.

Widzieć było pogańskich ludzi tłumi do chrztu się cłsnących, którym król i pobożna królowa i j. w. senat kmotrami zostają.

A zatem pobłogosławił Bóg pieczętowanie o winnicy swojej, że za zjednoczeniem duchownem zjednoczyły się oba narody związkiem politycznym.

I mamy z głównych niegdy przeciwników przyjaciół, jako latorośl w pniach wolności przez wiarę wszechpioną.

Potem nasienie dobrego pana rządziło Polską do słódmego następcy, na którym żałosny klimakteryk niepłodności pochodnią świętych cnót domu Jagiełłowskiego zgasił.

Po zejściu ich krótkie z liliami pieszczoty, ile ten kwiat nierad statkuje; więcej ucieszyły trofea Stefanowe, kiedyby jeno jako waleczne, tak i trwalsze być mogły.

Następuje zamorski snopek, snopek ziarna pełny przy nadziei, że tem nasieniem niwy nasze posłane, miały przynosić plenne Polakom żniwo.

Jakoż udała się pierwsza siejba męstwa Zygmuntowego; udała i potem, gdy pięknej sławy zielonością umaili tron nasz dzieła Władysławowe.

Ale prędko wysieleło się zboże, i wykruszyło z kłosa ziarno, gdy z królewskiej dyademy wypadł kosztowny kamień, a potem i sama korona z głowy naszej zrzucana.

Zaraz się nagle zaćmiło słońce estymy Polski, i ona uwielmożona tak wielu narodów pani grubą się odziała żalobą.

I stękać poczęła stękanem rodzącej, żal jej przeniakał niebo, tem cięższy, gdy uważa, że od własnych chłopów znieważona.

Cóż prze Bóg zawiniła, że tak sromotną odnosi plagę. Sekret samemu niebu wiadomy, ile są skryte sądy pańskie.

Wyniesiona w sławę, wytuczona dostatki, obfitością wszelaką nabrzmiała, potrzebowała zbytnich humorów ujęcia.

Gdyśmy zaś do Boga w tych paroxyzmach się obrócili, nie tylko miłościwie nas wysłuchał, ale też nieodwłocznie stał się pomocnikiem naszym.

Przez wojnę ukarał, przez wojnę pocieszył, kiedyśmy wszystkich nieprzyjaciół startych przed sobą wdzileli, albo którzy wojowali, nas o przymierze prosili.

On sprawuje i teraz, że bliskich ognia nie ugara ogień, a pod młotem pogańskim rolę naszą sprawujem w najgłębszym pokoju.

Uważajże czuło i rozpamiętywaj Polaku, skąd cię to potyka, a wierz mi, że stateczność w wierze i uszanowanie kościoła teć z nieba jedna fawory.

Statkuj i dalej, wszystką nadzieję pokładając w Panu a On mocen jest jako zawsze podźwignąć cię w uszczupleniu terazniejszym.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Ś. etc.

Psalm XI.

Dixit injustus ut delinquat in semet ipso. Ps. 35.

Na mieszania i rozrywania sejmów.

Rzekł niesprawiedliwy sam w sobie aby grzeszył: a zmrużywszy oczy, nie chciał się oglądać na bojaźń Bożą.

Nie chciał zrozumieć przewrotności umysłu swego, ani uważał, że w zgubie ojczyzny i samemu zginąć przyjdzie.

I tak zdradliwie mówił przeciwko matce własnej; a gorszy pasierba, piersi te lżył, które go karmiły.

Głowa jego nie myśliła o dobru pospolitym, ale żeby się dobrze mieć, by i złe czyniąc; a nienasycona podwyższenia chciwość nie chciała się obejrzeć na prawo przystojności.

Ojczyzna w uściech i obrona jej, a w sercu kończyło się żądło jak węża u hipokryty.

Ztąd uczynił się rzecznikiem, w skomo na obronę dobra pospolitego, a pod pokrywką publiki, tał zawziętość sejmów rozerwania.

Mówiąc skrycie sam w sobie: Cóż mi za to pleczolowanie o ojczyźnie? kiedy inną drogą pomogę sobie do dobrego mienia.

Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omyła; a gdy występków nie kara, grzeszyłby ktoby dobrze czynił.

I tak udaje się przeciwną od gościńca ścieżką; a między sobie podobnymi rozsiewa ducha przeciwności.

Ród jaszczurczy, i właściwe Judasza pokolenie; bo i ten Pana w rękę całując, dla błahego kwestu, ojczyznę własną sprzedaje.

Psia natura, która węchem pożywienia śledzi; a znalazłszy, na plugawym ścierwie opada.

Widzisz to Boże, czuły wolności naszej stróżu i grozisz pomstą zdrajcy; któryś tego balsamu wolności przez «nie pozwalam» w truciznę obracać nie kazał.

Ale jako Bezoar w zakrytem naczyniu zachować był powinien: on go teraz datkiem przekupiony, na niezdrowie pospolite używa.

Idzie jednak za zdrajcą, choć leniwa Nemezis, a wyzłonawszy niecnotliwy wziętek, samego czeka judaszowskie myto.

Upadną, upadną ci, którzy ojczyźnie źle służą; a plemie cnotliwego na to miejsce dziedziczyć będzie.

Wyżoną przekupionego ojca Cherheles potomków z domu, a ze złego zbioru drobna działwa nie ucieszy się.

Jeno szpetna sława aż do obmierzenia zostanie, i będzie pamiątka jego w pośmiewisku tak, jako onego, który w Efezie bóżnicę Dyany zapalił.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XIV.

Domine quid multiplicati sunt. Ps. 3.

Korona polska wziętość na się nieprzyjaciół wylicza.

Panie, czemuż się namnożyło tych co mię trapią? a bez dania okazji codziennie mi nieprzyjaciół przybywa?

Bliscy moi i przyjaciele, przeciwko mnie zbliżający się stoją.

Cytra moja obróciła się w smutek, napój mój w truciznę; kiedy z przyjaźni sąsiedzkiej widzę na zgubę odpowiedź i nieubłagane zajątrzenie.

Jeżeli przymierza nie strzymała? umowę złała? albo na zdradzie komu była? Sama się sędzę, że słusznie tę zawziętość ponoszę.

Ale jeżeli cudzego nie pragnęła, pokoju nie wzruszała, do wojny nie dała okazji; czemużby mię te stósy potykać miały?

Ty wiesz mój Panie, żem spokojny żywot i zgodne obejście z każdym zawsze kochała, a za to mię teraz te klótnie zewsząd ogarnęły.

Gdy oto swywołny Zaporozec potargawszy obowiązki poddaństwa, z krymskiem pogaństwem nastąpił na mnie uciążliwie.

Oraz upatrzył w nieszczęściu mojem czas przedtem ode mnie gromiony Moskal i nie chciał zaspać pogody, w odbieraniu zawojowanych derewni.

Poszła za wiatrem i borealna Szwecya, a w temże zamieszaniu łatwiejszego próbowała polowu.

Aż też honorowany ode mnie Transylwańczyk, przeżywszy się przez Krępak, bez opowiedzenia wojny, kraje mi pustoszył.

Wszyscy ci mówili i urągali wszetecznie: Niema Polska zbawienia w Bogu swoim.

A ono Ty Panie jesteś obrońca mój, i puklerz nieprzebity; siła moja, która chociaż poniży, znowu podniesie głowę moją.

Bo cóż wskórali, i co za korzyść odnieśli, którzy się na zgubę moją sforsowali? Mało co mię umartwiwszy, sami w oczach moich marnie przepadli.

Rozmarzył chmielny trunek ukraińskiego Spartaka, że i Rzymowi groził; kędyż jest wycięto drzewo, usechl pniak, pokruszyły się gałęzie.

Kędyż jest Ukraina? która po trzykroćstotysięcy ludu szyszmatyckiego wyprawiła na wojnę, a teraz i na zupełną sotnię zdobyć się nie może.

I drugi się niewiele ucieszył, puste uroczyska reklamą opłacając; albo i szwedzka furja, że króla straciwszy coś się jej cegiel w Inflanciech dostało.

Węgierska hałastra poszła w Krym zabrana; a pryncypał w ostatniej rozpaczach skończył, z państwa degradowany.

Boś Ty Panie mój wygubił wszystkie, sprzeciwiające mi się bez przyczyny, i pokruszyłeś zęby grzeszników.

Ufam i dalej, że mię z paszczeki żarłoka wybawisz, a nad ludem swoim pokażesz miłosierdzie Swoje.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XV.

Ut quid Deus repulisti in finem. Ps. 73.

Lament kościoła bożego na inwazyą turecką.

Przecż żeś nas Boże odrzucił do końca? Rozgniewała się zapalczywość Twoja na owce pastwiska Twego.

Aleć trudno pytać czemuś odrzucił? Złości bowiem nasze uczyniły rozdział między Tobą, a pycha nasza jako silny wiatr rozdzęła ogień gniewu Twojego.

Wytrzymywałeś, groziłeś i napominałeś; aż widząc zatwardziałość upornych, siedmiorakie plagł jak na Egipt spuściłeś.

Zrebellizowana czerń zesromociła nas, a dzicy Geloni zabierali plon z obfitej Roxolanli naszej.

Wdarł się aż do serca zamorczyk, a od Hipperboru trzech litr Pan, wydarł nam Antemurę północny.

Naprzykrzył się z za Tatrów wichher, aleć i domowe zawieruchy czy nie były karzącym nieprawości biczem?

To ich sześć, siódma następuje, plaga wojny tureckiej; pod którą (jeżeli Bóg gniewu nie odwróci) pewnego upadku czekać Polsce potrzeba.

Żarłok państw, potop światła, łakoma krwi chrześcijańskiej Charybdis, i bestya z samego nieba gwałdy pożerająca, Turczyn.

Już gotowością jego zaburzył się Euxyn, wspieniał się Dunaj, a pograniczny Dniestr misternie przysiodłany mostami.

Gotuj konie Polaku, wsiadajcie jeździ, wychodźcie pleszy, ostrzcie żelaza, składajcie kopie, uzbrojcie się w pancerze.

Podnoście krzyżem znaczone chorągwie, a nie czekając tego gościa u siebie, przejmujcie mu drogę w pobliskich Multaniech.

Ale jakoś fatalny to mocarz, co z niego siły nie mamy, bo niemasz Pana zastępów z nami, któryby wojował za nami.

A zatem ściśnięty gwałtem Kamieniec, gdy wytrzymać nie może, poganinowi się poddaje, ona przez tak wiele lat obcej ręki niewiadoma, litewskiego Korjata osada.

O żałośny widoku! już pyszny sułtan w bramy jego z tryumfem wjeżdża; już na wleżach miejskich bisurmańskie księżyce tkwią, już z wierzchu kościołów porzucano krzyże na wzdargę.

Jako w lesie drzewa, siekierami rąbał i ołtarze, toporami i oskardami burzył groby umarłych.

Brano żalonym ojcom gwałtem kwiat młodości, urodziwe syny, a udatne dziewoje od matek, stadem pędzono do szaraju.

Grono rycerstwa błtnej prowincyi mieczem wygubili, inne stany miejskie pognali precz, jak bydło na paszę.

Ale to większa, znak zbawienny, krzyże zrzuciwszy, deptali; a Ciało Pańskie pod osobą chleba zawarte, z przybytku ołtarzów zelżywie wyrzucili.

I mówili: Uczynimy, że ustaną wszystkie święta gaurów w ziemi tej, a obrzędy ich zatarłszy, sama jedna muzułmanów włara rozpostrze się po świecie.

Wyprowadźmy lud krzyżemznaczony za Proponyde, a na to miejsce od dalekiego Kalru naprowadźmy mieszkańców.

Dokądże o Boże naród ten uragać będzie? Iżali tak zawsze rekutyt¹⁾ ten Imię Twoje święte bluźnić i sromocić będzie przybytek Najwyższego.

Czemuż Panie zatrzymujesz rękę od posiłku wiernych? czemu nie wyciągniesz prawicy Twojej na ratunek w Tobie ufających?

Powstań o Boże! rozsądź sprawę naszą; wspomnij na hańbę ołtarzów Twoich, która Cię od tych kajmanów potyka.

Nie podajże bestyom dusz chwalących Ciebie i dusz ubogich Twoich nie zapominaj do końca.

Tyś utwierdził mocą Twoją morze; Tyś pokruszył głowy smoków w wodach.

Tyś jest Pan, który ukarawszy, wróciłeś nam dziełtwo nasze i będziesz pamiętnym na zgromadzenie Twoje, któregoś nabył od początku.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XXI.

Confitebor Tibi Domine in toto corde meo. Psal. 9.

Przy pokazaniu się komety albo miotły ognistej
in anno 1680.

Wyznam o Boże w pokornem sercu przedziwne Imię Twoje, rozmyślając w cudownych, a rozumowi niepojętych dziełach Twoich.

¹⁾ Spolszczenie, które jest skróceniem łacińskiego *recutitus* — znaczy: obrzezaniec, Żyd.

Gdzie pojrzę, gdzie się obróć, wszędzieś obecnym jest, a nie tylko miejsce na którym stoję, ale i oddech który tchnę, od Ciebie być przyznawam.

Patrzę wzgórze; aż nieba opowiadają chwałę i znają Cię być stwórcą empirejskich sfer kołowrotu.

Pojrzeli po ziemi, albo się na bezdenne morze zapatruję; aż Ty syplesz granice królestwom, dajesz prawa narodom, i nieutrzymane wód morskich wały, wędzidłem mandatów Twoich kielz nasz.

Twoją chwałę i wszechmocność opowiada bezrozumne stworzenie; dopieroż którycheś na obraz Twój stworzył, wielbić Cię mają ludzie.

Tyć tego o Stwórcu nie potrzebujesz, ale przecie wdzięcznym być nie wadzi.

Któż określi nieogarnioną moc? Kto wyrazi nieoszacowaną dobroć? i nad niebiosą wyniesione miłosierdzie Twoje?

Gdyśmy obrazili majestat Twój, karania godnych osądziłeś; nie chciałeś jednak skwapliwie karać w zapalczywości gniewu Twego.

Napominałeś przez proroki, wyrzucałeś na oczy przez kaznodzieję, w ostatku jawne na niebie wystawiłeś na następującej kary pogróżki:

Gore na podmiesiecznych sferach zapalona gniewu Twego pochodnia, i nigdy królestwom bez uszczerbku nie świecący kometa.

Obłoki wydały z siebie już niewilgotną rosę, ale krwawym deszczem ziemię skropiło niebo.

Trzęsła się, gdzie niezwykaj, ziemia; i kagańce niebieskie światła swoje kryły; następującą przeznaczając rzeczy podmiesiecznych waryacją.

Zkądże Panie te niezwykle cuda i w nadpowietrznych rzeczach dziwowiska; jeno od Ciebie ojcowskie do nawrócenia przestrogi.

Ty któryś na ścianie napisał Baltazarowi przyszłego upadku oznajmienie; tymże palcem, ognisty wyraziłeś charakter.

Na zgubę jednym, w upamiętanie drugim, a wszystkim, aby widzieli iż Bóg stwórca, panuje narodom, i stanowi królestwom granice.

Któż podobny Panu, Panu i Bogu naszemu? w którym wszelkie stworzenie jest, rusza się i żyje.

Zaprawdę wielki Pan, sam cuda czyniący, a ten Bóg monarcha wszystkiego, stwórca nieba i ziemi.

Skruszy ramię grzesznika, i złośnika, i obrzydliwą wyniosłość poniży.

Uczyni sprawiedliwość sierocie i uciśnionemu, i rozkaże aby się więcej pyszny nie wielmożył na ziemi.

Któremu w dobroci niepojętemu, w miłosierdziu nieprzebranemu, w karanu nieskwapliwemu, a w Trójcy św. jedynemu; niech będzie cześć i chwała od wszelkiego stworzenia na wieki. Amen.

Psalm XXII.

Domine in virtute tua laetabitur rex. Psal. 20

Na wyjeździe pod Wiedeń najjaśniejszemu Janowi Trzeciemu, królowi polskiemu, panu miłościwemu.

Panie w mocy Twojej rozweseli się król, a w dziełach wybawienia Twego, wielką mu dasz do radości przyczynę.

Oto bohater do boku przypasuje miecz, aby woował za Imię Twoje; bierze herbową tarczę, aby odprawiał wojny pańskie.

Już na dzielny koń wsiada, i na rączym pegazie puszcza się w drogę; daj Panie rycerzowi Chrystusowemu szczęśliwe wszędzie powodzenie.

Przyjmij żądanie serca jego, które do Ciebie z góry upodobany wypuścił, i nie racz mu odmawiać o co Cię prosił przed obrazem Matki Twojej.

Boś go uprzędził natchnieniem, aby upadłe dźwigał chrześcijaństwo; dajże mu i dalej moc dokazowania skutkiem, któryś wzniecił dobrą wolą, ratowania w umyśle.

Kiedy zdrowie i żywot za bracią swą niesie, przyjmijże Panie ofiarę tę, a uprzedź go w błogosławieństwie.

Oto bowiem bestya, która z nieba gwiazdy zmyka, na lud Twój paszczekę rozdarła; pomóż mu o Boże, aby tak wielogłową hydrę ręka Jego stłumiła.

Już bowiem czterdzieści dni blisko, jako ten Gollat wyzywa lud boży na rękę, a nie obrał się nikt, ktoby się oparł najezdnikom.

Pierworodny Eliab milczy, ale i drudzy ponieśli; poszczęść Panie Dawida, że ugodzi kamieniem w czoło tego zuchwalca.

Bo on w Tobie i w mocy Twojej ma nadzieję, o Najwyższy. Niechże przez ten instrument prawica Twoja zgładzi narody, które Cię w nienawiści mają.

Który najśłodszego Imienia Jezus, językiem nie wzywa, ten od szabli wojującego króla niechaj starty będzie.

Umocnijże Panie zastępów ręce Jego i drogę do boju idącego prostuj; a przystawiony anioł niech w niebezpieczeństwie, mocnym puklerzem piersi Jego zakłada.

Pójdźże szczęśliwie królu w mocy Boga zastępów, który w ognistym słupie przed tobą pójdzie, we dnie i w nocy.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XXIV.

Venite exultemus Domino. Psal. 94

Pamiętka odsieczy Wiedniowi danej R. P.

1683 dnia 13 Septembra.

Pójdźcie radujmy się Panu, śpiewajmy Bogu Zbawicielowi naszemu, uprzedźmy oblicze Jego z dziękczynne-

niem, a przez pieśni i hymny, wychwalajmy niewysłowioną dobrotliwość Jego.

Albowiem Pan jest Bóg wielki, który czyni wszystko z niczego, i król możny, który z ostatniej toni zgubionych wyratować może.

Ten cię zdesperowany Wiedniu wydrze z rąk olbrzyma, za gardło cię trzymającego, i zrazł krwawą bestyą, paszczekę na cię rozdzierającą.

Który Konstantyna upewnił w znaku krzyża o zwycięstwie; ten i tobie pewnie hasło daje, że w tymże znaku prędkiego dostąpisz wybawienia.

Podnieś oczy twoje na góry, a tam ujrzysz gęste chorągwie, z tem znamieniem w posilek ci idące.

Rzuc wzrokiem ile można na niebotyczne drzewami okryte skały; z których wielkim pędem wylatują mężni orłowie, na wybawienie twoje.

Już, już Kara Mustafa, libickiego lwa szczenie, zajmawszy krzyża, trwożyć sobą poczyną; i ono Lucyporowej pełne pychy serce, zbierać każe namioty.

Już odjął świetną od zawoju forę; czy że się w drogę gotuje, czy głowę ułatwiając, po którą niezadługo stambulskie emiry przyjdą.

Baszów i bellerbejów hucznych tchórz obleciał; co żywo w drogę, gdy już ciężkie bazary, w srogiem zamięszaniu nazad uchodzą.

Dziła i kartany ich nie huczą, ale wyją, a wyrzucana minami ziemia, na nichże leci, chcąc pogrześć jeszcze żyjących.

Więc co w skok oblężnicy pójdziecie, i upadajcie przed tronem Najwyższego; dziękujcie Panu, który was stworzył, i wielbicie Go, który wam teraz powtórnie daje zbawienie.

Dziś jeno głos odsiecz niosących usłyszycie, nie ztwardzajcie serc waszych bojaźnią; ale wdzięczni ratunku do nieba ręce podnoście.

Wypadajcie młodszy i kto broń w ręku uniesie, na zdjęte strachem nieprzyjaciół; a wy starcy i z niebitną gawiedzią po blanka chmurów tryumfalny hymn zaczynajcie.

I uczynicie okrzyk wesoly, jako po wygranej bitwie, i niech publicznej radości ogniami Stefanowa wieża rozjaśnienie.

Tak jako czasu Solimanowego od Wiednia odwrotu, gdzie także ojcowie wasi doznali pomocy Pana zastępów.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Św. etc.

Psalm XXV.

Exurgat Deus et dissipentur inimici ejus. Psal. 67.

Na wstępny bój wojsk chrześcijańskich z Turczyńcem.

Niech powstanie Bóg, a rozproszą się nieprzyjaciele Jego; niech uciekają przed Nim, którzy Go nienawidzą.

Jako silny wiatr płaski rozlewa, albo jako воск od ognia topnieje; tak niechaj się w niwecz obróć przeciwnicy Izraela prawowierne.

Tak ci co krew Jego w nienawiści mają, jako i którzy dobrego prowadzenia braci swojej zazdroszczą.

Których zjadła nienawiść suszy, żeby woleli widzieć przeważających poganów, niż wiernego ludu tryumfy.

Ale nie ucieszysz się obluda ani się powiedzie presumcy, która jako pierwszego nie cierpi, tak ani równego mleć nie chce.

A wyprawnego serca śpiewajcie Psalm Bogu i między alarmem rycerskim, dajcie chwałę temu, który wstąpił na zachód, a Pan jest Imię Jego.

Radujcie się wierni, mając Boga sierót ojca i łaskawego sędziego wdów; trwożącego nieprzyjaciół i konfundującego zazdrosnych.

Gotowy jest Pan, złamać łuk bisurmański i pokruszyć potęgę Jego i powrzucać w ogień armaty znamieniem młotów płonących.

On wywiedzie z ciężkiej niewoli jęczące więźnie: i zwiędzłonym poturmakom da się obaczyć, którzy chrzest wodny, brzydką obrzeską zakrwawili.

Teraz wychodź Panie przed ludem Twoim, tak jakoś niegdy był na puszczy Izraelowi przewodnikiem.

Zatrząśnij okręgiem ziemi pod niemi i strzałami piorunów uskrom harde dziewlesy, którzy na wojnie wszystką pokładają w szczęściu sprawiedliwość.

Okurz ogniem gniewu Twojego naród wszeteczny, który ma za wspaniałe dzieło, gaudium wiary nie dotrzymać.

O jako piękna rzecz, widzieć jednego kościoła lud pod znakiem krzyża zgodnie wojujący i patrzeć, że mieszczą jednych obyczajów bracia w domu pańskim.

Jako arcychwalebna, sercem i ręką tłumić niewolniczej Agary plemię, które się dobrego Izraela krwi nigdy nasycić nie może.

Patrz jakie postępowanie chrześcijańskich hufców do boju, postępowanie prawie samego Boga zgodę kochającego, i w zjednomyślności mającego upodobania.

Lewą rękę w szyku rzesza Teutonów otrzymała, aby bliższa była serca Wiedeń ratować, uwalniając gniazdo orla dwugłowego.

Po prawej stronie rozciągnął konny Sarmata, ochotne pod błękitnym orłem chorągwie, z którymi lekki wiatr igrając w sam ich majdan pogański popędza.

W najcelnych pułkach stanął koronowany szablą groźny, który jako mądrze berłem, tak mężnie w boju władnie żelazem.

Włec że poganin szablą zawojował tak wiele prowincji chrześcijańskiej, takową bronią trzeba było zwojowane odbierać.

Godny pramidi dla wiecznej pamiątki widoku, jako pierwszy na szanie Jan III. zdrowie dla wiary niesie, w którego zdrowiu było zdrowie całej Europy.

Przy nim i Beniamin młodziuchny w też tropy idzie
i mężnego ojca trybem, na oblawy wojenne, bark i nie-
doszłe pazury wprawuje.

Znamienite potem książęta Alemanom swoim przod-
kowały, Saxon i Lotaryng i słaby w wieże Bawarczyk.

Po drugiej stronie szli w sprawie hetmani polscy,
okazali urodą, ale daleko więcej męstwem zaleceni: Ja-
błonowski z Sieniańskim.

Na zejściu Briarens storęki siły swe dzielił, jednym
miasto obleżone trapi, drugimi wstępny bojem chrze-
ścianom pole daje.

A jak dwie chmury zwarte, grzmotami straszniemi
ziemi grożą i pioruny strzelają, tak i tam całe hemisfe-
ryum burzliwa wrzawa zamięsza.

Teraz Panie posiłkuj mocą Twoją; niechaj z nami be-
dzie; ukrzep ręce i przywiedź do skutku oczekiwania nasze.

Pogrom zwierze trzcinne, i rozpędź zgromadzenie
byków między krowami; a parchowaty kozieł rozczośnawszy
kopyto, niechaj nam dalej pozorem straszny nie będzie.

Rozprósz naród, który się wojną tuczy, posyp solą
łakomą pijawkę, co się chciwie krwi naszej opila.

Niech zagrzmi znowu w Egipcie wielowładna ręka
Twoja! a zaraz Pers i Murzyn i odległa China poda ręce
swoje Bogu.

Dziwny jest Bóg w mocy swojej, Bóg izraelski; ten da
moc i siłę ludowi swemu; niech będzie Bóg błogosławiony.

Któremu w Trójcy świętej jedynemu cześć i chwała
po wszystkie wieki wieków. Amen.

Psalm XXVI.

Deus auribus nostris audivimus. Psal. 43.

Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie.

Boże, cośmy uszyma naszemi słyszeli, co nam ojco-
wle nasi powiadali, tego się teraz oczy ludu Twego z po-
ciechą napatrzyły.

Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich uczynił z Fa-
raonem; toż i teraz nieskrócona w cudach, ani osłabiała
w potędze, wykonała ręka Twoja.

Ręka Twoja Panie nie ludzka pogany starła; przed
nią pyszny Assur sromotnie uciekał, który w hardości
serca, na zgubę naszą przyszedł.

Z nim gruby Edomczyk w lot bieżał; a oto stra-
chem zjęci z bystrego Dunaju wodami na wysłgłi lecieli.

Nie obejrzał się Part, który w odwodzie potyczkę
daje; ani bisurmanin wspominał, że się wnukiem bożym
nazywał.

Wydarł miecze z rąk ich zwycięzca w Imieniu Two-
jem silniejszy; prysnęły łuki, i strzały z kołczana rozsy-
pały się po ziemi.

Patrzało na hardość ich wschodzące słońce; a toż
na odwiecznym widziało sromotnie rozgromionych.

Wstydział się miesiąc piętna swego; ażeby sromotę
zakrył, nie chciał świecić w nocy uciekającym.

Nie pomógł w trwodze fałszywy prorok; ani częste
umywanie nie oczyściło wszetecznych z grzechu.

Leżeli w polu jako bycy tłuszc po rzezi; a plugawe
ścierwy kazał zwycięzca ziemią nakryć z polutowania.

Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali; a miecz po zwy-
cięstwie ochłodnął w pochwy włożony.

Tys tak kazał Panie Boże nasz cuda czyniący; aby
którzy po cudze zdrowie przyszli, swoim nałożyli.

Aby chleb od gęby niewinnym wydzierający, nie po-
żył go, a słabszy z mocniejszego zagarnął łupy.

Mało trzy dni było do zbierania korzyści. Brali nie
tylko żołnierze odbieżane dostatki, ale i dzieci małe z po-
spolitym gminem.

One pyszne w Sydonie, czy w Dyarbecie złotem
tkane namioty, odbieżane stały jako buda w sadzie, w któ-
rej jabłek plinowano.

Konie ich posładał mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszyl i kulami do grzbletu uciekających strzelał.

Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: posiadamy ziemię chrześcijańską.

Zginął wezyr niemęsko powrozem uduszony; a onemu kościołów Pańskich burzycielowi niedługo w skronie młotem Jachel gwóźdź wbiła.

I stało się tak jako Madyanitom, i jako Jabłnowi u rzeki Cisson.

Położyłeś ich Panie jako koło na odwrocie, i jako żdźbło przed wiatrem, tak pyszni zniknęli.

Jako ogień, który pali lasy nikomu nie przepuszczając; tak napelnioną jest twarz ich sromotą.

Ztąd niech poznają, że Pan Imię twoje, o Jehowa! boś się wielmożnie wsławił, konia i jeźdźca wrzuciwszy w morze.

Tencl jest Pan, którego wielbić trzeba; Bóg ojców naszych, którego wywyższać będziemy.

Pan jako mąż waleczny, tryumfujący, Imię Jego przed którym wojska i wozy Faraonowe w czerwonym morzu na dnie zostali.

Prawica twoja Panie za nas wojowała; ręka twoja Najwyższy nieprzyjaciół zbila; a w mocy twojej o Wszechmocny poraziłeś przeciwniki nasze.

Któż podobny Tobie między mocarzami Panie? tak wielmożny w potęgę, jako straszny i chwalebny i czyniący dziwy.

Nie nam tedy Panie podlegu gminowi, ale Imię twoje Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki. Amen.

Psalm XXXII.

In exitu Israel de Aegypto, domus Jacob de populo barbaro. Ps. 113.

Wyjście wojsk polskich z Węgier.

Na wyjściu wojsk polskich z Węgier, posilków chrześcijańskich domu rakuskiego, przeciw narodowi grubemu.

Stała się pomoc sąsiedzka utwierdzeniem tronu zachodniego, a szabla ratujących Sarmatów, odwetowaniem państw winorodnej Panonii.

Morze czarne ze zwycięstwem powracających wdzając, zaburzyło się; a Dunaj jako szalony, siedmią gębą wpadał do Euxynu gwałtownie.

Przyległe góry z niezwyklej uczynności skakały radosne, a pagórki winogradów jako jagnięta młode.

Cóż ci to morze, że się tak niezwykle burzysz? i tobie co Dunaju, że tym zapędem z łożysk twoich uciekasz?

Bo przyszedł czas naznaczony ukrócenia bisurman potęgi; dopędził fatalnego peryodu rozbójnik państw, że co z krzywdą nawydzierał, to mu też wydzierać poczęto.

Czemu skaczecie góry z radością, i wy pagórki jako jagnięta młode?

Od oblicza pańskiego wzruszyła się ziemia; od oblicza Boga Jakóbowego.

Ten uczynił z niedostępnych Beskid amfiteatrum, i na niedostępnych skałach wystawił złamanego Ottomana widowisko.

Ten Pan chciał mieć, aby okropne, Polskę z Węgrami dzielące Alpes, mostem się stały; aby przez nie wspaniały tryumfator do ojczyzny przechodził.

Dlatego wśród twardej zimy wyniosłe po górach zielenią drzewa; chcąc aby z obronionych sąsiadów, na królewską głowę uwiły wleciec.

Układa się w ostrokończatą Krępak piramidę, na której by wiecznotrwałym stylem odrysowano sławne imię niezwyciężonego monarchy Jana Trzeciego.

I insze niedostępnego Karpatu podgórze, na przyjęcie tego gościa skacze z radością; i nieme kamienie nie mogą się nasycić widzeniem chwalebного zwycięzcy.

Ty Panie, który obrócił opokę w wodne jezioro, Ty dla chwały krzyża Twego czyniącemu, te między dzikimi górami sprawiłeś aplauzy.

Lecz nie nam Panie, nie nam, ale Imięnowi Twemu świętemu niechaj będzie chwała.

Dla miłosierdzia Twego i dla prawdy Twojej; aby nie rzekli poganie; kędyż jest Bóg ich?

A ono Bóg nasz na niebie! a wszystko uczynił co chciał.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu. Jako była na początku, tak i teraz i zawsze, na wieki wieków. Amen.

OPALIŃSCY

KRZYSZTOF (1610—1656) i ŁUKASZ (1612—1662).

»Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna. Wrażenie odpychające, naprawdę bolesne. Uciec się chce od tego świata, od tych czasów i od tych ludzi, zostawić tę przeszłość w zapomnieniu«.

Tak charakteryzuje wiek XVII-ty w województwie ruskim na podstawie aktów grodzkich tego województwa Władysław Łoziński, autor »Prawem i lewem«.

Natychmiast jednak zastanawia się nad tylko co rzuceniem oskarżeniem i dodaje do niego bezstronny komentarz:

»Przecież poza tymi ludźmi, co się zaciekle pieniali, zajeżdżali zbrojno sąsiadów, srożyli się nad słabszymi, rozbijali i zabijali, istniała większość spokojna, poczciwa, szanująca prawa boskie i ludzkie. Biorąc to zaś pod uwagę, przychodzimy do przekonania, że przy niepojętych dla nas dzisiaj brakach prawodawstwa i jeszcze trudniejszym do pojęcia niedostatku władz wykonawczych i politycznych, trzeba było idealnych ludzi, aby

było lepiej, niż bywało; a wkońcu pocieszamy się faktem, że równocześnie we wszystkich sąsiednich krajach działo się nie o wiele lepiej, jeśli nie równie źle albo jeszcze gorzej, niżli w Polsce.»

Pogląd ten jest zupełnie słuszny, nie uwolniło to jednak stosunków, panujących w Rzeczypospolitej w połowie i pod koniec wieku XVII-go, od ostrego bicia satyry, której, zaiste, »trudno było nie pisać« w owych czasach.

Bardzo to u nas bogata gałąź literatury, niezawsze mogącej sobie rościć pretensje do artyzmu, ale zawsze, nawet w najmniej artystycznych utworach, cennej ze stanowiska obyczajowego.

»Zaczęła się ta literatura w wieku XVII-tym wojną domową, rokoszem — mówi prof. Brückner. Zwróciła się niebawem z największą zaciętością przeciw konfederatom, dalej przeciw pospolitakom; szczególnie »stacje«, wyciskane z dóbr duchownych, poruszyły pióra (np. Starowolskiego). Inne kwestje polityczne mniej podnoszono; nie zapomniano jednak o sprawie żydowskiej, z którą łączono zubożenie i znędnienie mennicy krajowej, skoro Żydzi wywozili monetę dobrą, a ortami kraj zapługawili. Co do »herezji«, zwycięski na całej linii katolicyzm szydził już z owych czasów, »w których ludzie dworni niemieckie włarki do Polski zanosili i one ludziom za coś pobożnego udawali«; teraz »szpek auspurski« i kalwiński już tylko po kątach się tułał i samizgo jezuit niemiłostwie tropili i tępill w wierszach najbezpieczniejszych. Dopiero jednak na połowę wieku (1640 do 1650) przypada główny tej literatury rozkwit. Ruszano piórem na zdrajców, na zauszników dworskich, na »fakcje« przeciw obrońcy wolności sarmackiej; przeciw modom cudzoziemskim w obozie, w strojach; przeciw sfrancuziałym Polakom; o herezji natomiast, o ucisku chłopstwa i innych materjach zapomniano nie-

mal doszczętnie; jak wszystko inne zmałała i spodała satyrę.

Surowy ten sąd znakomitego znawcy literatury XVII wieku znajduje potwierdzenie we wszystkim, co nam w dziedzinie satyry wiek ten jako puściznę po sobie zostawił.

Pozornie bogata, bo przez dość liczne reprezentowana utwory, jednak uboga jest ta puścizna pod względem formy, bardzo nieraz od poezji dalekiej. Typowe dla tego wieku wierszorstwo, posługujące się rymowaną prozą, a nawet białym wierszem, bez rymu, posiekany tylko wedle dowolnych miar, znajduje tu szerokie zastosowanie.

Nawet najlepsi, najwyżej stojący pośród satyryków ówczesnych bracia Opalińscy poetami nie są, acz w historii literatury zajmują miejsce poczesne z uwagi na stronę obyczajową swoich utworów.

Opalińscy, herbu Łódzia, pochodzili z rodziny starożytnej, od wieku XII-go już zaplansanej na kartach historii, odznaczającej się nadto często gruntownym wykształceniem, dobrymi głowami i miłośnictwem nauk. Jeden z ich przodków, Jędrzej z Buina, biskup poznański, założył miasteczko Opalenicę, od którego spadkobiercy jego nazwisko swoje przybrali. Krzysztof i Łukasz, którzy nas bliżej obchodzą, byli synami Piotra, wojewody poznańskiego, i Zofji z Kostków, kasztelanki bieckiej. Krzysztof urodził się w r. 1610-tym w Sierakowie, na pograniczu Wielkopolski z Niemcami. Po bardzo wczesnym zgonie ojca wychowywał się wraz z bratem młodszym, Łukaszem, urodzonym w r. 1612 tym, pod okiem matki, następnie oddany został również pospołu z bratem do kolegjum Lubrańskiego w Poznaniu, przy którym nieboszczyk ich ojciec »swoim kosztem opatrzył miejsce dla jednego nauczyciela«, z którego też tytułu wydział ten w kolegjum zwał się szkołą sierakowską.

Wojewodzie pobierali bardzo staranne wychowanie naukowe i obywatelskie, o czem świadczy fakt, że po ukończeniu szkół w kraju wysłani zostali na dalsze studia do Padwy (w r. 1630-tym), a stamtąd do słynnego Lowanjum (Louvain) w Niderlandach (dzisiejsza Belgja).

Po powrocie Krzysztof wybrany został posłem na sejm. Jako poseł okazał się jawnym przeciwnikiem zamiarów nowego króla (Władysława IV-go), który, korzystając z wojny trzydziestoletniej, pragnął odzyskać od Szwedów Inflanty, urządzić kozaków i ubezpieczyć granicę południowo-wschodnią od Turków i Tatarów, wreszcie podnieść władzę królewską i jej przewagę «szale sprawiedliwości ustawić równo dla wszystkich stanów i wyznać». Wojnę szwedzką Opaliński najmocniej odradzał, przewidując same klęski, natomiast był zdania, aby się nie zbroić i Szwedom nie dawać żadnej zaczepki, gdyż to jedno może Polskę ocalić.

Jako miłośnik pokoju pojął Krzysztof w tym czasie burzliwym w małżeństwo Teresę z Sędziwojów Czarnkowskich, dziedziczkę znakomitego rodu i majątku, przez co prawie podwoiwszy swe dostatki, używał ich zdala od stolicy na łonie swej rodziny.

Władysław IV-ty jednak, mimo tej przeciwniej dworowi polityki, idąc za zwyczajem zostawiania dostojenstw w znakomitych domach, dał Krzysztofowi województwo poznańskie, opróżnione przez śmierć stryja Jana. To wielkie odznaczenie Krzysztof przyjął jako hołd, należny znakomitości swego rodu, nie poczuwając się do żadnej względem króla wdzięczności. Jakoż podczas sejmu 1638-go roku młody, 28-letni podówczas wojewoda poznański śmiało wystąpił przeciw królowi i jego doradcy Ossolińskiemu, usiłując wprowadzić Rzeczpospolitą na chlubniejszą dla niej drogę czynu. Naraziwszy się tem stanowiskiem swoim dworowi i widząc dla siebie obojętność, Krzysztof usunął się do swolch dóbr i przez lat 6 nie brał żadnego udziału w sprawach publicznych. Dopiero

nieprzewidziane okoliczności zbliżyły go znów nagle do dworu. Oto po śmierci królowej Cecylii Renaty król postanowił zaślubić pokrewną dworowi francuskiemu księżniczkę Marję Ludwikę de Nevers. Gdy wstępne w tym celu układy przeprowadzono pomyślnie, dla podpisania kontraktu ślubnego wysłany został do Paryża wojewoda pomorski Denhoff, a wkrótce za nim, w sierpniu 1645-go r., w tęż drogę wyruszyło świetne poselstwo polskie. Na czele tego poselstwa stanął wojewoda poznański Krzysztof Opaliński, którego «znaczenie osobiste i z przodków, lata kwitujące, piękna i wspaniała postać, wreszcie nauka i ambitne usposobienie czyniły najsposobniejszym do takiej roli». Miał on wyobrażać osobę króla przy ceremonii zaślubin, samego zaś obrzędu zaślubin miał dopełnić drugi, duchowny poseł, książę biskup warmiński Wacław Leszczyński, którego także rodziła Opalińska. A ponieważ i Denhoff, wojewoda pomorski, przez żonę był spokrewniony z rodziną Opalińskich, przeto cała wyprawa była jakby sprawą rodzinną. Opalińscy też wspólnym kosztem i staraniem uczynili swoje wystąpienie najświetniejszym, tak, iż przepych strojów i liczba orszaku zdumiała Francję.

Obrząd zaślubin odbył się w kaplicy pałacowej, zamiast uroczystości w kościele. Było to uczynione z rozkazu królowej regentki, Anny austriackiej, aby się zemścić na królu polskim za zerwanie z Habsburgami. Posłowie polscy nie zdołali temu przeszkodzić, stąd niechęć króla do nich za niezbyt trafnie odbyte poselstwo. Niechęć ta zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy oblubienica królewska po opieszalej podróży stanęła w stolicy dopiero w poście i obrząd osobistych zaślubin pary królewskiej znów musiał odbyć się cicho i smutnie.

Zniechęcony wojewoda znowu usunął się do swego dworu sierakowskiego, gdzie niezadowolenie z osobistego położenia odbiło się na ogólnym jego światopoglądzie. Wówczas zaczął pisać satyry.

Stosunek jego do Władysława IV-go zmienił się dopiero po śmierci króla. Wtedy jako pisarz zaczął go chwalić i wynosić. Ale duch przekory odezwał się w nim na nowo, skoro tylko przyszło do elekcji Jana Kazimierza. Obiorowi temu Opaliński sprzeciwiał się, obawiając się »rycerskich zachceń« nowego pana. Niechęć tę zachował i później. Podczas bitwy beresteckiej posunął ją tak daleko, że umyślnie spóźnił się ze swoim województwem i w świetnym zwycięstwie nie miał żadnego udziału, a gdy król chciał sięgnąć po owoce tego zwycięstwa i »nękać nieprzyjaciela ażby się szczerze upokorzył«, wojewoda poznański oporem swoim wywołał »swawolę berestecką« i udaremnił zamiary królewskie.

Nie bacząc jednak na to, Opaliński był tak beczelny, że w roku następnym wyciągnął rękę po pieczęć mniejszą koronną, odjętą Radziejowskiemu, a gdy mu jej odmówiono, rozżalony wszedł przez zemstę w występne przeciw królowi zмовy, nie tylko z niechętnymi w kraju ale nawet ze Szwedami. Gdy zaś Szwedzi w r. 1655-tym wkroczyli do Polski, Opaliński był pierwszym, co zawarł z nimi w Ujściu sromotny akt poddania się i przykładem swoim pociągnął innych do zdrady. Po kilku miesiącach naród, związawszy się w konfederację tyszowiecką przeciwko Szwedom, wrócił do prawego króla. Opaliński zaś, dręczony zgryzotą, umarł nagle dnia 7 stycznia 1656-go roku¹⁾.

Krzysztof Opaliński jest autorem jednego tylko dzieła p. t. »Satyry albo Przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące na pięć ksiąg rozdzielone a R. P. 1650 w A-R-D-M-E. drukowane (wydane niby w Amsterdamie, właściwie w Lesznie).

Satyry te do r. 1698-go, a więc w ciągu niespełna lat 50-ciu doczekały się siedmiu wydań, co świadczy o ich dużej pocytności.

¹⁾ Rencykl. powszechna Orgelbranda, tom XIX, str. 947. Szajnocha. Szkice hist. III.

Istotnie, ze stanowiska współczesnych łatwo jest wytłumaczyć sobie to zaciekawienie. Znajdowali oni tam we wkleślem odbity zwierciadle swój obraz, swoje wady i przywary, a jeżeli ten i ów nie widział tam samego siebie, to cieszył się z widoku bliźniego. Tę radość odczuwać mogła zwłaszcza szlachta, nie należąca do możnowładztwa, Opaliński bowiem, sam będąc wielkim panem, z natury rzeczy obserwował i chłostał przedewszystkiem życie swojej sfery, życie panów polskich i jej rodzin, zepsutych, jeśli nie znieprawionych przez zbytek.

O tem trzeba pamiętać przy czytaniu satyr, w ten tylko bowiem sposób można dotrzeć do prawdy.

Opaliński — mówi prof. Bełcikowski — wypowiedział w satyrach tyle złego o swych współziomkach, ile nigdy ani przedtem, ani potem od nikogo nie usłyszeli. Odmówił on swemu wiekowi wszelkich cnót moralnych i politycznych, tak że mamy przed sobą obraz zepsucia i upadku, jakiemu równy znaleźć można tylko u Juwenala, poety przechodzącego w zgniliznę i rozkład starożytnego świata. Wrażenie z jego satyr tem silniejszy odnosi skutek, że autor nie złagodził ostrej i przerażającej nieraz treści zewnętrzną nawet formą. Jest ona szorstką i nieokrzesaną. Opaliński posiada jeden tylko przymiot poetyczny, mianowicie plastyczność przedstawienia, posuniętą do wysokiego stopnia. Plastyczność ta przypomina silny język rejonowski. Wszystkie postacie, wprowadzone na scenę, pełne są ruchu i życia — znać, że ich obraz wzięty był z rzeczywistości i schwycony na gorącym uczynku. Dlatego nie czujemy, aby Opaliński miał najmniejszą chęć ich zidealizowania. Nakreślone są one w całej swej nagości, z rubaszością, właściwą charakterowi pozłomych istot, a nieraz z całym ich cynizmem.

Z tych to powodów — wyjaśnia autor studjum o Krzysztofie Opalińskim — osobistość autora »Satyr« od czasu ich pojawienia się była zjawiskiem dziwnem w naszej literaturze. Nie wiedziano, jakie wyrzec o niej

ostateczne słowo: czyli potępić tę bezwarunkową surowość i nieuzasadnioną wyraźnie przesadę, czy też uznać zasługę męża, który z nieugiętością Katona ośmielił się rzucić swym złomkom nagą prawdę przed oczy.

Współcześni dzielili się w tym względzie na dwa obozy. Jedni, mając na widoku grzechy Opalińskiego przeciw ojczyźnie, jego zdradę i pychę magnacką, sądzili go bardzo surowo i odmawiali mu prawa do krytykowania i sądzenia społeczeństwa, inni, łagodniej na to patrząc jak Wespazjan Kochowski, widzieli w »Przestrobach« książkę, która »w ojczystym języku napisana, rzymskim oddycha wdziękiem i dowcipem«.

Bardzo charakterystycznym głosem opinii jest epigramat nieznane autora, zamieszczony na autografie »Satyr«, odnalezionym przez biskupa Żaluskiego. Epigramat ten brzmi:

»Opaliński! występki, któremi tchniesz cały,
Zarzucasz innym, a sam pelen jesteś zbrodni.
Prawdziwe czy zmyślane zarzucasz im błędy,
Wiedz to, że są źli ludzie, aleś ty najgorszy.
Niesłuszność, niepobożność i zgwałcona włara,
To jest w tym, to jest w owym, a w tobie zaś
[wszystko.

Tyś Szwedowi królestwo, króla, wszystkie prawa
Zaprzedał — wstydzę się więc i żałuj na wieki!«

Podobnie ostro uderza na autora »Satyr« Marcin Nieborowski, podkomorzy sochaczewski, z pod którego pióra wyszedł znajdujący się w rękopisie w bibliotece Ossolińskich we Lwowie »Respons na satyry, pisane w roku 1650«.

Pan Marcin tak się do Opalińskiego odzywa:

»A ty jakobyś nie w Polsce schowany,
Żeś nie polskiego, widzę, nie ulubił,
I owszem, ostrem piórem jej zwyczaję
Zcenzurowałeś i podałeś światu,

I tej cnej matce, która cię zrodziła
I tak wysoką uczciła godnością,
Należytego odjąłeś honoru,
Formując dyskurs do swego humoru,
Po którym cię znać, nie dzikiego męża.
Znać dobrze, żeś się schował między ludźmi,
Obce narody ciekawie zwiedziwszy,
Cudzoziemskich się napłes humorów
I staropolską zmieniawszy naturę,
Przystroiłeś się całe w cudzą skórę,
Przeto do ładu nic ci nie przypadło,
Cokolwiek w naszej Polsce się znajduje,
A satyryckie byś napelnił karty,
Wszystkoś upatrzył, wszystkoś ponotował...
A byłoby też co pisać o tobie,
Byś nie spoczywał pod zimnym kamieniem...«

Ten zarzut »cudzoziemszczyzny« nie jest jednak słuszny.

Wiemy — zaznacza Belcikowski — że Opaliński kształcił się i podróżował zagranicą, że tam miał zwłazki i znajomości z wielu uczonymi ludźmi, możemy zatem wierzyć twierdzeniu, że pod pewnym względem kierował się pojęciami zagranicznymi, że było wiele rzeczy w Polsce, na które patrzył niechętnem lub lekceważącym okiem, w jego satyrach jednakże nie widać bynajmniej nic obcego i nienarodowego; owszem zna on na wylot naturę swej współbraci-szlachty, ich słabości, wady i przywary, a każda postać przez niego skreślona pełna jest naturalnej prawdy. Dlatego zaliczyć go raczej należy do rzędu często podówczas napotykanych ludzi, którzy, ulegając zagranicznej cywilizacji i przeobrażając się w niejednym względzie pod jej wpływem, zachowali mimo to grunt swego charakteru takim, jakim go utworzyła natura, właściwa ich społeczeństwu. Ludzie tacy przejmowali z zagranicznych wzorów zewnętrzną ogładę, przejmowali się postępowemi po-

jęciami, obcemi wyobrażeniami o polityce, o formie rządu i t. p., ale w swych zwyczajach, w usposobieniu moralnem, w życiu powszednim pozostawali niezmienni i stąd ich postępek, ich sposób życia w rażącej nieraz były sprzeczności z wygłaszanymi przez usta zasadami. To tłumaczy pogląd Opalińskiego na stosunki krajowe, a zarazem fakt, że, mając głowę pełną wyobrażeń, gdzie indziej zaczerpniętych, zdołał tak trafnie pojmować i oddać w obrazach swych satyr świat najbliższy go otaczający. Wykształceniem, polorem zewnętrznym magnat nawpół scudzoziemczony, sercem i nawykniętymi był szlachcicem wieku XVII-go, jak tyłu innych. Stąd łatwo mu było pochwycić charakter i koloryt swej epoki, a zwłaszcza ludzi swego stanu. Zna on wybornie naturę i wady ówczesnej szlachty, ludzi wojskowych, dworaków; z prawdą i bez wątpienia z żyjących wzorów kreśli rozmaite ułomności moralne, przedstawiając udanych świętoszków, dewotki, przesadne elegantki, marnotrawnych synów, obłudnych przyjaciół, niepozbytych niczem natrętów i t. p. Ale pomimo tego ten właśnie rodzaj satyr, gdzie opisuje stosunki życia prywatnego, największą zdaje się grzeszyć przesadą, bo znając charakter naszej przeszłości i narodu, śmiało możemy twierdzić, że lubo w owych czasach wiele było zbytku, nierozsądnego naśladownictwa obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pljackich bankietów i wiele nawet poziomej podłości, jednakże pewnie ówczesni mężowie nie byli truci arszeniklem ani ojcowie, z obawy przed chciwością synów, nie potrzebowali zażywać mitydatowego antidotum, jak podaje Opaliński (Satyra IV-ta księgi I-ej i V-ta księgi II-ej).

Słuszny ten w zasadniczych konturach wywód Belcikowskiego posiada jednak błąd, popełniany zwykle przez krytykę w stosunku do satyry: błąd uogólniania. Zarzut, postawiony przez satyryka, zazwyczaj się generalizuje i rozciąga na całe społeczeństwo, a zapomina się o tem, że saty-

ryk mógł oprzeć się i najczęściej istotnie opierał się na jednym fakcie, który go subiektywnie dotknął i oburzył.

Takie fakty jaskrawe Opaliński w sferze, do której należał, mógł obserwować i stąd jego indignatio, która po wszystkie czasy fecit versum satyryka.

Gdyby umiał on, jak Mickiewicz, plunąć na skorupę »z wierzchu zimną i plugawą«, a »zstąpić do głębi« narodu, znalazłby tam niewątpliwie pokrzepienie, znalazłby typy dodatnie wśród szlachty rycerskiej i wśród białogłów, bo nie brak było w wieku XVII-tym Skrzetuskich i Wołodyjowskich, Baś i Krzys, które zjawily się w twórczej wizji Sienkiewiczowi. Ale jako magnat, odgradzony od zdrowych warstw narodu murami swego pałacu, a przez to samo mający szczupłe tylko pole obserwacji, mało miał sposobności do tego, aby złu, które panoszyło się w najbliższym jego otoczeniu, mógł przeciwstawić dobro. Pojęcie jednak o tem dobru nie było mu obce, bo jeżeli postawimy z kolei pytanie, jakie każdemu satyrykowi postawić należy, mianowicie, czy miał on przed oczyma jakiś ideał moralny, to będziemy musieli odpowiedzieć twierdząco. Ideał taki Opaliński posiadał niewątpliwie, ideał nawet wysoki, który, gdyby się mógł był urzeczywistnić, uczyniłby społeczeństwo ówczesne jednym z najwyżej stojących moralnie, zarówno w życiu domowym, rodzinnem, jak i w życiu społecznym i narodowo-państwowym. Pisarzowi, który, sam będąc szlachcicem i wielkim panem, miał jednak odwagę na tle ówczesnych stosunków głośno uskarżać się na »ciężary i oppresję chłopską w Polsce« (satyra III-a księgi I-ej), na »interregnum i nierząd jego« (satyra I-a księgi III-ej), na to, że »żaden król Polakom nigdy nie dogodzi« (satyra II-a księgi III-ej), na »skarby i nieporządek w nim« (satyra V-ta księgi III-ej), na »chromą albo raczej martwą praw naszych egzekucją« (satyra VIII-a księgi III-ej), na »zepsowaną militarem dyscypliną i nierząd wojskowy« (satyra IX-ta księgi III-ej) i t. d. — nie można odmówić poczucia obywatelskiego

i wrażliwości na to, co istotnie przynosiło Rzeczypospolitej szkodę.

Zarzuca się Krzysztofowi Opalińskiemu powszechnie przesadę i zamięłowanie w czarnych barwach, to, co dzisiaj nazwalibyśmy nadmiernym pesymizmem. Czy jednak pesymizm ten był nieuzasadniony i czy rzeczywiście wynikał on z usposobienia zgorzkniałego i zawiedzionego w swoich ambicjach pana polskiego? Niewątpliwie i to było przyczyną satyrycznej indygnacji wojewody poznańskiego, ale nie tylko to, jeżeli bowiem bacznie rozejrzemy się w tem, co go o wylew żółci przyprowadzało, co go oburzało i drażniło, to z łatwością będziemy mogli ustalić, że ogromna większość tych wad i przywar to nasze wady i przywary narodowe, które towarzyszą nam od wieków i które w każdorazowej satyrze polskiej, niezależnie od wieku, w którym ona powstała, znajdują swój wyraz. Czyż bowiem niektóre z motywów Opalińskiego nie powtarzają się jeszcze dzisiaj? Czy u Rodocła, Nowaczyńskiego i Lemańskiego nie znajdujemy myśli i tonów pokrewnych?

Zapewne, rzeczą chlubną jest czcić przeszłość, ale wszyscy przysięgli laudatores temporis acti grzeszą jednostronnością swego chwalebego uczucia. Widzą oni tylko jasne strony życia polskiego w przeszłości, zamykają natomiast oczy na jego strony ciemne. Tymczasem w życiu jak w życiu — obok dobrego musiało być złe, obok złego musiało być dobre. Ścieranie się tych dwóch przyrodzonych sił w duszy ludzkiej tworzy dopiero prawdę życia, podobnie jak połączenie elektryczności dodatniej z ujemną wytwarza prąd elektryczny.

Przyznając więc przeszłości polskiej to, co było w niej istotnie wielkie i szczytne, co składało się na »dawnych Polaków dumę i szlachetność«, miejmy jednocześnie odwagę spojrzeć prosto w oczy temu, co odziera piękną

legendę z jej kwiatów, a ukazuje nam rzeczywistość bez obłon.

Tej rzeczywistości, niestety, jest dużo w »Satyrach« Krzysztofa Opalińskiego, i dlatego stanowią one dla nas cenny dokument, na którego podstawie możemy odtworzyć sobie prawdę.

Zła edukacja dzieci, zbytki i zepsucie kobiet i mężczyzn, fałszywe nabożeństwo lub oziębłość w wierze, pogaństwo, lenistwo, samochwalstwo, pyszne nieuctwo, obmowy, miłość wyrodna lub marnotrawiąca puściznę po ojcach — a dalej — w rzeczach publicznych: przestępstwo grosza publicznego, brak obrony krajowej, niekarność wojska i t. p. — to dalibóg nie przesada a w stosunku do wieku XVII-go.

Tu już historia tego wieku popiera satyryka swymi świadectwami. Zresztą — jak słusznie zaznacza prof. Belcikowski — nie Opaliński pierwszy powstawał na tego rodzaju błędy. Wyprzedził go w tem ludzie znanej prawości i wielkiej używający sławy jak Jan Ostroróg, jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka piszący o naprawie Rzeczypospolitej, albo Mikołaj Rej.

Jeżeli więc stosunek historii literatury do postaci i dzieła Krzysztofa Opalińskiego przez długi czas nie mógł się ustalić, to przyczyny tego szukać należy gdzie indziej, nie w przesadzie jego satyr, ale w tym odruchu uczuciowym, z jakim naród cały odwrócił się od zdrajcy, od wojewody, który wydał województwo swoje Szwedom. Odruch ten był zdrowy i trudno się z tem nie zgodzić, zwłaszcza, że długo nie umiano u nas odłączyć dzieła od pisarza. Nic przeto dziwnego, że człowiekowi o małej w mniemaniu powszechnem wartości moralnej odmawiano prawa do sądzenia i piętnowania innych, w myśl tego, co tak trafnie ujął anonimowy autor znanego nam już epigramatu:

»Opaliński! występki, któremi tchniesz cały,
Zarzucaś innym, a sam pełen jesteś zbrodni«.

»Pełnym zbrodni« był wojewoda poznański dla swoich współczesnych i »pełnym zbrodni« pozostanie zawsze dla każdego dobrze myślącego Polaka.

Niemniej należy mu się i należeć będzie zawsze bliższa uwaga, jako patologicznemu okazowi w literaturze, jako temu »dwolistemu typowi«, będącemu, jak mówi Belcikowski, »sprzecznością dla innych a nie raz i dla samego siebie«.

Podobne »sprzeczności« były w Stanisławie Trembeckim, w Maurycym Mochnackim, w Zygmuncie Kaczkowskim i, że sięgniemy aż do naszych czasów, w Stanisławie Leopoldzie Brzozowskim, a jednak wszyscy oni należą do historii literatury i mają w niej karty własne.

Taką kartę posiada niewątpliwie i Krzysztof Opaliński. Gdyby go nie było, gdyby »Satyry« jego nie istniały, obraz wleku XVII-go w Polsce miałby niczem niezapełnioną lukę i nigdy w całości nie dałby się odtworzyć. Dzięki »Satyrom« rozporządzamy dzisiaj bogatym zasobem barw, które obraz ten uzupełniają i dodają mu plastyki i idzie tylko o to, aby barwami temi posługiwać się umiętnie, pamiętając, że satyra nie jest nigdy odbiciem rzeczywistości, ale jej karykaturą, opartą nie o całość życia społeczeństwa czy narodu, ale o poszczególne fakty, z tego życia zaczerpnięte.

Tak operując »Satyrami« Opalińskiego, nie tylko nie odrzucimy ich jako przesadnych, ale nauczymy się w ich świetle rozpoznać niejedną prawdę, do której na innej drodze nie moglibyśmy dotrzeć.

Postacią, która o wiele przewyższa autora »Satyr«, jest młodszy jego brat, Łukasz.

W życiu publicznym nazwisko Łukasza Opalińskiego spotykamy po raz pierwszy na sejmie 1638-go roku, na którym wojewodzie poznański, liczący wówczas 26 lat, obrany był marszałkiem. Sejm ten, jak mówi prof. Kubala, »okazał całemu światu, że król polski jest bezsilny«. Przekonał się o tem — dodaje autor studjum »O pismach

Łukasza Opalińskiego«, Stefan Zawadzki — może i sam marszałek poselski, w trzy lata potem wydał bowiem »Discurs o naprawie sejmów« i nawcływał w nim do wzmocnienia władzy królewskiej.

Ożeniony około r. 1640-go z Izabelą Tęczyńską, córką wojewody krakowskiego, zamieszkał Łukasz Opaliński w Rytwianach, w sandomierskiem, i, jak się zdaje, nie brał żywego udziału w sprawach państwa. Dopiero po śmierci Władysława IV-go otrzymał w r. 1650-tym marszałkostwo nadworne koronne, zbliżył się więc do tronu. Znany był już wtedy jako autor wydanej w roku 1648 ym po łacinie »Obrony przeciw Barclay'owi«.

Czasy były to dla Rzpltej ciężkie. Opaliński przyznaje w mowie dziękczynnej za łaskę marszałkowską, że »to nie jest rzecz pieszczona rządzić i władać państwem, nie jest rzecz wczasu i odpoczynku dobro jego obmyślać, mężnie i odważnie sustinere grave onus imperii. Trudna to — mówi — naprawdę, ciężka, pracowita i śmieie rzekę jednej głowy jednym ramionom ledwie znośna«.

Wiadomości nasze o jego pismach były do niedawna bardzo skąpe. Dopiero studjum Stefana Zawadzkiego¹⁾ rzuciło nieco więcej światła na działalność literacką pana marszałka, zbierając w jedną całość sądy o nim i o jego pracach wypowiedziane.

Naczelne wśród tych prac miejsce zajmuje: »Rozmowa plebana z ziemianinem albo Dyskurs o postanowieniu teraźniejszym Rzpltej polskiej i o sposobie zawierania sejmów« 1641 (bez miejsca druku).

»Rozmowa« zaczyna się od przemowy do czytelnika (streszcza Zawadzki), w której autor stwierdza, że wykonał, co mu kazała życzliwość ojczyzny, »gdyż nierząd

¹⁾ Prace komisji do badań nad historją literatury i oświaty. Tom I. Wydawnictwo Tow. Naukowego Warszawskiego. Warszawa, 1914.

w sejmach coraz górze bierze z wielkim wstydem i hańbą narodu naszego.

»Rozmowa« właściwa podzielona jest na dwa »dni« i toczy się między Plebanem a Ziemianinem. Pleban, chcąc się dowiedzieć, co słychać w stolicy, odwiedza Ziemianina, który tylko co powrócił z Warszawy. Zastaje go w »samorodnej ziemiańskiej sali«, pod lipą i dowiaduje się, że »publicae curae coraz trapią serce jego, że z ojczyzną coraz gorzej się dzieje«. W odpowiedzi na to Pleban zwraca uwagę, iż przyczyną, dla której »fundament szwankuje«, jest »nieporządne sejmowanie, z którego z guba wolności przyjść musi; ażeby temu zapobiec, »wszystko miles rządu ojczyzny musi przyjść pod władzę jednego«.

Na naleganie Ziemianina o radę, Pleban po długich wzdarganiach przystępuje do »diskursu o sposobie zawierania sejmów«, opowiada historję wolności szlacheckiej, porównując oczywiście stosunki polskie ze stosunkami w Rzymie, a posłów z trybunami ludowymi, dochodzi wreszcie do wniosku, że kiedy dawniejsze prawa były »temperamentem władzy królów«, to teraz owo »praesidium libertatis« więcej chyba szkodzi niż pomaga. Na wyraźne żądanie Ziemianina o »remedium« mówi Pleban-Opaliński tak: »Jako zepsowania Ojczyzny jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, tylko gdy się do niego powróci. To jest pod władzę większą i panowanie królów, którego teraz cień i godność władzy próżna«.

Słowo padło: »Remedium pejus morbo (lekarstwo gorsze od choroby). Wolę zwyczajny nasz nierząd byle przy wolności« — odpowiedź łatwa do przewidzenia, nieunikniona. Pleban nie ustępuje, przytacza racje, dla których Rzeczpospolita »długo i hoc statu stać nie może«, a więc »zepsowanie« obyczajów

zatrącenie dawnej cnoty i t. d. Ziemianin na wszelkie do wodzenia ma wciąż odpowiedź gotową, że »nie tylko Polska, ale i każde, w tak wysokiej wolności będące królestwo nierządem stoł, że wreszcie »novitates« żadnych nie chcemy, prosi przeto Plebana, żeby przystąpił do właściwego tematu o poprawie sejmów.

Pleban wychodzi z założenia, że »gdyby dobrego rozsądku powodem iść się w tym miało, wszystek by sposób consultacyej waszych cale odmienić potrzeba«. Główny niedostatek sejmów upatruje on w tem, że »ani prawem opisanego dostatecznie ani zwyczajem doskonale utwierdzonego niemasz porządku consultacyej waszych« — więc przedewszystkiem chodzi o stworzenie regulamintu. Prawa marszałka powiększyć, sentencje senatorskie skrócić, a dalej: pierwszego dnia oddane być mają marszałkowi wszystkie instrukcje, on ma spisać »materiam constitutionum«, przyczem pierwszeństwo powinny mieć te materje, które obchodzą RPublicam: exorbitancje, konstytucje do naprawy rządu, obrona albo obmyślanie bezpieczeństwa od nieprzyjaciół (tu dodaje, że to sprawa bez podatków niemożliwa, dlatego puścić ją należy na koniec, aby ją insze »osłodziły i ocukrowały«). Ziemianin dopomina się oczywiście o artykuły prywatne, na nie przeznaczony ma być dzień jeden — sobotni; wtedy porządkiem województw niech będą czytane.

Tu natrafiamy na drugą ważną myśl broszury: »Nikommu nie wolno przeczyć publicznym konstytucjom dlatego, że mu prywatnych artykułów nie pozwalają, bo byłaby rzecz extremae licentiae« — mówi Pleban. Jest to więc zamach na veto. Opaliński rozwiązuje rzecz w ten sposób, że prawo ma określać, które są publiczne, a które prywatne artykuły, np., »publiczne są te, które directa concernunt potrzeby y dobro albo generalliter wszystkiej oyczyzny, albo też chcć jednego województwa obywatelów, byle względem ostrzeżenia ich

szlacheckiej wolności. Prywatne te, które się ścigają na pożytek prywatny albo województwa albo szczególnych w nim osób.

Drugą przeszkodą w obradach sejmu jest to, że posłowie przystępujący są uniesieni złemi afektami. Płyną one z chciwości pomnożenia swej fortuny, z nienawłści prywatnej i z rozróżnionych animuszów pochodzącej niezgody; posłowie »tak wicherzą, przeczą sobie, iż się sejm zerwie albo zastanowi, tak jako łódź, gdy w niej wemiges (wioślarze) przeciw sobie robią«. Wreszcie podaje Pleban »monita« mniejszej wagi: o punktualnem przybywaniu posłów, o niewprowadzaniu spraw sądowych, o wykluczaniu z sali arbitrów, o usunięciu lub skróceniu relacyj hetmańskich i t. d. Są to rzeczy napozór drobne, które jednak dokuczyły widocznie bardzo, skoro od wieku XVI-go we wszystkich projektach naprawy sejmów o nich jest mowa.

Oto naszkicowana treść »Rozmowy«. Głównemi jej punktami są: zdanie o wzmocnieniu władzy królewskiej — w tych czasach wyjątkowe; cały projekt regulaminu sejmowego i stosunek autora do liberum veto, wreszcie charakterystyka opozycji ziemiańskiej.

Nie »Rozmowa« jednak zjednała Łukaszowi Opalińskiemu popularność, ale wydana w Gdańsku w r. 1648 odpowiedź słynnemu humaniście, Janowi Barclay'owi, na jego uwłaczające o Polsce zdania. Odpowiedź ta p. t. *Polonia defensa contra Joannem Barclaium* zdobyła Opalińskiemu miano »obroncy ojczyzny« i zapisała go dobrze w pamięci współczesnych i potomnych.

Barclay w swoim słynnym *Satyriconie* (»Icon animorum«) (Londyn 1603, Amsterdam 1628), charakteryzując inne kraje i narody, scharakteryzował także Polskę i Polaków złośliwie i niepochlebnie.

»Za naszych czasów — mówi prof. St. Tarnowski w swojej »Historji literatury polskiej« na kartach, po-

święconych Opalińskiemu — kiedy nlema potwarzy ani obelgi, którebyśmy na siebie nle byli słyszeli lub czytali, mamy skórę grubszą na przykrości tego rodzaju i potwarz budzi w nas więcej wzdargi niż gniewu, a ignorancja drugich we wszystkim, co się nas tyczy, już nas nie boli ani upokarza, tylko co najwięcej czasem śmieszy. Ale nasi przodkowie, przyzwyczajeni do tego, aby ich i ich ojczyznę szanowano, drażliwi byli od nas na te zaczepki i nie mogli zrozumieć, dlaczego i za co ludzie ich szkalują lub wydrwłwiają, kiedy oni spokojnie żyją, nie zaczepiając nikogo i dobrą sławę innych szanując«.

Nic więc dziwnego, że temi uczuciami powodowany Łukasz Opaliński, skoro przeczytał w dziele Barclay'a »nieprawdę« o Polsce, postanowił mu odpowiedzieć i błędne jego mniemania sprostować, aby nie szerzyły się wśród innych narodów. Odpowiedź swoją napisał po łacinie, aby zapewnić jej międzynarodowość.

Przedrukowawszy na wstępie cały inkryminowany ustęp Barclay'a, kolejno zbija potem jego zarzuty.

Dowodził więc naprzód Anglikowi (streszcza prof. Tarnowski), że nawet geografji nie umie, że ani granic ani rozległości Polski jak się należy oznaczyć nie potrafił, że wyobraża ją sobie jako nieprzerwaną płaszczyznę, a o Karpatach nawet nie wie; że jak prawdziwy ignorant nazwę Polaków i Polski wyprowadza od scytyjskiego niby wyrazu *Pole*, kiedy cały świat wie, że to nie dzięki scytyjski, lecz słowiański wyraz. Ale i to nieprawda, żeby nasze narodowe miano wzięte było od naszych pól; daleko prawdopodobniej przewaliliśmy się Polakami od naszego protoplasty, która to nazwa mówi, że jesteśmy po *Lachu* (Lechu).

A gdzie nie skłamię złośliwy Barclayus, tam przynajmniej przesadzi. Mówi np., że nasze pola otwarte i przestronne śnieg ogromny zasypuje. Jest śnieg i duży

to prawda, ale w Niemczech także bywa spory, a największy, *nix altissima*, to nie u nas w Polsce, ale in *Moscovia*. Albo znowu mówi, że w zimie mróz ziemię i wody ściska, jakżeby to u nas tylko, jakżeby nie zamarzał Ren i Dunaj. Nie jest u nas tak ciepło jak we Włoszech, tem się nikt nie chwali, ale znowu nie o tyle gorzej jak u innych. Przecież nasza stolica Kraków leży o jeden tylko stopień geograficznej szerokości wyżej od Paryża a niżej niż Londyn, Amsterdam, zwłaszcza niż Szkocja, ojczyzna „niecnego” Barclay’a. Ale cóż z tym złośliwym potwarcą gadać, kiedy on całą Polskę opisuje jakoby dziką i lasami zarosłą! Niechże się do wie bezbożny oszczerca, że Bogu dziękować mamy drzewo i mamy go dosyć, ale gdzie tylko ziemia do uprawy sposobna, tam dawno wykarczowana, osiada, rodzi pszenicę nie sosny. Szkot o tem nic jednak nie wie. Wyobraża sobie, że my tu mamy futra piękne i drogie, sobole, gronostaje i tam dalej. Mamy, prawda, ale za pieniądze, sprowadzamy je sobie z Rosji i płacimy za nie drogo, bo nas stać na to, ale u siebie takiego zwierza nie widzimy.

Broniąc wszystkiego, dochodzi Opaliński do tego, że musi skruszyć kopję nawet za honor polskich karczem, podróży i noclegów. Zadanie trudne, zda się nie do wykonania, tem bardziej, że Anglik tym razem szczerą prawdę napisał, ale i tu umiał sobie poradzić Polak, gorliwy w obronie swego kraju.

»Zajazdy ich — pisze Barclay — nie są wcale kształtem i zwyczajem naszych czasów urządzone. Drzwi i okien często brak, wiatr szparami wchodzi, łóżek ani stołów gotowych dla podróżnego niema, tylko zaścielają podłogę sianem i to im służy za łóżko, a poścler i żywność wożą z sobą, właśnie jakby się z całym domem z miejsca na miejsce przenosili«.

»Prawda — mówi Opaliński — mało co a może i wcale nie skłamał, ale tak właśnie jest najwygodniej

i najlepiej« — i tu następuje obrona, a ledwie że nie apoteoza polskich karczem, noclegów, podróży, tłumoków i t. d. »Niema u nas gotowej pościeli po zajazdach, ale wolę daleko wozić swoją czystą, niż spać na cudzej, Bóg wie czy świeżej i nieużywanej. W Niemczech wprawdzie nastaje gotowe łóżenie, ale dziękuję za nie, bo najczęściej z całego tygodnia składane i odgrzewane. A niewygoda polska znowu nie tak wielka: całego domu z sobą się nie wozi, ale to tylko, co do podróży potrzebne, a służba wprawna szybko to składa i pakuje, że i czasu niewiele się traci«.

Odpierając zarzut co do braku poloru u Polaków pan marszałek, który sam zagranicą zamłodu wraz z bratem Krzysztofem bawił, tak wywodzi:

»Jeszcze u nas — mówi — obyczaj lepszy, niż tam, skąd wszyscy wzory dziś biorą. Tam — we Francji — młodzież szlachecka, jeżeli się czego uczy, to chyba ćwiczeń ciała, jazdy konnej, fechtunku, piłki, a potem tańcować, włosy treflić, perfumować się, stroić. Takiej znieśliałości jeszcze u nas niema. Ani u naszych niewiast tego, żeby każda miała wielbiciela i jeszcze panną będąc romansowe historie czytała, oczyma strzelała, wzdychała, bileciki potajemnie pisała. Tam taka moda, że każdy choć się i nie kocha, to musi udawać, wzdychać, oczy przewracać, skarżyć się i narzekać i na tem i na ubieraniu całym czasem schodzi. U nas inaczej: my po miastach nie siedzimy, ale na wsi, co dla obyczajów bezpieczniejsze. A co do poloru i elegancji w życiu, to mamy ich raczej za wiele niż za mało. W grzeczności, uczciwości, jaka się każdemu należy, w dobrem wychowaniu nie ustępujemy nikomu, a, niestety, w wystawności i pompie takóże nie, bo aż nadto w nich się kochamy i drogie na nie łóżyśmy pieniądze, którychby lepiej użyć można«.

Co do ustroju Polski, który Barclay krytykuje, Opaliński zajmuje również stanowisko obronne, chociaż w »Rozmowie« sam do reformy dążył.

»Jeżeli — mówi — Anglikom nikt nie wyrzuca parlamentu ani Niemcom elekcji cesarza, czemuż na nas krzyżyć mają o sejmy lub o elekcje? I te elekcje nie tak straszne i burzliwe. Króla Władysława obierało ze dwakroćstotysięcy szlachty lub więcej, a przez cały czas nie było w Warszawie jednej zwady, jednej burdy na ulicach. Że król u nas czuje się być pod prawem, a nie sądzi, żeby prawo było dla niego, to szczęście i chwała i królów i narodu, to dobrze; ale żebyśmy ich gwałtem do posłuszeństwa prawom zmuszali, to nieprawda. Owszem, jesteśmy naszym królom wierni i posłuszni i szanować ich umiemy, żadnegośmy nie zdradzili ani nie wypędzili ani skrycie nie zabili, a tem mniej nie więzili i na rusztowaniu nie stracili. I komu to mówić? Kto śmie nam nasze mulemane grzechy przeciw królom wyrzucać? Czy nie Szkot, z tego narodu człowiek, co króla swego, z ufnością mu się w ręce oddającego, nie tylko zdradził i wydał, ale podle za pieniądze sprzedał parlamentowi, ażeby mu ten głowę ślą, czego żaden sejm polski nigdy nie zrobił i nie zrobi.

W tem jak i we wszystkim, co mówi Łukasz Opaliński w swojej apologji Polski, oskarżonej o barbarzyństwo, jest dużo prawdy. W całości jednak o »Obronie« z daleko większą słusnością niż o »Satyrach« Krzysztofa powiedzieć można, iż grzeszy ona przesadą — a pytanie, co dla narodu zdrowsze: przesada w kierunku wytykania wad i błędów, czy przesada w usypiających czujność pochwałach swojskości?

Rzecz znamienna, że przedstawicielami tych dwóch kierunków w literaturze XVII-go wieku są dwaj bracia, z których starszy ganił wszystko i wszystkich, młodszy ponad miarę chwalił, starając się dowleść cudzoziemcom, że w Polsce jest wszystko jak najlepiej. Niestety, nie cudzoziemcy w to uwierzyli, o czem świadczą inne z wieku XVII-go pochodzące opisy Polski, jak Jana Botera i Hauteville'a, ale uwierzyła szlachta polska.

Cóż stąd, że Opaliński z całej głębi przekonania odpowiadał Barclay'owi na zarzut, że »Polacy nienawidzą nie tylko samej nazwy posłuszeństwa, ale nawet sprawiedliwej i prawowiernej władzy«, wołając z gestem rzymskiego senatora: »prawda to, że nienawidzimy służalczości, kochamy się w wolności — i tą miłością silni jesteśmy«, kiedy ogół szlachty ani sam silny tą miłością nie był, ani dbał o siłę Rzeczypospolitej, przeciwnie, osłabiał ją, prowadząc państwo do upadku.

Nie był jednak Łukasz Opaliński zaślepiencem, nie był tylko laudatorem Polski szlacheckiej. Widział także zło w tej Polsce i to nadaje piśmom jego charakter przedniejszy, niż mają pisma Krzysztofa.

Świadczy o tem wymownie jego satyra polityczna i obyczajowa, p. t. »Coś nowego — pisanego roku 1652«. O satyrze tej nie wiemy nawet, czy ukazała się w druku. Znamy ją tylko z relacyj drugostronnych, dlatego oprzeć się tu musimy całkowicie na tem, co podaje Zawadzki.

Satyra Łukasza Opalińskiego jest — jego zdaniem — »lekka, ironizująca, dowcipna, zaledwie ślizga się po powierzchni, zręcznie, szybko, właśnie »z drażniącym humorem i z ironją kłującą niby grzecznie a do krwi« — w tem jej zaleta i przez to zajęć musi stanowisko wybitne w historii satyry polskiej. Zająć jednak powinna także stanowisko i ze względu na treść: napisana w roku 1652-im, w znacznej części jest satyrą na klęskę polawiecką i w szeregu piśm, przez nią wywołanych, jest najciekawszem, a przytem jest to najlepsze pismo Opalińskiego; ono jedno może mu zapewnić kartę w historii literatury.

Układ »Coś nowego« jest chaotyczny. Wpływa na to niezmierna rozmałość treści: od potrzeby 1648-go roku i sejmu aż do rozmyślań o marności tego świata i spokojnem życiu w wiejskiem zaciszu. Wszystko jednak

utrzymane w tempie żywym, czyta się z zajęciem, mimo pewnych powtarzań. Forma utworu niejednolita. Część główna — o Pilawcach — pisana wierszem ośmłogłogowym, rymowanym; reszta utworu — napół prozą, napół białym wierszem lub trzynastozgłoskowcem rymowanym. Charakter ogólny satyry — szkicowy, zgodny, zresztą, z wolą autora, któremu nie chodziło o wykończony obraz. »Przeczytawszy — mówi do czytelników — dowiecie się rzetelnie i doskonale coś, ktoś, kogoś z kimś mówiących o czymś — wysłuchał i co mógł olówkiem pogonić, ponotował i wam do czytania podał« — »jest to, jako Włoszy mówią, skizzo«.

Przy końcu zaś autor tak charakteryzuje rozmawiających: »ze wszystkley konditley ludzi drwill, głupstwo i osobiwą manię każdemu przypisując. I tak wybierając z obyczajów każdego wzorki, że się z ich powleści każdy stan, każdy wiek, każdej professiey człowiek zdał potrzebować eleborum, który ma tę moc, że z głową i mózg czyści. O moy Boże! iak tam oni każdego a c u t e przeniknęli tak dalece, że ich zdaniem i sapientowie, i świętobliwi, i poważni, i odważni, i wymowni, i bogaci, i wspaniali, i urodziwi, stateczni, i biegli, i czuli, i subtelni — sine exceptione — żaden coby go trzeba spytać s a n u s e s? żaden bez, ale każdy ma coś w sobie«.

Cały utwór trzymany jest w formie dialogu, któremu przysłuchuje się autor. Zaczyna się od roztrząsania »o czemś«, »powiem wam coś« — ta jedna obletnica (streszcza Zawadzki) zyskać może czytelników, gdyż w Polsce »coś« znajduje poklask zawsze i wszędzie — »coś« jest to rzecz tak kosztowna, że ją najbardziej tałą, że jej najbardziej strzegą i pilnują. »Coś« jest rzeczą, której rozum pojąć nie może, np. o niebie i żywiołach, aniołach, a nawet i o Bóstwie samem siłą nadyskurowawszy, tandem wszystko kończymy, że to jest niepojętego »coś« — te wszystkie względy każą mu właśnie o tem, jak ktoś

z kimś coś mówił, opowiedzieć. »Trudno, lecz chcieli wiedzieć, lepiej niżli mnie pytać, do końca wszystko przeczytać«.

Rada jest słuszna — zauważa Zawadzki — żadne streszczenie nie może dać wystarczającego o tej satyrze pojęcia, która jest właściwie »feljetonem o sprawach polskich za Władysława IV-go«.

Podzielić można cały utwór na dwie części: satyrę polityczną i obyczajową. Pierwsza stanowi wykończoną całość, a przedmiotem jej, jak już wemy, jest klęska pilawiecka.

Pilawce musiały, jak każde wybitne zdarzenie polityczne, wywołać i rzeczywiście wywołały obszerną literaturę, przeważnie rękopiśmienną; każdy przecież ze znanych współczesnych poetów poświęcił tej niesłychanej w dziejach oręża polskiego hańbie więcej lub mniej wymowne słowa, każdy określił swoje wobec niej stanowisko, jednakże ze znanych wierszy o klęsce »Coś nowego« jest utworem najciekawszym.

Opaliński zaczyna od opisu wybierania się na wojnę. Wielu mniemało, że to wesele:

»Abo więc wjazd do Krakowa
Będą odprawować. Owa
Nie tak gach na gody swoje,
Sposabia się w różne stroje,
Jako ci mili rycerze
Krawce, aftarze, szmuklerze
I złotniki zatrudnili.
A gdy się tak wystroili,
To sobie wzajem mówili:
Jak się tylko pokażemy,
To kozaków ustraszemy«.

Po tych kilku uwagach następuje długi ustęp prozą o leniwem ściąganiu, o radach komisarzów, »pułkownika-

mi się poczynili galeati lepores, którzy nieprzyjaciela nie widzieli — duma wielka, serce małe, słów siła, wątku skąpo — poczem następuje najwyższe miejsce satyry — ucieczka nagle »panów« na krzyk »Tatarowie!«

Zaczyna się popłoch na widok, jak się jeden Tatar »przez staw pławił«.

»Ci przez groblę spieszo wyją,
Drudzy wodę błotną plją«.

Trwoga rośnie na wieść z Połonnego o liczbie Tatarów:

»Jeden powie, kiedy najmniej sto tysięcy,
a drugi: »lże! — jeszcze więcej!«

Hetmani zwołują radę. Przeważało zdanie, »by żołnierze uciekali« z tem, aby zebrać się na nowo pod Konstantynowem i tam radzić dalej.

A oto jak się potem tłumaczyli przed królem:

»Każdy plótł i powiadał.
Jeden: »gdy mrok twardy spadał,
Jam dopiero«, drugi zasłę
Mówi: »A ja w owym czasie,
Gdy już wodzowie pierzchnęli
I wszyscy się rozwinęli«;
Trzeci prawi: »już świtało«,
Czwarty: »już się rozedniało«;

był nawet taki (przytyk do Radziejowskiego), który
[mówił, że

»mniejsza strata
Oczywiście wszystka armata
I zguba ludu pleszego,
Niż krwle stanu szlacheckiego«.

Uciekający, jak to zwykle bywa, złożyli winę na Opatrzność:

»Tak to więc zawsze mówimy,
kiedy co sami pokpiemy«.

Narzekali na zły rząd. We Lwowie radzić zaczęli i postanowili zbierać żołd dla wojska. Brali, szturmując do sklepów, ad publicam fidem, lecz się wszystko »in rem obróciło privata m«.

Na tem kończy się część pierwsza satyry pilawleckiej. W części drugiej Opaliński porusza mnóstwo przedmiotów. Przedewszystkiem rozprawia o przyczynach niepowodzenia wyprawy. Jako jedną z głównych przywodzi tę, że »sobie przykrzemy długą wojnę, a ta krótką być nie może«, że brak nam wytrwałości, stałości w przedsięwzięciach; my zawsze mówimy: »byle się raz odważyć«, a tymczasem »sama odwaga nie wystarcza«. Dalej błada na to, że u nas wszyscy liczyć się muszą z opinią ogółu, a opinia ludzkiej nigdy dogodzić przecież nie można (tu wtrąca apoloę o »ojcu, synu i ośle«). Z kolei mówi o sprawie Radziejowskiego, o jego wywyższeniu gwałtownem a niesłusznem, o małżeństwie, a wreszcie o upadku; uważa, że spotkała go zasłużona kara za staranie się o »dodatki«. Tu wtrąca autor moralizujące uwagi o istocie szczęścia ludzkiego. Cóż tę istotę stanowi? Zapewne nie »dobre mienie, choć takie jest głupich rozumienie«, »ja zaś tak z mądrymi mówię, że to dobre, co nas czyni dobrymi: myśl spokojna, serce ukontentowane. To są rzeczy, których nie traci się tak łatwo jak złoto i srebro.

...»I tak powiem:

Kto sam sobie panuje, to Pan mojem zdaniem,
Słuszniej mi ten, co go tak nazywają, a nim
Pożądliwość wszelka rządzi i panuje«.

Wszystko to świadczy o istotnym rozumie Opalińskiego.

Drugi główny temat »Coś nowego« — to sejmy. Temat ogólnie znany i przez wszystkich satyryków wyzyskiwany. Skargi na sejmy, na jałowość ich obrad, na

gadulstwo, brak posłuszeństwa dla marszałka — to zjawisko częste i dość znane w poezji polskiej.

Bardzo charakterystyczna i typowa taka skarga znajduje się w utworze Twardowskiego »Satyr na Twarz Rzeczypospolitej z r. 1640-go«. Na te same wady sejmu narzekają Potocki, Kochowski, Krzysztof Opaliński. Wszystko to znajduje się także w »Coś Nowego«, ale jest tam i coś więcej jeszcze: wyraźne aluzje do sejmu 1652-go r. i do *liberum veto*. Łukasz Opaliński jest tedy pierwszym w satyrze polskiej zdecydowanym krytykiem tej »żrenicy« wolności i to znów zapewnia mu wyjątkowe w poezji XVII-go wieku stanowisko.

Część drugą »Coś Nowego« wypełnia satyra obyczajowa, a raczej cały szereg krótkich satyrycznych ustępów, naszkicowanych tylko lub wykończonych szczegółowo.

»O ile — mówi Zawadzki — w zapatrywaniach religijnych wykazał Opaliński dużo trzeźwości, o tyle w zapatrywaniach na szlachtę jest typowym Polakiem XVII-go i nie tylko XVII-go wieku: nowych ludzi nie znosić. Nie może np. darować Orzelskiemu, że wprowadził do herbarza nazwiska, nigdy przedtem nieznanego, nie może znieść, że »ktoś nowy wybija się u dworu«. Dalej napada ostro na dwór i na »totumfackich«, o których łaski dobijać się u dworu trzeba. Nie oszczędza też duchowieństwa i wyleczki satyryczne przeciw duchownym należą do najlepszych miejsc jego satyry. Broni jedynie jezuitów. Jeśli doda się jeszcze ciętą satyrę na wdowy, satyrę na skąpstwo, na »zwłoszenie« Polski, na zanik męstwa, na »zależenie w pokoju«, wreszcie w bardzo zgrabnej formie podaną bajkę, zręcznie wplecioną pochwałę życia wiejskiego, zdala od rozpustnego dworu i jego intryg — to przekonać się łatwo, że satyra Łukasza Opalińskiego spełnia rolę swoją dobrze, a piętnując i wyśmiewając wszystkie główne wady społeczeństwa, posłu-

guje się narzędziem najdelikatniejszym i najtrudniejszym: śmiechem. Z całą też słuszością można powtórzyć za prof. Biücknerem, że »Coś Nowego« jest jedną z najdowcipniejszych satyr polskich przed Krasińskim.

Nie na tem jednak kończy się zasługa Łukasza Opalińskiego dla literatury. Zawdzięczamy mu jeszcze jedną rzecz ceny dużej: pierwszą próbę teorii poetyckiej, czyli pierwszą poetykę polską.

Pragnąc dowleść, że i on »może mieć miejsce między piszorymami«, pan marszałek napisał satyryczno-dydaktyczny poemacik o tem, kto zasługuje na miano poety i w jaki sposób można zdobyć miejsce na Parnasie.

Tytuł tego pisemka, napisanego około r. 1661-go (G. Korbut), a wydrukowanego w roku 1788 i znanego nam z tej jedynej edycji, jest »Poeta«.

Wyrażone tu poglądy Opalińskiego zasługują na bliższą uwagę z tego względu, iż rzucają one światło na pojęcia wieku XVII-go na poezję i mogą uchodzić za ogólny wyraz ówczesnych zapatrywań na poezję i poetów.

Zaczyna autor od scharakteryzowania tych, co poetami nie są mimo usilnych o to starań. Aby stać się poetą — tłumaczy — niedość jest przebywać na Parnasie lub pić Helikonową wodę, niedość wzywać Muzy. Baśnie to, że coś »ma przyjść darem« — tylko »za pracę Bóg dawa«. Ale sama praca także nie wystarcza. Niedość chwycić próżne słowa, nie włączając się z sobą, niedość liczyć na palcach sylaby — gromadzenie słów i wierszy równych »pod cyrkul« — to nie wszystko; nic z tego, jeśli niema wątku.

Któż więc jest poetą?

Oto ten, »kto wszystko przenika, gładko, łagodnie, miękko i szczęśliwie wymówi«, kto wywoła w czytającym nie tylko wzruszenie, ale i zachwyt. Poeta ma przykuć do siebie uwagę czytelnika, czy »chwali, szydzi, strofuje czy radzi.«

Jest więc obok pracy i warunek drugi, równie ważny, t. j. to, co dzisiaj nazywamy natchnieniem, a co Opaliński określa, jako coś, »co samo przychodzi i tak miło, że się zda, jakby się to urodziło«.

Po tych uwagach ogólnych następują krótkie rady co do czterech rodzajów poezji: liryki, epiki, satyry i dydaktyki. Naprzód idą wskazówki, jak pisać »miłości pieszczony«, »podchlebne pieśni«. Słowa, pełne chęci, służby, ukłony mają być takie, aby po przeczytaniu wkraść się w serce ogień, »a raz wzniecony, już nie ma być płomień ugaszony«. O tem jednak, jak to osiągnąć poeta nie poucza.

Dalej nieco obszerniej zastanawia się nad opisywaniem »rycerskich znojów, bojów okrutnych, bitw zapalczywych«; głównem zadaniem poety ma tu być plastyka w przedstawieniu; czytelnikowi zdawać się powinno, że sam jest świadkiem opisywanych zdarzeń; poeta taka »młodzieńca zagrzewać ma do bitwy, matkę troskliwą napawać obawą o losy ukochanego syna, a dziewczynę kochającą zmusić — skrycie gdzieś wzdychać i niemal obficie łzy wylewać«.

Znów jednak wskazówek, jak to osiągnąć, niema.

W części najważniejszej, poświęconej satyrze, Opaliński rozpisuje się najobszerniej. Chciał widocznie na tym rodzaju oprzeć swój dowód, że »może mieć miejsce między piszorymi«.

Jako przykład satyry podaje opis rady sejmowej. Po ciętej satyrze na »junaków«, przechwalających się swe-

mi czynami wojennymi, mówi autor o stosunku pisarza do »dworskich« i radzi tu wielką oględność, choć miałby z czego drwić i naśmiać się, jednak milczy, obawiając się, aby mu »popędliwe pióro na potym nie było szkodliwe«. Podobnie radzi się zachować i wobec księży.

W części ostatniej, dydaktycznej przyznaje, że »na zbyt uniósł się piórem«, zapomniał, że miał radzić, jak należy »uczyć«, wpadł w ton moralisty i nieudolnym wierszem kreślił marność życia doczesnego.¹⁾

Pomimo tę nieudolność wiersza »Poeta« jest jednak dla historyka literatury zabytkiem szacownym.

Utwór ten świadczy na korzyść autora i pozwala ustalić, że był on na swój czas umysłem głębokim, oryginalnym i niepozbanionym estetycznych zainteresowań. Pan marszałek miał niewątpliwie swój smak i swój oryginalny sąd o rzeczach. »Poetę« sam przemyślał i sam napisał, nie naśladowując obcych wzorów. I tem zdobył sobie w dziejach piśmiennictwa kartę trwałą. U współczesnych nietylko jednak jego zasługi literackie, ile — w przeciwstawieniu do brata Krzysztofa — nieskazitelna dobra sława obywatelska zjednała mu powszechny mił i szeroką popularność.

Linja życia pana marszałka była prosta i czysta. Jako żołnierz, naprzód w Prusiech, potem na wyprawie zborowskiej i w czasie oblężenia Warszawy przez Szwedów chwalebnie się odznaczył, stojąc na czele siły zbrojnej, własnym wystawionej sumptem. Podczas sejmiku warszawskiego, na odgłos wieści o konfederacji żołnierskiej, dla bezpieczeństwa Jana Kazimierza 1200 wybornej piechoty za swoje pieniądze zgromadził i Rakoczego z Węgrami zmusił do odstąpienia od zamku swego w Rytwianach.

¹⁾ W wypisach naszych (zeszyt 24) podajemy »Poetę« w całości ze względu na istotną wagę tego zabytku. Dlatego nie przytaczamy w tekście wyjątków z tego ciekawego pisma.

Zasługi te jego nagrodzone zostały naprzód podkomorstwem poznańskiem, a później, w r. 1649-ym marszałkostwem nadwornem koronnem. Na tym urzędzie zostając — mówi F. M. Sobieszczański — królowi swemu, którego nigdy nie odstąpił, we wszystkich jego przygodach zawsze wiernym się okazał.

Umarł w r. 1662-im, powszechnie uwielbiany. Pochowany został w kościele w Rytwianach, gdzie ma piękny nagrobek.

Krótki wybór pism
KRZYSZTOFA I ŁUKASZA
OPALIŃSKICH.

Krzysztof Opaliński.

Satyry,

albo Przestrogi do naprawy Rządu y Obyczajów
w Polszcze należące, na pięć xiąg rozdzielone.

Księgi pierwszej

Satyr a I.

Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukacją młodzi.

Co po tych proszę zbiorach, co po pełnych złotem
Skrzyniach żelaznych, które w sklepach gęsto stoją,
Worków z zawiązanemi czuprynami strzegąc,
Kiedy potomek wsieć, który ma zażywać
Tego wszystkiego, co nań tak chciwie zgromadzasz?
Po co te włoski sprzęgasz, a sąsiadów ciśniesz,
Ba, czasem niejednemu wszystko powydzierasz,
Kiedy ten tego nigdy nie godzien, co wkrótce
Ma po tobie dziedziczyć. (Bodaj nie dziedziczył
Na większą hańbę domu i niesławę swoją.)
Spytać mnie Polacy zkąd to? chcecież wiedzieć?
Nie umiecie ćwiczenia dawać dziatkom z młodu.
Owszem, przykładem swoim barziej ich psujecie.
Jako ma być napotym dobry, kto z dzieciństwa
Do wszelkiego przywyknie złego, i nałogów

Niecnotliwych nabędzie? Pomnijcie co mówi
 Stary poeta, że wlec skorupa która się
 Świeżą będąc, napłje smrodliwej tłustości,
 Już nigdy nie wycuchnie ani pachnąć będzie.
 Toż się tu właśnie dzieje. Naprzód gdy od mamki
 Dziesięć odsadzą w drugim i to ledwie roku,
 Że utyje jak cielę, tamże go zostawia
 Do kilku lat, aż zgnię między fraucymerem.
 Całują, pieszczą, muszczą, czasem i przytulą
 Nieostrożnie gdzie indziej, że się chłopiec zbestwi,
 Ba czasem i nauczy, i sięgać już pocznie
 Gdzie nie trzeba. Tymczasem papinkami karmi.
 Uchowaj Boże inszej potrawy dziecięciu,
 Tylko co się na ątko zwykło terminować,
 Jako to: gołąbki, kurczątka, cielątka.
 Wołowego nie dać mu mięsa ani grochu,
 Trucizna nie może być dziecięciu gotowska,
 I tak między onymi roście białogłowy
 Sardanapale młode tracąc zdrowie wszystkie
 Nakoniec i czerstwość i ochotę do cnoty,
 Bo zmarnieje w włączeniu dziewczym nim doroście.
 Gdy mu i na plądź wynieść z izby nie dopuszczą,
 Chyba zatkawszy gąbkę i nasek i uszka.
 A na cóż go tak długo tuczysz w tym karmniku,
 Co wżdy z niego na potym chcesz mieć, co dla Boga?
 Dopieroż ci za ledwie po różnych przymówkach
 I krewnych i przyjaciół, pośle go do szkoły,
 Przykazawszy surowie i pedagogowi,
 I tym którzy są przy nim, aby długo sypiał,
 Aby różga na ciałku jego nie powstała.
 Roście Jaś jak cielątko, będzie wołek z niego.
 Proszę wszyscy, że się Jaś uczy arcy dobrze,
 Skacze z szkoły do szkoły, bo ci co go uczą,
 Chcą się rodzicom całe w tym akkomodować.
 Już przebiegł rethorykę i dialektykę,
 Już i wszystkie nauki. Szumny retor z niego,
 Trzech słów nie umie słusznie wyrzec i napisać.
 Toż z nim do filozofii, a potym do domu

Bo umie in Barbara coś argumentować
 Nie w szkole ale w mieście. Kędy w cudzych domach
 Gdy nie będzie celarent, albo też da raptim,
 To nastąpi ferio, argument u męża
 Potężny, który jego wszystkie insze zbije.
 Odprawiając tak tedy swój kurs i nauki,
 Powraca już do domu człowiekiem uczonym,
 Bo tak o nim i otec i matka rozumie.
 Wszyscy jednak inaczej. Cóż wżdy po nim w domu
 Kędy się nie nauczy chyba wszeteczeństwa,
 I wszelkich niepocziwych obyczajów oraz.
 Pan otec sam stanie mu za mistrza dobrego,
 Pani matka też i siostry takiegoż gatunku.
 Pię otec w dzień i w noc, nie wyda go synek,
 Gra kostek, i tych pewnie tenże dopomoże,
 Zwadźca on, wprawi się też niedługo w toż i syn.
 Rad podwiczki pilnuje, i w tym go wyrazi
 Ad a mussim i w inszych zbyt kach i nierządzie,
 I które tylko możesz ogarnąć rozumem
 Niecnotach: ojcowski dom stanie mu za szkołę.
 Nie łoży na nauki syna, i ciężko mu
 Kopę na to obrócić, a zaś tego darmo
 Nauczy się, cokolwiek, i tego, i wszystkie
 Oraz dom zesromoci. Więc mówisz: co potym
 Synowi po łącznie umieć? A on głupi
 Po polsku i łacinie, z ciebie przykład wzięwszy.
 Tak mu tedy ten miły dom i pomieszkankę
 Przy tatusiu wynidzie. Aż się też namyśli
 Wysłać go daleko w cudzoziemskie kraje,
 Po co prosić? aby tam z małpą się ożenił,
 Albo wlec inspektora marnie okaliczył,
 Albo zabił. Wszak wlecie niedawne przykłady.
 Wracą się pan syn z Włoch tande do Ojczyzny,
 Żonkę z sobą prowadząc, a synową ojcu.
 Pocięcha, dla której go trzeba było pięćset
 Mil od Polski posyłać. Nie wspominam straty
 I nakładu i kosztu, i prace i złota,
 Które się tam rozeszło raz na pijatyki,

Drugi raz na zamtuzy i złą kompanią,
Lecz tego nie żałować, bo się grać na lutni,
Śpiewać, skakać galarzy, ba i po francusku
Nauczył dyszkuruować; więc i a la mode
Chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku.
Cóż z tego? to rozumiesz, że siła tym wygrał?
Mym zdaniem wszystko stracił, kiedy bonam mentem.
Już mu i Polska śmierzdzi i wszystko w niej gani,
O Francyi powiada, o damach, baletach,
Nic nie umie tylko lgać, a udawać rzeczy;
W zwierciadle ustawicznie ni tam mała jaka
Muscze się, goli brodę i dwa razy o dzień.
Toż na potym i polskim stroju czynić będzie,
Monstruje, perfumuje, pudruje i trafia
Włosy, z których żelazo ledwie kiedy znidzie,
Mowa, strój, po francusku i gest i zabawa.
Siła przejął zwyczajów, umie i kapłuna
Drewnianego rozebrać, a zjeść prawdziwego,
I po tóż to całe ośm lat w Rzymie, w Paryżu
Potrzeba było mieszkać? i na to się ten koszt
Siedmiudziesiąt tysięcy obrócił i nad to?
A toż masz korzyść z tych to cudzych miłych krajów,
Że syn twój miasto nauk przyniósł ci te figle,
A prezumpcyi nazbyt, którą ma o sobie
Że grzeczny, że uczony, że wszyscy blaznowie
Tylko sam nie, a ono opak to rozumieć.
Jako jeden senator o sobie powiadał,
Gdy też był ze Francyi i ze Włoch powrócił,
Że mu się w Polsce każdy zdał być ledajaki,
Tylko on grunt. Za czasem tak się mu zaś zdało,
Że wszyscy mądrzy, tylko on sam jeden blazen.

Lecz ja do ciebie ojciec znowu się powracam,
I pytam co wždy będziesz czynił z tym to synem,
Który się świeżo wrócił? pošlesz go do dworu,
Czy do wojska? Nic z tego. Niech się domem bawi,
Tuć się siła nauczy, pić a kostyrować,
Warcabami kolatać, kart grać do umoru.
Nuż utracać, pachółków przyjmować, po miastach

Hulać, krzosać, wadzić się, samśladów najeżdzać,
Rodziców nie szanować, rady ich nie słuchać,
Równych sobie znieważać, aż też utną rączkę,
I onę piękną gąbkę sprośnie nakarbuja.
Ty dopiero zabiegać temu chcesz; daremnie.
Czemu? bo już nie rychło, gdy się rozbieżali
Koła, i gdy już trudno zatrzymać ich z góry.

Spyta mię kto, nierządu tego co za koniec?
Króciusieńko odpowiem: marne ożenienie
W domu, jeśli się w Niemczech gdzie nie opartollił
Przeciw woli rodziców. Zatym to nastąpi,
Że wszytek dalszy żywot brzydko poprowadzi,
I w domu lata strawi z powszechną niesławą,
Bo z młodu do rozkoszy i niesławy przywykł.
Nie z tej szkoły, ani też takiego ćwiczenia
Było dwanaście młodzi onych onych Polaków,
Którzy w Adrynopolu na wszeteczny nierząd
Od Amurata będąc cara tureckiego
Wybrani ze wszech więźniów, zabić umyślili
Cesarza; a gdy jeden Bułgarzyn ich wydał,
Władząc o mękach, które cierpieć, albo sprośnym
Żądom tyrana mieli brzydkiego podlegać,
Samiz z sobą tak długo broniami czynili,
Pokaż ostatni nie legł i ducha nie oddał.

To powiedziawszy spyta mię kto, co wždy radzę
O wychowaniu dzieci. Powiem, tylko słuchaj,
Z młodych lat i dzieciennych nie chowaj ich miękko,
Niech przywyka synaczek niewczasom, córeczka
Posłuszeństwu, bojaźni Bożej i rodziców,
Potym na inspektora nie żałuj, a w karze
Kaź mieć chłopię, sam także w niczem nie pobieżaj,
Zwłaszcza gdy upor znajdziesz w jego przyrodzeniu.
Utraty i złych rzeczy nie ucz, i owszem broń;
Niech się też synek z tobą nie pospolituje,
Aby cię i na potym szanował i matkę;
Niech zna oko surowe ojcowskie i matki.
Na nauki nie żałuj. Potym, gdy go zechcesz
Posłać do obcych krajów, wprzód u siebie uważ

I kiedy, w których leciech, a gdzie i z kim posłać,
Bo takiego potrzeba przybrać, ktoby umiał
Kierować nim i jego porywczą młodocia.
Nie żałuj na człowieka godnego, coby miał
Słuszną swoją powagę i respekt u niego.
Gdy się zaś z tych tam krajów do domu powróci,
Nie baw przy sobie, ale poślij go do dworu
Albo do wojska, albo też na służbę kędy,
Gdzieby brał swe ćwiczenie. Tak z niego mieć będziesz
Człowieka pocziwego, i znaczną podciechę,
Inaczej śmieie rzekę, lepiej nie mieć dzieci,
Niżeli mieć takowe, które dom twój, siebie,
I ciebie zhańbić mają, a zhańbić na wieki.

Księgi wtorej

Satyra I.

Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje.

Dawneż to w Polsce czasy i za Lecha były,
Albo pono przed Lechem, gdy czystość przy wstydzie,
Białej płci należącym, swoją cenę miały.
Na ten czas to podobno popłacało, kiedy
Orłowie swoje gniazda sadzili tam, kędy
Miasto leży, od nichże stolica nazwana,
Gdzie się przewisko polskie i imię wylęło.
Albo na ten czas kiedy Wenda królowała,
Wenda wizerunk wszystkim panieńskiej czystości.
Nie słyhać teraz o tym, żeby która w Polsce
Utopić się tu miała, uchodząc wszetecznych
Rytyglera zalotów i łoża brzydkiego,
(Albo jako drudzy chcą z niegoż triumfując),
Ta pierwsza i ostatnia nieśmiertelna panna.
Trudno i o takowe, jaka była ona
Dambrowka księżna czeska, Mieczysława żona,
Pobożna, bogobojna, święta, wstrzemięźliwa,
Która chrześcianinem męża uczyniwszy,
Bałwany sprosnych bożków oraz popaliła.

A potym sławnych wnuków Polsce zostawiwszy,
Czystości, wstydu, wiary małżeńskie wizerunk
Potomnym za testament wiekom zostawiła.
Aleć inakszy był świat na on czas. Prostota
Z szczyrością panowały i cne obyczaje,
Pocziwość i stateczność, wiara, posłuszeństwo.
Aż też czasów późniejszych wkradły się powoli
I zbytki, i nierządy, i niewstyd i chciwość.

Co Popielowa żonka stryjom porobiła,
Wiemy; co Ryxa złego Mieczysława żona,
Która Niemców przybrawszy do swych rad tajemnych
A Polaki się brzydząc, jako psy zdechłemi,
Uciekła polską z synem koronę wykradwszy,
A złe tylko wspomnienie Łachom zostawiwszy,
I niewstydlivem życiem Polskę zaraziwszy.

.....
Ale dawszy wywodom pokój, to powiadam,
Że trudno o pomyślną i o dobrą żonę.
Bo jakoż ma być dobra na potym, a ona
Z młodości od matusi wyssie obyczaje.
Ledwie dziewczynie siedm lat, już jej wspominają
Młodzianów różnych, gachów. Do taneczka z chłopcy
Mało nie codzień, piątkom pewnie nie przepuszczają,
Muzyka, bankieci, taneczki, rozmówki
Z mężczyznami, nauczą przed czasem wszystkiego.
Jedna też drugiej powie. Płosieczki śpiewają,
Które wyćwiczają lepiej, niżli Owidius,
W dawnych swoich księżeczkach de Arte amandi.
Miasto świętych żywotów będzie tam co w druczku,
O zalotach i różnych przebiegach młodzieńskich.
Jeśli też do kościoła przyjdzie, więcej oczka
Po gachach młodych chodzą, niżli po ołtarzach.
W mieście na zjeździe jakim pod sądy i roki,
Z okienka ustawicznie, na tego owego,
Ten taki, ten owaki, to grzeczny, nadobny.
Dziewczęciu ledwie siedm lat, a już wie co hoży
Co ruchawy pacholek. Nastąpi blesładka,

Albo tam gdzie wesele, pani matka z córką
Nieomieszka. Dla czegoż? Aby się ćwiczyła.

.....
Jakie wychowanie,

Taka pociecha będzie napotym, gdy wzroście.
Włęcz rzekomo mówić nie chce przy ludziach i oczach,
A gdy czasik upatrzy, nikt jej nie przegada.
Dopieroż gdy podroście, pani matki prosi,
Aby jej nie trzymała w domu. O klasztorze
Nie myśl, ani pytaj, w głos to opowiada.
— Za kogóż chcesz Anusiu, pyta otec. — Ow się
Nabardziej mi podobał, co ma czarny wąsik. —
— Dobrze, dam cię za niego, kiedy się podobał.

Gdzież się owo podziało, gdy sami rodzicy
Męża córce, nie sobie panna obierała;
Nie spytano jej o to. Tego mężem miała,
Którego jej Bóg przejrzał, a wola rodziców.
Teraz opak, a nie dziw, włęcej w domu rządzi
Niż otec, niżli matka. Ona się rachuje
Z włodarzami, z pisarzem, folwarki objeżdża,
Gospodarstwo prowadzi, jeździ, rozkazuje,
Dom ma za prawą szkołę, pań matkę za mistrza.
Aż ci też za mąż pójdziesz, umiejąc regułę
Quae maribus, albo więc mobile fit fixum.
Nic się nowego pewnie w nowym nie nauczy
Stanie, albowiem wszystko umiała to panna.
Zostawszy tedy żoną, dopieroż króluje,
I męża za nos wodzi, sługami, czeladzią
Rządzi jak chce, kochankom sprawuje, rozdaje.
— Tego odpraw. — A czemu? — Że tak chcę, tak każę.
— Ale dlaczego go mam odprawić, gdy dobry
Czeladnik i posłuszny? — Lecz mnie nieposłuszny.
Sic volo, sic jubeo, dosyć, że ja tak chcę.
Temu każ dać trzy sta plag. — A dlaczego prze Bóg?
— Dosyć że mnie zawinił. Nie usłuchał gdym mu
Coś była rozkazała. Niechaj weźmie cięgę. —
Nie tak królowa Judith Bolesława żona:
Na garło już skazanych często upraszała.

Raz dwu sług osadzonych potajemnie schronić
Kazała, o czym sam król nie wiedział; aż kiedy
Oplonął z gniewu, wtenczas kształtnie nastąpiła,
I z jawnego wyrwała chudaków nieszczęścia.
Tu zaś choć w mniejszym stanie niż królewskim, sieką
Biją, katuja, palą, na rozkaz Jej Mości.
Dobrze, że sam małżonek po łbu nie oberwie.

.....
Cóż zaś o strojach powiem: od poranku aż
Do południa ta sama zabawa stroić się,
Nie dla męża, przestrzegam zawczasu, lecz dla tych,
Którym się chce podobać. Przeto we zwierciadle
Dni całe trawi, ledwie że oraz nie nocy,
Tylko się tego boi, żeby się co złego
W nim jej nie pokazało, jako gdzieś snadź było.
Znają się tedy wszystkie panny do pokoju
Rano dla ubierania. Tam wždy o dwanastej
Na półzegarzu wstanie; niż koszulę weźmie,
Niż pończoszki, trzewiczki, godzina wyciecze.
Potym zaś do zwierciadła. Jedne włosy trafiają,
Drugie wleże budują na głowie i baszty,
Trzecie tam oplniają i stroją ten ołtarz
Jako na Boże Ciało, albo grób piątkowy,
Pyta się: jako kształtnie? Dawają swe vota
Pojedynkiem i panny i ich ochmistrzyni,
Jakoby szło o sławę, albo ściętą szyję.
W tym jej w nos mucha jaka wlezie o lada co:
Łaje, fuka, katuje, szczyple, bije, grozi
Pannom swym i służebnym. Pani stara nosa
Umyka, bo się i tej ledwie nie dostanie.
Włęcz gdy mąż tylko w domu, rozkudłana chodzi,
A jako tam z kąd który gach przyjedzie, albo
Wierny jej kochaneczek, aż ci się wystroi.

.....
Aleć ja to podobno aż nazbyt przetrząsam,
I fałszywie przekładam. Dajem był fałszywym.
Ale tu któraś z naszych przyznawa się całe,

Że tak jest nie inaczej; świadczą czasy nasze,
I oczy oraz nasze, które to widziały.

Co starzy tragikowie piszą o Medeach,
O Prognych, Meglerach, wszystko się to łąci,
I wszystko praktykuje tymi teraz czasy.
I owszem dawne one z szaleństwa czyniły
Cokolwiek włąć czyniły, ale siła takich
U nas, które z uwagą i z poradą czynią,
Na to się usadziwszy, aby w niwecz dzieć
Obróciły po ojcu zmarłym pozostałe.
Ale i ty małżonku jeśliś zdrów, miej pilne
Okło na panią żonkę, miej się w ostrożności,
A zażywaj czego król Mitridates zażył.
Byś zaś czego nie połąnął niezdrowego, aczci
Kiedyby się nie powiódł taki kasek, snadnie
O zdradę nocną i tych co cię zagalszą.

Alcestis własną śmiercią męża odkupiła.
Zofia na Szczecińce księżna, jako pisze
Kromer, męża Eryka chcąc wyrwać z złej toni,
Do taborów królewskich, między wszystkie pułki
Bezpiecznie poszła prosić, aby mu król winę
Odpuścił, karząc samę gardłem lub niewolą.
Witolda wsadzonego od króla Jagiełła,
Żona oswobodziła przebrawszy go w szaty
Służebnej swej, i onę zań tam zostawiwszy.
Lubo i samaż chciała ten ciężar zastąpić,
I gardłem go okupić, by to była można.

Czytają one o tym, ale tak nie czynią,
Bo druga i za pieska kochanego, kiedy
Zachoruje, dałaby żywot męża swego,
Gdyby na okup przyszło. Krótko powiem a w dar
Nie trzeba, tylko jedną wziąć na przykład babę,
Której się imię od Bre zaczyna, a dosyć
O złości białogłowskiej, dosyć i nadmienić.
To przydawszy, że przecię znajdują się takie,
Które do tej satyry mało co należą,

I które pod niebiosa godzi się wywyższyć.
Dobrym Bóg zapłać, a złe niech dyabeł weźmie.

Księgi trzeciej

Satyra I.

Na Interregnum i nierząd jego.

O nierządne królestwo i zginięcia bliskie,
Że z naszym Kochanowskim bezpiecznie wyrzekę.
Ale tego nierządu wzierunek prawdziwy,
I nawiększy jest u mnie samo Interregnum.
Chaos, czy plekło jakie? ubi nullus ordo,
A sroga konfuzya: bo Polacy w niczym
Nie są porządni, tylko w samym nieporządku.
Ten statecznie trzymają i w nim się kochają.
Cud jednak jeden, że się postrzedz nie możemy,
Ani obaczyć, z obcych nie biorąc przykładu.
Król umrze, a my miasto jedności, nabardziej
Wtenczas sobie różniemy. Prywaty na placu.
Terazby ich dochodzić, gdy pogoda, rzeczesz.
Właśnie. Zgadłeś, na ten czas, gdy Ojczyzna mdleje.
Duszkoszby jej dokonać, i dobić do końca.
Sąsiedzi pograniczni w sroglej gotowości
Czuwają na nasz nierząd, a my nie myślimy
O żadnej pogranicznej obronie, także i
Passów i zamków, których ledwie i tak mamy.
A lubo są, nie dbają o nie starostowie,
Woli i wał rozrzucić jeżeli przeszkadza
Ogrodowi, gdzieby się kapusta rodziła.
W sklepach prochów nie znajdziesz, chyba sól gdzie z żupy,
Którą arendarz w nichże na wyższy grosz chowa.
W cekauzie poćle wiszą, a miasto dłał w bramach
Znajdziesz wozy, które mi drzewo z boru wozł.
Straż na blankach, kilkoro świni co wał ryją.
Uchowaj Boże łożyc na naprawę zginiłych
Dachów, i inszych w zamku budynków. Co potym?
Nie dlatego starostą, abym zamku bronił,
Ale abym intratę brał za me zasługi.

Takle to twe zasługi? Żeś królowi czasem
Zwodził, gdy po tobie tej potrzebował służby.
Ale się ja powrócę, com wprzód zaczął mówić
O naszym interregnum, które jeden błazen
Słusznie zwał Terererum, jakieś zamieszanie.
Rzecz kto: azaż nie masz żołnierza na Rusi
Kwarclannego, któryby granic tej tam śclany
Bronił? Jest to tak, ale jest na zgubę naszą,
Opressią wolności i głosu wolnego,
Na ten czas Interregni umyślnie chowany;
Sprowadzi go albowiem hetman pod Warszawę
A to, aby dowodził swego, i tym doplął
Wakancyi u króla, które już ułapił
Obietnicą. A nasze głosy pójdą w kawy.
Ten królem będzie obran, kogo wojsko zechce,
I z inszemi możnemi. Wy panowie szlachta
Drobna, przyjachaliście, nie króla obierać,
Ale groch; spytam ja cię miły senatorze:
Cóż u ciebie droższego: Ojczyzna czy wakans?
Odpowie mi: Ojczyzna. A czemuż to proszę
I wolność swą sprzedajesz za jedno starostwo,
Nie to mówiąc co każe sumienie, ale co
Respekt prywatny, i to co nadzleja każe,
Obierasz króla tego, który w twym rozumie
Nie godzien nigdy zasieść tronu królewskiego.
Przecię go królem chcesz mieć. Zasłępić rozum
Prywata niecnotliwa. Odrzuć tę, a uznasz
Że nie to mówisz co chcesz, ani co rozumiesz.

Satyra II.

Że żaden król Polakom nigdy nie wygodził.

Prawdać to, że się w naszych siła panujących
Znajduje więc defektów naganie podległych,
Jako to w dystrybucie i w inszych funkcyach
Publicznych, ale jednak żaden nigdy naszym
Polskim król nie wygodził humorom, choćby on

Z nieba zstąpił, i choćby lepszego nie było
Nigdy pana na świecie, znalazłem mu przyganę,
Nie żeby się w nim miała znajdować, raczej w nas,
Którzy tę miłą wolność tak szeroko chcemy
Rozpościerać i ciągnąć, że i z grzechem wspomnieć.
Nie uznawamy jaka natura wolności
I jakie jej granice. Ale czynić co chcieć,
To u nas prawa wolność. Króla opprzmować,
Szczypać jego postęпки niewinne, to wolność.
Szpecić stateczny jego ku Ojczyźnie afekt,
I to wolność. In summa, co gdy panujący
Łoży dostatków, zdrowia, niewczasów, to wniwecz.
Biednemu więc potomstwu jego ledwie damy,
I to z wielką trudnością, czymby się żywiło.
Ktoż nam będzie panował, chyba taki który
O nas potężnie myśleć będzie, i o zgubie
Wolności naszych. Inszych pewnie nie znaleźliśmy.
Carnificinam nazwał królestwo Batory,
Tak mu wytchło tytułów i tronu polskiego.
Tylko nie dostawało, żeby też był w łeb wziął
Czekanem jako Zygmunt, co po nim nastąpił.
Gdzież się ono podziało, co więc Zygmunt pierwszy
Zwykł był mawiać, że u swych poddanych na łonie
Bezpiecznie odpoczywać i wyspać się może?
Inaczej tymi czasy, bo jako król komu
Odmówi czego, zaraz buty mu szyć trzeba.
Zaraz szlachtę buntować, i na rokosz wołać.
Aleś tego nie godzien. Podobnieś żabie
Onej, która nogę swą wyciągała kiedy
Konia kuto, tak i ty chcesz z zasłużonemi
Porównać. Dano grzędę kurowi, chce wleźć.
Nabrałeś już, przecię chcesz przed wszystkimi łapać.
Drugim tkwi chleb królewski z gęby, i obfite
Dobrodziejstwa, a przecie niewdzięczni ku panu
Złym za dobre oddają. Świadkiem przeszły rokosz,
W którym ci na Majestat najwlecej bili
I nań następowali, którzy łaskę znali.
To pod czas boju. Cóż zaś rzekę o pokoju?

I w tym się nie wyszedł król, senatorowie,
 Diffidencie w Polsce siła złego robią,
 Gdy między szlachtą, pany i królem panują.
 Kiedy Ordo Equestris swoim senatorom
 I królowi nie ufa, nie mając przyczyny.
 Szkaluje i rady ich, i wszelkie zamysły
 Opak szpoci. Jakoby i królowi na tym,
 I wszystkim senatorom nic nie należało,
 Aby się wszystko dobrze i pomyślnie działo.
 Żaden pewnie nie myśli w Turzech mieszkać, ani
 W Indyach, ani w Chynie. Tu ma swoje dzieci,
 Ma dostatki i wioski, musi o tym myśleć
 Jakoby i Ojczyzna w pokoju i on był.
 Szlachcicem się urodził senator, jak drugi,
 I dlatego Ojczyznę, że w senacie siedzi,
 Przedać ma, będąc cnotą i samą przysługą
 Obowiązany? Honor nie zbawił go cnoty,
 Owszem jej go nabawił; bo wie co powinien
 I Bogu, i Ojczyźnie, i Rzeczpospolitej.

Satyra V.

Na skarb i nieporządek w nim.

Tak to Cajus jak Scius i według Tacita
 Magis alii homines quam alii mores.
 Podskarbi po podskarbm następuje, przecię
 Każdy z nich albo skubie albo takich chowa
 Przy sobie skarbowych sług. Diogenes widząc
 Raz a ono prowadzą złodzieja, co ukradł
 Coś komuś. Za nim idą pisarze skarbowi,
 Prowadząc go chudzinę na śmierć powroзовą.
 I rzece: »Patrzcie co się dzieje. A to Magni
 Fures, hunc parvum du cunct«. Tychby to powieszać
 Co owo z karwaszami do skarbu przystają,
 A teraz kilkadziesiąt tysiącami liczą.
 Nie przez całe lata. Ty się chłopku szanu
 Ubogi i podatki oddawaj zupełnie,

Aby ci zdziercy rześko napełnili worki.
 Twoje podymne, pobór, obróci się wkrótce
 Albo na komedye, albo na kanaki,
 Albo na pológ panu, którego Bóg nie da,
 Niechcąc aby krew ludzka wyssana w podatku
 Obracać się dziesięciu na krzyczny gdzie miała.
 O pisarzach co powiem? O mój Panie jako
 Często konie, kobierce, rydwany sprawują
 Za tento zbiór publiczny. Żołnierz o żołd woła,
 Nie stało już podatków. Na retentach siła
 Zostało. Snadniejsza to, położyć pięćdziesiąt
 Młasto dziesięci, albo dwudziestu, w registrach
 Na prochy, więc na szplegi, nuż i upominki
 Tatarskie, które rzadko Krymu wlem dochodzą.
 Siła registra wezmą. Aleć sejm nadchodził,
 Już też szczerze i pilnie wejrzymy w ten nierząd.
 Podskarbiego nie widzieć. Zachorzał chudzina.
 A na jakąż chorobę? Comitiałem ją
 Morbum, ci terazniejszy doktorowie zowią,
 Która ku konkluzji sejmku opuściła
 Chwała Bogu chudzinę. Przyjeżdżają wołają:
 Crucifige, bij, zabij tego franta, co to
 Kradnie Rzeczpospolitą. Nazajutrz poproszą
 Na bankiet zawołany wszystkich panów posłów;
 Albo wždy co gębiatszych. Bankiet szumny. Piją
 Za zdrowie podskarbiego, który dziś trzeci dzień
 Frantem był i oszustem, i zdrajcą, złodziejem;
 Nie słyhać między winem takich głosów, ani
 Przegrózek, tylko: viva, viva, nasz podskarbi
 Cnotliwy, i któremu równego nie miała
 Polska. Concedo, ale równego szalbierza.
 Upominki się kurzą. Tego koń z siedzeniem,
 Owego czarka potka, tego portugaly,
 Trzeciego sól, czwartego kilka beczek wina,
 Aż tu dobra rachuba, zgadza się percepta
 Z expensa. A nakoniec weryfikują się
 Wydatki, bo o kwity nie trudno zmyślone;
 Kto weźmie dziesięć, da kwit na pięćdziesiąt złotych,
 Znajduje się, co za tysiąc dwadzieścia przypisze.

Owo zgoła impune wszystko u nas, ani
 Repetundarum dadzą actionem o to.
 Jako bywało w Rzymie, pokąd trwał w swej klubie.
 W Polsce wszystko się zniłdźle. Snadniej na łajanie
 I przymówki wytrzymać jednego tam sejmu,
 A kilkakroć i więcej sto tysięcy ukraść.
 Cóż tedy rzecz? Odmienić dawnego, a na to
 Miejsce nowego życzyć w Polsce podskąrbłego?
 Uchowaj Boże, lepiej już starego cierpieć
 Złodzieja. Jakom w bajkach słyshał, że gdy muchy,
 Bący, komorzy, konia chudego obsiedli,
 Chciał go być drugi ognąć. Aż on na to rzecze:
 Stój miły bracie, woleć już cierpieć tych bąków
 Co się mej krwi napili, niż onych spędziwszy,
 Głodnych nabyć, coby ich jej ostatek wyssali.
 Aleć dosyć, bo ktoby wszystko wypowiedział?
 Ufatygowałbym tą prędzej Łiszyskiego
 Starostę relacją, niżbym konca doszedł.

Łukasz Opaliński.

Poeta

Łukasza ze Białna Opalińskiego, Marszałka Nadwornego
 Koronnego.

Ktożkolwiek z Was jest co Poetą słynie,
 Komu udatny Rym jak zechce płynie,
 Kto piorem leje, tak że mu uczony
 Wiersz snadno idzie i nieprzymuszony,
 Zdrow niechaj pisze i wieniec laurowy
 Niech ma (pozwalam) Koronę swej głowy:
 Jednakże przecie niech wie że też i my
 Możem mieć miejsce między Pisorymy.
 Tegoć nie pomnę bym Hellkonową
 Wodę miał pljać, albo Parnassową
 Gorę nawiedzał, gdzie kto przemieszkiwa
 Choć nic nie umie snadź Poetą bywa.

Nie znam się nawet i z tymi Muzami,
 Które tych wszystkich czynią Poetami,
 Co ich wzywają. Ja to mam za baśnię
 Aby co darem przyjść mogło i właśnie
 Jakobyś znalazł. Za pracą Bóg dawa
 Wszystko, jako to ktoś mądry przyznawa.
 Chyba żeby ten miał być Pisorymem,
 Co sobie głupiej fantazył dymem
 Głowę zarazil, i już tak rozumie,
 Że wiersze pisać bardzo dobrze umie:
 A on nieborak płonne chwytą słowa,
 Z których pochodzi prożna sensu mowa;
 Jedno się zgoła drugiego nie dzierży,
 Choć wiersz nie rowny niemal nicją mierzy.
 I acz na palcach sylaby rachuje,
 Prożno się jednak biedzi i morduje,
 Prożno łeb draple, i coraz zębami
 Strzyże paznokcie nad złem wierszami.
 Bo co przypisze, to zmaże, to kryśli,
 A nic godnego przecie nie wymyśli.
 Nie to Poeta co zliczył sylaby
 I na to tylko pilno patrzy aby
 Jako pod cyrkuł wszystkie równe były,
 Włęcz by się Rymy jednako kończyły:
 Ani ten ma być Poetą mym zdaniem,
 Który powłada, że jednym pisanem
 Tysiąc i drugi wierszow wnet zgotuje,
 I przed wszystkimi tym się popisuje.
 Prożno jeżeli słów siła a wątku
 Mało, i jeżeli rzecz nie ma rozsądku.
 Lecz i ten znowu nie może być zваны
 Dobrym Poetą, który żart podany
 I fraszkę pisać ale nic długiego
 Wywleść nie może z dowcipu mialkiego.
 Ten jest Poetą moim rozumieniem
 Co doskonałym rzeczy uważeniem
 Przenika wszystko, a co chce, prawdziwie,
 Gładko, łagodnie, miękko i szczęśliwie
 Wymowi, albo tak ładnie wyleje

Że z czytających każdy się zdumieje,
 I nie tylko się uznawa wzruszonym,
 Ale już prawie niemal zachwyconym:
 Którego dowcip, lub jakiś wysoki
 Duch, rzecz swą pędzi z uwagi głęboki,
 Który affekty jakowe chce sprawi
 Gdy czytelnika słodkim rymem bawi,
 A bawi długo, bo dyskurs prowadzi,
 Lub chwał, szydzi, strofuje i radzi,
 Podaje koncept pełna rzeczy głowa,
 Za tym posłuszne następują słowa,
 Które zaś tak są potrzebnie sadzone,
 Że nie może być żadne opuszczone
 Bez zguby sensu, i tyle rymowi
 Służą, wielkiemu ile rozsądkowi.
 Bo to ustawnie ma na dobrej pleczy
 Aby ile słów, tyle było rzeczy.
 Zgoła cokolwiek przed się weźmie pisać
 Nie potrzeba mu ni szukać ni chwycić:
 Samo przychodzi snadnie i tak miło
 Że się zda jakby się to urodziło.
 Nad to takowe jest uczonych zdanie
 Że ma Rym dobry być jak malowanie,
 Jako to bowiem żywemi farbami
 Naturę, tak on własnemi słowami
 Istotę rzeczy powinien wysadzić,
 Nigdzie nie uwiąść, nigdzie nie zawadzić.
 A tak i pędzi i ploro też mają
 Własność, gdy dobrze swą powinność znają.
 I ten sam może godnie imię nosić
 Poety, który uczyniwszy dosyć
 Temu com wspomniał, pisze tak udatnie
 Że się na żadnym słówku ani zatnie.
 Jeżeli chce śpiewać miłostki pieszczone,
 Grzeczne zaloty, ofiary i one
 Podchlebne pleśni, słowa pełne chęci,
 Służby, ukłony, którymi więc nęci
 Młode Dziewczyny, młodzian urodziwy
 Opowiadając affekt swój prawdziwy,

Wzajemne kładąc i biorąc okowy
 I serce wiążąc w łańcuch coraz nowy:
 To gdy oplewa, i kiedy przeczyta
 Lub męska, lub pleć skromnością pokryta
 Biała, choć ta, choć nie pokazuje,
 Jednak przychylną niewymowną czuje:
 Wkrada się ogień w serca, a wzniecony
 Już nie może być płomień utajony,
 Niewoli duszę, choć raz zniewolona
 Panuje miłość miłością zwabiona.
 Jeżeli opisać chce rycerskie znoje,
 Przeważne wojny i okrutne boje,
 Fury, a z nich bitwy zapalczywe,
 Z nich znowu mordy i śmierci straszliwe;
 Takim to kształtem ładnie udać umie
 Że czytający tak właśnie rozumie
 Iż na to patrzy. Tu Wojska szykuje,
 Obozy toczy i szturmy gotuje;
 Tu bohaterów dwóch na plac wywodzi
 Na pojedynek albo harce zwodzi,
 Stawia utarczkę, a Monomachią,
 Gdzie się sami dwaj tylko z sobą biją.
 Gdzie wielkie męstwo i krew opisuje,
 Za którą śmiała młodzież sławę kupuje.
 Albowiem jako szczenię zajuszone,
 Choć będzie z zwierzem nierównym spuszczone,
 Siły nadstawia swą zapalczywością
 I wiąże się z nim wielką zawziętością,
 Tak dzielny młodzian wielkiej sławy chciwy
 I o honor swój gorąco żarliwy,
 Nic się nie trwoży i nic nie uważa,
 Gdy się na dzieła wysokie odważa,
 Umierać gotów, byle tylko mężnie.
 A tak naclera śmieje i potężnie,
 Pragnie mieć rany i potężne blizny
 O chwałę Bożą i dobro Ojczyzny.
 Troskliwa Matka widząc kochanego
 Syna, tak bardzo do wojny skłonnego,
 Boi się, by mu młodość popędliwa

Zbytnią odwagą nie była szkodliwa,
By nie przywiodła do ciężkiego razu
Niepamiętnego proźby i zakazu,
Który mu dała z płaczem go żegnając,
I Bogu pilnie w opiekę oddając.
Lecz i dziewczyna kochająca skrycie
Cicho gdzieś wzdycha i niemal obficie
Łzy leje, aby chłopiec ulubiony
Nie odniósł szwanku od ręki szalony.
Niestetyż mowl na to głupie męstwo,
Co krwią, ba zejściem częstokroć zwycięstwo
Ugania, a śmierć wszystkim nieuchronną
Jeszcze przyspiesza sławą jakąś płonną
Jednakże tuszy w Boskiej Opatrzności
I dobrze wrożąc pełna jest ufności
Że ozdobiony w Tryumfalny wieniec
Witać ją będzie wkrótce cny młodzieniec.
Takto o Wojnach.

Jeżeli zaś daje
Słuszną naganę, albo obyczaje
Ostrą Satyrą sądzi i strofuje,
Przymawia, albo drwi, szydzi, żartuje,
To tak wlot czyni, tak piorem maluje,
Że prawdziwszego nic się nie znajduje.
Naprzykład kiedy chce rady sejmowe,
Albo tajemne opisać, i owe
Wota, któremi nas tak długo bawlą
Ci, którzy sami nie wiedzą co bają.
Ten się nad mową biedzi i zajaka,
Ow zaś poważnie coś mądrego krzaka,
Ten cicho szepce i pod nosem prawi,
Słuchacze drzymią, i on sam najawi,
Czy przez sen mówi, nie wle, lecz stworzony
Recytuje pens doma nauczony.
Ten zaś słów nazbyt i snadnie prowadzi
Lecz dyskuruje raczej niżli radzi,
Bo siła bardzo mowy, konkluzyi
Nie masz nic a nic w jego oracyi,
Zgoła u wszystkich jedno jest staranie

Prozna pochwała i popisowanie.
Takie częstokroć w Senacie bywają
Rady, w Poselskiej Izbie za się mają
Tryb jeszcze gorszy, bowiem tam niesforne
Serca, ztąd mowy, i swary uporne,
Głosy przewrotne, albo chytne zdania,
Pretextem prawdy pełne oszukania:
Wrzкомо praw strzeże i swobod pilnuje,
A skrycie dobro swoje upatruje.
Niedbalstwo Rzeczypospolitej, a ta
Co wszystko psuje nie zbędna prywata
Cne nie pozwalam, co strożem wolności
Przedtym bywało teraz przewrotności
Jest instrumentem, gdy człek niecnotliwy
Przedawa głos swój i język zdradliwy,
Gdy mędrzych zdania nic nie uważając,
Ale się swego upornie trzymając,
Gubi Ojczyznę, bo o niej nie radzi,
Ale się tylko swarzy albo wadzi.
Zgoła obrona Rzeczypospolity
Na dyskrecyi jest Posła z Upity,¹⁾
I na zgubę jej dosyć jeden głupi,
Lubo przewrotny, gdy go kto przekupi.
Po radach jeśli dumną opłsuje
Jonaków postać, i kiedy mianuje
Ich różne fechtę które wywlerają
W rozmowach albo gdy się naplają;
Kędy więc coraz swe krwawe zasługi
Liczą, a Bog wle że częstokroć drugi
Wojny nie widział i nie był w potrzeble,
Lecz ustawicznie włożył się po chleble,
Służył on w prawdzie i pięknie lecz w tańcu,
Przy winie, skrzypkach i łojowym słońcu,
Śmiać się potrzeba z trefnej brawury
Z hardych słów i zbyt płońskiej fantazy,
Kiedy się czyni bohaterem w boju

¹⁾ Syciński poseł z Upity za Jana Kazimierza pierwszy jednym
«nie pozwalam» sejm zerwał.

Że mięszo gada, a coś mieni w stroju.
 Hazuka, tuzłuk, burka, albo z Krymu
 Cożkolwiek, zaraz rycerskiego dymu
 Pełną myśl czyni, nią Jonak pijany,
 Chcąc być za Marsa prawdziwego mlany,
 Ztąd, że ma wszystko co raz nowym tokiem
 A sam zaś śmiesznie kieruje się bokiem,
 Cekory ilczy, Chocim, Smoleńsk, Łozy,
 Niedźwiedzie albo Kumcyki, gdzie wozy
 Snać na kopije wielką siłą brali
 Kiedy Kozacki Tabor rozrywali.
 Trudno dać wlarę by to przed się bodło¹⁾
 Podnieść cały wóz jedną ręką mogło.
 Lecz jakożkolwiek przecię się tam bill
 Mocno, a teraz ci Rycerze mili,
 W koniu rączy swą wszystkę dzielność mają,
 Gdy uciekają w zawód go puszczają.
 Proch śmierdzi bardzo, ledwie szyk zobaczy
 Już się Imć reytyrować raczy;
 Bo tak ucieczkę teraz nazywają,
 I ten jej tytuł pospolicie dają.
 Takowe tedy cnych Junakow męstwo
 W rzeczy samej jest pośmiech i blażeństwo.
 Drudzy (to trefna) się poublerali
 W pludry, a na to żeby zaclągali
 Knastow, albo tych, którzy drą a gonlą,
 Oprocz muszkietu żadną inną bronią
 Nie opatrzeni, dosyć na tym byle
 Z kobietą sledział razem na kobyle,
 Łby ogolone już mają kosmate
 Jako u Szycow tak kołtonowate:
Kan er deutsch spytasz: *Ja* pono odpowie
 Lecz nadto już się słowkiem nie odzwie,
 Więc Pan Oberszter Leytnant Rotmaystr strojny
 Chronią się wszyscy niewymownie wojny,
 Wolą się pytać o assygnacyi
 Niżeli się bić w jakiej okazyi.

¹⁾ Bodło — to samo co cudak.

Bowlem to wszyscy zgodnie powładają,
 Że Cudzoziemcow nazbyt narażają;
 A tak przy domu zostawszy Panowie
 I niemal wszyscy Officerowie
 Poślą na wojnę kuse regimenty,
 A tu zbierają nowe supplementy.
 To tak Rycerzow. Lecz złych słusznie gani
 Poeta, Dworskich nie chce tykać ani
 Ich śmie urażać, i lub miałyby z czego
 Drwić i naśmiać się, jednak milczy tego,
 Obawiając się, by mu popędliwe
 Ploro na potym nie było szkodliwe.
 Arwonci Diabłu (mowi) lubo widzę
 Błazna i w sobie słusznie z niego szydę,
 Lubo to frant jest, ten dureń mym zdaniem
 I filgę trzeba pokazywać za nim
 Jednakże się mu kłaniam: bo faworu
 Pańskiego slysze pełen i u Dworu
 Tak rozumieją, że on promowuje
 Gdy chce naprawi, a gdy chce zepsuje.
 Luboć częstokroć jest bardzo omylne
 To rozumienie, jednak mu przychylnie
 Szczęście je dało, tak jako on prosił
 By Ganu szeptał i wrzкомо donosił
 Coś sekretnego, a na to patrząją
 I stąd mniemanie łaski Pańskiej znają.
 Promotor pewny Bog, który kieruje
 Serca Królewskie i one miarkuje.
 Potym zaś słuszna do urzędu godność
 I w każdej sprawie doświadczona zdolność.
 Lecz ja o Dworskich tak ani śmiem gadać.
 Także o Xięży, bowlem się spowiadać
 Człek musi, i ztąd wielkiej się obawia
 Pokuty, zwłaszcza kiedy nie rad mawia
 Nazbyt Pacierzy, ani siła pości
 Słusznie nie niechce pisać o Ichmości.
 Aleć Satyra kásze, szczyple, boll,
 Ztąd też Poeta coś lepszego woll
 Pisać, i uczyć raczej niżli ganić,

Radę dać jako życie swe poprawić,
Prostą ku dobru drogę pokazując,
Zdrowy rozsądek i Cnoty smakując.
Toć (mowi) pewna że człowiek stworzony
I do pewnego końca urodzony,
Ma kres ktorego całe dostąpienie
Niesie mu dobro i uspokojenie.
Bo jeżeli rzeczy co duszy nie mają
Rozumnej, w celach przyzwoltych trwają,
Jeżeli stworzenie wszelakie i zgoła
Zwierzęta, ptastwo, ryby, drzewa, zioła,
Każde z nich ma swe własne przyrodzenie
W którym uznaje całe nasycenie,
Gdy rzeczy martwe, lub tylko żyjące
Mają dobro swej naturze służące,
Dalekoż więcej w rozum ozdobiony
Człowiek mieć musi kres swój przyrodzony,
A pewnie inszy od nierozumnego
Stworzenia, bowiem nie jest zarownego
Rodu, i ztądże inszej szczęśliwości
Chce należytej do swojej godności.
W tym oto nasz błąd, że nie uważamy
Co wždy za dobro przyzwolte mamy,
Do czego sąśmy stworzeni; w czym prawy
Pokój mieć możemy, i jak nasze sprawy
Przywodzić by do celu szczęśliwego
Przyszły i kresu uspokojonego,
Który jeżeli chcem mieć w rozkoszach ciała
Pragnąc by dusza w nich swe dobro miała,
Jawnie to uznać możemy że błądziemy
Gdy w takich rzeczach szczęśliwość kładzemy,
W których smak podły, prędkie nasycenie,
A w nasyceniu zaraz obrzydzenie.
Jakoż że tedy w uciesze nie trwały
Znaleść się może pokój doskonały?
Jako tam masz mieć odpoczynek święty
Gdzie twoje dobro spolne jest z bydłą?
Jeżeli zaś zechcem szukać szczęśliwości
W zbytnej skarbowych zbiorów obfitości,

W dostatkach, w tym co szczęściem ci mianują
Ktorzy sobie świat tak bardzo smakują:
Proszę jaką ztąd korzyść odnosimy
Chociaż takiego szczęścia dostąpimy?
Co za gust albo co za nasycenie
Prawdziwe mamy przez to dobre mienie?
Jako się dusza do nieśmiertelności
Stworzona cieszyć z tak podłych marność
Może? co w nich jest coby z nią zrownało,
Albo apetyt jej nasycić miało?
Zmysłom cielesnym to coś trochę służy
W ich jakożkolwiek podobaniu pluży,
Lecz kto rozumem miarkować się będzie,
Uzna dowodnie w jakowym jest błędzie
Gdy tego szuka czego dostąpienie,
Nie ma pokoju ale omamienie.
Świat ten obłudny i szczęście omyłne
Dziś temu, jutro owemu przychylne,
Rzuca dostatki, ciska honorami,
I przez swe dary ludzi próżno mamł,
Bo je chwytamy chciwie lecz bez zysku
I owszem tracem w takowym igrzysku:
Tracem częstokroć cnotę i sumienie
Chcąc mieć w tym wszystkim jakieś dobre mienie.
Jeżeli nie wierzem nawet rozumowi
Który wrodzony ma być człowiekowi:
Jeżeli potym przez nadprzyrodzoną
Wiarę dowodnie z Nieba objawioną
Nie chcemy pojąć, że nie w tej krotkości
Wieków, ani w tych światowych marność
Jest nasze dobro, ale coś większego
Mamy od Boga nam zgotowanego:
Gdy słowom jego cudami stwierdzonym
Nie daję wiary i niewymowlonym
Łaskom, kiedy nam wieczność obiecuje
I w niej prawdziwe rozkoszy gotuje,
I wszelkie szczęście i obfite dary,
W których i końca nie masz ani miary.
Jeśli to wszystko człowieka nie ruszy
Do pociech jego obiecanych duszy,

Przynajmniej niech da miejsce przykładowi
 Gdy nie chce wierze ani rozumowi;
 Słuchajże tedy co do potomności
 Podał ten co był pełen szczęśliwości,
 Uważaj co sam o sobie wyznawa
 Gdy z siebie przykład i naukę dawa.
 Uwielbiłem (pry) wszystkie moje sprawy
 Pańskie albo więc ucieszne zabawy
 Miałem. Pałace przepyszne budując,
 Ogrody śliczne sadząc i gotując
 Cożkolwiek oko lubi, co smakuje
 Czeku, i w czym gust i uciechę czuje;
 Wszystkiego sobie pozwolić umiałem
 I kształtnie zażyć, zwłaszcza kiedy miałem
 Srebra i złota mnóstwo niewidane,
 Dostatków wszelkich zbioru niestychane,
 Sprzęty nad wszystkich Królów dostatniejsze,
 Muzyki wszelkie i najpociesniejsze;
 Sług była liczba, koni przytym stada,
 I Trzody zgoła wszystkiego gromada,
 Gładkich Dam kupa, część oblubienice
 Częścią śpiewaczki albo służebnice,
 Wszystkie urodą prawie niezrównaną,
 Także grzecznością niewypowiedzianą;
 Przytym obfitym Państwie niewzroszony
 Spoczynek słodki, pokój ulubiony,
 Nadto w czym koniec jest doskonałości,
 Rozum głęboki i pełen mądrości,
 Ktorej się wszyscy prawie zdumiewali,
 Kiedy umyślnie do mnie przyjeżdżali,
 Aby mnie słuchać, gdym o wszech rozmawiał
 Rzeczach, i o nich swój rozsądek dawał.
 To tedy wszystko tak obficie mławszy,
 Tak wiele dobra szczęśliwie posiadłszy,
 Spytałem się też umysłu swojego
 Jak wiele ma w tym smaku prawdziwego?
 Jakie w tym serca ukontentowanie?
 Jakowy pokój? aż na to pytanie
 Tak mi odpowie, że wszystko marnością,

Obludą krótką i jawną próżnością.
 Zgoła mię, mowi, samo doświadczenie
 Nauczyło, że żadne nasycenie
 W tym być nie może, owszem niesmak skryty
 Przynosi Duszy i pokarm nie syty.
 I wierzajcie mi utęsknienie wszędzie
 Byś wszystko posłał znajdować się będzie.
 To masz dowodnie prawdę powiedzianą,
 I doświadczeniem samymże przyznana,
 Którą stwierdzili ci wszyscy co mieli
 Świat, a przecie toż o nim powiedzieli.
 Nakoniec jeżeli jeszcze i przykłady
 Nie dadzą w tym ci doskonałej rady,
 Da ją śmierć sama, bo ta pokazuje
 Że człowiek ten Świat daremno smakuje,
 Ponieważ ona wszystko tu odbiera
 Gdy przez nią wszego każdy odumiera,
 Trunna pomlarem rzeczy, a światowe
 Szczęście się wali w ciemności grobowe.
 Czas wszystko niszczy, wszystkie wyniosłości
 Podlegać muszą jego śmiertelności,
 A po coż tedy tych uciech pragniemy,
 Które tak prędko porzucić musimy?
 Na coż z tak wielką chęcią zdobywamy
 Wszystkiego, gdy tak krótko gościć mamy?
 Czemu nie raczej do inszego wieku
 Gotujemy się, kędy własne czeku
 Szczęście i pokój pewny naznaczony
 Na wieki wieków nigdy nieskończony?
 Jak Macedończyk wldząc Syna swego
 Umysłu nadeń daleko wyższego,
 Szukać inszego Państwa rozkazywał,
 Bo te, pry, małe które mu zgotował;
 Także nam Dusza mowi, rozumiełmy
 A ciału za nią prowadzić umiełmy;
 Precz ztąd pociechy i szczęścia mulemane,
 Ktorem ludzkie serca oszukane,
 Każdy sam sobie dosyć, gdy obcego
 Nie pragnie, ale zna co ma własnego;
 Gdy doskonale i dobrze uznawa

Jak mu wiele Bóg w nimże samym dawa,
Kiedy to właśnie swoim być mianuje,
Na czym sam tylko bezpiecznie panuje,
To jest nad sobą; to bowiem szeroka
Włość: to jest władza prawdziwie wysoka:
Bo siebie prozen, prozen jest wszystkiego
I serca niema uspokojonego.
A tak to czynimy aby pożądlivość
Wszystkę okrzesać, a prawą szczęśliwość
Położyć w sobie, albo w Bogu raczej
Bo trudno nabyć pokoju inaczej.
Przytym kto się chce sposobić do Nieba
Tak mu na świecie postępować trzeba,
Jak postępuje będąc zaproszony
Gość obyczajny; bowiem posadzony
Na swoim miejscu, nim się kontentuje,
Co przedeń kładą powoli kosztuje,
A nie łakomo łapa, chwyta, słağa,
I nazbyt chciwie ręki nie wyciąga,
Ale dyskretnie co postawią bierze,
Trzymając zawsze apetyt w swej mierze,
A jako prędko będzie po obiedzie
Syt wstawszy chętnie ku Domowi jedzie;
Tak też w tym życiu mamy postępować;
Co komu Bóg da tym się kontentować,
Skromnie nabytych rzeczy używając
I nazbyt chciwie nic nie pożądając.
A gdy wstać każą iść nieomieszkanie
Gdzie Dom prawdziwy, wieczne pomieszkanie.
Aleć ja nazbyt unoszę się płorem,
A także kończę ten lichy wiersz, którym
Chciałem naukę i oraz dowodny
Dać przykład, jaki ma być rym łagodny.
Co wywiodłemli, chwalić się nie umiem,
Atoli przecie podobno rozumiem,
Ze przeczytawszy przyznają, że i my
Możem mieć miejsce między Pisorymy.

MORSZTYNOWIE

Jan Andrzej (1613—1693),
Hieronim (Jarosz), Zbigniew i Stanisław.

Oparta cywilizacyjnie o Zachód, związana przez Kościół z Rzymem Polska już w średniowieczu podlegała silnym wpływom kultury łacińskiej. Wpływy te wzmacniały się w miarę rozwoju kultury rodzimej. Odnaleźć je łatwo zarówno w życiu jak w piśmiennictwie.

Zrzuciwszy z siebie długotrwałe jarzmo łaciny, literatura polska zaczęła zbliżać się naprzód do literatury włoskiej, potem do francuskiej.

Wiemy, że Jan Kochanowski znał dobrze język włoski, że Górnicki tłumaczył Baltazara Castiglione, że dzieła Danta, Petrarki, Tassa, Ariosta, a z pewnością i Boccaccia nie były obce pisarzom polskim, którzy czas dłuższy spędzili na studiach w Padwie lub Bolonii, wiemy skąd Twardowski czerpał natchnienie, pisząc dźwięczne strofy Dafnis, która w drzewo bobkowe przemieniała się, wiemy wreszcie, jak olbrzymi wpływ na poetów XVII-go wieku wywarła »Jerozolima wyzwolona« przekładania Piotra Kochanowskiego.

Ten wpływ włoski, który widzimy przez cały ciąg wieku XVI-go, a który pod panowaniem Zygmunta Starego, ożenionego z Boną Sforzą, i Zygmunta Augusta, wychowanego pod okiem matki Włoszki, dochodził do szczytu,

w wieku XVII-ym zaczyna mieć współzawodnika we wpływach francuskich.

Drugi wielki naród rasy łacińskiej i druga wielka literatura romańska dochodzą do głosu. Język francuski rozpowszechnił się w Polsce, zwyczaj i obyczaj francuski torują sobie zwolna drogi do późniejszych podbojów i triumfów.

Tym razem idą te wpływy z góry, od dworu, od magnatów i szlachty wielkopańskiej.

Początek tych wpływów — mówi prof. Bełcikowski — datuje się szczególnie od przybycia do Polski Marji Ludwiki. Królowej towarzyszyło wielu jej rodaków, którzy wkrótce zapelnili dwór warszawski tak dalece, że Imci pan Jan Chryzostom Pasek skarży się na to w swoich pamiętnikach wcale niedwuznacznemi słowy: »Francuzów — mówi — w Warszawie więcej niżeli owych, którzy cerberowe rozdymają ogień; pieniądze syją, praktyki czynią a najbardziej szkodliwe wolności; w Warszawie wielką powagę mają, wielkie triumfy publiczne sprawiają z otrzymanych zwycięstw, choć też nie za prawdziwe, to za zmyślane. Do pokoju królewskiego wniknąć zawsze wolno Francuzowi, a Polak musi i pół dnia stać u drzwi... Przyszedłszy na pałac do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jak pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to widzieli, sarkali bardzo, że się tak dwór rozmilował w tym narodzie, i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuski; sama tylko wolność polska nie miała w tem upodobania i wszystkiem tem pogardzała«.

Marja Ludwika przywiozła z sobą także wiele młodych dam francuskich, jaśniejących powabem i dowcipem, które »z właściwą kobietom sztuką, twardych sarmatów na układnych lub sentymentalnych kawalerów przerabiały«. Niejedna z tych dam wyszła zamaż za polskiego pana lub senatora. Wystarczy wymienić za Mecherzyńskim pannę de Béthune, którą poślubił Jabłonowski,

margrabiankę d' Arquien, która wyszła za Zamoyskiego, a powtórny ślubem została żoną Jana Sobieskiego, ową popularną w całej Polsce do dnia dzisiejszego »królową Marysieńką«, a dalej pannę Bessaine za Denhofem, podkomorzym koronnym, pannę de Mailly za Pacem, kanclerzem litewskim i t. d.

Na takim dworze — słusznie zauważa Bełcikowski — powstać musiała galanterja, pozyskująca względy kobiet, polor zewnętrzny, jakim się wówczas dwór francuski odznaczał, a zwolna również zapuszczała tam swoje korzenie mało znana dotychczas intryga polityczna, oparta o zręczność dyplomatyczną, w której tak bardzo celowali Franzuzi.

Znajomość języka francuskiego stała się odtąd prawie powszechną między panami, a nawet dostawała się w inne warstwy, szczególnie między kobiety, które miały ambicję prędzej czy później zbliżyć się do dworu. Zaczęto też uczyć po francusku we wszystkich ówczesnych szkołach. W r. 1654-ym królowa Marja Ludwika sprowadziła do Warszawy wizytki, a Marja Kazimiera w roku 1668-ym sakramentki. Oba te zakony zajmowały się edukacją kobietą i udzielały jej najwięcej w języku francuskim, stąd panny polskie zapoznawały się wcześniej z literaturą francuską, i to najczęściej lżejszą, co znów nie mogło pozostać bez wpływu na ich obyczajowość, do niedawna w surowe jeszcze ujętą rygoru.

Na dworze warszawskim za króla Jana III-go francuzczyzna panoszyła się już bez zastrzeżeń. Sam król, jak wiadomo, dobrze znał język francuski i posługiwał się nim w mowie i piśmie. Listy jego do Marysieńki, pisane czasu wyprawy wiedeńskiej, gęsto przeplatane są zwrotami francuskimi. W stosunkach codziennych język ten rozbrzmiewał także w zamku i w Wilanowie, gdzie służba była w znacznej części francuska. Relacje współczesne stwierdzają zgodnie, że królewicz Jakób nie tylko »nosił się po francusku«, ale był zupełnie sfrancuział.

Nie dziw więc, że kapucyn francuski, brat Ange, wyglądał wówczas w kościele sakramentek kazania po francusku i zachwycał swoją wymową królestwo i senatorów polskich.

Coraz częściej też młodzież zamożniejsza szukała polu we Francji, jak obaj bracia Opalińscy. Coraz częściej też, bawiąc w Paryżu, szlachta polska spotykała się z książką francuską i nabierała do niej smaku. Stąd wpływy literackie na pisarzy tego okresu są już wyraźnie francuskie, tem silniejsze, im słabszą była ich osobowość własna.

Jednym z typowych przedstawicieli tej Polski literackiej, która zwolna w drugiej połowie XVII-go wieku zaczynała francuzieć, jest Jan Andrzej Morsztyn, poeta niewątpliwego i dużego talentu.

Urodzony około roku 1613-go (ścisłej daty jego przyjścia na świat nie znamy, a prof. Chmielowski przypuszcza nawet, że urodził się dopiero w r. 1620-tym), prawdopodobnie w Krakowskim lub Sandomierskim (miejscowości dotychczasowe badania nie ustaliły), z ojca Andrzeja, piszącego się »z Raciborska«, starosty bolnickiego (później podczaszego sandomierskiego) i z matki, której nazwiska panieńskiego nie udało się odszukać żadnemu z biografów poety, Jan Andrzej Morsztyn otrzymał staranne wychowanie.

W jakich szkołach pobierał nauki początkowe, nie wiemy. Bardzo być może, iż uczył się w domu pod okiem dziada macierzystego, Walerjana Otfinowskiego (matka jednak nie była Otfinowska z domu), tłumacza Przemłan Owidjusza i Ziemianstwa Wergiljusza. Naprowadza na to przypuszczenie własne wyznanie poety, iż »młode« jego »lata piastował« i »drogę do Febowej podał mu lutni« Otfinowski.

W roku 1637-ym, liczący wówczas lat około 24-letni młodzieniec, wraz z krewnym swoim, Stanisławem Morsztynem, wysłany został zagranicę. Zwiedził kolejno

Niemcy, Belgję, Francję i Włochy. Dobrze poznał języki francuski i włoski, nabrał ogłady, a za powrotem do kraju oddany został na dwór Władysława IV-go.

W r. 1645-ym widzieliśmy go w orszaku poselskim Krzysztofa Opalińskiego, wysłanego do Paryża po Marię Ludwikę.¹⁾

»Niedostatecznie udowodniłem, ale wielce prawdopodobnem jest przypuszczenie — mówi prof. Piotr Chmielowski — że wpływ dworu francuskiego, na którym panowała galanterja wraz z zamięłowaniem poezji włoskiej, ugruntować musiał w Andrzeju wrażenia, odebrane w poprzedniej podróży zagranicznej, a zbliżenie się do Marii Ludwiki i jej fraucymeru podały mu sposobność wypróbowania i okazania w praktyce swego zamięłowania do tego trybu życia i do tych upodobań, jakie popłacały wśród wykształconego towarzystwa francuskiego.«

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że na dworze francuskim poznał Morsztyn wielu ludzi i przyjrzał się zbliska wielu sprawom, wchodzącym zwłaszcza w zakres ówczesnej dyplomacji. Z natury bystry i spostrzegawczy, czasu nie zmarnował, a gładki i miły, potrafił za powrotem odegrać w otoczeniu Marii Ludwiki rolę zaufanego królowej przyjaciela, dzielącego jej poglądy polityczne.

Młody i wytworny dworzanin królowej cieszył się też z pewnością względami jej dam dworu. Stwierdzają to liczne jego poezje miłosne, wśród których wyróżniają się zwłaszcza utwory do niejkiej »Kasi«, bardzo być może, że pisane do złotowłosej panny Katarzyny Gordon de Huntley, Angielki, przybyłej do Polski w orszaku królowej Marii Ludwiki. Prof. Chmielowski wątpi jednak o tem z uwagi, że panna Gordon de Huntley została później małżonką poety, była to więc miłość poważna, nie o charakterze zabawki erotycznej, w której stylu utrzymane

¹⁾ Zobacz zeszyt 23 p. t. Opalińscy.

są wiersze do Kasi, Jagnieszki (Kromerówny), pięknej mieszczki i zgoła tajemniczej Zosi.

Za Jana Kazimierza, około r. 1653-go otrzymał Morsztyn urząd stolnika sandomierskiego, w r. bowiem 1653-im już jako stolnik sandomierski posłował na sejm brzeski, gdzie »wybrano go na deputata do pisania konstytucji« (Chmielowski).

W roku następnym wyjechał z polecenia króla do Szwecji, ażeby oświadczyć nowoobranemu Karolowi Gustawowi, iż stosownie do jego i stanów szwedzkich życzenia, przybyć ma wkrótce poselstwo polskie z zupełną mocą porozumienia się z królem.

Wyjazd nastąpił jesienią r. 1654-go z Grodna. Po-
dróż była jednak niefortunna. »Nie powiodła się Morsztynowi droga — opowiada Rudawski. Przebył Inflanty lecz na morzu rozbili się okręt, na którym żeglował, i za-
ledwie zapomocą jakiejś deski, do której się przywiązał, uniknął śmierci.

W Sztokholmie bawił sześć miesięcy, lecz nie został nawet przypuszczony do króla, gdyż na liście przywiezionym do Karola Gustawa opuszczono coś z tytułów, do których król szwedzki rościł sobie pretensje. Bez posłuchania więc powrócił Morsztyn do kraju na wiosnę 1655-go roku.

Szczegółów, dotyczących udziału Morsztyna w nie-
szczęsnej wojnie, która niebawem po tem poselstwie wy-
buchła, nie znamy. Wiemy tylko, że w jej trakcie, w ro-
ku 1656-go jeździł w misji dyplomatycznej do Wiednia i do Frankfurtu, bez skutku jednak pomyślnego.

Dopiero od r. 1658-go mamy znów szczegółowe dane o działalności politycznej poety.

Jest on już wtedy (prof. Chmielowski) referenda-
rzem wielkim koronnym, starostą kowalskim i zawichoj-
skim. Na sejmie warszawskim (1658 r.) wchodzi w skład komisji do uporządkowania mennicy; w roku następnym należy do komisji, mającej prowadzić układy ze Szwecją, prócz tego powtórnie bierze udział w komisji menniczej

W tym samym roku znajdujemy między innemi i jego podpis na warunkach kapitulacji Torunia. Na początku r. 1660-go, w gronie najpierwszych dygnitarzy, jak Jerzy Lubomirski, obaj wielcy kanclerze, Prażmowski i Pac, wojewoda poznański Jan Leszczyński i podskarbi na-
dworny Władysław Rey, układał warunki przedugodne pokoju oliwskiego. W poglądach swolch politycz-
nych siedi Morsztyn bez zastrzeżeń za dworem królew-
skim i należał do stronnictwa, zwanego francuskim, mającego na celu wzmocnienie władzy królewskiej, ujęcie w karby niesforne go żywiołu wśród szlachty i zapobieżenie niebezpieczeństwu elekcji przez wybór nowego króla (Kondeusza) za życia jeszcze Jana Kazimierza.

Kierowniczką tego stronnictwa, jego głową i duszą była Maria Ludwika. Starala się ona pozyskać dla swych celów jak najwięcej zwolenników. Jednym z takich, których najbardziej chciała mieć przychylnym dla swoich planów, był Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, magnat dumny a wielce wpływowy, późniejszy rokoszanin, smutnie w dziejach Rzeczypospolitej zapisany.

Morsztyn znał marszałka oddawna i żył z nim w przyjaźni, zjednoczył się z nim jednak jeszcze silniej, skoro Lubomirski zobowiązał się popierać przedsięwzięcie królowej.

W czasie, gdy sprawa elekcji Kondeusza przysto-
wywała się, Morsztyn, jako jeden z najbliższych i najpo-
ufniejszych powierników królowej, pośredniczył pomiędzy
dworem a Lubomirskim, popierając z jednej strony inte-
resy marszałka u królowej, z drugiej zaś starając się go
nakłonić do szczerego współudziału w przeprowadzeniu
jej planu. Usiłowania jego okazały się jednak bezsku-
tecznymi. Lubomirski, sam żądny popularności i władzy,
wyzyskując niezadowolenie szlachty, krzyczącej, że dzieje
się gwałt jej wolności, i zaslanając ową prywatę głośnie
obroną praw ojczystych,¹⁾ stanął oporem względem pla-

¹⁾ Zob. Wespazjan Kochowski.

nów królowej, podniósł rokosz i zakończył swą opozycję smutnej pamięci zwycięstwem pod Montwami (1661-go r.).

Jak się zachował Morsztyn podczas tego rokoszu — nie wiemy. Wolno jednak domyślać się, że oddany królowej, pozostał wiernym polityce dworu. Nadto, znając Francję i przypatrzwszy się zbliska jej rosnącej potędze, musiał mieć wyrozumowany pogląd na znaczenie władzy królewskiej. Francuskie przecież zasady i ideje chciał w Polsce zaszczerpić i urządzić ją według mądrości Richelieu'go. Nie mógł przeto popierać oligarchicznych zamierzeń Jerzego Lubomirskiego.

W roku 1667-go Morsztyn wyprawiony został do Francji z prośbą o posilki na grożącą wojnę z Turcją. Na czele tych posilków stanąć miał sam książę Kondeusz, który, przybywszy do Polski, zamierzał przekupić dla swoich celów konfederację wojska polskiego i przy jego pomocy siłą poprzeć swoją elekcję. Zamach ten nie udał się atoli. Sejm odrzucił z oburzeniem projekt obcej interwencji. Poselstwo Morsztyna spełzło więc na niczem.

Niebawem potem stronnictwo francuskie w Polsce poniosło dotkliwą stratę: umarła królowa. Morsztyn działał jednak dalej sam. W czerwcu tegoż roku zjechał na sejmik relacyjny wielkopolski. Szlachta wielkopolska, zebrana na tym sejmiku, a o jego imprezie francuskiej na rzecz Kondeusza powiadomiona, wystąpiła przeciwko niemu ostro, obrzuciła go obelgami, a może nawet, jak przypuszczają niektórzy, znieważyla go czynnie.

Nie przeszkodziło to jednak panu referendarzowi do utrzymania godności podskarbiego w. koronnego i do rozwinięcia na tem stanowisku dalszej akcji na rzecz Francji. Popierał go dawni zwolennicy i przyjaciele Marji Ludwiki: prymas Prażmowski, hetman w. kor. Sobleski, podkanclerzy Olszowski, kanclerz litewski Pac, wojewoda ruski Jabłonowski i in. Powodzenie atoli nie towarzyszyło planom Morsztyna. Kondeusz na sejmie elekcyjnym 1669-go roku wykreślony został z listy kandydatów,

królem zaś obwołany został Michał Korybut Wiśniowiecki Stronnictwo francuskie poniosło wyraźną klęskę, nie skapitulowało przecież i tym razem. Zainicjowało ono opór przeciw królowi, wysługując się w ten sposób w dalszym ciągu widokom dworu francuskiego. »Duma magnacka i politykowanie na własną rękę — mówi prof. Chmielowski — przybrały rozmiary ogromne. Morsztyn jako podskarbi odmawia wydania klejnotów koronnych na koronację królowej, łączy się z tymi, co chcieli przeprowadzić detronizację Wiśniowieckiego i ofiarować tron księciu de Longueville, i w tym celu wyjeżdża do Francji«. Rzeczą się jednak ujawnia. Sąd sejmowy pozywa Morsztyna i Grzymułtowskiego. Grzymułtowskiemu jednak król pozwala odprzysiąc się. Sprawa zaś Morsztyna ulega zaniedbanu, ponieważ nie dopełniono pewnej formalności prawnej.

Po śmierci króla Michała Ludwik XIV-ty zrezygnował już z osadzenia na tronie polskim którego z książąt francuskich, postanowił natomiast użyć całego swego wpływu na przeprowadzenie elekcji ks. neuburskiego albo przynajmniej na udaremnienie zabiegów ks. lotaryńskiego jako kandydata, popieranego przez Austrię. Jako najlepszych popleczników »król-słońce« wskazał posłowi swemu, Forbin'owi de Janson, Sobleskiego i Morsztyna, którym już oddawna, tak jak i innym stronnikom francuskim w Polsce płacił znaczne pensje. Morsztyn pobierał ze skarbu francuskiego 9.000 liwów rocznie.

Znów jednak plany francuskie nie urzeczywistniły się. Wprawdzie ks. lotaryński istotnie królem nie został, ale i kandydatura ks. neuburskiego upadła z kretesem. Na tronie zasiadł Jan III Sobieski — przyjaciel Francji, który jednak rychło przechyla się na stronę Habsburgów.

Morsztyn pozostaje atoli wiernym swojej dawnej linii politycznej i w dalszym ciągu pobiera liwry francuskie. Co więcej, bez pozwolenia króla przyjmuje urząd

sekretarza Ludwika XIV-go i składa na urząd ten przyszłą. Odtąd stale donosi królowi francuskiemu, co dzieje się w Polsce i zapewnia go, że choć cały dwór Sobieskiego oświadczył się przeciw Francji, to jednak stronnictwo francuskie może rachować na prawie pewne powodzenie. W jednym z listów prosi też Ludwika XIV-go o pozwolenie poślubienia córki swej starości malborskiemu, Bilińskiemu, obiecując stąd »wielki dla Francji pożytek«.

Listy te zostały przejęte. Wytoczono Morsztynowi sprawę i dowiedziono mu z drady stanu (r. 1683-go). Podskarbi upokorzył się wówczas i błagał o przebaczenie.¹⁾

Król, zasięgnąwszy rady Senatu, »submisję« tę przyjął pod następującymi warunkami: że Morsztyn sejmować, jako się Francji zobowiązał, nie będzie; że klucz do zrozumienia swoich cyfrowanych listów w przeciągu ośmiu tygodni przedstawi, że na usługę Rzeczypospolitej kilkuset ludzi wojennych swoim kosztem da; że klejnoty, bez wiedzy Rzplitej zabrane i zastawione, wykupi i zwróci, że we wszelkich wątpliwościach, odnoszących się do rachunków skarbowych, stanom Rzplitej zadość uczyni, wreszcie, że urząd podskarbiego złoży.

Morsztyn, upokorzony tem wszystkiem, nie widząc już dla siebie pola działania w kraju a rozmówiany we Francji, wyniósł się z Polski i osiadł w drugiej swojej z wyboru ojczyźnie, gdzie już był dawniej, może w przewidywaniu katastrofy, znaczne dobra koło Paryża zakupił.

Tak skończyła się jego karjera polityczna. Odtąd o jego osobie nic już więcej nie wiemy. Tyle, że przybrał od dóbr swoich we Francji nazwisko hr. de Chateau-Vilain, że syn jego był generałem francuskim (zginął w bitwie pod Namur), a córki powychodziły za mąż w Polsce. Jedną z nich, Izabelę, była żoną Kazimierza Czartoryskiego, kasztelana wileńskiego, a stąd babką późniejszego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

¹⁾ Zob. L. Siemieński »Andrzej Morsztyn«, Dzieła, tom III.

Umarł Jan Andrzej Morsztyn we Francji dnia 8 stycznia 1693-go roku, w lat dziesięć po hańbiącej dla siebie sprawie o zdradę stanu.

O ile jednak pamięć jego jako polityka i dyplomaty, mimo niezaprzeczonych w tym kierunku zdolności, ma na sobie czarną, nie do zatarcia plamę, o tyle pamięć jego jako poety, wyobcowanego z ojczyzny, powróciła go ona na jej łono i zapisała w poczet mężów, piśmiennictwu polskiemu rzetelnie zasłużonych.

Przyjrzyjmy się bliżej twórczości tego sfrancuziałego i Francji zaprzędanego Polaka, dworzanina królowej Marii Ludwiki i wiernego sługi Ludwika XIV-go.

Zbieg okoliczności — zaznacza prof. Belcikowski — wyrządził Morsztynowi (nie jemu jednemu zresztą) tę krzywdę, że jego wiersze, przygotowane już do druku ugrzęzły gdzieś w zapomnieniu i przez dwa wieki świat o nich nic nie wiedział, nie znając tym sposobem najznakomitszego, obok Wacława Potockiego, poety XVII-go wieku.

Za swego życia Jan Andrzej Morsztyn znany był jedynie z dwóch przekładów.

Roku 1661-go odbywał się sejm w Warszawie, po świeżo ukończonych długich i uciążliwych wojnach. Król był w dobrym humorze i wszyscy cieszyli się, że nareszcie odetchną w spokoju. Należało uczcić tę nową erę jakąś zabawą uroczystą i dworzanom królewskim przyszło na myśl, ażeby »zagrać teatr«, na którym zwykle w owe czasy popisywali się w stolicy sami tylko Włosi i Francuzi. Ta myśl musiała się szczególnie podobać Morsztynowi, który »miał w sobie wiele skłonności artystycznych i z muzami już się wtedy na dobre pobratał, bo całą księgę swych miłosnych plesni miał w rękopisie« (Belcikowski). Wzłął się zatem rączy do wykonania planu i przetłumaczył »Cida albo Roderika, komedję hiszpańską« znakomitego Kornela. Wybór ten świadczy zaszczepnie o smaku poetyckim tłumacza, utwór ten należał bowiem do najpiękniejszych utworów epoki.

Dworzanie królewscy przybrali się w kostjumy grandów hiszpańskich i w obecności Ich królewskich mości na zamku warszawskim odegrali »Komedję hiszpańską«. Morsztyn nie zapomniał dodać do niej na początku prologu, w którym Wisła, wystąpiwszy na scenę w stroju symbolicznym, »śpiewała pochwałę obecnych króla i królowej«.

Nieco wcześniej napisał Morsztyn, a raczej naśladował z Apulejusa i włoskiego poety Marini¹⁾, pod którego silnym pozostawał wpływem, poemat mitologiczny p. t. »Psyche«.

Te dwa utwory, łącznie z »Hipolitem« Seneki i »Andromachą« Rasyna, z francuskiego, przełożoną przez Stanisława Morsztyna, wyszły z druku w r. 1696-tym, a więc w trzy lata dopiero po zgonie Andrzeja.

Przedmowa (»Typograf do czytelnika«) wskazuje wyraźnie na »Jaśnie Wielmożnego I. M. Pana Andrzeja Morsztyna, referendarza na ten czas, a potem podskarbiego wielkiego koronnego«, jako na tłumacza »Psyche« i »Rodrika« i zaznacza, iż był to »człowiek we wszystkim incomparabilis« (niezrównany).

Pozostawiając czytelnikowi do osądzenia, że to, co mu zostało ofiarowane, »godne jest pilniejszego oka«, »Typograf« zwraca jeszcze uwagę na to, iż daje do druku to, co »autorowie dla siebie tylko i prywatnych przyjaciół napisali«.

Istotnie, ówczesna elita literacka bynajmniej nie kwapiała się do drukowania książek. Wychodziło ich coraz mniej i coraz mierniejsze. To, co wyższą posiadało wartość, pozostawało najczęściej w rękopisach nieraz przez dziesiątki, a czasem i przez setki lat.

Tak się stało i z poematami Jana Andrzeja Morsztyna.

»Kamień albo psia gwiazda«, pochodząca z roku 1647-go wydał dopiero po raz pierwszy w całości Jan

¹⁾ Zob. »Zimorowice«.

Komierowski w Poznaniu w r. 1844-tym i to mylnie, jako »Poezję Zbigniewa Morsztyna«.

»Lutnię« z r. 1661-go ogłosił dopiero w r. 1875-tym — i to częściowo — w Rozprawach wyd. filologicznego Akad. Umiejętn. w Krakowie, Wł. Seredyński p. t. »A. Morsztyna niewydane poezje«.

Nawet przekład komedji pasterskiej Tassa p. t. »Amyntas«, ujrzał światło dzienne dopiero w r. 1840-tym w Berlinie, dzięki A. Nowakowskiemu (prof. Korbut), mimo że wiek XVIII-ty znał i cenil Morsztyna właśnie jako tłumacza; snadniej więc, niż na jego oryginalne poezje, mógł być zwrócić uwagę na dobrze spolszczonego Tassa, popularnego już w Polsce od wieku XVI-go dzięki »Jerozolimie wyzwolonej«. Nas, przeciwnie, przekłady obchodzą mniej, a jeżeli zatrzymujemy się tu chwilę nad niemi, to dlatego, że nie brak tam i własnych wkładów tłumacza. Dotyczy to przedewszystkiem poematu p. t. »Psyche«.

Jaka jest jego geneza?

Oto, jak już wiemy, epizod z wielkiego poematu Marini p. n. Adone wdziękiem swym zachęcił Morsztyna do przeróbki poetyckiej, która otrzymała nazwę »Psyche«.

Treść tej powieści poetycznej, mającej już poprzedniczki swoje w naszej literaturze (Twardowskiego »Dafnis«), osnuta jest na starogreckim podaniu o miłości Erosa do pięknej ziemianki, Psychy. Ani Marini, ani Morsztyn nie pomyśleli jednak o zachowaniu barwy greckiej w swoich opowiadaniach.

Z treścią, przekazaną nam przez Apulejusza, postąpili tak jak z każdą inną, jakiegokolwiek czasu i miejsca dotyczącą, t. j. dowolnie miesząc pojęcia chrześcijańskie z pogańskimi, starożytne z nowożytnymi i popełniając wskutek tego zgoła zabawne anachronizmy.

Ani miejsce, ani czas nie są w tym poemacie ściśle oznaczone. Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie — w »odle-

głych krajach a królewskim domu«. Z trzech królewien najmłodsza, jak w każdej bajce, jest »najudatniejsza i najgładsza, tak dalece, iż piękność jej opisać byłoby niepodobieństwem. Dla jej oglądania zbiegają się »i cudzoziemskie i bliższe narody«, a nieustraszeni długą podróżą »sławni malarze, subtelni snycerze« zjawiają się na dworze królewskim, ożywieni pragnieniem wyrażenia tej »boskiej gładkości« »na płótnie, w kamieniu i na papierze«. Niestety, pędzle i dłota wypadają im z »otrętwiałej ręki«, gdyż poddać zadaniu nie mogą. Piękność Psyche przenosi ich zdolności odtwórcze, a środki artystyczne, które mi rozporządzają, są niczem wobec doskonałego dzieła natury.

Rozgłos o cudownej urodzie wyjątkowej ziemiarki poszedł na wszystkie kraje i ogarnął wszystkie ziemie. Śledziły bogini Wenery, »Pafos pusty i Amatont cichy«, Gnid i Cytera opustoszały, bo wszyscy szli składać hołdy, nowemu bóstwu.

Wenera, rozgniewana tem, poprzysięga zemstę »li-chej białej głowie«, która współzawodniczy z nią, kusząc się o wygraną. Na syna chce włożyć obowiązek pomśzczenia matki, ale długo napróżno poszukuje Amora (Erosa), który gdzieś zginął bez wieści. W poszukiwaniu go udaje się do Grecji, potem do Turcji, Włoch, Niemiec, Anglii, Francji, wreszcie przybywa do Polski, dokąd, jak się okazało, Kupidyn »zwałtony, bez sił, bez ochoty, na odpoczynek odważył się z nową zjechać królową«.

Tu, w ogrodzie pałacowym Wenera zastaje syna w orszaku królowej Marji Ludwiki:

»Zadziwiła się; nie wie, czy na ziemi,
Widząc królową, czy stanęła w niebie.
Nie śmie jej równać z duchy niebieskimi,
Wyżej ją kładzie bogiń, wyżej siebie,
I zwyciężona blaski niezwykłymi
Urodę własną poniża i grzebie,
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:
Podobność to ja? podobność to Psyche?»

Tu następuje szczegółowy, na wskroś panegiryczny, ale pełen dworskiej galanterji opis zalet królowej i jej fraucymeru, włożony w usta Amora.

Przedmiot to był dla bożka miłości tak »miły«, że nieprędko skończyłby z pochwałą, gdyby Wenera, mająca ciągle na pamięci swoją współzawodniczkę, nie wyprowadziła była syna z »królewskiego sadu«.

Uczyniwszy to, opowiada mu o obrazie i krzywdzie, jaką wyrządziła jej »Psyche« i prosi, aby za karę za to »zwłazał ją z brzydkim chłopem w tęskne śluby«.

Amor oblecał — lecz stało się inaczej. Oto, ujrzawszy Psychę, »skamieniał z podziwu« i uczuł nieprzewyciężoną dla niej miłość. Psyche była dotychczas dziewicą, lubo jej dwiemniej piękne siostry — oddawna wyszły za mąż.

Ojciec, zaniepokojony o los córki, radzi się wyroczni, która każe mu wywieść ją na skałę nadmorską, gdzie mężem jej ma być potwór »skrzydlaty, co krew pije, serca dziobie, pali, zabija, bogów wzgardza wściekle, straszny na ziemi, w morzu, w niebie, w piekle«.

Ojciec spełnia w żalobie i smutku rozkaz wyroczni, uważając najpiękniejszą z córek swych za straconą. Allści owym »potworem« z bajki jest Amor. Zostaje on małżonkiem Psyche, zastrzegając sobie, iż żona nie będzie mogła zobaczyć go nigdy przy świetle i że nie będzie go śledziła. Psyche warunki te przyjmuje i przez czas jakiś jest niewypowiedzianie szczęśliwą, lecz siostry, zazdroszcząc jej losu, obudzają zresztą w jej duszy podejrzenie i skłaniają do zamiaru zabicia niewidzialnego męża, którego wystawiają jako potwora, co ją wcześniej lub później poźre.

Psyche idzie za ich radą i w nocy z pugiuałem i lampą zbliża się do śpiącego Kupidyna. Nagle staje olśniona cudem piękności i pełna skruchy, żałuje swego »lekkiego postępu«, ale — kropla oliwy gorącej z jej lampy pada na ramię Amora, budzi go i zmusza do odlotu.

Zrozpaczona Psyche chce śmiercią boleść swoją skrócić i rzuca się do wody. Fala składa ją jednak na murawie, na drugim brzegu potoku, żywą i jeszcze bardziej zrozpaczoną.

Odtąd rozpoczyna się eksploatacja Psyche, jej wędrówka, podjęta za radą satyra, celem przejednania bóstw zagniewanych pokorą i prośbami. Jednocześnie Psyche pragnie zemścić się na siostrach, które ją do złego namówiły i stały się przyczyną jej nieszczęścia.

Zmyśla tedy opowiadanie, jakoby Amor, pogardziwszy nią, przeznaczył szczęście naprzód jednej, potem drugiej siostrze. Po kolei jedna i druga, udawszy się na ową skalę nad morzem, gdzie Psyche swój młodowy spędziła okres, giną tam w mękach straszliwych. Niepocieszona małżonka Amora poszukuje go tymczasem po różnych krajach, unikając starannie mściwego pościgu Wenerę. W nieszczęściu błaga o pomoc Cerery, ale ta zamyka przed nią swoją świątynię. Odepchnięta przez wszystkich postanawia wreszcie sama udać się do Wenerę i błagać ją o litość. Wenus odpowiada na jej błagania neliłościwem pastwieniem się nad nią, a następnie zadaje jej różne roboty, pewna, że Psyche ich nie wykona. Naprzód więc z kupy zmieszanego ziarna każe jej wybrać i ułożyć w osobne rzędy różne gatunki zboża, potem naskubać szczerolotej wełny z dzikich, okrutnych baranów, następnie zaczerpnąć wody »śmiertelnej« ze źródła na wierzchołku niedostępnej skały, wreszcie, przynieść od Prozerpiny »bielidła, którem się piękna Plutonowi czyni«.

Wszystkie te prace przy pomocy mrówek, trzciny, orła i wieży, namówionych przez Kupidyna, Psyche wykonywa szczęśliwie. Tylko gdy niesie ów kosmetyk z piekła, zdejmując ją ciekawość, chce go zobaczyć i jak prawdziwa kobieta włożyć sobie trochę. Wtedy traci zmysły i zasypia snem nieprzespanym. Budzi ją jednak ze snu tego Kupidyn i dodaje odwagi, aby szła przebłagać We-

nerę. Sam zaś sprawę swą opowiada Jowiszowi i wyprasza jego zezwolenie na wzięcie Psyche do nieba i uznanie zawartego z nią małżeństwa.

Poemat kończy się wzmianką o godach w niebie i o powieści przez Psychę córki »okrzczonej (tak!) Roszkoszą« (prof. Chmielewski). Stosunek utworu Morsztyna do utworu Marini'ego oraz do apulejuszowego pierwowzoru gruntownie zbadał prof. Nehring, ustalając, że najgłośniejsze dopełnienia własne poety polskiego są w tym miejscu, gdzie Morsztyn opowiada o poszukiwaniu Kupidyna przez Wenerę (strofy 26—54). Inne dodatki są krótsze, np. strofa 68, 91, 178, 220, 291, świadczą jednak, że poemat Morsztyna, mimo zaczerpniętego skądinąd tematu, należy do poezji polskiej w stopniu bez porównania większym niż przekład »Amyntasa« lub »Cida«.

Przedewszystkiem jednak chluba tej poezji są pieśni liryczne pana referendarza, czasu wczesnej młodości napisane. One to oparły się niszczącemu działaniu czasu i one to stawiają nam przed oczy żywą i zajmującą dźlą jeszcze postać Morsztyna.

Znamy dwa ich zbiory: »Kankulę albo Psią gwiazdę« (1647) i »Lutnię« (1661), »posłaną po kołędzie J.E.M. Panu Łukaszowi ze Bnina Opalińskiemu, marszałkowi nadwornemu koronnemu etc.«

Skąd taki tytuł dziwny pierwszego zbioru: »Kankula albo Psią gwiazda«? Miał poeta do tego, aby tak utwory swoje zatytułować, słuszny powód — tłumaczy prof. Bełcikowski.

»Namiętnością bowiem i gorącą miłością pałało wówczas jego serce, a niebo zsyłało żar i splekotę na jego głowę. Cierpienia moralne i fizyczne, wywołane temi dwoma pożerającemi go ogniami — to treść tego cyklu jego pieśni i piosnek. Pałace oczy kochanki i niemniej pałace słońce — to powody jego utrapień i źródło jego natchnienia. Serce w nim gore i wszystko gore dokoła:

»To mi nad głową przykrym ogniem świeci,
To mi miłości płomień w sercu nieci«.

»Poeta cierpi w tej podwójnej walce, a przecież znajduje w niej rozkosz. Ucieka przed ciepłą do chłodu, a błogosławi trwałej pogodzie, która mu pozwala często widywać kochankę; namiętność burzy spokój jego duszy, a przecież jest dla niego nektarem bogów.«

Nastrój poety w tym cyklu pleśni — czytamy dalej — jest przeważnie lekki, swawolny, częstokroć nawet lubieżny, ale namiętność, choć najgorętsza, obok swawolnego uśmlechu i wesołego płasania ma drugą jeszcze stronę — poważną i głęboką. Jak każde gwałtowne uczucie nie może się ona ślizgać po powierzchni, bez sięgnięcia do dna duszy i poruszenia innych, spoczywających tam potęg. To też namiętność poety uszlachetnia się tutaj często naiwną, czułą sielankowością, a nawet cierpieniem serca. Ten sam człowiek, w którym kochanka swym strojem, powabami rozbudza zmysłowość i rozstraja duszę, przemienia się w cichego wielbiciela i sługę, zadowolonego tem, że może razem z wybraną swoją oddychać jednym powietrzem, podziwlać świeżą zielenią drzew i przysłuchiwać się szemrzącemu strumykowi, jak arka-dyjski pastuszek ze swoją Dafnis lub Amaryllą. I w tym samym znów człowieku odzywają się smętne, melancholijne dźwięki czułości niby echo bólu, jak spoczywa w głębi serca.

Tę głębszą, niszczącą siłę namiętności skreślił poeta niepospolicie w wierszu p. t. »Jedwabnica«:

»Patrz, Kasiu, jako gdy ciepła panują,
Jedwabną przędzę robaczkowie snują,
Jak żyją liściami, jak gęste osnowy
Puszczając, domek gotują grobowy.
To ja tak robię właśnie bez przestania
I kręcę głową do zmroku z zarańca,
Liściami się karmię, niepewny nadzieje,
Które twój wietrzyk niełaski rozwieje.

Z myśli i z żądze nawinąwszy przędzę,
Różne z niej nici dowcipem swym pędzę
I w tem dumaniu tak się bardzo topię,
Że trumnę sobie kuje i grób kopię«.

Nie dziw, że prof. Bełcikowski widzi w tym i w innych utworach miłosnych Morsztyna ton romantyczny, wyprzedzający bezmała o dwa stulecia romantyzm XIX-go wieku.

Istotnie, w odczuwaniu spraw miłosnych Morsztyn jest w poezji polskiej nowatorem. Nikt przed nim i długo jeszcze nikt po nim nie umiał tak kochać, nie umiał tak niepodzielnie oddawać się jednemu tylko uczuciu. Na tle czasu, który pochłonięty był przedewszystkiem sprawami politycznymi i którego cała literatura nosi wyraźne piętno polityczne, ten płomienny krzyk serca i ten pożar zmysłów Morsztyna są zjawiskiem wysoce interesującym. Oczywiście, kultura włoska i francuska zrobiły tu swoje. Dworzanin królowej Marji Ludwiki był niewątpliwie w uczuciach swoich łatwiej pobudliwym i jednocześnie znacznie subtelniejszym od pierwszego z brzegu szlachcica o typie współczesnego mu Imć Pana Jana Chryzostoma Paska, bawiącego się zamłodem po rycersku i opłakującego szczeremi łzami raczej śmierć ulubionego dereszka niż rozstanie się z jakąś przygodnie spotkaną Jagnieszka lub Zosią. Gdy tymczasem pan referendarz wielki koronny mniej był zajęty wojną i łowami, a w wolnych chwilach zamiast gładzić futro oswojonej wydry, wołał z pewnością towarzystwo dam dworu królowej, chętnych do romansu z urodziwym dyplomatą, który wiele świata widział, niejedną przygodę miłosną miał za sobą, a nade wszystko umiał wytwornym i gładkim rymem uczucia swoje wypowiadać.

Nie był też w wypowiadaniu tych uczuć skąpym. Świadczy o tem jego »Lutnia«.

I tu przeważa — mówi Bełcikowski — ton głęboko namiętny, lubo nie brak także wierszy, których główny

wdzięk stanowią galanterja i dowcip, będące drugą cechą poezji Morsztyna, cechą uboczną jednak w porównaniu z miłością.

Autor »Lutni«, tak samo jak autor »Kanki« kocha z całym zaparciem się samego siebie. Szczęście i los jego zawisłe są od woli i współczucia kochanki. Cała jego osobistość poddana jest pod idealną władzę miłości. Uskarża się na swoje oczy, że patrząc na przedmiot ukochany, powiększają jego boleść; odsyła kochance wachlarz, bojąc się, że mu ją za często przypominać będzie; lęka się jak strzały z łuku Kupidyna — »iglicy« z jej włosów; zadowala się zeschniętym kwiatkiem jako pamiątką i chciałby nawet pokryć tajemnicą swe uczucie, jakby wstydząc się, że mu zanadto górę nad sobą wziąć pozwolił. Nawet galernikom zazdrości losu, wołając:

»Wam ręka tylko, a mnie dusza mdleje«.

Co więcej, uczucie jego podnosi się nieraz do idealnego uwielbienia, jak w wierszu »Do panny«, gdzie kochankę nazywa obrazem bóstwa, jasną gwiazdą, przeczystą duszą, w kryształach zamkniętą.

Czasami znów, zdaje się, że słyszymy głos romantycznego marzyciela, który, przeszedłszy wszystkie szczyble uczucia, wyczerpawszy je do dna, kończy na apatii i wewnętrznej próżni, będącej niezdolnym stanem śmierci za życia:

»Wzdychałem naprzód, srogą ściśniony tęsknością,
Potem sobie i łzami serce ulżywało;
Teraz, gdy mi obojga tego już nie stało,
Tleję w węgiel — a jeśli nie spojrzysz wesółem
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem«.

»Ani Werter, ani Gustaw z »Dziadów« dalej nie zasli« — komentuje ten wiersz Bełcikowski, uważając, że »jest to najwyższy kres miłości, bo oddanie siebie w posiadanie drugiej istocie«.

W wierszu p. t. »Stan« jeszcze lepiej uwydatnił poeta tę potężną władzę miłości nad sobą:

»Pytasz, jak się mam? co za moje życie?
Takie, jak ty chcesz. To jest mianowicie
Żalości pełne, ciemnością nakryte,
Głodne pokoju i w troski obfite,
Skąpane we łzach, stałe w złym humorze,
Cichsze niżli noc, burzliwsze niż morze« i t. d.

Tak Morsztyn w różny sposób przebiega całą skalę miłości, a na jego palecie poetycznej nie brak żadnej barwy do odmalowania tego uczucia. Rozkosz i czułość, swawolny żart i tęsknota, boleść i niezakłócona namiętnością swoboda igrają tu na przemian jak kolory tęczy, w które rozpryskuje się jeden słoneczny promień miłości. Poeta zaznajamia nas przytem z najdrobniejszymi nieraz szczegółami swego romansu i wtajemnicza nas w arkana swych dziejów miłosnych. Nie brak tu nawet i »odwrotnej strony medalu«: poeta kocha czule, z całą siłą namiętności, ale kochanka go zdradza, przenosi nad miłość pieńiędzy i oddaje swe uczucia innemu. Wtedy w pokornym jej słudze i uległym wielbicielu z równą potęgą wybuchu pogarda i nienawiści, tem większe, że były niezasłużoną odpłatą za ofiary, poniesione z całej duszy.

Dwa są wiersze tej treści: »Do wiarołomnej« i »Miłość zerwana«.

Ten drugi ¹⁾ uważa prof. Bełcikowski za »arcydzieło w swoim rodzaju z powodu stylu i głębokiej prawdy psychologicznej« i dodaje, że »pomiędzy najpiękniejszymi utworami nawet najnowszych poetów mało zapewne dorówna mu siłą wyrażenia«.

Jest w tym entuzjazmie trochę przesady, nie da się jednak zaprzeczyć, że nie tylko wymienione wyżej utwory Morsztyna, ale i wiele innych jego pieśni odznacza się prawdziwem pięknem.

¹⁾ Zob. Wypisy.

Biorąc to pod uwagę, możemy powtórzyć za prof. Bełcikowskim, że »język miłości muzie polskiej pierwszy raz się w Morsztynie rozwiązał«, że »pierwszy raz (przez niego) osobiste uczucie podniesione zostało na piedestał«. Nie kto inny bowiem, lecz Morsztyn pokazał, że »jest ono potęgą, która może ogarnąć i przytłumić nawet inne władze ducha ludzkiego, zniścić go namiętnością i doprowadzić do tego, że ten ogień wypali wewnątrz ludzkie i uczyni w niem próżnię, jeśli go nie przygasi wzajemność i spełnienie życzeń.

Być może, iż kogoś razić będzie swawolna nieraz fantazja poety, ale »w tym punkcie — słusznie zaznacza Bełcikowski — nie obwiniajmy samego Morsztyna: część grzechu trzeba także na karb wieku położyć. Niebardzo od polskiego śpiewaka miłości co do czasu odległy Tasso, ów prototyp idealnego kochanka, często grubo nakładał farby na odmalowanie zmysłowości. Świat ówczesny żądał tego od poetów, a cielesność była niejako miarą siły ich imaginacji, bo, jak Morsztyn pisze do pani Lejowej, starościny małogoskiej:

»I wiersz niedobry, kiedy nie swywolny«.

Trudno mu zresztą poczytywać za winę, że nie chciał być jednostronnym i skreślił rzecz we wszystkich jej odciśnięciach. Upodobanie do tego panowało już wówczas szczególnie w wyższych warstwach, tak jak niższe miały znowu swą rubaszną jowlalność, którą nie pogardzali ani Kochanowski, ani Potocki w swoich fraszkach. My widzimy te czasy w idealniejszych trochę barwach, niż je miały rzeczywiście — jest to złudzenie perspektywy, która zaciera drobniejsze szczegóły, widoczne dopiero w takich obrazach wieków, jakie podają najszczerze wywnętrzenia poetów«.

Co do formy zewnętrznej poezji Morsztyna, to wystarczy przeczytać kilka jego utworów, aby przekonać się, że władał on wierszem wybornie i był artystą w całej

pełni. Nadto na szczególną uwagę zasługuje jego język. Jest on poprawny i czysty, co w wieku makaronicznym należy do rzadkości.

»Zdarza się wprawdzie czasem — zauważa Bełcikowski — że i Morsztyn za wiele słów używa, ale można zaręczyć, że gdyby był chciał popracować trochę nad swemi wierszami, opiliować je cokolwiek, i te skazy byłoby mu łatwo wywabić«.

A dalej: dowcip, dar inwencji, obfita fantazja, snująca nieprzerwanym ciągiem coraz to nowe obrazy — znamionują jego talent. Największą jednak tego talentu zaletą jest oryginalność, a nawet, mimo wpływów włoskich i francuskich, pewna swojskość. Nieco mitologii znajduje się wprawdzie w jego wierszach, bo i jakże mogłoby jej nie być u poety tego czasu, ale barwy poetyckie, przenośnie i porównania brane są najczęściej z otaczającego poetę świata. Widać na każdym kroku, że Morsztyn patrzył na ten świat własnymi oczyma, co w owej epoce poetom zdarzało się nader rzadko. Naśladowcą francuszczyzny jest może niekiedy w galanterji, która jednak bywałemu w świecie dworakowi i dyplomacie w krew już przejść musiała. Włoska literatura pożyczyła mu form swolch: sonetu, stancy, sestiny i do pewnego stopnia wpłynęła na nadanie odmiennego tonu jego duszy i uczuciu — ale zresztą Morsztyn nie potrzebował bynajmniej oglądać się na innych poetów, bo miał umysł bystry, czuł wszystko żywo, a poezja była najsilniejszym tętmem jego serca:

»Tyś i mych myśli uciecha jedyna,
Z tobą się szczerza, dobra myśl mi wszczyna,
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie
Za zysk mi stanie« —

mówi poeta do swej lutni. A tak mówić mógł tylko poeta prawdziwy.

Godzą się z tem wszyscy historycy literatury, protestuje jeden tylko surowy sędzia życia i poezji Morsztyna,

Tytus Świderski, autor zamieszczonego w roku 1878 w *Przewodniku naukowym i literackim* studjum o nim.

Oryginalne poezje Morsztyna — mówi Świderski — tem się odznaczają, że poeta wyrażał w nich wyłącznie swój świat wewnętrzny, indywidualny. Treścią swą poezje te nigdy albo przynajmniej bardzo rzadko przypominają stan ogólny kraju i wypadki współczesne, w których sam poeta czynny brał udział. Gdybyśmy też na podstawie jego tylko utworów o Polsce ówczesnej sądzić mieli, trudno byłoby się domyśleć, że to była epoka klęsk strasznych, epoka rozprzężenia ogólnego, w której ziarno samowoli i nierządu już wzeszło i coraz bujniej we wszystkich warstwach społecznych już się krzewiło, w której królowie nasi, widząc się niezdolnymi własną mocą złemu zaradzić, nieraz na zgromadzeniach sejmowych ze łzami nakłaniali naród, aby sam się od zguby i upadku ratował. Wśród takich wypadków młodzieniec, obdarzony niepospolitym talentem poetyckim, wyobrażając żywą, bogatą, naturą nader wrażliwą, śpiewa nam ciągle o miłości, o bólach serca własnego i z tego zakresu uczuć osobistych nigdy wyjść nie może i coś innego mleć na celu jak dogodzenie własnej namiętności.

Jest w tem zachowaniu się poety względem położenia kraju coś dysharmonijnego, co Świderski stara się wyjaśnić poziomem pojmowaniem poezji przez Morsztyna, jako »igraszki, zabawki, przyjemnego wytchnienia od zatrudnień zawodu«, a dalej: pewną oschłością uczucia, która sprawia, że »nawet wtedy, gdy szczerze z serca zdaje się przemawiać, budzi się wątpliwość, czy to nie jest tylko czasami igraszka na zimno«. Krytyk robi zarzut Morsztynowi, że nie zawrzał ani razu gniewem i oburzeniem, nie zapłakał łzami bóleści nad poniewieraniem uczuciem miłości ojczyzny, że nie zaśpiewał »pieśni poświęcenia, zgody i pojednania«. Zarzut ten wypowiada

zaś na tej zasadzie, że »nie wolno poecie, należącemu do narodu, w którym literatura pełniła zawsze zaszczytne posłannictwo wzywania do cnoty, rozumu, poświęcenia, zamykać się w ciasnym zakresie uczuć osobistych«.

Ten popularny wśród szerokiego ogółu pogląd na poezję wogóle zwalcza jednak nawet nie holdujący zasadzie »sztuki dla sztuki« prof. Piotr Chmielowski, który odpowłada Świderskiemu prosto i zwięźle:

»Gdyby — mówi — szło o ocenę czynów obywatelskich wogóle, to na to wymaganie przystaćby wypadało w zupełności, ale gdy idzie o twórczość poetycką, wydaje się ono zbyt katońskiem; jeżeliby zaś mogło być kiedykolwiek urzeczywistnionem, to poezja przestałaby być sobą i zamieniłaby się w rymowany wykład etyki, a podobno lepiej jest zostawić każdemu rodzajowi działalności właściwą mu dziedzinę. Co się zaś tyczy specjalnie Morsztyna, to wiadomo, że on, w pewnym przynajmniej okresie swego życia, czynnie się przykładał do zapobieżenia skutkom bezrządu, a i w pieśniach (lubo nielicznych) nie zaniedbał w tym kierunku do ziomków przemówić. Jak więc od jedwabnika niepodobna żądać, ażeby został pelikanem, tak od autora »Pieśni nad pieśniami« trudno wymagać aby był Jeremjaszem. Ani jednych ani drugich nie zbraknie, pozwólmy więc każdemu być sobą«.

A Morsztyn był sobą. W każdym swoim wierszu był wiernym swej indywidualności poetyckiej i dlatego stworzył rzeczy trwałe. Gdyby był pisał epopeje rycerskie, może uległyby już one były dawno zapomnieniu, jak utwory polskiego Wergiljusza i Tassa, Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, którego czytelnik współczesny już tylko przez miłość dla przeszłości czytać może, gdy tymczasem niejednen wiersz Morsztyna dzisiaj jeszcze zdolny jest obudzić prawdziwe uczucie, rozgrzać serce i porwać

wyobrażnię, nie rażąc przytem dobrego smaku, ale zaspokajając go i to bardzo wytwornie.

Krótki ten zarys twórczości znakomitego poety barokowego wymaga jednego jeszcze uzupełnienia. Oto niepodobna pominąć, że ten swawolny i namiętny kochanek, tak surowo potępiony przez Świderskiego, że ten dowcipny humorysta, którego wyborne »gadki« należą do najlepszych tego rodzaju utworów w naszej literaturze, był także autorem wierszy religijnych, i to pisanych w rozmaitych dobach swego życia: w całej pełni młodości i wówczas, kiedy mu już siwizna dobrze głowę przyprószyła.

»Jest to epilog, godny jego erotycznej muzy (Bełcikowski), konieczne dopełnienie jego światowych pieśni, kłpiących od chęci używania i rozkoszy. Bez podobnego zwrócenia ducha w siebie od powszednich igraszek i przyjemności, z których niejedna jest grzechem, nie możnaby sobie wyobrazić żadnego wyższego umysłu. Morsztyn bywał często w rozdwojeniu i w walce z sobą, nawet w swolch erotycznych utworach — namiętność i młoda krew unosiła go zanadto, tak, że rozum i sumienie musiały wystąpić ze swoją naganą. Był on zarówno przystępny zmysłowości jak uczuciom idealnym; dlatego często znajdował się w tym nieznośnym stanie, kiedy człowiek czuje się zawieszonym pomiędzy ziemią a niebem. To rozdwojenie z większą jeszcze dosadnością uwydatnia się w Pieśniach religijnych. Po jednej stronie stoją tu uczynki poety, po drugiej — jego chęci, sprzeczne i niezgodne z sobą:

»Przykowany do ziemi, a łatwemi pióry

Pragnie duch mój związany wylecieć do góry,

Kędy jego ojczyzna«...

Jest pomiędzy temi pieśniami jedna zwłaszcza p. t.

»Pokuta w kwarantannie«,¹⁾ pisana w czasie choroby.

¹⁾ Zob. Wypisy.

może w przeczuciu bliskiej śmierci. W niej to szczególnie skreślił poeta swoje cierpienia moralne, męki, jakie mu zadawało sumienie, obracając w grzech to, co w chwilach lekkomyślności i młodzieńczego szalu uważał za radość i szczęście. Jest to biografia duszy, historia wewnętrznego życia, bez której obraz każdego charakteru będzie błądliwy i niepewny«.

Nikt też i nic nie rehabilituje tak w oczach potomnych Morsztyna, jak ta jego szczerza »Pokuta«. Możemy też mu zapomnieć i przebaczyć wiele błędów prywatnego i publicznego życia, a uznać w nim za prof. Chrzanowskim najwybitniejszego i najzdolniejszego przedstawiciela baroku polskiego, wirtuoza wyszukanej formy, autora najzręczniejszych sonetów w całej poezji staropolskiej, a do tego mistrza języka polskiego.

Daleko do tego innym Morsztynom, którzy współcześnie z Janem Andrzejem brali za pióro, zapisując nazwisko swego rodu na kartach piśmiennictwa polskiego.

Najpopularniejszym wśród nich był Hieronim (Jarosz) Morsztyn, autor wydanych w r. 1650 w Krakowie, a później wielokrotnie przedrukowywanych (1689, 1703, 1719, 1736, 1752 i t. d.), a więc bardzo poczytnych »Antypastów małżeńskich«.

Stosunki jego rodzinne i szczegóły życia nie są jeszcze dokładnie znane. Na podstawie danych (prof. Korbut), zdobytych przez J. K. Gleysztora i M. Dynowską, dadzą się jednak ustalić następujące fakty:

Hieronim Morsztyn urodził się około r. 1580 w Krakowie, z ojca (prawdopodobnie) Florjana, bachmistrza wielickiego, arjanina i z matki Zuzanny, z domu Łaskiej córki Jana, a więc siostry stryjecznej Olbrychta Łaskiego wojewody sieradzkiego. Bardzo młodo utracił rodziców i wychowanie swoje zawdzięczał wujowi, Samuelowi Łaskiemu, sekretarzowi królewskiemu. Szkoły ukończył u jezuitów w Brunsberdze, gdzie trzy lata przebywał.

Prawdopodobnie ojciec jego i wuj (jak przypuszcza Gleysztor) »choć syn sławnego arjanina Łaskiego, musieli już być katolikami, gdy młodzieńca u jezuitów umieszczono«.

Daty śmierci Hieronima nie znamy. Przypada ona na lata 1623—1645.

Z pism jego bibliografja notuje: »Zwierciadło statecznego i szalonego młodzieńca« (według Gleysztora wyd. w latach 1599—1603); »Światową rozkosz« (wyd. w Krakowie r. 1606, po raz drugi w Poznaniu w r. 1622 im); »Philomachję albo afektów gorącej miłości wyrażenie w kilku par obojczych przykładach. Młodym na pohamowanie w druk podana po śmierci autora« (Warszawa 1655) składającą się z trzech powieści wierszem: 1) »Alfonsa i Orystelli... miłość okrutna«, 2) »Żaloszny koniec miłości niezbędnej dwojga ludzi w sobie się kochających Zygmundy i Gwisdarda« i 3) »Historja bardzo piękna o Talezie królewicu lidyjskim, a Perepedzie, królownie aragońskiej; wreszcie wspomniane już »Antypasty małżeńskie«, zawierające: 1) »Historję ucieszną o zacnej królownie Banialuce« (wierszem), 2) »Historję o Galezyusie i Filidzie« (prozą) i 3) »Historję o Przemysławie i Cecylje« (prozą).

Nadto w rękopisie pozostaje dotychczas »Historja o pięknej Dyannie, królowej cypryjskiej«.

Wiersze liryczne Hieronima Morsztyna skupione są w zbiorze p. t. »Sumarius wierszów Morsztyna niegdy poety polskiego«. (Spis utworów w nim zawartych podaje M. Dynowska.) Rękopis niewydany przechowuje się w bibliotece hr. Michałowskich.

Ze wszystkich tych utworów największy rozgłos zdobyła sobie powieść wierszowana pt. »Historje ucieszne o zacnej królownie Banialuce«, »pełna, jak mówi prof. Chrzanowski, przygód tak dziwacznych, że aż imię bohaterki poszło w przysłowie: »pleść banialuki«, co znaczy to samo, co pleść koszałki-opałki«.

Świadczy to wymownie o upodobaniach i smaku czytelników ówczesnych.

Treść tej powieści, przerobionej z francuskiego, jest następująca:

Jakiś królewicz (streszcza Chrzanowski) zabłądził w lesie na polowaniu, aż ujrzał pałac wspaniały; chociaż strzegły go lew i niedźwiedź, dostał się jakoś królewicz wraz z giermkim swoim do wnętrza, ale nie zastał tam nikogo. Niebawem jednak powraca z wycieczki właścicielka pałacu, urocza Banialuka i zrazu nie posiada się ze złości na włdok nieproszonego gościa, ale wkrótce potem »gniew swój opuściła i na jego twarz gładką ochotniej patrzyła«, poczem opowiada królewiczowi swoje dzieje:

Przed rokiem, po śmierci obojga rodziców, uczyniła ślub, że przez całe trzy lata nie będzie patrzyła »na inne ludzkie, tylko na swój fraucymer«, więc opuściła strony rodzinne i zamieszkała w tym oto pałacu.

Tymczasem zastawiono ucztę: »tu dzika zwierzyna owdzie się z misy kurzy tłusta cielenina, sam jarząbek w rosole, indyk do podlewy«...

Podczas uczty »żądło gładkości« królewicza tak nęliłościwie zraniło Banialukę, »że jakoby śledziła we mdłości«, i nawzajem, »żądło gładkości« Banialuki zraniło królewicza.

Ale czas wracać do domu: na pożegnanie królowna daje królewiczowi połowę pierścienia na znak, że za nikogo innego zamaż nie wyjdzie. Królewicz wraca do domu, ale codziennie Banialukę odwiedza. Aż dowiedziała się o wszystkim jakaś królowna, która już dawno królewicza kochała, i ślubuje zemstę: jej ochmistrzyni-czarownica wręcza giermkowi królewicza zaczarowane jabłko z rozkazem, aby, gdy znów do pałacu Banialuki z królewiczem pójdzie, dał mu je zjeść. Królewicz zjadł i zemdleł: nadbiegła Banialuka, naclera »pachnącemi ziółkami« puls, wodą »zakrapia uschły język jego« — wszystko na nic. Nie pomogły ani »całowania«, ani »milusieńkie

przitulania: królewicz leży jak nieżywy. Zrozpaczona Banialuka odjeżdża. Dopiero po jej odjeździe ocknął się królewicz i powrócił do domu. Nazajutrz było jeszcze gorzej: królewicz znowu przyjechał, znowu zjadł jabłko, i »większe go dziś niż wczora boleści objęły... jęczał leżąc i mruczał, i zgrzytał zębami, planą parskął i brzydko wywracał oczami. Zbolała Banialuka, myśląc, że to Pan Bóg ją karze za złamanie ślubu, opuszcza pałac i powraca w swe strony rodzinne; nagle »plorun rozpalony uderzył na ów pałac... gromy straszne trzaskały, wichry popędliwe czynią zmagła ruiny w pałacu straszliwie. Huk plorunu obudził królewicza; teraz dopiero domyślił się on zdrady glermka, zabił go, poczem powędrował w świat, szukać Banialuki. Idzie do świętego pustelnika i pyta, czy nie wie, gdzie królowna: pustelnik nie wie, zwołuje wszystkie zwierzęta, którym panuje — i one nie wiedzą. Królewicz idzie więc do drugiego pustelnika, jeszcze świętszego, który rozkazuje ptakom. Zlatują się ptaki: »Strus krzyczał, żoraw strukał, a pawy wrzeszczały, feniks się śmiał, bociany nosem klekotały, bażant piał, a bąk bączał, kraczą ślepowrony... Plegotały kaweczki, sroki szczegotały... Sowy huczały, puszcзки z puhaczem wołały, drop ksykał, głusiec puchał, dudkowie dudają, grały cietrzewie, a ich ciecioruki kokały... Ciurkał dzięcioł, wróbel świerkał, strykały chróściele, słowiczek lamentował, a pardwa kokciele... Psykali czyżykowie, kwiczoły piskały, drozdy skrzypią, a żołyń niemilo skrzeczały, złęba cin-cin, sikora ta-ra-ra przydaje, strzyżyk ci-ci, a więcej głosu mu nie staje.

Ale i ptaki nie wiedzą.

Królewicz idzie tedy do trzeciego pustelnika, już najświętszego, który rozkazuje wiatrom: wiatry wleźlały, i jeden z nich zanosł królewicza do królestwa Banialuki:

Tu w tajemnicy godził się królewicz na ogrodnika w pobliżu zamku królewny.

Kiedy czas żałoby po rodzicach Banialuki minął, zjeżdżają się rycerze na turnieje: kto zwycięży, ten rękę królowy otrzyma. Zwycięża naturalnie królewicz, ale nie wyjawia jeszcze, kim jest, tylko zawiąza ową połowę pierścienia w papier i każe wręczyć obecnej na turniejach królownie.

Kończy się na weselu: królewicz obejmuje państwo Banialuki, oblecując swym poddanym, że uszanuje wszystkie ich wolności — niby król polski, zaprzysięgający *pacta conventa*.

Nie dziw, że się ta »historja ucieszna« podobała zwłaszcza w czasach saskich i że »powodzeniem« swoim zgasiła zupełnie najlepszą część puścizny po Hieronimie — jego poezję liryczne.

Zawarte w »Sumarjusz«, o którym mowa była wyżej, niewszystkie — zdaniem prof. Brücknera — wyszły one z pod pióra Hieronima. W sumarjuszach takich spisywano bowiem utwory rozmaitych autorów.

»Największa ich część w sumarjusz Hieronimowym należy do swawolnych i gorszących — z tej zapewne przyczyny nigdy drukowane nie były (mówi K. Mecherzyński¹⁾), bo cenzura duchowna, stojąc na straży obyczajów, powściągała takowe pióra nadużycia.

Ale czemuż cenzura wobec wrodzonej Morsztynom zmysłowości, do której Hieronim, tak samo jak Jan Andrzej szczerze się przyznaje.

Jam (mówi) na złoto nie chciwy, kocham się w pokoju,
Na pracę nie duży, ani sposobny do boju;
Ale to, co mieć ze mnie przyrodenie chciało,
Które mi ognia dosyć cielesnego dało.
Wzławszy parę gołębiąt, wysłużył swej dary,
Oddam Kupidynowej matce do ofiary,

¹⁾ Zob. Bibljot. Warszawska 1859, II.

A prosić o to będę, abym niestroskany
Wiek prowadząc, jej chęci doznał pożądany,
Który kiedy utracę, choć się śmierci boję,
Przecle już i o żywot wtenczas mało stoję.

Nie do druku pisał przecleż swoje wiersze pan Hieronim, ale »sobie i towarzyszom miłym k'woli«, jako zaprawę do biesiady i wesolych igraszek. Czyliż więc za to potępiać go mamy, że ciekawa potomność sięga do tych sekretów i szperając po rękopisach pożytkłych od starości, wydobywa na jaw cudze tajemnice?

Broń Boże! Bo i zgorszenia z tego już dzisiaj żadnego być nie może, tylko pogląd na charakter i obyczaje wieku, dość grube, aby uchodziło wówczas to, co dzisiaj nie uchodzi.

Zresztą nie same tylko »swawolne« rzeczy są w »Sumarjusz«. Są tam, jak przyznaje Mecherzyński, i »wiersze poważniejszej treści, moralne, budujące, w których umysł poety pogodny i od namiętności wolny uczuwa słodycz wewnętrznego pokoju, cichego i swobodnego życia, łatwej i powolnej umiarkowanym żądom szczęśliwości«. Niektóre, o ile rzeczywiście należą do Hieronima, (bo autorstwo ich jest niepewne), »tchną nawet miłą prostotą i naturalnością, zalecają się czystem i nadobnem wysłowieniem i przypominają pióro Jana Kochanowskiego« (»Fortunne lata«, »Górna duma«).

W podobnym rodzaju jest »Ziemlanin« i »Dobra myśl u ochotnego gospodarza«, gdzie poeta opisuje szczegóły gościnnego przyjęcia w domu przyjaciół, dając bardzo zajmujący obraz ówczesnego życia domowego ziemian polskich.

Dobre są także opisy, zwłaszcza sielskie. »Malowidła przyrody i miejscowości (jakich w dawnej literaturze niewiele mamy przykładów) — stwierdza Mecherzyński — zalecają się swojskością, prostym i przyrodzonym wdziękiem«. Takim jest np. opis Włosny, w którym poeta skreśla odradzające się w młodej porze powaby włoski.

Takie są również »Willaneczki« w rodzaju pasterskim (czy Morsztyna, czy prędzej Szlichtynga?). Najcenniejszym bodaj jednak w puściźnie pana Hieronima (zawsze wątpliwym) jest wiersz, przedstawiający pojęcia szlachcica XVII wieku o honorze. Wiersz ten świadczy o zupełnym już w Polsce ówczesnej triumfie idei francuskiej, która »najmniejszą zmacę« krwią zmywać kazała.

Trzecim z kolei, znanym w literaturze Morsztynem jest Zbigniew, arjanin. Urodzony około r. 1624 go (gdzie, niewiadomo), był synem Jerzego Morsztyna (z Raciborska). Nazwiska matki jego nie znamy. W latach 1644—48 (podaje prof. Korbut) był urzędnikiem w żupach wielickich. Od r. 1648-go służył wojskowo w oddziałach Janusza i Bogusława Radziwiłłów. Brał udział w kampanjach r. 1648, 1651, 1652, 1654, 1656, walcząc z Kozakami, Moskwą i Szwedami. W r. 1656-ym dostał się do niewoli szwedzkiej. W czasie służby wojskowej mianowany został mlecznikiem mozyrskim. Odzyskawszy w r. 1657-ym wolność, porzucił stan wojskowy i ożenił się z Zofją Czaplicówną (arjanką). W r. 1661-ym wskutek dekretu królewskiego, wyganającego arjan, przeniósł się do Królewca, pod opiekę Bogusława Radziwiłła, namiestnika Prus Książęcych. Otrzymał od elektora prawdopodobnie za wstawiennictwem ks. Bogusława, wieś Rudówkę i tytuł radcy elektoralnego.

Zbiór jego poezyj pt. »Muza domowa« pozostaje dotychczas w rękopisie (prof. Korbut). Drugi zbiór ogłosił zasłużony rewindykator i obrońca poezji XVII-go wieku, prof. Brückner w »Wirydarzu poetyckim« Jakuba Teodora Trembeckiego.

Jako poeta, Zbigniew Morsztyn jest przeciwstawieniem Jana Andrzeja i Hieronima. Będąc przez długi czas żołnierzem, rozmiłował się w tem rzemiośle, a mając za sobą niejedną wojnę, lubi wspominać o trudach obozowych, o walkach, o towarzyszach poległych, o chorągwi, »mężnej orlicy«, pod której skrzydłami służył, a i nad lo-

sem nieszczęśliwej ojczyzny nieraz łzę uрони. Poza tem chwali w wierszach swolch, jak tylu innych poetów ówczesnych, zalety życia wlejskiego, którego spokój, ciszę i wygody miłuje. Jest, mimo mieszczańskiego pochodzenia rodziny Morsztynów, ziemianinem z krwi i kości. Artyzmu wyższego nie posiada, ale wiersz ma gładki i język czysty. Na tej podstawie zaliczyć go należy do lepszych poetów XVII-go wieku.

Czwarty wreszcie Morsztyn, to znany nam już Stanisław, bratanek Jana Andrzeja.

Szczegółów o jego życiu posiadamy mało. Roku jego urodzenia nie znamy. Wiemy tylko, że był synem Jana »z Raciborska« i Arciszewskiej. W latach młodzieńczych wspólnie z Janem Andrzejem zwiedził Europę zachodnią i południową, poczem zaciągnął się do wojska. Brał udział w wojnach kozackich i innych za Jana Kazimierza. Mężnie stawał, jak podaje Mecherzyński, »w obrońcie Czehryna i Krakowa, pod Cudnowem, Chocimem i Żórawnem, wreszcie za Jana III-go pod Wiedniem i Strygoniem przeciw Turkom i Tatarom«.

Był kolejno: chorążym zatorskim (1676), podstolim chełmskim, kasztelanem czerskim (1687), wojewodą mazowieckim (1696) i wojewodą sandomierskim (1704).

Dożył sędziwego wieku. Umarł około roku 1725-go.

Współcześni cenili go jako światłego i gorliwego obywatela, który wyróżniał się na sejmach i trybunałach.

Jako poeta nie szukał rozgłosu, aczkolwiek z muzami od młodu w bliskich pozostawał stosunkach, skoro Jan Andrzej Morsztyn, dedykując mu »Psychę«, pisał w posłaniu do niego:

»Nie mądrejci-to, bracie, sprawa głowy
Słać drwa do lasa i do Aten sowy
I wiersze do ciebie:

Przyjm jednak wdzięcznie młodości mej czyny,
Dobyte szczęściem z prochu, z pajęczyny,
Która zazdrośnie prace twoje grzebie«.

Z tego widać, że Stanisław Morsztyn śpiewał »sobie a muzom«. Z utworów jego znamy przedewszystkiem dwa dość gładkie, chociaż bez wyższego polotu dokonane przekłady: »Hipolita«, tragedji Seneki i »Andromachy«, Rasyna, wydane razem z »Psychą« i »Cydem« Jana Andrzeja.

Poza tem dochowały się »Smutne żale po utraconych dzieciach, w r. 1698 napisane«. Powtórnie do druku podane w Warszawie w r. 1704.

Jest tu — mówi Mecherzyński — dziesięć żalów czyli elegji, potem Nagrobki, wierszem polskim i łacińskim dla Teresy (córk) i Jana (syna) Morsztynów, w młodym wieku zmarłych, a wkońcu Utulenie żalu. Żal IX-ty ma wiersze zaczynające się od głosek, które wyrażają: Teresa Izabella Morstinówna, Jan Joseph Morstin, naraz pomarli. W nagrobku podpisał się autor: Stanisław z Raciborza Morstin, wojewoda i generał ziem księstwa mazowieckiego.

Wiersz »Żalów« gładki, mało jednak poetyczny, zawiera w tonie jednostajnym narzekania na nieużytość śmierci i pochwały zmarłych dzieci. Niemasz tu, jak w Trenach Jana Kochanowskiego, stopniowania uczuć i owej różnorodności, tak zajmującej w ich obrazie. Tłumaczy to autor wielkością straty, jakiej ledwo część — zdaniem jego — doznał Kochanowski:

»Średni ból jest wymowny; utrapienie zbyt
Zmiesza słowa, albo je w samych ustach przytnie«.
Polszczyzna w »Żalach« dobra, ledwo gdzieś niedzle ma ślady panujących podówczas makaronizmów.

Nadto znamy kilka jeszcze krótszych poezji Stanisława Morsztyna, wydrukowanych w końcu wydania po-

znańskiego poezyj Jana Andrzeja Morsztyna pod fałszywym tytułem »Poezje Zbigniewa Morsztyna«.

Reszta utworów pana wojewody sandomierskiego prawdopodobnie zaginęła ze szkodą dla historii literatury, autor ich bowiem nie tylko był utalentowany, jak wszyscy Morsztynowie, ale jak się zdaje, znacznie przewyższał Jana Andrzeja, Hieronima (Jarosza) i Zbigniewa głębokością umysłu i pojemnością serca.

Krótki wybór pism

MORSZTYNÓW

Jan Andrzej Morsztyn (1613—1693)

Psyche

Z Lucjana, Apulejusza, Marina.

Wenus poszukuje Kupidyna.

XXV

Szuka go Wenus naprzód między Greki,
Ale tam tylko i szable błyszczące,
I na krew ludzką rozdarte paszczęki,
I bisurmańskie znajduje miesłace.
Stamtąd woźnikom popuszczając ręki,
Pomija brzegi od ognia gorące
Sykulskiej Etny; aż ją powóz płochy
Wysadza między zalotnemi Włochy.

XXVI.

Ale tam, miasto miłości, plugawe
Widzi nierzady, opaczne chciwości,
Zazdrość zbrodnistą, podejrzenia krwawe,
Wolność wygnaną, wszędy pełno złości.
Stąd idzie między Niemkinie łaskawe;
Lecz tu Kupido nie barzo rad gości:
On chce zapalów do krwi i do garła,
Tu zimna miłość i jakby umarła.

XXVII.

Przewoził się stąd między oddzielone
Od świata morzem naszego Brytanny,
W kraje gładkością od wieków wslawione,
Gdzie i dowodzą i królują panny;
Ale zastawszy płaski krwią skropione
Niewinną, i z rąk świętokradzkich ranny
Królewski tułów, o straszne przykłady!
Nie może patrzeć na poddanych zdrady.

XXVIII.

Pewna już o nim na przeciwnym brzegu,
Przebywa morze wlot między Francuzy.
Tu on więc mieszkał, tu w płci równej śniegu
Serca krępował i sadzał do kluzy;
Tu mając dziewczki, jakich w swoim błegu
Słońce nie widzi od Gades do Suzy,
Skrzydła był odpiął, a oreża z złota
Nosili za nim Żart, Śmiech i Pleszczota.

XXIX.

Darmo go jednak szuka we dnie, w nocy:
Bo tu tak siła znalazł do roboty,
Że musiał sobie przybrać do pomocy
Młodszych braciszków, którym kołczan złoty
Rozdał, żeby swej spróbowali mocy;
A sam zwątlony bez sił, bez ochoty,
Na odpoczynek odważył się z nową
Do Polski zjechać Kupido królową.

XXX.

Wenus się po nim puszcza na delfinie
I porze morskie wały jak na spławie.
Miła Niderland i do duńskiej skrzynie
Nie płaci myta w Zuntcie na przeprawie.
Nakoniec stawa tam gdzie Wisła ginie
Przy gdańskim porcie, i stąd ku Warszawie
Płyń, gdzie w gęste ubrawszy się chmury,
Wchodził nieznaczna między pańskie mury.

XXXI.

Jest pałac, wiślnie patrzący na wody,
I na zarzeczne miasta i zulały,
Opasan w koło ślicznemi ogrodami.
Tu więc królowa niewa swe zabawy,
Kiedy wieczorne pozwalają chłody
I liście, broni Febowi przeprawy.
Tam ją zastała wtenczas Erycyna,
Z swemi nimfami siedzącą i syna.

XXXII.

Zadziwiła się; nie wie czy na ziemi,
Widząc królową, czy stanęła w niebie,
Nie śmie jej równać z duchy niebieskiemi:
Wyżej ją kładzie bogiń, wyżej siebie,
I zwyciężona blaski niezwykłemi,
Urodę własną poniża i grzebie,
I mówi, tłumiąc swe zazdrości ciche:
Podobno-ć to ja, podobno-ć to Psyche?

XXXIII.

Widzi między jej nimfami Cypryna
Różne gładkości, śliczność na gromadzie.
Już zapomina karać Kupidyna,
Ledwie już pomni o Psysze, o zwadzie,
I nie ma za złe, że płocha dziecina
Zabawiła się w tak rozkosznym sadzie.
Wie dobrze, czego szukają więc młodzi,
Skąd łaje żartem i groźby łagodzi.

XXXIV.

»Przyznawam, synu (mówi), że nie głupie
Obierasz sobie zabawy zalotne.
Znajdziesz, czego chcesz, w tak wybranej kupie,
Ale też znajdziesz okowy stokrotne,
I łupem będziesz, gdy padasz na łupie,
Przestrzedz mię jednak było, bo już lotne
Ledwie dychają moje gołębicę,
Pościgając cię przez różne ziemlice.

XXXV.

•Ty coś zwykł rządzić i panować wszędy,
Odpiąłeś sajdak i skrzydła — nadgrzęzły;
Jak ogrodniczek pilnujesz tu grzędy,
Znać że cię smaczne przytrzymały węzły.
Wpadłeś w labirynt i w niezwrotne błędy,
Aleć ratunek niosę matka, niezły:
Wyprowadzę cię, i miasto pieszczoty,
Do sławniejszej cię obróćę roboty.

.....

Poezje liryczne.

Kanikuła albo Psia Gwiazda.

Chłód daremny.

Kiedy się słońce przez Raka przedziera
I Lwa strasznego nawiedzić napiera,
W powszechnym świata znoju i spaleni
Szukałem, gdzieby głowę skłonić w cieniu.
Raz się przechodzę do bliskiego gaju
I żebrzę łaski zielonego maju.
Tam mię wspomaga dąb chaoński cieniem,
I grab twardością zrównany z kamieniem,
Płękny i jawor fladrowanej więzi, —
I szkolna brzoza drobnouchnej gałęzi,
I żyrne buki i klon niewysoki,
I lipa, matka pachnącej patoki;
Jasion wojenny i brzost, który naszym
Krajam intraty przyczynia potaszem.
Drugą raz w gęste zapuszczam się bory,
Kędy świerk czarny rośnie w górę spory,
I modrzewina czerni nleznająca,
I terpetyną jedlina płacząca,
I sośnia wielkiej w budynkach wygody,
I kadzidłowej jałowiec jagody.
Trzeci raz różnie próbując ochłody,
Chodzę po brzegach przezroczystej wody;
Tam mam dostatnie chłody topolowe,

Olsze czerwone i wierzby domowe,
Chwast derenłowy więc i rokicnę
I chłodne bagno i złotą wierzbinę,
Ale cóż potym? lubo ta zasłona
Schroni mej głowy od Hiperyona,
Lubo mi na czas psia gwiazda sfolguje,
Zaraz te pustki miłość opanuje.
Próżno się tedy cieniem z wierzchu chłodzę,
Gdy w sobie noszę ogleń i z nim chodzę.

Praktyka.

Jeszcze się nie znał z Kupidynem, ani
Wiedziałem, jako strzała jego rani;
Jeszcze był wolen, jeszcze na mię była
Zdradliwych Wenus siდეł nie rzuciła;
Kiedy gdy chłodu upatruję w cieniu,
Upalonemu psia gwiazdą ciemieniu,
Ptaszyna lecąc słowikowym krzykiem,
Zastraszyla mię takim prognostykiem:
•Krótko ach! krótko po swej woli chodzisz,
I darmo sobie złotą wolność słodzisz;
Wkrótce sam sobie zginiesz i od ludzi
Stronić nową chęć, miłość w tobie wzbudzi,
Wtenczas dopiero, choć będziesz gotowy
Całować pęta, obłapiać okowy,
Doznasz, co w sobie zamykają rany
Miłości, co jest być od niej związany;
Bo cię zwycięży, a ty zwojowany
Cięższe na nogach poniesiesz kajdany.

Ogrodniczka.

Nie wiem, skąd nad swój zwyczaj litościwa
Zemdlale ziola Jagnieszka polewa,
I chłodzi ogród lipcem upalony;
Na co ja patrząc rzekłem zamyślony,
Nie wodę na was ta panienka toczy,
Ale was z banie łzami memi moczy.

Biogosiawiony ogródeczku, który
 Odwilża, prędko pomkniesz się do góry.
 Szczęśliwe ziola, wam się łyzy dostały,
 Które okrutną dziewczkę miękczyc miały;
 Pójdziecie bujno, kiedy swolch oczy
 Nad wami blaski słoneczne roztoczy;
 Oraz nadzwycke mając przyrodzenie,
 Słońce z jej oczu, z moich dżdża strumienie.

Vannegio d'una Inamorata.

(Przekład wolny z Sannazara.)

Goreję, czy nie? — cóż to ja za nowy
 Gościnny afekt w sercu swoim czuję?
 Podobno ogień? — lecz jużby ogniowy
 Zapał zgasił w płaczu, którym się tak psuję.
 Męka to raczej i ból mojej głowy;
 Nie męka też to, co sobie smakuje,
 Smak być nie może, bo mnie to frasuje;
 Przecie wraz i smak i żal serce czuje.
 Jeśli to nie żal, ni smaczne ochłody,
 To pewnie głupstwo którym się myśl wścieka,
 Ale nie głupi co się ból szkody.
 Cóż potym, kiedy przed nią nie ucieka
 Miłość? — nie miłość, przecie też niezgody
 Nie widzę; cóż mnie tak dziwnego czeka?
 Cóż to jest, że mi tak ciężko na duszy?
 Pewnie mię to myśl i zły humor suszy.
 Lecz jeśli to myśl, o czym-że wždy myślę?
 Okrutna myśli, czemu myślić muszę?
 Czemu choć w głowie zawsze myślą kryję,
 Znowu tą myślą co przedtym myśl suszę.
 Czemu choć myślom różny czas wymyślę,
 O to się, żeby nie myślić nie kuszę?
 Myślę, lecz jeśli myślić jest to wina,
 Nie ze mnie, ale z myśli jest przyczyna.
 Winną-bym była, gdybym się kochała,
 Ale o miłość serce me nie stoi.
 Ale nie toż to jakbym kochać chciała,

Gdy się myśl myślić o miłym nie boli?
 Cóżby, gdybym też miłości zerwała,
 Nie wiem; ale wiem, że mi pęta stroi;
 Kocham nie kocham; dziwnie w głowie knuję,
 Nie chcę, nie kocham, a przecie miłuję.
 Kocham czyli nie? — ach! ogień w miłości
 Szczyrze dopieka, a ja drząc trupieję;
 Nie kocham tedy — ach! do samych kości
 Wolnym się ogniem spuszcza i topnieję,
 Ogień się z mrozem ugania w skrytości,
 I mrozem pałam i ogniami leję;
 Cudy miłości, czarów sposób nowy,
 Mróz gorejący, a ogień lodowy.

Goreję, marzną i jestem do tego
 I zapalona, ranna i związana;
 Ranę mam, nie wiem z sajdaku czyjego,
 Łańcucha nie znam, chocia-m okowana;
 Okowy noszę od wzroku wdzięcznego,
 Z którego miły ból, rana kochana;
 Jeśli to miłość jest co mnie tak dusi,
 Miłość być, wierę, groźną rzeczą musi.
 Groźna rzecz miłość. Lecz coż mi się dzieje,
 I cóż tę miłość za otucha wspiera?
 Nadgrody nie chcę, co więc miłość grzeje;
 Serce się kochać i darmo napiera.
 Nie kochaj serce: bo też bez nadzieje
 Nie wiem jako ta miłość nie umiera?
 Ach mówię z sercem, a serce-m pozbyła,
 Serca nie mając, jakoż będę żyła?

Żyję, umieram; dziwnie się to wierci,
 Konać, nie umrzeć, choć serca nie mając,
 Żywot opuścić, nie czuć przecie śmierci!
 Jest to umierać, a nie umierając,
 Albo mężniejszej nabiera gdzieś sił
 Serce, że znowu odżyła konając,
 Albo co duszę z sercem strzała dzieli,
 Nie domorduje, choć na śmierć postrzeli.

Niedobyte nie; lecz z śmiertelnej rany,
Kaleka serce już w kim inszym żyje,
Tenże za serce stoł ukochany
Żywot; serce nie z niego żywot pije.
Ja nie mam serca (dziw to niesłychany),
A serce, serca dwie w sobie nie kryje.
Tak dla tej twarzy, w której kocham wiernie,
Żyjąc umieram, konam nieśmiertelnie.
Kochajmyż tedy, aza wzdy zapłaty
Da się doczekać czas lepiej życzliwy;
Czego więc czasem dochodzą i laty,
To prędzej zmiękczy afekt popędliwy;
A ty mi pomóż Kupido skrzydlaty,
Co w mózgu moim takie roisz dziwy,
Tak Falsirena miłosna mówiła,
I tak się z swemi myślami biedziła.

Lutnia

Jego MPana Andrzeja z Raciborska Morsztyna Referendarza W. Koronnego posłana po kolędzie JEMPanu Łukaszowi ze Bnina Opalińskiemu Nadwornemu Koronnemu etc. etc.

Lutniej księga pierwsza.

O swej pannie.

Białe i polerowany jest marmur z Karary,
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,
Białe łabędź i białym okrywa się piórem,
Biała perła nie częstym zażywana sznurem,
Białe śnieg, świeżo padły nogą niedeptany,
Białe kwiat liljowy na świeżo zerwany;
Ale bielsza mej panny pleć twarzy i szyje
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

Do tej że.

Oczy twe — nie są oczy, ale słońca jaśnie
Świecące, w których blasku każdy rozum gaśnie;
Usta twe — nie są usta, lecz koral rumiany,

Których farbą zmysł każdy zostaje związany;
Piersi twe nie są piersi, lecz z nieba surowy
Kształt, który wolą naszą zabiera w okowy;
Tak oczy, piersi, usta, rozum, zmysł i wolą
Blaskiem, farbą i kształtem, ciemną, wiązą, niewolą.

Kwiaty darowane.

Kwiateczku suchy, ale mnie kochany,
Dla ręki, którąś zerwany i dany,
A suchy od mych ogniów i przed srogiem
Serca mego zwiędłały pożogiem;
Tyś niepodobny tej płci krwawej, ani
Mleku, przy którym nosiła cię pani,
Lecz z megoś serca przybrał te kolory,
Które tak zwiędło, jak kwiat późnej pory;
Ani cię mogę oczerstwić i łzami,
Bo i te płyną zmieszane z ogniami.
Pokaż mej paniej twe zblednięte liście,
I swym zwiędnięciem spraw to oczywiście,
Ze widząc, jako gładkość klejnot rzadki,
Ginie — da owoc, a nie tylko kwiatki.

Nieustawiczna.

Trudno zrozumieć, co się w ciebie wlewa,
Tak-eś odmienna i tak-eś pierzchliwa;
Raz-eś mi frantem, drugi raz-eś szczerą,
Raz przyjacielem, drugi raz przecherà,
Raz ze mną włernie, drugi raz mnie zdradzisz,
Raz się pojednasz, drugi raz powadzisz;
Tak cię natura chciała wykształtować,
Że nie wiem jako z tobą postępować.
Boże! żeś nie dał do serca okienka,
Żeby zrozumieć jaka to Jagienka!

Do swoich książek.

Dokąd się moja lutni napierasz skwapliwie?
Chcesz na świat? i w drukarskiej chciałabyś olliwie
Podać w nielutościwe swoje plotki prasy,
Wzgardziwszy słodkie mego kabinetu wczasy;

Ach, nie wiesz czego-ć się chce. Różne w ludziach
[smak],
I ciebie potka wilkum pewnie nie jednaki.
Nie trzeba dymem śmierdzić, kto się chce do dworu
Udać, jeszcześ ty godna kuchennego szoru.
Jeden co lepiej pisze, najdzie w tobie siłę,
Coby cierpliwsza głowa jeszcze przekryśliła;
Drugi z zazdrości, która średnio mózgi żywi,
W oczy pochwali, ale z tyłu gębę skrzywi;
Inszy choć w hipokreńskiej nie pił nigdy bani,
Żeby się coś zdał, czego nie umie, pogan.
Tak, coś ją w ciżby miała, utracisz powagę,
I pójdziesz za sukienkę korzeniu na wagę.
Abo cię, ważąc konfekt, podścieli na szali
Aptekarz i Szot tobą tabakę podpali;
Abo kiedy krystera czyści brzuch zawarty,
Coraz to kord do stolca jednej zbędziesz karty.
A ty przecie prosisz łaskawej odprawy,
Tak ci się moje przykrzą kreski i odprawy,
I co go doznasz możesz, nie poważasz sromu;
Idź tedy — ale lepiej było siedzieć w domu.

Na balwierza.

Kogo świat mierzi, kogo zdrowie boli,
Niech się u Czopka cyrulika goli;
Niż się rozgości, i niż zgrzeje wody,
Połowa włosów przybędzie do brody;
I niż część drugą namydli, oskrobie,
Już ogolona poroście w tej dobie.
Jak pocznie skrobać, i włosów przerzedzi,
Nie wie, co jest ból ten, co mu doszedzi.
Nie tak się rzezą opili masłokiem,
Nie takim ciągną bańkami krew stokiem,
Nie tak zawłokł, nie tak apertury,
Jak jego bolą po jagodach dziury.
Ledwie by godzin strzydz żmudzinom¹⁾ grzywę
I uszy, i to, jeśli koń cierpliwy.

¹⁾ Żmudzin, koń małego wzrostu, jakich dużo na Żmudzi.

Te, co widzicie rany na mej brodzie,
Nie inszej one przyznajcie przygodzie;
Nie kot podrapał, nie żona pobiła,
Nie zła choroba krostą poznażyła,
Ani przy kuflu, ani z krwawej bitwy
Odniosłem, ale od balwierskiej brzytwy.
Niemasz od kozła sztuczniejszego zwierza;
Brody nie goli, bojąc się balwierza.

Do Zosie.

Żeś w swej twardości niezmienna,
Nie dziw, boś wszystka odmienna.
I usta masz rubinowe,
I rzędy zębów perłowe
I ciało alabastrowe,
I serce dyamentowe,
Co za dziw, że bożek mały
Nie przestrzelił twardej skały!
Bo i kołczanik złocisty,
I łuk niezaderewisty,
I bożek nazbyt łaskawy,
Jednak jeśli do tej sprawy
I ja się pilnie przyłożę,
Na zakład i gardłołożę.

Niestatek.

Prędzej kto wiatr w wór zamknie, prędzej i promieni
Słonecznych drobne kąski wżenie do kieszeni,
Prędzej morze burzliwe prośbą uspokoi,
Prędzej zamknie w garść świat ten tak wielki jak stoi,
Prędzej pięścią bez swojej obrazy ogniowi
Dobię, prędzej w sieci obłoki połowi,
Prędzej płacząc nad Etną, łzami ją zaleje,
Prędzej niemy zaśpiewa, a ten, co szaleje
Co mądrego przemówi; prędzej stała będzie
Fortuna, i śmierć z śmiechem w jednym domu siedzie,
Prędzej poeta prawdę powie i sen płonny,
Prędzej i aniołowi płacz nie będzie płonny,
Prędzej słońce na nocleg skryje się w jaskini,

W więzieniu będzie pokój, ludzie na pustyni,
Prędzej nam zginie rozum i ustana słowa, —
Niżli będzie stateczną która białogłowa.

Pszczół w sajdaku.

Rój matek miodo-noszych, ruszony z ogroda,
Osiadł w sajdak Kupidow. O! jak święta zgoda!
Ma swoje żądło miłość, ma żądło i pszczoła,
Tamta ma serce nasze, ta kwiatki i ziola.
Pszczola w jednymże ciele miód nosi i jady,
Miłość raz młodu pełna, wnetli pełna zdrady;
Ale w tym jest różnica: pszczoła raz zakole
I umiera, a młodość wieczne daje bole,
I od pszczoły, choć nabrzmi, niedługośmy chorzy,
Ale rany miłości nie zleczą doktorzy.

Lutniej księga wtóra.

Na Pawła.

Paweł się kocha w Zośce, a niech mi odpuści,
Niemasz w czym: nos ma krzywy, zęby jak czeluści,
Łeb goły, dłuższa łokciem jedna drugiej nogi,
Pazury jak do lutni, na grzbiecie garb srogi;
Jeszcze oko niedawno straciła w chorobie.
Ona na jedno oko ślepa, on na obie.

Do wiarołomnej.

Ty wieczna, której Atropos, ni Kloto
Szkodzić nie może, niezmazana cnoto,
I ty czystości, ty wiara i statku,
I godna po tych cnotach na ostatku
Chodzić, miłości; płaczcie wszystkie cnoty,
Bo ona wasza radość i pieszczoty,
Ona tak śliczna dziewczyna, tak święta,
W której ni zł: myśl, ni chciwość przeklęta
Nie miały miejsca, ni ogniste żądze,
Już was opuszcza, a woli pieniądze.
Fraszka-ście, fraszka, odpuście mi cnoty,
Kiedy was przemógł podarunek złoty.

Widzę, że kędy złota zabrzmi strona,
Słaba z was pomoć i licha obrona;
Fraszka i wiersze, pochlebstwa, pochwały,
Fraszka i służba, i mój afekt stały.
Wszystkoś zła dziewczko obróciła w fraszki,
Za pełny mieszek i nabite taszki.
Bezeczna dziewczko, jeśliś miała wolą
Puścić się za grosz marny na swawolą,
Jeśli cię drogie, lecz nabyte dary
Z poprzysiężonej miała ruszyć wiary,
A nacożes się przybierała w srogi
Związek przysięgi i błazniła bogi?
Nacożes żyła trybem Penelopy?
Czemuś inszemi brzydziła się chłopcy?
Mniejszybyś miała ciężar na sumieniu,
Kiedybyś tylko zgrzeszyła w płomieniu;
Mniej-być szkodziło, gdybyś z młodu była
Skłonność do złego tak chciwą odkryła.
Mniejby trapiło i mnie, gdybym z tobą
Tak był żył, jako z zakupną osobą.
Ale żeś i mnie i świat aż i nieba
Zwiodła, trojakiej kary na cię trzeba.
Jakoż tak będzie: bo cię Bóg zasmuci,
Świat cię osławi i sługa porzuci.

Miłość zerwana.

Włos złoty, czarne oko, śmiech różany
Już mię w powtórne nie wprawia trudności,
Kiedym szczęśliwie z pęt twych rozwiązany,
I miłość nowej pozwala wolności.
Tyś węzeł twardo zerwała związany,
Jam zgasił ogień, co mi suszył kości,
Tak dla twej złości i z rozumu rady,
Już w doświadczone nie zapadnę zdrady.
Kochałem, prawda, i byłem stateczny,
Póki-ć usługi moje wdzięczne były,
I byłby taki ogień pewnie wieczny,

Gdybym ci sam był pojedyńkiem miły;
 Ale że afekt podzielasz serdeczny,
 I we mnie zaraz żądze się zmieniły,
 Ani mnie zwabisz przez słowa zdradliwe,
 Nie wierząc-ć boś mnie zabiła na żywe.
 Niech ci kto inszy tymże szczęściem służy,
 Że go jako mnie oszukasz i zdradzisz;
 Darmo-ć się oko smętnym płaczem mruży,
 Darmo się stolsz i zwierciadła radzisz,
 Darmo-ć się na twą gładkość, przedtym duży
 Na serce moje rynsztunek tak sadzisz.
 Strój twój, frasunek, gładkość i przymioty,
 Wszystko to za nic: cnoty-m ja chciał, cnoty.
 Szaloną miłość, trochę afekt ślepy,
 Rozrzutne twoje uleczyły chęci,
 Serca mi wleć nie skrwawia oszczep
 Miłości, ani kłopot w głowę wleci;
 I jeśli czynił przez niebieskie sklepy
 Przysługę, chować tve łaski w pamięci,
 Teraz zaś klątwą wyrzekam się drugą,
 I nieprzyjacieli chcę być — byłem sługą.

Do panny.

(Sonet).

Tysiąckroć, moja bohaterko cudna,
 Chcę z tobą stale zawierać przymierze,
 I spisać naszą znowę na papierze,
 I ty do tego nie zdasz się być trudna.
 Ale ja idę wprost, — a tyś obłudna,
 Bo choć ja mieszkać w pokoju chcę szczerze,
 Tve usta zdrajcy, tve oczy szalbierze
 Harują ze mną jako rota ludna.
 Łacno to wygrać, bo gdy się ja boju
 Napieram, stoisz przy umownej radzie;
 Kiedy zaś spuszcze i wierzę w pokój,
 Ty wojnę rzyśko zaczynasz na zdradzie.
 Przebóg! przymierza! A że nie dla stroju
 Przymierza proszę: weź serce w zakładzie.

Staremu.

Prosił o całus pannę Bartosz chciwy;
 Nie zezwoliła, że był bardzo siwy,
 Postrzegł się, że tam siwemu nie dadzą,
 I głowę czarną ufarbował sadzą.
 Ona poznawszy rzecz: prosisz siła,
 Dopierom ojcu twemu odmówiła.

Pieśni religijne.

Pokuta w Quartannie r. 1678.

O Boże! jakoż podnieść grzeszne oczy
 Tam, gdzie Twoja moc wieczną światłość toczy!
 Jam robak ziemny, proch marny, pies zgnily;
 We mnie się wszystkie brzydkości zrodziły;
 Jam jest nieczystej białej głowy szmaty
 Kawalec, wywóz miejskich ścierwów! A Ty
 Jesteś, któryś jest, wieczny, niepojęty,
 Pan Bóg zastępów, Święty, Święty, Święty!
 Tyś szczerą czystości, niewinności bez skazy,
 Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmayı.
 Jam widział gmachy śmiertelnego grzechu
 Siedmiorakiego i straszny w pośmiechu
 Zakon Twój miałem i Tve przykazanle
 Każde-m znieważyl albom zgwałcił Panie.
 Jam niejednego, chociaż Twa przestroga
 Przeciwna była, miał Pana i Boga;
 Jam z swych wymysłów bałwanom ofiary
 Oddawał, niosąc namiętności w dary.
 Brzuch mł był bogiem i tak bogów wiele
 Miałem, jako mam zmysłów w własnym clele,
 Bo gdy młę który zwyciężył nałogiem,
 Zbyteczność pania, a zwyczaj był bogiem.
 Często człowieka tak spodobał sobie,
 Żem kładł w nim większą nadzieję niż w Tobie.
 Często godności i dobrego mienia
 Chciwość tak srodze ujęła sumnienia,

Żem ich posadził, jakoby tam Ciebie
Nie było nigdy za bogi na niebie.

Jam brał nadarmo i z lekką uwagą
Imię Twe, ciężką karmląc Cię zulewagą.
Mieć na bluźnierstwa obrzydłe otwarty
Język za dworstwo miałem i za żarty;
Zakazanemi często się krępowałem
Kłátwami, których strach mię nie zdejmowałem;
Krzywoprzysięstwem żem grzeszył, mój Boże,
Któż nad Cię lepiej przeświadczyć się może,
Kiedy mu w całej został obletnicy,
Która-m uczynił przy świętej krzcielnicy.

Jam tak słódmy dzień śwęcił i niedzielę,
Żem rzadko bywał i w te dni w kościele.
Poprzestałem weni powszedniej roboty,
Alem się puścił na większe niecnoty.
Wtenczas i tańce i tłustsze obiady
Odprawowałem, zbytki i blesiady
Jakby ten dzień był od roboty pusty
Dlatego, abym czas miał do rozpusty.

.....
Jam wszeteczeństwa wszelkiego świadomy,
I obywatel bezbożnej Sodomy.
Rzadki dzień minął, rzekę, i godzina,
Żeby nie przybył świeży grzech i wina.
To myśl pragnęła, pożądało oko,
To serce ognia zawzięło głęboko,
Ty będąc świadom mych najskrytszych złości,
Cóż Ci mam swoje wyliczać próżności?

Jam nie kradł, ani idąc za pożytkiem,
Zmazałem duszę występkiem tak brzydkiem.
Czyliż też i kradł, gdym ludziom pocziwiał
Sławy uwłaczał językiem pierzchliwym.
Mogłem też podczas odkryć złe zawody
I tym zachować bliźniego od szkody.
Więc te, któremi łowię włęc nieuki,

Dworskie wykręty i zdradliwe sztuki,
Że się ustawnie w koło mnie bawiły,
Snadź i mnie na swe kopyto zrobiły.

Gadki.

Gadka 2.

Trudno zgadnąć z jakiej-em natury złożony;
Skrzydła mam, a nie latam, brzuch nienasycony
Noszę i głodny zawsze, jako wór dzlurawy,
Który zaraz jak przymię, oddaje potrawy.
Zębów nie mam, a drobno gryzę; jedną nogę
Tylko mam, lecz i na tej postąpić nie mogę,
Ciało się wszystko rusza, jednak w swoim ciełe
Wkoło się tylko kręcę, a krzyż mam na czele.
Mam przyrodnego brata, ale z tym niezgoda,
I tak-eśmy są różni, jako wiatr i woda.

Gadka 10.

Drzewo-m jest świeże, ale nic nie rodzę,
Korzeń mam w głowie, na gałęziach chodzę,
Listopad u mnie bywa i wśród lata,
Cieszy mnie tego ochędożka świata,
I gdzie ja przejdę, kędy się zawinę,
Tam zaraz piękniej, szpetnego nie minę;
Podczas mnie w konia zamienią z rozpusty,
Lecz owsa nie je i nie będzie tłusty.
Gdy mnie rozedrą, to nawiedzam dzieci,
Choć u nich nie mam ni łaski, ni chęci.
I wasi starzy tak twierdzą ojcowie,
Choć mózgu nie mam, że mózg ostrzę w głowie
Tak za tą różnych sposobów przysługą,
Raz bywam mistrzem, a drugi raz sługą.

Hieronim (Jarosz) Morsztyn.

Fortunne lata.

(Autorstwo niepewne.)

Myśl wesola, niestroskane

Serce, zdrowie niełatane,

Z zyskiem praca, wiek pogodny,
Dni spokojne, rok nległodny
Sen smaczny, czyste sumienie
To szczęście, to dobre mienie.

Kopa od potrzeby w domu
Nie być winien nic nikomu,
Ratować czasem bliźniego,
A mieć swego do nowego,
Nie znać szczęścia odmienności,
Zbiór to wielki, wielkie włości.

Ojczysta wcale swoboda,
Piękna sława, z bracią zgoda,
Sąsiad dobry, wierny sługa,
Lichwa nikąd jedno z pluga,
Żona k'myśli rodowity
Z nią przyjaciel, dar obfity,
Chleb a żywot bez nagany,
Skarb to nieoszacowany.

Potomek w ojca wrodzony.
A płacheć niespustoszony,
W tych pociechach włos sędziwy,
Czyni wiek ludzki szczęśliwy,
Dość temu fortuna dała,
Komu w tem nie przeszkadzała.

G ó r n a d u m a.
Nie dbam o gmach murowany,
Ani o złotogłowy
Ubiór, ani o wysokie
Trony i państwa szerokie.

Jabym dosyć miał i na tym,
Kiedybym był tak bogatym,
Bym się nie frasował,
A coraz lnszą miłował.

To są wszystkie moje żądze,
Bez czego fraszka pieniądze.

Dobra myśl u ochotnego gospodarza.
Amphion z Orfeuszem, sławni muzykowie,
Stawcie się w oblecanem do mnie dzisiaj słowie,
Przed któremi przed laty, lasy, góry, skały,
Rzeki, ptastwa i insze zwierzęta płały.

Ty też miła Zosieńku bądź mi gościom rada,
Pobleż sama do kuchni, a przyjrzyj obiada;
A plekarzowi tortów, pasztetów z kreplami
Każ napiec, i kołaczów z cukrem z rozenkami.
Ja zaś tymczasem w karty z pany się zabawię,
Aza im jaką miłszą krotofilę sprawię.

Tuwalni wody dosyć, ale lepsze piwo,
Tą się zmyć, owem się spić, tak bywa jak żywo.
Panny trzeba przesadzać warstwą młodzieńcami,
Jako gdy przesadzają róże gwoździkami,
Raczej Waszmość sięć za stół, moi mił goście,
Jest mięso, są i ryby, co komu smakuje;
Jest łosoś, są lipienie, jest i rosła szczuka,
Jest smaczna w żółtej jusze cielęciny sztuka.
Proszę i na dziczyznę, nowina w tym kraju,
Taki bażant wiem że się nie lęgnie w tym gaju.
Chleb z solą z dobrą wolą, jak starsi mówili,
Kiedy więc najwdzięczniejszych gości zaprosili,
Nuż piwa, wina, miodu — nie mam małmazyl,
Tego roku-m nie jeździł poń do Olandyi;
Ale chmiel nasz wystaly i węgrzyn łagodny,
Jest znacznego u wszystkich przywitania godny.
Wilka dzień tym, co tu u mnie nie bywali,
Aby ten pierwszy w dom mój przyjazd pamiętali.
Zosieńku, pój do gości, proś ichmościów sama,
O lepszą myśl chceszli mieć dziś trzeźwego pana.
Proś ichmościów Zosieńku, aby skosztowali
Tej zwierzyny, której nam Gdańszczanie przysłali;
Wszakęś sama kuchmistrem tej potrawy była,
Wierzę, żeś jej korzeniem dobrze dosadziła.
Więc do wetów, a tym zaś włoskiem dolożyć,
Przy których możesz jaki małdrzyczek położyć.

A gdy się obiad skończy, w taniec muzykowie,
Zagrajcie co grzecznego — rządni pacholankowie
Są gotowi z pannami kształtownie wywijać.
Kto nie dojadł, wolno mu z pannami dopijać,
Nuż każdy z swą do swego gospodarzu tobie
Czołem bijąc podpijemy sobie.

Nie to szlachcic...

Nie to szlachcic, co ma wieś i swoje dochody
Ziemiańskie z swych zachodów; nie to, kto z urody
Ma wspaniałość szlachecką, a z ozdobnej twarzy
Jakaś mu się nie tajnie szlachecka myśl żarzy;
Nie ten, który się synem koronnym urodzi,
A w ojczystej swobodzie swoich przodków chodzi;
Nie ten, którego pradziad zasiadł był w senacie,
Ani, który w jedwabiu chodzi i szarłacie.
Nie ten, który dostatek herbów z urodzenia
Mieć może i przyjaćłół zacnego plemienia;
Nie ten, który się handlem, kupiectwem nie bawi,
Łokciem, kwartą nie mierzy, a wszędzie się stawia
Gdzie posług jego trzeba, ojczyźnie o zdrowie
Dla Rzeczypospolitej nie folguje głowie;
Nie ten, który pogańską krew rozlewał mężnie,
I nieprzyjaćłół gromił ojczystych potężnie;
Nie ten, który w szkatule szlachectwo swe chowa,
Nie ten, któremu je też wysławia wymowa.
Nie ten, który szlachciankę za mąż pojął, ani
Nie ten, co go w rodzinie żaden nie nagani:
Ale to prawy szlachcic co najmniejszą zmacę,
Krwłą zmyć gotów — tego ja szlachcicem zwać każę.

Zbigniew Morsztyn.

Pieśń wyrażająca w sobie wszelkie sposoby
życia na tym świecie i ukazująca w czym
największe szczęście człowiecze
nadewszystko zawiera się.
Trzykroć szczęśliwy który od młodości
I wiek znikomy i czasu spłynności

Choć w ranym, ale dojrzałym rozumie
Uważać umie.

Szczęśliwy, który na dwu prowadzących
Rożno gościńcach nie idzie błądzących
Stopami, ale wie, którądy trzeba
Piąć się do nieba.

Szczęśliwy, który świat z jego wabami
Pogardzić umiał i zdeptać nogami,
Którego umysł jest nieporuszony,
W kwadrat złożony.

Szczęśliwy mówię, ale gdzież takiego
Najdziesz na świecie wieku dzisiejszego,
Żeby od swojej najpierwszej młodości
Nie uznał złości?

Żeby od kresu samego puszczonej
Biegł na tak śliskiej drodze niepotknięty,
Żeby we wszystkim życiu jego całe
Nie było Ale;

Żeby na ten świat i jego szalone
Dumy i fochy myśli zapatrzone
Nie wpadły wespół z jego służebniki
W zdradliwe wniki.

Dawno ci byli, których okazała
Cnota do nieba żywo porывała,
Dzisiaj takiego za naszego wieku
Nie masz człowieka.

Wszyscy my zgoła, których odmiennymi
Hekate koły oświeca na ziemi,
Wszyscy niepraw, że nie masz jednego
Doskonałego.

Wszyscy błądzimy a co starsze lata,
To dalej bieżym w błędną puszcza świata.
Rzadki na dobry tor powrót uczyni
Z dzikiej pustyni.

Tak przeciw wodzie płynąc, gdy ramiona
Opuścisz, prędko powódź niewściągniona,
Tam cię zaniesie, kędy niezebrniony
Nurt zakręcony.

.....

List od Imci Pana Alexandra Mierzeńskiego
porucznika chorągwie pancерnej Księcia
Imci Janusza Radziwiłła, wojewody wileń-
skiego i hetmana wielkiego W. X. L.

.....

Nie śpi a słuchaj, jeśli miękkie puchy
Jeszcze marsowe nie stłumiły duchy:
Młasto hejnału jać zaśplewam nowe
Rymy Marsowe.

Nie dufa sobie mowa moja, żeby
Miała wojsk całych okrutne potrzeby,
Dzieła wielkiego wodza, wszystkie szyki,
Pisać w kroniki.

Ciebie tu tylko wspomni moje pióro,
Srogiej Bellony niewyrodna cora,
A matko moja kiedyś niezwalczona
Dziś pogrzebiona.

Mężna orlico, pod twymi skrzydłami,
Twe dzieci między gęstymi śmierciami
Chwalebnie we krwi zdradzieckiej brodzili,
Swej nie szczędzili.

Tyś dzieci swoich wprzód odżałowała,
Gdyś je pod straszne wojska posyłała.
Szli, nie bali się wojsk całych pogoni
W dziesięciu koni.

Myśmyć tych gości na cześć zaprosili,
Myśmy się z nimi najpierwej zwadzili,
Gdzieśmy się i tej liczby w małej chwili
Nie doliczyl.

Pod krzyżem twoim hufiec nasz szczęśliwy
Bóg pierwszy zawsze zaczynał straszliwy.
On go i kończył jak przedtym z Rusinem,
Tak z Moskwicinem.

Tyś od siostr twoich wszystkich odbieżana
Sama okryła wielkiego hetmana;
Od twojej odnosił szczególnej obrony
Żywot zwątpiony.

Na tymże placu, gdzieś mężnie stawała,
Tameś się, matko nasza, podesłała
I twój pospołu z tobą piastun drogi
Pod pańskie nogi.

Drugiś w rejestrze doświadczony mężu,
Znać cię po ręce, znać cię po orężu,
Kiedyś w potkanu pierwszy czynił naszym
Kredens pałaszem.

Oj nie jednegoż zbrojnego Iwana
Posłała ręka twoja do Abrama.
Niejednegoś ciął po sobolim szyku,
Cny poruczniku.

I ty zacnego Gradywa kochany
Sławny chorąży nie jest zapomniany.
My cię żałośnie wspominać będziemy,
Póki żyjemy.

Tyś dał najlepszą wodzowi obronę,
Tyś mu z swych piersi uczynił zasłonę.
Tyś sam w się przyjął raz nieuleczony
Jemu niesiony.

Zacny Mnichowski, tyś naszą ozdoba
Był kiedyś, miło nam bywało z tobą
Dobra i licha zażyć, lub w pokoju,
Lub w srogim boju.

Ległeś nieboże! A twe piękne ciało
W sztuki rozcięte lubo nie zostało
Zwierzom na opas, wzięli je troskliwi
Bracia życzliwi.

.....
Duma sześciu panien podczas oblężenia
krakowskiego in anno 1657.
.....

Jako łódź płynąc nie zostawi szlaku,
Jako ptak lecąc, tak my dni trawimy,
To mamy w zysku, co się narobili.

Czubek u dudka, u ciebie ślimaku
Rożki na głowie; stanąć nam za rogi,
W panińskich rękach fasulec tak srogi.

Cieężkać nam praca, ale w niej przysmaku
To nam dodaje, że i w tym żywocie,
Jako oliwie być na wierzchu cnocie.

Żeś od chłopskiego biedę miał bijaku,
Za to do dzlewczej dostawszy się ręki,
Takieś jej wzajem pozadawał męki.

Wyganiaś w pole bydełko skotaku,
A Bóg je żywi, tenże i nas pasie,
Że jeszcze żyjem, choć w takim hałasie.

Pczołka w lipowym ma swój domek pniaku,
Słowiczek we krzu, pliszeczka na kępie
Gnieździł się, nasz dom, nasze gniazdo w stępie.

Ziemnemu roście korzonek pędraku,
Ptaszkowi ziarno, żabkom deszczyk z nieba,
A nam jak ciężko na chleb robić trzeba.

Szczęśliwyś teraz, szczęśliwy wleśniaku!
Twoja w leplance bezpieczna prostota
My i za murem niepewne żywota.

Polak Kamieńca a Rusin Kodaku
Pilnuje, my też u krakowskiej bramy
Czasem z nagimi piersiami stawamy.

Druga дума samegoż autora pod tenże czas
oblężenia krakowskiego, gdy był u Szwedów
w więzieniu.

Ja śpiewam, chociaż bledy Zgoła mizernego
Ogarnęły mię wszędy Więźnia ubogiego,
Choć nieszczęśliwy
I ledwom żywy.

Śpiewam ci, ale moje Serce bez przestania
Ciężkie ma niepokoje, Gdy częste wzdychania
Trapiąc mą duszę
Wylewać muszę.

Ja śpiewam choć ojczyzna Matka utrapiona
Ona tak niegdyś żyzna, Tak niezwykczona,
I z nią jej czyny,
Idą w perzynę.

Śpiewam ci, lecz me pleśń Tylko faunowie
I satyrowie leśni Po głuchej dąbrowie
Niechaj śpiewają
A narzekają.

Ja śpiewam, a potoki Z krwi polskiej zbierają,
A dymy pod obłoki Z miast i ze wsi wstają.
On kraj wesoly
Idzie w popioły.

Śpiewam ci lecz nie skaczę, Takie noty moje
Jak matka rzewnie płacze, Kiedy widzi swoje
Dzieci ukochane
Złemi oddane.

Ja śpiewam a tak wiele Braciej mych kochanych,
Jednych miecz w polu ściele, Drugich poimanych
Równą mej dołą
Pędzą w niewolą.

Śpiewam ci jak Niobe, co na dzieci ciała
I na swoją żalobę patrząc Skamieniała,
I me choć śpiewa
Serce omdlewa.

Ja śpiewam, choć mizerną Dolą swoją czuję,
Choć mam żalność niezmierną, Choć nie upatruję
Końca niewoli
Choć serce boli.

Śpiewam ci, lecz śpiewanie Takie, które rodzi
Lamenty, narzekanie, Krwawych łez powodzi
W tak gorzkiej chwili
Barziej rozkwili.

Ja śpiewam, a me kości Skorą powleczone
Już wyschły od żalności; gdy Parki łakome
Nici zwijają
Wiek moj skracają.

Śpiewam ci, lecz połykam Łzy, jak więc troskliwy
Lamentuje pelikan, Kiedy mu myśliwy
W zdradliwe sieci
Pozbiera dzieci.

Ja śpiewam choć mej głowie Za ładą przyczynę
Wisi na nitce zdrowie. Na każdą godzinę,
W każdym momencie
W tymem odměcie.

Śpiewam ci jako licha, Gdy lubego zbędzie,
Synogarlica wzdycha, Na żadnej nie usiedzie
Rozdrze zielonej
W żalności onej.

Ja śpiewam, a me siły Tak długim wleczeniem
Już się prawie zwałyły, Żem już prawie cieniem;
Mną gdy wiatr wieje,
Jak trzcina chwieje!

Śpiewam ci, lecz me głosy, Głosy żalnościwe,
Echo porannej rosy, Rozbija płaczliwe,
Gdy po dolinie
Dźwięk się rozwinie.

Ja śpiewam, choć o wodzie I o samym chlebie
Trwać muszę w takim głodzie, W tak ciężkiej potrzebie
Patrząc, azali
Kto się użali?

Śpiewam ci, lecz obfite Serca zranionego
Co w nim były zakryte, Kształtem dżdża ranego,
Łzy wypadają
Pieśń zalewają.

Ja śpiewam, choć prawie Od zimna srogiego
Zkościł na gołej ławie, Bez posłania wszego.
Takie me wczasy
W tak ciężkie czasy.

Śpiewam ci, ale duszy, Którą narzekanie,
Którą frasunek suszy, Niemile śpiewanie,
Pieśń, którą śpiewam,
Łzami zalewam.

Ja śpiewam, a wyc trzeba, Na me przyjaciele
Kłędym im dawał chleba, Znało mię ich wiele,
Dziś im me chęć
Wyszły z pamięci.

Śpiewam ci, lecz kłopoty, Których mię straszły
Ustawiczne obroty, Moje obrociły
Rymy radosne
W treny żalnosne.

Ja śpiewam skamieniały, A gdzież me dostatki?
Gdzie się wczasy podziały? Już pono ostatki
Ogniem spalono,
Z ziemią zrownano.

Śpiewam ci i śpiewać będę, Do kresu samego,
Poki na łódź nie wsiądę, Charona srogiego,
Gdy w blade cieni
Świat ten zamieni.

Śpiewam, lecz nie w rozpacz, Choć w takiej ciężkości,
Bo o mnie wiedzieć raczy Bog mój z wysokości,
Co wszystko może
Ten mię wspomże.

Hejnał na dobry dzień ofiarowany Jej Mci
Pannie Zofii z Szpanowa Czaplicownie od
Imci Pana Zbigniewa z Raciborska Morstyna,
miecznika mozyrskiego.

Hejnał, panie serca mego
Ockni się ze snu smacznego.
Już twój sługa nieospały
Zaczynać nowe hejnały.

A choć jeszcze ociężałe
Snem, twe oczy są wspaniałe.
Leżąc między miękkim puchem,
Słuchaj mię łaskawym uchem.

Już pewne o dniu otuchy
Pieją marsowe posłuchy,
Już jaskółki latają,
Gdy się zorze zapalają.

Już skowronek wykrzykając
Dzień nastający witając
Pod obłoki wylatuje,
Błędne ptaszę radość czuje.

Już na zielonej murawie
Krzyczą zamorscy żorawie,
Rączy loty wysmykują,
Już od ziemi podlatują.

Zaczynają zamierzone
Loty swe w daleką stronę.
Już ci to znać dzień nastaje,
Gdy wszędzie wesołe gaje,

Ośledli ptacy krzykliwi,
Którym się echo przeciw.
A pielgrzym ranego wstania
Dla tak wdzięcznego śpiewania

Nie żałuje, gdy w pustyni
Spoczynek z trudu uczyni,
Potym zaś w zaczęte drogi
Wyprawi zwyczajne nogi.

Już zwierz srogą gdy dzień czuje,

Z pol do pustyń ustępuje.
Już i pszczołki pracowite
Lecą na sady obfite,

Skąd swoje woskowe grody
Napelnia wonnymi miody.
Już z ziołek krople perłowe
Zbiorą promienie febowe.

Już na królewskie pałace
Gromada dworzan kołace.
Już i muzyki krzykliwe
Grają im na dni szczęśliwe.

Już się w dziedziniec bogaty
Pańskie sypą kawalkaty;
Pięknych strojów pełno wszędy
Świecą się bogate rzędy.

Pryskają konie chodziwe,
Głosy podnosząc krzykliwe.
Nie czują jeźdźca na sobie,
Najweselsze o tej dobie.

Już wszędzie ogromne dzwony
Roznoszą dźwięk w różne strony.
Już i kościelne chorały
Śpiewają święte hejnały.

.

Na dobrą noc tejże od tegoż.

Dobranoc, moje kochanie!
Śplewałem ci na zaranie,
Lecz i teraz, kiedy cienie
Nocne już okryły ziemię

Kiedy złotoblaskie słońce
Swoje zmordowane konie
W głębokim morzu napawa
A po nim plęka nastawa

Dyana z krzywymi rogł,
 Gdy z pustyni w pola zwierz srogi
 Idzie na żyr, gdzie zielone
 Łąki rosą pokropione;
 Gdy pod kopą porzucony,
 Lubo w siano zagrzebiony
 Pasterz, lubo legł pod lipą,
 A wolki mu trawę szczypą;
 Gdy tak chatki jak pałace
 Umilkły od swojej prace,
 Bledny człowiek odpoczywa,
 Kiedy ziemię mrok przykrywa;
 Gdy i wojsko niezwalczone,
 Na czule straże spuszczone,
 Po ciężkim marsowym dziele,
 Zażywa spokojnej chwili;
 Kiedy i sam świat przestrony
 Umilkł jakoby uśpiony;
 Gdy się wszystko uciszyło,
 I tchnie by się godziło,
 Ulubiona panno moja
 Brać się na wczas do pokoja.

Stanisław Morsztyn.

Z »Żalu« czwartego.

Cóż jest tak szczęśliwego, żeby z każdej mlary,
 Na tym świecie być mogło cale bez przywary?
 Nie bądźle miód bez żądła i róża bez ości,
 Cnota bez obmówiska, sława bez zazdrości.
 Im twarz piękniejsza, tem ją mniejsza wada szpeci;
 Im się da żralsze jabłko, prędzej czerwłem zleci;
 Zawsze się biała szata najrychlej ubrucze,
 I szkło im subtelniejsze, tem się łatwiej stłucze.
 Zwyczajna to natury i fortuny moda,
 Coś wczora miał, w tem cię dziś może potkać szkoda.

Trudno dufać choć pięknie kwitnącej młodości,
 Ani nadzieje w sile, ani kładź w dużości.
 Tak trzeba szczęście i tak sądzić jego dary,
 Jak bańkę na powietrzu nadętą od pary,
 Która wtenczas, kiedy się najpiękniej napuszy,
 Nagle zniknie i w drobną rosę się rozprószy.
 Ze mnie, ze mnie wzór niechaj biorą ludzie smutni,
 Odmlany i nikczemnej świata bałamutni:
 Ojca dzieci grześć miały, aż je ojciec grzebie
 Jedno po drugim! — Trudnoż ostatniej potrzebie
 Uniknąć —

Z »Żalu« szóstego.

Mizerna kondycya, srogle oszukanie!
 Co gorsza, rzadko się kto wczas obejrzy na nie,
 Masz dostatki, masz w żyznej dobrą włoskę roli,
 Fortuny, jeślić się w niej rozgościć pozwoli,
 I śmierci spytaj, jeśli cię wprzód nie zarzeże,
 Bo już kto łnszy na nią o czem nie wiesz, strzeże.

Kupileś materji chcąc ciału dogodzić,
 Bogatej: kto wie, jeśli pozwolą w niej chodzić;
 Albo jeżeliś ją w dzień stargował fortunny,
 Jeżeli miasto grzbieta nie odzlejesz trumny.

Starasz się o honory, masz króla po sobie;
 Poradź się śmierci, jeśli wprzód nie będziesz w grobie
 Albo fortuny, bo ta idzie na twej poszcie,
 I łnszemu je może dać o twoim koszczie.

Masz dzieci, wprzód, nim się w nich rozkochasz, ma rada,
 Spytaj się, jeśli wolno — bierz miarę z salsada.
 Nie myśl, i darmo nie trudź głowy, człecz, radzę.
 Chodź ci tu dobra wszystkie do kupy sprowadzę:
 Albo ty od wszystkiego, gdy cię śmierć zagrzebie,
 Albo wszystko z fortuną odejdzie od ciebie.

To się już nic nie znajdzie na tym świecie nizkiem
Co by człowieka mogło cieszyć jakim zyskiem?
To dobra nie masz, ani spodziewać się godzi,
Żeby go zażył, kto się na błędy urodził?

Nic z tego — jest tu dobro, jest klejnot tak drogi,
Który ani fortune, ani śmierci sroglej
Nie podlega, żadnej się bynajmniej nie boi;
Jak one z ludzi, tak z nich komedję stoli.
Cnota jest tym klejnotem — i t. d.

Do żony.

Mamy miłości statecznej przykłady,
Siła ich dawne wspominają dzieje;
Lubo najmniejszej nie byłoby zdrady,
Przestać kochania, przestawszy nadzieje.

U starych jednak grzech to był szkarady. —

Nie jednaż się dziś na pogrzebie śmieje,
I choć w żałobie, chociaż w grubym worze,
Myśli o fochach, i o successorze.

STANISŁAW HERAKLJUSZ
LUBOMIRSKI
(1636—1702).

JAN CHRZYSTOM PASEK
(1630—1701).

»Jeżeli by kto — mówi prof. Brückner — osądził wojsko polskie XVII-go wieku, wojsko kłuszyńskie i choćmińskie, wedle wieszczących się koło niego ciurów i drabów, ściągnąłby na siebie słuszny zarzut stronnictwej, zawistnej niesprawiedliwości albo potwornej nieznamomości rzeczy. A przecież osądzono niegdyś trybem nieco podobnym poezję tego wieku! Skazawszy ją raz zaocznie (bo nie wysłuchawszy należycie jej samej) na infamję dla takich grzechów przeciw dobremu smakowi, jakimi są makaronizm i panegiryzm, zaczęto dopiero w ciągu XIX-go wieku, na podstawie nowych informacji, wątplić o prawomocność przedwcześnie zapadłego wyroku, a z każdym dziesiątkiem lat przybywały nowe świadectwa, wychylały się z pod mgły zapomnienia coraz poważniejsze, dowcipniejsze, jaskrawsze filzjognomje literackie, mistrze pióra i formy, głowy patriotyczne, myślące, pełne humoru i fantazji szczeropolskiej, ludzie poloru i smaku, tacy jak Wacław Potocki, Łukasz Opaliński i Jan Andrzej Morsztyn.«

Do tego szeregu istotnych przedstawicieli kultury literackiej XVII-go wieku należy także Stanisław

Herakljusz Lubomirski, zwany popularnie »Salomonem sarmackim (polskim).«

Osobistość to na tle swojego czasu oryginalna, przez wielu nawet za niepospolitą uważana.

Syn Jerzego Sebastjana, marszałka w. k. i hetmana polnego, słynnego rokoszanina, i Konstancji z Bobrka Ligęzianki, urodził się w roku 1636-tym (data niepewna).

Młodość — opowiada, streszczając dotychczasowe badania, Ant. Marylski w przedmowie do książki Lubomirskiego »O znikomości rad« — miał burzliwą i chmurną. Wciągnięty w wir wojny domowej przez ojca, trybuna tłumy szlacheckiego, zapoznał się wcześnie ze zmienną koleją losów ludzkich. Na sejmie 1664-go bronił rodzica bez powodzenia, bo wyrok sądu sejmowego skazywał Jerzego Lubomirskiego, »b. marszałka w. k. i hetmana polnego« »na utratę czci i życia i konfiskatę wszystkich dóbr«. W roku następnym przeszedł przez nowe upokorzenie, gdyż przeproszał królowę Marię Ludwikę w imieniu ojca, a choć z »byłym hetmanem polnym« trumfował po zwycięstwach rokoszan pod Częstochową i Montwami, to jednak wkońcu widział ojca, padającego do nóg Majestatu, w namiocie królewskim w Łęgonicach, a w rok potem dowiadywał się o jego śmierci we Wrocławiu.

Wierny pamięci ojca, w r. 1669-tym na sejmie elekcyjnym króla Michała uzyskał skasowanie hańbiącego imię rodzica wyroku. Upokorzenia te i zawody, jakich zaznał z młodości, losy przychylne wymazały później z jego pamięci.

Jeszcze za życia ojca był starostą spiskim, w roku 1669-tym mianowany został podstolim koronnym, na sejmie walnym koronacyjnym r. 1670-go piastował łaskę marszałkowską, w roku zaś 1676-tym otrzymał marszałkostwo wielkie koronne.

Dla utrzymania Spisza przy koronie położył duże zasługi. Sejm roku 1670-go umiejętnie do końca doprowa-

dził. Cieszył się względami króla Michała, a i król Jan III był dla niego łaskawym i szczodrym panem. W roku 1683-im na sejmie »za instancją całego generału obywatelów X. Mazowieckiego, tudzież z respektu osobliwego na zasługi«, król Jegomość grunty wsi Jazdowa (Ujazdów dzisiejszy) do dziedzicznych Stanisława Lubomirskiego przyłączył. Ożeniony był dwukrotnie: pierwszym ślubem z Zofją Opalińską, marszałkówną koronną, córką Łukasza, drugim — z Elżbietą Denhoffówną, podkomorzanką koronną.

Umarł dn. 17 stycznia 1702-go roku w Ujazdowie. Pochowany w Czerniakowie pod Warszawą.

Pisać rozpoczął, jak mniema prof. Brückner, około r. 1664-go. Pierwszemi jego utworami są prawdopodobnie pozostające dotychczas w rękopisach: komedia »Don Gusman«, farsa »Lopes« (treść wzięta z Dekameronu) i komedia pasterska »Ermida albo królewna pasterek«, nadto ogłoszoną drukiem przez Żaluskiego w »Zbiorze rytmów« »Historja Orfeusza i Eurydycy«. Młodzieńczym utworem Lubomirskiego ma być także: »Satyrus rudis de eliberatione Cracoviae et bello Svecico« (o oswobodzeniu Krakowa i wojnie szwedzkiej), poemat, wydany w Krakowie w r. 1658-ym. Autorstwo jego jest jednak sporne.

Z późniejszych utworów do ważniejszych należą:

- 1) Muza polska na tryumfalny wjazd Najjaśniejszego Jana III (1674);
- 2) »Melodia duchowna o przesłodkiej narodzenia naszego Zbawiciela... tajemnicy«. Kraków 1682. Utwór wielokrotnie przedrukowywany.
- 3) »Theomusa albo nauka wiary Chrystusowej«. Tekst łaciński z polskim obok (wierszem). Pierwsze wydanie bez miejsca druku i roku. Drugie — Warszawa 1683. Trzecie — 1697. Nadto kilka wydań w XVIII w.
- 4) »Rozmowy Artaksessa i Ewandra«. Pierwsze wydanie bez miejsca druku z r. 1683-go. Drugie —

Warszawa 1694. W XVIII-tym wieku czterokrotnie przedrukowane.

- 5) »De vanitate consillorum« Warszawa (prawdop. 1699). 16 wydań w XVIII-ym w. W przekładzie polskim p. t. »Próżność i prawda rady«. Toruń 1705. Kilka przedruków w XVIII-tym wieku. Nowe wydanie Ant. Marylskiego p. t. »O znikomości rad«. Warszawa 1916.
- 6) »Tobiasz wyzwolony«. Warszawa 1683. (Kilka wydań.)
- 7) »Adverbiorum morallum sive de vlrute et fortuna libellus«. Warszawa 1688 (kilka wydań). W przekładzie polskim ks. Ant. Chr. Łapczyńskiego p. t. »Adverbia moralne abo o cnocie i fortunie książeczka«. Warszawa 1714.
- 8) »Aman do Asswerusa... nad wszystkie inne książęta wywyższony i poniżony«. Bez miejsca druku R. 1745. Poemat w 9-ci u pieśniach. (Autorstwo Lubomirskiego niepewne).
- 9) »Ecclesiastes po hebrajsku nazwany Coheleth«. Warszawa 1706. (Wierszem.)

Pomimo tej dość bogatej puścizny »niełatwo wszakże odtworzyć sobie oblicze duchowe Salomona polskiego« (Marylski).

Ksiądz Andrzej Załuski, biskup warmiński, założyciel słynnej biblioteki w Warszawie, pisze o nim, że był to »Katon polski, który do tej doskonałości umysł swój przyprowadził, że nie tylko nie chciał, ale nawet nie mógł być złym obywatelem«. »Był to mąż, w każdym rodzaju nauk doskonale wyćwiczony: a co i w mądrych ludziach jest rzeczą rzadką przy gruntownym rozsądku i wspaniałym umyśle, nie miał żadnej wyniosłości i chciwości, próżnej chwały. Żywość swą roztropnością, a odwagę ostrożnością młarkował. Żadnej rzeczy nie brał przed się bez uwagi, a raz przedsięwziętą statecznie utrzymywał«. »Był on z przyrodzenia gniewliwym, ale rzadko widziano go

zagniewanym, i to z pomiarkowaniem. Dla wielkiej jego w przedsięwzięciach ostrożności bojaźliwym go być niektórzy rozumieli. Miał on tę w sobie namętność, jako człowiek, ale bez przywar, bojaźni przyzwoitych.« »Spokoju życia nad próżne i troskliwe prace przenosił«.

Ta charakterystyka księdza biskupa warmińskiego wpisana do III-go tomu jego »Epistolarum«, zaraz po śmierci Stanisława Lubomirskiego, bo 4-go marca 1702-go roku, wymaga jednak uzupełnień i pewnych sprostowań — mówi Marylski.

Jak widać — dodaje — z jego pism, była to natura bardzo skomplikowana, wszechstronna i pełna sprzeczności. Pobożny aż do ekstazy, idzie chętnie za głosem myśli swawolnej. Pisze »decymkę myśli świętych, albo 10 elegii polskich Pisma Świętego«, »Tobiasza wyzwolonego czyli księgi Tobiaszowe z Pisma Świętego«, układa księgi pobożne, przysłówia moralne, scenizując jednocześnie nowele Bocaccia i kreśląc płocze dialogi dla teatru.

Jego »Muza na szczęśliwy wjazd Jana III-go składa czołobitność królowi, z którego rąk dobrodziejstwa przyjmuje: a w r. 1688-ym knuje przeciw Sobieskiemu spisek, po jego zaś śmierci dokucza królowej i występuje przeciw królewiczom.

Wykazując znikomość rzeczy ludzkich (»O znikomości rad«), w roku 1682-ym zaleca się do dworu francuskiego, aby go poparł na tron węgierski, w razie gdyby Węgrom udało się pozbyć cesarza.

I jeszcze jedna sprzeczność, choć mniej istotna. W Czerniakowie stawia kościół dla zakonu bernardynów, do którego, po wycieczce do Rzymu, w r. 1687-ym sprowadza ciało św. Bonifacego i sobie tam nagrobek pisze: »hic jacet peccator hujus loci fundator« (tu spoczywa grzesznik miejsca tego fundator), a jednocześnie w Ujazdowie wznosi dla siebie pałac, otacza go zwierzyńcem (późniejsze Łazienki) i teatr buduje.

Tę dwoistość, którą zapewne widzi w sobie, widzi także i w rzeczach ludzkich. W rezultacie wierzący, traci wiarę w skuteczność i celowość człowieka i staje się wyznawcą mądrości salomonowej, zamkniętej w bolesnym i gorzkim wykrzykniku: *vanitas vanitatum!*

Wykształcony i odcytany znał, jak władać z cytat, zamieszczonych w jego dziełach, a przede wszystkim w »Rozmowach Artaksessa i Ewandra«, pisarzy rzymskich i moralistów włoskich, odznacza się zgłębnieniem tekstu i ducha Starego Testamentu oraz wykazuje, że czytał Montaigne'a i Bacona.

Lecz ostatni dwaj autorowie nie wycisnęli specjalnego piętna na jego umysłowości, i nie przejął się on ich światopoglądem. Sybaryta umysłowy, przypomina atoli jedno powiedzenie Bacona: »Czyż przyjemność uczuć nie jest większa od przyjemności zmysłów i czyliż przyjemność myślenia nie jest większą od przyjemności uczuć? Czy nie jest rozkosz myślenia jedyną, która nie przesyci i czyliż nie poznanie zwalnia ducha od wszelkiego niepokoju.«

Poza tem może Bacon wywarł na niego pewien wpływ swoim badaniem przyczyn niedoskonałości nauk, lecz już nie widzimy u Lubomirskiego śladu spostrzeżeń Werulamczyka o złudzeniach rodzaju ludzkiego, które mogły być wątpliwości filozofowi polskiemu przypaść do gustu.

Z Montaigne'm łączy go zaś chyba okrzyk francuskiego myśliciela: »Czy ja wiem!« i wspólny wogóle tego rodzaju umysłom — sceptycyzm.

Z jednym z filozofów — uważa Marylski — ma »Salomon sarmacki« najwięcej podobieństwa, mianowicie z Jakobem Böhme'm, który twierdził, że »żadna rzecz nie może być sama przez się oczywista bez przeciwności«. Niewładomo jednak, czy wogóle znał Böhme'go. Najprawdopodobniej nie.

Myśl Lubomirskiego kształtowała się więc pod innym wpływem: Stary Testament, jego duch, jęki proro-

ków, bezbrzeżna ich gorycz — znajdują wyraźne odbicie w jego pismach.

»Nie dali mu ukojenia starohebrajscy puszczykowie, — mówi Marylski — zmącili resztę pogody umysłu, wrodzonej każdemu Polakowi, a subtelny analityk, nicujący każdą sprawę, rozkładający ją na atomy, na kategorie, przypomina nieraz jakieś powiedzenie . . . werset Talmudu.

Za daleko to posunięte przypuszczenie. Wystarczy stwierdzić bliskie i głębokie obcowanie z Pismem św. Starego Testamentu.

Działalność literacka Lubomirskiego rozwinęła się w kilku kierunkach: był autorem dzieł treści religijnej, tworzył lub przerabiał sztuki teatralne, wreszcie poświęcał swoje pióro zagadnieniom polityczno-moralnym. Pisywał po łacinie i po polsku. W języku ojczystym wykwalifikowanie się wyrażał, zwracając szczególniejszą uwagę na styl i w »Rozmowach Artaksessa i Ewandra« nakreślił doskonały rozdział »o stylu albo o sposobie mówienia i pisania«. »Pisarz XVII-go wieku mówiący »o stylu« — woła St. Tarnowski, omawiając »Rozmowy« — »toż to dopiero muszą być fałszywe i dziwactwa!«

»Otóż nie — dodaje zaraz — i na wielkie zdziwienie przyznać trzeba, że on tę kwestję rozumie daleko lepiej, niż wszyscy teoretycy stylu, nasi i francuscy z wieku XVIII-go i początków naszego, którzy chcieli stylu uczyć i ujmować go w reguły. Lubomirski tymczasem wie i rozumie, że styl to jest coś mimowolnego, wrodzonego, co zapewne może się wyrobić i wydoskonalić, ale czego sobie człowiek nie wyblera; styl znajduje się sam i sam instynktem rozsądku i harmonji między przedmiotem a sposobem pisania czy mówienia stosuje się do tego przedmiotu bez zamiaru i rozumowania tego, który pisze. Ma przytem autor »Rozmów« wiele wrodzonego zmysłu i smaku, jak dowodzi sąd jego o stylu współczesnych. Następują potem opisy stylu historycznego, oratorskiego,

stylu w historjach zmyślonych, które »Romanami zowią«, i wreszcie poetyckiego, wszystko to prawdziwsze i praktyczniejsze, bardziej mogące nauczyć niż tomy, napisane dla nauczania stylu, poczynawszy od retorów rzymskich aż do Stanisława Potockiego«.

Całokształt działalności literackiej Lubomirskiego, jej wartość, a nawet autorstwo niektórych prac podlegają dotychczas sporom.

Jan Magiera w swojej pracy p. t. »Stanisław Heraklusz Lubomirski jako pisarz i mówca« (Część pierwsza) zajmuje względem puśclizny po »Salomonie polskim« stanowisko bardzo krytyczne.

Przechodząc najpierw rękopiśmienne utwory Lubomirskiego, a mianowicie jego dramatyczne sielanki pasterskie, prof. Magiera zaznacza ich podobieństwo do włoskich tego rodzaju utworów. Jest to najzupełniej zgodne z charakterem epoki, w której, jak wiemy, panowały w literaturze wpływy włoskie i francuskie.

Co się tyczy autorstwa przekładu »Pasterza wlernego«, Magiera poddaje się wprawdzie wyrokowi prof. Brücknera, że tłumaczenia dokonał ojciec poety, Jerzy Lubomirski, równocześnie jednak zbiera wszelkie możliwe argumenty przeciw Jerzemu, a za Stanisławem. Zajmując się następnie rymowanymi utworami, łączonymi z imieniem Lubomirskiego, nie przyznaje mu (choć nie stanowczo) autorstwa makaronicznego wiersza o oswobodzeniu Krakowa pod nagłówkiem: »Satyrus rudis«. Bardziej stanowczo odmawia mu autorstwa pieśni pochwalnej »Classicum« wbrew twierdzeniu prof. Brücknera, który się w tym względzie kieruje powagą Załuskiego. Uznaje natomiast »Muzę Polską« za utwór Lubomirskiego. Podaje jej treść, podobnie jak i innych wierszy, niektóre zaś wyrażenia i wiersze przy analizie krytycznej zestawia z odpowiednimi wierszami i wyśłowieniami współczesnego Herakluszowi Kochowskiego. Rozbiorem i oceną tych wierszy zamyka autor pierwszy okres twórczości po-

etyckiej Lubomirskiego. Granicę stanowi dla niego duch inny, który wleje z późniejszych wierszy pana marszałka nadwornego koronnego. Od »Myśli o wieczności« bowiem późniejsze jego pisma tchną wielką religijnością. Legendy różne się potworzyły o nawróceniu się marszałka z niedowlarka na wlerzącego. P. Magiera objaśnia jednak tę zmianę usposobienia poety i ducha jego poezji z jednej strony wpływem bardzo pobożnej żony Lubomirskiego, z drugiej ogólną modą ówczesną, modą pisania wierszy nabożnych. Z tych dwu kierunków wypłynął przekład księgi »Ecclesiastes«, »Poezje postu świętego«, »Teomuza« i inne, drobniejszej wagi wiersze poety, oraz piękna sielanka biblijna: »Tobiasz wyzwolony« i mniej zajmujący »Aman poniżony«.

Przy ocenie »Tobiasza« podnosi autor szczególnie poetyckie piękności tego utworu (np. przeddzwiek Benlowskiego), na co jednak już przed nim zwrócił był uwagę prof. Tarnowski, który nie taił swojego zachwytu nad tą »sielanką biblijną«, w której jest »coś łagodnego, i spokojnego, jak w powlastkach dla dzieci«, gdzie »nawet smutek lub przestrach występują dyskretnie, żeby na czas zawsze zniknąć i gdzie »wszystko dobrze się kończy«.

»Miejscami — mówi Tarnowski dalej — jest to wcale niebrzydkie, jak np. modlitwa Sary w III-lej pieśni (strofa 13-ta i dalsze), albo poranek i opis rzeki Tygrysu w pieśni VI-tej, albo o weselu i rumieńcu w pieśni VII-ej (strofy 29, 31, 32), albo w ostatniej, w prorocztwie Tobiasza (str. 34) wyrażenie takie, jak »muzyk różnych pełne ślany«, co brzmi już jak żeby ze Słowackiego przepisane«.

Magiera zatrzymuje się jeszcze nad wycieczkami poety przeciwko ówczesnym zwyczajom polskim w »Tobiaszu«. Podobne wycieczki znajduje także w »Amanie«, tylko mniej liczne i ciekawe.

Dłuższe rozdziały swej pracy poświęca autor najważniejszym prozaicznym dziełom Lubomirskiego. W po-

jęciach jego filozoficznych widzi on zależność od Seneki. Podnosi wszechstronne i wielkie wykształcenie »Salomona polskiego«, zaciemnione, niestety, ówczesnymi zaborami i wlerzeniami. Myśli niektóre Lubomirskiego, dotyczące Polski, o wojskowości zwłaszcza, zestawia Maglera z odpowiedniami myślami Andrzeja Fredry.

Ogółem biorąc, w oświeceniu Maglery Lubomirski, choć rozumowaniem i wykształceniem góruje nad Fredrą, nie dorównywa mu przecież prawością i uczciwością. Jako poetę nie stawia go też Maglera wyżej nad Kochowskiego, co się wydawało niektórym. Uważa, iż Lubomirski w smaku swoim literacko-estetycznym, choć zna i chwali wzory włoskie, a nawet je naśladuje, to jednak po dawnemu, jak szczery humanista, Rzymian ceni nad innych i zachwycą się nadewszystko Tacytem i Lukanem.

Przydomek »Salomona« uważa p. Maglera tylko za wykвіт panegiryzmu epoki, idąc w tym względzie za zdaniem prof. Chmielewskiego, który jednak pomimo pewnych zastrzeżeń znacznie wyżej stawia Lubomirskiego, ceniąc w nim jego poglądy filozoficzne, polityczne i społeczne.

Tak np. między innemi z naciskiem zaznacza Chmielewski, że Lubomirski pragnął wzmożenia siły państwa i wobec zabiegów o przymierza, o zyskanie przyjaźni i pomocy mocarstw obcych za pośrednictwem poselstw wołał: »Posyłaj raczej do nich głowę potęgi twojej, wleść o wojsku zawsze gotowem i bitnem, o dostatecznych zasobach, o pewności siły, o lękaniu się ciebie, a nie trzeba ci będzie wysyłać posła, bo inni posłów do ciebie wyprawią, a tak nie cudzych będziesz oczekiwać odpowiedzi, ale sam je dawać«. Jedyne źródło bogactwa krajowego upatrywał w roli, oburzając się na przeciążanie włościan podatkami: »Zachowaj Boże, abyś z ról cokolwiek wyciągał i we wnętrznościach ziemi, tej matki nas wszystkich, grzebał, skąd życie i żywność bierzemy, albo, żebyś miał rolników obciążać. Nie jest słuszną, abyśmy stamtąd

wysysali krew, skądśmy ją wzięli, toć nasze ciało jest«. Równocześnie był zwolennikiem praw, zmierzających do wyrobienia oszczędności w społeczeństwie, każe bowiem tych okładać podatkami, co ochotniej płacą zbytowi niż Rzeczypospolitej, »którym za lekko jest tracić prywatne rzeczy, niech im nie będzie ciężko dopomóc publicznej potrzebie; od utratników nabywaj, bez krzywdy sobie pomożesz, bez uciążenia zysk uczynisz«.

Lubomirski — mówi prof. Chmielewski dalej — »był to umysł obfity w argumenty, zbliżające cudze twierdzenia. Lubował się też w przeciwieństwach, w zestawieniu mniemań wprost sobie przeciwnych; rzadko dążył do utrwalenia jakiejś prawdy, ale gromadził mnóstwo błyskotliwych nieraz dowodzeń, mających wykazać ułomność i kruchość pewnych opinii; zdań przeciwnika atoli nie przytaczał w całej ich mocy, tem łatwiej więc odnosił nad nim zwycięstwo«.

Jest to bardzo trafna charakterystyka pisarza filozoficznego i politycznego, jakim Lubomirski był przedewszystkiem.

Wprawdzie prof. Brückner uważa go za »najwybitniejszego« poetę XVII-go wieku, ale nie można się na to zgodzić, porównanie bowiem z Wacławem Potockim lub z Janem Andrzejem Morsztynem nie wypadnie na korzyść autora »Tobiasza«.

Umiął wprawdzie Lubomirski pisać wierszem, ten wiersz jego był gładki i nieraz naprawdę niebrzydki, jak to mu przyznał Tarnowski, ale siła jego twórcza była mała w porównaniu ze swadą staropolską autora »Ogrodu fraszek« albo z wykwintem i nowością strof erotycznych Morsztyna, piszącego wiersze miłosne do Kasi, Zosi i Jagusi.

Dla historyka literatury »Salomon polski« zawsze będzie ciekawy, jako pisarz filozoficzny i polityczny. Dlatego też z całej puścizny po nim wysuwają się na czoło

dwa utwory: »Rozmowy Artaksessa z Ewandrem« i »O znalkomości rad«.

Przyjrzyjmy się im bliżej.

Wbrew wiekowi XVI-temu, który lubował się w dialogach i którego pisarze często tej formy używali (Rej, Orzechowski, Górnicki), wiek XVII-ty wołał swobodę wynurzeń lirycznych lub szerokość opowiadania epickiego, gdzie autor zawsze mówił od siebie, nie potrzebując zwalczać nikogo, z nikim wieść sporów, na swoją korzyść lub niekorzyść gromadzić argumentów.

Dialog, oparty na konstrukcji logicznej, wymagający pewnych zdecydowanych dyscyplin, przezorności i bystrości umysłu, tudzież wyrobienia dialektycznego, nie mógł mieć licznych zwolenników wśród szlachty, przeważnie mało wykształconej w porównaniu ze swolmi ojcami i dziadami, nawykłej zato do nieskrępowanej niczem narracji przy gęsto krążących kielichach.

W całej literaturze barokowej nie spotykamy go też u żadnego z przedniejszych pisarzy. Uprawia go dopiero Lubomirski. Uprawia zaś dlatego, że go stać było na tę trudną formę, umysłem bowiem i wykształceniem niewątpliwie górował nad wieloma ze swolch współczesnych. Nadto, jako miłośnik i znawca dobry literatury starożytnej, miał te upodobania humanistyczne, które wśród rówieśnych mu były już przeważnie wygasły, ustępując miejsca wpływom włoskim i francuskim.

Jako filozof był Lubomirski encyklopedystą, wyprzedzającym znacznie encyklopedystów francuskich. Prawie o całe stulecie od nich młodszy, miał jednak niemal tak szerokie jak oni zainteresowanie umysłowe. Obchodzili go w równej mierze kwestje metafizyczne, polityczne, literackie i społeczne. Widać to wyraźnie z »Rozmów Artaksessa z Ewandrem«.

Artaksess i Ewander są to dwaj znaczni ludzie, »zapewne senatorowie — jak przypuszcza prof. Tarnowski — w wielkiem u króla zachowaniu, którzy spotykają się

co dnia w Wilanowie lub na zamku warszawskim i zdala od dworskiego zgietku, w ogrodzie lub w ubocznym jakim pokoju rozmowy swoje prowadzą«.

Rozmowy ich są »mieszaniną rzeczy dobrych z paradoksalnemi, dziwaczne, czasem i śmiesznemi; zniechęcenia i sceptycyzmu z pobożnością i dobrą wolą, rozsądku z paradoksem, głębokiego sądu z naiwnością«.

Pierwsza zaraz Rozmowa o Nauce i Prostocie dowodzi, że nauka niczego nie uczy chyba złego. »Nauki są często bardziej zawadą cnoty, niż pomocą — orzeka Salomon polski XVII-go wieku — często obłudą niż prawdziwą mądrością«, ale dodaje zaraz, że »przecież cnota bez polotu i nauk ma coś w sobie ostrego i nieprzyjemnego, trzeba więc, aby przez nauki stała się miłą i wdzięczną«. Pierwszy człowiek, jego zdaniem, »póki nie skosztował nauki, miał dosyć rozumu dla cnoty i rozumną prostotą nie ruszał zakazanego drzewa; ale wąż chciał nauką nadrabiać; był to pierwszy teolog, co wszedł w dysputę z Ewą, pytając się: czemu Bóg tego a nie innego owocu jeść zakazał«.

Najciekawsze są rozmowy, toczone o kwestjach politycznych. Dowodzą one — słusznie zaznacza Tarnowski — niemalej bystrości autora, a nawet doświadczenia w sprawach dyplomatycznych. Tak np. Rozmowa czwarta mówi o traktatach w ogólności, o sposobie ich prowadzenia, o tem, czego potrzeba, żeby układy szczęśliwie doszły do końca. Żadnych niby rad, przestróg i nauk, ale natura rzeczy jest tak dobrze pojęta i przedstawiona, że dyplomata mógłby tam znaleźć niejedną praktyczną regułę postępowania. Właściwe autorowi niedowierzanie przebija się i tu, kiedy mówi, że wszystkie negocjacje, konferencje i legacje to łapki i sidła, ale jeżeli jest w tem zbytek nieufności i ostrożności, to jest i prawda. A dalej dokładnie i dowcipnie redukuje powody wszystkich ludzkich układów do trzech rzeczy: potrzeby, nadziei i strachu. Bystro każe dyplomacie poznać te

powody i w każdym wypadku do nich postępowanie swoje stosować. Trafnie uczy, że każdy traktat ma w sobie dwie rzeczy, które znać i rozróżnić należy: Interes i Pretekst.

Jednego razu rozmawia Artaksess z Ewandrem o sympatji i antypatji. Rzecz ciekawa: płacze się tu jeszcze i astrologja, wpływ planet na ludzi i rzeczy. Charaktery ludzkie zależne są od planet, pod którymi ci ludzie porodzili się. Wszystko jest tu poparte cytatami ze sławnych astrologów i magików jak Mercurius-Trismegistes i mędrców starożytnych, Ptolomeusza, Plutarcha, Pisma św. Wiele ciekawych rzeczy o antypatji lwa i koguta, o sympatji ostryg do księżycy, antypatji czosnku do magnesu, a wszystko wytłumaczone w swoich powodach. Nawet te lekarstwa, z których nleświadomi się śmieją, nazywając je sympatycznymi, mają wpływ na człowieka, bo mają z nim związek, jako podległe tej samej planecie (konik morski, proszek na rany, kości z syreny). Są nawet sympatyczne czary i uroki, czego autor sam doświadczył, widząc, jak pewien artylerzysta środkiem sympatycznym zepsuł działo nieprzyjacielskie. I nie są to bynajmniej czary — wszystko jest oparte na znanych i dowieść się dających prawach fizycznych — mnieniu Lubomirski, typowy w tym kierunku przedstawiciel XVII-go wieku.

Na szczęście są jednak w Rozmowach i rzeczy poważniejsze, np. w rozmowie siódmej, która szuka różnicy między sławą a chwałą. Różnica jest ta, że sławę można sobie zrobić ze wszystkiego, ale chwałę tylko z dobrego, tylko z cnoty. Rozróżnienie jest bardzo ładne: i zwierzęta bywały czasem sławne, jak koń Aleksandra Wielkiego, słynny Bucefał, jak słonie Pyrrhusa lub gęsi kapitolńskie. Podobnie i człowiek może być sławnym bez wartości i zasługi. Mniejsza jeszcze, jeżeli sława tylko jest marna i zmienna, ale jakże często sława bywa złą, a zbyt uczynna jej miłość do złego wiedzie!

»Do kogokolwiek autor te słowa ściąga — zauważa Tarnowski — niepodobna nie wspomnieć przytem o jego ojcu, do którego tak dobrze przystają«.

Na bliższą uwagę zasługują również »Rozmowy«: o Podejrzliwości (VIII-a) i o Radach (XI-ta).

Podejrzliwość — dowodzi Lubomirski — połączona jest w naszym charakterze najdziwniej z łatwowiernością. Nieraz przyprawia nas ona o prawdziwe szkody, i dlatego wszystko, co się jej tyczy, co ją zgłębić i poznać uczy, jest zajmujące i pożyteczne. Autor ma na myśli przede wszystkim podejrzliwość w stosunkach prywatnych i tu ładnie dowodzi, że tylko ufność rodzi wlerność. O podejrzliwości w sprawach publicznych mówi mniej, a to co mówi odnosi się raczej do podejrzliwości wyższych względem podwładnych niż do podejrzenia między równymi sobie lub podejrzenia wyższych przez niższych. Wielu spostrzeżeniom Lubomirskiego w tym kierunku trudno odmówić trafności. Doskonale opisuje on podejrzliwość i jako występki polityczne i jako źródło niepokoju i niewdzięczności, i wreszcie »jako początek bezbożności, która w podejrzeniu złożyła gnazdo swoje«.

W Rozmowie o Radach, która już bardzo wyraźnie stosuje się do Sejmów polskich, roztrząsa autor to wszystko, co je psuje i bezskutecznymi czyni.

»Rada — mówi — jest najrzadsze i najprzedniejsze drzewo, powinna być zawsze bezpieczna, nikt się jej tykać ani rwać nie powinien, i pod zdrową i nlegwałconą radą, jako pod cieniem drzewa, każdy się wysypia; kto zaś kąsa owoc, nagość swoją odkrywa; a rzadki teraz, któryby pierwej o skosztowaniu niż o zachowaniu tego owocu nie miał pomyśleć«.

Z kolei omawia Lubomirski chciwość, niezgodę, nieporządek i najgorsze ze wszystkiego — ambicję i Popularitas, za czem idzie długie opisanie przymiotów dobrego Radcy, zakończone mądrą w ostatku nauką, że »nie po chlebstwem ani pozorem stoi całość każdej ojczyzny«.

Jest nadto jedna jeszcze ciekawa rozmowa metafizyczna i teologiczna o duszy, w której autor się na zrozumienie i określenie jej istoty, a zaczyna od tego, że dusza, duch i umysł to jedno; uczy dalej, jak ją kształcić i doskonalić, wreszcie przypomina, że między Bogiem a duszą ludzką jest sympatja taka, jak między naturą a światem.

Za dowód, że żadna kwestja nie była Lubomirskiemu obcą ani obojętną, służyć może Rozmowa trzynasta o wojskowości.

Artaksess i Ewander roztrząsają tu różne kwestje praktyczne: o stosunku plechoty do jazdy i przeznaczeniu każdej z nich, o szyku wojennym, o właściwej każdemu narodowi organizacji wojska, a wszystko kończy twierdzeniem, że wojsko polskie jest najlepsze na świecie.

Dużo tu dobrych myśli, trafnych spostrzeżeń i dobrych uczuć, co dowodzi — stwierdza Tarnowski —, że »autor był człowiekiem i myślącym i oświeconym« a dzieło jego, chociaż miejscami śmieszne i bawne, jako świadectwo wyobrażeń czasu, to jednak w całości »liczy się przecież do tych rzeczy w podupadłej naszej literaturze, które dowodzą, że była przecież w wieku XVII-tym i cywilizacja, i umysłowe zajęcia, i pewna wykwićtność w pojęciach i rozmowach«.

»Książka — określa trafnie znakomity historyk literatury — może nie być bardzo zabawną, ale Artaksess i Ewander są niewątpliwie ludźmi rozumnymi i cywilizowanymi«.

O wiele wyżej od Rozmów stoi jednak dialogowana rozprawa »O znikomości rad«.

Największy to bodaj tytuł Lubomirskiego do pamięci u potomnych.

»Znikomość rad« w XVIII-tym wieku cieszyła się nadzwyczajną poczytnością. Napisana po łacinie, wyszła z druku po raz pierwszy prawdopodobnie w r. 1699-tym p. t. »De vanitate consillorum« i doczekała się szesnastu wydań łacińskich i sześciu polskich.

Pierwszego przekładu dokonał w r. 1705-tym Albert Młczyński i wydał go w Toruniu u Jana Chrystyana Laurera, Bibliopolii, p. t. »Próżność y Prawda. Rady. Z Łacińskiego w Polskim Języku wyrażona«.

Książka ma za motto wyjątek z księgi VII-ej Herodota:

»Radzę, królu, abyś dobrze rozważał, w czym największy jest zysk. Abowiem: chociaż inaczej się stanie, przecię jednak dobrze rozważono jest y uradzono, a przewyższyło szczęście radę. Kto zaś złą radę wziął, jeżeli mu szczęście posłużyło, on wprowadził w żądaniu swoim ukontentowany; lednak z tym wszystkim źle poradzone jest«.

»Znikomość rad« — mówi Marylski — jest z punktu widzenia polityki praktycznej pracą zbytkowną wogóle zaś utworem, sączącym jad zwątpienia i rozczarowania, podkreślającym nicłość, marność, próżnię wszystkich wysiłków i rad«.

Książka, a właściwiej książeczka obejmuje 25 rozmów, które prowadzi Znikomość z Prawdą.

»Najpiękniejsza ze wszystkich rzeczy i najpożyteczniejsza jest Rada« — mówi Znikomość. »Przyznam — odpowiada Prawda — gdyby umiał człowiek zgadnąć, która mu się dobrze nada. Znikomość: »Ja wielce się kocham w radzie«. Prawda: »Nie pierwszym jesteś, któryś się w niej tak chwalebnie zakochał. Ja też o wielu wiem, którzy przez zakochanie się w radzie Państwo zgubili«. Znikomość: »Rada mnie wybawi«. Prawda: »Tak jako chorego wiele lekarzów, którzy w największej rady swojej pewności o śmierci jego odbierają wiadomości«. Znikomość: »Lecz dobrych konsyliarzów sobie obiorę«. Prawda: »Podobno z Metoskopii albo Chyromancji poznani będą«. Znikomość: »Ale obiorę sobie konsyliarzów doświadczonych«. Prawda: »Nierychle doświadczenie — prędkie niebezpieczeństwo; dosyć nierychło się dowiesz, z czyjej rady zginąć będzie potrzeba«.

W tym stylu i taką metodą wysila się Lubomirski z jakąś przedziwną przekorą na odszukanie odwrotnej strony każdego twierdzenia, każdego zdania. Jeżeli zaś sprawa nie nadaje się zupełnie do przenicowania w całości, to wówczas krytykuje i kwestjonuje jej szczegóły.

W rozmowach porusza wszystkie zagadnienia, wchodzące w zakres polityki czynnej, więc mówi o prawach, posłach i sejmach, o urządach, podatkach, skarbie, wojnie, o pokojach i traktatach, nie tworząc jednak żadnego systemu politycznego, nie wyciągając z omawianych spraw żadnych wniosków. Bawi się każdym przedmiotem, jak żongler piłką, rzucając przytem jakby od niechcenia garść za garścią, zdania, pełne głębokiej znajomości natury ludzkiej i psychologii społecznej.

Trudno atoli o lepsze wskazać ówki polityczne, jak te, które — o ile raczy — daje Lubomirski.

»Niezgoda złych, bezpieczeństwo dobrych« — mówi Albo: »Więcej przez ospałą zgodę zginęło: niezgoda żywiołów świata i żywota jest harmonją«.

»Wiedz, żeś jest panem, którego ta powinność jest, aby trzy litery te: P. P. P. zawsze oczami miał za symbol: abyś się uczył pomagać, przeciwieć i przebaczyć. Ta bowiem jest panów powinność«.

»Widzisz, że najmocniejsze zwierzęta sama natura nauczyła pazurów nie tylko zużywać do bicia się, ale i po bitwie oneż zachować«.

»I za szpetną rzecz natura poczytała nie mieć zębów, nawet nlehcącym kasać«.

»Nigdy bardziej obawiać się nie mamy nleprzyjaciela jako podczas pokoju«.

»Przy pogodnem niebie wygodniejsze jest chwytanie ptaków i przy uspokojeniu wód pewniejsze jest rybłowienie«.

»I nic nie masz tak słabego, jak potęga na cudzych siłach zawieszona«.

»Nim ułożysz prawa, układaj ludzi!«

»Łatwiejsza dać naukę, niż obyczaje«.

»W rzeczach wielkich ten więcej uczynił, kto mniej mówił« i t. d.

Do takich właśnie, którzy »mniej mówili«, chciał należeć autor »Znikomości rad«. Czy jednak należał?

Współczesny mu Andrzej Załuski przyznawał, że »zdania jego głębokie i krótkie więcej w sobie treści niżeli słów zawierają«. Wysoko także cenił Lubomirskiego dla zdrowego rozsądku i prawej miłości ojczyzny Kazimierz Brodziński. W III-ym liście o polskiej literaturze autor »Wiesława« tak mówi o Stanisławie Herakliuszcu:

»Pisma jego z tem większą uwagą czytać i tem sprawiedliwiej sądzić będziemy, gdy zważymy czas, w którym je wydawał, okoliczności i doświadczenia, przez które przechodził w epoce niejuż wolności ale swawoli szlachty, gdzie więcej na sejmach odzywać się poczęła szkolna erudycja, niżeli zdrowy rozsądek«. Tymczasem »wszystkie myśli Lubomirskiego są równie cierpliwego doświadczenia, jak bystrego dowcipu owocem i dlatego wytrzymają na zawsze wszelkie porównania i mierzyć się mogą z ozdobami literatury w tym rodzaju. Nie znajdujemy w zdaniach jego politycznych przewrotności, obłudy dworskiej i tych krętych dróg, które późniejsi politycy za prawe i mądre uznali, ale uderza nas roztropność i przezorność, których tylko wolność, ścieranie się zdań i prawdziwe obywatelstwo nauczyć może«.

Istotnie — tylko prawdziwy obywatel i to na miarę nlepowszednią mógł głosić: »Nie to dobro ojczyzny wielorakiemi dowcipu wymysłami odbierać czas rzeczom i rzecz czasowi, lecz to, co potrzebne, prędko chcieć, co dobre, prędszej uznawać, a co najlepszego, jak najprędszej wykonać«.

A jednak patrząc na całokształt życia Lubomirskiego nie widzimy w nim wielkiego obywatela, wcielającego w życie głoszone przez siebie piękne i mądre zasady.

Przecież nie kto inny, ale on właśnie spiskował, jak wlemy przeciw Sobieskiemu, dokuczał złośliwie po śmierci króla królowej i królewiczom, nawet zabiegał u dworu francuskiego o tron węgierski dla siebie. Pod pokrywą poety filozofa był więc w nim nieodrodny magnat polski, ze wszystkimi wadami tej warstwy przodującej i panującej nawet nad królami, i tylko pisarz tak gołębiego serca jak Brodziński mógł tego nie widzieć, przyjmując w dobrej wierze i z nieklamany zachwytem wszystko, czem go »Salomon polski« jako myśliciel podbił.

Urokowi temu łatwo zresztą ulec i dziś, oddzielając pisma od osoby autora. Nie da się również zaprzeczyć, że w tych pismach jest Lubomirski wyższy od wielu współczesnych sobie. Umysł jego jest wykształcony, pomimo nieodłącznych od epoki przesądów i zabobonów, nawskroś europejski, smak jego jest wybredny, poczucie piękna w słowie i w obrazie duże, a pogląd na życie głęboki, wprost wyjątkowy w ówczesnym świecie szlacheckim, gdzie panował raczej typ, reprezentowany tak świetnie czy to na polu bitwy, czy przy kieliszku, czy w »barokowej oracji« przez Imię pana Jana Chryzostoma Paskę.

Nie dziw więc, że w tłumie takiej właśnie szlachty sarmackiej Lubomirski mógł sobie łatwo zjednać miano »Salomona polskiego«, niekoniecznie panegiryczne, jak chce prof. Maglera, ale będące wyrazem rzeczywistego podziwu dla wiedzy i talentu pana marszałka.

Jan Chryzostom Pasek (1630—1701).

Wiek XVII-ty zostawił nam w puściznie po sobie kilka pamiętników, które nie należą wprawdzie do literatury pięknej w ścisłym tego pojęcia znaczeniu, są jednak znakomitem źródłem do poznania epoki.

Pamiętniki takie pisali: Samuel Maszkiewicz, Łoś, Medeksza, nadewszystko jednak napisał je Imię Pan Jan

Chryzostom na Gosławcach Pasek, »deputat z powiatu lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała Korybuta, a pierwiej towarzysz pancerny«.

Jemu zawdzięczamy, że szlachtę XVII-go wieku znamy na wylot, a jej życie domowe i rycerskie bez trudu możemy sobie odtworzyć.

Urodził się Imię pan Pasek około roku 1630-go, prawdopodobnie w Węgrzynowicach, pod Rawą, na Mazowszu. Uczył się u jezuitów, być może w Rawie (prof. Korbut). Pod dowództwem Czarnieckiego walczył przeciw Szwedom (1656), Rakoczemu (1657), brał udział w wyprawie do Danii (1658). W r. 1659-ym szczęśliwie wrócił do Polski i w następnym 1660-ym roku walczył z Moskwą na Litwie (bitwa pod Połonką). W wojnie domowej przeciw Lubomirskiemu stał po stronie króla (1666 roku bitwa pod Montwami). W r. 1667 opuścił wojsko i osiadł na wsi, w rawskim. W tym samym roku został komornikiem ziemskim rawskim, później krakowskim i proszowskim. Ożeniwszy się w tym roku z wdową Anną Łącką z Remiszowskich, przeniósł się w krakowskie, osiadł na wsi i chodził dzierżawami. Z natury pleśniacz, procesował się często z sąsiadami i krewniakami. W r. 1672 brał udział w pospolitem ruszeniu pod Gołębiew. W r. 1700-ym za pogwałcenie spokoju publicznego skazany został dekretem trybunałskim na banicję wieczystą, ale Polski nie opuścił. Umarł w r. 1701-ym (prof. Czubek). Pamiętniki, które zostały po nim, są fragmentami. Obejmują one okres od r. 1656—1688 i są rodzajem autobiografji Paskę. Biografję tę po r. 1688-ym dopełnili Kraushar i Czubek.

Zwykłą losów kolejną rękopiśm Imię Pana Paskę długo przeleżał w ukryciu.

Pierwszy zetknął się z nim i ogłosił urywki z pamiętników bez podania jednak nazwiska Paskę, Franciszek Grzymała w czasopiśmie *Astrea* w r. 1821-ym.

W całości wydał je po raz pierwszy Edward hr. Raczyński (Poznań 1836).

Przez czas pewien uważano je za falsyfikat, jak się okazało jednak zgoła bezpodstawnie. Dzisiaj niema już żadnej wątpliwości co do tego, że Imć Pan Jan Chryzostom Pasek sam w podeszłych swoich latach wziął za pióro i dzieje żywota swojego spisał. Czy prowadził przedtem jakiś diarjusz — niewiadomo, chociaż staranność, z jaką gromadził wszelkie dokumenty, odnoszące się do swej osoby, jak listy, mowy, instrukcje, wiersze okolicznościowe itp. naprowadza prof. Chlebowskiego na przypuszczenie, iż tak było. Nie mamy jednak na to żadnych dowodów. Jakimże jednak cudem człowiek starzejący się mógł zachować w pamięci tyle szczegółów i tak w niczem ich barwy nie zatrzeć?

I tu prof. Chlebowski zdaje się trafnie szukać klucza do tej zagadki w talencie oratorskim Paska.

O talencie tym świadczą dowodnie mowy, pomieszczone w »Pamiętnikach« (przedewszystkiem rozprawa z senatorami w Grodnie!). Ciągłe nadarzające się sposobności do publicznego przemawiania (sejmiki powiatowe, obchody pogrzebowe i t. p.) przyczyniły się do wydoskonalenia wrodzonej zdolności. Ubóstwo myśli, brak szerszego i głębszego poglądu na rzeczy nagrażała siła i obrazowość wystąpienia, a jeżeli jeszcze mówił pod wpływem silniejszego wzruszenia, wtedy zapominał zwykle o szkolnej erudycji i odrzucał mitologiczno-klasyczne porównania. Dzięki tej łatwości, dosadności i malowniczości swej wymowy był Pasek zapewne niezrównanym opowiadaczem własnych i cudzych przygód i facecji. Dotąd jeszcze — mówi Chlebowski — pomiędzy znikającymi już przedstawicielami życia, obyczajów i pojęć staroszlacheckich spotykamy ten talent opowiadania wydarzeń własnego życia z taką malowniczością i humorem, że choć słyszymy to po raz dziesiąty, choć wiemy, iż ledwie połowa prawdy w tem

się mieści, słuchamy jednak z zajęciem i przyjemnością. Temu to głównie talentowi zawdzięczał niezawodnie Pasek swą popularność i powodzenie, zarówno po dworach szlacheckich, jak i w rezydencjach magnatów; wszędzie go skwapliwie zapraszano, serdecznie witano i podejmowano, gdyż »gębą i conceptem« ożywiał i zabawiał całe towarzystwo.

Rzecz naturalna, że skutkiem częstego powtarzania jednych i tych samych opowieści wyrabiał sobie Imć Pan Jan coraz większą łatwość wystąpienia i coraz więcej wydoskonalą samą formę, opuszczając to wszystko, co nie robiło wrażenia na słuchaczach, a kładąc tem większy nacisk na szczegóły i wyrażenia, przypadające im do smaku. Że tym sposobem wciśnięto się wiele dodatków i zaszło wiele opuszczeń, o to trudno gniewać się na Paska, który zapewne sam wkońcu zaczął wierzyć w prawdziwość swych zmyśleń. Ilekroć jednak wychodzi z roli opowiadacza, a usiłuje być pisarzem, wtedy znika cała prostota, życie i prawda z jego opowieści, a pojawia się panegiryczna nadętość i styl makaroniczny. Widzimy to w pochwalę Czarnieckiego, we wstępie do instrukcji, jaką napisał dla posłów rawskich, w panegiryku dla Lanckorońskiego, wreszcie w publicznych przemówieniach czy to na pogrzebie dwóch towarzyszy broni, czy też przy obłóczynach panny Słuckiej.

Przekonywamy się stąd, jak wielki zachodził podówczas przedział między literaturą a życiem, jak fałszywy kierunek nauczania szkolnego zabójczo oddziaływał na rozwój literatury, odsuwając ją od jedyne go źródła, w którym czerpać mogła swe pierwiastki. Nic dziwnego przeto, iż społeczeństwo ówczesne tak mało interesowało się piśmiennictwem, w którym nie znajdowało pokarmu ni dla serca, ni dla umysłu. Żywa opowieść zato po ciągała i zachwycała wszystkich.

Pasek mylił się wielce, mniemając, iż własnym czynom i przygodom zawdzięcza powodzenie swych opowiadań, lecz takie samochwalcze przekonanie stało się dlań

pobudką do spisania tych arcydzieł samorodnego talentu. Słuchacze z zachwytem przysłuchiwali się jego opowieściom, bo każdy znajdował w nich barwne odbicie własnych wspomnień, każdy rozumiał i odczuwał uplastycznione żywym słowem wypadki i uczucia.

Rozpoczynając tedy w późnej starości swe Pamiętniki, Pasek przystępował do tego z dokonaną dawno już rzeczą; to też nie pisał on, lecz spisywał jedynie szereg gotowych, wykończonych już opowiadań, które usłował w bardzo niedołączny zresztą sposób spół w całość autobiografji. Dziękł jednak właśnie temu niedołączstwu literackiemu mistrzowskie obrazy ówczesnego życia nie uległy żadnym przekształceniom i uszkodzeniom. Wielokrotne powtarzanie tak urobiło ich formę i tak wpoilo ją w pamięć Paska, iż spisywał je bez namysłu, jakby za własnem dyktowaniem.

W ten sam sposób powstawały pierwotne epopeje i pieśni ludowe: tworzący je poeta miał bowiem za współpracowników wszystkich, co przysłuchiwali się i powtarzali za nim te utwory; w ich zachwycie lub obojętności znajdował jedyną wskazówkę doskonałości lub błędów. Konieczność zatrzymania w pamięci i utrwalenia przez przechodzenie z ust do ust wytwarzała tę plastyczność, tę dosadność, prostotę i naturalność takich opowieści.

Tyle o formie »Pamiętników«.

Znaczenie ich literackie i historyczne polega dla nas głównie na tem, iż odbijają one życie narodowe (naturalnie szlacheckie) w całej pełni i barwności, odzwierciedlają je bowiem bezpośrednio, nie załamując jego promieni w pryzmacie jakichś wzorów i tendencyj literackich lub naukowych. Życie szlacheckie staje tu przed nami w całej swej nagości, bez idealnych blasków, które mu nie przyświecały wtedy. Przesuwa się ono przed nami nieledwie we wszystkich swych obrazach, tem łatwiejsze do uchwycenia, iż zewnętrzne tylko i jaskrawe. Nie potrzeba tu analizować uczuć i przekonań, by po-

znać człowieka; dość obserwować jego czyny i słowa. Nie należy zapominać tylko — dodaje słusznie Chlebowski — że Pasek był Mazurem i w swej autobiografji odmalował nam z całą wiernością typ szlachcica-Mazura.

Pod tym względem uważane »Pamiętniki« stanowią ciekawe świadectwo historyczne, tłumaczące nam w jaki sposób mazowiecka szlachta rozpostarła się po całym obszarze Rzeczypospolitej, roznosząc wszędzie swe obyczaje, pojęcia, wady i nałogi, które z prowincjonalnych stawały się narodowymi. Nie ulega wątpliwości, że w kolonizacyjnej energii tej szlachty i wywieranym przez nią wpływie szukać należy klucza do zrozumienia wielu ważnych bardzo zjawisk w dziedzinie naszej przeszłości, naszej literatury i naszych obyczajów.

W nieprzeliczonym zastępie ówczesnej szlachty — pisze Chlebowski w swoim studjum o Pasku i jego »Pamiętnikach« (»Pisma«, Tom III-ci) — tkwił potężny zasób sił i zdolności najróżnorodniejszych, które jedynie dla braku należytego pola i kierunku marnowały się bezpożytecznie lub wybuchały jaskrawymi fajerwerkami, zamiast trwale i porządnie zgorzeć w odpowiednio skoncentrowanych i do wyższych celów skierowanych ogniskach. Nauka i praca nie znajdowały nigdzie zachęty i opieki. W młarę wzmagającej się clemnoty umysłowej i ubóstwa materialnego, średnia i drobniejsza szlachta traciła poczucie godności osobistej i obowiązków obywatelskich, troszcząc się jedynie o kawałek chleba i zaspokojenie ambicji jakimś honorowym urzędem lub tytułem, któryby podwyższył nieco przyćmiony blask szlachectwa.

Zawód wojskowy stanowił wówczas dla biedniejszej młodzieży jedyną deskę ocalenia przed demoralizującym wpływem służby po pańskich dworach. Trudy i niebezpieczeństwa uszlachetniają człowieka, a poczucie osobistej zasługi wstrzymuje od poniżenia się; walka o interesy ogólne wytwarza szersze i wyższe pojęcia obowiązków

obywatelskich. Z drugiej znów strony służba wojskowa przedstawiała dla fantazji szlacheckiej pożądane bardzo pole. Ruchliwe życie, wesołe i nieustanne towarzystwo różnych urodzeniem i pojęciami ludzi, swoboda w czasie pokoju, a luźny bardzo regulamin podczas wojny, pozwalały szlachcicowi polskiemu spełniać ten obywatelski obowiązek bardzo łatwym i przyjemnym sposobem.

Dobrowolną, a raczej samowolną ofiarnością, tym do wysokości zasady podniesionym nierządem stała Rzeczpospolita póty, póki owej fantazji nawet w najszańszych wybrykach nie przestawały wyższe przyświecać cele.

Rodzicom Paska — z naciskiem zaznacza Chlebowski — należy się też słuszna wdzięczność, iż nie wahali się obrać dla swego jedynaka zawodu tak odpowiadającego jego zdolnościom, jak zawód wojskowy, że nadto nie szczędzili ofiar i zachęt, by go jak najdłużej utrzymać w służbie dla kraju.

Czy kierowała nim myśl obywatelska, czy tylko naiwna wiara, że ukochany syn zdobędzie sobie jakieś wyższe godności, o tem wiedzieć nie możemy. W każdym jednak razie nie byli to ludzie małoduszni, i przywiązanie ich do syna nosi wcale podniosły i poważny charakter.

Rozumiał to sam Pasek, kiedy w »Pamiętnikach« swolch, oglądając się za siebie i szukając w pamięci rodziców, zapisywał, że gdy na wieść o wyprawie do Danii powszechnie »ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać... ojciec mój, lubo mnie miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym Imię Boskie wzięwszy na pomoc, siedł śmieie tam, gdzie jest wola wodza, upewniając, że mi włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej«. »Matka również — w innym mówi miejscu — lubo mnie jedynego syna miała, ale była tej fantazji, że od największych i najniebezpieczniejszych okazji nigdy mnie

nie odwozila, mocno wlerząc, że bez woli Bożej nie zlego spotkać nie może człowieka«.

Pelen zdrowia, sił i zapалу, dobry jeździec i rębacz, opuszczał młody Pasek dom rodzicielski na swym ulubionym deresz, z którym się razem wychowywał, pelen nadziei, że zdobędzie sobie świetną przyszłość.

Gorączkową zuchwałość i rwanie się do pierwszych szeregów wśród boju przyplacił jednak stratą ukochanego rumaka:

»Kiedym wsiadł na cie, tak mi się widziało,
Że na mnie wojska sto tysięcy mało;

.....
Tyś mnie donosić miał jakiej godności,
A ja też ciebie dochować starości.

Wypadek ten nastąpił prawdopodobnie podczas bitwy pod Chojnicami w r. 1655-tym. Nie mając funduszu na konia, musiał Pasek obywać się jakimś niepozornym rumakiem, na którym »nie mógł wygodzić swej fantazji, gdy wojska staną w zwykłej batalji«.

Śmierci deresza zawdzięczamy jednak niewątpliwie utrwalenie jednego z najpiękniejszych rysów uczuciowych szlachty ówczesnej — jej przywiązania do konia. Ten afekt pana Paska do wlernego towarzysza, ten żal szczerzy po jego stracie, to łzą pokropione »Vale!« — wszystko to jest tak polskie, tak nieodrodnie nasze, tak wrośnięte w serce każdego Polaka, tego »urozonego kawalerzysty« według opinii innych narodów, że żaden psycholog, pragnący nakreślić obraz duszy narodu i uchwycić jej odruchy uczuciowe, nie byłby się wywiązał z zadania lepiej, niż ten przypadkowy pamiętnikarz, opisujący »bieg życia swojego i przywodzący sobie na pamięć w starych latach »każde czyny swoje«.

Idźmy jednak dalej.

Przekonawszy się, że zuchwałe zapędy prowadzą tylko do strat i ran, Imię pan Jan stał się widocznie powściągliwszym i ostrożniejszym, tak, iż o swym udziale

w wojnie 1656-go r. i o wyprawie przeciw Rakoczemu w r. 1657-ym nic nie ma do powiedzenia. Dopiero świetna kampanja duńska otwiera Paskowi wraz z całym rycerstwem pole do okazania niepospolitej dzielności i przymlotów żołnierskich, dostarczając zarazem »Pamiętnikom« całego szeregu ciekawych epizodów i wypadków.

Pierwszą sposobność do odznaczenia się daje młodemu towarzyszowi pułku królewskiego szturm do duńskiej twierdzy, Koldyngi, zajętej przez Szwedów. Wiodczna przerwa w »Pamiętnikach« pozbawiła nas tu niektórych szczegółów; z dalszego jednak ciągu dowiadujemy się, iż z całej chorągwi jeden Pasek tylko okazał gotowość uczestniczenia w szturmie, i stąd jemu powierzone komendę nad ochotnikami z pośród czeladzi. Choć więc zawstydzeni tem starsi towarzysze namyślili się i pozostali z koni, ale »komenda przy mnie po staremu została — pisze nie bez dumy Pasek — bo mi już dana była dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę«.

Drugą, innego rodzaju sposobność do pokazania swoich zdolności nastąpiła Paskowi wkrótce trudna i niebezpieczna misja do miasteczka Ebelfeldu, które wraz z okolicznym okręgiem przeznaczone było na leże dla jego chorągwi. Ponieważ z powodu niebezpiecznego położenia nie mogło tam wojsko zająć kwater, przeto wyprawiono ochotczego i goniącego za przygodami Paska w celu wybrania pieniędzy nałożonego na ludność okolicy. Dowcipny podstęp, przy którego pomocy Pasek kontrybucję wybrał, rozniósł jego imię po całym wojsku i sprawił, że sam Czarniecki zwrócił na niego uwagę.

Śmiałość i rubaszna nieco, lecz szczerą wesołość młodego żołnierza zjednały mu łatwo życzliwość zarówno starszych towarzyszy w służbie, jak i mieszkańców Ebelfeldu, wśród których całą przepędził zimę wesoło i wygodnie, podziwiając cuda przyrody morskiej i używając przejażdżek wodnych. Był nawet wldzem i uczestnikiem

bitwy morskiej między flotyllą holenderską a szwedzką. Bywając zaś częstym gościem w domu bogatego szlachcica duńskiego, Dywarne'go, używał, jak pisze, »konwersacji tak miłej, że i w Polsce lepszej by nie znalazł między krewnymi«. »Konwersował« oczywiście przedewszystkiem z panną Eleonorą Dywarne, której wdzięki podbiły go tak dalece, że zapomniał o pannie Teresie Krosnowskiej, podczaszance rawskiej, i żwawo uderzył w koperczaki do urodziwej cudzoziemki, gotów z nią stanąć na ślubnym koblercu.

Rozkaz powrotu do obozu przerwał ten romans. Rozpoczęło się wahanie: zostać czy odejść. Ale »ochota jechania do Polski zwyciężyła«. Szale na tę stronę przechylił ostatecznie ks. Piekarski, spowiednik, który przełożył Paskowi, że rodzice panny nie pozwolą mu wyjechać z żoną do Polski, że pod wpływem otoczenia zostanie lutrem, zerwie z całą rodziną, straci duszę, a wszystkie bogactwa Dywarnów czemże są wobec zbawienia i dostatków królestwa niebieskiego?

Włęcz, zapłakawszy tylko przy przejściu granicy na myśl, że tam, na północy, napróżno wyglądają jego powrotu, wierny syn Kościoła katolickiego zapomniał wkrótce o swoim afekcie.

»Nałwna otwartość — mówi Chlebowski — z jaką opowiada Pasek swe sercowe niepokoje i wewnętrzne walki, przedstawia nam dobitnie całe ubóstwo duchowego życia ówczesnej szlachty i odsłania tajemnicę tego prze wybornego humoru i dziecinnego pogody umysłu, niezamąconych ani cierpieniami krzepkiego ciała, ani też pragnieniami i walkami nierozbudzonego ze snu ducha«. A »dopóki człowiek nie wejdzie w siebie, nie zajrzy w niezmierzone głębie własnego ducha, nie rozbudzi drzemających tam pragnień i uczuć, dopóty nie ujrzy blasku ideału, który ująć może jedynie oczami duszy. Jak samowiedza bowiem czyni nas dopiero prawdziwymi ludźmi, tak ideał dopiero nadaje sztuce nieśmiertelną trwałość

i uniwersalną doniosłość. Przeszłość naszej zbywało niestety, z wyjątkiem nielicznych głębszych dusz, na samowiedzy i ideale, bez których człowiek nie jest w możności pojąć i umiłować wyższych celów życia, doskonalić się umysłowo i moralnie.

Pan Pasek nie miał istotnie żadnego wyższego ideału życiowego. Nie przejmował się niczem głębiej, a skoro go smutek nawiedził, topił go w winie lub wypowiadał w pacierzach, które uspokajały jego serce i sumienie.

Dzięki takiej naturze rychło mógł przejść do porządku dziennego nad uroczystymi przyrzeczeniami, które go wiązały z panną Dywarne, i zaraz po powrocie potrafił wskrzesić w sobie dawny afekt do podczaszanki rawskiej.

Czując się w obowiązku przywiezienia jej z dalekiej podróży jakiegoś daru, o czem naturalnie nie pomyślał w Danji, kupił jej po drodze, w Poznaniu, pultynek (rodzaj szkatułki), wysadzany hebanem i perłową macicą i umieścił w nim — dar oryginalny — parę duńskich drewnianych lipowych trzewików. Ale niefortunny ów pultynek, wręczony podczaszance przy śmiesznie nadętej mowie Ołtarzewskiego, przyjaciela (i swata zapewne) Paska, zamknął wraz z trzewikami i wystygłą miłość dawnego kochanka, któremu po wdzięcznej, wykształconej, wymownej i bogatej Eleonorze zbyt skromną musiała wydać się podczaszanka. To też, mimo nalegań panny, opuścił pan Pasek co rychlej strony rodzinne i do chorągwi powrócił. Odtąd nie spotykamy już w »Pamiętnikach« ani słowa więcej o tym stosunku i dalszych losów panny Teresy nie znamy.

Mądry nabytem w Danji doświadczeniem, umie sobie teraz radzić pan Pasek i pamięta dobrze o swym zysku i wygodach. Będąc wyznaczonym do rozplywania gospód i rozdziału prowiantu dostarczanego dla chorągwi, korzysta z dobroduszości drobnej szlachty podlaskiej i wyciąga od niej mnóstwo darów i datków, że choć-

byśmy byli nic nie wzięli na swoje poczty, tobyśmy się jednak mieli dobrze i wielu przy sobie pożywili. Wesołością swą, a zapewne i urodą zdobywał nadto Pasek wszędzie serca niewieście i tym sposobem zapewniał sobie wygodne życie. »Przystawstwo to — mówi — widziało mi się jednym dulem, że to w dobrym bycie i takiego drugiego przez całą służbę nie miałem, bo mi nawet i wozy naładowano takimi specjami, jakich nie w obozie, ale przy domowych tylko wywczasach zażywają i do obozu pod Kozieradami przysłano.

Na uwieńczenie tej pomyślności trafia mu się okazja do poplśniania się publicznego z talentem oratorskim, na ogólne bowiem życzenie kolegów przemawia w kościele, przy obchodzie pogrzebowym (w Siedlcach) dwóch starych towarzyszy, zmarłych jednocześnie z ran dawniej odniesionych.

Po tych pogodnych dniach nastąpił jednak cały rok burzliwy, pełen niemiłych dla Paska przygód.

Zaraz oto w obozie pod Kozieradami, dokąd przeniosła się chorągiew z pod Siedlec, trafia mu się pljacka zwada i pojedynek z Nuczyńskim i Jasińskim.

Nie możemy tu iść krok za krokiem za autorem pamiętników i wszystkie jego przygody rejestrować. Pozna je niewątpliwie każdy sam, bo nie może być Polaka, któryby z ochotą i radością nie wziął tej książki do ręki i nie przeczytał jej po wielekroć.

Nam idzie raczej o charakterystykę Imię Pana Jana Chryzostoma, jako ówczesnego szlachcica, jednego z wielu, w którym skupiły się zalety i wady stanu. Był on typowym tego stanu przedstawicielem, utożsamiającym wolność z samowolą. Niepohamowany temperament pchał go do awantur i czynił winowajcą wielu zająć, na które dzisiaj słusznie oburza się nasze poczucie sprawiedliwości. W wieku XVII-tym jednak, a i długo jeszcze później takie rzeczy były na porządku dziennym, a uderzenie kogoś w porywie gniewu obuszkim, wyrozumiale i łagodnie było przez opinię tłumaczone.

Taką przygodę miał za sobą i pan Pasek. Oto dowiadujemy się od niego, że w obozie pod Mohilewem zjawiał się niespodziewanie niejaki Gorzkowski, towarzysz z pod chorągwi Branickiego, ze skargą na Paska o zabicie brata, który, uderzony przezeń obuchem, wkrótce potem umarł. Szczegółów tego wypadku nie znamy; to pewna tylko, że Pasek istotnie uderzył Gorzkowskiego i że ten wkrótce umarł »nie czyniąc mnie winnym przy śmierci«. Zbyt późne podniesienie tej sprawy, brak świadków całego zajścia nie pozwoliły skarżącemu przedstawić dowodów należytych i uzyskać rozkazu uwłóczenia winowajcy. Czarniecki kazał tylko Paskowi »sprawić się słubem więzienia«, że po skończonej wyprawie stawi się w miejscu uczynku na inkwizycję. Dzięki życzliwości wodza, który, ze względu iż oskarżony, choćby nawet był winnym, to poświęceniem swego życia w tyłu bitwach i okazanem męstwem dostatecznie winę okupił, odprawił przybyłego powtórnie Gorzkowskiego, odsyłając go do trybunału — sprawa poszła w odwłokę. Pasek dotrzymał jednak słowa i stawiał się na ową inkwizycję, lecz z powodu śmierci najważniejszych świadków, tudzież wadliwości ówczesnej procedury, zwałającej na krewnych zabitego obowiązek zbierania dowodów i świadków, słowem prowadzenia śledztwa, mającego udowodnić winę oskarżonego — sprawa cała skończyła się na niczem.

Pomimo jednak smutnego wypadku z Gorzkowskim, pan Jan nie przestał posługiwać się »obuszkami«, o czym świadczą częste wzmianki w »Pamiętnikach«.

Drugim rysem charakterystycznym Paska jest jego — zaiste mazurska — umiejętność »urządzania się« i wyzyskiwania na swoją korzyść każdej sytuacji. W myśl przysłowia: »kot łowny, chłop mowny«, potrafił on zawsze dać sobie radę.

Zatrzymany pod Grodnem i stawiony przed królem i senatorów dla wytłumaczenia się z ciężkiego zarzutu zamiaru buntowania chorągwi wiernych królowi, potrafił w świetnej swej mowie obronnej z oskarżonego przeisto-

czyć się w oskarżyciela i tak w obliczu króla napiętnować tych, co nie na polu bitwy po żołniersku krew za ojczyznę toczyli, ale »lancetem francuskim medyanę« otworzywszy, krew rozlewali, albo ich cyrulik nieostrożnie golił, a przecie do chleba zasłużonych najbardziej się ciśną, że z więźnia stał się gościem królewskich pokojów, otrzymuje »ze szkatuły Swego Miłościwego Pana« 500 dukatów, list polecający do Czarnieckiego, tudzież list otwarty do miast i miasteczek, za którym miał otrzymywać w ciągu drogi do obozu wszelkie potrzeby dla siebie i dla 16-tu oddanych mu pod komendę dragonów.

Uzyskawszy od jednego razu pozycję, której usiłował dobić się długoletnią zasługą, nie spieszyl się jednak Pasek do obozu, ale, jak na szlachcica z Mazowsza rodem przystało, wrócił »do pana Tyszkiewicza, gdzie była ochota i wielka pijatyka«. Bawi tam całe dwa tygodnie »w owej młej konwersacji, w owych komplementach nawzajem, obiecując mi różne promocje, ofiarowując mi swoją siostrzenicę, pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała substancji lepiej niżeli na sto tys'ęcy, tylko że dopiero dziewiąty rok była zaczęła«.

Nietrudno się domysleć, że owe »komplementa« i oświadczenia, czynione po pijanemu, nie doprowadziły do niczego i nie miały żadnego znaczenia. »Sam Pasek — przypuszcza Chlebowski — z pewnością nie wierzył tym obietnicom i powtarza je dlatego jedynie, że lubił się chwalić przy każdej sposobności«.

To samochwalstwo jest rysem znamienym Paska, jak było rysem znamienym całej szlachty ówczesnej, która lubiła chlubić się swojemi bliskiem »za pan brat« stosunkami z panami, co też panowie potrafili umiejętnie na swoją korzyść wyzyskiwać, jednając sobie klientów »papką i solą«.

A cóż dopiero mówić o »konfidencji z królem«. Nie dziw, że zazdrościli tego Paskowi posłowie rawscy i łęczyccy, a on sam rozdęty tem w swojej próżności, wyobraził sobie po przybyciu do Warszawy, że król kazał mu bywać codziennie u siebie »dla konferencji«.

Błogie to były dla niego czasy! Pieniędzy posiadał do zbytku, bo obok zasobów własnych miał otwartą dla siebie szkatułę królewską. To też »spokojny o przyszłość« na pawał się bezustannie z dworskimi, »jako to przy Warszawie prędko dostanie kompanii i znajomości«.

Odtąd zaczyna się nowy zwrot w jego życiu i przekonaniach. Służba wojskowa traci dla niego powab i choć odprawia jeszcze kampanję 1663-go roku, jednakże zbywa ją w swoim opowiadaniu krótką już tylko i chłodną wzmianką. Natomiast zaczyna myśleć o zdobyciu »substancji«, o honorach i znaczeniu wśród obywatelstwa. I tu znów jest nieśmiertelnym, po wszystkie czasy żywym typem szlachcica polskiego.

Nie mając własnej siedziby, prowadził ruchliwe życie, przenosząc się ciągle z domu do domu. Lublany powszechnie dla swego humoru i towarzyskiego usposobienia, dla nieprzebranego zasobu przygód i facecji, które umiał z werwą opowiadać, stał się odrazu duszą całej okolicy. Żadna zabawa, żaden obchód rodzinny lub publiczny nie może obyć się bez udziału pana Jana, który to jeździł jako swat lub drużba na wesela, to głosi zmarłym pochwały na pogrzebach, przemawia przy obłóczynach klasztornych, marszałkuje na sejmikach, wreszcie omal że nie posługuje do Warszawy. Jednym słowem — stwierdza Chlebowski — stara się teraz urzeczywistnić mazurecki ideał dobrego towarzysza, który scharakteryzował w następnym czterowerszu:

»Kto przy mnie za łeb pójdzie, pieniądze pożycz,
Poradzi, a gdy jechać, siła mi nie liczy...
To mi prawy przyjaciel, takiego szanuję,
Tem czworgiem niech mi służy, ostatkiem daruję«.

A każdy szlachcic jedną z tych »czterech cnót« powinien mieć w sobie koniecznie, dodaje Pasek, który istotnie w zwadzie szablą, w radzie wymową, przy biesiadzie humorem i kielichem, a w każdej »imprezie« gotowością prym trzymał. Z tem wszystkim był on już

nadto »statecznym człowiekiem«, aby mógł dalej siedzieć przy rodzicach i jeździć »od komina do komina«. Czas było pomyśleć o własnej siedzibie. Nie mogąc rachować na pomoc rodziców, musiał p. Jan w posagu żony szukać dla siebie podstawy bytu.

Z poszukiwań tych i z zawodu, jakiego doznał, pojawiając się za małżonkę podstarzałą wdowę, Annę Łącką z Remiszowskich, zdaje nam autor »Pamiętników« dokładnie sprawę. Rozczarowany uczuciowo, z tem większą jednak energią i ochotą »urabia« sobie »substancję«, chodząc dzierżawami, gospodaruje dobrze i zboże sam spławia do Gdańska, gdzie je korzystniej od innych sprzedawać potrafił. Ale jednocześnie po dawnemu jest wszędzie, gdzie zbierze się towarzystwo liczniejsze, gdzie przywabi go gwar, ochocza zabawa, pijatyka. To jego atmosfera, najmiłsza dla niego rozrywka, acz niejedyna. Drugą jego słabość stanowi pleniactwo. Na procesach mu nie zbywa, a w obronie praw swoich potrafił nawet do samego króla dotrzeć (proces z Myszkowskimi). Żelazne prawdziwie zdrowie i niewyczerpany zasób sił pozwalają mu siedem przeżyć krzyżyków, w których ciągu choruje tylko raz jeden »z przepicia dla nieszczęśliwej kompanii«, co pozbawia go przytomności »na cały tydzień«. Po tygodniu jednak, zaledwie opuściła go gorączka nad ranem, wstaje odrazu, zjada »szczupaka na szaro i kwaśno« i duży garnek »gramatki«, każe sobie zaprząć do bryki i jedzie o 7 mil drogi do Włosty pilnować ludzi ładujących zboże, aby potem »puścić się« razem z nimi wodą do Gdańska.

W tym ostatnim okresie swojego życia jest znów Pasek typowym przedstawicielem egoizmu i materializmu szlachty ówczesnej.

Niema w nim ducha obywatelskiego, a jeśli czasem odzywa się w nim powinność obywatelska, to głos ten tłumy myśli o samym sobie. Doświadczenia żołnierskiego, a później ruchliwego życia ziemiańskiego nie otworzyły mu oczu na prawdziwe interesy kraju i na smutne jego położenie.

»Choć w ciągu służby wojskowej — mówi Chlebow-
ski — zwleka wszystkie niemal prowincje Rzeczypospo-
litej, choć ociera się o magnatów, senatorów i do królów
się zbliża, choć uczestniczy w tylu sejmach i sejmikach,
elekcjach, konfederacjach, nie wynosi stąd przecież ni-
szerszego poglądu, ni surowszego zdania o coraz jaskraw-
szych objawach nierządu. Patrzy on na to z humo-
rystycznej jedynie strony. Bawi go to niezmiernie,
gdy pijana szlachta, naprzekór partji francuskiej, strzela
do aktorów francuskich w Warszawie, gdy podczas roz-
ruchu i strzelaniny przy elekcji Wiśniewieckiego zastra-
szeni senatorowie kryją się pod wozami i nazajutrz »po
wstrząśnięciu smarowali się olejkami i hyacyny pill po
przestrachu«. Porwani nieporównanym humorem opo-
wieści śmiejemy się wraz z Paskiem z przestrachu senatorów,
choć spojrzawszy poważniej na cały przebieg elekcji i poło-
żenie rzeczy, musimy żałować naszej chwilowej wesołości«.

To samo bodaj należy powiedzieć o całych »Pamięt-
nikach«. Zachwycają nas one swoją narracją, radują
pełnią tkwiącego w nich życia, bawią mnóstwem sytuacji
i niemalą sprawiają rozkosz przemawiającą z ich kart
nieśmiertelną psychiką szlachty polskiej, ale jednocześnie
rozgoryczają nas do tej szlachty, uczą patrzeć kry-
tycznie na przeszłość i oceniać ją pod kątem następstw,
które stały się udziałem narodu, pokutującego długo za
lekkomyślność przodków. Pod kątem tkwiącej w nich
nauki rozpatrywane »Pamiętniki« Paska są jednak tem
cenniejszem dla nas dziełem, szlachcic polski stoi w nich
bowiem nie tylko jako typ, ale i jako przestroga, nie
ulega bowiem wątpliwości, że to, co było złe w szlachcie
stało się z biegiem czasu dziedzictwem całego narodu,
już nie szlacheckiego tylko, ale obejmującego wszystkie
warstwy. »Panów Pasków« nie brak nam dzisiaj i nie
zbraknie zapewne nigdy. Zjawiają się oni zawsze tam
gdzie gęsto krążą kielichy, gdzie »tańce, hulanka, swawola«.

Krótki wybór pism
STANISŁAWA HERAKLIJUSZA
LUBOMIRSKIEGO.

Ecclesiastes

po hebrajsku nazwany Coheleth
z Pisma świętego na wiersz polski przetłumaczony
r. P. 1706.

Rozdział I.

Vanitas vanitatum, omnia vanitas, dixit
Ecclesiastes. Quid habet amplius homo?

Marność marność wszystko jest na świecie,
Marność mara, co jedno świat plecie.
Nie masz pod słońcem nic doskonałego:
I celi prosię jest tak szczęśliwego?
Coby człek z prace i krwawego znoju
Zyskał pod słońcem, i użył w pokoju?
Rodzaj przemija, i rodzaj się roi,
A Niebo przecie aż na wieki stoi.
Wschod lotne Słońce wnet w Zachod obraca,
I na swe mlejsce znowu się powraca.
I ledwo zajdzie prędko zatym wznidzie,
Aż przez południe do północy przydzie.
Lustrując wszystko duch wokoło krąży,
I tam z kąd wyszedł prędkim pędem dąży.

Wszelka swe rzeka wody w morze wlewa,
Samo zaś morze nigdy nie wylewa,
A rzeki skoro w morze zapłynęły,
Tam się wracają, z kąd początek wzięły.
Ktoli to pojmie? i kto powie czemu?
Kto to wywiedzie rozumowi swemu?
Wszystko jest trudne i niedoścignione
Ludzkim dowcipem, co jedno stworzone.
Nie napasie się oko swym widzeniem,
Ani swym ucho ciekawym słyszeniem?
Pytam co to jest? to co pierwszej było?
Jest to co z laty będzie się krążyło.
To zaś co pierwszej przed nami się stało,
Już to się dzieje i będzie się działo.
Nic jeszcze nie masz nowego pod Słońcem,
Będzie początkiem to, co teraz końcem.
Zadne stworzenie, choćby wieki żyło,
Mówić nie może! jeszcze to nie było.
Bo to, co nowe czasy nam podały,
Tego dawniejsze wieki zapomniały.
Niepamięć stare dzieje zagrzebała,
A czegoż długo żyje pamięć trwała?
Tego zaś co się będzie dziać na potym,
Nikt się nie dowie, zapomni świat o tym.
Wiedzieć nie będą, czyśmy kiedy byli,
Ci co ostatni będą po nas żyli.
Ecclesiastem i królem się zwałem
W Jerozolimie, ja, co to pisałem.
Wzłąłem był przed się dochodzić wszystkiego,
Chciałbym umysłem, co jedno rzadkiego
Świat ma pod Słońcem i co ziemia rodzi,
Chcąc wiedzieć czemu? i co z kąd pochodzi?
Tęc to uciechę złą i zbyt ciekawą
Nadał Bóg ludziom, i tą ich zabawą
Zwikał umysły; aby się bawili,
I nigdy szczerze nic nie dochodzili,

Wszystko widziałem, co jedno promieniem
Słońce oświeca, albo co imieniem
Ubogaciło mocne przyrodzenie,
Wszystko to marność, wszystko utrapienie.
Nie poprawi się zły, choćbyś go ćwiczył,
A liczby głupich nikt nigdy nie zliczył,
Mówilem w sercu i rzekłem te słowa,
Otom jest wielkim! czegoż moja głowa
Nie doścignęła? Był że kto przedemną
Większy? i mogli porównać się ze mną?
Głęboko wszelką mądrość uważałem,
Wszystkom na wybor znał, wszystko umiałem,
Serce nauce dałem i mądrości,
Znałem się i na niedoskonałości,
Ale w tym wszystkim (rzekę) nic nie było,
Coby umysłu mego nie strapiło.
Wielka nauka z wielką pracą idzie,
I nic bez potu ciężkiego nie przydzie.
W długiej mądrości wielkie utęsknienie,
Aż z ciekawością rośnie uprzyknienie.
I tak jest sprawa samej Boskiej ręki,
Że większy rozum ciężkie miewa męki.

Rozdział III.

Omnia tempus habent, fuis spatiis tran-
seunt universa sub Coelo.

Jest czas wszystkiego, wszystko czas obraca,
Czasu każda rzecz na przemiany wraca,
Jest czas, kiedy się nędzny człowiek rodzi,
Jest czas, kiedy z kolebki w grob wchodzi,
Jest czas szczepienia, jest co drzewa sadi,
Jest inszy, co zaś wyrwać radzi.
Czas jest żelaza dawny, na zabicie,
Jest i co leczy i co wraca życie.
Jest czas, kiedy się rado wszystko pluje,
Czas jest, kiedy się najlepiej buduje.
Jest czas do płaczu, czas jest i do śmiania,
Czas na frasunek i do tańcowania.
Jest czas zbierania kamieni na ziemi,
Czas rozrzucania i ciskania niemi.
Czas uciech ciała, i czas zaniechania,
Jest czas zgubienia i czas zaniechania,
Czas plnowania i czas porzucenia,
Czas jest zsywania, i czas rozerznięcia.
Czas milczeć każe, i czas do wymowy,
Pobudza język łagodnymi słowy,
Jest czas do serca, co zgody prowadził,
Czas jest, co się weni gniewać nie zawadzi.
Czas co chce wojny, i czas co bez boju
Wiedzie spokojne myśli do pokoju,
Cóż ztąd ma człowiek? coby pracy jego
Przyniosło korzyść z czasu tak różnego?
Widziałem tylko próżne utrapienie
Synów człowieczych, a czasu trawienie,
Wszystko Bog dobrze wedle czasu sprawił,
A świat daremnym swarom ich zostawił.

Aby nikt nie znał końca ni porządku
Rzeczy, które Bóg sporządził z początku.
Doznałem, że ten wiedzie dni szczęśliwie,
Który wesoło żyje i cnotliwie.
Bo każdy co je i wesoło plje,
A z pracy swojej dobrego zażyje,
Ten szczęśliwością żyjących przechodzi,
To dar mym zdaniem, co z Nieba pochodzi.
To wiem, że wszystkie dzieła Boskiej ręki
Nigdy nie zginą i trwają na wieki,
I więcej człowiek przydać im nie może,
Ani ich ludzka ręka nie przemoże.
Ani im ujmie, co Niebieska dała,
A to Bóg sprawił, aby go się bała
Wszelka część świata; to zaś, co stworzone
Bóg dał, to będzie trwało niewzruszone.
A to co ma być już było przed nami,
I Bóg przywraca co przeszło wiekami.

.....

Tobiasz wyzwolony,
to jest księgi Tobiaszowe z Pisma świętego na wiersz
polski przełożone i dwunastą osmorymowych pieśni
wyrażone

Pieśń trzecia.

XIII.

Niech będzie Imię twoje błogosławione
O Boże Ojców naszych dobrotliwy,
Który twoje serce naszym rozrąbane
Grzechem łagodisz w gniewie miłośniwy,
Nie na śmierć karząc, lecz na poprawienie,
W sprawiedliwości twojej niepopędliwy

A tej co z żalem przed tobą się kruszy,
Odpuszczasz błędy utrapionej duszy.

XIV

Do ciebie Panie oblicze obracam,
Jak więc słonecznik za Słońcem się kręci,
Do ciebie oczy ufające wracam,
Jak Pelikana szukające dzieci.
Do ciebie z sercem i myślą powracam,
Jak lotny Orzeł, gdy do Słońca leci:
Do ciebie zgoła, jak więc w zdroj Jelenie,
Myśli me blegą i w morza strumienie.

XV.

Zdarz mi miłościw, abym z urągania
Tak okrutnego które ja ponoszę
Wolną żyć mogła bez prześladowania,
O to do ciebie nędzna prośby wznoszę;
A jeżeli godną twego zmiłowania,
W tym bydź nie mogę, przynamiej cie proszę,
Weś duszę moją, albo niech odbieram
Skutek twej łaski, albo niech umieram.

XVI

Wszak wiesz o Boże, zemci nie pragnęła
Z wyuzdanemi Małżeństwa żądzami,
I do rozkoszy żadnej nie przyłgnęła,
Ani szukała męża z pochodniami,
Ani do siebie chciałem go ciągnęła,
Pochlebstwy, strojem, farbą, umizgami,
Ale na myśli nie sadząc się lekki
Chowałam umysł od żądze daleki.

XVII

Z igrającymi nigdy nie śladała,
Za okiem mając wszelkie zalotniki,

Wszystkiem za brzytkość sobie poczytała,
Igraszki, tany, piosnki, zartki, kwiki,
Ład, skład, migania oczu, twarzy, ciała,
Nie był mi sildem na Izraelczyki,
I głos nie wablem i włos nie arkanem,
Ani do serca żadna myśl taranem.

XVIII

Alem w bojaźni twej a nie z chciwości
Wziąć męża (jak się godzi) zezwoliła,
Żadna mię żądza od twojej miłości,
Nigdy o Boże moj nie odwodziła,
I albo oni mojej społeczności,
Albom ja onych znać niegodna była,
Alboś to z lepszym moim upatrował,
I mnie inszemu mężowi zachował.

XIX

Bo nie jest w ludzkiej mocy twoja rada,
I temu, co chcesz, żaden nie przeszkodzi,
Przez ciebie wszystko stol i upada,
Nic nie pomoże i nic nie zaszkodzi,
Niech kto chce grozi, co chce zapowiada,
Niech koło siebie by najpilni chodzi,
Gdy się ty oprzesz, musi pojsć przecz z pola,
I weźmie nad nim gorę twoja wola.

Pieśń szosta.

II.

Kiedy Tobiasz z swym Kałauzem świętym
Szedł w drogę pieszy, lecz nie opieszały,
I coraz dalej gościńcem zacętym
Pędząc wesoło trawił on dzień cały,
Nie tęsknił namniej z mężem z Nieba wziętym,

Z którym godziny minutą się zdały,
Nikt za nim nie szedł tylko pies w też tropy,
Świadomy Pańskiej nie dopiero stopy.

III.

Tak idąc długo i nieuprzykrzenie,
Póki mu tylko dnia jasnego stałe,
Patrzy przez miłe przebiegając cienie,
Na cudze miejsca i rozliczne kraje,
Widzi młast i wsi różne położenie,
Miła padoły, rzeki, gory, gaje,
Aż na ostatek nad wody przychodził,
Gdzie się skałami bystry Tygrys grodzi.

IV.

Rzeka podobna swemu imieniu,
Ślusznie zwierzęcym sroży się przezwiskiem,
Tamten przeciwnych szuka jaskiń dnioł,
Ta płynie ciemnym okropna łożyskiem;
Więc byстрыm szumem strasznym człowiekowi,
Bleząc, pienia się jak i tamten pyskiem,
A po równinach gęstymi kępami
Pstry grzbiet odmienia, jak tamten pręgami.

V.

Przybliżywszy się do bystrego Tygra,
Skrytą ścieszeczką Anioł go prowadził,
Gdzie cichy strumień z drobnym głazem igra,
A lekkim spadkiem czyste wody gładzi,
Nadchodzi wieczor, przytym droga przykra,
Szukać noclegu towarzyszym radzi,
Wychodząc ścieżką z cienistego borku,
Ujrzą leżący domek na pagorku.

VI.

A niżej tego, większy dom do skały
Przymurowany, koło niego płoty
Nakształt ostrowia, w nich podwórczyk mały,
A z boku w skale wykowane groty
Niby piwnice, budynek zaś cały,
Znać że gościnny, bo widać przed wroty
Stół umajony, a wisi nad stołem
Deszczka z napisem: Pod złotym Aniołem.

VII.

Zaraz się obom miejsce spodobało,
Na odpoczynek z podrożnego biegu,
Słońce też nadoł koła nachylało,
Wykierowane do morskiego brzegu,
Zkąd gdy się w dalszą drogę iść nie chciało,
Wygodniejszego nie czując noclegu,
Wnet się zgodzili nogom pofolgować,
I na obranym miejscu przenocować.

VIII.

Stanęli tedy nie długo czekając,
I poszli z sobą do onej gospody,
Ale mało co tam odpoczywając,
Wyszli za wrota, chłodu i pogody
Zażyc wleczornej, gdzie się przechadzając,
Zszedł w bok Tobiasz do Tygrowej wody,
Aby był sobie odpocząwszy z drogi
Mógł omyć prochem ukurzone nogi.

IX.

Był tam brzeg rzeczny przyległy domowi
Między gęstwiną zlekka pochodzisty,
I szedł Tobiasz z gory ku dołowi,
Kędy potoczek płynął przezroczysty,

Ten w rzekę wpadał prosto ku nurtowi,
A Wir na głębiej wykręcał pienisty,
Tam na leżącej blisko śladźszy kłodzie
Nogi w Tygrowej płokać zaczął wodzie.

X.

Alić w głębiźnie z pod bliskiego krzaka,
Wyścibia ryba lep rowny smokowi,
Ostre ma zęby jako u szczupaka
Pysk płaski i wąs podobny sumowi,
Więc dziwna postać straszy nieboraka,
I polecać się każe Aniołowi,
Anioł to widzi woła, śmieie sięgnął,
A rybę nic się nie bojąc wyciągnął.

XI.

Słucha Anioła, nie lęka się węża,
I za skrzele ją na brzeg z wody wlecze,
Ani go ryba jak rozumiał kąsa,
Ale mdła leży, a woda z niej ciecze.
I chociaż jeszcze ogonem wytrząsa,
Wie jednak pewnie, że mu nie uciecze,
Bo się nie rusza pod jego nogami,
Tylko drga pluskiem i kiwa skrzelałmi.

Pieśń siódma.

XXIX.

O gdyby takie lata się wrocili!
Gdy więcej było cnoty niżli stroju,
I gdy dom miewał dość swym wczasem miły,
Pokojów mało, a ślża Pokoju,
Kiedy się oczom mniej blaski świeciły,

A ręce miały większą korzyść z znoju,
Wtenczas by było na jednym weselu,
Więcej wesela, niż teraz na wielu.

XXX.

Skoro już miejsce było zgotowane
Na odpoczynek poślubionej parze,
Poszedł tam Raguel, mając zapłakane
Oczy, i kazał też z sobą iść Sarze,
Szła za nim płacząc, a lice rożane,
Czystego wstydu żywe Wirydarze
Niosąc, zrzodłem je serdecznym skrapiała,
A oczy skromnie spuszczone trzymała.

XXXI

Nie tak więc siłła sokoła lotnego
Albo jelenia siecl rozstawione
Wikłają tego: jako serdecznego
Łapają węża oczy uskromlone;
Nie tak upały pożaru bystrego,
Żelazo miękczą ogniem rozpalone,
Jak wstyd z Panieńskiej palający twarzy,
Rostapia serce i miłością żarzy.

XXXII

Przez wstyd się piękność i cnota wydaje,
Pocztliwość chodzi w czerwonym kolorze,
Słońce gdy z morza najpiękniej powstaje,
Rumieniejące rozpościera zorze,
Kwieciu ozdoby rumieniec przydaje,
Wstydlliwość z cnotą chodzi w jednej sforze,
I co jest w sercu, to wstyd w twarzy wyda,
Nieprawie czoło nigdy się nie wstyda.

XXXV

Dopiero z płaczem napoły zmieszane
(Folgując sercu) powściąga westchnienie,
Ociera chustką oczy upłakane,
Upada Ojcu do nóg uniżenie,
I dziękł czyni niewypowiedzenie,
Za rodzicielskie jej błogosławienie.
A w tym Pan młody do niej idzie właśnie,
Ja też spać z Pieśnią, bo mi świeca gaśnie.

O znikomości rad.

Rozmowa II .

O stanowieniu praw i statutów.

1. Znikomość. Naprzód układać będę Prawa. Prawda. Układaj ludzi zarazem. Łatwiejsza bowiem jest naukę dać, niż obyczaje.

2. Znikomość. Bez Prawa Rzeczpospolita stać nie może. Prawda. Mniej stać będzie, jeżeli prawami będzie pomieszana.

3. Znikomość. Kto nie broni grzeszyć, gdy może, każe. Prawda. I owszem częściej nauczaj, kto zbyt nie zabrania.

4. Znikomość. Dlatego postanowię Prawa, aby wiedziano, co jest zakazanego. Prawda. Bogdajby raczej nie wiedziano: wiele zabraniają; podali sposób do występków. Zakazujący nauczyli tego, czego się chronić trzeba było. Przestań (wierz mi) przez bronienie pobudzać do występków.

5. Znikomość. Ale postanowię Prawa potrzebne i pożyteczne. Prawda. Podobno lepiejbyś powleczł, że zdradę prawdy, usidlenie ludzi, zyski tłumaczy, zawiąkanie sędziów, pozorne udręczenie cnoty, uczciwe kajdany wolności. I któż, Prawa stanowiąc, na cnotę zupełny wzgląd miał, siebie samego zapomniał, o Rzeczypospolitej tylko myślił?

6. Znikomość. Napisać Prawa różne. Prawda. Chciałbym wiedzieć jakie; jeżeli bowiem ciężkie? żaden ich nie przestąpi, ale wszyscy: jeżeli łatwe? te bez prawa zachowane będą.

7. Znikomość. Będę układał Prawa wiele, różnym przypadkom służących. Prawda. Opatrzniejszym będziesz nad Mojżesza, szczęśliwszym nad Boga, który dziesięciore tylko przykazań dał ludziom tak potrzebnego, któremu jednak nie wielu jest posłusznych. Ty zaś tysiącami prawami twoimi dokazać chcesz, aby jednostajnie wszyscy zachowali; łatwiejsze będą ludziom występki, niż Prawa. Mniej trudno będzie Prawami pogardzić, niżeli się ich uczyć. Ułożysz sobie Syneńskie abecadło, z trzydziestu tysięcy liter złożone; mądre przeskody do cnot. Takich praw będą się obawiać wszyscy, lecz bardziej aby ich nie czytali, niżli aby ich nie przestępowali. Czas, który dasz Prawom, weźmiesz cnotom. Zakwitną Prawa, zwlednieją ludzie, gdy wszyscy myśleć będą tylko o niedosyćczynieniu, żaden o wykonaniu.

8. Znikomość. Postanowię Prawo na dumnościwych, aby nie mogli mieszać przez ambicyą Rzeczypospolitej. Prawda. Wyniosłości chciwej, nie poskromisz, swary wzniecisz; urosnie między Obywatelami spórka, nie ustanie ambicya. Ogień w prochnie zachowasz, płomienia mlechem nie zatłumisz; przeciw wiatrom żagle postanowisz. Nie oduczą się wszyscy chciwie ubiegać, nauczą się gniewać; munsztuku na chciwą ambicyą nie włożysz, a Rzeczpospolitą wzbudzysz, i wydasz się z tym, że nie masz sił do powściągnięcia. Cesarz Rzymianom nie panowałby był, gdyby go o chciwą ambicyą nie oskarżono. Pompeuszowi winien był Królestwo, że jego ambicyą wyjawiał, i potęgę rozdrażnił; ani dlatego i sam lepszym się stał dla Rzeczypospolitej, że Cesarzowi tajemnie i wstydliwie ambicyą się unoszącemu, oczywiście, i bez wstydu bardziej zazdrościł, niż zabraniał. Żaden bowiem chyba większą narabiający pychę, na drugiego pychę nie

uskarża się; niech wszyscy za ambicyą udają się, aby żaden nie szedł za nią.

9. **Znikomość.** Prawo postanowie, aby Urzędy nie były dożywotnie. Prawda. Czego Urzędnicy dłużej czynić nie będą mogli, czynić będą częściej i prędzej Zabronisz, aby zdzierstwa nie odkładali na potem, będziesz pobudką, aby go co godzina czynili. Żadna władza nie jest cięższa ludziom nad tę, która jest w nadziei ustania. Krótkie powodzenie hamować trudna jest. Plato, aby dożywotnie były Urzędy w Rzeczypospolitej postanowił. Bog ludowi swemu wybranemu dożywotnych i nieodmiennych naznaczył Sędziów. Nic bowiem nie jest niesłuszniejszego, jako sprawiedliwość, i rządy, Rzeczypospolitej, które ugruntowane być powinny, ustawicznymi odmianami Urzędników mieszać. I któż na Wiosnę nałężycie uprawi rolę, którą w zimie opuścić ma, a podobno jego przeciwnik, albo nieprzyjaciół? Nikt nie kochał się w tym co czynił, że jest słuszne, ale dlatego, że to jego jest. Więc Prowincyą będą rządzić zawsze sposobiący się do rządów, a nigdy doskonali? Nikt nie będzie kierował Rzeczpospolitą jak swoją, lecz jak cudzą? Zawsze zostawać będzie Królestwo między chciwymi i niedoświadczonymi, a między tak różnemi, i wieloma zawsze błędzającymi? Ani zostanie ludowi ta jedna za wiele szkód pociecha, aby mogli mieć jednego, na któregooby się uskarżali? A co największa: łatwiej jednego cnoty Rzeczpospolita ukontentuje, niż wielu występki poskromi; prędzej jednego nasyci chciwość, niż wystarczy pozwolonemu na przemiany łakomstwu.

10. **Znikomość.** Jednym słowem wybiorę Prawa najwyborniejsze, aby na niczym nie zbywało, czemby posłuszni być mogli. Prawda. Krótszego nauczę cię sposobu. Każ, czego pragniesz, aby się strzegli, zabraniaj tego, co chcesz, aby czynili.

Reszty rękopisu

Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska,
deputata z powiatu Lelowskiego na koło
rycerskie za króla Michała Korybuta, a pier-
wej towarzysza pancernego.

.....
Sporządziwszy się tedy w domu, w sam fest Marcina Ś. wyjechałem z domu, koni dobrze pokarmiwszy i przykupiwszy; bo i pieniądze z łaski Bożej były Duńskie i ociec też dodał. Jadąc tedy tam, tedy potkałem się w Lisobikach z chorągwią naszą hussarską, gdzie Kossakowski porucznikował, która po wielu namysłach¹⁾ szła do związku. Tamże wiele krewnych moich zostało, musiałem z nimi spocząć kilka dni, alem się z moją nie objawił intencją, tylko powiedział, że jadę do Pana Kazimierza Gorzewskiego, stryja mego do Targonów pod Tykocin, który na Tykocinie był Komendantem i uwierzyli temu snadno wierząc, że to mój stryj; boby mnie byli mogli odwozić od tej imprezy, gdybym się był przyznał, a osobliwie cłoteczny mój Trzemski Stanisław, który tam był namieśnikiem. Odjechawszy tedy od nich zjechałem na pierwsze roraty pod Zieloną Puszczę do wsi, gdzie też był Imięć Pan Stanisławski cześnik Warszawski a Dworzanin Królewski, który gdy mię obaczył w kościele, lubo mię przedtem nie znał, jednak jako człowiek ludzki, począł mię szczerze prosić, żebym u niego odpoczął, albo przynajmniej obiad zjadł. Kłędym się wymawiał, powiedziałwszy już szczerze gdzie jadę i z jakiej okazji odstąpiłem związku, tem bardziej prosić począł, chcąc mi zawdzięczyć w domu swoim, jako stronnika królewskiego²⁾ i obiecując pisać do Dworu, żebym tam uznał

¹⁾ Post multas deliberationes.

²⁾ Pars regalis.

wszelaką wdzięczność. Ze tedy nie mogło być inaczej wstąpiłem, gdzie wpadłem w taką ochotę, że i mnie i czeladzi i koniom było jako w raju; nawet szpyca mego na jedwabnym wezgielku posadziwszy u stołu, na srebrnych talerzach prosto z półmisków jeść kładziono. A w tem przyjechał tamże Mazepa, pokojowy królewski. Kozak to był nobilitowany, z Warszawy jechał do Króla w Grodnie natenczas będącego. Tam tedy w posiedzeniu, że się różne o polityce¹⁾ dyskursy prowadziły, z których jakąś mojej osobie pretendując godność, taką głowę sobie naładował opinią, mówiąc, że to nie podobna, aby ten człowiek bez tajemnych zamiarów²⁾ miał jechać w Litewskie i Białoruskie kraje. Jechałem ja tedy powoli, on zaś do Króla skoczył z wielkim pośpiechem³⁾, i chcąc się przypochlebić opowiedział: Ten towarzysz związkowy z pod chorągwie Pana Wojewody udaje, że to do Rotmistrza swego, na Białą-Ruś przebiega się, ale że ze wszystkich okoliczności⁴⁾ niepodobna (*)

zasłużonym, bo go w ręku dobrze zasłużonych⁵⁾ ledwie dziesiątą część widzę. Już ja połowę ojczyzny mojej uroniłem substancją, już nieraz, wiadomo to jest całemu wojsku i wódzowi memu, nie skąpo dla ojczyzny uroniło się krwi; jużbym się też zgodził dobrze zasłużonych⁶⁾ choć reglestr zawlęrać, a przecie nie dostało mi się

¹⁾ In statu.

²⁾ Sine mysterio.

³⁾ Magnis initeribus.

⁴⁾ Okoliczności.

(*) W. oryginalne 9 kart brakuje. Wnosić jednak można z tego co następuje, że Pasek udany przez Mazepę za posła od związkowych do Litwy, został schwytany i stawiony przed senatorami w Grodnie jako następuje jego własna obrona.

⁵⁾ In manibus bene moritorum.

⁶⁾ Bene meritorum.

i wielu innym odemnie zasłużeńszym tego pokosztować chleba. A takich wiele widzę, którzy lancetem Francuzkim medianę¹⁾ otworzywszy krew rozlewali, albo ich cyrulik nieostroźnie golił; a przecie do chleba dobrze zasłużonych²⁾ najbardziej się cisną, nie pracując nań, najpierw go jeść, panem z niego zostać, a potem uboższych uciskać³⁾, i dobrze zasłużonym⁴⁾, na sejmach i sejmikach insulty⁵⁾ robić, i w zasługach od siebie lekceważyć. Rzecz pospolita i Majestaty, jaki z nich mają emolument⁶⁾. A to taki: sejmy i sejmiki zatrudniać interesami prywatnemi, promowując swoje interesa, zabierając czas publicznych akcyi, niepotrzebnemi zbytkami i bankietami, chleb z garła wydarty ludziom zasłużonym, obracając na fakcie, korupcie i dochodzenie swoich interesów; do skarbu Rpltej drzeć się oślepi jak kotka do mleka, a skoro się cokolwiek zamarszczy fortuna, albo najmniejsza jawi przeciwność⁷⁾, skoro im wdzięcznych nie stanie fawoniuszów a przykre dmuchają akwilony, do cieplic z gęsiami, zapomniawszy starania⁸⁾ około ojczyzny, uciec za granicę i w cudzoziemskich miastach dać się szargać jako cygani. W domu lwy, za domem liszki⁹⁾. Mamy tego niedawno próbę, wojnę szwedzką: kiedy już srożyć się¹⁰⁾ fortuna i wszystko burzyć poczęło¹¹⁾; kiedy nas ościennych narodów¹²⁾ prawie wszystkich spólnie i ra-

¹⁾ Żyłę.

²⁾ Bene meritorum.

³⁾ Opprimere.

⁴⁾ Bene meritos.

⁵⁾ Zniewagi.

⁶⁾ Pożytek.

⁷⁾ Adversitas.

⁸⁾ Curam.

⁹⁾ Domi leones.

¹⁰⁾ Saevire.

¹¹⁾ Et cuncta miscere coepit.

¹²⁾ Vicinarius gentium.

zem¹⁾ ścisnęła potęgą²⁾; kiedy na ryzystencyą tak ciężkim impetem nieprzyjacielskim, już nie garści zhukanego wojska, (lecz) tak wielu sturęcznych³⁾ trzeba było na succurs Tyfeów⁴⁾; siłaż się obrało tych zelantów? żeby mieli w potrzebie⁵⁾, radą i substancją podierać już upadłą ojczyznę? siłaż się ich garnęło do boku Pańskiego? Widząc go opuszczonym od wszelkiej nadziei i rady⁶⁾ każdy w swą, każdy w nogi, oprócz niektórych, a bardzo niewielu pocziwych i dobrych Senatorów i Panów, którzy albo Pańskiego trzymali się boku, albo wojska, które jako odynieć w kniei zmykając się z miejsca na miejsce wewnątrz⁷⁾ jednak ojczyzny, okrutnym ucinano się brytanom, aż dopiero jak Bóg łaskawem na nas wejrzał okiem jak trochę ojczyzna otrząsnęła się z biedy, dopiero Panów zelantów do obrony ojczyzny odzywa się ochota. Po czasie każdy gotów⁸⁾. Aż dopiero jak z myszej jamy przybyło zębów na chleb, lubo z konia Trojańskiego⁹⁾ nie było rąk do obrony. Takim było łuszczybochenkom spodziewać się, że kiedykolwiek od wojska, a ledwie nie za tą okazją, będzie na nich gar; bo ciężko dzielnemu rumakowi, gdy go nikczemny od żłobu odjada osieł. Wiem ja to bardzo dobrze, że to mię potkało uwięzienie za zdaniem rady¹⁰⁾; ale jeżeli ta rada¹¹⁾ jest zbawienna¹²⁾ majesta-

¹⁾ Simul et semel.

²⁾ Potentia.

³⁾ Centimanos.

⁴⁾ Typhoeos.

⁵⁾ In necessitate.

⁶⁾ Omni spe et consilio destitutum.

⁷⁾ Inter viscera.

⁸⁾ Sero molunt Deorum molae, dosłownie: późno miała młyn bogów. Erazm Roterd. tłumaczy w Zbiorze przysłów: Za wykroczenia choć późno, doścignie kara. Pasek właściwie to przysłowie wtrącił.

⁹⁾ Ex equo Trojano.

¹⁰⁾ Captivatio ex consilio.

¹¹⁾ Consilium.

¹²⁾ Salutare.

towi i ojczyźnie, uzna to świat. Bo jeżeli to za cnotę i miłość moją przeciwko ojczyźnie potyka, niewinnego mię kamienują¹⁾: jeżeli jako posła i to przeciwko prawu narodów, przeciwko prawidłom sprawiedliwości²⁾ ponieważ: cokolwiek nie było roztrząśniętem, za sprawiedliwość poczytane być nie może³⁾. Jakąkolwiek z tych dwóch intencją, widzi się to zrazu temu co grzeszy, że bardzo dobrze czyni, bo wykraczającym nawet pozór cnoty jest pożądaną⁴⁾. Ale końca patrzeć. Jam jeden z 60 tysięcy wojska, którym tak uczynił nie z żadnej potrzeby, nie dla żadnego występku⁵⁾, ale z samej tylko przeciwko ojczyźnie miłości, zem porzuciwszy wczasy i owe które teraz najłichszy towarzysz może mieć, wygody, idę na wojnę, idę w kompanię, choć przykrej zimy nieuważając niepodgod⁶⁾; tam idę gdzie się biją, tam gdzie krew za słodki liquor pija. Pochwalił mi ten postępek ociec mój, chwalił interesanci domu mego i ci wszyscy co dobrze życzą ojczyźnie, prawie z zaręczeniem⁷⁾, że mi się to jakoś od ojczyzny miało nagrodzić wdzięcznością, ale poczęło się już widzieć nagradzać, kiedy mi na dobrowolnej drodze wśród lasa zastąpiono, porabowano i do więzienia wsadzono, kiedy mię jak do Rzymu Afrykańskiego (Jeńca) na tryumf wprowadzono. O jakież to srogie zwycięstwo⁸⁾ jednego wszystkim zwojować, wszystkim nad jednym pastwić się i urągać! Tamen tam, gdzie sześćdziesiąt tysięcy szabel błysnie w oczach z tym prezentować się męztwem, nie tu nad jedną osobą. Będzie to wleźlało wojsko,

¹⁾ Innocuus lapidor.

²⁾ Contra jura gentium, contra regulam justitiae.

³⁾ Quidquid non discutitur, justitia non putatur.

⁴⁾ Vel peccantibus, virtutis species prima jucunda est.

⁵⁾ Excessu.

⁶⁾ Injurias.

⁷⁾ Cum assecuratione.

⁸⁾ Victoria.

jak w mojej osobie poniesionej upominać się wzgardy¹⁾, Bo lubom nie konfederat, alem żołnierz równo z nimi do zasług należący; lubom nie poseł, ale kiedy jako posłowi ten dyzhonor uczyniono, zamiar stoi za skutek²⁾. Nie z Jaskólskiego to związkiem igrać wtenczas kiedy lepsza część³⁾ wojska była za morzem, wszystkie to w kupie są siły, które mogą i pomódz i zaszkodzić⁴⁾. W czyich rękach jest oręż w tych mocy i ocalić i zgubić Rzeczpospolitą⁵⁾. Wróć się do wojska, będę umiał opowiedzieć, jakiej mają za krwawe zasługi spodziewać się wdzięczności; będę umiał upomnieć się każdemu, kto taką na mnie i całego w osobie mojej wojska przykroił ferezłą. A teraz przed niebem i ziemią oświadczam się⁶⁾ w krzywdzie mojej, i tego com dla ojczyzny uczynił szczerem żaluję sercem. Gdy występki korzyść przynoszą grzeszy, kto dobrze czyni⁷⁾.

Skorom tedy przestał mówić, jaki taki z senatorów osobną na mnie poczęł formować inwektywę i każdemu się trzeba było odcinać. A naprzód Podkanclerzy Litewski w ten sens, przewiśkiem Naruszewicz (Alexander): »Gdy mi przychodzi tej mowy uważać treść⁸⁾, widzę że ta justifikacja⁹⁾ bardziej obwinia¹⁰⁾, niżeli uniewinnia¹¹⁾; bo zapierasz się tu Waść związku, powiadasz żeś nie po-

¹⁾ Contemptu.

²⁾ Intentio pro facto.

³⁾ Potioritas.

⁴⁾ Et prodesse, et obesse.

⁵⁾ In quorum manibus arma sunt, in eorum potestate est conservare et perdere Rempublicam.

⁶⁾ Protestor.

⁷⁾ Dum vitia prosunt, peccat qui recte facit.

⁸⁾ Essentiam.

⁹⁾ Usprawiedliwienie się.

¹⁰⁾ Accusat.

¹¹⁾ Excusat.

seł, a za związkiem mówisz i za wojskiem rzecz¹⁾ trzymasz, tak jakoby formalny poseł więcej czynić i mówić nie mógł. Już teraz i ja sam lubom tego nie do końca rozumiał, nie zgrzeszyłbym posądzeniem, biorąc miarę, że takiemu conceptowi niepotrzeba kredensu²⁾, ale się to wszystko może zmieścić w głowie, co na papierze miało być wyrażone. Druga racja: wielkie czyni mi podobieństwo, że hultaje jacyś od wojska Litewskiego, żołnierzy J. K. Mości poszarpali, stąd widać³⁾, że wiedzieli o tem. Trzecia, że tak hardzie każesz nam senatorom niedowierzasz i króla obrażasz⁴⁾ przez co samo jesteś nieprzyjacielem ojczyzny i winnym zbrodni obrażonego Majestatu⁵⁾.« I więcej mówił obszernie, ale cudzych słów i sentimentów trudno wyrazić od słowa do słowa⁶⁾. Na co ja powiedziałam tak: »Sprawiedliwe są i prawe, rzecz mogę, wielkiego Senatora Konsideracie: bo i ja sam gdybym był na tem miejscu zasładał, pewniebym W. Mściłm Pana w podobnych odniesionych okolicznościach⁷⁾, inaczej nie sądził. Na które konsideracie takie daję usprawiedliwienie⁸⁾: Na pierwszą: dziękuję ojcemu memu, że mi z młodu nie kazał cieląt pasać; a do tego jest to doświadczona prawda⁹⁾, że potrzeba rozum ostrzy¹⁰⁾. Na drugą sprawlać się nie powinienem, ale ci którzy to czynili, że mnie odgromić chcieli, ani mnie widząc, ani znając, ale czynili to podobno rozumiejąc¹¹⁾ że ten jest jako

¹⁾ Rem.

²⁾ Pełnomocnictwa.

³⁾ Apparet.

⁴⁾ Diffides et Majestatem Saedis.

⁵⁾ Hostis Patriae et reus criminis laesae Majestatis.

⁶⁾ Exprimere de verbo, ad verbum.

⁷⁾ Circumstanciach.

⁸⁾ Justifikację.

⁹⁾ Practicatum axioma.

¹⁰⁾ Necessitas acuit ingenium.

¹¹⁾ Supponendo.

mię udano, to jest poseł. Że ich zaś W. M. Pan hultajami mlanujesz, nie wiedziałem dotąd, żeby w tak zacyym narodzie Xięstwa Litewskiego mieli znajdować się hultaje; bo ich w naszym wojsku niemasz. Do trzeciej tak mówię konsideracj: rozumnemu od swojej osoby każdej rzeczy trzeba brać proporcją. W. M. Panu przy nienaruszonej poczdliwości, gdyby zadano żeś zdrajca Rzeptej; gdyby przy niewinności jawnej, na dobrowolnej drodze prawem nieprzekonanego wzięło, uwłężiono¹⁾, suklenkę zguby²⁾ obleczono, racz mię proszę nauczyć W. M. M. Pan, jakim umysłem³⁾ takową przyjmowałbyś zniewagę⁴⁾ Jeżeli mi W. MM. Pan powiesz, żeby to szlachetnemu sercu⁵⁾ ciężki musiał być afront; a toć przekonanie⁶⁾ że i mnie, który z każdym dobrym równać się mogę urodzeniem i poczdliwością. Jeżeli mię to tedy turbuje, ale mię nie konfuduje, ponieważ czuję się być niewinnym. Największa pociecha nie znać się do winy⁷⁾. A choćby też i winnym był, nic tu nie pomoże dobremu, choćby cczy wypłukał, kiedy jest od złego w honorze i reputaciej ukrzywdzony. Nie powinno to nigdy konfudować niewinnego, choć kto przeciwko prawu i sprawiedliwości ozuchwała się⁸⁾, bo to czyni na własną głowę⁹⁾. Myśl dobra w nieszczęściu jest połową nieszczęścia¹⁰⁾: tak mądrzy powiadają. Co do zbrodni obrażonego Ma'jestatu¹¹⁾ szkodzić mi nie będzie i Katonowa cenzura, prędzej kto

1) Incarcerowano.

2) Perditionis.

3) Quo animo.

4) Kontumelią.

5) Generoso pectori.

6) Conscientia.

7) Maximum solatium est racare culpa.

8) Insolescit.

9) In suum caput.

10) Bonus animus in re in dla nimidium est mali.

11) In crimine laesae Majestatis.

może wpaść niżeli ja prywatny. Bo ja tu nie mówię do Pańskiej osoby; nikt tego nie doczyta się w sercu mojem, żebym miał brać w złem rozumieniu¹⁾ łaskawe J. Najjaśniejszego Majestatu panowanie, szczególna tylko, godzili się tylko wymówić, do tej mojej zniewagi²⁾ przyłączyła się łatwowierność³⁾. Co, że pochodzi z wygórowanej złości⁴⁾ ten winien kto oskarżył, nie ten kto mię bje; do tych mówię, którzy mi tego narobili, którzy w Radzie⁵⁾ byli i tu mnie inkarcerowali. Com tedy mówił, to i teraz mówię (słowo wymówione cofnąć się nie może⁶⁾), że się każdemu w urodzeniu sobie równemu upomnieć będę umiał.

Mam sejmiki, mam trybunały, mam koło generalne dwójakom obywatel⁷⁾, bom i szlachcic bom żołnierz; słów nigdy swoich zaprzec się nie umiem. To mam za cnotę, tego wzdrygają się uczciwe usta⁸⁾.

Ozwie się na to Pac (Plotr) Wojewoda Trocki podobnym, jeżeli mogę pamiętać sensem:

»Jestto rzecz prawdziwa, że to mnsi być boleśno, kiedy kogo jaka potyka dolegliwość, w których terminach choć kto ostrzej⁹⁾ wymówi, nie jego (wina), ale tego który go do tej przywodzi niecierpliwości. Bo tak powiedają, że żal nie ma uwagi. Jeżeli tedy przy niewinności nie bardzo mam za złe; jeżeli zaś ten Jgmość i winien i tak zuchwale¹⁰⁾ każe, już nie prostem, ale dworąż-

1) In reprobum sensum.

2) Kontumelii.

3) Accesit credulitas.

4) Exabundantia malitiae.

5) In Consilio.

6) Nexcit vox missa reverti.

7) Utraque civis.

8) Hoc mihi pietas, hoc lingua odit.

9) Licentiose.

10) Imperiose.

nem trzeba to nazwać grzechem, w którym już i zbrodnią obrażonego Majestatu¹⁾ i ujma naszej Senatorskiej, jako we zwierciadle reprezentuje się, powagi. Też jednak co i Jmść Pan podkanclerzy M. Pan i brat, mając przed oczyma²⁾ konsiderację, bardziej go winnym niżeli niewinnym być sędzę. I zaraz do mnie obróci apostrofę: Odpowiedasz tu nam Wszmość wojskiem, grozisz jakąś zemstą i obiecujesz wrócić się nazad do związku. A wiesz, jeżeli ztąd wynidziesz zdrowo? A pytałeś się, jeżeli ztąd pozwolą wyniść z głową? A zaż to takie procedery³⁾ nie garłem pachną? Sami się do tego przyczynimy i nalegać będziemy⁴⁾ do króla Jmści, żebyś ztąd nie wyszedł ladajako, że takie uszczerbki, które spotykają od osoby nie tak też bardzo i poważnej i zasłużonej, bo same to okazują⁵⁾ lata. I dalej dosyć obszernie mówił.

Na co ja odpowiadam temi słowy:

»Przyznałeś to W. M. Pan, jako jest rzecz ciężka przy niewinności tak wielką, ponosić kalumnię; przyznajesz W. M. i to, że cokolwiek ma w sobie żalu serce to język jako jego naturalny tłumacz⁶⁾ światu ogłasza, a przecie W. M. Pan dodajesz strapionemu strapienie⁷⁾, z pismem tedy zapytać się muszę: Jeżeli dobrze rzekł, przeczże mię bijesz?⁸⁾ Grozisz tu mi W. M. Pan śmiercią — jestto wszystkich żyjących wspólne prawo: ktokolwiek na świat wychodzi, już na śmierć jest przeznaczony⁹⁾. Sta-

¹⁾ Et crimen laesae Majestatis.

²⁾ Prae oculis.

³⁾ Postęпки.

⁴⁾ Instabimus.

⁵⁾ Interpres.

⁶⁾ Interpres.

⁷⁾ Afflicto afflictionem.

⁸⁾ Si veritatem loquor vult me caedis? Evang. apud Joan. C. XIII, c. 23.

⁹⁾ Communis regula: quisquis ad vitam editur, ad mortem destinatur.

remi to W. M. Pan straszysz mię awizami¹⁾, które nie wiem jeżeli nie prędzej dojdą WM. Pana gabinetu, niżeli mego szafaszu, jeżeli nie będą WM. Panu straszniejsze za złoistym pawilonem, niżeli mnie na ubogim żołnierskim wojsku. Kto wojnę służy, już ten jest wżgardzicielem śmierci²⁾, bo onej szuka, nie ona jego. Szukałem już śmierci, choć w młodym wieku moim i za Dnieprem i za Odrą, i za Elbą, i koło Oceanu i Bałtyckiego morza. A Wśc. Mój wielce Mściłm Pan, podobnobyś się obszedł choćby się z nią i nigdy niepotykać. Ja zaś nie dbam, bo wiem że życia tego taka jest kolej³⁾. Wygnanie, płacz, boleść, są to obowiązki życia⁴⁾. Jeżeli umrzeć, to umrzeć byle dobrze; a lepsza podobno śmierć być nie może nad tę, która kogo przy niewinności potka, za cnotę i miłość ojczyzny, bo jeżeli to jest czyn zasługi⁵⁾, ginąć dla ojczyzny, ginąć od synów ojczyzny, od ojców ojczyzny; ale jaki tego może być pożytek⁶⁾ końca pa-trzać. Chcąc się ojczyźnie Perseusz przysłużyć piszą tam: zabił węża z którego szyi krople krwi spadające niezliczone zrodziły gadziny⁷⁾. Nie ugasł nikt krwią moją niewinną zapalę tego, który ktoś nieżyczliwemi radami⁸⁾ niewiem jeżeli nie na zgubę naniecił ojczyzny. Za niewinność moją ujmie się Bóg, wojsko i moja uboga parantela⁹⁾, bo mi nie trudno o krewność, dawno się czując, że jest szlachcicem. Połężę głowa, zostaną zęby, i ja-

¹⁾ Nowina, wiadomości. Linde s. v.

²⁾ Contemporis mortis.

³⁾ Sequentia.

⁴⁾ Exilium, luctus, dolor; tributa sunt ista vivendi.

⁵⁾ Actus meritorius.

⁶⁾ Emolumentum.

⁷⁾ Occidit, anguem, e cuius collo guttae cadentes, in numeros genuere colubros.

⁸⁾ Malerolis consills.

⁹⁾ Rodzina.

każkolwiek pamiątka zmięnia¹⁾. Nie nowina to pod słońcem. Potykały podobne terminy wielkich imion²⁾ osoby. I znakomici mężowie woleli zawsze żyć umysłem niż ciałem³⁾. Tych tedy wszystkich postrachów niewinność moja lękać mi się nie każe i nadzieję nie tracić. Chory dopóki jeszcze oddycha, ma nadzieję⁴⁾. Większe jest miłosierdzie Boskie niżeli całego świata furja. Właściwa Bogu tych zasłaniać, których godnymi być sądzi⁵⁾. Że zaś osoba moja, w oczach WM. Pana nie ma, jako WM. Pan mienisz, powagi, cóż z tym czynić? Lata i szarża moja terażniejsza, takiej nie potrzebuje powagi, żeby to odęwszy się w krzesło, jako pajak. Bywa to czasem, że i te wysokośći równają się z niżkością. Kto ostryżny, i na starą obręcz nie nastąpi, kto rozumny, i najpodlejszego lekceważyć nie powinien. Nikim gardzić nie należy, w kim dostrzedz można jakichkolwiek śladów cnoty⁶⁾. Znowu tenże rzecz: Ile słów, tyle nikczemności⁷⁾, albo raczej rzekę uragań⁸⁾. Kto słyszy, przyznać to snadnie może, że nie taką obwlnionemu należy czynić justifiacją⁹⁾, nie takimi exacerbować¹⁰⁾ Majestat i Senat insultami; nie tak mniej potrzebnymi narabiać jak-tanciami¹¹⁾ wymawiając swoje przeciwko ojczyźnie zasługi¹²⁾.

1) Nominis recordatio.

2) Magnorum nominum.

3) Ita semper, illustribus viris, animo vivere longe antiquius fuit quam corpore.

4) Aegrotus, quamdiu animam habet, spem habet.

5) Dei proprium est protegere, quos dignos judicat.

6) Nemo est contemnendus, in quo aliqua virtutis significatio apparet.

7) Quat verba, toto miseriae,

8) Tot scommata.

9) Usprawiedliwienie.

10) Rozjątrzać.

11) Chełpliwość, przechwałki.

12) Merita.

wyliczając expedycje, mlejsca, rzeki, oceany; a nie wiem czy to tak było, czy nie było. I my też bywali na morzu i za morzem, a przecię tego nie wspominamy. (Powleźiał tu jakąś sentencją, ale jej nie pamiętam, do materiej jednak wyrzutów stosowną¹⁾). Lepiej dla ojczyzny nic nie czynić a nie wymawiać; a choćby też kto jako najwięcej dla ojczyzny uczynił dobrego, jeden zły postępek te wszystkie niweczy²⁾ zasługi, kiedy kto raz ją wynosi, drugi raz poniża; raz się jej pokaże synem, drugi raz pasierbem; a źle uczyniwszy jeszcze chępli się³⁾ i stanom Rzeczypospolitej kurczy pod nos; ale na taką hardość dostanie wieże i miecza. Na co ja znowu taką daję replikę:

»Insza to rzecz być obwlnionym, a insza winnym; ja się widzę być obwlnionym, ale nie czuję się być winnym, i dla tego też ja bronę niewinności. Niewinność za mną mówi⁴⁾. W Bogu mam nadzieję, że w tym odemdle nikt ryb nie nałowi. Zasług przeciwko ojczyźnie nie wymawiam, ale je tylko przypominam, dając je na szalę uwagi⁵⁾, jeżeli mi za nią taka jaka jest obecnie⁶⁾ należała nagroda⁷⁾.

»Jeżeli się komu w zasługach moich jaka czyni wątpliwość czy to tak było, czy nie było? świadczą blizny na piersiach⁸⁾ poniesione; jest tak wiele commilitonów⁹⁾ moich, co mię w tem wyświadcza, ci co tam byli, co na to patrzali. Ten trudno tego miał wdziać, kto w domo-

1) Exprobrationis competentem.

2) Annibidat.

3) Gloriatur.

4) Pro me militat.

5) In lancem considerationis.

6) Ad praesens.

7) Recompensa.

8) Cicatrices adverso pectore.

9) Towarzyszów broni.

wych wczasach siedząc, jadł ostrygi, ślimaki i tertafole¹⁾, czy kto był, czy nie był na morzu i za morzem; o tem controwertować²⁾ nie chcę i owszem, łatwo wierzę, bo suknia wskazuje jakimi w sercu jesteście³⁾. Ale przecie insza to jest natura podróżowania⁴⁾, uczyć się: pierla Italiano, pierla franciezo, a insza uczyć się verdo mien hasto!⁵⁾, insza to słuchając wdzięcznej melodii uczyć się baletów, kapreolów, tańców⁶⁾, szykując podkasałę nóżki jako z rejestru; a insza słuchać klangoru⁷⁾ marsowej kapelle; insza rozlewać słodkie likwory, insza rozlewać krew.

Dla ojczyzny⁸⁾ żem zawsze czynił ile mogłem⁹⁾, w tem się czuję; przeciw ojczyźnie¹⁰⁾ zaś ani przedtem, ani teraz i dla tego mianować się mogę bezpiecznie synem jej, a nie pasierbem. Prędzej bym podobnie między ojcami ojczyzny¹¹⁾ domagał się ojczymów, których knowaniami¹²⁾ wyniszczona i do ostatniego ubóstwa¹³⁾ przyprowadzona Rzpta; których pokrzywdzeniem w najgłębszej Democryta¹⁴⁾ utopiona sława jej studni¹⁵⁾ męztwem¹⁶⁾ zaś, dziel-

1) Zapewne trufle, które podług Lindego zwano i tartofle.

2) Sprzeczać się.

3) Indicat vestis quales intrinsecus estis.

4) Peregrinationis.

5) Z niemieckiego: Wer da? Kto idzie? Wołanie żołnierza na straż. Co znaczy: mien hasto, dojść trudno, może men astiramento, wskrót. men'asto: wolnym krokiem.

6) Kapreol, kabryol, kapryol, skok. Linde s. v.

7) Dźwięku.

8) Pro patria.

9) Quantum potui.

10) Contra patriam.

11) Inter patres patriae.

12) Quorum machinationibus.

13) Etad ultimam egestatem.

14) Quorum iniuriis in profundissimo Democriti.

15) Puteo.

16) Virtute.

nością wojska z labirintów tak ciężkich wyprowadzona i restaurowana. Dalekich nie szukając dowodów, szwedzka wojna jakiej narobiła szkody i konfuzii ojczyźnie, szwedzką wojnę kto zaś zbudował? — złe rady pośredniego stanu¹⁾ a sąd Radziejowskiego niesprawiedliwy; a w czem niesprawiedliwy, nie tłumaczę, bo do świadomych mówię²⁾. A jeżeli wojnę zacząć, to ją na dobrym zacząć fundamencie, żeby koniec nie konfundował początku i żeby tego co zaczęliśmy nie żałować, czego jest widoczny konterfekt³⁾ wojna szwedzka. Przypomnieć sobie wolno, jak nam ciężka była rzecz, odstąpić delciej domowych zbiorów i majątności, a cudze za granicą pocierać kąty; przypomnieć przeciwnie⁴⁾, jak miło, choć już z wyniszczoną skarboną powracać do rodziny⁵⁾, i powitać domowe bogi⁶⁾: Któż to sprawił? Pewnie nie ten, który za granicą siedział, pytał: co się tam w Polsce dzieje. Ale kto? Bóg przez narzędzia⁷⁾ ordynansów swoich, przez ręce i dzielność wojska, przez fatygę i czułość dobrych wodzów; albo raczej w liczbie pojedynczej⁸⁾ mówiąc: jeden człowiek przez zwłokę naród nasz ocalił⁹⁾. Teraz zaś z konfederacją albo grzeczniej¹⁰⁾ mówiąc z zwłazkiem terazniejszym jakoby postąpić; obaczę jeżeli go tak prędko rozwiąże ten, co go zwłazał. Jest to węzeł Gordijski¹¹⁾, i dwiema

1) Mala consilia ordinis intermedi, t. j. pośredniego między królem i stanem rycerskim, a więc Senat.

2) Scientibus loquor.

3) Obraz.

4) E converso.

5) Ad propia.

6) Lares.

7) Per instrumenta.

8) In singulari.

9) Unus homo nobis euctando restituit rem. Eunius u Cicerona o starości w rozdz. IV.

10) Politius.

11) Nodus Gordius.

palcami związać go było snadno, ale po chwili nie da się rozwiązać i zębami; kto go zawlazał winien Bogu i ojczyźnie. Wołał tam kiedy pobożny Monarcha na nie dobrego administratora: »Warusie, wróć mi legiony.«¹⁾ Trzeba by naszej Rzptej, osobliwej przeciwko tylu Warusom²⁾ animadwersiej³⁾: Zdajcie sprawę⁴⁾ wojny szwedzkiej, którąście prywatneml przeciwko Bogu i Prawu exorbitującemi⁵⁾ rozniecali okaziaml, wróćcie Bogu od ich odszczepieńców poczynione w świątyniach kontempty⁶⁾, wróćcie popalone i z ziemią zrównane miasta, pałace i zamki; wróćcie szlachcie⁷⁾ poniesioną opresją⁸⁾ i stracone substancie; wróćcie z tej okazji tak wiele rozlanej krwi i zgubionych ojczyźnie synów oddajcie; wróćcie na wieki niezmazaną Majestatowi i całemu narodowi konfuzją. Do obecnego⁹⁾ zaś stanu¹⁰⁾ mówiąc: nagroź¹¹⁾, oddaj, wróć ubogim ludziom krwawą pracę, zabraną od gęby sztukę chleba, i ostatnią prawie kroplę wyssanej krwi, wróć Bogu restauracją świętej jego sławy; wróć ojczyźnie Smoleńska, Kijowy, Siebieże, Zadniepra i dalsze granice. Czyj to jest plód¹²⁾, na tego nowego trzeba plekła, nowe i niezwyčajne wymyślić męki¹³⁾, na tego wołać ostrego

¹⁾ Vare legiones redda! Suetonius w żywocie Augusta C. XXIII.

²⁾ Contra tot Varos.

³⁾ Kary.

⁴⁾ Reditte rationem.

⁵⁾ Uciążliwemi.

⁶⁾ Zniewagi.

⁷⁾ Nobilitati.

⁸⁾ Ucisk.

⁹⁾ Ad modernum.

¹⁰⁾ Statum.

¹¹⁾ Redde.

¹²⁾ Partus.

¹³⁾ Crutiatius.